



CHARLOTTE
ROTH

ŻYCIE
OD
NOWA

PRZEDWOJENNY GDAŃSK I SOPOT.
PORYWAJĄCA,
AUTENTYCZNA HISTORIA
TRUDNEJ MIŁOŚCI.

SPIEGEL
BESTSELLER

Świat Książki

CHARLOTTE
ROTH

ŻYCIE
OD
NOWA

Z niemieckiego przełożyła
Magdalena Jatowska


Świat Książki
wydawnictwo

Spis treści

Część pierwsza
Część druga
Część trzecia
Część czwarta
Część piąta
Część szósta
Część siódma
Część ósma
Zakończenie
Jeszcze Polska nie zginęła
Glosariusz
Przypisy

Tytuł oryginału: *WENN WIR WIEDER LEBEN*

Wydawca: *Urszula Ruzik-Kulińska*

Redaktor prowadzący: *Iwona Denkiewicz*

Redakcja: *Ryszarda Witkowska-Krzeska*

Korekta: *Jadwiga Piller, Ewa Grabowska*

Copyright © 2018 by Verlagsgruppe Droemer Knaur GmbH & Co. KG, Munich, Germany

Książka została wydana dzięki współpracy z AVA International GmbH, Niemcy

(www.ava-international.de)

Copyright © for the Polish translation by Magdalena Jatowska, 2020

ISBN 978-83-828-9496-7

Warszawa 2022

Wydawnictwo Świat Książki

02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Dystrybucja

Dressler Dublin Sp. z o.o.

05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91

e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl

tel. + 48 22 733 50 31/32

www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

*Dla Ciebie, Babciu,
dla Twojego Sopotu, dla Twojego Gdańska.
Twój najmłodszy prawnuk, który był ze mną w Twojej
ojczyźnie, powiedziałby: „Dziękuję bardzo mocno” .*

Maikäfer flieg,
Der Vater ist im Krieg.
Die Mutter ist in Pommerland,
Pommerland ist abgebrannt,
Maikäfer flieg

Chrabąszczyku leć,
ojciec na wojnie jest,
matka na Pomorzu,
Pomorze już w pożodze,
chrabąszczyku leć

Dziecięca piosenka, autor nieznany

Świt na morzu – Morgen am Meer

Gdy powrócisz,
wiesz, gdzie mnie znajdziesz.
Świtem będę na plaży,
jak wtedy.
Wiatr będzie jak zawsze,
a morze szare, takie, jakie znasz.
Tylko ja nie będę już taka sama,
Ale nie martw się. Nie pozna tego nikt.

Świt na morzu.
Boże, przeklnij mnie – nasz świt na morzu.
Otuleni w ciszę jak w twój stary płaszcz,
Stopy ciężkie od wodorostów, staliśmy w spienionej wodzie.
Stoję wciąż i czekam,
Choć cisza nie ma już echa.

Nie wrócisz
I nikt mnie nie znajdzie
Świtem na plaży.
Było, minęło.
Pozostał tylko wiatr
I morze falujące do przodu i w tył.
Ty i ja dawno odeszliśmy w niepamięć,
A światu nie jest nas brak.

Świt na morzu...
Piosenka Czworoga z Sopotu, autor nieustalony

CZĘŚĆ PIERWSZA

Wanda

Berlin

Jesień 1963

Osiko, twoje liście lśnią białą w ciemności,
Włosy mojej matki nigdy nie były białe.

Paul Celan, *Osika* [przeł. Ryszard Krynicki]

1

Stoły w stołówce przypominały Wandzie twarze – niektóre nowe i gładkie jak powierzchnia preszpanu, niektóre przywleczone skądś i obce, a niektóre stare i usiane bliznami.

Siedziały we trzy przy jednym z takich okaleczonych stołów. Helga Landschulze nie była stąd, Sigi Witthuhn studiowała już od roku, a Wanda zaczęła dopiero przed czterema tygodniami. Helga w czasie swojej przerwy obiadowej jeździła aż na uniwersytet położony w dzielnicy Dahlem, bo, jak twierdziła, musiała oszczędzać pieniądze przeznaczone na kanapki.

– Ile zarabia ktoś taki jak ja? Mniej niż ci makaroniarze w lodziarni. A ojciec żałuje mi każdego grama margaryny, którą smaruję sobie chleb.

Wanda podejrzewała, że w rzeczywistości Helga smaruje sobie grubo kanapki smalcem albo metką i połyka je w drodze na uniwersytet. Tam spotykała Wandę, która do stolika przynosiła pełną tacę wraz z deserem. Helga była zawsze głodna.

– To zostało we mnie ze złych czasów – powiedziała Wandzie. I dodała:

– Nie zrozumiesz tego, nie wiesz, co to głód.

Miała rację. Wanda nie znała takiego głodu, jaki dawał się we znaki Heldze, dlatego chętnie oddawała koleżance tacę z obiadem przysługującym jej jako studentce – grochówkę z kiełbasą i ryż na mleku z palonym masłem. I tak nie lubiła potraw nakładanych z blaszanych wiader. Pachniały nieprzyjemnie, pokrywał je kożuch i nie pobudzały apetytu.

Jedzenie – dla Wandy zaczynało się ono od zapachu, który w domu przy Alboinstraße wyczuwała już na klatce schodowej. Gęsie podroby w garnku, ostrożnie mieszane przez Matti, kapuśniak ze świeżo podsmażonym boczkiem, długi stół, przy którym siadały wszystkie, i białe talerze z niebieskim napisem – miały ich akurat sześć, przy czym szósty, używany tylko na Boże Narodzenie, miał nadłuczony brzeg. Na kuchence zawsze stały garnki, w których coś się gotowało – galaretką

z czarnego bzu albo rosół, a przed świętami kości szpikowe na karpia w galarecie. W ciepłym, wilgotnym od pary powietrzu spoglądały na nią cztery twarze. Była wyczerpana i cieszyła się z powrotu. Helga mogła sobie śmiało zjeść pokrytą kozuchem grochówkę, Wanda z radością czekała na domową kolację.

Sigi, córka lekarza, która studiowała na trzecim semestrze i wzięła Wandę pod swoje skrzydła, wydawała się w ogóle nie mieć pojęcia, czym jest głód. W swetrze białym jak mleko sprawiała wrażenie kościustej. Wzięła do ust łyżkę zupy, po czym ze wstrętem odsunęła tacę w stronę Helgi.

– Moją też może pani wziąć, jeśli smakuje pani coś takiego. To wstyd, że niemieckim studentom serwuje się taką breję, ale nasi przedstawiciele w radzie studenckiej wolą odgrzebywać stare brudy, niż zatroszczyć się o najprostsze potrzeby.

– Ktoś taki jak ja nie może sobie pozwolić na grymaszenie – stwierdziła Helga, przyciągając ku sobie tacę, po czym łapczywie połykała zupę. – U nas je się to, co postawią na stole, albo w brzuchu burczy.

– Nie wygląda na to, by często burczało pani w brzuchu – zauważyła Sigi. Zignorowała nienawistne spojrzenie Helgi i zapaliła papierosa.

Trudno było siedzieć razem przy stole, nie miały ze sobą nic wspólnego z wyjątkiem faktu, że obie przyjaźniły się z Wandą. Chociaż Helga uważała, że Wanda jest nielojalna, skoro nazywa Sigi przyjaciółką. Córkę lekarza znała przecież dopiero od czterech tygodni, a swoją prawdziwą przyjaciółkę, Helgę, niemal całe życie. Ale taka już była Wanda. Lubiała ludzi i wszędzie znajdowała przyjaciół. „Twoja matka była w młodości taka sama”, mówiła ciotka Lore. „Wystarczyło, że na kogoś spojrziała, a już każdy ją uwielbiał”.

Matka Wandy, nazywana przez Wandę i jej siostry nie Mutti, mamą, lecz *Matti*, rzadko wychodziła z domu, nie miała więc wielu okazji do nawiązywania znajomości, ale za to wszyscy przyjaciele Wandy ją uwielbiali. Wystarczyło, że na nich spojrziała. „Twoja Matti to prawdziwy skarb” – mawiała Helga, która często pojawiała się w mieszkaniu przy Alboinstraße. „Nawet nie wiesz, jakie masz szczęście”.

Helga często to powtarzała – że Wanda nie wie nawet, jakie ma szczęście, bo jej matka to skarb, poza tym ciotka Lore „również jest bardzo miła”, bo nie ma ojca, który przepija państwową zapomogę i bije, ani wiecznie faworyzowanego brata, tylko dwie skromne siostry, bo może

studiować, zamiast stać w zatęchłych oparach pralni, aż nogi wchodzą w tyłek, i bo każdy ją lubi, choć nie stara się nawet w połowie tak bardzo jak Helga.

Owszem, myślała Wanda, kiedy Helga tak mówiła, owszem, wiem, jakie mam szczęście, czuję to każdego dnia, gdy się budzę i słyszę, jak Matti gotuje w kuchni herbatę z dzikiej róży i nuci przy tym cicho, niemal bezgłośnie. Ale czuję również, że czegoś mi brakuje. Byłam dobra w szkole, nauczyciele doradzali mi studia, ale gdy dyrektor zapytał mnie, czym chciałabym się zajmować, nie przyszła mi do głowy żadna odpowiedź.

„Czymś związanym z muzyką”, wymruczała i zawstydzila się, bo nie grała nawet na flecie i nie pochodziła z rodziny muzyków. W mieszkaniu przy Alboinstraße był, co prawda, instrument, ale nikt go nie używał. Matti i ciotka Lore nie ceniły muzyki, lecz w przeciwieństwie do rodziców Helgi, którzy jej ulubione piosenki nazywali „muzyką czarnuchów” i „chorym wyciem”, nigdy nie zabraniały Wandzie słuchać radia. Wręcz przeciwnie. Zaoszczędziły nawet, żeby w domu towarowym Held wpłacić zaliczkę na adapter, i co piątek, gdy ciotka Lore przynosiła do domu żółtą kopertę z wypłatą, najpierw odliczały pieniądze na spłatę raty. Nie spytały nigdy Wandy, czy ta chciałaby mieć adapter, widziały po prostu, co się z nią dzieje, gdy słucha muzyki.

Ona sama nie pojmowała, co to dokładnie jest, ale pojawiała się przy niemal każdym utworze, nawet przy koncertach orkiestry dętej Armii Zbawienia i banalnych szlagierach Connie Francis. Jej ciało jakby się wtedy elektryzowało, każde ścięgno napinało, każdy por otwierał, by chłonąć dźwięki. Przy piosenkach Beatlesów miała wrażenie, że cała drży, a przy śpiewie Édith Piaf, która zmarła tego roku tak młodo, Wanda dostawała zawrotów głowy, bo do tego stopnia poruszała ją muzyka.

Padam, padam, padam.

Dziki smutek, który tańczył aż do upadłego.

Wanda nie знаła się ani na jednym, ani na drugim, ani na tańcu, ani na smutku, a już najmniej na samej muzyce. Postanowiła zatem studiować język niemiecki i historię i zostać nauczycielką. Bo do czego innego mogły służyć studia? Rodzina Wandy znała co najwyżej garstkę osób, które je skończyły – ich lokalnego pastora, domowego lekarza oraz nauczycieli, którzy uczyli Ari, Verę i Wandę. Osobą duchowną Wanda

nie mogła zostać, a była zbyt słaba z nauk przyrodniczych, by studiować medycynę.

Zawód nauczycielki natomiast wydawał się możliwy. Dyrektor pokiwał głową: „Dlaczego nie, świadectwa potwierdzają pani zdolności. Mam nadzieję, że wie pani, ile ma szczęścia, panno Scharneck”.

Wanda była jedyną dziewczyną wśród szesnaścioro maturzystów z jej rocznika. Wiedziała, jakie ma szczęście, nawet jeśli szczęście to było czasem cięższe do udźwignięcia niż skórzana teczka, którą podarowały jej Matti i ciotka Lore z okazji rozpoczęcia studiów. „No i kto by pomyślał?” – powiedziała ciotka Lore. „Po tym wszystkim, co było, jedna z nas dostała się na uniwersytet. Jesteśmy z ciebie dumne, Wando”.

– Poradziłaś dziś sobie? – przerwała rozmyślenia Wandy Sigi, strącając popiół na tacę Helgi. – Jeśli nie, pytaj śmiało. Chętnie wytłumaczę ci wszystko, czego nie rozumiałaś.

Po raz drugi uczestniczyły razem w proseminarium na temat liryki w romantyzmie heidelberskim. Profesor przemawiał terkoczącym głosem, maszerował przed pulpitem w tę i we w tę, wymachując rękoma, a na nadgarstku miał dwa zegarki, z których powodu na pierwszym wykładzie zbeształ Wandę. Nie spodziewała się, że profesor zacznie krzyczeć, aż zrobi się czerwony. W jego obecności Wanda tak się niepokoiła, że miała trudności ze skupieniem uwagi.

– Co takiego tu robicie, co tak trudno zrozumieć? – spytała Helga. – Ale ja i tak jestem dla was za głupia. Dziewczyna z pralni Meyer – czym się tu chwalić?

Sigi zgasiła papierosa i zignorowała Helgę.

– Właściwie nie było to dla mnie trudne do zrozumienia – stwierdziła Wanda. – Raczej nudne. Choć jako początkująca studentka nie powinnam tak mówić. Zastanawiałam się po prostu...

Urwała w pół słowa i miała nadzieję, że ktoś się odezwie i poruszy nowy temat. Robiła tak czasami, podobnie jak Matti, i zwykle ta metoda działała.

Ale nie dzisiaj. Sigi uniosła brwi, a Helga, która opróżniła już obie miseczki z grysikiem, spytała:

– No, co takiego? Odjęło ci mowę?

– Nie, nie – odparła Wanda, bawiąc się postrzępioną tasiemką na nadgarstku, jak zawsze, gdy czuła się niepewnie. – Zastanawiałam się po prostu, co to wszystko ma wspólnego z nami, te wiersze o blasku księżyca i szemrzących fontannach, dlaczego mamy się tym dziś nadal zajmować. Ale oczywiście wiem, że to konieczne, jeśli chcę zostać nauczycielką niemieckiego.

Brwi Sigi wciąż były uniesione.

– Naprawdę nie wiem, czemu chcesz nią zostać – wtrąciła Helga. – Ale ty zawsze byłaś wyjątkowa. Wanda... Kto ma tak na imię? Pamiętasz jeszcze, jak było w szkole podstawowej? Z dwudziestu dziewczyn w klasie osiem miało na imię Helga, ale tobie nauczyciel powiedział, że nawet nie wiedział, że imię Wanda istnieje.

– Osiem Helg? – spytała Sigi. – Poważnie?

Helga przytaknęła.

– Były dwie Helgi Schulze i do tego ja, Landschulze. Żaden nauczyciel nie zwracał się do mnie po imieniu, zawsze byłam po prostu „jedną z Helg Schulze”. – Smutnym gestem odsunęła na bok obie tace i wstała, zbierając się do wyjścia. Zaraz jednak przystanąła. – No jasne – wymruczała. – Gdy muszę już iść, zjawiają się jacyś przystojniacy.

Wanda odwróciła się. Do ich stolika podeszło dwóch młodych mężczyzn, których twarze wydały się jej nieco znajome. O ile dobrze pamiętała, niższego z nich, z ogromnymi, odstającymi uszami, widziała na jednym z wykładów. Wyższy nie niósł przed sobą tacy z obiadem, tylko trzymał pod pachą wypchaną aktówkę.

– To bardzo proste – powiedział.

– Co jest bardzo proste? – wyrwało się Wandzie.

– Odpowiedź na twoje pytanie – odparł. – Dziwisz się, co ci wierszokleci ze swoimi pieśniami wędrowców i cudownymi rogami mają wspólnego z nami, a odpowiedź brzmi: nic. Nie mają z nami nic wspólnego. Choć ich patriotyczne zapędy nie są bynajmniej tak niewinne, jak próbują nas przekonać w swoich bajaniach o słowikach i chrześcijańskim przebudzeniu.

Sigi jęknęła.

– Daruj nam. Jesteśmy w stołówce, a nie na jednym z twoich zebrań.

Helga nadal gapiała się na tego mężczyznę, który tak po prostu i bez skrępowania zwracał się do Wandy na ty. Był wysoki, o kanciastej twarzy, otoczonej nieuczesanymi, zbyt długimi włosami.

– Tak w ogóle to jestem Manne – powiedział niższy mężczyzna, w połowie zasłonięty przez drugiego. – A ten prostak obok to Andras. Nie bierzcie mu za złe, że nie widzi potrzeby, by się przedstawić. Dobre maniery nie są jego mocną stroną.

– To żadna nowość – odezwała się Sigi, przewracając oczami. – Macie coś jeszcze czy się już stąd zabierzecie i pozwolicie nam zjeść w spokoju?

– Przecież nic nie jesz. – Niższy, który przedstawił się jako Manne, uśmiechnął się i zwrócił do Wandy, która teraz go rozpoznała. On także brał udział w seminarium profesora z dwoma zegarkami na rękę. – A gdzie twój talerz? Nie smakuje ci nasza lukullusowa uczta? – Wyciągnął do niej dłoń. – Serdecznie witamy na Wolnym Uniwersytecie Berlińskim. Masz na imię Wanda, prawda?

Gdy Wanda nie zareagowała, uniósł rękę.

– Już dobrze. Nie jesteśmy wcale tacy źli, na jakich wyglądamy, i zaraz się ulotnimy.

– Nie, nie! – zawołała Wanda. Chłopak imieniem Manne wydał się jej miły i podziwiała jego pewność siebie, choć nie mógł być starszy od niej, a z powodu swoich uszu z pewnością często bywał obiektem drwin. Nie chciała, by odeszli. Ten drugi – Andras – nie był miły, ale to, co powiedział o przedstawicielach romantyzmu heidelberskiego, nie dawało jej spokoju. – Zostańcie, proszę. Tylko się zamyśliłam.

– Ja i tak zostaję. – Andras walnął teczką o stół i przyciągnął krzesło, którego nogi zapiszczały na podłodze. Usiadł i oparł łokcie na kolanach, a podbródek na dłoniach. Wpatrywał się w Wandę intensywnie, można by powiedzieć wręcz nieprzyzwoicie. Jego oczy miały niezwykły kolor, ciemnoniebieski albo ciemnoszary, niepasujący ani do czarnych włosów, ani do bladej cery. – Chodzisz na proseminarium Raimunda Krankemanna, tego z dwoma zegarkami, prawda? Achim von Arnim i Clemens Brentano, dwóch leśnych ptaszków, którzy przecież tylko opiewali przyrodę, więc nikomu nie wolno powiedzieć o nich złego słowa.

Jego spojrzenie wywoływało w niej niepokój. Nie potrafiła dłużej siedzieć bez ruchu, zaczęła szurać nogami i skubać wstążeczkę na nad-

garstku. Ta składała się już tylko z kilku jedwabnych pasemek i jeśli Wanda by nie przestała, musiała się zerwać – tasiemkę tę nosiła niemal tak długo, jak sięgała pamięcią.

– Nie zaprzataj sobie głowy gadaniną Andrasa – powiedziała Sigi. – Mówiłam ci przecież niedawno, że cały ten polityczny cyrk to jego sieć, którą zarzuca na każdego, a o swoich studiach dawno już zapomniał.

Andras nie zwracał na nią uwagi, tylko ujął nadgarstek Wandy owinięty wstążeczką.

– Zostaw – powiedział. – Jeśli chcesz się tego pozbyć, przyniosę ci nożyczki.

– Nie chcę się tego pozbyć! – zakrzyknęła Wanda.

– Tak właśnie myślałem. – Wciąż uważnie się jej przyglądał. – Co to takiego?

– To... – zaczęła Wanda i puściła niebieską tasiemkę. – To od mojej matki.

Nosiła ją, odkąd sięgała pamięcią. Matti dała jej tę wstążeczkę, gdy Wanda razem z Verą i dziećmi z sąsiedztwa bawiła się na podwórku w rabusiów i żandarmów. Zrobili z patyków pistolety i strzelali do siebie. Trafiony musiał upaść na ziemię i udawać martwego. Nie na zawsze. Gdy policzył do stu, mógł ożyć, ale liczenie do stu wydawało się Wandzie ciężką jak ołów wiecznością.

Nie lubiła tej zabawy. Bawiła się tylko dlatego, że wszyscy inni ją uwielbiali. Ciągłe się kłócili i gdy ktoś za wcześniej wstawał, krzyczeli przez podwórko: „Liczyłeś za szybko, nadal nie żyjesz!”.

Wanda miała dopiero sześć lat, niedawno się wprowadziła i nie umiała liczyć do stu. Dała jakoś radę do dwudziestu, co i tak było trudne. Po ostatniej liczbie podskoczyła. „Hej, ty!” – zawołał któryś z uczestników zabawy. „Nie można tak łatwo ożyć. Jeśli nie umiesz liczyć, zostaniesz martwa na zawsze!”. Wanda rzadko płakała i uchodziła za pogodne, miłe dziecko, ale tego dnia zalała się łzami.

Matti stała w kuchni przy otwartym oknie i nasłuchiwała, co robią dzieci. Zbiegła dwa piętra na dół i popędziła przez podwórze tak szybko, że nie dogoniłby jej żaden sportowiec. Na włosach miała kwiecistą chustę, a spódnicę i bluzkę zakryte czystym fartuchem. Ukłękła przed Wandą na bruku i wzięła ją w ramiona. Żadne dziecko, pomyślała

Wanda, żadne dziecko na świecie nie ma matki, która byłaby równie piękna jak Matti.

Wanda nie chciała, żeby Matti krzyczała na pozostałych. Była tu przecież nowa, musiała dopiero wywalczyć sobie miejsce. Ale Matti nie krzyczała na dzieci. W ogóle nie zwracała na nie uwagi, patrzyła tylko na Wandę.

– Już dobrze, mój pierożku, mój bąbelku, poradzimy sobie z tym.

– Nie chcę być martwa, Matti. Wtedy jest ciemno. Nie chcę być martwa tak długo, aż nauczę się liczyć.

– Wiem, pierożku, wiem. Nikt by tego nie chciał.

– A jeśli będę tak długo nie żyć, może wcale już się nie obudzę! – Wanda ponownie zalała się łzami, choć sama siebie nie rozumiała. Co takiego było w tej zabawie, że wzbudzało taki płacz? Co mogło się stać i skąd Wanda wiedziała w swoim ciepłym, jasnym życiu, że śmierć jest ciemna?

– Popatrz – powiedziała Matti i podciągnęła Wandzie rękaw kurtki. – W dzieciństwie też się w to bawiliśmy, ale kto chciał nas zabić, musiał najpierw zabrać nam tasiemkę życia. – Zajęło jej to chwilę i wyciągnęła z własnego rękawa jasnoniebieską wstążeczkę, którą zawiązała Wandzie luźno wokół nadgarstka. – Każdy liczył do stu i potem ją oddawał. Kto miał swoją tasiemkę życia, temu nikt nie mógł wmawiać, że jest martwy, i tobie też już nikt tak nie powie. Po prostu upadnij i udawaj martwą – masz przecież swoją wstążeczkę i wiesz, że nadal żyjesz.

Wanda popatrzyła na swój nadgarstek i odetchnęła, pociągając nosem.

– Już lepiej?

Skinęła głową.

– Moje dzieciątko z mgły. – Bardzo rzadko nazywała tak Wandę, tylko wtedy, gdy były same. – Jeśli nie chcesz się już bawić na podwórku, chodź ze mną do środka. Zrobię nam kakao, a kluski z makiem też zaraz będą gotowe.

Ale Wanda nie chciała iść do domu. Lubiła ludzi, chciała znaleźć przyjaciół, i dlatego musiała czasami wziąć udział w nielubianej zabawie. Nie była ona zresztą taka zła, teraz, z niebieską wstążeczką. Pokręciła głową, jeszcze raz pociągnęła nosem i wytarła go wierzchem dłoni.

Nie musiała się już bać. Gdy Matti poszła, rozsypała kokardkę na niebieskiej wstążeczce i związała ją na nadgarstku dwoma mocnymi węzełkami. Może i będzie musiała policzyć pięć albo dziesięć razy do dwudziestu, a inni będą myśleć, że umarła, ale ona popatrzy wtedy na swoją wstążeczkę i będzie mieć pewność, że wciąż żyje.

Wieczorem węzełków nie dało się rozwiązać, następnego dnia także nie i tak zostały do dziś. Wandzie to odpowiadało, nawet jeśli od dawna nie bawiła się już na podwórku i nie wierzyła, że niebieskie jedwabne tasiemki chronią przed śmiercią. Mimo to dobrze było przez te wszystkie lata czuć wstążeczkę na pulsie niczym zaświadczenie, które można okazać, by udowodnić, że ma się prawo do życia.

Mężczyzna o imieniu Andras pogładził długim palcem najbardziej postrzępione miejsce.

– Tasiemka życia, tak?

– Też się pan w to bawił? – zdziwiła się Wanda.

– Bawiłeś – poprawił Andras. – Czy też się w to bawiłeś. Zwracanie się do siebie per pan i pani jest reakcyjne – tak jak wiersze, które ten nazista Krankemann każe wam czytać.

– Przestań zgrywać ważniaka – przerwała mu Sigi. – Starego człowieka, który nosi zegarek na pamiątkę po zmarłym przyjacielu, opluwasz jako nazistę, romantyczne wiersze są według ciebie reakcyjne, ale każdego zalewasz tym błotem, w którym sam się grzebiesz. A przecież to już przeszłość, tak samo jak teksty Arnima i Brentano, i nikt nie chce tego słuchać.

– Dlatego muszę o tym naokoło trąbić – odparł Andras. – Bo nie chcą słuchać, ale muszą. Przede wszystkim wy, którzy chcecie zostać nauczycielami. Chcecie nauczać przyszłe pokolenia historii, a jesteście zbyt tchórzliwi, by zmierzyć się z własną?

– Dlaczego niby jesteśmy zbyt tchórzliwi? – wyrwało się Wandzie. Od małego uwielbiała historię – katedry i zamki, które przypominały pałace z bajek, miasta handlowe z okazałymi kamienicami, miejskie bramy, zakony rycerskie i sejmy Rzeszy. W dzieciństwie wypożyczała z biblioteki albumy z ilustracjami, które ją urzekały – były obce i tajemnicze, ale niegroźne. Nie miały nic wspólnego z jej własnym życiem, a mimo to w tajemniczy sposób należały do niej.

Przynajmniej tak wierzyła. Jeśli czasami ogarniały ją wątpliwości, jakiś rodzaj niepokoju, Wanda pospiesznie kierowała uwagę na inny temat.

– Przeszłość to nie baśniowy las pełen błękitnych kwiatów – powiedział Andras i podsunął jej teczkę. – To cmentarz pełen duchów.

– Ha – odezwała się Helga. – Co to ma niby znaczyć?

– Nic! – zakrzyknęła Sigi. – Andras Goldfarb się popisuje, i tyle. – Helga zmierzyła ją wzrokiem.

– Szkoda, że muszę już iść – wymruczała. – Zawsze, gdy robi się ciekawie.

Wanda mimo woli dotknęła tasiemki na nadgarstku. Jednocześnie pomyślała: Andras Goldfarb. Takie piękne nazwisko.

– Ten tchórz Winkler karmi was świetlanymi obrazkami – rzekł mężczyzna o pięknym nazwisku. – Ja natomiast chcę otwierać groby i wyciągać zwłoki z piwnic. Wydobyć przeszłość na światło dzienne, ponieważ wcale nie minęła, tylko kipi pod powierzchnią i czeka na kolejny wybuch.

Przez chwilę wszyscy milczeli, a odgłosy skrzypiących krzesel, stukania sztuców i szmer rozmów w tle zlały się w jedno. Wreszcie odezwał się Manne:

– Zostaw to już, Andi. Walisz prosto z mostu, ale w kogo tak naprawdę celujesz?

Andras odwrócił się do niego, jednak milczał i tylko przeglądał zawartość swojej aktówki, z której wyciągnął wreszcie cienką, czarną książeczkę. Otworzył ją i położył przed Wandą.

– Proszę – powiedział. – Skoro zajmujecie się przeszłością, czemu nie przeczytacie tego?

Sigi chciała odsunąć książeczkę na bok, ale Wanda już położyła na niej dłoń. Bez zastanowienia przyciągnęła tomik do siebie i zaczęła czytać:

Osiko, twoje liście lśnią biało w ciemności,

Włosy mojej matki nigdy nie były białe.

Mleczu polny, zieleni się Ukraina.

Moja jasnowłosa matka nie wróciła.

Deszczowa chmuro, zwlekasz u studni?

Moja cicha matka płacze nad wszystkimi.

Dreszcz przebiegł jej ciało. Gwałtownie odepchnęła książkę.

– Co to jest?

– Paul Celan – odparł Andras. – Żydowski poeta, którego rodzice zginęli w obozie pracy przymusowej na Bukowinie. – Wziął tomik i przeczytał ostatnie cztery wersy:

Krągła gwiazdo, zaciskasz swoją złotą pętlę.

Serce mojej matki zranił ołów.

Dębowe drzwi, kto was wyważył z zawiasów?

Moja łagodna matka nie może przyjść.

Przez ułamek sekundy Wandzie wydawało się, że widzi przed sobą Matti. Jej palce chwyciły niebieską tasiemkę życia i zaczęły ciągnąć, aż zerwała się ostatnia nić. Dłoń Wandy zeszywniała. Spojrzenie zawisło nieruchomo na rozdartym materiale.

– Nie wie, jak dokładnie zginęli – powiedział Andras. – To właśnie miałem na myśli – po co mamy czytać zaślepionych romantyków, skoro nasze pokolenie nie wie nawet, kto zabił ich rodziców. Albo kogo oni zabili?

– O rany – odezwała się Helga. – Ale się straszno zrobiło. Lepiej już wróć do mojej pralni, ktoś taki jak ja nie może sobie pozwolić, by wyrzucili go z pracy.

Odeszła, a Sigi także wstała.

– Musimy iść na wykład – powiedziała. – Następnym razem znajdźcie sobie inne ofiary. Wanda jest tu nowa, to może zrobić na niej wrażenie.

Manne wziął Andrasa pod ramię.

– No, chodź już. Przecież to nie ma sensu.

Andras jednak wciąż wpatrywał się w Wandę, jakby decydujące było to, co ona teraz robi.

– Nie – usłyszała swój głos, a jej palce przytrzymały końce tasiemki. – Niech pan nie idzie. Proszę mi wyjaśnić, co miał pan na myśli, mówiąc, że nie wiemy, kogo zabili nasi rodzice.

Ujął jej dłoń i zdjął z niej niebieską wstążeczkę.

– Naprawię to – powiedział. – Mam talent do takich rzeczy. A myślałem o tym, że nasze pokolenie musi zdobyć się na odwagę, by stanąć

przed swoimi rodzicami i zadać pytanie: co robiliście między 1933 a 1945 rokiem?

2

Wanda wróciła do domu pieszo. Było zimno, nie wiadomo kiedy zrobiło się ciemno, a drogę miała daleką. Zwykle jeździła autobusem, dziś jednak czuła, że nie zdoła spojrzeć w twarz żadnemu obcemu człowiekowi, nawet kontrolerowi, który sprawdzał bilety. W dzielnicy Steglitz widziała jeszcze ludzi spieszących z biur i sklepów do swoich domów, ale w Tempelhof ulice były jak wymarłe. Znajdowało się tu niewiele lokali, jedynie włoska lodziarnia, o tej porze już zamknięta, i kilka narożnych knajpek, z których przez pożółkłe story sączyło się mętne światło.

Zaczął padać deszcz. Cienkie, ledwo wyczuwalne kreski przecinające czerni.

Wanda знаła na wylot senną okolicę wokół Alboinplatz, park z kamiennym bykiem, na którego cokół wspinała się w dzieciństwie, pralnię i sklep spożywczy pana Ecka. Zanim poszła do gimnazjum, położone o niecały kwadrans drogi na piechotę od jej domu, rzadko kiedy opuszczała swoją dzielnicę, a gdy już do niej wracała, po cichu oddychała z ulgą. Było tu pięknie! Miały własny dom, gdzie mogły zamknąć za sobą drzwi i schronić się przed wszelkimi nieszczęściami.

Zresztą żadne nieszczęścia się nie zdarzały. Życie Wandy płynęło gładko, niemal bez zakłóceń, a mimo to myśl, że mieszkanie stanowi jej twierdzę, wypełniała ją spokojem. Za drzwiami z tabliczką „Lehwald/Scharneck” czekały ciepły kaflowy piec, światło kuchennej lampy i otwarte ramiona. Harmonia, którą Matti i ciotka Lore pielęgnowały tak jak inni ludzie domowe rośliny. Jeśli Wanda i Vera się pokłóciły, Matti przytulała je obie i mówiła: „Proszę, nie w naszym domu. Dość jest tam na zewnątrz kłótni i ludzi, którzy wzbudzają w nas strach”.

Wanda nigdy nie widziała, żeby matka kłóciła się ze swoją siostrą. Matti i Lore – to była jedność, nie potrzebowały nawet słów, by się rozumieć. Aby oduczyć bliźniaczki kłótni, Matti sadzała je obie przy pomalowanym na biało kuchennym stole i stawiała przed nimi wszystko, co tylko znalazło się w garnkach, słoikach i puszkach: pączuszki w cukrze

puddingu, karmelowe cukierki, grube pajdy białego chleba z mussem gruszkowym lub uwielbiane przez wszystkich kluski z makiem.

– Macie, smacznego. Kto ma słodko w buzi, nie może być dla nikogo kwaśny.

Wanda i Vera objadały się, a ona przygotowywała już coś nowego, rzecz zaś, o którą się pokłóciły, odchodziła w zapomnienie. Wszystkie przysmaki Matti robiła sama i nic, co dało się kupić, nie mogło się z nimi równać.

– Dlaczego Matti nie została kucharką? – spytała kiedyś Wanda. – U niej wszystko smakuje o wiele lepiej niż u pani Behse ze szkolnej stołówki.

Ciotka Lore spojrzała na Matti stojącą przy kuchence i smażącą cienkie naleśniki (zwane „Komm morgen wieder”), które później miała napełnić farszem z wczorajszych resztek. Była to ulubiona potrawa Wandy.

– Ludzie się zmieniają – odparła ciotka. – W młodości twoja matka nie tknęłaby warzachwi.

– Gotowanie dla obcych to żadna przyjemność – stwierdziła Matti po chwili milczenia. – Gdybym nie miała was, z pewnością bym się tym nie zajęła, ale każda matka lubi gotować dla swoich dzieci.

W każdym razie Matti to lubiła. Odkąd zamieszkały przy Alboinstraße, nie było dnia, by na stole nie stał ciepły posiłek, a w spiżarni nie czekało coś słodkiego.

Przeprowadziły się tu w 1950 roku ze swojego tymczasowego lokum. Wanda słabo przypominała sobie, jak z niedowierzaniem biegała po wszystkich pomieszczeniach. Wcześniej знаła tylko zastępczą kwaterę, w której musiały dzielić wszystko z innymi rodzinami, a oto miały dwa pokoje tylko dla siebie – sypialnię dla Matti i ciotki Lore oraz pokój dziecięcy dla Wandy i jej sióstr, przy czym cicha Ari miała aż piętnaście lat i w zasadzie nie była już dzieckiem. Do tego kuchnia z dużym stołem, którego spękania ciotka Lore zamalowała na biało i przy którym razem jadły albo grały w swojego ulubionego remika. Kuchnia była sercem całego mieszkania. Wychodziło się z niej na mały balkon, na którym ciotka Lore uprawiała geranie i ogórki na przetwory. Miały tu nawet własną łazienkę z piecem, w którym podgrzewało się wodę, by napełnić nią emaliowaną wannę.

Wanda była zmarzluchem. Lecząca z kranu gorąca woda, od której unosiła się para, to dla niej najwspanialsza rzecz w całym mieszkaniu. Nadal uwielbiała w zimowe wieczory po powrocie do domu wziąć ciepłą kąpiel. Mydło pachniało, jakby nadeszły już święta, ciotka Lore podgrzewała ręczniki na dudniącym grzejniku, a w kuchni stała Matti i parzyła herbatę.

„Jesteście trzema rozpuszczonymi panienkami” – mawiała Helga i miała całkowitą rację. Wanda i jej siostry były rozpieszczane niczym księżniczki. Gdy tylko którąś z nich zaczynało drapać w gardle, Matti robiła miodowe dropsy i gotowała rosół, który ciotka Lore nazywała „żydowskim lekarstwem na wszystko”. Jeśli jedna z nich miała urodziny, mogła zaprosić do siebie tyle dzieci, ile tylko chciała, a każdy gość był częstowany kluskami z makiem, sernikiem, kakao z bitą śmietaną i mógł zabrać do domu kolorowanek. Wkrótce w pobliżu Alboinplatz nie było dziecka, które nie chciałoby otrzymać zaproszenia na przyjęcie do sióstr Scharneck. Vera i Wanda były bliźniaczkami, ale ponieważ Wanda przyszła na świat tuż przed północą, a Vera godzinę później, każda obchodziła urodziny osobno i przyjęcia dla dzieci odbywały się przez dwa dni.

– Czy twój ojciec był jakimś ważniakiem? – spytał kiedyś Horst Pahlke z mieszkania od frontu po ósmym urodzinach Wandy. – Albo Amerykaninem? Bo chyba śpicie na pieniądzach, skoro możecie sobie pozwolić na takie rzeczy.

Ojciec Wandy nie był ani nikim ważnym, ani Amerykaninem, jak zapewniła ciotka Lore. Jego fotografia stała na kredensie w kuchni, uśmiechnięta męska twarz w wyblakłej czerni i bieli, obramowana żałobnym wieńcem. Nie wrócił z wojny, jak wielu innych. Vera i Wanda go nie znały, a Ariane nie pamiętała. Wanda nigdy nie interesowała się zbytnio zdjęciem, stało tam podobnie jak zegar, nieużywany instrument muzyczny i pudełko po cukierkach, w którym trzymały klucze. Na Boże Narodzenie ciotka Lore stawiała przed fotografią świecę i gałązkę jodły, ale poza tym rodzina nie poświęcała jej uwagi.

Helga z kolei zachwycała się zdjęciem: „Zmarły ojciec jest lepszy od niektórych żywych. A ten jest taki śliczny, że wzięłabym go żywego czy martwego”.

Ani na pytania Horsta Pahlke, ani na wywody Helgi nikt nigdy nie reagował, a już na pewno nie wyjaśniano, kim był ów ojciec. Ani ważniakiem, ani Amerykaninem, tylko tyle wiedziała Wanda. Nigdy jej to nie przeszkadzało, aż do teraz, gdy szła przez poprzecinany deszczem

mrok i nie była już pewna, czy mieszkanie przy Alboinstraße nadal jest jej domem. Ale jeśli nie, to gdzie się on znajdował?

Nikt nigdy nie pytał, gdzie się urodziła. Ona sama też o nic nie pytała. To był tylko wyraz w jej akcie urodzenia, tak samo jak jej nazwisko, o które przecież też nikt nigdy nie pytał.

Scharneck, Wanda Ernestine

urodzona w Zoppot, 1 listopada 1944 roku

Gdziekolwiek by to było, nie miało z nią nic wspólnego, bo przecież mieszkała tutaj. Przy Alboinstraße, za malutkim sklepem pana Ecka, gdzie ciotka Lore siedziała przy kasie. Dostały to mieszkanie właśnie dlatego, że znalazła tę pracę. W przypadku innych dzieci, których ojcowie nie wrócili z wojny, matki pracowały, a dzieci po powrocie ze szkoły musiały pracować, robić sobie kanapki i opiekować się rodzeństwem. Matti natomiast zawsze była w domu, czekała z przyszykowanym posiłkiem i zrobionym praniem, nasłuchując przez okno, aż Wanda i Vera przybiegną przez podwórze.

W dzieciństwie Wanda myślała, że są bogate. W drodze do szkoły mogły zajrzeć do pana Ecka i pożegnać się z ciotką Lore, pan Eck zaś częstował je wiśniowymi lizakami. Ciotka Lore zarabiała tyle, że Matti mogła zostać w domu, a jej dzieci dostawały wszystko, czego zapragnęły.

To, że ciotka Lore przynosiła do domu w żółtych kopertach niezbyt duże kwoty, a Matti musiała na zakupach liczyć się z pieniędzmi, Wanda pojęła dopiero w gimnazjum. Jej klasa wybierała się na wycieczkę do Frankonii, a Wanda nie mogła pojechać.

– Przykro nam, dziewczuszko. Chciałybyśmy, ale to, co zarabiam, nie wystarczy niestety na opłacenie wyjazdu. – To ciotka Lore ją o tym poinformowała, podczas gdy Matti stała przy kuchence i płakała bezgłośnie.

– Nie szkodzi! – zawołała Wanda, podbiegła do Matti i objęła ją. – I tak nie chciałam jechać, nie ma sprawy.

Matti odwróciła się i położyła dłoń na twarzy Wandy.

– Jesteś wyjątkowa, pierożku. Ktoś taki jak ty zasługuje na rodziców, którzy mogą zapewnić dziecku wszystko – podróże do dalekich krajów, przygody, czerpanie z życia całymi garściami.

Przy każdym jej słowie Wanda czuła to, co rzadko kiedy przed sobą przyznawała: jest ulubienicą Matti. Jej dzieciątkiem z mgły. Matti była urodzoną matką, kochała i chroniła wszystkie swoje dzieci, ale z Wandą łączyło ją coś więcej. Wanda uściskała Matti tak mocno, aż zatrzeszczały kości.

– Nie chcę żadnych innych rodziców. Nie chcę głupiej szkolnej wycieczki, która doprowadza cię do płaczu. Chcę tylko ciebie.

Wcześniej tego ranka cieszyła się jeszcze na wyjazd i snuła plany z przyjaciółkami, ale gdy leżała nocą w łóżku, doszła do wniosku, że myśl o podróżach wcale nie sprawia jej przyjemności. A co, jeśli wróci, a życie przy Alboinstraße nie będzie już takie samo, jakie znała? Albo jeśli podczas jej nieobecności coś się wydarzy? Wieczorami modliła się. Dawniej ciotka Lore śpiewała z dziewczynkami na dobranoc *Müde bin ich, geh zur Ruh*, „Jestem zmęczona, odpoczne teraz”, ale odkąd były już na to za duże, Wanda modliła się po swojemu. Tego wieczora mówiła: „Dobry Boże, proszę, spraw, żebyśmy zawsze mieszkały przy Alboinstraße, Matti, ciotka Lore, Ari, Vera i ja, i żeby wszystko zostało tak, jak jest”.

Gdy Ari osiągnęła pełnoletność, Wanda przez cały rok obawiała się, że starsza siostra może poznać jakiegoś mężczyznę i zniknąć z mieszkania i z ich życia. Teraz Ari miała już prawie trzydzieści lat, nadal odzywała się za rzadko, by nawiązać jakieś znajomości, i wciąż była w domu. W sieni urządziła sobie kącik, gdzie wstawiła łóżko i regał na swoje powieści miłosne. Gdy Matti chciała rozstawić drabinę, by dostać się do schowka na antresoli, żeby wyjąć pudło z bożonarodzeniowymi ozdobami albo zimowe płaszcze, musiała wchodzić na łóżko Ari. Ale to jej nie przeszkadzało.

– Dopóki dzieci mają się dobrze, matka nie zwraca uwagi na takie rzeczy.

Taka była Matti. Taki był świat, który znała Wanda. Teraz jednak szła przez czarny, mokry od deszczu wieczór i nie wiedziała już, na jakich filarach ten świat się wspiera. Jakby z każdym krokiem ziemia usuwała się jej spod stóp. Było późno, o wiele później niż zwykle, gdy wracała do domu. Kolacja wystygła, reszta rodziny już od wielu godzin była na miejscu, a Matti i ciotka Lore na pewno odchodziły od zmysłów. Ari i Vera nigdy się nie spóźniały, a gdy zdarzało się to Wandzie, bo chciała pospacerować z przyjaciółkami albo pójść do kawiarni, dzwoniła wtedy do sklepu pana Ecka, by ten powiadomił ciotkę Lore.

Dziś też mogła do niego zadzwonić. Przed lokalem stała budka telefoniczna, a pan Eck był miłym mężczyzną, który szedł nawet na górę do ich mieszkania, gdy ktoś dzwonił do jego kasjerki po godzinach pracy. Państwo Eck nie mieli dzieci.

– Po tylu latach jest pani dla nas niejako częścią rodziny – powiedział pan Eck do ciotki Lore.

Ale Wanda nie zadzwoniła. Siedziała w dziwnej, ponurej piwnicznej knajpce, słuchała dziwnej, ponurej muzyki i zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek zadzwoni do domu, czy w ogóle wie, gdzie jest jej dom.

– Chyba tracę zmysły – powiedziała do mężczyzny, który miał na imię Andras i który zaciągnął ją do tego miejsca. Przy czym słowo „zaciągnął” nie było zgodne z prawdą. Poszła z nim z własnej woli.

– Spadamy? – spytał, gdy sympatyczny Manne pożegnał się już pod jakimś pretekstem. – Znam lokal, gdzie jest przyjemniej. Niedaleko stąd.

– Lokal?

– Klub. Knajpka z muzyką. Jak wolisz.

– Dlaczego miałabym pójść z panem do jakiejś knajpki?

Pytanie nie pasowało do Wandy. Nie lubiła komplikować sobie życia i nie zwracała się per pan do nikogo, kto mówił do niej na ty.

– Bo chcę z tobą porozmawiać – odparł Andras.

Wanda też tego chciała. Porozmawiać z nim. Dowiedzieć się, co znaczą wiersz o matce, która nie mogła już przyjść, dokumenty w aktówce i to pytanie, które pobrzmiwało w jej głowie: „Co robiliście między 1933 a 1945 rokiem?”.

Jednocześnie czuła strach. Ale z jakiego powodu miałyby bać się pójść z kolegą ze studiów do knajpki, by tam porozmawiać? Wstała ociężale. Uprzejmiejszy mężczyzna wziąłby od niej torbę albo przynajmniej zaczekał, ale Andras Goldfarb po prostu ruszył przodem.

Droga do lokalu okazała się jednak daleka, wiodła przez cały kampus, przez połowę dzielnicy Dahlem, a potem jeszcze przez połowę Steglitz. Zapadł zmierzch i w mgnieniu oka zrobiło się bardzo zimno. Wanda wtuliła się w swój zimowy płaszcz, podszyty przez ciotkę Lore. Andras natomiast, który poza koszulą miał na sobie tylko coś w rodzaju szarego, cienkiego prochowca, nie dawał niczego po sobie poznać.

Tym wspanialsze było ciepło, które buchnęło na nich z wnętrza knajpki. Mieściła się w piwnicy wypełnionej po brzegi ludźmi, ich oddechem, rozmowami i zapachami. Gdzie mamy się zmieścić, przecież nie ma tu ani skrawka wolnego miejsca! – przemknęło Wandzie przez głowę.

Mimo to wiedziała już, że za nic się stąd nie ruszy. To nie ciepło kazało jej zejść kilka stopni niżej, tylko muzyka. Jakiś mężczyzna śpiewał po angielsku przy akompaniamencie gitary. W pierwszej chwili uznała, że musi to być rock'n'roll, którego Helga nie mogła słuchać w swoim domu, dlatego przynosiła płyty do mieszkania rodziny Scharneck. Wanda lubiła muzykę Helgi, ale to nie była jej muzyka. Wanda podchodziła do wszystkiego z otwartością i wciąż poszukiwała, choć nie umiałyby nazwać tego, czego szukała. Jeśli chodzi o Beatlesów miała wrażenie, że jest bliska celu, przy Édith Piaf jeszcze bliższa, ale ostatecznie pozostawało przekonanie, że musi istnieć coś więcej. Coś, co należy do Wandy. Tak bardzo, jakby sama to stworzyła.

Gdy przecisnęła się przez wejście, a dźwięki popłynęły ku niej niczym metaliczne perły, poczuła, jak napina się każdy mięsień jej ciała. Nie zauważyła nawet, że przepchnęła się obok Andrasa i bramkarza, a potem przystanęła na schodach prowadzących do ciemnego, zatłoczonego pomieszczenia. To jest bardzo podobne do muzyki Helgi, myślała przez sekundę, ale potem: nie. To co innego. Nie ma nic wspólnego z Helgą. Tylko ze mną.

Wanda uczyła się w szkole angielskiego i jak ze wszystkich przedmiotów i z angielskiego miała przyzwoite oceny, ale dopiero teraz naprawdę rozumiała, co oznacza określenie „język obcy”. Obcość. Drzwi, do których na próżno się dobijała. Z tekstu utworu docierały do niej jedynie ułamki, które jednak sprawiały, że tym usilniej pragnęła zrozumieć całość. Mężczyzna śpiewał o deszczu, o ciężkim deszczu, który spadnie, a Wanda uniosła ramiona, jakby poczuła już jego uderzenia. Potem bard wydawał się zwracać do jakiegoś dziecka, „swojego” dziecka, które nazywał „swoim drogim malcem”.

Śpiewał o smutnych lasach, które przemierzał, o otchłani cmentarza, w którego środek wszedł na tysiące mil. Słowa pomiędzy tymi fragmentami pozostały bez znaczenia. Ale Wanda musiała dowiedzieć się, co oznaczały, musiała zrozumieć, co chce przekazać jej ta muzyka! Szukając pomocy, odwróciła się do Andrasa. Stał dwa stopnie wyżej i debatował z bramkarzem. Wreszcie wyciągnął z kieszeni jakiś papier i pokazał

go rozmówcy. Mówili po angielsku, jak ze zdumieniem stwierdziła Wanda. W tym samym momencie zauważyła, że we wrzawie głosów, która mieszała się z muzyką, również dominował język angielski.

Mężczyzna oddał Andrasowi dokument i cofnął się. Andras wepchnął świstek z powrotem do kieszeni i zwrócił się do Wandy.

– Coś nie tak?

– Ta muzyka – powiedziała Wanda. – Co to jest?

– Facet ze Stanów – odparł Andras. – Bob Dylan, warto zapamiętać to nazwisko. Jest niewiele starszy od nas, niedawno stał się znany w Greenwich Village.

– Greenwich Village? Gdzie to jest?

– W Nowym Jorku – powiedział Andras. – Dzielnica artystów. Ten lokal też się tak nazywa, bo sprowadzają do Berlina najnowsze płyty, które są popularne w Village. Dla G.I.

– G.I.?

– Amerykańskich żołnierzy. – Wskazał na salę, a Wanda dostrzegła, że większość mężczyzn, którzy się w niej tłoczyli, jest w mundurach. – To klub dla amerykańskich żołnierzy.

– Ale pan... – zaczęła Wanda. – Pan nie jest przecież Amerykaninem?

Pokręcił głową.

– Mój ojciec pracuje dla Berlin Brigade, amerykańskiej armii okupacyjnej. Jako aprowizator. Znają mnie tu. Miałem teraz problem z Jakiem tylko dlatego, że nie uwierzył mi, że jesteś pełnoletnia.

– Bo nie jestem! – zawołała Wanda przestraszona. Miała dziewiętnaście lat i nigdy wcześniej nie była w lokalu dla osób pełnoletnich. Ale nie chciała z niego wychodzić. Żeby nie stracić tej muzyki, nie teraz, gdy właśnie ją znalazła.

Metaliczny głos mężczyzny śpiewał o dobozach z płonącymi dłońmi i o szepczących tłumach, których nikt nie słuchał.

– Hej – rzucił Andras i położył jej dłonie na ramionach. – Już w porządku, Jake nie będzie więcej robił problemów. Powiedziałem, że jesteś moją kuzynką, i pokazałem mu jakiś list od ojca. Mój ojciec to tutaj znana figura. Możesz być spokojna.

Jego dłonie wydawały się palić jej napięte ramiona.

– To ta muzyka – wymamrotała Wanda, wbijając wzrok w zakurzone schody. Nagle jednak przyszło jej do głowy, w jaki sposób może wytłumaczyć to Andrasowi: – Nie rozumiem, o czym on śpiewa, mój angielski na niewiele się tu zdaje. Ale jednocześnie mam wrażenie, jakbym rozumiała wszystko. Tak jak w przypadku tego wiersza, który mi pan pokazał. Nie wiem, o co w nim chodzi, ale czuję się tak, jakbym wiedziała. Jakby ta wiedza była we mnie, tylko nie potrafię do niej dotrzeć.

Urwała bezradnie i zwiesiła ramiona.

– Chodź – powiedział Andras, wyminął ją i pociągnął za sobą. – Usiądźmy.

– Ale nigdzie nie ma miejsca.

– Znajdę jakieś.

Wanda bezwolnie pozwoliła pociągnąć się przez tłum. Sala nie miała okien. Od głośnej muzyki wibrowała podłoga. Przy ścianie stały gęsto ustawione wąskie stoliki, najwyżej dwuosobowe. Andras podszedł do jednego, przy którym siedziała, trzymając się za ręce, jakaś para, dziewczyna o blond włosach ułożonych w loki, mężczyzna w mundurze. Zamienili kilka słów po angielsku, po czym para wstała i zostawiła stolik Andrasowi i Wandzie.

– Usiądź. Przyniosę nam coś do picia.

– Nie może pan tak po prostu przeganiać innych ludzi z ich miejsc.

Andras wzruszył ramionami i położył teczkę na stole, która zakryła cały blat.

– Mark to mój przyjaciel. Wie, że i ja wyświadczyłbym mu taką przysługę.

Odwrócił się i przecisnął przez tłum w kierunku baru. Wanda usiadła, nie wiedząc, co ze sobą począć. Wydawało się, że muzyka ponownie narasta, całą ją otacza. Znowu była mowa o ogniu, o młodej kobiecie, która płonęła. Wanda miała na zawsze zapamiętać imię i nazwisko barda – Bob Dylan. Przed nią leżała na stole teczka. Wystarczyłoby unieść klapę, ale na samą myśl o tym palce Wandy się zacisnęły. Czego się bała? Stosu papierów, słów, które wcale jej nie dotyczyły?

Andras wrócił, trzymając w dłoni za szyjki dwie brązowe butelki. Wolną ręką zdjął teczkę ze stolika i postawił napoje.

– Piwo?

Skinął głową.

– Country Club. Malt Liquor.

Wanda nie wiedziała, czy lubi piwo, i miała ochotę na coś ciepłego. Jeśli nie kakao, w tym miejscu wydawałoby się ono dziecinne, to kawę, kufelek, jak mawiała Matti, dużą filizankę, o którą mogłaby ogrzać dłonie. Gdy uniosła wzrok, zobaczyła, że Andras również marznie, blada skóra na kościach policzkowych była zaczerwieniona, usta drżały. Spodziewała się, że znowu odejdzie, by przynieść szklanki, ale on usiadł naprzeciwko niej, wsunął teczkę pod stół i upił z butelki.

– Wiedza jest w tobie – stwierdził. – Wiesz, o co chodzi w wierszu Celana, wiesz dużo więcej albo przynajmniej mogłabyś wiedzieć. Nie możesz do tej wiedzy dotrzeć dlatego, że rodzice odmawiają ci dostępu. Mówią, że nic tam nie ma, odwróć się i grzecznie żyj dalej swoim małym życiem, żeby było ci lepiej niż nam. Ale tobie nie jest lepiej. Nawet jeśli z pozoru wszystko lśni czystością i usunięto wszystkie gruzy. W głębi duszy czujesz, że coś jest nie tak, i to cię dręczy.

– Wystarczy – przerwała mu Wanda. – Dlaczego mówi pan o mnie takie rzeczy? Wcale mnie pan nie zna, a już na pewno nie moich rodziców.

Piosenka dobiegła końca. Wanda bezwolnie złożyła dłonie, jakby chciała przytrzymać coś, co utraciła.

– Nie – odparł Andras. – Oczywiście, że nie. Nie miałem na myśli ciebie i twoich rodziców. Tylko nas wszystkich. Dzieci z ruin, którym od małego wpajano do głowy: patrz naprzód. Byle nie wstecz. Uprzątnij wszystko, kładź kamień na kamieniu i nie pytaj, dlaczego urodziłeś się wśród ruin.

– Nonsens – stwierdziła Wanda. – Oczywiście, że to wiemy. Uczyliśmy się o tym w szkole, słyszeliśmy, jak było to złe, ale teraz już dość tego, bo co nam da zadręczanie się dalej tym wszystkim?

Tak powiedziała ciotka Lore. Wtedy, gdy w szkole omawiali temat wojny i Wandzie przyśnił się koszmar: jechała pociągiem przez tunel, poczuła coś znajomego, ale tam, gdzie chciała wysiąść, pociąg się nie zatrzymał. Z krzykiem waliła w drzwi z całych sił, przekonana, że na ostatniej stacji czeka na nią coś straszego, ale na nic się to zdało. Z krzyku i dzikiego strachu obudziła się wtedy, gdy pociąg wypadł

z ciemności tunelu na równie ciemny dworzec i zobaczyła mężczyzn w czarnych płaszczach, którzy czekali przy wszystkich wyjściach i siali śmierć.

Krzyczała i płakała tak bardzo, że nie mogła zaczerpnąć oddechu i nie zauważyła nawet, że już nie śpi, że ciotka Lore siedzi przy jej łóżku i kołysze ją w ramionach. Ciotka Lore. Nie Matti.

– Już dobrze, mój cukiereczku, mój pączusiu, to wszystko przecież minęło i już nie może cię zabołec.

Ale Wanda nie potrafiła się uspokoić. Do dziś pamiętała szloch, który wstrząsał wtedy jej ciałem, aż wreszcie nad ranem opadła bez sił i zasnęła. Ciotka Lore wzięła wolne u pana Ecka i poszła do szkoły, by zwolnić Wandę z lekcji historii, dopóki temat wojny światowej nie zostanie przerobiony.

Wieczorem poinformowała o tym Wandę, która przespała większość dnia i czuła się już dobrze. Wstydziła się swojego nocnego wybuchu i nie rozumiała, skąd się wziął. Jeszcze bardziej wstydziła się wizyty ciotki Lore u nauczyciela i jej ingerencji.

– Skoro wszyscy muszą się tego uczyć, nie chcę być traktowana specjalnie. Czemu miałabym przestać chodzić na historię tylko dlatego, że wczoraj przyśnił mi się ten głupi sen?

Ciotka Lore, która zwykle była zrównowazona, podskoczyła na te słowa i cisnęła przybory do szycia na ziemię.

– Bo już dość tego – zawołała, tak jak Wanda powiedziała właśnie do Andrasa. – Cierpieliśmy, wciąż cierpimy, ale co to da, jeśli nasze dzieci też będą cierpieć? A po nich nasze wnuki i prawnuki – czy nigdy nie nastąpi koniec?

Matti upuściła warząchew, podbiegła do siostry i objęła ją.

– Przestań, Lorinko, moja wspaniała, uspokój się i siadaj do stołu. Ugotowałam dla ciebie fasolkę, dodałam dużo słoniny, tylko spróbuj.

Wanda przyglądała się im zafascynowana. Nigdy wcześniej nie okazywały sobie czułości, a ich słowa brzmiały jak tajny język sióstr, którego Wanda i Vera nie znały. Matti zaczęła nucić jakąś melodię, którą czasami mruzczała rankiem w kuchni, ale ciotka Lore napięła ramiona i uwolniła się z objęć.

– Przestań, od tej piosenki niedobrze mi się robi, rozumiesz?

Matti natychmiast przestała, podeszła do kuchenki, by zamieszać fasolkę, i nigdy więcej już o tym nie rozmawiały. Teraz zaś Wanda siedziała z obcym mężczyzną, a gdy uniosła wzrok, napotkała jego spojrzenie. Pochmurne oczy niczym deszczowe niebo. Amerykański śpiewak zaczął nowy utwór.

– Musimy się tym dalej zadrećzać, ponieważ to nie minęło – powiedział Andras. – Nie zniknie tylko dlatego, że będziemy milczeć jak grób. W ogóle nie zniknie. Jest zawsze przy nas, we wszystkim, co robimy.

3

Deszcz się nasilił, zaciął, uderzał Wandę w twarz. Jej oczy łzawiły od wiatru, szła na ślepo, biegła niczym ścigana.

– Od tego nie można uciec – powiedział Andras. – To ucieka wszędzie razem z nami.

Ciężko oddychając, dotarła do domu numer cztery, otworzyła drzwi i puściła je za sobą z trzaskiem. Przystanęła w wysokiej, pustej bramie domu frontowego i oparła się o ścianę. Jako dziecko zawsze od razu zapalała tu światło, bo w ciemności tańczyły groźne cienie, i również gdy dorosła, za każdym razem spieszyła przez przejście, jakby gonił ją diabeł. Dziś jednak przystanęła w ciemności. Wbrew lękowi, który ścisnął jej serce, nie chciała włączać światła. Zamiast jak zwykle pobiec przez podwórze i po schodach w bocznym skrzydle do mieszkania, stała cicho i wsłuchiwała się w swój oddech, a minione godziny owładnęły jej myślami.

– Twoja przyjaciółka na przykład – powiedział Andras. – Helga Schulze. Myślisz, że naprawdę nie wie, dlaczego poza nią jeszcze siedem innych dziewczyn w klasie miało na imię Helga?

– Skąd miałyby to wiedzieć? – odparła Wanda z uczuciem, że broni się przed czymś rękami i nogami, ale to i tak się nad nią zbiera. – Nie może przecież zajrzeć do głów innych rodziców, by sprawdzić, dlaczego spodobało im się imię Helga.

Andras pochylił się ku niej i powiedział cicho, głosem szorstkim jak głos amerykańskiego śpiewaka:

– Niemieckie matki, podarujcie dziecko Führerowi.

Oddech Andrasa oblał jej skórę.

– Helga było ulubionym imieniem Führera.

Wanda cofnęła się przestraszona.

– Czyim ulubionym imieniem?

– Hitlera – odparł Andras. – Jeśli jakaś dziewczyna w naszym wieku ma na imię Helga, możesz być pewna, że jej rodzice byli w stu procentach oddani i nadali córce imię niczym etykietę. Wszystkie te małe Helgi i mali Horstowie zostali spłodzeni jako prezent dla Führera.

– Mówi pan, że rodzice Helgi...

Wanda przerwała, a Andras pokiwał głową.

– A jest jeszcze Sieglinde – ciągnął. – Jak sądzisz, jacy ludzie ochrzczili córkę tym imieniem? Ten sam rodzaj, nawet jeśli szanowny doktor Witthuhn ukrywa się lepiej niż ojciec twojej przyjaciółki Helgi Schulze, który jest prawdopodobnie bardzo prostym człowiekiem. Ma przecież więcej do stracenia i wie, jak to się robi. Taki ktoś to posiadacz persilowego zaświadczenia, które wszystko może wybielić. Swoje nazbyt pospiesznie nazwane złote dziecko woła teraz niewinnie Sigi.

Już w stołówce Wanda wyczuła napięcie panujące między Sigi a Andrasem. Chłodna, wyniosła Sigi wydawała się zaślepiona i ostrzegała Wandę:

– To jego sieć. Zarzuca ją na każdego.

Co się między nimi wydarzyło, czemu Andrasa interesował ojciec Sigi i dlaczego mówił o nim z taką pogardą?

Popatrzyli na siebie w milczeniu.

– Wanda nie jest germańskim imieniem – odezwał się wreszcie Andras.

– Nie? – Nie chciała, by mówił dalej, by powiedział jej, jakim imieniem jest Wanda.

– Gdzie się urodziłaś? – spytał. – Skąd pochodzą twoi rodzice?

– Dlaczego mnie pan o to wypytuje? – parsknęła. – Dlaczego próbuje pan wzbudzić we mnie strach swoją gadaniną, dlaczego chodzi pan za mną z teczką pełną paskudnych wierszy, co takiego panu zrobiłam? Nawet pana nie znam. Tak, pamiętam, przemawiał pan na wieczorze

zapoznawczym zorganizowanym przez radę studentów, ale razem z Sigi wyszliśmy wcześniej i nie mamy przecież ze sobą nic wspólnego!

Wydawał się przerażony. Wyprostował się gwałtownie.

– Wcale tego nie chciałem. Wzbudzać w tobie strach. – Jego dłoń przesunęła się nad stołem. Gdy położył ją na dłoni Wandy,

ta nie wiedziała, kogo Andras chce uspokoić, ją czy siebie samego. – Wzbudzać w pani strach, jeśli tak pani woli. Nie wymyślam też żadnych rzeczy na temat pani rodziny, a w teczce mam dokumenty do mojego projektu. Tomik Celana tylko między nimi leżał, ponieważ jestem od niego uzależniony i wszędzie go ze sobą zabieram. Czy naprawdę uważa pani, że ten wiersz jest paskudny?

– Jest przerażający – odparła Wanda. Przez kilka sekund miała wrażenie, że Bob Dylan swoim głosem przypominającym chropowaty metal wyśpiewuje początek utworu:

Osiko, twoje liście lśnią białą w ciemności,
Włosy mojej matki nigdy nie były białe.

– Moim zdaniem jest czuły – stwierdził Andras. – I smutny. Myślę, że Paul Celan bardzo kochał swoją matkę.

– Oczywiście – wyrwało się Wandzie.

Nagle wydało się jej, że w smugach dymu dostrzega Matti, której włosy nad czołem i na skroniach były białe niczym pył. Matti, która stała przy kuchence i odwróciła się, gdy Wanda weszła do kuchni. Zobaczyła uśmiech, który pojawił się na zmęczonej twarzy Matti, i usłyszała, jak mówi „pierożku, mój pierożku”, tak cicho, że było to przeznaczone tylko dla nich dwóch, dla Matti i Wandy. Na chwilę dopuściła do siebie myśl, że mogłaby stracić Matti, głęboko się przerażyła – i miała wrażenie, że wreszcie pojmuje, o co w tym chodzi.

Mleczu polny, zieleni się Ukraina.
Moja jasnowłosa matka nie wróciła.

– Nawet jeśli się pani boi, proszę nie odchodzić – powiedział Andras. Sięgnął do kieszeni prochowca, wyciągnął jej zerwaną wstążeczkę życia i zaczął rozplątywać nitki na końcach, aż znowu była dość długa, by móc ją zawiązać. Owinął wstążeczką nadgarstek Wandy i zrobił supełek.

– Proszę – powtórzył. – Wszyscy wciąż odchodzą. Wszyscy chcą patrzeć naprzód, nie słuchać więcej, nie widzieć więcej – ale co ma zrobić ktoś taki jak Celan? On nie może odejść. Wszędzie nosi ze sobą

swoją zmarłą matkę. I nie może zacząć żyć od nowa, dopóki się nie dowie, co się wydarzyło, jak zmarła – i przede wszystkim dlaczego.

Zamilkł, odwrócił się i patrzył na falującą masę ludzi. Nie zwróciwszy nawet na to uwagi, Wanda zacisnęła dłoń na jego dłoni.

– Mogę wypić pani piwo, jeśli pani ono nie smakuje? – spytał.

Wanda potaknęła. Andras upił łyk z butelki.

– Moja matka też umarła – powiedział.

– Pańska matka... – Nie wiedziała, jak to nazwać, nie potrafiła znaleźć właściwych słów. – Nie wróciła z wojny? – spytała wreszcie, mówiąc tak jak ciotka Lore o ojcu Wandy lub poległych ojcach innych dzieci.

Andras pokręcił głową.

– Nie – odparł. – Choć w pewnym sensie tak. To ciekawe wyrażenie: „nie wróciła z wojny”.

– Moja ciotka zawsze tak mówi. „On już nie wrócił”.

– Podoba mi się to – uznał Andras. – Bo niczego nie upiększa. Nie można przecież w jakiejś chwili przestać być martwym i zacząć żyć od nowa. Nawet jeśli wierzyliśmy w to jako dzieci i chcielibyśmy okłamywać się tak przez kolejne lata. – Dotknął tasiemki, którą zawiązał wokół jej ręki. – Gdy moja matka zmarła, od wojny minęło już osiem lat, ale w pewnym sensie to prawda. Została na wojnie, a wojna w niej. Miała wrzód, który dosłownie wyżarł jej żołądek, ponieważ nie potrafiła wyrzucić wojny z siebie.

– Przykro mi – wymamrotała Wanda.

Andras ścisnął jej dłoń.

– Strach – powiedział. – Gniew. Smutek. Dla innych to było już lata temu. Ale dla mojej matki nic nie przeminęło. Małżeństwo moich rodziców tego nie wytrzymało. Matka uważała, że ona i ojciec powinni zostać razem ze względu na mnie, ale czasami myślę, że czuła ulgę, gdy mogła wreszcie umrzeć.

– A pański ojciec?

Andras uśmiechnął się smutno.

– Miał mnie na karku. A ja jego. Ale jakoś się dogadujemy. Przynajmniej na tyle, na ile to możliwe w przypadku dwóch facetów z taką historią.

– Nie cieszy się, że pana ma? – Matti stale wplatała to stwierdzenie w swoje wypowiedzi, gdy ktoś wspominał śmierć jej męża, trudne czasy, biedę w pierwszych latach. „Cieszyłam się, że was mam” albo „Miałam przecież was, wszystko inne dało się jakoś znieść”.

– Nigdy się nie cieszył – powiedział Andras. – Sądzę, że nienawidził matki za to, że koniecznie chciała mieć dziecko. Spłodził mnie tylko dlatego, że uważał, że nie może jej odmówić, skoro musiała z jego powodu zrezygnować niemal ze wszystkiego, do czego w innych okolicznościach miałyby prawo.

Wanda poczuła, jakby dostała obuchem w głowę. Co miała na to odpowiedzieć? To nie było w porządku. Zupełnie obcy ludzie, którzy nawet nie darzyli się sympatią, nie prowadzili przecież takich rozmów, nie zwierali się sobie z tego rodzaju szokujących spraw.

Ale mimo to wydawał się jej sympatyczny! A ona sama była Wandą, otwartą na ludzi, lubiącą cały świat! „Lubisz każdego” – narzekała zawsze Helga, a pewnego razu Vera, cicha siostra Wandy, która wracała wtedy z nimi ze szkoły do domu, wtrąciła gniewnie:

– Tak, niestety, lubi. W przeciwnym razie nie zadawałaby się z osobami takimi jak ty i nie zaciągała ich wciąż do naszego mieszkania.

Vera często się wycofywała, gdy w kuchni zbierały się przyjaciółki Wandy, ale fakt, że właśnie Helga, która w gruncie rzeczy stała się już jednym z domowników, budzi w niej taką wściekłość, przeraził Wandę. Dopiero tego wieczora zwróciła uwagę na to, że Vera nigdy nie przyprowadzała nikogo do domu, ani koleżanek z klasy, ani dziewcząt, które poznała na praktykach w drogerii. Vera rozkwitała, gdy zostawały same w swoim gronie, gdy było wiadomo, że przez cały wieczór nikt nie zadzwoni do drzwi. Wtedy na stole pojawiały się karty do remika, a ona znów była Verą, jakiej nikt z zewnątrz nie znał – dowcipną i błyskotliwą, niekiedy nawet hałaśliwą.

Głos Andrasa ponownie sprawił, że Wanda się wzdrygnęła. Czemu była taka bojaźliwa, w dodatku tutaj, w tłumie ludzi, którzy cieszyli się wieczorem i słuchali muzyki?

– Proszę pytać – powiedział Andras.

– Co takiego?

– Jeśli chce pani coś o mnie wiedzieć, niech pani nie stara się tego domyślić. Tylko pyta. Powiem pani.

– Dlaczego opowiada pan obcej osobie te rzeczy o swoich rodzicach?
– spytała Wanda.

– Może dlatego, że od lat czekam na to, by ktoś chciał o tym wiedzieć – odparł. – Może dlatego, że nie jest mi pani obca. Może z obu tych powodów.

Wanda wpatrywała się w niego, widziała potargany lok tańczący nad jego czołem, ciężkie powieki, a pod nimi oczy, które były zmęczone, a zarazem niezwykle pobudzone. Nie wydaje mi się sympatyczny, uznała. Wydaje mi się piękny. Chcę, żeby odszedł, i chcę, żeby został.

– Nie chciałem przejąć pani strachem, tylko panią poznać – zapewnił. – Błagałem Mannego, który chodzi z panią na jakieś seminarium, by nas sobie przedstawił.

– Nas? Pana i mnie? Ale dlaczego?

Uniósł głowę. To był pierwszy raz, gdy zobaczyła u niego uśmiech, który jednak natychmiast znikł.

– Jak to dlaczego? Dlatego że chciałem panią poznać.

– Mnie?

Skinął głową.

– Nie chciałem też napadać na panią, mówiąc o swojej sprawie. Ale Manne najwyraźniej ma rację – jestem niepoprawny. Już wtedy, gdy ta pani Helga Schulze zaczęła mówić o swoim imieniu, nie mogłem się powstrzymać. A kiedy w dodatku zapytała pani o seminarium tego przekłętego nazisty Krankemanna...

Przerwał, jak często zdarzało się to Wandzie. Pozwolił, by słowa ucichły, i naraz sam również sprawiał wrażenie uciszonego. Zagubionego. Wanda patrzyła na niego, gdy tak siedział przed nią ze spuszczonej ramionami i z dojmującym smutkiem w oczach, i miała niemal wrażenie, że nigdy jeszcze żaden człowiek nie był jej tak bliski. Jakby patrzyła w lustro, tyle że obraz po drugiej stronie lustra żył.

Chciała powiedzieć coś zupełnie innego, coś niewypowiedzianego.

– Profesor Krankemann nie jest przecież nazistą – stwierdziła zamiast tego. – Nazistów już nie ma. To zakazane. A już na pewno nie na uniwersytecie.

– I pani w to wierzy? – Wsparł głowę na dłoniach i nadal szukał spojrzenia Wandy. – Że nazistów już nie ma, bo to zakazane? A już na pewno nie na uniwersytecie i nie w szkołach, sądach, urzędach i w rządzie... Naprawdę pani w to wierzy? – Nabrał powietrza. – Lubię panią, Wando. Już od tego dnia, gdy siedziała pani na wieczorku zapoznawczym obok tej zawsze i wszędzie obecnej Sigi i rzuciła naraz: „Dlaczego właściwie tu jesteśmy? Dlaczego wszyscy przemawiają i nikt nie wyjaśni nam, dlaczego tu jesteśmy?”. Chciałem to pani wyjaśnić, ale Sieglinde, przedstawicielka rasy panów, zarządziła, że obie musicie pospiesznie opuścić salę.

Teraz Wanda to sobie przypomniwała. „Spadajmy stąd” – powiedziała Sigi. „Ten ważniak ugania się za wszystkimi spódniczkami. Wydaje mi się, że dziewczynom podoba się ta polityczna farsa”.

– Co to za sprawa? – spytała. – Ta, kiedy nie chciał pan na mnie napaść?

– Mój projekt. – Skinieniem głowy wskazał pod stół, gdzie odstawił teczkę. – Moja obsesja. Sigi Witthuhn ma rację. Zawaliłem studia i to z panią też zawalę, bo zwyczajnie nie potrafię sobie odpuścić. Chciałem posiedzieć tu z panią, posłuchać Boba Dylana, powiedzieć pani, że ma pani najwspanialszy głos w tym otoczonym murem półmieście – albo przynajmniej zaprosić panią na piwo, ale nawet to schrzaniłem.

– Proszę mi o tym opowiedzieć – odparła Wanda. – Co jest w teczce?

Andras wstał.

– Najpierw przyniosę pani coś do picia. Choć nie ma tu wielkiego wyboru. Whisky nie będzie pani odpowiadać bardziej niż piwo, prawda? Ale pewnie dostanę coca-colę.

Wanda pokręciła głową.

– Chcę wiedzieć, co to za sprawa, z której robi pan taką tajemnicę, choć wspomina pan o niej w każdym zdaniu. – Nie znała u siebie takiej zawziętości, ale rozpalona muzyką, zastanawiała się, czy w ogóle zna samą siebie.

Schylił się po teczkę, po czym ponownie opadł na stół.

– Auschwitz – powiedział.

W milczeniu słyhać było, jak gitara Boba Dylana grzmi niczym uderzenia gradu, na tyle silnego, by wybić krater. Wanda wzięła butelkę piwa, wciąż do połowy pełną, i wypila.

– Przyniosę nam coś jeszcze. – Chciał ponownie wstać.

– Nie. Co jest w aktówce?

– Dowody – odparł. – Drobne ślady, których wypatruję niczym jastrzęb, by się na nie rzucić. Ja i garstka innych ludzi. W grudniu zaczyna się proces, zostało jeszcze tylko sześć tygodni. Jeśli do tej pory nie zbierzemy wystarczającego materiału dowodowego, możemy stracić jedyną szansę, która nam została.

– Jaki proces?

– Auschwitz – powtórzył. Jego usta ułożyły się w słowo, o którym Wanda była przekonana, że nie potrafiłaby go wypowiedzieć, nie krzyżąc przy tym jak Ari, gdy w wieczór przed Bożym Narodzeniem próbowały karpia w galarecie. W wieczór przed Bożym Narodzeniem, który jako dzieci nazywały „Wigilia”, a nie „Weihnachtsabend”, nie było wyboru. Należało koniecznie spróbować wszystkich potraw, w sumie dwunastu, w przeciwnym razie można było sprowadzić nieszczęścia na Nowy Rok. Ari, która zwykle była bardzo dzielna, na widok galaretowatej masy otaczającej rybę zalewała się łzami. A kiedy wzięła ją do ust, zaczynała pluć, krzyczeć i dławić się, jakby walczyła o życie. Tak właśnie czuła się teraz Wanda. Za nic w świecie nie utrzymałaby tego słowa w ustach.

– Po prawie dwudziestu latach mordercy z Auschwitz wreszcie staną przed niemieckim sądem – powiedział Andras. – Walczył o to niestrudzenie prawnik Fritz Bauer, który sam był więźniem obozu koncentracyjnego.

– A pan? – spytała Wanda. – Dlaczego pan walczy?

– Bo muszę – odparł Andras. – Naprawdę pani tego nie wie?

– Skąd miałabym wiedzieć?

– Wszystko kryje się w imieniu i nazwisku – stwierdził. – U Helgi Schulze tak samo, jak i u germańskiej bohaterki Sieglindy. A w przypadku Goldfarba w ogóle nie można mieć wątpliwości, prawda? Mój ojciec jest niemieckojęzycznym Węgrem. Studiował w Berlinie, tu się

ożenił i harował w przedsiębiorstwie Borsiga w dziale zaopatrzenia. Aż mu tego zabroniono. Potem zaczęto naciskać na moją matkę, żeby się z nim rozwiodła, a w końcu i jej zabroniono harować. Była chirurgiem. Ojciec próbował ją przekonać, ale ona mimo to się z nim nie rozwiodła i straciła posadę w klinice. Straciła przyjaciół. Kogoś takiego jak ona nikt nie chciał już dotknąć, choćby obcęgami. Ale jej mąż przeżył. Jako jedyny ze swojej rodziny. Zawsze coś.

Jego ojciec był Żydem. Nagle wszystko stało się jasne, a Wanda poczuła się jak idiotka. Słowo „Żyd” miało w sobie coś zakazanego, tak jak słowo „Auschwitz”. Gdy tylko ktoś je wypowiedział, głosy milkły, głowy się odwracały. Wanda nigdy jeszcze nie spotkała żadnego Żyda. Może jakaś jej część wierzyła, że za tym strasznym słowem nie kryje się żadna rzeczywistość.

– Teraz chyba rozumiesz, dlaczego mam problem z ludźmi takimi jak Raimund Krankemann i Adalbert Witthuhn – powiedział Andras. – Dlaczego skręca mnie na samą myśl, że im się upiekło. Nadobna córka Witthuhna zarzuca mi, że nie potrafię przestać, i ma rację. Ona ma babcię, wujka i trzy kuzynki. Ja nie mam nikogo i nie potrafię przestać zastanawiać się, czy jej ojciec krzychał „hurra”, gdy moja babka, mój wuj i kuzynki umierali, charcząc, w komorze gazowej.

Galareta w ustach Wandy zgęstniała i zatkała gardło. Muzyka w jej uszach ułożyła się w echo słów Andrasa: „umierali, charcząc”.

Zanim zakręciło się jej w głowie, chwycił ją za ramiona.

– Przepraszam – szepnął. – Nie może pani na to nic poradzić, a ja nie mam prawa zarzucać pani tym wszystkim. Ale chciałbym mieć prawo. Chciałbym zmusić każdego, kto chodzi na ten uniwersytet, by spytał swoich rodziców: co robiliście w tym czasie? Jak mogę zadawać się normalnie z kimś, kto tego nie wie? Jak mogę zjawić się w domu u kogoś z kwiatami dla jego matki, jeśli nie wiem, czy nie była strażniczką w obozie? Czy trzymała pałkę, którą zagnała moją babkę Hulde do gazu?

Wanda krzyknęła, ale nikt jej nie usłyszał. Nikt oprócz Andrasa. Wciąż trzymał ją za ramiona.

– Przepraszam – wymruczał ponownie. – Już przestaję. Gdy tylko poczuje się pani lepiej, przyniosę nam piwo i porozmawiamy o pani seminariach. Swoją drogą, ten Krankemann to bliski przyjaciel doktora Witthuhna i naprawdę jest nazistą. Tę bajkę o zegarku, który należał do ich trzeciego przyjaciela, Adolfa Klinga, i który stanął, gdy ten bohater-

sko poległ za ojczyznę, obaj opowiadają wszystkim naokoło, ale milczą na temat tego, co robił ów przyjaciel, kiedy dosięgła go bohaterska śmierć. To nie przypadek, że każe wam czytać Arnima i Brentano. Zamiast tego mógłby przecież zaproponować wam Eichendorffa, który jest nie mniej romantyczny, ale nie napawa się niemieckością i nie wszczyna nagonki na Żydów.

– Pańska babka Hulda – powiedziała Wanda ze ściśniętym gardłem. – Kochał ją pan?

Drgnął.

– Nie wiem. Byłem bardzo mały. Smażyła plastry jabłek w cieście, a ja skakałem dookoła, bo nie mogłem się doczekać, aż zdejmie je z patelni.

– Tak jak u nas – wymruczała Wanda. – Gdy Matti robi pierogi albo naleśniki.

Uniósł wzrok, ale zaraz ponownie spuścił głowę.

– Więcej nie pamiętam. Pewnego dnia zniknęła.

– A pan... – Wanda wskazała ręką, którą Andras nadal przytrzymywał, na teczkę. – Szuka pan dowodów na tych ludzi, przez których pańska babka... – Nagle znenawidziła ten swój nawyk, by nie wypowiadać zdań do końca, gdy brakowało jej słów, a głos stawał się ochrypły.

– Na tych, którzy ją zabili – dokończył zamiast Wandy. – Na morderców z sąsiedztwa, zacnych i porządnych, którzy żyją dalej tak, jakby nic się nie stało. Tych, którzy teraz dalej nauczają, kierują, rządzą i zasiadają w niemieckich sądach. I są chronieni. Gdy zaczynasz zadawać pytania, natrafiasz na mur milczenia. Jedyne, co usłyszysz, to: „Trzeba już z tym skończyć” albo „Czy nie dość wycierpieliśmy?”. Niedawno ktoś rzucił mi prosto w twarz: „Dlaczego wy, lewicowcy, ciągle burzycie się z powodu tych starych spraw, a nie z powodu tego muru hańby, którym Rosjanie przecięli nasze miasto, albo z powodu części Niemiec, którą zagarnęli sobie Polacy?”.

– Polacy?

Andras skinął głową.

– Początkowo na takie słowa odpowiadałem pytaniem: a dlaczego Pomerelia jest teraz polska, dlaczego Niemcy są podzielone? Ale to nie ma sensu. Ludzie chcą o tym wszystkim zapomnieć, chcą, żeby minęło.

Tylko że to nigdy nie minie, dopóki nie zostanie wydobyte na światło dzienne i unieszkodliwione, a teraz nabrzmiwa w ciemności, kipi i ponownie się rozrasta.

– Pomerelia – powtórzyła Wanda. Jej serce łomotało.

– „Kraina nad morzem” – powiedział Andras. – Pochodzi pani stamtąd?

– Ja? – Przeraziła się do szpiku kości. – Skąd to panu przyszło do głowy?

– Z powodu sposobu, w jaki pani mówi – powiedział. – Jeszcze nigdy nie słyszałem tylu zdrobnień u kogoś, kto nie pochodziłby z Prus Zachodnich. Wymawia pani dźwięczne „r”, swojej matki nie nazywa „Mutti”, mamą, a ta nienazywana „Mutti” matka robi pierogi i naleśniki, „Flinsen”, które my, berlińczycy, nazywamy „Eierkuchen”. – Urwał, szukając jej wzroku. – No i co? Zgadza się?

Serce Wandy napięło się tak mocno, jakby włókna mięśniowe miały się zerwać. Zanim zdołała się powstrzymać, wyrwały się jej niewiarygodne słowa:

– Nie wiem.

Puścił jej ramiona, pogładził ją po rękach.

– Przecież wie pani, gdzie się urodziła. Ile ma pani lat? Dziewiętnaście? A zatem rocznik czterdziesty czwarty.

Skinęła głową.

– W moim akcie urodzenia wpisano miejsce zwane „Zoppot”. Ale nie wiem, gdzie to jest.

Andras wykrzywił usta, ale nie uśmiechnął się.

– W Pomerelii. Koło miasta Danzig. Nad morzem.

4

Obiecała mu, że zapyta Matti i ciotkę Lore. Teraz stała w ciemnym przejściu i marzła. W uszach bębniła jej piosenka Boba Dylana o ciężkim deszczu, który spadnie, ale sylaby tekstu układały się w jedno słowo: „dlaczego, dlaczego, dlaczego?”.

Dlaczego nikt nie powiedział mi, że miejscowość, w której się urodziłam, dzisiaj leży w Polsce? Dlaczego nikt nigdy nie wspominał o tym miejscu, dlaczego nigdy nam o nim nie opowiadałyście, skoro w tym zamkniętym, odległym kraju leży nasza ojczyzna?

Pomorze. „Kraina nad morzem”.

Nie da się tam pojechać, tak powiedział Andras, w każdym razie nie bez pokonania ogromnych trudności. Przed delegacją, którą chciał wysłać sąd we Frankfurcie, by na miejscu w Auschwitz zebrała pilnie potrzebne dowody, piętrzyły się problemy, ponieważ Polska i Republika Federalna nie utrzymywały stosunków dyplomatycznych. Nie były pokojowymi sąsiadami, tylko wciąż zaciekłymi wrogami. Zostały na wojnie.

Wanda zatrzęsa się z wściekłości.

Dlaczego nie powiedziałyście nam, że w tej wojnie, która nigdy się nie skończyła, chodzi o kraj, gdzie przyszłyśmy na świat? Dlaczego zachowywałyście się tak, jakbyśmy pewnego dnia spadły całą naszą piątką z nieba i wylądowały w tymczasowej kwaterze? Jakby nasze życie zaczęło się dopiero na Alboinstraße? I dlaczego, dlaczego, dlaczego przez dziewiętnaście lat wam wierzyłam?

Wściekłość nadal wstrząsała jej ciałem z gwałtownością, z którą Wanda ledwo sobie radziła. Ze zdumieniem zauważyła, że lka, głośno i niepowstrzymanie jak małe dziecko, jak wtedy, gdy się bała, że Matti mogłaby zniknąć. Jej Matti, jej dom, granica jej świata.

Nie potrafiła przestać. Tak jak Andras nie potrafił przestać szukać dowodów, Wanda nie potrafiła przestać płakać. Pod koniec ponownie zaczęli zwracać się do siebie na ty. Bez wcześniejszego uzgodnienia. Zapewne dlatego, że dość już mieli obcości.

– Mój przyjaciel Manne van Bontjes należy do tych, co potrafią przestać – powiedział Andras. – Ten *greenhorn*, który wzbrania się przed zasłanianiem uszu, wygląda jak klasowy błazen, a przy tym jest cholernie silnym facetem. Angażuje się, jest znaczącym głosem w Socjalistycznym Związku Niemieckich Studentów, ale nie jest opętany. Potrafi zaprosić piękną dziewczynę na piwo i nie wpadać w szał z powodu niezżyjących matek i niepomszczonych mordów. Może jest tak silny, ponieważ jego rodzice przez cały ten czas zachowali się. Jego ojciec jest Holendrem, matka Niemką, oboje uciekli do Francji i działali tam w ruchu oporu. Z wiedzą, że walczyło się po właściwej stronie i w końcu wygrało, można żyć, ale ludzie tacy jak Claas i Rieke van Bontjes to

rzadkość. Większość z nas ma rodziców, którzy dzielą się na ofiary i sprawców.

Ofiary i sprawców.

Wanda nadal nie mogła się uspokoić. Wreszcie ruszyła się z obawy, że ktoś mógłby wejść do domu i zacząć zadawać pytania. Stanie w miejscu niczego nie rozwiązywało i niczego nie naprawiało. Gdy przechodziła przez podwórze, na piętrze otwarło się okno. Okno kuchenne. Żółte zasłony załopotwały i uwolniły wiązkę światła, w którym zamigotał deszcz. Matti nie wołała. Krzyczała. Wanda szła dalej, nie unosząc wzroku. Weszła do bocznego skrzydła i wdrapywała się po schodach z uczuciem, że musi wciągać swoje stawiające opór ciało, przytrzymując się balustrady. Przynajmniej szloch już zamarł, choć z powodu zatkanego nosa prawie nie mogła oddychać.

Ledwo dotarła na podest schodów na pierwszym piętrze, gdy otwarły się drzwi i na progu stanęła wdowa Bader – w różowym szlafroku frotté i z ufarbowanymi na blond lokami, upiętymi na czubku czymś przypominającym klamerkę do prania.

– Nie wstyd ci? Włóczysz się, a twoja biedna matka, która zrobiłaby dla ciebie wszystko, zamartwia się na śmierć.

Wyżej, na drugim piętrze, drzwi dawno już były otwarte. Po pierwszych słowach wdowy Bader Matti zbiegła na dół, w pończochach, w codziennym fartuchu, włosy przytrzymywała opaska nad czołem, twarz miała zaczerwienioną i błyszczącą od potu.

Wdowa odwróciła się i zaczęła trąkotać do Matti:

– Pani przecież też została sama z bachorami, też była uciekinierką, której nikt nie pomógł. Nikt nas tu nie witał. Jakby to był nasz wybór, żeby stracić swoją ojczyznę. Ale dzisiejsze dzieciaki nie mają o tym pojęcia, bo zawsze je przed wszystkim chroniliśmy. Nigdy nie głodowały, nie marzły i nie wiedzą, co to strach.

Matti jednym skokiem znalazła się na podeście i odepchnęła ją od Wandy.

– Niech pani zostawi moje dziecko w spokoju! – nakazała wyższej od siebie kobiecie. – Moje dziecko nie powinno pani interesować, jasne?

Oburzona odpowiedź sąsiadki dotarła do Wandy jak przez watę, ponieważ Matti przyciągnęła ją do siebie i ukryła jej głowę w swoich

ramionach. – Jesteś wreszcie, mój pierożku, o Boże, o Boże, dobrze, że już jesteś z powrotem!

Przyjaciele, którzy przychodzili do ich mieszkania, wspominali o tym, ale Wanda nie rozmyślała nad tym za wiele. Teraz uświadomiła to sobie, dosłownie wpadło jej to w uszy: Matti nie mówiła tak jak inni ludzie. Używała słów, których Wanda nie słyszała nigdzie indziej, a wypowiedane przez nią zdania miały niezwykłą melodię. Uwolniła się szarpnięciem. Nie mogła czekać, aż znajdą się w mieszkaniu na górze, nie mogła czekać już ani sekundy dłużej.

– Dlaczego nie wiem nic o tym, że pochodzimy z Polski? Co się takiego zdarzyło w tym miejscu w Polsce, że nie wspominasz o nim ani słowem?

Matti wydała z siebie jakiś dźwięk. Jej ręka się gwałtownie wyprostowała i dłoń zasłoniła usta Wandy. Potem Matti opanowała się.

– To przecież nieważne, pierożku, to było dawno temu i wszyscy już o tym zapomnieli. Chodźmy na górę i zjedźmy ciepłą Bullewupp, kartoflanekę, posiedzimy sobie razem miło. Jesteś już z powrotem i tylko to się liczy.

– W takim razie róbcie sobie, co chcecie – wtrąciła się wdowa. – Nigdy nie była pani jedną z nas i nic dziwnego, że dziewczyna nie wie, skąd jest. Pani ze swoją siostrą zawsze uważałyście się za coś lepszego.

Matti nie zwracała na nią uwagi, tylko ponownie objęła Wandę i weszła z nią po schodach. Wanda bezwolnie pozwoliła pociągnąć się na górę.

– A te pani dziewczyny, niby kim takim zostały? – zawołała za nimi wdowa Bader. – Jedna jest maszynistką w szpitalu, druga praktykantką w drogerii, i to ma być powód do dumy? Chwalę sobie moją Ulrike, której Rudi jest urzędnikiem, to przynajmniej stała posada.

Matti i Wanda szły dalej, aż drzwi za nimi zamknęły się z trzaskiem.

– Zmokłaś – wyszeptała Matti. – Okropna pogoda. Zrobię kakao, rozgrzeje cię.

W progu mieszkania czekała ciotka Lore.

– Wando – odezwała się. – Na Boga, dziecko, gdzie się podziewałaś?

– Na mieście – odparła Wanda. Potem uwolniła się z objęć Matti. – Nie chcę kakao. Chcę prawdy.

– Jakiej prawdy? – spytała ciotka Lore.

– Zaczekaj z tym – poprosiła Matti. – Wejdźmy najpierw do ciepła, na zewnątrz jest paskudnie.

Pociągnęła Wandę za ramię, ale ta stała jak przyrośnięta.

– Chcę wiedzieć, dlaczego pochodzimy z Polski – powiedziała. – Dlaczego nikt mi nigdy o tym nie mówił. I co robiłyście między 1933 a 1945 rokiem, gdy byliście w Polsce.

Palce Matti wbiły się w jej przedramię. Wanda uniosła wzrok i zobaczyła, jak z jej twarzy odpływa cały kolor. Stała się blada jak popiół. Jak fotografia, która blednie w mgnieniu sekundy.

– Uczycie się tego na uniwersytecie? – spytała ciotka Lore. – Że Gdańsk był polski, a nasz niemiecki Danzig, to nasze piękne miasto z dachowymi rynnami, latarniami, kutymi bramami i wszystkimi tymi wieżyczkami i figurami nigdy nie istniało?

Wanda zawahała się. Źle się wyraziła, wiedziała oczywiście, że Gdańsk nie zawsze był polski. Nie wiedziała jednak, że Gdańsk, Danzig – to miasto, którego sylwetka zdawała się jawić przed nią jak przez mgłę – miał coś wspólnego z nią samą, że miejscowość Zoppot, Sopot, wpisana w jej akcie urodzenia, leżała obok Gdańska.

– Nie pytałam o to – odpowiedziała wcześniej Andrasowi.

– Nie wierzę – odparł. – Dzieci zawsze pytają o takie sprawy, ciekawi je wszystko, co dotyczy ich samych. Ale jeśli ze swoimi pytaniami wciąż natrafiają na ścianę milczenia, w końcu przestają je zadawać.

My naprawdę nigdy nie pytałyśmy, pomyślała Wanda. Ariane, Vera i ja. Nie pamiętam, żeby którakolwiek z nas choć raz zapytała o nasze pochodzenie.

– Nie chodzi o to, czego się uczy my – powiedziała teraz do ciotki Lore. – Tylko o to, co przed nami przemilczałyście.

– Zastanawiam się nad tym w przypadku każdej osoby, która milczy – stwierdził Andras. – Dlaczego milczy? Co takiego ma do przemilczenia?

– Chcę wiedzieć, skąd pochodzę – jękała się, zaczęła ponownie Wanda. – Kto był moim ojcem. Dlaczego tu jesteśmy.

Ciotka Lore jednak wydawała się nie słuchać dłużej. Nie patrzyła na Wandę, tylko na Matti, która stała jak sparaliżowana, z pustym spojrze-

niem i twarzą białą jak wapno.

– Myszko. – Lore rzuciła się ku niej, tak jak wtedy do Wandy, gdy ta uczyła się w szkole o wojnie i przyśnił się jej straszny sen o pociągu. Odciągnęła Matti od Wandy i objęła ją. – Ach, moja myszko, to nic takiego. Nie bierz sobie do serca tej głupiej gadaniny.

– To nie jest głupia gadanina! – zawołała Wanda urażona. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby ciotka czy Matti określiła to, co mówiła Wanda, jako głupie lub w inny sposób umniejszała jej słowa. – Mam prawo dowiedzieć się, kim jestem i co uczyniła moja rodzina.

– Uczyniła? – naskoczyła na nią ciotka Lore, trzymając Matti w objęciach niczym dziecko, które musi chronić przed światem. – Co takiego miałyśmy niby uczynić? Uciekłyśmy jak połowa Rzeszy, dopilnowałyśmy, żeby dotrzeć z wami w bezpieczne miejsce, żeby nie stało się wam nic złego, a teraz stajesz tu i śmiesz zarzucać swojej matce, że ona coś uczyniła?

– Nikomu niczego nie zarzucałam – odparła Wanda. – Zadałam tylko pytanie. Skoro nikt nie ma nic do ukrycia, to dlaczego w naszej rodzinie ukrywa się tak wiele? Dlaczego gdy kolega ze studiów mnie o to pyta, muszę odpowiedzieć: Nie wiem, skąd pochodzę?

– Stąd, od nas! – zawołała ciotka Lore. – Pochodzisz stąd, od nas – czy to nie dość? Czy musisz wszystko rozgrzebywać, choć widzisz, jak bardzo dręczysz tym swoją Matti? Twoją Matti, która oddała wszystko, by cię chronić, zapewnić ci dobre życie...

Matti, która do tej pory stała sztywno jak pień, rozpląkała się. Niczym zwierzę, uznała Wanda, i nie mogła uwierzyć, że w niej samej wszystko pozostało zimne, jakby lodowaty deszcz przeniknął jej pod skórę. W drzwiach ukazały się Vera i Ari, ta ostatnia już w piżamie, ponieważ zaczynała pracę w szpitalu o szóstej rano. Wanda zobaczyła ich przestraszone twarze i pomyślała: Ari wiedziała. Ari miała piętnaście lat, gdy się tu przenieśliśmy, musiała wiedzieć o wszystkim, co zdarzyło się wcześniej.

Ale Ari nie mówiła. W szkole nazywali ją „milczącą przed Panem” i oblali na egzaminie ustnym.

– Myszko – wymamrotała ciotka Lore. – Nie musisz się bać. To minęło, przez te wszystkie lata już nas nie dręczyło. – Gdy to nie pomo-

gło, zaczęła nucić, a ledwo słyszalne dźwięki drapały lód w duszy Wandy.

To była ta piosenka. Jedyna piosenka, którą nuciła czasem Matti, wczesnym rankiem, gdy sądziła, że nikt jej nie słyszy.

Ciotka Lore zanuciła melodię, o której powiedziała kiedyś, że robi się jej od niej niedobrze, dwa albo trzy razy, aż niepohamowany szloch jej siostry przeszedł w pojękiwanie, a potem ucichł. Raz po raz głaskała ją po włosach, pięknych, gęstych, z przodu białych jak śnieg, z tyłu lekko posiwiałych włosach Matti, które były zmierzwiłone, jakby stanęły dęba.

– Naprawdę tu zimno – powiedziała Vera, przestępując z nogi na nogę i obejmując się rękoma. – Nie możecie kłócić się dalej w środku?

– Nie kłócimy się – wydusiła Matti, uniosła głowę i odwróciła do Wandy twarz, po której nieprzerwanie ciekły łzy. – Prawda, mój pierożku? Nim my dwie, ty i ja, się pokłócimy, prędzej świat się skończy.

Mówiła to także wtedy, gdy Wanda była dzieckiem i kłótnie Helgi z jej rodzicami wzbudzały w niej lęk.

– Nie jestem pierożkiem – odparła.

– Wiem przecież, wiem. – Uśmiech, do którego zmusiła się Matti, przeszedł w grymas. – Jesteś już duża. Jesteś moim dzieciątkiem z mgły.

– Nie jestem też dzieciątkiem z mgły – powiedziała Wanda. – Potrzebuję prawdy, Matti. Chociaż raz wymów nazwę tego miejsca, z którego pochodzimy, nigdy jeszcze nie słyszałam, żebyś nazywała po imieniu to miejsce, gdzie mnie urodziłaś.

Matti uwolniła się z ramion siostry i wyprostowała.

– Sopot – powiedziała, a jej głos stał się gruby, zabrzmiał naraz jak u obcej kobiety. – Koło Gdańska, nad morzem. To był taki mglisty dzień.

– Sądziłam, że to była noc.

– Noc i mgła – stwierdziła obca Matti, nie patrząc na Wandę. To było w Sopocie, w naszym słynnym nadbałtyckim kurorcie z ciągnącym się w nieskończoność mołem i kasynem, jaskinią hazardu, z której my, gdańszczanie, byliśmy tacy dumni, we wspólnym domu przy Ernststraße¹ ze wszystkimi tymi wieżyczkami i wykuszami i przeskloną werandą. W pokoju panował mrok, bo zasłoniliśmy okno, ale morze było tylko o rzut beretem i słyszać je było przez szyby, ściany

i koce. I czuło się jego zapach. Jestem teraz zmęczona, Wando. Czegokolwiek ode mnie zażadasz, opowiem ci o tym, gdy poczuję się lepiej.

Wanda chciała ją powstrzymać, ale jej ciało nie posłuchało. Matti podeszła do drzwi, przecisnęła się obok Ari i Very i zniknęła w głębi mieszkania.

– Gdańsk i Sopot – usłyszała jeszcze Wanda. – Przecież już ich nie ma. A nie da się tego opowiedzieć.

CZEŚĆ DRUGA

Gundi

Wolne Miasto Gdańsk,
nadbałtyckie uzdrowisko Sopot

Lato 1927

Ciemne dachy, smukłe okna,
Wieże patrzą z gęstej mgły,
I posągi niby widma
Stoją przy framugach drzwi.

Joseph von Eichendorff, *W Gdańsku*
[przeł. Andrzej Lam]

5

Gdy Gundi Frieböse była dzieckiem, każdy letni dzień w Sopocie zaczynał się tak, jakby miał się nigdy nie skończyć.

Oczywiście, wreszcie się kończył, bo gdyby ciągnął się bez końca, Gundi i jej dziadek, który nazywał się Paul Otto Peter Frieböse, ale którego wszyscy na świecie nazywali Popem, nie musieliby nigdy wysypywać piasku z butów, wkładać chusteczek, puszek z kanapkami i mokrych kostiumów kąpielowych do niebieskiej torby i wsiadać do pociągu jadącego z powrotem do stacji Gdańsk Wrzeszcz ².

Ale w niedzielny ranek, gdy Gundi i Pop, niosąc między sobą torbę, szli na dworzec, a dzień rozciągał się przed nimi niczym jaszczurka na słońcu, wydawał się Gundi nieskończony.

Jeszcze wspanialej było, gdy Pop dostawał w sobotę wcześniejszą zmianę i jechali pociągiem ku wieczornej czerwieni, a ich dzień w Sopocie zaczynał się już poprzedniej nocy. W takie dni nocowali u ciotki Karl w pensjonacie Sonnenschein, Słoneczko, a wczesnym rankiem, po przełkniętym pospiesznie śniadaniu, Gundi biegła na plażę. Wtedy przez chwilę morze należało tylko do niej, bo nie było tam jeszcze nikogo oprócz ponurego Reinholda Ziebhura, który ustawiał kosze plażowe i karmił przy tym mewy. Czasami dostrzegała na horyzoncie jeden z białych statków, którymi bogaci ludzie udawali się w rejsy, i marzyła, żeby znaleźć się na pokładzie.

Soboty, kiedy dziadek miał wcześniejszą zmianę, były dla Gundi niczym wisienki na wielkim torcie szczęścia. Kiedy w takie wieczory w niknącym ostatnim świetle maszerowała z Popem i z torbą na dworzec, wierzyła, że potrafi odczytać myśli kryjące się w głowach wszystkich mijanych ludzi. Oto Gundi Frieböse, myśleli, najszcześniejsze dziecko nad Bałtykiem. Dobry Boże, jakże jej zazdrościmy!

Kiedyś, gdy taki właśnie letni dzień bardzo się już skurczył i niemal dobiegał końca, a Gundi siedziała przed spakowaną niebieską torbą w kuchni ciotki Karl, powstrzymując łzy i czekając na Popa, ciotka Karl spytała ją:

- No i jak, dziewczuszko? Co kochasz teraz najbardziej na świecie?
- Ciebie, ciociu Karl – odparła Gundi.

Ciotka Karl postawiła przed nią pączuszki, drożdżowe kuleczki posypane grubą warstwą cukru pudru, a obok słoiczek gruszkowej marmolady. Zawsze była bardzo miła, a jej domek z wyblakłą, błękitną balkonową balustradą i tunbergią, zwaną Czarnooką Zuzanną, latem wspinającą się ze swoimi lśniącymi kwiatami aż na dach, wyglądał ślicznie jak z obrazka.

– No nie – stwierdziła ciotka Karl. – Oszukujesz mnie, prawda, dziewczuszko?

– Tylko trochę – przyznała Gundi. – Tylko odrobinę.

– Powiedz zatem prawdę.

Z nieznanego powodu prawdę trudniej było wypowiedzieć. Miała w sobie coś uroczystego, poważnego, niczym dźwięki orkiestry dętej przed Domem Zdrojowym. Najpierw trzeba było przełknąć pączuszek i nabrać głęboko powietrza.

– Popa i Sopot – powiedziała wreszcie Gundi, po czym ponownie nabrała powietrza: – I muzykę.

Potem wstrzymała oddech. Czy ciotka Karl, taka miła i latem co sobotę pozwalająca im nocować w swoim domku z bajki, będzie urażona, że Gundi na trzecim miejscu wymieniła nie ją, tylko coś równie nieistotnego jak muzyka? Ale dla Gundi muzyka nie była nieistotna. Wręcz przeciwnie. Muzyka to jej lekarstwo.

Lekarstwo na zbolące serce. Gdy we Wrzeszczu szła przeraźliwie smutna z dworca do domu, ponieważ nieskończony letni dzień przestał już istnieć, gdy sądziła, że przydusi ją ogromna góra smutku, wystarczyło, by Pop zanucił piosenkę, a ciężar w mgnieniu oka zniknął. Gundi nie myślała już wtedy o niedzieli, która się kończyła, tylko o tej, która czekała na nich za tydzień, o nowiuieńkim, nieskończonym dniu najszczęśliwszego dziecka nad Bałtykiem.

Oczywiście zdarzały się także niedziele z brzydką pogodą. Nawet często. „Chcecie się pocić, jedźcie na Fidzi – tutaj jest Sopot” – mawiał Pop, gdy urlopowicze na plaży zaczynali narzekać. Muzyka była jednak niczym promień słońca, który przebijał się przez warstwę chmur nad morzem. A jeśli nie przestawało padać, Pop, ciotka Karl i Gundi zarzucali ręczniki na głowy i biegli leśną ścieżką na górę do pensjonatu, gdzie na przeszklonej werandzie pili kakao i słuchali płyt gramofonowych. Ciotka Karl miała dwie płyty: Enrica Carusa i utwory Waltera Kollo.

Gundi najbardziej lubiła Carusa. Deszcz uderzał o szyby, a w środku, gdzie było sucho, Gundi topniała, bo męski głos miał w sobie tyle ciepła. Płyte z piosenkami Kollo też jednak lubiła. Lubiła wszystko. Kiedy tylko usłyszała muzykę, jej serce zaczynało tańczyć. Ciotka Karl nie była urażona, a nawet jeśli, nie dała tego po sobie poznać. Pop, który wyszedł na chwilę, wrócił, a ciotka zastąpiła mu drogę.

– Ach, duszko – powiedział Pop. Mówił tak zawsze, gdy przez jakiś czas nie widział ciotki Karl, nawet jeśli ten czas był nie dłuższy niż pięć minut. Pop żył z ciotką Karl na kociej łapie. Tak nazywała to pani Olschewski, ich sąsiadka we Wrzeszczu, a gdy Gundi spytała o to Popa, ten potwierdził, że oboje z ciotką Karl bardzo lubią koty. Zawsze, gdy zwracał się do ciotki Karl „duszko”, uśmiechał się, a jego broda rozciągała się szeroko.

Ciotka Karl nie odpowiedziała uśmiechem. Nigdy tego nie robiła, gdy było do omówienia coś ważnego, żeby Pop nie zmienił tematu.

– Gundi musi nauczyć się gry na instrumencie – powiedziała. – Mam trochę oszczędności, wystarczy, żeby wpłacić u Maksa Böhma na Röpergasse ³ zaliczkę na harmonię.

Harmonia był to akordeon, najpiękniejszy z trzech lub czterech instrumentów, które znała wtedy Gundi. Gdyby ciotka Karl wymieniła któryś z pozostałych, zapewne to on zostałby najpiękniejszy, ale tak był nim właśnie akordeon. A ona, Gundi Frieböse, miała posiadać go na własność i grać swoją muzykę! Pop złapał się za brodę i uśmiechnął. Gdy ciotka Karl wbiła coś sobie do głowy, on niemal nigdy się nie sprzeciwiał. „Zanim zacznę się kłócić, wolę zażyć tabaki”, brzmiała jego dewiza.

– Nie przyjmę od ciebie niczego w prezencie – powiedział jednak tym razem.

– Po prostu mi oddasz – odparła ciotka Karl. – Mógłbyś też pójść kiedyś z dziewczuszką do kościoła Mariackiego, żeby posłuchała pięknych organów. – Potem wzięła niebieską torbę, włożyła do środka zapakowane kanapki z kiełbasą i tym samym sprawa była załatwiona.

W drodze do domu nogi Gundi nie chciały iść jak należy, tylko ciągle podskakiwały.

Dopiero nocą, gdy leżała w swoim łóżku, słuchając dobiegającego z kuchni chrapania Popa i marząc o życiu z akordeonem, ogarnęły ją

wyrzuty sumienia: ciotka Karl spytała ją, co kocha najbardziej na świecie, a ona nie wymieniła żadnej osoby oprócz ukochanego Popa. Tylko Sopot, gdzie pewnego dnia chciała zamieszkać na zawsze, i muzykę, która miała już zawsze przy niej być – ale ani słowa o Lore. Poczuli się jak zdrajczyń.

Gdy w niedzielę wracali z Sopotu, zwykle jechali ostatnim pociągiem, by jeszcze odrobinę wydłużyć dzień, a gdy tylko Gundi wreszcie znalazła się w łóżku, ze zmęczenia czuła się nadmiernie pobudzona i nie potrafiła zasnąć. Również dziś tak było. Najchętniej wyskoczyłaby z łóżka i zaraz pobiegła do Lore, by ją przeprosić, choć ta nie wiedziała nawet o jej zdradzie. Droga Lorciu, chciała powiedzieć, to, że o tobie nie wspomniałam, nie znaczy jeszcze, że nie kocham cię najbardziej, tylko w tamtej chwili, gdy ciotka Karl pytała, zapomniałam o tobie.

To była prawda. Ale Lore mieszkała w Nowym Porcie⁴, gdzie stały wysokie dźwigi i gdzie dawno temu mieszkała również Gundi. Nie bardzo daleko, ale spacerowanie tam nocą nie było dobrym pomysłem. A zatem zobaczy Lore dopiero rano w szkole, a co wtedy? Czy naprawdę miała jej powiedzieć, że zapomniała o niej przez Sopot i muzykę? To nie byłoby miłe, Lore by się zasmuciła, a podobne rzeczy zdarzały się Gundi nazbyt często. Miała natomiast pewność, że Lore coś takiego nie zdarzyłoby się nigdy.

Lore była siostrą Gundi.

Przyrodnią siostrą, upierali się drobiazgowi ludzie, tacy jak pani Olschewski. Ale Gundi nie zwracała na to uwagi. Siostrą się było albo nie, a Lore była nią bez wątplenia. W najwcześniejszych latach, tych przed Popem i ciotką Klar, i Sopotem, które Gundi ledwo pamiętała, Lore była wszystkim, co kochała. W każdym razie prawie wszystkim. Swoją matkę – rozpustną Astę, jak nazywali ją ludzie z Mirchauer Weg⁵ – też musiała przecież kochać, ale matka w ogóle nie zapisała się w pamięci Gundi.

– Nie bierz jej tego za złe, dziewczuszko – powiedział Pop. – Moja Asta nie była zła, tylko trochę rozwiązła i nie najbystrzejsza. A do macierzyństwa nie miała biedaczka talentu. Jej matka, niech Bóg ma ją w opiece, też nie. Może coś takiego jest dziedziczne?

Gundi nie brała matce niczego za złe. W końcu bez matki nie miałyby ani Popa, ani ciotki Karl, ani Sopotu, a już na pewno nie Lore. Matka, córka Popa, która nie wykazywała talentu do macierzyństwa, pracowała

jako pomoc domowa u niejakiego pana Lehwalda, właściciela sklepu z towarami kolonialnymi w Nowym Porcie, i w jeden z tych sposobów, o których dorosli rozmawiają tylko szeptem, ów Lehwald od towarów kolonialnych został ojcem Gundi. Dlaczego by nie?

– Za szyldem Handel Towarami Kolonialnymi często kryje się, co prawda, tylko jakiś kramik, ale budka Lehwalda zapewniała mu utrzymanie – opowiadał Pop. – Źle tylko, że miał już żonę. I miał już córkę, rozumiesz?

Żoną była Katrine Lehwald, pracodawczyni matki Gundi, która mogłaby znieść w swoim mieszkaniu wszystko, tylko nie służącą z bękartem małżonka. Córka pana Lehwalda, czteroletnia Lore, najbardziej na świecie chciała mieć siostrzyczkę. Gundi pamiętała Lore ze wszystkimi szczegółami – nawet jeśli nie było to możliwe, miała wrażenie, że ona i Lore od pierwszego dnia były ze sobą na dobre i na złe.

Ostatecznie żona pana Lehwalda musiała ścierpieć, że upadła Asta i owoc jej występku, Gundi, zostały w służbówce, ponieważ sprzedawca towarów kolonialnych tak postanowił. Chętnie wyładowałaby swoją złość z tego powodu na kukułczym dziecku, ale zawsze, gdy próbowała, wtrącała się jej na ogół bardzo posłuszna własna córka. Początkowo błagalnie:

– Nie bądź taka niedobra dla siostrzyczki.

Później coraz bardziej natarczywie, a wreszcie grożąc:

– Jeśli jeszcze raz będziesz taka okropna dla Gundi, powiem tacie, a on ci tego zabroni.

Groźba działała. Co prawda, sprzedawca towarów kolonialnych nie zajmował się Gundi, a jeszcze mniej Lore, ale żona się go bała. Od tego czasu obchodziła Gundi łukiem, a we wspomnieniach tej ostatniej nie zostało nic oprócz bycia razem z siostrą i więzi, która chroniła ją przed wszelkim złem.

Potem zaczęła się wojna, o której Gundi i Lore początkowo nie słyssały zbyt wiele. Właściciel sklepu z towarami kolonialnymi natomiast tak, ponieważ rażno ruszył na front i po ośmiu tygodniach już nie żył. Tym samym mieszkanie znalazło się w posiadaniu wdowy, ona zaś chciała jak najszybciej pozbyć się „plamy na honorze”, czyli kochanki swojego męża i jej dziecka. Nawet jeśli czteroletnia Gundi mogła w ogóle martwić się o to, gdzie będzie od tej pory mieszkać, troski

szybko się rozwiały: na scenę jej życia wkroczył Pop. Ojciec matki, dziadek Gundi, brygadzysta w gdańskiej stoczni Klawittera, niewysłany na front ze względu na wykonywanie pracy ważnej dla działań wojennych. Dłonie jak łopaty, krzyż, na którym można było złożyć troski świata, i niebieskie oczy, zdradzające opinię Popa, jeszcze nim otworzył usta.

– Nie bądź głupia, oczywiście, że przyjdziecie do mnie – powiedział, najpierw oczami, a potem ustami, ze spokojem, który upewnił Gundi, że może na nim polegać.

Tak więc Gundi wprowadziła się do małego lokum Popa, na które składały się kuchnia, pokój i ubikacja w korytarzu, przy Mirchauer Weg we Wrzeszczu. To był jej dom. Co prawda, nie było tu dźwigów za oknem ani stiukowych zdobień na klatce schodowej czy też mahoniowego kredensu, ale na drzwiach wypisano jej nazwisko, Frieböse, i znalazła się tu nie dlatego, że pan domu tolerował ją, zgrzytając zębami, ale dlatego, że była jego jedyną wnuczką.

Jego słoneczkiem.

Wiedział, że nie zdoła zatrzymać swojej córki, swojej gołąbeczki Asty. Ta nie wprowadziła się nawet do domu swego dzieciństwa, który stał się dla niej za ciasny, tylko szybko poznała w jakiejś kawiarni w Głównym Mieście ⁶ amerykańskiego fotografa i wyjechała z nim do Nowego Jorku, zostawiając dziecko u swojego ojca.

– Jakie to okropne – wzdychała pani Olschewski w sklepie warzywnym pana Martensiusa, gdzie było pewne, że usłyszą ją wszystkie sąsiadki. – Biedny stary człowiek i biedny mały robaczek!

Tak jednak nie było. Nie było to okropne, a Pop nie był ani biedny, ani stary, tylko czasami nieco „otumaniony w głowie” od ciągłego hałasu w stoczni Klawittera. Dlatego lubił wieczorami ciszę, ale Gundi mu nie przeszkadzała.

– To, co robisz, dziewczuszko, to nie hałas. To okruchy życia.

Miał w kuchni bujany fotel, w którym siadał, by zażyć tabaki marki Vineta, gdy świat stawał się dla niego za głośny, i lubił, gdy Gundi rozsypywała u jego stóp swoje okruchy. Na fajansowej buteleczce z tabaką, którą podarował Popowi jego przyjaciel Gustav Kapahnke, widniał napis: „Nos też czegoś potrzebuje”, a w soboty w Sopocie Pop pozwalał

sobie na kieliszeczek machandla⁷ ze śliwką, recytując przy tym dla Gundi i ciotki Karl wierszyk:

Koniec tygodnia, machandel pijesz,
Wtedy w Sopocie naprawdę żyjesz.
Jeśli do tego masz swoją miłą,
To nie chcesz już, by inaczej było.

Nie był ani biedny, ani stary. Był Popem Frieböse, znanym w całym Wrzeszczu jak bohaterowie popularnych gdańskich dowcipów Boller-mann i Welutzke, kimś, kto najchętniej był i chciał pozostać sobą. A i Gundi to nie biedny robaczek. Gdy pani Olschewski i pozostali widzieli, jak w sobotni ranek szła z Popem i niebieską torbą na dworzec, myśleli bez wątpienia: Oto Gundi Frieböse, najszcześniejsze dziecko nad Bałtykiem. Dobry Boże, jakże jej zazdrościmy!

6

Teraz Gundi nie była już dzieckiem. Miała siedemnaście lat, z czego przez osiem lat grała na akordeonie, i wylegiwała się z trojgiem swoich najlepszych przyjaciół na białym piasku na sopockiej plaży. Nie tuż przy molo – najdłuższym w Europie, gdzie najpiękniejszy fragment plaży wydzielono dla gości nowiutkiego Kasino-Hotelu – ale też nie nazbyt daleko od niego. Tak, by mogli widzieć teren Kasino-Hotelu, białe namioty, parasole słoneczne, stoły z błyszczącymi kubelkami, w których chłodził się szampan, zwiewne letnie sukienki i kołyszące się na wietrze kapelusze.

Gundi zależało na tym, by przez całe lato mieć na oku Kasino-Hotel, w którym mieściło się prawdziwe licencjonowane kasyno, już teraz okrzyknięte jaskinią hazardu. Urzekały ją nie tyle kapelusze, sukienki czy też szampan, choć chętnie by go spróbowała, a ten czy ów kapelusz wydawał się jej śliczny. Dużo bardziej pociągająca była jednak muzyka. Od kutej ogrodowej bramy prowadziła ścieżka, przeznaczona wyłącznie dla najdostojniejszych stópek, na drewniany podest do tańca, który wychodził aż na plażę. Przy pięknej pogodzie już do śniadania przygrywały tu kapela, zespół lub cała orkiestra, a pogoda nigdy nie była równie piękna, stała i złota jak tego lata.

Goście, którzy przyjeżdżali z całej Europy, a nawet z oceanu, mościli się w plażowych koszach niczym w letnich domkach, a mewy

tuczyły się na resztkach luksusowych pikników.

Pop nie mówił już:

– Chcesz się pocić, jedź na Fidzi – gdy nadciągały chmury i ktoś narzekał, tylko: – Zamknij się, szczęściarzu. Nie wiesz, że smażymy się tu w Monte Carlo Wschodu?

Gundi nie znała Monte Carlo. Bardzo chciała je poznać, poznać wszystkie miejsca, gdzie znajdowały się rozległe, białe plaże nad lazurowymi morskimi zatoczkami i gdzie noce pod kołyszącymi się palmami były tak ciepłe, że muzyka mogła rozbrzmiewać, dopóki ostatniej tańczącej parze nie zabrakło sił. Dopóki jednak nie miała sposobu, by odwiedzić te dalekie strony, wybierała Sopot – i w duchu nie potrafiła sobie wyobrazić, by inne miejsce na świecie mogło być równie piękne.

Pośród wrzawy beztroskich plażowiczów rozbrzmiewał śpiew. Na molo odbywały się konkursy pływackie, na piasku stawiano siatki do badmintonu, a gdy słońce zachodziło, boye z Kasino-Hotelu wynosili na zewnątrz piecyki i zapalali nad „tańczącą podłogą” łańcuchy kolorowych lampionów. Oczywiście szybko robiło się chłodno i pary chroniły się później w lśniących hotelowych salach, by tam tańczyć dalej, ale jeszcze przez kilka chwil obracały się pod granatowym, rozgwieżdżonym niebem.

Do tego tańca, ostatniego, któremu towarzyszył plusk morskich fal, Kasino-Hotel co wieczór zapraszał na scenę wyjątkowego artystę. Wielka orkiestra wychodziła, a zamiast niej grał zespół złożony ze skrzypiec, kontrabas, klarnetu i pianina, bo tak było intymniej i bardziej zmysłowo. Zespół nazywał się Indigo Moon, co brzmiało jak obietnica, której nikt nie umiałby dotrzymać, a przy ostatnim tańcu dołączał młody polski tenor i śpiewał tango.

Gundi już kilkakrotnie słyszała to tango w radiu. Nosilo tytuł *Daremne pragnienie* i było jednym ze szlagierów tego lata, ale nikt nie śpiewał go równie dobrze jak polski tenor z Kasino-Hotelu. Nawet Enrico Caruso nie potrafiłby go tak zaśpiewać.

– Jak zacznie, lepiej nie jedz lodów – odezwał się Julius, drugi lub trzeci najlepszy przyjaciel Gundi, nieco burkliwie. Sprzedawcy lodów przemierzali plażę, oferując ze skrzynek zawieszonych na szyi swój towar, a Gundi właśnie chciała kupić sobie porcję.

– Dlaczego nie powinnam ich jeść, gdy tenor zaśpiewa *Daremne pragnienie*? – spytała.

– Bo ci się roztopią – odparł Julius z krzywym uśmiechem.

Gundi pokazała mu język.

– Nie żartuj – odparła. – Najwyraźniej starasz się być dowcipny.

Z twarzy Juliusa znikł uśmiech. Gundi ogromnie go lubiła, ale ponieważ był wyjątkowo wrażliwy, nie zawsze dało się z nim łatwo wytrzymać.

– Nie musisz zaraz tak pochmurnieć – powiedziała i szturchnęła go w bok.

„Pochmurnieć” było jednym z ulubionych słów Popa. Oznaczało coś w rodzaju „smucić się”, ale tak jak wszystkie określenia Popa znaczyło też coś więcej, czego nie dało się nazwać. – Kupię lody dla nas obojga, co ty na to?

– A co z nami? – Erik, który na zmianę z Juliusem był drugim lub trzecim najlepszym przyjacielem Gundi, uniósł się nieco i wykrzywił usta. Na jego pokrytym piaskiem tułowiu wylegiwał się Lex, owczarek Erika, tak piękny, że co chwila ktoś przystawał i pokazywał go palcem. Erik uniósł dłoń, którą wcześniej zanurzył w futrze Leksa, i położył ją na ramieniu Lore.

– Czy Lore i ja mamy obejść się smakiem?

Lore była najlepszą przyjaciółką Gundi i to nie miało się nigdy zmienić. Była też jej siostrą, ale Pop zgodził się, że nic nie przemawia przeciwko temu, by mieć siostrę za najlepszą przyjaciółkę. Chodziło o to, żeby trzymać się razem w dobrych i złych chwilach, a Gundi i Lore tak robiły. „Jak Bollermann i Welutzke” – mówił Pop. Były to ulubione postacie z gdańskich dowcipów, a Gundi i Lore lubiły się pośmiać. Przede wszystkim jednak były nierozłączne. Gundi i Lore – ich imiona wymieniało się jednym tchem niczym tytuł piosenki.

Tamtej nocy, po tym, jak ciotka Karl postanowiła, że Gundi musi dostać akordeon, sumienie nie przestało jej dręczyć, dopóki rankiem nie wyskoczyła z łóżka i nie oświadczyła Popowi, że nie chce akordeonu ani w ogóle jeździć już do Sopotu, jeśli Lore nie może im towarzyszyć.

– Biedna Lore siedzi w domu ze swoją zrzędliwą matką. Jak mam się cieszyć Sopotem, skoro Lorcia nie może?

Pop zastanawiał się przez chwilę.

– No cóż, dziewczuszko – powiedział wreszcie. – W takim razie będę musiał rozmówić się z twoją ciotką Karl, bo nie mogę zdecydować bez niej.

Nie dało się tego ominąć, lecz oczy Popa mówiły już co innego.

Od tamtej pory latem w niedziele, a czasami już w soboty Lore jeździła z nimi do Sopotu. Jej matka nabawiła się najróżniejszych chorób i była zadowolona, że może pozbyć się córki i w spokoju zająć swoimi dolegliwościami, dla Gundi zaś to pierwsze lato z Lore było piękniejsze niż wszystkie poprzednie. Znowu były nierozłącznymi Lore i Gundi. Drugiego lata, gdy Gundi naraz „wystrzeliła w górę”, jak nazwał to Pop, i kostium kąpielowy przestał na nią pasować, poznały na moło Juliusa i Erika. Ledwo dowiedziały się, że mieszkają w Sopocie, Gundi zakrzyknęła:

– O rany, niemożliwe – ale wam zazdroszczę!

Już wtedy Gundi była nieokrzesana i często raniła wrażliwego Juliusa. Juliusowi nie było czego zazdrościć, bo nie miał ojca. Gundi też nie, ale miała za to Popa, a kto zamieniłby go na jakiegoś ojca? Julius z kolei mieszkał z matką, która była jeszcze gorsza od matki Lore – każdego dnia rozprawiała o wojnie światowej, która rzekomo pozbawiła ją męża oraz życia w roli poważanej małżonki oficera.

– Naprawdę mój ojciec mieszka w jednej z tych willi przy Ernststraße i żyje sobie wygodnie jako oficer bez armii – powiedział Julius. – Akurat wojna go jej nie zabrała – nigdy nie była jego żoną. Bo i jak? On jest junkrem, a ona tylko córką zwykłego urzędnika, a poza tym miał już żonę i dzieci, gdy zaczęła się z nim zadawać.

„Mój też” – chciała odpowiedzieć Gundi, której serce zacisnęło się z żalu, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Była rozpieszczana, bezpieczna, była najszcześniejszym dzieckiem nad Bałtykiem – jak mogła porównywać się z Julusem? Żeby go utrzymać, jego matka musiała pracować jako pomoc kuchenna. „Jak jakaś Polaczka” – wyrzekała i odmawiała sobie jedzenia, żeby jej syn mógł pójść do gimnazjum. Była bardzo chuda, wyglądała na wysuszoną i starą.

– Nigdy się ze mną nie śmiała – opowiadał Julius, a Gundi spontanicznie go przytuliła. Ona, Pop i ciotka Karl zawsze się śmiali i niezadko nie potrafili przestać.

Erik za to miał ojca. Był dżokejem, jeździł dla stajni Josefa Abramowicza na hipodromie w Sopocie i pięknie wyglądał na koniu i w kolorowej koszuli. Niestety, niemal zawsze przegrywał, a gdy przegrywał, nie miał pieniędzy, gdy zaś nie miał pieniędzy, sięgał po sznapsa i po pijaku wyładowywał złość na Eriku, jego matce i młodszym rodzeństwie. Kto ma takiego ojca, to lepiej, żeby go nie miał, myślała Gundi, ale Erik nie był tak wrażliwy jak Julius. Nie był też równie mądry, wyleciał z gimnazjum i zarabiał latem po parę guldenów, wożąc turystów po zatoce w naprawionej przez siebie łodzi. Tak właśnie Gundi i Lore poznały obu chłopców – na molo, a potem na wyprawie łodzią tego drugiego wspólnego lata, kiedy dziecięcy kostium kąpielowy w paski zrobił się dla Gundi za ciasny. We Wrzeszczu chłopcy byli nieznośni, mieli rozbite kolana i brudne szyje, ale Julius i Erik podobali się nawet ciotce Karl.

– Śliczni jak marzenie – powiedziała. – Jeden słodszy od drugiego.

Ich słodkość niewiele obchodziła Gundi. Dużo bardziej interesowało ją co innego: obaj kochali muzykę. Mieli takie same marzenia jak ona, a to uczyniło z nich przyjaciół, którzy od lat trzymali się razem. Erik odziedziczył po wuju kontrabas, na którym ćwiczył samodzielnie, aż palce mu krwawiły. Julius natomiast od małego pobierał lekcje gry na trąbce i występował w szkolnej orkiestrze. Uwielbiał jazz, co nie za bardzo podobało się jego nauczycielowi, ale Julius miał własne zdanie.

Tak, połączyła ich muzyka, pragnienie, by jako band zająć na sam szczyt. Tego lata jednak Gundi od czasu do czasu przyłapywała się na tym, że patrzy na Juliusa i Erika innymi oczami, nie widząc w nich tylko muzyków, kolegów, ale młodych mężczyzn, którym inne dziewczęta rzucały tęskne spojrzenia. Ciotka Karl miała rację: byli słodcy – raz jeden bardziej, raz drugi.

Julius był wysoki, miał blond włosy, szerokie ramiona. W grudniu pojechał do Gdańska, by sfotografować się u Nagorznika na Hundegasse ⁸. Swoje zdjęcie podarował Gundi na Boże Narodzenie. „Z wyrazami sympatii od Twojego sopockiego przyjaciela Juliusa Czarnetzkiego”, było napisane poniżej eleganckim charakterem pisma.

– Oj, oj, mój ty skowroneczku – powiedziała Ilse, chodząca do klasy Gundi, i wyrwała jej fotografię z rąk. – Mogłabyś i mnie zabrać tam, gdzie są tacy pyszni chłopcy.

Erik z kolei był dość niski jak na mężczyznę i nie miał tak pięknych włosów jak Julius, ale gdy patrzył na Gundi swoimi ciemnymi oczami

w pewien szczególny sposób, zaczynało się jej kręcić w głowie. Tak jak teraz, gdy drwiąco uniósł brwi i spytał:

– A co z nami? Czy Lore i ja mamy się przyglądać, jak jecie lody?

Gundi szybko przeliczyła w myślach, ile zostało jej pieniędzy do czasu, gdy ciotka Karl zapłaci jej w piątek. Tego roku bowiem przyjechała tu do pracy, nie w odwiedziny pod koniec tygodnia, tylko na całe lato. Propozycja wyszła od ciotki Karl. Gundi z wielkim trudem zakończyła naukę w szkole i nie wiedziała, co robić dalej.

– Dziewuszka chce grać muzykę – stwierdził równie bezradny Pop, kręcąc głową. – Ale jak się do tego zabrać, diabeł wie.

– Niech na początek pomoże mi w pensjonacie – zaproponowała ciotka Karl. – Do września mam wszystko zarezerwowane i przyda mi się pomoc. I bez obaw, będę jej za to coś płacić.

A zatem Gundi przeprowadziła się na cały sezon do Sopotu i była najszczęśliwszą siedemnastolatką nad Bałtykiem. Mieszkała w pokoiku pod dachem, tam, gdzie Czarnooka Zuzanna wspinała się ze swoimi kwiatami aż na parapet, a Lore, która w tygodniu stała za ladą w sklepie z towarami kolonialnymi, wpadała jak najczęściej z wizytą. Oczywiście Gundi nie musiała prawie w ogóle pomagać ciotce Karl, choć interes w pensjonacie kwitł, odkąd Sopot jako Monte Carlo Wschodu stał się modny i przyciągał więcej gości, niż miał mieszkańców. Felicja, pokojówka, wykonywała całą pracę tak szybko, że dla Gundi nie zostawało wiele do zrobienia. Pomagała przy maglowaniu prania, zamiatła schody i chodziła z ciotką Karl na targ, ale resztę dnia miała do swojej dyspozycji.

Naraz lato zdawało się nie mieć końca, tak jak niedziele jej dzieciństwa. Był dopiero lipiec. Niecałe dwa tygodnie wcześniej odbyło się korso kwiatowe, stanowiące główne wydarzenie sopockiego sezonu, a Gundi miała siedemnaście lat, grała na akordeonie i to, co najpiękniejsze, jeszcze ją czekało.

Najpiękniejsze chwile lata.

Najpiękniejsze chwile życia.

Zamierzała pójść na swój pierwszy bal do Sali Czerwonej w Domu Zdrojowym, spędzać niezliczone godziny na plaży razem z przyjaciółmi, a przede wszystkim grać muzykę, muzykę, muzykę. Tego lata musieli się zdecydować. Nie byli już uczniami, tylko młodymi dorosłymi na

początku swojej drogi. Jeśli miała to być droga muzyki, musieli teraz uchylić jakieś drzwi i wsunąć w nie stopę.

Gundi była siłą napędową. Julius i Erik musieli dodatkowo zarabiać, a Lore, która grała na gitarze, i tak miała czas tylko w niedziele. Wszystko zależało zatem od Gundi. Osiągnęła już tyle, że mogli odbywać próby w remizie kuzyna ciotki Karl, i pisała dla zespołu jedną piosenkę za drugą. Niektóre nie były złe. Brakowało jednak takiej, która roztopiłaby nie tylko lody, ale całą sopocką plażę.

A tej potrzebowali, jeśli pewnego dnia chcieli żyć z muzyki, zamiast rozwozić ryby albo oferować turystom przejażdżki łodzią! Jeśli pewnego dnia mieli nie wyczekiwać dłużej przed płotem Kasino-Hotelu, patrząc tęsknie, tylko stać tam na scenie, gdzie za chwilę tenor miał zaintonować *Daremne pragnienie*.

Jego występ stanowił główną atrakcję wieczoru. Było to tym ważniejsze, że śpiewał po polsku i początkowo zdarzali się turyści, którzy narzekali, że Kasino-Hotel jest w niemieckim posiadaniu i powinien oferować gościom niemiecką kulturę.

Te spory o niemieckość, która musiała odciąć się od polskości, z roku na rok stawały się głośniejsze i zacieklejsze. Gdańsk i Sopot były dawniej polskie, ale stały się niemieckie, później znowu polskie, a niedługo potem na powrót niemieckie – Gundi, która rzadko uważała w szkole, nie pamiętała już tego zbyt dokładnie. Teraz w każdym razie, od zakończenia przegranej wojny, nie były ani polskie, ani niemieckie – albo też należały po trochu do obu stron. Liga Narodów uznała ten obszar za osobne państwo z własnym Senatem, własną walutą i własnymi prawami. Wolne Miasto Gdańsk. Według Gundi brzmiało to pięknie. Nawet jeśli nie odpowiadało to pani Olschewski, panu Martensiusowi i paru innym, którzy byli zdania, że w Gdańsku jest pełno Niemców i dlatego powinien należeć do Niemiec.

Gundi ziewnęła. To było jej obojętne. Tak czy siak, jedną stację kolejową od Sopotu, w Gdingen – Gdyni, jak się teraz nazywała, zaczynał się już tak zwany polski korytarz. Od dawna mieszkało tam więcej Polaków niż Niemców, a w Gdańsku i Sopocie również było dużo polskiej ludności. Polska szkoła znajdowała się niedaleko tej, do której uczęszczała Gundi, była też Poczta Polska i polska skrzynka na listy oraz Delikatesy Staśka Kurowskiego, gdzie można było dostać najlepsze pierogi we Wrzeszczu. I był także ów polski tenor, który śpiewał piękniej niż Enrico Caruso i przynajmniej tego lata uciszał wszystkie gniewne głosy.

Większość Polaków z Gdańska i Sopotu mówiła całkiem dobrze po niemiecku, a większość Niemców znała przynajmniej kilka słów po polsku, ale Gundi akurat była pod tym względem tak nieumiejętna, że z *Daremneho pragnienia* rozumiała tylko tytuł. Czasami chciała nauczyć się tego języka, ale wiedziała, że nie będzie umiała się zmusić. Była zbyt leniwa.

– Moja dziewczuszka zna się na dwóch rzeczach – mawiał Pop do ciotki Karl.

– Na swojej harmonii i na byciu szczęśliwą. A poza tym na niczym.

Miał rację. Muzyka i bycie szczęśliwą zajmowały w życiu Gundi tyle miejsca, że musiała być leniwa we wszystkim innym. A czy w tej chwili nie wystarczyło, że skupiała się na muzyce, a zamiataniem i maglowaniem zarabiała na kieszonkowe, by móc postawić przyjaciołom lody? Później, owszem, później wszystko miało się zmienić, wtedy będzie ze swoim zespołem stać tam na górze, na podium, zarabiać dużo pieniędzy i kupować Popowi i ciotce Karl wszystko, na co nigdy wcześniej nie mogli sobie pozwolić. Tego wieczora jednak świat Gundi, taki, jaki był, wydawał się najzupełniej w porządku.

– Nikt nie będzie poszkodowany – powiedziała, wstając. – Więc na co macie ochotę? Truskawkowe? Cytrynowe? Lore, jak cię znam, nie będziesz umiała się zdecydować, więc lepiej wezmę oba.

Chciała już przywołać sprzedawcę lodów, ale uprzedził ją Erik. Sprężyście jak scyzoryk skoczył na nogi, a owczarek usiadł na tylnych łapach i spoglądał na niego wyczekująco. Duży ogon merdał, wzniesając burzę piaskową.

– Ja kupię lody – powiedział Erik od niechcienia, jakby miał kieszenie wypchane pieniędzmi. – A Lore może dostać tyle kulek, ile zapragnie.

Rzeczywiście miał kieszenie pełne pieniędzy – choć tylko tego dnia. Jego ojciec, który na wyścigach klaczy wystąpił na faworytce Wiślanej Wróżce, ponownie został zdyskwalifikowany z powodu niewłaściwego użycia szpicruty i uczynił nazwisko Tetzlaff pośmiewiskiem całego Sopotu. Z kolei drugi Tetzlaff – Erik – wygrał. Nie na wyścigach, ponieważ w dzieciństwie Erik spadł z konia i nienawidził jeździectwa. Zamiast tego wziął z Leksem udział w sopockim pokazie psów i zwyciężył. Wygrana była śmieszna w porównaniu z pieniędzmi, jakie przechodziły z rąk do rąk na wyścigach, ale dla czworga przyjaciół stanowiła

dużą kwotę. Erik nonszalancko wyjął pieniądze z kieszeni i razem z owczarkiem skierował się ku sprzedawcy lodów.

Gundi mimowolnie powiodła za nim wzrokiem. Dłonie schował w kieszeniach jasnych lnianych spodni, miał na sobie lekką, rozpiętą koszulę, powiewającą na wieczornym wietrze, a ukoronowanie stroju stanowił wspaniały kapelusz.

– Nic dziwnego, że wygrali – wymamrotała. – Są taką ładną parą. Gdy zaczniemy występować, musimy zabierać Leksa ze sobą na scenę.

– O tak, Leksa! – zawołała Lore, która początkowo bała się psa, ale teraz rumieniła się z radości, gdy kładł głowę na jej kolanach i pozwalał mierzwić gęste futro na swoim grzbiecie. Zaraz potem zasłoniła usta dłońią, jakby powiedziała coś niewłaściwego, i zerknęła na Juliusa.

Tak, powiedziała coś niewłaściwego. W przypadku Juliusa, jeśli się nie uważało, bardzo łatwo było powiedzieć coś niewłaściwego.

– Można by pomyśleć, że nigdy jeszcze nie widziałyście zawodowego muzyka – oburzył się. – Dlaczego właściwie zadajemy sobie trud, by leżeć tu cały dzień na czatach? Czy któryś z tych tam, na górze, występuje ze swoim zwierzakiem? A już na pewno nie kontrabasista. Kontrabasista nie jest liderem, tylko trzyma się drugiego planu, myślałem, że nie muszę wam tego tłumaczyć.

Gundi i Lore wymieniły spojrzenia, a Lore rozłożyła bezradnie ręce. Gundi próbowała uspokoić ją machnięciem dłoni. Wiedziała, jak czuje się siostra – żadna z nich nie chciała urazić Juliusa, ale tak trudno było tego uniknąć! Znacznie częściej niż Lore zdarzało się to Gundi, która popełniała gafę za gafą.

Erik zapłacił sprzedawcy i wrócił do nich z Leksem. Między długimi palcami, które tak zręcznie śmigały po strunach kontrabasu, trzymał sześć wafli z lodami. Dwa podał Gundi i Juliusowi, dwa zdumionej Lore, a jeden wsunął do pyska wyczekującemu Leksowi. Ostatni zachował dla siebie.

– Nie mówiłem, że chcę lody – rzucił ponuro Julius.

– Ale nie mówiłeś też, że nie chcesz – odparł Erik. Potem wzruszył ramionami. – Jeśli ci nie smakują, wyrzuc je. Pies nie będzie się skarżyć.

– To dla mnie nowość, że masz pieniądze, aby tuczyć swojego psa – powiedział Julius. – Ale to twoja sprawa.

Erik nie odpowiedział, tylko usiadł i spojrzał na Juliusa.

Lore nadal z niedowierzaniem wpatrywała się w dwa wafle z lodami. Najwyraźniej nie mogła się zdecydować, który zjeść, a roztopiająca się różowa i żółtawa zawartość spływała jej po palcach.

– Jedz już! – zawołała Gundi, wbijając czubek języka w lody i rozkoszując się zimną słodkością. – Erik wydaje pieniądze, żeby zrobić nam przyjemność, a wy nie potraficie tego docenić.

Erik jak zwykle wzruszył ramionami.

– Nie ma sprawy. Jeśli o mnie chodzi, mogą je wypluć na piasek.

– Skoro tak... – Tylko niebiosa wiedziały, dlaczego tego pięknego dnia Julius miał aż tak zły humor; on rzeczywiście splunął.

Nawet nie tknął lodów.

– Zachowujesz się jak prostak, wiesz? – Gundi przybrała karcący wzrok. – Nie myśl tylko, że ci to pasuje.

– A ty gadasz jak portowa dziewczucha. – Julius zmierzył ją wzrokiem. – Jakbyś nie miała kindersztuby. Może jesteś z tego dumna?

– I to jak – odparła Gundi. – W końcu nią jestem. Ochrzczona morską pianą z Nowego Portu. Ale kindersztubę mam i nieważne, jak bardzo jesteś urażony, nie waż się więcej mówić czegoś przeciwko mojemu Popowi, jasne?

Nim Julius zdążył ponownie otworzyć usta, zakręciła się, aż zafurczała jej spódnica i uderzyła o nogi. Widok ten wyjątkowo podobał się Gundi, choć nie była tak szczupła, jak chciałyby. Winę za to ponosiła ciotka Karl. Gdy Gundi po raz pierwszy przyjechała z Popem do Sopotu, ciotka dotknęła jej ramion i rąk i zakrzyknęła:

– Ta biedulka to sama skóra i kości. Będzie potrzebować dobrego masła i zupy z kluskami, żeby się podtuczyć.

Od tamtej pory wykorzystywała każdą okazję, by wpychać Gundi do ust albo do niebieskiej torby pączuszki, naleśniki z jabłkami, kompot gruszkowy i co tylko można było znaleźć w jej ogródku i kuchni. A ponieważ Gundi nie potrafiła odmawiać, nie była bynajmniej tak drobna jak ta delikatna brunetka, która czekała czasami przy scenie na polskiego tenora. Miała jednak ładne nogi. „Świetne podwozie”, jak zapewniał ją przyjaciel Popa, Gustav Kapahnke.

– Mnie w każdym razie smakuje – powiedziała do Erika i głośno ugryzła wafelek, a zimno posłało falę bólu aż do korzeni zębów. – Dziękuję, Eriku. Cieszę się.

Podeszła do niego, a on wykonał przed nią drwiący, ceremonialny ukłon.

– Nie ma sprawy. W zasadzie to nie ja, tylko Lex je zafundował.

Pan i pies spoglądali w jej stronę, dwie pary ciemnych oczu, nieprzenikniona jedność. Często czuła się w ten sposób przy Eriku. W jednej chwili była pewna, że ją lubi, a może nawet coś więcej, ale w następnej cała bliskość się ulatniała, a on sam wydawał się zniknąć za zasłoną. Był wtedy dorosłym mężczyzną, który poczynił już pierwsze kroki na drodze do zostania zawodowym muzykiem, a ona nadal uczennicą, którą, co prawda, każdy lubił, ale której nikt nie traktował poważnie.

Był wspaniałym kontrabasistą, z niezawodną pewnością wychwytyjącym błędy i potknięcia, które zdarzały się jej jako śpiewaczce, a fakt, że grywał w zastępstwie w różnych kawiarnianych zespołach, sprawiał, iż jeszcze wspanialej było z nim muzykować. W przeciwieństwie jednak do Lore, która zachwycała się niemal każdą nutą, i do Juliusa, który w każdej nowej piosence pokładał nowe nadzieje, Erik nigdy nie wyraził się z uznaniem o żadnym z utworów Gundi.

Ponieważ nie były dość dobre. Z dziecinną łatwością zapamiętywała melodie i potrafiła bez najmniejszego wysiłku aranżować kompozycje tak, by ostatecznie pasowały wszystkim: zarówno Erikowi, ich najlepszemu instrumentalistcie, jak i Lore, która nie wychodziła poza podstawy gry. Brakowało jej jednak muzycznych pomysłów. Siedziała przed pustą kartką, gryząc ołówek i mając pustkę w głowie.

Czasami Gundi miała wrażenie, że wreszcie się udało i stworzyła piosenkę, która poruszy ludzi tam, gdzie nie docierają słowa, i doprowadzi ich do śmiechu i łez. Ale gdy tylko widziała nieporuszoną minę Erika, wiedziała, że również tym razem to nie wystarczy, że jej piosenka nie wywoływała niczego, żadnego drgnięcia w sercu ani mrowienia na skórze, a pół dnia później melodia ulatywała z jej głowy.

Z kolei utwór taki jak *Daremne pragnienie* nigdy z niej nie znikał. Zakradał się do ucha i gdy Gundi pośpiesznie kończyła zmywanie naczyń lub biegła leśną dróżką na plażę, przyłapywała się na tym, że go nuci. Również teraz, kiedy zza ogrodzenia Kasino-Hotelu dochodziła przygrywka skrzypiec. Gundi popatrzyła na Erika i zapomniała o lodach.

W jego oczach tańczyły małe iskiereki, odbicia lampionów, które kołysały się w nadciągającym od morza wietrze.

– Jak to musi być pięknie – wymruczała Lore. – Być tam na górze. Choćby tylko raz.

– Będziemy tam, Lorciu – zawołała Gundi, nie odwracając się. Tęsknota była tak silna, że czuła, jak jej nogi chcą pobiec i przeskoczyć przez płot. – Będziemy tam nie jeden raz, tylko kolejny i jeszcze jeden – tyle, ile będziemy chcieli.

– Obyś miała rację – powiedział Erik. – Gdy widzę, ilu takich jak my gołców chce zbić majątek na muzykowaniu i ilu pojawia się wciąż nowych, zastanawiam się, czy nie lepiej zająć się hodowlą psów.

– Nie mówisz poważnie! – zawołała Gundi. Nie mógł mówić poważnie, bo przecież zawsze było oczywiste, że będą walczyć razem, dopóki nie osiągną celu. Jeśli jedno z nich by się wyłamało, mogli o wszystkim zapomnieć.

– Pewnie nie – odparł Erik. – Mam przecież tylko Leksa, a z tymi paroma groszami, które posiadam, nie stać by mnie było nawet na sukę. Ale to poroniony pomysł. Jeśli nie wymyślimy numeru, który wyróżni nas z tłumu, będziemy musieli wreszcie przyznać, że postawiliśmy na złego konia.

Gundi była tak oburzona, że zabrakło jej słów. Jak mógł powiedzieć coś takiego? Byli przecież młodzi, dopiero zaczynali – a Erik chciał się poddać? Jeśli by to zrobił, ona byłaby temu winna. Przecież to ona nie potrafiła stworzyć odpowiednio dobrego numeru i pomimo swej niezmiernie miłości do muzyki zapisywała na papierze same przeciętne utwory.

– Chyba się przesłyszałem. – Julius wstał i skrzyżował ręce na piersi. – Chcesz zrezygnować? Porzucić naszą muzykę i już wiecznie harować za głodową pensję? A na pocieszenie dajesz dziewczynom głupie lody? Nie ma mowy. Ja w nas wierzę i dziś będziemy to świętować. Gwiżdżcie na lody Erika, zapraszam was do Kasino-Hotelu na szampana.

Z takim samym gestem jak wcześniej Erik wyjął pieniądze z kieszeni, ale u niego nie wyglądało to niedbale. Zamiast garści pomiętych banknotów wyciągnął wytarty portfel. Czerwień nieba przeszła w fiolet, tenor w cudownych tonach zaczął śpiewać *Daremne pragnienie*, a Gundi nie wierzyła własnym uszom.

Lore oniemiała.

– Do Kasino-Hotelu? – wyjąkała. – Ale takich jak my tam nie wpuszczają.

– Dlaczego mieliby nas nie wpuścić? – odparł Julius. – Czy moje pieniądze są może gorsze od pieniędzy innych ludzi, czy zapłacę mniej, bo nie mam tytułu szlacheckiego i nie odziedziczę dóbr w Prusach Wschodnich? W naszym Senacie zasiadają socjaldemokraci, w Kreistagu, radzie powiatu, nawet wygrali. U nas, w Wolnym Mieście, każdy człowiek wart jest tyle samo.

Erik roześmiał się.

– Naprawdę w to wierzysz czy tylko lubisz słuchać swojego głosu?

– Dlaczego miałbym w to nie wierzyć? Przez wszystkie te lata pozwalałem poniżać się bogaczom, którzy uważają się za coś lepszego, ale koniec z tym. Mogą mnie pocałować, gdzie słońce nie dochodzi.

Wymówił te słowa w charakterystyczny sposób. Gundi wiedziała, jak bardzo nienawidził, gdy przez omyłkę zdarzało mu się użyć gdańskiego dialektu, zdradzającego mało szlachetne pochodzenie. Był jednak piękny, gdy tak stał, prosty jak świeca, w gasnącym świetle, z oburzeniem wypinając pierś.

Machał portfelem w stronę Erika.

– Kto płaci, przed tym drzwiami stoją otworem. A jeśli Gundi koniecznie chce posłuchać z bliska tego wypomadowanego zawodzącego typu, to jej życzeniu stanie się zadość.

Polak nie zawodził. Każdy jego ton był czysty jak szkło i pomimo operowego tembru głosu wykonywał tango jazzowo i jedwabiście, choć w tej chwili było to Gundi obojętne. Powinna była powiedzieć Juliusowi, żeby nie marnował tych paru groszy na rzeczy, na które w najmniejszym stopniu nie było go stać, ale nie potrafiła. To, co proponował, było zbyt kuszące.

– No, co powiecie? – zawołał. – To dobra oferta czy nie?

– Jeszcze pytasz! Jesteś najlepszy, Ju-Ju! – Gundi skoczyła ku niemu, wzbijając tuman piasku, i zarzuciła mu ręce na szyję.

Do przeklętego Kasino-Hotelu rzeczywiście ich nie wpuścili. Gdyby chodziło tylko o niego, Julius i tak nie postawiłby stopy w tym wytwornym lokalu, w którym mężczyźni tacy jak jego ojciec w ciągu paru minut tracili sumy, za które kobiety jak jego matka utrzymywały się przez miesiąc. Ale nie chodziło o niego. Chodziło o Gundi, a gdy o nią szło, tracił rozum.

Portier w głupiej operetkowej liberii potraktował go jak uciążliwego urwisa, którego przegania się machnięciem dłoni. „Tylko dla gości”, obstawał, choć było powszechnie wiadomo, że na potańcówki na przystrojonym tarasie przybywali kuracjusze ze wszystkich hoteli. Pieniądzy, które pokazał mu Julius, nawet nie zaszczycił spojrzeniem.

Nie były to pieniądze Juliusa. Matka mu je dała, by zrobił sprawunki na cały tydzień. Julius zawsze robił zakupy do ich mizernego gospodarstwa i nigdy jeszcze nie przyszło mu do głowy, by zatrzymać dla siebie choćby pół guldena. Był uczciwy i zdyscyplinowany. Jeśli czuł się z czegoś dumny, to z tych dwóch cech, ale dziś obie zawiodły. Nie odzywać się i patrzeć, jak Gundi nie tylko wzdycha do tego bufonowatego tenora, ale w dodatku pozwala Erikowi kusić się głupimi lodami, tego było dla niego za wiele. Wyciągnął banknoty z portfela i zamachał nimi przed twarzami przyjaciół, jakby jutro nie miało nadejść. Ocknął się z szaleństwa dopiero wtedy, gdy portier zatrzasnął mu bramę przed nosem, ale nie było już odwrotu. I tak doszczętnie zblamował się przed Gundi. Musiał teraz okazać wyższość i zminimalizować straty, w przeciwnym razie nigdy więcej nie zdoła pokazać się jej na oczy.

Jakaś starsza kobieta, obwieszona świecidełkami jak bożonarodzeniowa choinka, podeszła zaciekawiona i postukała go wachlarzem w policzek.

– No, mój śliczny – pobłdziłeś? Co chciałeś tu zamówić za swoje parę odłożonych groszy? Pół szklanki wody?

Jaki rozsądny człowiek potrzebował na sopockiej plaży wachlarza, jaka osoba obdarzona sercem mogła pysznić się swoim odziedziczonym bogactwem, a złośliwość uważać za dowcip? Julius był wściekły na siebie samego. Nie miał powodu zazdrościć tej kobiecie, z której pomarszczonej twarzy odpadała szminka i która musiała pić swojego perlistego szampana w samotności, nie trącając się z nikim kieliszkiem. On za to był młody i pełen marzeń, stał pod roziskrzonym gwiazdami niebem i miał najlepszych przyjaciół na świecie.

– Tutaj za bardzo powiało stęchlizną, dzieciaki – zawołał. – Chodźmy gdzieś, gdzie można porządnie potańczyć i cieszyć się latem.

Bez namysłu chwycił Gundi i pociągnął ją za sobą. Lore i Erik, który zostawił swojego psa pod opieką właściciela koszów plażowych, podążyli za nimi. Ruszyli wzdłuż nadmorskiej promenady, próbując szczęścia w każdym mijanym hotelu, choć wiedzieli, że nie tylko ten największy i najbardziej luksusowy, ale także te drugiej i trzeciej kategorii pozostaną przed nimi zamknięte. Od strony Seestraße ⁹, prowadzącej za wieżą widokową i dużym Domem Zdrojowym do dworca, dobiegało jednak zapraszające żółte światło latarni. Mieścił się tam lokal za lokalem. To Erik skierował ich w tamtą stronę.

– Nie ma sensu, żeby nogi rozboleły nas od włączenia się wzdłuż plaży. Tutaj dostaniemy przynajmniej coś do picia.

Trafili do lokalu Blauer Pudel, Błękitny Pudel, spelunki w zasadzie zbyt ciasnej do tańca, ale mającej w sobie coś szczególnego; wnętrza utrzymane w swoistym stylu, wyposażone w zbieraninę mebli, a wybór muzyki wyraźnie świadczył o dobrym guście.

Julius nie chciał już o niczym myśleć, tylko tańczyć i zapomnieć. W Pudlu nie podawali szampana, ale za pieniądze matki dostał kilka butelek francuskiego białego wina, schłodzonego w zaśnieżonym srebrnym kubku. Elkeles, barman, wyglądał jak atrakcyjny krewny diabeł, stale trzymał za uchem dziwny automatyczny ołówek, a piwniczkę lokalu wyposażył w trunki szlachetniejsze od gości.

Wino było luksusem, do którego nie nawykli, wypili je za szybko i niemal na puste żołądki. Do tego doszło słońce, które przez cały dzień świeciło im na głowy, podekscytowanie oraz miękki jazz, przenikający do krwi. Alkohol podziałał błyskawicznie. Z każdym kieliszkiem głos sumienia stawał się cichszy, troski znikwały. Pozostała tylko przytulna, przepełniona sala i taniec z Gundi.

Przytulała się do niego, z powodu ciasnoty nie miała zresztą wyboru. Ale i tak by to zrobiła, robiła to zawsze, nie dlatego, że się jej podobał, tylko dlatego, że przepełniała ją ufność i czułość. Choć zachowywała się zuchwale i pewnie, w głębi duszy wciąż była naiwnym dzieckiem. Nie zauważała, że on, czując na swoim ciele jej twarde piersi i brzuch, którego nigdy nie wciągała, niemal umiera. Zamiast tego paplała dalej, jak tu pięknie, jak to miło z jego strony, że ich zaprosił, jak uwielbia tańczyć i jak podoba się jej muzyka dochodząca z szumiącej tuby gramofonu.

– Czyż nie jest cudowna, Ju-Ju? Czy nie chciałbyś słuchać jej od rana do wieczora i potem przez całą noc?

Gdybym tylko mógł trzymać cię wtedy w objęciach, pomyślał Julius. Położył dłonie na plecach Gundi i gładził je, czując przez materiał bluzki jej mocne ciało, jej życiową siłę. Piękne oczy Gundi zaszyły mgłą i przez chwilę, przez jedną błogą sekundę odważył się mieć nadzieję, że ona obudzi się ze swoich dzieciennych marzeń i poczuje to samo co on.

– Kiedyś powiedziałam do Popa: „Muzyka mnie uszczęśliwia” – mówiła. – A Pop odparł: „Ale przecież już jesteś szczęśliwa, dziewczuszko”, i wtedy zrozumiałam, wiesz? Muzyka sprawia, że zawsze staję się taka, jaka już jestem, tylko o wiele bardziej: jeśli jestem szczęśliwa, czyni mnie przeschczęśliwą, a gdy jestem smutna, muszę wtedy płakać.

Julius zdjął dłoń z jej pleców i uniósł podbródek Gundi.

– Dlaczego jesteś teraz smutna?

– Teraz? Ach, sama nie wiem. – W kąciку jej oka pojawiła się łza i potoczyła się po policzku. – Ponieważ jest tak pięknie. Ta muzyka i taniec. I ponieważ sądzę, że Erik ma rację. Po prostu nie mam tego w sobie. Nigdy nie napiszę piosenki, którą ludzie będą nocą zabierać ze sobą do snu, a następnego dnia nucić w drodze na plażę.

– Ach, Gundi! – Julius otarł jej łzy i zmusił, by spojrzała na niego. – Są jeszcze inne rzeczy oprócz muzyki, myślisz czasem o tym?

On sam często postępował tak, jakby nie istniało nic innego. Jego matka, która kupiła mu trąbkę, ponieważ w jej wyobrażeniu pasowało to do syna oficera, narzekała:

– Gdybym wiedziała, że dzień po dniu słyszeć będę od ciebie tylko to trąbienie, pomyślałabym dwa razy.

On jednak ćwiczył w każdej wolnej chwili, ponieważ muzyka była dla niego szansą na ucieczkę z dwóch pokoi w domku z latryną na podwórku.

Nie było innej możliwości. Maturę zdał w najlepszym razie miernie, zbyt często wagarował, bo nie znosił wyniosłych spojrzeń i drwin mieszczkańskich synów. Studiować i tak nie mógł, bo skąd miałby wziąć na to pieniądze? Chwilowo rozwoził konserwy rybne, jeździł na pogiętym rowerze obładowany kosztami po hotelach i restauracjach, a wieczorem szorował się do krwi, by pozbyć się smrodu. Latem w Sopocie wszystko, co ponure, kryło się za fasadą plażowego życia i urlopowej radości, ale

w Gdańsku kolejki bezrobotnych przed urzędami codziennie rosły. Sytuacja gospodarcza wcale nie była różowa, a Julius nie miał żadnych znajomości.

– I na to harowałam – wyrzekała jego matka. – Mój syn został chłopcem na posyłki. Zamiast pomagać mi na starość, wylądował w rynsztoku.

Julius nie zamierzał wylądować w rynsztoku, tylko pokazać wszystkim, którzy w niego nie wierzyli, na co go stać. Dlatego wszystkie siły poświęcał muzyce. Dla Gundi natomiast muzyka była czymś w rodzaju tajemnego eliksiru, który musi pić, by żyć pełnią życia. Łagodną kokainą. Pod palcami Julius czuł drganie silnych mięśni Gundi, niecierpliwość, pożądanie, którego nie mogła zaspokoić.

– Inne rzeczy niż muzyka? – spytała zdumiona, jakby nie mówił po niemiecku. – Nie, Ju-Ju, nie sądzę. Oczywiście są lody i wino, i słynne naleśniki z farszem ciotki Karl, jest morze, do którego lubię wbiec z samego rana, a w przyszłą niedzielę przyjedzie Pop i będziemy do północy grać w remika. Ale bez muzyki to wszystko byłoby niczym, mam rację?

Taka była Gundi. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, by powiedzieć mu to, co chciał usłyszeć. Zawsze była sobą, dlatego nie dało się na nią gniewać. Nie wiedział, kiedy się w niej zakochał. Odkąd tego roku sprowadziła się tutaj i przestała być uczennicą, kilka razy próbował jej to powiedzieć, ale wątpił, by naprawdę go zrozumiała.

W milczeniu przetańczyli kilka kroków, a potem Gundi wybuchnęła śmiechem, gdy jej krągłe pośladki otarły się o jakiegoś pana w niebieskiej aksamitnej marynarce, a ten odwrócił się, odpowiedział uśmiechem i wyglądał na zachwyconego. Julius najchętniej naskoczyłby na niego i odepchnął na bok. Po chwili muzyka z płyty ucichła i pary oderwały się od siebie.

– Chce mi się pić, wróćmy do reszty – powiedział Julius, nim ów typ zdążył wpaść na pomysł, by odciągnąć od niego Gundi.

– Ach tak, mnie także. – Brzmiała wesoło, cały smutek uleciał. – Twoje wino smakuje latem, choć na ogół wolę słodkie. A poza tym musimy rozruszać tych dwoje ponuraków.

– Erika i Lore?

Gundi przytaknęła.

– Przez cały wieczór nawet nie zatańczyli.

Erik i Lore siedzieli na zielonej tapicerowanej ławce, wciśnięci za róg stołu, przy którym najwyraźniej odbywało się jakieś zgromadzenie. Ośmiu mężczyzn, z których większość nosiła mało twarzowe mundury w kolorze błota, stukano się kieliszkami, wznosząc głośne toasty.

– Za walkę obronną – ryknął jeden. – Kto jako gdańszczanin kupuje polskie towary, które w dodatku przyjechały z Gdyni, ten traci prawo do nazywania się Niemcem.

Takie hasła nie były dla Juliusa nowością. Jego matka stale je skądś przynosiła, choć nie znała się na polityce. Po wojnie wbrew woli mieszkańców Gdańsk został wydzielony z Rzeszy Niemieckiej i poddany kontroli Ligi Narodów, aby zapewnić nowo powstałemu państwu polskiemu dostęp do Bałtyku. „Cierń w boku odważnych mężczyzn jak twój ojciec, którzy walczyli za swój kraj. Jak mają to przeboleć, że ich piękne miasta, ich Danzig, ich Zoppot, nie mogą się już nazywać niemieckimi, a przez ich kraj ciągnie się polski korytarz, który dzieli go na dwie części?”.

Wiele z tego było bez wątplenia prawdą. Korytarz oddzielał Prusy Wschodnie od Rzeszy, a kto chciał przejechać przez niego pociągiem, musiał zająć miejsce w wagonie, który następnie plombowano. Wymóg ten wzbudzał w ludziach wściekłość, a odwieczne spory celne nie poprawiały sytuacji. Matka Juliusa, która tylko powtarzała całą tę gadaninę, nic z niej nie rozumiejąc, zapominała jednak, że Gdańsk nieźle się bogacił na przeladunku polskich towarów w swoich portach. Odkąd Polacy w pobliskiej Gdyni – należącej już do korytarza – wybudowali własny nowoczesny port i wycofali interesy z Gdańska, nadwątlona gospodarka mocno ucierpiała, a przedsiębiorstwa były zmuszone zwalniać pracowników.

Tym wszystkim gorączkowali się pijący sznapsa mężczyźni w brudnobrązowych koszulach. Jeden z nich, z twarzą usianą czerwonymi, zaropiałymi krostami, awanturował się, że pochodzi z pobliskiej miejscowości o zabawnej nazwie Putzig, która stała się jednak polska i musiała przyjąć nazwę Puck.

– Nasz Putzig był takim szykownym kurortem, Zoppot nie mógł się z nim równać, a teraz siedzą tam Polacy i śmieją się w kułak. Nazywają to zaślubinami Polski z morzem i w ich rocznicę wyprawiają tam libację, że chce się rzygać.

Nie można im było mieć tego za złe. Julius nie wyobrażał sobie, jak sam by się czuł, gdyby Liga Narodów zabrała także Sopot i klejnot

Gdańsk i uznała je za polskie. Kiedy indziej chętnie śledziłby dalszy przebieg rozmowy, ale dziś interesowała go tylko Gundi.

Cudownie było z nią tańczyć. Przytulać się do niej na ciasnej ławce byłoby pewnie jeszcze cudowniej, choć na samą myśl o tym dostawał wypieków. Nie mógł się doczekać, aż poczuje ją obok siebie, ale gdy chciał usiąść i przyciągnąć Gundi ku sobie, wstał Erik.

– Teraz moja kolej – powiedział, parodiując ukłon. – Gundi, wyświadczysz mi ten zaszczyt?

– No pewnie! – Gundi rozpromieniła się i wyminawszy Juliusa, chwyciła dłoń Erika. Wokół gramofonu garstka gości kłóciła się o następną płytę i ostatecznie wybrano *Blue Skies*, utwór z Ameryki, który Julius uważał za porywający. Pochodził z najnowszego filmu, do którego nie były już potrzebne brzdąkający przed ekranem pianista ani plansze z napisami, ponieważ wszystko – muzyka, dialogi, odgłosy – zostało nagrane razem z obrazem. Film dźwiękowy! Coś takiego możliwe było tylko w Ameryce. Juliusa ogarnęła tęsknota za dalekimi stronami. Niczego jeszcze nie zobaczył, niczego nie przeżył, ale wszędzie chciał znaleźć się razem z Gundi. W wielkich hotelach, na zalanych słońcem plażach, w miastach, gdzie nigdy nie panował mrok.

Jego Gundi, której chciał złożyć u stóp cały migoczący świat, odeszła z Erikiem i tańczyła z nim do *Blue Skies*. Miała na sobie bluzkę haftowaną w pęczki chabrów i niebieską spódnicę, uszytą przez kochankę jej dziadka, i zapewne nie miała pojęcia, że w tym dzieciennym stroju wygląda bardziej uroczo i ślicznie niż jakakolwiek salonowa piękność w wyrafinowanej sukni. Julius gapił się na nich i czuł się jak idiota. Dlaczego poszedł do stolika, zamiast tańczyć dalej, dlaczego zostawił ją Erikowi, właśnie przy *Blue Skies*, utworze wręcz dla nich obojga skomponowanym?

Blue Skies nie był typowym utworem tanecznym, nadawał się tylko do ciasnych pomieszczeń, przytłumionego światła i dla gości, którzy nigdy nie nauczyli się dobrze tańczyć. Napisany dla dziewcząt takich jak Gundi, które radość życia miały w biodrach, gdzie nie panował rozum, lecz rozhuśtana zmysłowość. Julius zobaczył ponownie przed oczami jej roześmianą twarz, po której spływała jedna łza, i wreszcie zrozumiał, co miała na myśli. Taka piosenka była nam potrzebna, pomyślał, piosenka jak *Blue Skies*, która wywołuje śmiech i łzy, niczym soczewka tysięcy razy zwielokrotniająca uczucia.

Julius nie rozumiał tekstu, ale czytał o filmie. Opowiadał on o chłopaku, który zrywa z rodziną, by podążyć za marzeniem i śpiewać jazz. Piosenkę *Blue Skies* wykonuje dla swojej matki, którą kocha, ale mimo to porzuca. Był to pogodny, ponury, wesoły, smutny utwór, a on, Julius Czarnetzki, również mógłby zaśpiewać go dla swojej matki.

W tym tkwi tajemnica, pomyślał. Dobra piosenka każdemu daje poczucie, że została napisana właśnie dla niego. Wiele z tego, co tworzyła Gundi, było ładne i urocze, ale nie wzruszało, ponieważ nie miało nic wspólnego ani z nią, ani z nikim innym. Może jej obawy były prawdziwe i miała nigdy nie napisać czegoś, co okazałoby się czymś więcej. Julius słuchał *Blue Skies* w wykonaniu Ala Jolsona, najwyraźniej rozumiejącego, co Julius czuje, i wiedział, że on sam by tego nie potrafił.

Nie była to rzecz, której można było tak po prostu spróbować lub się nauczyć, tylko coś zastrzeżonego dla niewielu obdarzonych szczęściem ludzi.

Wyrwało mu się ciężkie od wina westchnienie, wzrokiem śledził Erika i Gundi. Dlaczego świat był właśnie taki, dlaczego los sprzyjał niektórym ludziom, na przykład owemu tenorowi od tanga, pozwalał im żyć w blasku sukcesu i talentu, podczas gdy inni wiecznie tkwili na dnie? Tak bardzo pragnął pewnego dnia należeć do tych pierwszych, chwycił się tego marzenia, ale teraz nagle wszystko zdawało się rozpadać na kawałki, a na dodatek Gundi tańczyła z Erikiem.

Erik tańczył tak dobrze jak nigdy wcześniej. Na skutek urazu, którego nabawił się przy upadku z konia, poruszał lewym biodrem kanciasto i sztywno. Tego wieczora jednak Julius po raz pierwszy widział, że Erik stara się ukryć tę wadę. Jego prawa dłoń gładziła plecy Gundi, spoczęła na jej talii i przyciągnęła ją bliżej do siebie. Erik był przyjacielem Juliusa. Byli sąsiadami, połączył ich status outsiderów wśród dzieci zanych sopockich drobnomieszczan – Juliusa jako nieślubnego dziecka, a Erika jako syna zapitego nieudacznika. Zawsze się cieszył, że ma u swego boku Erika, ale dziś najchętniej posłałby go na Księżyc.

Czy przyjaciel naprawdę liczył na to, że zdobędzie Gundi dla siebie?

Musiał przecież wiedzieć, ile znaczyła dla Juliusa, każdy musiał to wiedzieć, miał to dosłownie wypisane na czole, widać to było w każdym jego kroku, słyhać w każdym wymawianym słowie!

Julius nadal śledził wzrokiem Erika i Gundi i zrozumiał, że przyjaciel czuje to samo. Na jego czole wypisane było jedno:

Gundi. Gundi. Gundi.

8

Julius sięgnął po kieliszek i wlał w siebie zawartość. Strużka popłynęła mu po podbródku i skapnęła na koszulę. Czy nie będzie mu oszczędzone nawet to, że nie obcy tenor, ale właśnie jego jedyny przyjaciel sprzątnie mu Gundi sprzed nosa? Zmarnował pieniądze, okradł swoją matkę, rano nie będzie wiedział, jak wytłumaczyć jej pustki w spizarce – a teraz w dodatku zostanie przegrany?

Ale czy Erik miał jakąś szansę?

Julius wiedział, że mógłby mieć powodzenie u dziewcząt. Uchodził za przystojnego, dbał o dobre maniery, a gra na trąbce stanowiła jego dodatkowy atut. Erik natomiast był zamknięty w sobie, sarkastyczny, ponury – taki typ nie podobał się dziewczętom. Jako basista stał w drugim rzędzie, a pieniędzy miał równie mało jak Julius. Nawet mniej. Łódź pozwalała mu zarabiać tylko latem, a większość zarobku przejadał jego ukochany pies.

Ale Gundi lubiła psa. I Gundi była inna. A co, jeśli Gundi nie przywiązywała wagi do tego, co było ważne dla innych dziewcząt, i dostrzegła w Eriku coś, czego nie widział nikt inny?

Ktoś pociągnął go za rękaw. Odwrócił się i zobaczył Lore, która wpatrywała się w niego wielkimi oczami. Nagle poczuł wstyd. Czy właśnie nie szczyił się swoimi manierami, o wiele lepszymi niż u Erika? A oto stał tu, każąc biednej Lore siedzieć, choć było jasne, czego od niego oczekuje: skoro Erik tańczył z Gundi, Julius powinien poprosić do tańca drugą dziewczynę z ich grupki. Jej spojrzenie, przepełnione nadzieją, chwytало za serce.

– Przepraszam, Lore – powiedział pospiesznie. – Jestem rozkojarzony. Zaciekawilo mnie, co robia ci ludzie przy gramofonie. – Wskazal na grupke, ktora pokazywala sobie okladki plyt i dyskutowala z ozywieniem.

– Tak, jest śliczna, prawda? – Nadzieja w spojrzeniu Lore zgasła. – Rozumiem, że cię interesuje. Możesz śmiało iść i z nią zatańczyć, ja sobie tu poradzę.

Julius ponownie odwrócił się w stronę grupki i zrozumiał, kogo ma na myśli Lore. W otoczeniu mężczyzn stała dziewczyna w czerwonym kostiumie i prześlicznym kapelusiku. Sama również była zachwycająco prześliczna. Ciemne włosy ułożone na pazia, twarz niczym symetryczne serce. Dołeczki w policzkach. Aksamitne oczy pod wywiniętymi rzęsami. Nic dziwnego, że młodzi mężczyźni nadskakiwali jej niczym napuszone koguty. Inna dziewczyna, nieco pulchniejsza i z włosami uczesanymi w warkocze, stała z boku niezauważona, tak jak Lore, podczas gdy śliczna panna odrzucała głowę w tył i śmiała się srebrzyście.

– Mówisz o tej dziewczynie w kapeluszu? Zupełnie nie zwróciłem na nią uwagi – powiedział Julius zgodnie z prawdą. Ta mała była słodka, roztaczała pewien urok, ale on jak zawsze miał oczy tylko dla Gundi. – Nie chcę tańczyć z nią, tylko z tobą.

– Piosenka zaraz się skończy – odparła Lore przygnębiona. – Lubię ją. Nawet jeśli nie rozumiem z niej tyle co wy.

– No chodź. – Julius z pewnym trudem oparł się pokusie, by wywinąć się od obowiązku. Wziął Lore za rękę i pociągnął ją, by wstała. – Ja też ją lubię. Pochodzi z tego amerykańskiego filmu...

– *The Jazz Singer* – *Śpiewak jazzbandu* – powiedziała Lore. – Chłopak, który ją śpiewa, chce trafić na scenę tak jak my, ale jego ojciec woli, by zgodnie z tradycją został kantorem w synagodze. Gdy syn rusza na Broadway, ojciec się go wyrzeka, ale matka wierzy w niego i mówi mu, że ma śpiewać to, co ma w sercu. Na końcu chłopak powraca, bo jego ojciec umiera, i śpiewa tę przepiękną religijną pieśń.

– Skąd to wszystko wiesz? – wyrwało się zdumionemu Juliusowi. – Nie wiedziałem, że interesujesz się filmami.

Najmniejszy powód wystarczał, by Lore się zaczerwieniła. Również teraz tak się stało.

– Lubię chodzić do kina – wymruczała. – Tylko rzadko mam okazję.

– I znasz angielski?

– Nie umiem mówić. Ale nauczyłam się czytać z książki. Tak jak grać na gitarze. Każdy może, trzeba tylko ćwiczyć.

– A do czego ci to potrzebne? – Julius nadal był zdumiony, nie podejrzewał cichej Lore, która zwykle trzymała się w cieniu Gundi, o tyle inicjatywy.

– Do niczego. – Lore spuściła głowę i potknęła się.

Julius ją podtrzymał. Muzyka się zmieniła, zabrzmiała kolejna piosenka pod tytułem *Dirty Hands, Dirty Face*, wolniejsza i pozwalająca tańczącym na przytulanie i ukryte pieszczoty.

– Bez powodu uczysz się angielskiego i czytasz o filmach, których nawet nie możemy tu zobaczyć?

Głos Lore jeszcze bardziej przycichł.

– Jeśli podam ci powód, wyśmiejesz mnie. A tego bym nie chciała, Juliusie. Naprawdę nie.

– Nikogo nie wyśmiewam. – Nienawidził ludzi, którzy to robili, którzy tylko czekali na to, aż ktoś się potknie, żeby samemu wybuchnąć rżącym śmiechem.

– Kiedyś wymarzyłam sobie, że mogłabym wystąpić w filmie – dobiegły go ledwie słyszalne słowa Lore. – Teraz będziesz się śmiać, prawda? Bo to śmieszne. Akurat ja.

Julius przyciągnął ją do siebie. Tak, to było śmieszne, ale jeszcze bardziej smutne. Życie nie było sprawiedliwe.

Chwilę później wokół gramofonu wybuchło zamieszanie.

– No chodź, kotku. Powinnaś być na parkiecie, choć przy wyciu tego Żyda przemalowanego na Murzyna można się porzygać. – Powiedział to jeden z chłopaków w brunatnych koszulach, przysadzisty i z wysypką na twarzy, pochodzący z kurortu Putzig. Chwycił dziewczynę w ślicznym kapeluszu za ramię i chciał wyciągnąć ją z grupy. Próbowwała się uwolnić, ale nie dała rady.

Z pomocą przyszedł jej mężczyzna przewyższający tego w brunatnej koszuli o dobrą głowę, potężny typ, którego bicepsy dosłownie rozpychały przyciasną marynarkę. Pchnął niższego chłopaka, który szybko puścił dziewczynę i zatoczył się o dwa kroki w tył.

– Ty ją zostawić, jasne? Bo będą kłopoty – rzucił łamanym niemieckim.

Mężczyzna w brunatnej koszuli pozbierał się.

– Nie będziesz mi rozkazywał, Polaczku! – Jego twarz poczerwieniała. – To nasz kraj i będziemy tu robić z dziewczynami, co nam się podoba.

– Nie z moja siostra. – Ten z wysypką napuszył się, pewnie licząc na to, że zastraszy przeciwnika. Jednak gdy Polak wystąpił naprzód, stało się jasne, że nie ma szans. Z każdym krokiem Polak zmuszał Niemca do ustąpienia pola. – Ty jej dotknąć jeszcze raz i dostać w pysk.

– Jeszek, przestań! – zawołała po polsku słodka dziewczyna, a Julius wystarczająco dobrze ją rozumiał. – Puść go, jest po prostu pijany, nic mi się nie stało.

Polak, który okazał się jej bratem, nie posłuchał, tylko dalej spychał Niemca w głąb pomieszczenia. Od stołu, przy którym wcześniej siedział Julius z przyjaciółmi, wstał inny, starszy mężczyzna i próbował uspokoić kompana:

– Daj spokój, Bruno, czas do łóżka. Nieźle popiłeś, ale nie musisz robić burdy, żebyśmy dostali zakaz wstępu.

Pryszczaty odtrącił go.

– Nie pozwolę temu Polaczkowi się rządzić. Co on sobie myśli, że dotknę tej jego polskiej szmaty i nabawię się trypra?

Jeszcze nie skończył, gdy pięść Polaka poszybowała w górę. Nim jednak zdołała dotrzeć głowy Niemca, dziewczyna, która stała z boku, przyskoczyła i odciągnęła silnego typa.

– Zostaw go, Jeszek. Co Zosi po tym, że będziesz się tu bił? Masz już dość kłopotów i my też. Matka znowu źle się czuje. – Mężczyzna wydał się Juliusowi niczym koń, który ostatni raz staje dęba i walczy z uprzężą, ale potem przypomina sobie, że jest oswojony i podporządkowuje się właścicielowi.

– Szkopy – parsknął i splunął na ziemię, a potem wrócił z siostrą do grupy przy gramofonie, która otoczyła ich oboje.

Niemiec skwitował obelgę jeszcze dosadniejszą po niemiecku i zawarczał:

– Same polskie świnie tutaj, a ten typ za barem to śmierdzący Żyd. – Potem jednak pozwolił kompanowi odprowadzić się do stolika.

Muzyka dawno przebrzmiała, pary wracały na swoje miejsca. Na ciałym parkiecie znajdowali się jeszcze tylko Julius i Lore oraz Erik i Gundi. Gundi wyglądała na wzburzoną, włosy miała potargane, twarz spoconą, dziecienna bluzka wysunęła się zza paska. Czy spowodował to taniec z Erikiem?

– Ależ to było okropne! – zawołała zagniewana. – Co za wstręciuch, właściciel powinien był wyrzucić go kopniakiem z lokalu.

Nigdy wcześniej Julius nie widział jej tak rozemocjonowanej i ponownie się w niej zakochał. Bez oporu podbiegła do grupy przy gramofonie i objęła ramieniem śliczną dziewczynę, która zdjęła tymczasem kapelusz. Jej włosy lśniły niczym wypolerowane drewno, a ona sama sprawiała wrażenie zdenerwowanej.

– Wszystko z tobą dobrze? – spytała Gundi współczująco. – Moi przyjaciele i ja spierzemy tego typa na kwaśne jabłko, jeśli coś ci zrobił.

Dziewczyna była nieśmiała, na moment zeszywniała i cofnęła się o krok, ale nikt nie potrafił oprzeć się wylewnej serdeczności Gundi.

– Nie pamiętasz mnie – powiedziała Gundi. – Ale ja cię znam. I twoją siostrę też. Jesteście córkami Felicji Pajewskiej, prawda? Widziałam was kilka razy, gdy przychodziłyście z matką do mojej ciotki. Ernestine Karl z pensjonatu Sonnenschein.

Dziewczyna potarła skronie, na jej ustach pojawił się cień uśmiechu.

– Tak. Pani Karl jest bardzo miła, pozwala, żebyśmy pomagały matce, gdy źle się czuje.

– A co dolega waszej matce? Jeśli jest chora, powinna się wykurować w domu, a pracę zostawić mnie. Jestem leniuchem, ale mi za to płacą. – Uśmiechnęła się do Polki, a ta w końcu uległa jej i odpowiedziała uśmiechem.

– Chce pani wykonywać pracę matki?

– O nie, chyba się zagalopowałam! – zawołała Gundi. – Do prac gospodarskich nie mam za grosz talentu. Ale może ty i twoja siostra mogłybyście nauczyć mnie paru rzeczy? Tylko musicie mówić mi na ty, a nie pani, bo inaczej będę się czuła staro i zgrzybiałe jak moja nauczycielka. Jestem Gundi. A ty?

– Zosia – powiedział dziewczyna. – A moja siostra ma na imię...

– Wystarczy już – wtrąciła siostra z warkoczami. – Wszyscy tu za dużo wypili i lepiej pójdziemy już do domu. Pani nie ma z nami nic wspólnego, panienko. My pracujemy, pani Karl jest zadowolona, więcej pani nie powinno obchodzić.

Ktoś inny niż Gundi odwróciłby się z urazą. Jednak Gundi Frieböse, którą cały świat nazywał Gundi Słoneczko, odparła:

– Panienką na pewno nie jestem. A jeśli powiesz mi, na który odcisk ci nastąpiłam, zaraz zdejmę nogę.

Dziewczyna z warkoczami pokręciła głową.

– Chcesz dobrze. Ale jesteś Niemką. My Polakami. Widziałaś, że nie możemy być razem. Moja siostra głupio robi, ale ja powtarzam jej: jeśli będziemy trzymać się od Niemców jak najdalej, lepiej na tym wyjdziemy.

– Co za nonsens! – zawołała Gundi. – Przecież wszyscy jesteśmy młodymi ludźmi, którzy lubią słuchać muzyki i tańczyć. Samo to, że jakiś pijanica wyprawia głupoty, nie powinno jeszcze psuć nam wieczoru.

Nim Polka zdołała odpowiedzieć, Erik podszedł do grupy i odciągnął Gundi na bok.

– Chodźmy już, dobrze? Nie chcesz źle, ale ona ma rację.

– Ale dlaczego? Typ zajrzał za głęboko do kieliszka, takie rzeczy się zdarzają. – Gundi nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo Erik pociągnął ją za sobą, zabrał ich rzeczy ze stolika i wyprowadził Gundi z lokalu. Lore i Julius podążyli za nimi.

Na zewnątrz toczyło się jeszcze kurortowe życie, ale powoli zamierało. Neonowe reklamy nad barami gały, uliczni handlarze i sprzedawcy losów składali swoje kramy i obnośne sklepiki, a nocni hulacy, zaśmiewając się i całując, zataczali się w stronę domów. W nagłym chłdzie Julius poczuł działanie alkoholu niczym uderzenie młotem. On też chciał się całować, chciał objąć Gundi i dotknąć ustami jej ust. Po to wydał te pieniądze, które nie należały do niego. Chciał, by Erik zniknął.

– Polacy mają rację – powiedział Erik. – Mają powód się martwić, a ty w swoim bajkowym świecie nic z tego nie rozumiesz. Ten mężczyzna nie był jakimś pijanym idiotą. Należy do jednej z tych grup, które za wszelką cenę chcą, by Gdańsk i Sopot znowu były niemieckie.

– No i? – spytała Gundi. – Przecież wszyscy tego chcą. Pop też, choć mówi, że ważniejsze jest dla niego, co ma na talerzu, a w niedzielę w kieliszku.

– Dla ludzi z partii Hitlera to nie jest ważniejsze – odparł Erik.

– A co to jest partia Hitlera?

– Te typy z lokalu do niej należą – odparł Erik. – To jedna z tych frakcji z Niemiec, której członkowie zdecydowani są wziąć sobie wszystko, czego zapragną. Przemocą. Ale jednego nie chcą za nic w świecie – pokoju między Polakami i Niemcami, którzy mieszkają w Wolnym Mieście. Gdzie tylko mogą, wszczynają kłótnie.

– Od kiedy to obchodzi cię polityka? – spytał Julius, który nie miał najmniejszej ochoty dyskutować o jakichś awanturkach z Niemiec. Chciał wykorzystać ostatnie sekundy nocy, za które zapłacił tak drogo i które tak szybko przepływały mu przez palce.

– Nie obchodzi mnie – odparł Erik i Julius ponownie pozazdrościł mu, bo jego wymowa pomimo wypicia całego tego wina nadal była wyraźna i zrozumiała i pozornie bez trudu udawało się Erikowi pozbyć paskudnego akcentu z dzieciństwa. – Ale wolę wiedzieć o posługujących się przemocą ugrupowaniach w miejscu, gdzie mieszkam. – Wskazał na swoje biodro. – W razie wątpliwości nie należę do tych, którzy mogą szybko schować się za rogiem.

– Ach, Eryczku. – Gundi objęła go za szyję. – Naprawdę sądzisz, że pozwolilibyśmy takim opryszkom strącić ci włos z głowy? Niech tylko spróbują, a będą mieć z nami do czynienia. – Wspięła się na palcach i złożyła mu na policzku pocałunek, o którym Julius marzył od wielu godzin.

Nie na policzku. Raczej w kąciку ust. Dziewczyna nie od razu puściła Erika, tylko trzymała go mocno, a jej wargi spoczywały na jego wargach.

– Nie uważasz, że mnie też się należy?! – zawołał Julius, nienawidząc się za to.

Gundi odwróciła się, wciąż obejmując Erika. Światło lampy padało na jej twarz, na której odmalowało się zdziwienie.

– Ach, Ju-Ju. Nie musisz nawet tego mówić – oczywiście, że ty też dostaniesz buziaka. – Puściła Erika, tym razem objęła Juliusa i cmoknęła go niczym młodsza siostra Erika, która skończyła właśnie pięć lat.

W głowie Juliusa coś wybuchło. Nadmiar wina, myśli, wszystko się przelewało.

– Przestań wreszcie zachowywać się jak dziecko! – wykrzyknął i odepchnął ją od siebie. – Dla twojego Popa zawsze nim będziesz, ale nie

jesteś już dzieckiem. Zastanawiałaś się kiedyś, czy to dlatego nie potrafisz napisać przebojowej piosenki? Bo boisz się być dorosła?

Stała cicho, patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc, a uśmiech zniknął z jej twarzy. Zranił ją. Trafił w jej najczulszy punkt. Wreszcie zdołał poruszyć coś w tej jej dziwnej małej główce.

– Flirtujesz z Erikiem, nie myśląc nawet o tym, że może mi być przykro – powiedział łagodniej. – Tak zachowują się dzieci. Nie dorośli. Jeśli tak mało zwracasz uwagę na uczucia innych, nie uda ci się wyrazić ich w muzyce.

– Jakie niby uczucia? – rzuciła Gundi. – I dlaczego miałoby być ci przykro, że Erik i ja dobrze się bawimy?

– Bo cię kocham, do diaska! – krzyknął. – A teraz nie udawaj naiwnej, która o tym nie wiedziała, bo to dopiero byłoby dziecinne i nikt ci w to nie uwierzy.

Gundi zastanawiała się. Potem wykrzywiła swoje duże usta i odzyskała rezon.

– Teraz rozumiem – powiedziała. – Kochasz mnie i myślisz, że kocham Erika, i dlatego jest ci przykro?

Julius nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Widział jej twarz tuż przed swoją, a między nimi pieniądze, roztrwonione banknoty, które dała mu rano matka.

– Ach, Ju-Ju! – zawołała Gundi. – Mój biedny, głupi Ju-Ju. Przecież kocham was obu! – Przyciągnęła Erika do siebie, zarzuciła im obu ręce na ramiona i zbliżyła ku sobie, aż stuknęli się głowami. Potem puściła ich i roześmiała się w jasnej, pachnącej solą, watą cukrową i ostatnim powiewem perfum nocy. – A wiecie, kogo kocham jeszcze bardziej niż was obu razem? Moją siostrzyczkę. Moją słodką Lore.

Chwyciła Lore za obie dłonie i odbiegła z nią pod mrugającymi latarniami w stronę leśnej dróżki, przy której stał pensjonat kochanki jej dziadka. Warkocze Lore powiewały, loki Gundi podskakiwały i obie wyglądały jak dwie małe, niewinne dziewczynki.

Julius i Erik nie powiedzieli ani słowa i patrzyli za nimi.

Wrzesień

Pismo grupy miejscowej Norymberga wisiało na tablicy ogłoszeń na podeście przed ńędznym biurem. Hundegasse, przy Bramie Krowiej, zaledwie parę kroków od brzegu Motławy – adres był całkiem niezły, ale wypucowana fasada wprowadzała w błąd. Brzydkie pomieszczenie pachniało zgnilizną, a nazwa „siedziba partii” była czystą kpina. Taki właśnie był Gdańsk. Pfitzner czasami nienawidził swojego miasta z taką samą zawziętością, z jaką je kochał. Ludzi, którzy dobrze mu życzyli, traktowało jak żebraków, a tych, którym zawdzięczało swe niedole, obsypywało darami.

Dlatego też ich grupa miejscowa nie miała pieniędzy. Wśród towarzyszy z SA wielu cierpiało biedę. Nie miało sensu domaganie się przyzwolonego żołdu, bo partyjna kasa świeciła pustką. Jeśli chcieli odnieść sukces, musieli zdobyć miejsca w nadchodzących wyborach do parlamentu, Volkstagu. Stworzyć podwaliny władzy. W tym celu należało wytoczyć ostrzejsze działa. Hohnfeldt, stale pokaszujący w wilgotnym powietrzu, nie nadawał się do tego zadania.

Nie chciał nawet wysłuchać propozycji Pfitznera, by wynająć na zgromadzenie przedwyborcze Dom Strzelecki. „Niestety, niestety, towarzyszu, brak nam na to środków. Wie pan przecież, że z pustego i Salomon nie naleje”.

Pfitzner wiedział co innego: że Hohnfeldt musi zostać zastąpiony na stanowisku gauleitera. Bruno Fricke, który walczył o tę pozycję, był bezrozumnym zabijaką, nadającym się tylko do bójek. Walter Maass, SS-man, nie miał za grosz charyzmy. Pfitzner chętnie wzięłby sprawy w swoje ręce, ale ciało miał stare i wyczerpane, dręczone podagrą, niezżytem żołądka i innymi dolegliwościami. Swoje cenne siły zmarnował w latach zdrady ojczyzny i hańby wersalskiej. A teraz, gdy wreszcie pojawił się ruch, który chciał wyciągnąć wóz z błota, jego słabość fizyczna skazywała go na wykonywanie pracy sekretarza.

Hohnfeldta nie dało się przekonać, a zatem manifestacja pod hasłem „Danzig bleibt deutsch” (Gdańsk pozostanie niemiecki) musiała odbyć się w Café Derra. Jeśli przyjdą tłumy, na jakie liczyli, z trudem się pomieszczą, a wszystkie przygotowania pójdą na marne, jeśli nie wystąpi ktoś, kto potrafi rozniecić ogień w naiwnych masach. Ponieważ nie mógł liczyć na pomoc grupy miejscowej, Pfitzner sam się za kimś takim rozejrzał. W Rzeszy. Do której powinien należeć Gdańsk. Pfitzner był najstarszy z czterech braci i ojcem trzech synów. Latem 1914 roku

miał czterdzieści cztery lata, najmłodszy z jego braci dwadzieścia sześć, a najmłodszy syn osiemnaście. Wszyscy służyli, zgłosili się zaraz po wybuchu wojny. Razem było ich siedmiu Pfitznerów, zdrowych, silnych mężczyzn, walczących za ojczyznę.

Jesienią 1918 roku został tylko jeden Pfitzner i nie miał już synów ani braci. Teraz chciał sprowadzić mówcę, który wytłumaczyłby ludziom, że to było nie do zniesienia. Jego bracia i synowie oddali życie za Niemcy tak samo jak bracia i synowie w Monachium, Berlinie czy Lubece, i tak jak Monachium, Berlina czy Lubeki nie można było oddzielić od Niemiec, tak samo nie można było tego robić z Gdańskiem. Tak jakby bohaterska śmierć gdańszczan nic nie znaczyła.

Wolne Miasto Gdańsk. Co było wolnego w mieście, które nie mogło już należeć do swojego kraju, któremu odebrano noszone z dumą przez stulecia miano miasta hanzeatyckiego, w którego murach osadzono komisarza Ligi Narodów, żeby sprawował nad nim nadzór? Pfitzner chciał mówcy, któremu od tej niesprawiedliwości gotowałyby się krew. Intelktualni słabeusze jak Hohnfeldt byli równie mało pomocni co awanturujący się idioci pokroju Frickego. Dlatego zasięgnął języka. Odkręcił swoje wieczne pióro i zaczął notować.

Poszczyściło mu się na południu, we Frankonii. Zdobył tam rozgłos pewien młody członek partii, który stworzył w Fürth grupę miejscową i uchodził za świetnego mówcę. Pfitzner zgromadził materiały. O wysokim i przystojnym dwudziestopięciolatku pisano: „W latach walki rozgorzał w nim płomień, który niszczy wszystko, co nie służy Hitlerowi. Albert Forster z czasem stał się jednym z ludzi, wokół których mógłby zawalić się świat, ale którzy nigdy nie zapomnieliby o wierności wobec Führera”.

Tego właśnie pragnął Pfitzner. Chciał zaprosić Forstera jako mówcę, nie wdając się w spory z Hohnfeldtem, ale dziś rano na schodach przed jego biurem zawisło pismo od grupy miejscowej Norymberga. Skierowane było do „wszystkich grup miejscowych, które zapraszają naszego towarzysza Forstera jako mówcę”.

„Z powodu braku środków w naszym ruchu do tej pory nie było możliwe zapewnienie towarzyszowi Forsterowi stałej pensji”, napisano. Odkąd Pfitzner przeczytał to zdanie, chciał już tylko jęczeć. Dalej wyjaśniano, że towarzysz utrzymuje się z honorariów za wystąpienia i dlatego grupy miejscowe mają obowiązek przekazać mu czyste zyski z organizowanych wydarzeń.

Czyste zyski?

Czy ludzie w Rzeszy myśleli w ogóle o Gdańsku, czy zdawali sobie sprawę, że nikt tutaj nie zapłaci nawet feniga, by wysłuchać jakiegoś nieznanego mówcy? Pfitzner nie miał wyboru. Będzie musiał wypłacić Forsterowi honorarium, a do tego potrzebował zgody Hohnfeldta. Poprosił o spotkanie, a teraz gauleiter stał przed nim. Zakaszłał i potarł załamane oczy. Pfitzner podsunął mu dokumenty.

– W Rzeszy są nim zachwyceni. Proszę samemu przeczytać.

Hohnfeldt, pomrukując, wertował przez chwilę papiery, a Pfitzner wskazał na dopisek: „Towarzysz Forster w krótkim czasie stał się znaczącym mówcą. W interesie naszego ruchu leży, by za wszelką cenę go zatrzymać, tym bardziej że w naszym ruchu bardzo brakuje porywających mówców”.

Gauleiter uniósł wzrok i wykrzywił usta w grymasie.

– O tak. To niestety prawda. Jaka szkoda, że nie stać nas na tego towarzysza.

– Ale musi nas być na niego stać! – zakrzyknął Pfitzner. – Chcemy wygrać kampanię wyborczą, utorować drogę, by nasze miasto wróciło do macierzy. Pan sam przecież najbardziej na tym skorzysta!

Niepotrzebnie wyrwało mu się to ostatnie zdanie. Hohnfeldt lubił udawać szlachetnego bojownika, któremu zależy tylko na przyszłości ruchu. Nie chwalił się, że sam zajmuje pierwsze miejsce na liście i tym samym trafi do Volkstagu, jeśli NSDAP zdobędzie choć jedno miejsce. Pfitzner kandydował z czwartego miejsca i były to prawdopodobnie ostatnie wybory do Volkstagu, w których w swoim pożałowania godnym stanie mógł jeszcze uczestniczyć. Nie chciał umierać, nim nad gdańskim Senatem nie będzie znowu powiewać niemiecka flaga. Ale dlaczego kaszłący Hohnfeldt, który miał już niemal zapewnione miejsce, miałby się tym przejmować?

– Naprawdę żałuję, mój drogi Pfitznerze – wychrypiał gauleiter. – Ale to po prostu niemożliwe – i wie pan co? Nie jestem nawet pewien, czy taki fanatyk rzeczywiście pomógłby naszemu miastu. Nasze trudne położenie finansowe może ostatecznie okazać się błogosławieństwem.

Pfitzner wstał.

– Fanatyk? – powtórzył. – Czy i mnie uważa pan za fanatyka?

– Ależ nie! – Hohnfeldt pojednawczo uniósł dłonie. – Wręcz przeciwnie, jestem niezmiernie wdzięczny, że przydzielono mi sekretarza, który zachowuje zimną krew.

– Dziękuję – powiedział Pfitzner. – I z moją zimną krwią wnioskuję o to, żebyśmy zaprosili Forstera jako mówcę.

Hohnfeldt zakaszlał i ponownie potarł oczy.

– Naprawdę pana rozumiem, mój drogi – odparł. – Niestety, mam związane ręce, ale z tego powodu nie przegraliśmy jeszcze wyborów. Damy z siebie wszystko i jestem pewien, że zasiądzie pan w Volkstagu tak samo jak ja.

10

Listopad

– Powinnaś przestać z nimi igrzać. – Lore siedziała na parapecie w kuchni Popa, machając nogami. – Wiesz, że oni traktują to poważnie?

– A myślisz, że ja nie? – Gundi wyjrzała przez okno obok Lore, ze smutkiem wspominając słońce. Deszcz uderzał o szybę i nie był to deszcz, który mija, gdy tylko niebo nad morzem się rozchmurzy, i który zostawia powietrze świeże niczym wypastowane, tylko taki, który utrzymuje się miesiącami i przenika wszędzie: do ubrań i pokoiów, pod kołdry i w nastroje. – Wystarczy dobrze napalić – powiedział Pop, wkładając drewno do kosza stojącego obok kaflowego pieca. Z pewnością nigdzie w Langfuhr, poza dzielnicą willową, nie było tak ciepło i przytulnie jak w ich mieszkaniu, ale mimo to deszcz wdzierał się wszędzie, nawet jeśli nie wilgocią, to szarością.

– Kto powiedział, że ja nie traktuję tego poważnie?

Lore westchnęła.

– Ty sama. Raz wolisz jednego, raz drugiego, jak ci akurat pasuje. Nie zrozum mnie źle, Gundi. To nie moja sprawa i nie jestem twoją przyzwolitką, ale oni dwaj, Julius i Erik, naprawdę są w tobie zakochani.

– Hmm – Gundi zastanowiła się, a potem wstała z kuchennego krzesła i poszła do pokoiku, by przynieść z łóżka kapę, którą zrobiła na drutach ciotka Karl. Niekończący się szum deszczu sprawiał, że pomimo rozpalonego ognia marzła. Była dzieckiem lata. Gdy jako mała dziew-

czynka po raz pierwszy spotkała Gustava Kapahnke, przyjaciela Popa ze stoczni, ten spytał:

– No, a kogóż tu mamy?

A Gundi odpowiedziała dumnie:

– Jestem Gundula Asta Frieböse.

– E tam – odparł Kapahnke. – Bujasz, dziewczuszko, widzę to na czubku twojego nosa. Jesteś Gundula Asta Słoneczko.

W następną niedzielę w Sopocie Pop powiedział do ciotki Karl:

– Może powinnaś swojemu domkowi Baby Jagi nadać nową nazwę, duszko. Taką, która grzeje przy paskudnej pogodzie.

Tak więc pensjonat Karl stał się pensjonatem Sonnenschein, Słoneczko, od Gundi, która w pierwszy pogodny dzień wiosny rozkwitała niczym pąk, a w długie, pochmurne miesiące opadała z sił. Brakowało jej Sopotu, gdzie zimą jeździli najwyżej raz w miesiącu, brakowało jej morza, bladego światła na wysokim niebie, krzyku mew, muzyki dochodzącej z każdej, nawet najmniejszej knajpki. Może ma to swoje dobre strony, myślała pod koniec tego lata. Może jeśli przestanę czuć się tak bezwstydnie dobrze, będę wreszcie umiała napisać moją piosenkę. Taką, która jest smutna, a mimo to napawa szczęściem, taką jak *Daremne pragnienie*, której nadal nie mogła zapomnieć.

Ale piosenka się nie pojawiła. Gundi codziennie ćwiczyła przez wiele godzin grę na akordeonie. W przeciwieństwie do przyjaciół nie musiała szukać pracy, stać za sklepową ladą, a już na pewno nie pedałowac na zimnie z koszami ryb.

– Poczekaj – powiedział Pop. – Jeśli nie wiesz, co chcesz zacząć robić, musisz się jeszcze zastanowić.

Pod tym względem Gundi miała szczęście, mogła całkowicie poświęcić się muzyce, podczas gdy Julius i Erik tylko od czasu do czasu robili sobie wieczorem wolne, by przyjechać do Gdańska poćwiczyć. W takie wieczory Pop szedł z Gustavem Kapahnke do lokalu Kroog na Hauptstraße ¹⁰ na kieliszeczek i zostawiał mieszkanie młodzieży. Dziś również miało tak być i Gundi z wytęsknieniem czekała na ten dzień, ale mimo to czuła się coraz gorzej. Jej przyjaciele odmawiali sobie jedzenia, by zaoszczędzić pieniądze na pociąg, Lore narażała się na gniew matki, a Pop musiał przy złej pogodzie wynieść się z domu – i po co? Żeby ona,

Gundi, kolejny raz pokazała im zagrane już setki razy utwory i przyznała, że nadal nie ma długo wyczekiwanej piosenki?

Jeśli chodzi o Popa, co prawda, postępował tak, jakby oczywiste było, że sam utrzymuje Gundi, ale nawet jej uwagi nie uszło, że musiał o to walczyć. „Danziger Volksstimme”, gazeta socjaldemokratów, którą czytywał od ponad roku, coraz częściej leżała nieruszona na kuchennym stole, bo Pop zasypiał nad nią na siedząco. Duża głowa z ciężkimi włosami opadała do przodu, a butelka z tabaką Vineta wypadła mu z dłoni i uderzyła o ziemię. Nie był już młody i martwił się. Gundi nie wiedziała, który z tych dwóch faktów napawał ją większym przerażeniem.

Stocznia miała kłopoty. Raz już zdarzyło się, że nie mogli wypłacić Popowi pełnej pensji. Nie robił z tego powodu problemów, „mam co nieco odłożone na boku”, i przyjął w ramach zapłaty skrzynię z naczynikami ze stołówki, które mogły przydać się ciotce Karl w pensjonacie. Gorzej, że zaczęto zwalniać pracowników, a Pop jako brygadzysta musiał ich o tym poinformować. Zaczynał pracę u Klawittera jako piętnastoletni chłopak na posyłki i większość z tych młodych ludzi, teraz mu podlegających, było wnukami mężczyzn, z którymi pracował kiedyś przy swoim pierwszym statku.

Leżeli mu na sercu, nawet jeśli Pop nie był z tych, co chętnie zwierali się ze swoich uczuć, i dręczyło go, że musi odprawić ich z kwitkiem, tych łobuzów, którzy w wieku dwudziestu lat mieli już dziewczyny, a nierzadko maluchy do wyżywienia. Kiedyś siedział nad nieprze czytaną gazetą i buteleczką tabaki i wyglądał, jakby znowu zasnął, ale po jego policzkach toczyły się łzy.

Przestraszona Gundi potrząsnęła nim.

– Pop, obudź się, dlaczego płaczesz, co się stało? Najdroższy Popie, proszę, powiedz mi, dlaczego jesteś taki smutny!

Pop poruszał nieco rękoma, by się rozbudzić, a potem otarł oczy.

– Nie przejmuj się tym, dziewczuszko. Czasy są trudne, ale nasz Gdańsk przetrwał już gorsze. Chyba na starość człowiek się tak rozkleja.

Ale Pop się nie rozklejał. Stał obiema nogami na ziemi tak mocno, jakby wrósł w nią korzeniami, a jeśli był czymś przygnębiony, to nie bez powodu.

Miał licznych przyjaciół i od zawsze mała gromadka zjawiała się u nich wieczorami na parę kieliszeczków, pogawędkę czy partyjkę

remika. Większość z nich należała do partii socjaldemokratycznej i od czasu do czasu nakłaniali Popa, by sam wreszcie do niej wstąpił.

– Ja miałbym wstąpić do was? – udawał zdumienie. – Sami się tym zajmujcie, chłopcy. Ja mam swoją robotę.

Przed paroma dniami jednak zwrócił się do mężczyzny, który poruszył ten temat:

– I nadal wierzycie, że to coś da? Schietke sagt Liedke. Kiepska sprawa. Tym, którzy siedzą w Senacie, jest przecież wszystko jedno, a mały Max, który pracuje przy imadle, nikogo nie obchodzi.

Pop miał troski. Julius i Erik mieli troski, a Lore ze swoją wiecznie chorą matką miała więcej trosk niż palców do zliczenia. Wszyscy pokładali nadzieje w Gundi i tak dłużej już nie mogło być. Musiała im powiedzieć, jak to naprawdę jest z jej talentem, zamiast raz po raz ich rozczarowywać.

Gundi owinęła ramiona kapą i wróciła do kuchni do Lore. Uznała, że zrobiło się jeszcze zimniej, choć za drzwiczkami pieca buzował ogień.

– Masz rację – powiedziała, naląła do filiżanki Lore resztę przyrządzonej przez Popa herbaty z dzikiej róży i obficie posłodziła. – Nie traktuję ich właściwie. Powinnam powiedzieć jednemu z nich: ty i ja będziemy razem na dobre i na złe, ale nie wiem któremu.

– Nie wiesz któremu? Mówisz poważnie?

Gundi usiadła przy kuchennym stole i wyciągnęła nogi w stronę pieca.

– Wciąż czekam na to, żeby mnie oświeciło – powiedziała. – Żeby pewnego dnia wstała z łóżka i była w głębi duszy przekonana: to on. Tak jak jestem w głębi duszy przekonana, że Sopot jest najpiękniejszym nadmorskim kurortem na świecie, Pop moim Popem, a ty najukochańszą siostrą. Tylko jeśli chodzi o chłopców, zupełnie brak mi pewności.

– O co ci chodzi? – Lore podmuchała na herbatę, a potem czubkiem ust upiła łyk. – Naprawdę nie wiesz, którego z nich bardziej lubisz? Ale przecież to się wie, gdy jest się zakochanym, wie się to tak bardzo, że przestaje się wiedzieć cokolwiek innego.

Gundi nastawiła uszu.

– Jesteś zakochana, Lorciu? Byłaś już kiedyś?

Lore ponownie podmuchała na herbatę, jakby nie słyszała pytania.

– Ja chciałabym być, wiesz? – powiedziała Gundi. – Czasami myślę, że to dlatego nie potrafię napisać piosenki, tak nam potrzebnej. *Daremne pragnienie*. Może nie da się wyrazić tego w muzyce, jeśli nie ma się pojęcia, jakie to uczucie.

– Naprawdę tego nie wiesz, Gundi? Nie jesteś zakochana w żadnym z nich i nigdy nie byłaś?

Gundi wzruszyła ramionami.

– Nawet tego nie wiem. Czasami sobie myślę, że owszem, jestem, i mam pewność, że na tym balu, gdzie my, dziewczęta, siedziałyśmy z naszym dzbanuszkim czekolady przy białym stole, a chłopcy po drugiej stronie, Ju-Ju spoglądał na mnie przez całą salę. Albo kiedy pisze do mnie takie miłe listy, a ja do niego, i tak okropnie tęsknię za latem. Ale potem znowu...

– A bez lata? – przerwała Lore. – Bez trąbki, balu, Sopotu i tego wszystkiego? Czy wtedy wciąż tęskniłabyś za Juliuszem?

Gundi zastanowiła się. Po chwili odparła z wahaniem:

– Tak.

– Biję ci mocniej serce, gdy o nim myślisz?

Gundi starała się pomyśleć o Juliusie, ale nie było to takie proste, bo gdy tylko próbowała przywołać w myślach jego postać, pojawiało się też wszystko inne: widziała przyjaciół, jak niosą instrumenty przez Seestraße, by wystąpić przed właścicielem jednego z lokali, widziała plażę, rozrzucone na piasku rakiety do badmintonu, resztki pikniku złożonego z kanapek z kielbasą, sałatki śledziowej z jabłkiem i szybko opróżnionej butelki wina, sylwetkę Kasino-Hotelu i morze, które zostawiało białe wzory na brzegu. Twarz Juliusa stawała się wyraźna dopiero wtedy, gdy Gundi, z całej siły ściskając pięści, skupiała na niej uwagę. Ale cóż to była za ładna twarz! Julius naprawdę był przystojniejszy niż wszyscy młodzi mężczyźni, których Gundi знаła, miał z nich najpiękniejsze oczy i górował nad nimi posturą.

Jej serce i tak już biło mocno. Zaczęło bić mocniej, gdy tylko w głowie Gundi pojawił się pierwszy obraz Sopotu.

– Tak – powiedziała do Lore.

– A zatem to Juliusa wolisz z nich dwóch?

Gundi ponownie się zawahała, ale tylko na chwilę, po czym kiwnęła głową.

– A dlaczego masz wątpliwości, czy jesteś w nim zakochana? – spytała Lore. – Świetnie wygląda, świetnie tańczy i wszyscy mówią, że świetnie gra na trąbce. To przecież dla ciebie najważniejsze. Poza tym jest najmilszym chłopcem stąd do Gdyni. Szczerym i łagodnym. Nie takim jak inni mężczyźni.

– O co ci chodzi? Mężczyźni prawie zawsze są mili.

– Tak uważasz? – Lore roześmiała się. – Może dla ciebie, bo nie stoisz od rana do wieczora za sklepową ladą i nie musisz pozwalać, by traktowano cię jak worek, który można kopniakiem usunąć z drogi. Jasne, twój Pop to najmilszy człowiek, jaki chodzi po ziemi, jego przyjaciele cię kochają i może nawet moi wstrętli klienci byliby dla ciebie mili. Bo jesteś promykiem słońca, za to ja nieustającym deszczem razem z przy-mrozkami.

– Lorciu! Ty głupia gąsko! – Gundi podskoczyła i objęła siostrę. – Ci idioci, którzy traktują cię jak worek i paskudną pogodę, mogą nas pocałować, gdzie słońce nie dochodzi. A raczej nigdzie. Uda nam się, jeszcze tylko chwila i pokażemy im, dokąd mogą iść. Gitarzystka taka jak ty powinna gwizdać na to, co inni gadają.

W tej chwili znowu tak bardzo jej pragnęła – przeklętej piosenki, która nie chciała się objawić, takiej, która wyrwałaby jej przyjaciół z biedy. Gdyby chodziło tylko o mnie, nie byłoby to takie ważne, myślała Gundi. Mogłabym grać na akordeonie i jakoś bym sobie radziła, chociaż bardzo chciałabym występować, nocować w Kasino-Hotelu i ledwo trzymać się na nogach z podekscytowania. Ale nawet jeśli tak się nie stanie, to mam ciepły kąpiel, jeżdżę latem do Sopotu, a życie jest piękne. Pozostałym gorzej się wiedzie. Oni potrzebują tej piosenki, do licha!

– Już dobrze, wojowniczo. – Lore uwolniła się z objęć. – Są gorsze rzeczy, a swoją drogą, na gitarze gram co najwyżej przeciętnie.

– Nieprawda. Myślisz tak, bo moje piosenki są przeciętne. Ale to się zmieni. Wiesz co?

– Nie. Nie mam zielonego pojęcia. – Lore uśmiechnęła się.

– Spróbuję tego. Tego, o czym mówiłaś. Poważnego traktowania.

– Z Julusem?

Gundi skinęła głową.

– Nie wiem jeszcze, jak się do tego zabrać, ale dziś wieczorem powiem Juliusowi, że to jego lubię najbardziej. Na pewno poczuje wtedy, że jestem w nim zakochana. A kiedy będę zakochana, kiedy nie będę mogła znieść, żeby Juliusa nie było przy mnie, na pewno zdołam napisać o tym piosenkę.

– Nie sądzisz, że ważniejsze będzie dla ciebie, aby być razem z nim?
– spytała Lore. – Inni myślą wtedy o ślubie, a nie o jakichś piosenkach, które mogliby napisać.

– O ślubie chyba jeszcze nigdy nie myślałam – odparła Gundi. – Zawsze myślę tylko o tym, jak to będzie, gdy już stworzę tę piosenkę. Może zacznę myśleć o innych rzeczach dopiero wtedy, gdy się tego doczekam.

– Gdy się tego doczekam. To brzmi trochę jak wtedy, gdy bawiliśmy się na podwórzu w rabusiów i żandarmów. Kto został trafiony, musiał oddać tasiemkę życia, położyć się i czekać, pamiętasz? Ty i ja zawsze kładłyśmy się przy sobie i szeptem rozmawiałyśmy o tym, co zrobimy, kiedy ożyjemy.

Lore podciągnęła rękaw bluzki. Na nadgarstku nadal miała zawiązaną niebieską wstążeczkę, którą Pop kupił jej w pasmanterii.

Po plecach Gundi przebiegł dreszcz. Nigdy nie lubiła tej zabawy. Chwilę później rozległo się pukanie do drzwi.

– Są nasi chłopcy! – zawołała z ulgą i pobiegła przez ciasny korytarz.

11

Julius i Erik stali przed drzwiami jak dwie zmokłe kury, jeden trzymając w ręku futerał trąbki, drugi z kontrabasem na plecach.

– Ju-Ju! Erik! Wyglądacie, jakbyście walczyli ze sztormem.

– Takie mieliśmy wrażenie. Możemy wejść na chwilę, żeby się osuszyć? – Erik precyzyjnie przesunął się obok Gundi i z jękiem odstawił instrument. W wyświechtanej kurtce wyraźnie zaznaczała się jego wychudzona sylwetka. Zdjął kaptur, a z włosów, które nie były nim przykryte, spłynęły mu na twarz krople deszczu.

Również silniejszy od Erika Julius szczekał zębami. Gundi pospiesznie wciągnęła go do ciepłego mieszkania i zamknęła drzwi.

– Biedacy! – zawołała. – Dzięki Bogu, że w ogóle dotarliście tu w tę pogodę.

– Ach, to najmniejszy problem. – Erik uwolnił się z mokrej kurtki. – Szkoda tylko, że będziemy musieli znów przebyć całą tę drogę, a nie wygląda na to, by pogoda zamierzała się poprawić.

– Nie ma mowy! – wyrwało się Gundi. – Dziś w nocy zostaniecie tutaj.

– A jak to sobie wyobrażasz?

– Coś wymyślę – odparła i ruszyła przodem do kuchni wypełnionej ciepłem i parą znad pieca. – W każdym razie nie poślę was z powrotem na ten potop.

– Dziękuję uniżenie, łaskawa pani. – Erik wykonał swój drwiący ukłon, który zirytował Gundi. – Pani zaproszenie do książęcego apartamentu w hotelu Kaiser przyjmuję z ochotą, choć nasz Kasino-Hotel uważam za świetniejszy adres. Czy byłaby pani tak dobra i kazała jeszcze sprowadzić tu mego psa oraz powiadomiła mojego pana pracodawcę, że nie zamierzam jutro rano zjawić się na służbie?

Tak, pomyślała Gundi i przysunęła się nieco bliżej do Juliusa, dobrze wybrałam. Z Juliušem trzeba uważać, by go nie zranić, ale i tak łatwiej z nim być niż z Erikiem, którego nikt nie potrafi przejrzeć.

– Mógłbyś przecież pojechać rano pierwszym pociągiem – powiedziała.

– By o piątej być już w gotowości u rzeźnika Levinsona? Tak wcześnie nie jeździ żaden pociąg. Jeśli madame sobie życzy, mogę oczywiście iść pieszo.

– Pomuzykujmy trochę – wtrąciła Lore, nim nastrój zupełnie się zepsuł. – Gundi tak się starała, żeby wszystko przygotować. – Wskazała na stół, a pozostali podeszli do niego.

Gundi nie przygotowała właściwie zbyt wiele. Ustawiła tylko dwa pulpity do nut, napaliła w piecu i rozkręciła gaz, żeby lampa nad kuchennym stołem paliła się zapraszająco. Na końcu przesyłała do miski zawartość puszki z ciastkami Popa.

– Ktoś ma ochotę na herbatę? Z dzikiej róży? Wypędza chłód z ciała.
– Podeszła do kuchenki, by nastawić wodę.

– Nie ma nic mocniejszego? – spytał Erik. – Czyż nie mieliśmy dziś świętować?

Tak planowali. Minęły dwa lata, odkąd założyli zespół i postanowili przebić się dzięki muzyce. Na uczczenie tego dnia Gundi ponownie obiecała przyjacielom piosenkę, która miała przynieść wyczekiwany przełom – i ponownie mogła zaoferować im jedynie rozczarowanie. Była jednak zdecydowana powiedzieć prawdę, tyle że teraz słowa nie chciały jej przejść przez gardło. Bo czy los się nie odmienił? Jeśli była zakochana w Juliusie, uda się jej napisać piosenkę i nie będzie już powodu, by żegnać się z marzeniami.

Julius podszedł do zaparowanego od ciepła okna, przetarł kawałek szyby i wyjrzał w noc.

– Kocham to miasto – powiedział. Wzbudza we mnie taką tęsknotę. Gdyby nie paskudna pogoda, namówiłbym was, żebyśmy poszli jeszcze do Głównego Miasta i odbyli przechadzkę po Długiej [11](#).

– Odbyli przechadzkę. Ho, ho. – Erik się skrzywił. – Czy tak mówią ludzie bez grosza przy duszy?

– Nie wszystko można zmierzyć pieniędzmi – odparł Julius, który nadal wyglądał na zewnątrz, choć w deszczu ledwo dało się coś zobaczyć, a na Mirchauer Weg znajdowały się jedynie szare i brązowe fasady, mokre kocie łby, po których od czasu do czasu przetaczał się jakiś powóz lub automobil, oraz kilka pozamykanych sklepów. Przy skrzyżowaniu stała synagoga, znacznie skromniejsza niż ta duża przy Reitbahn [12](#), a dwie ulice dalej był wjazd na gdańskie lotnisko, którego z okna nie dało się już zobaczyć.

– Gdańsk jest piękny, mamy prawo być z niego dumni – ciągnął Julius. – Te wspaniałe ulice przy rzece, świadczące o czasach minionej chwały, z wieżyczkami, tarasami i wysokimi fasadami, rzucającymi miękkie cienie – przypominają mi ozdoby z bursztynu, w których zaklęte są sny. Sny, które kiedy indziej uciekają i o których nie da się opowiedzieć słowami.

Gundi uznała, że Julius z pewnością potrafiłby opowiedzieć o tych snach. W każdym razie jego słowa brzmiały pięknie i gdyby ona umiała wyrazić to samo w muzyce, dawno już mieliby swoją piosenkę. Nigdy

nie rozmyślała o Gdańsku, choć cukiernie pod arkadami przy Langgasse były wspaniałe, a lśniącym wystawom domu towarowego Sternfelda nie dało się oprzeć. Urodziła się tu, cały ten przepych był jej znany, a tęsknotę odczuwała za Sopotem – ale nie o nią chodziło, tylko o to, by uchwycić ową tęsknotę tak wyraźnie, by każdy rozpoznał ją jako swoją.

Gundi odważnie przysunęła się do Juliusa i ujęła jego dłoń.

– Moglibyśmy występować także w Głównym Mieście – powiedziała.
– W Rosendiele albo w jednej z tych eleganckich restauracji nad Motławą. A później szlibyśmy na zakupy do Sternfelda i na Jarmark Dominikański na karuzelę. Wszystko to stanie się możliwe, gdy tylko będziemy mieć naszą piosenkę...

– Gdy zaczniemy nasze życie od nowa – wyrwało się Lore.

Przez chwilę wszyscy milczeli. Julius zdziwiony odwrócił się do Lore.

– Więc posłuchajmy jej wreszcie, tej piosenki – powiedział Erik. – Nawet jeśli musimy wznieść za nią toast herbatą z róży.

– Wcale nie musimy! – Gundi, której właśnie przyszedł pewien pomysł do głowy, chwyciła drugą dłoń Juliusa i uścisnęła. Potem pobiegła do pokoiku i wyjęła z kredensu brązową butelkę oraz kieliszki, których mieli tylko trzy. W przelocie zabrała z łóżka kilka kartek, które wcześniej wysunęły się z jej teczek z nutami.

– Dla uczczenia tego dnia zagramy *Daremne pragnienie* – powiedziała po powrocie do kuchni i położyła kartki na pulpitych. Ponad nutami zapisano na nich literami akordy, ponieważ poza Juliusem żadne z nich nie było mistrzem w czytaniu nut. Gdy już jako tako opanowali podstawową melodię, reszta pojawiała się samoistnie – próbowali wszystkiego, co tylko przychodziło im do głowy, podpowiadali sobie nawzajem kolejne dźwięki, wymyślali nowe i nadawali utworowi własne brzmienie. To było w nich wyjątkowe: nie byli w żadnym razie świetnymi instrumentalistami i wielu właścicieli lokali, u których zjawiali się na próbny występ, odrzucało ich z powodu braku wirtuozerii. Nikt jednak nie mógł im dorównać w radości ze wspólnego grania.

Sama Gundi często ledwo mogła w to uwierzyć – zaczynała ćwiczyć utwór, który wydawał się jej nudny i grzeczny, ale gdy tylko dołączali do niej inni, pojawiał się potok pomysłów, a piosenka zyskiwała werwę i ogień. Cienki strumyk przeradzał się w burzę organów w kościele

Mariackim, pojedyncze brzdąknięcia w dywan dźwięków. Czy z *Daremnym pragnieniem* będzie podobnie? Gundi grała je już wielokrotnie, ale nie pojawiła się wtedy nawet iskierka tego czaru, który roztaczał polski tenor.

Do tej pory nie proponowała pozostałym tego utworu, ponieważ tango ze zmieniającą się tonacją i lekkimi opóźnieniami rytmu mogło okazać się dla Lore zbyt wymagające, ale oto nadszedł dzień, by spróbować. Było to zastępstwo dla jej piosenki, symbol i obietnica.

Czajnik zagwizdał i Lore poszła zalać wrzącą wodą dziką różę z ogrodu ciotki Karl. Erik wyjął butelkę z dłoni Gundi i przyjrzał się etykietce.

– Machandel. Przynajmniej tyle. Czyli jest jednak powód do świętowania.

Julius podszedł do pulpitu z nutami, który dzielił z Gundi. Przeczytał tytuł utworu i jęknął.

– Nie mówisz chyba poważnie. Myślałem, że to szaleństwo z Tadeuszem Radunem mamy już za sobą.

Tadeusz Radun był owym polskim tenorem. Na każdą wzmiankę o nim Julius wywracał oczami.

– Nie chcę tego grać – oznajmił. Wcześniej, gdy stał przy oknie i dał się ponieść marzeniom o Gdańsku, brzmiał jak mężczyzna, który pokaże Gundi, co to znaczy być zakochaną. Teraz jednak mówił niczym obrażone dziecko. – Wiesz, że w Operze Leśnej go wygwizdali? *Latający Holender*, standardowa partia, okazała się za trudna dla twojego bohaterckiego tenora.

– Nic dziwnego – odparowała Gundi. – Opera to nie jego domena. Nasza też nie. Chcemy grać swing, prawda? Muzykę dla ludzi takich jak my.

Lore biegała dookoła i proponowała herbatę, ale nikt nie miał na nią ochoty. Erik niepostrzeżenie podszedł do drugiego pulpitu i strącił kartkę.

– Może porzucimy tę nudną kłótnię i zagrajmy naszą własną piosenkę? Nie wiem, jak wy, ale ja nie mogę się już doczekać, żeby ją usłyszeć.

Dlaczego był taki nienawistny? Gundi rzadko kiedy wiedziała, co dzieje się w jego duszy, ale stale miała wrażenie, że on czyta w niej jak w otwartej księdze. Zamiast odpowiedzieć na jego uwagę, pobiegła do spiżarki i wyjęła miskę pierogów, które ciotka Karl przygotowała w niedzielę, z serem, ziemniakami i grzybami.

– Proszę, dla was – najpierw poświęćmy. – Postawiła miskę na stole, chwyciła słoik musztardy i słoik z marynowanymi śliwkami i umieściła obok.

Przez chwilę wydawało się, że zapomnieli o wszystkich sporach. Jak wilki rzucili się na pierogi ciotki Karl, które były jeszcze lepsze niż te z Delikatesów Kurowskiego. Gundi sięgnęła po śliwki, wyłowila jedną palcami i wepchnęła sobie do ust. Dopiero potem napełniła jeden z kieliszków w kształcie baryłeczek przezroczystym płynem pachnącym jałowcem i sosnowym lasem. Tak bowiem piło się machandel: najpierw żuło się śliwkę, rozprowadzało słodko-gorzki posmak w ustach, a potem wychylało sznapsa. To dobrze człowiekowi robiło. Tym lepiej, im mniej było się pewnym swojej sprawy.

Machandel należał do Popa, który pozwalał sobie wypić kieliszek tylko w niedziele, a pierogi przeznaczone były na kolację na dwa dni. Gundi zwykle tak nie postępowała, nie szperała w szafkach i nie nadużywała niewielkich zapasów, ale dziś zrobiła wyjątek. Pop to zrozumie, nawet jeśli Gundi nie znajdzie słów na swoje usprawiedliwienie. „Wiem, wiem”, powie. „Bycie młodym też nie jest lekkie”. I na tym sprawa się skończy.

Wyjaśni mu to, gdy wszystkie troski będą już za nimi, gdy zaprosi Popa i ciotkę Karl do lokalu Lachs, najśłynniejszego w Gdańsku, gdzie krył się wyszynk, a okna wychodziły na rzekę, gdzie podawano nie tylko machandel, ale także ziołowy likier z płatkami prawdziwego złota, a do tego pasztet z wątróbki, tak delikatny, że rozpływał się na języku niczym lody. Lachs był w Gdańsku legendą. Jeśli wierzyć na przykład dentyście Isidorowi Garfinkelowi, to za różową fasadą ze złotymi malowidłami kryła się kraina pieczonych gołąbków, raj dla obżartuchów i próżniaków.

„Moi drodzy”, powie Gundi do Popa i ciotki Karl i podsunie im program pierwszego występu. „Udało mi się, moje marzenie się spełniło i zawdzięczam to wam. Przez resztę życia będziecie jeść tylko maślane bułeczki i przepyszna wątrobiankę i pić swojego ulubionego sznapsa, i nie będziecie musieli nawet kiwnąć palcem”.

To była jedna ze scen, którą najbardziej lubiła sobie wyobrazać. Nie miała jednak czasu się jej oddać, bo Erik przecisnął się obok niej i zabrał machandel.

– Przyjaciołom też coś odstąpisz? Śliwki możesz sobie zabrać. I to twoje tango, które jest już zeszłorocznym śniegiem, także. *Shimmy Blues* Dajosa Béla, tym mogłabyś jeszcze kogoś porwać do tańca w Berlinie czy Paryżu, ale to, co tu mamy, jest zbyt proste, zbyt prowincjonalne. Mam nadzieję, że nie napisałaś dla nas takiej piosenki? Takiej, która usypia dzieci, a nie porywa do tańca?

Na tym polegał problem z Erikiem – był bezwzględny, mówił to, czego nikt nie chciał słuchać, i w dodatku zwykle miał rację. *Daremne pragnienie* było jak zeszłoroczny śnieg, a utwory cieszące się największą popularnością w Berlinie czy Paryżu inni potrafili grać lepiej od nich.

Erik nalał sobie sznapsa, a Julius i Lore zajadali się pierogami, jakby od jutra miało ich zabraknąć. To dopiero byłoby straszne! Ciotka Karl opowiadała Gundi, że niektórzy goście powracali każdego lata, choć mogliby sobie pozwolić na wypoczynek w cieplejszych rejonach, tylko dlatego, że tu, w Pomerelii, mogli dostać pierogi. Gundi odstawiła opróżniony do połowy kieliszek i sięgnęła po pieroga. Wepchnęła go do buzi i przeżuwała powoli, namyślając się.

– Ale my pochodzimy przecież stąd – powiedziała do Erika, gdy już przełknęła ostatni kęs. – I jeśli zaczniemy gonić za tymi, którzy są sławni w Paryżu czy Berlinie, będziemy jak twój ojciec i już na starcie o pół głowy do tyłu.

Erik odwrócił się do niej. W migoczącym świetle zobaczyła niebieską opuchliznę wokół jego oka i drgnęła. Wszyscy przyjaciele dźwigali swój ciężar, ale Erik prawdopodobnie największy z nich. Nikt o tym nie mówił, on sam najmniej.

– To możliwe – stwierdził. – Tyle że to jeszcze nie powód, by wlec się w ogonie.

– Z pewnością. – Kątem oka Gundi dostrzegła, że Julius i Lore połykają ostatnie pierogi. – Ale tutaj też są rzeczy, które docenia cały świat. Na przykład Żuraw. Albo pierogi. Takiej piosenki nam trzeba. Nie z Paryża, nie z Berlina, tylko stąd. Takiej jak machandel, smakującej jesienią, pięknej i nieco smutnej, takiej jak Sopot, gdzie właściwie jest za zimno na kąpiele, takiej, jak to, co powiedział Ju-Ju: cienie, które zamy-

kają sny w bursztynie. Ulice pełne tańczącego półmroku i powolna rzeka, w której odbijają się wieże.

Gundi wciągnęła powietrze i zdumiała się. Nie była świadoma, że ma tak jasno ułożone w głowie, jaka powinna być ich piosenka. Brakowało tylko kropli, by powołać ją do życia, a ta kropla powinna pojawić się tej nocy.

– Nieźle. – Po raz pierwszy chyba widziała Erika pełnego uznania. – Taką piosenkę chcę usłyszeć, a zatem nie dręcz nas dłużej oczekiwaniem.

– Piosenki jeszcze nie ma – odparła Gundi odważnie. – A raczej jest, jest już w mojej głowie, tylko nie na papierze. Wymyśliłam za to coś innego: tak jak się do tej pory prezentowaliśmy, nie damy rady wystąpić. Nie mamy kostiumów, po których by nas rozpoznawano, nie mamy wizytówek i niby jak impresario miałyby zapamiętać naszą nazwę, skoro żadnej nie mamy?

Mówiła w próżnię, Erik nie słuchał. Stanął przed nią, jego oczy się zwężyły.

– A zatem znowu sprowadziłaś nas nadaremno? Nie masz żadnej piosenki. Cała ta gadanina o cieniach i wolnej rzece to tylko po to, aby się nam przypochlebić, żebyśmy zapomnieli, że znowu wyrzuciliśmy pieniądze w błoto.

– Erik! – zawołał Julius i chciał chwycić go za ramię. – Nie możesz tak rozmawiać z Gundi.

– Nie, zostaw mnie! – Erik, którego nic nie mogło wyprowadzić z równowagi, krzyczał. – Mam tego dość. Wiesz, co się dzieje u mnie w domu? Abramowicz zwolnił mojego ojca. W kolejnym sezonie zostanie bez stajni. Zamiast tego zapisał się do tych awanturników z partii Hitlera, żeby dobrać się do skóry Żydom i Polakom.

– W wyborach do Volkstagu zdobyli przecież tylko jedno miejsce – wymruczała Gundi. – Pop mówi, że to samo wygaśnie, że takie zakute łby się u nas nie utrzymają, bo Gdańsk i Sopot zawdzięczają swoje bogactwo otwartości na świat.

– Miło, że twój Pop tak mówi – odgryzł się Erik. – Dobry Bóg wie wszystko, a twój Pop wie wszystko jeszcze lepiej, prawda?

Gundi chciała już coś odpowiedzieć, ale powstrzymała się, kiedy spojrzała na opuchniętą powiekę Erika. W ciszy słyszała ciężki oddech

Erika, próbującego się uspokoić.

– Przepraszam – powiedział w końcu głosem na powrót zimnym i opanowanym. – Mój ojciec, niestety, nie jest zbyt mądry, nie zarabia już, tylko czeka, aż Hitler da mu pieniądze, które odbierze Żydom i Polakom. Do tego czasu pije w Café Baronsky u Pachmüllera, który także należy do tej całej bandy.

– Tego idioty obok Błękitnego Pudła, który nie chciał nas przyjąć w zeszłym roku? – spytała Gundi.

Erik skinął głową.

– Baronsky to teraz najwyraźniej jakieś miejsce zgromadzeń.

– A ojciec zabrał twoje pieniądze, żeby pić z tymi ludźmi od Hitlera?

Erik ponownie potaknął.

– Nie mogę dać nic matce, żeby kupiła mleko dla Maksa i Gretchen, nie stać mnie nawet na jedzenie dla mojego psa, a pieniądze na bilet pożyczyłem od Juliusa, któremu nie mam jak ich oddać.

– Eriku. – Julius stanął obok i położył mu dłoń na ramieniu. – Sto razy powtarzałem ci, że nie możesz na to pozwalać. Jesteś dorosłym mężczyzną, twój ojciec nie ma prawa przywłaszczać sobie twoich pieniędzy ani cię bić.

– Ach, co ty nie powiesz! – Erik odepchnął go gniewnie. – A co twoim zdaniem powinienem zrobić? Przeprowadzić się do Kasino-Hotelu? Zostawić cały ten bajzel mojej matce, a samemu na to gwizdać?

– Oczywiście, że nie, ale... – Julius przerwał.

Erik znowu oddychał ciężko.

– Zapomnijmy o tym – powiedział wreszcie. – Nie powinienem był tu przychodzić. Po prostu wciąż nie przestałem robić sobie głupich nadziei. Ale koniec z tym. Jadę do domu. Do waszych wież i cieni z pewnością w mig znajdziecie nowego basistę, w końcu jest ich tylu, co piasku nad morzem.

Odwrócił się. Zarówno Gundi, jak i Julius próbowali na wszelkie sposoby go zatrzymać, nakłonić do pozostania. Tylko Lore stała ze zwieszonymi ramionami i nic nie mówiła. Dopiero gdy Erik wyszedł i drzwi się za nim zamknęły, powiedziała:

– To jego prawo. Nie możemy dłużej składać mu obietnic, których nie potrafimy dotrzymać.

– Ty przecież tego nie robiłaś! – Gundi jeszcze nigdy nie była tak zrozpaczona. – Tylko ja. Bo nie chciałam przyznać, że nie potrafię napisać naszej piosenki.

Opadła na krzesło.

– Nie, nic nie mów – zawołała, gdy Julius otworzył usta. – Wiem, że to moja wina, nie zaprzeczaj. Erik chciał odejść już latem, a ja wciąż go powstrzymywałam. Dziś też chciałam go powstrzymać. Ale piosenki nie ma. Nigdy nie będzie. Myślałam, że będzie lepiej, jeśli nazwiemy się Die Piroggen, Pierogami, a ciotka Karl uszyje nam kostiumy, ale to głupstwa. Nic nam nie pomoże. Nawet jeśli się zakocham.

– Zakochałaś się?

– Teraz to już nieważne. – W jej głosie słychać było, jak bardzo jest przybita. – Nie ma już bandu. Nie ma niczego.

– To nieprawda, Gundi. – Julius wziął ją za rękę. – Erik wróci, ta sprawa z jego ojcem przecież nas nie dotyczy.

– Ale jeśli zawsze będzie tylko czekać na to, aż osiągniemy coś dzięki naszej muzyce, nigdy nie znajdzie innego zajęcia i nie wyrwie się ze swojego domowego piekła – powiedziała Lore. – U mnie nie jest tak źle. Nikt nie robi mi krzywdy. Ale mimo to chcę się stąd wyrwać, a dopóki wierzę, że dzięki muzyce dam radę, siedzę i nie ruszam się z miejsca.

– Przykro mi. – Gundi czuła, jak łzy spływają jej po policzkach, ale nie szlochała. – Nasza muzyka powinna uszczęśliwiać, a zamiast tego wywołuje same zmartwienia.

Lore stanęła za nią. Dotknęła jej.

– Było pięknie o tym marzyć – powiedziała ochrypłym głosem. – Ale udaje się tylko nielicznym, a my do nich nie należymy.

– Nie możecie tak mówić! – zawołał Julius. – Kto ma w nas wierzyć, jeśli nie my sami?

– Nikt – odparła Lore.

Szczęknął klucz w zamku. Gundi zerwała się z cichym okrzykiem, pobiegła do korytarza i niczym mała dziewczynka rzuciła się Popowi w ramiona. Chwytał ją. Ujął jej twarz. Miał chłodne dłonie.

– Co się dzieje, dziewczuszko? Świat się wali? Zacząłem się tego obawiać, gdy minął mnie ten wzburzony młody człowiek.

– To moja wina, Pop! Wszystko zepsułam.

Pop ujął jej twarz w dłonie, a spojrzenie jego niebieskich oczu spotkało się ze spojrzeniem Gundi. Nie jest aż tak źle, mówiły oczy Popa. Źle, owszem, ale nie aż tak źle, jak myślisz.

– Czy ktoś umarł? – spytał.

Gundi pokręciła głową.

– No widzisz – stwierdził Pop. – Jeszcze Polska nie zginęła.

12

Maj 1928

Pfitznera nie obchodziło, co porabiał Forster, wciąż chłopaczek. Wilgoć w tak zwanej siedzibie partii przenikała mu do kości, tapeta pleśniała na ścianach, a nawet bez tego jego żalosna grupa miejscowa miała dość kłopotów.

W listopadowych wyborach zdobyli 1483 głosy, co stanowiło tak zawstydzający wynik, że lepiej było o tym nie wspominać. Ten idiota Bruno Fricke wraz z bandą awanturników wtargnął we Wrzeszczu na uroczystość z okazji zwycięstwa SPD i w rezultacie NSDAP dostało czterotygodniowy zakaz jakichkolwiek zgromadzeń. Jedno uzyskane miejsce w Volkstagu zajął Hans Hohnfeldt, ustąpił jednak ze względu na stan zdrowia ze stanowiska gauleitera. Urząd objął po nim Walter Maass, „komisarycznie”, jak zapewniał, „dopóki nie znajdzie się trwałe rozwiązanie”.

Ludzie tacy jak on wszystko robili tylko komisarycznie. A skąd miało się wziąć trwałe rozwiązanie, gdy gdańska partia kurczyła się niczym suszona śliwka? Prawdopodobnie wkrótce zostanie rozwiązana, kolejna nadzieja dla Gdańska, która zatoneła w Bałtyku. Pfitzner pragnął pozostać przy życiu, dopóki się rana nie zasklepi i Gdańsk nie będzie ponownie należał do Rzeszy. Wyglądało jednak na to, że jego ciało podda się wcześniej. NSDAP będzie zapewne ostatnią płonącą nadzieją, którą przeżyje.

Kiepską nadzieją. Tydzień wcześniej w wyborach do niemieckiego Reichstagu partia Hitlera zdobyła 2,6 procent głosów. Oznaczało to utratę dwóch z czternastu marnych miejsc, a ci, którzy powinni bać się partii, naśmiewali się z niej, klepiąc po udach.

Pfitzner powinien był odejść ze swojego stanowiska. Partia i tak nie płaciła mu pensji, żył z renty wynoszącej parę guldenów i nie miał nikogo na utrzymaniu. Został jednak i kartkował stare partyjne publikacje. Swoim wiecznym piórem robił notatki.

Poroniony pomysł cała ta partia. To, co czerwoni nazywali demokracją, było jak woda z cukrem, czyniła ludzi słabymi i obojętnymi. Nie mieli już ideałów i byli zbyt ospali, by o coś walczyć. Nie wszyscy. Ale cóż mogli zdziałać nieliczni?

Forster wydawał się jednym z owych nielicznych. „Nie należy już do samego siebie”, pisano o nim w jednej z gazet. „Jest niczym opętany, stał się własnością idei narodowosocjalistycznej”.

Taki był i Pfizner. Nie należał do samego siebie, stał się własnością Gdańska. Był jednak stary, a Forster miał dopiero dwadzieścia sześć lat. We Frankonii uzyskał 10,8 procent głosów – pięciokrotnie więcej od łącznego wyniku partii. Zamiast jednak przekazać mu jedno z miejsc, skazano go na beznadziejną dziewiątą lokatę na liście. Czy we Frankonii mieli aż taki nadmiar sił, że mogli sobie pozwolić na odsunięcie na bok i niewykorzystanie człowieka pokroju Forstera?

Powinni zatem przysłać go do nas, myślał Pfizner. Gdzie bardziej niż w Gdańsku potrzebny był ktoś, kto w walce nie znał granic? A potrzebny był szybko, nim ten przeklęty port w Gdyni, haniebny korytarz i spory celne zniszczą to, co stworzono przez stulecia. Gdańsk był klejnotem Niemiec, jego bursztynem, powinien leżeć na aksamicie i być podziwiany. Zamiast tego został rzucony Lidze Narodów niczym jakaś tandeta, bez której można się obejść.

Pfizner nie miał już serca, które mogłoby zostać złamane. Ale świadomość tego, co dzieje się z jego miastem, sprawiała, że odchodził od zmysłów.

Zima była trudna, jednak gdy tylko brudne resztki śniegu stopniały w rynsztokach, a wiosna jak co roku wykluła się w ciągu nocy ze swojego kokonu, niepowstrzymanie zrodziła się też pewność, że Pop miał rację: jeszcze Polska nie zginęła. Tym powiedzeniem posługiwał się każdy w Gdańsku. Nikomu nie przeszkadzało, że pochodziło ono z polskiego hymnu:

Jeszcze Polska nie zginęła,
kiedy my żyjemy.

Pieśń tę napisano, gdy Polska nie istniała. Gundi, która nigdy nie uważała w szkole, miała wrażenie, że było tak zawsze. Raz po raz sąsiedzi dzielili Polskę między siebie niczym kawałki sernika, a po jednym z tych rozbiorów powstał ów utwór. Słusznie. Nie można było przecież zetrzeć kraju z mapy, dopóki żyli ludzie, którzy nie nazywali się Niemcami, Litwinami czy Rosjanami, tylko Polakami. Dla nich kraj, w którym żyli, nie stał się nagle inny. Nie zniknął z powierzchni ziemi, po prostu nie było go już w atlasie. Gundi miała atlas, który Gustav Kapahnke podarował jej z okazji bierzmowania, pochodzący jeszcze sprzed wojny. Nie zaznaczono w nim Polski, ale Kapahnke powiedział:

– Nie szkodzi. Nie potrzebujesz książki, żeby wiedzieć, że to Polska.

Gdy nadeszła wiosna i dni przestały być ciemne, sprawa z bandem zaczęła wydawać się Gundi nieco podobna – w pewien sposób nadal istniał. Z czworga jego członków nikt nie odszedł z tego świata, wszyscy żyli, a muzyka też miała żyć zawsze. Mogliby już jutro zebrać się ponownie i grać dalej, jakby tylko zrobili sobie przerwę.

Było to mało prawdopodobne. Nic się przecież nie zmieniło i nawet Gundi nie wierzyła już, że kiedyś się zmieni. Jednak myśl, że nie jest to zupełnie wykluczone, niosła pewne pocieszenie. Gundi wyobrażała sobie sceny, w których jakimś cudem wszyscy znowu się gromadzili, i to pomagało jej przetrwać monotonię dnia.

Nadal nie miała stałej posady, ale ponieważ sytuacja w stoczni stawała się coraz trudniejsza i zachodziła obawa, że Klawitter będzie musiał ją wkrótce zamknąć, Gundi starała się znaleźć pracę. Po Bożym Narodzeniu pomagała w sklepie warzywnym pana Martensiusa, co z jednej strony sprawiało przyjemność, bo ludzie cieszyli się z dobrych towarów, ale z drugiej szarpało jej nerwy, bo pan Martensius bez przerwy narzekał na Żydów, którzy rzekomo mnożyli się we Wrzeszczu niczym szczury.

– W żadnym przeklętym kraju w Europie nie ma tylu paskudnych Żydów co w Polsce i wlewa się to też do naszego czystego miasta – gorączkował się. – W dodatku pałęta się u nas ten bezczelny motłoch ze Wschodu. Przecież sami nie mamy co do garnków włożyć, a nasi chłopcy zostali bez pieniędzy i chleba.

Mówiąc „bezczelny motłoch ze Wschodu”, miał na myśli ludzi, którzy uciekli z Rosji do Gdańska, bo w ich wioskach podpalono im domy. Podczas gdy gdańscy Żydzi wyglądali jak wszyscy inni mieszkańcy, ci mieli długie pejsy, nosili dziwne kapelusze i peruki, więc można ich było od razu rozpoznać. Przybywali z dziećmi na rękach i workami na plecach, bo mieli nadzieję, że z gdańskiego portu ruszą dalej – do Ameryki lub Palestyny. Kto nie miał pieniędzy na podróż, musiał próbować ułożyć sobie życie na miejscu – znaleźć lokum, nim któreś dziecko zamarznie, zdobyć jedzenie pomimo szybujących w górę cen, dostać pracę, choć kolejki przed urzędami z dnia na dzień rosły.

– Nie waż się dać tej bandzie nawet zgniłego jabłka, rozumiesz? – wyrzekał pan Martensius. – W przeciwnym razie wylecisz na bruk, choćbyś była i sto razy wnuczką Popa Frieböse.

Zgniłe jabłka, które nie nadawały się do sprzedaży, Gundi odkładała do specjalnej skrzynki. Jej zawartość, zgromadzona w ciągu dnia i złożona z najróżniejszych zepsutych owoców i warzyw, trafiała wieczorem do Pachulke, świni, którą Martensius tuczył w kojcu za domem. Gundi lubiła Pachulke, która wyglądała, jakby się uśmiechała, i wydawała odgłosy niczym młynownia. Jednak gdy Martensius zaczynał złorzeczyć, w gardle Gundi nabrzmiwała gęła i miała ochotę się rozplakać, bo Martensius wolał oddać obtłuczone jabłka świni niż jednemu z dzieci, które przemykały ulicami niczym wychudzone zjawy.

Nie miało to zresztą najmniejszego sensu, bo Żydzi ze Wschodu nigdy nie przychodzili do sklepu pana Martensiusa ze swoimi dziećmi. Zamiast nich zjawiali się ludzie tacy jak Regine, pomoc domowa dentysty Garfinkla, która kupowała delikatną sałatę i lśniące owoce południowe, niedostępne dla innych klientów. Gdy tylko zadzwieczał sklepowy dzwonek i pan Martensius dostrzegał Regine, przestawał wyrzekać na Żydów, winnych wszystkich nieszczęść Gdańska, i zamiast tego mówił: „Z miłą chęcią, panno Regine”, „Bez dwóch zdań, moja droga” oraz „Czy mógłbym zapakować szanownej pani jeszcze kilka słodkich daktyli – to rzadkość, której nawet nie proponuję innym”.

Jeśli w sklepie przebywała pani Olschewski i rzucała jakąś uwagę, pan Martensius wchodził jej w słowo, ale gdy tylko Regine wychodziła ze sklepu z pełną siatką zakupów, nagonka znowu się zaczynała: „Nic dziwnego, że Gdańsk schodzi na psy – czego nam brakuje, Żydzi wypychają sobie do wora”.

Czasami Gundi wracała na górę do mieszkania, walcząc ze łzami, a raz nawet nie zjadła kolacji, choć była zupa owocowa z kluskami. Nie potrafiła niczego przełknąć, bo zaraz musiała myśleć o tym, jak karmiła świnię brukwią, ziemniakami i jabłkami, podczas gdy pan Martensius pomstował na kobiety w łachmanach, które zebrały z dziećmi na dworcu kolejowym.

Pop nie zastanawiał się długo.

– Po prostu przestajesz tam chodzić, dziewczuszko – powiedział i zabrał zupe. – Zawsze mieliśmy co do garnka włożyć, mój bąbelek nie musi być już taki pochmurny.

Gundi przestała zatem chodzić do sklepu pana Martensiusa, a zamiast tego zaczęła roznosić rano gazety. Okazało się to o tyle lepsze, że nikt nie narzekał na ludzi, którzy nie zrobili mu nic złego, ale oznaczało też codzienną walkę z naturą Gundi. Była leniuchem, nie dało się temu zaprzeczyć, uwielbiała rankiem zakopać się jeszcze na chwilę pod kołdrą, a gdy Pop wołał z kuchni, czy woli kawę, czy czekoladę, odpowiadała: „Czy wyjątkowo mogę dostać jedno i drugie?”. Wczesne pobudki w chłodzie i ciemności stanowiły wyzwanie, więc gdy dystrybutor „Danziger Nachrichten” zmniejszył liczbę pracowników o połowę, Gundi nie była tym poważnie zasmucona.

Z całego serca ucieszyła się natomiast, kiedy ciotka Karl zaproponowała, by również tego lata pomagała jej w pensjonacie:

– Mam dużo rezerwacji, a te dwie dziewczuszki już i tak ciężko pracują.

Dwoma dziewczuszkami były Róża i Zosia Pajewskie, córki niezastąpionej Felicji, która zmarła zimą. Dziewczyny starały się wykonywać wszystkie zadania równie sprawnie, jak dawniej ich matka, ale często przychodziły do pensjonatu już śmiertelnie zmęczone, bo również w domu miały ręce pełne roboty. Ich ojciec był inwalidą i potrzebował opieki, a na swojego brata, nieokiełznanego Jeszka, musiały stale uważać. Ciotka Karl mówiła, że był inteligentny, dostał się na uczelnię techniczną we Wrzeszczu, gdzie była ograniczona liczba miejsc dla Polaków, a po studiach zamierzał zostać inżynierem, ale ze względu na poryw-

czość i nienawiść do wszystkiego co niemieckie, stale pakował się w kłopoty.

Gundi postanowiła pomóc dziewczętom. Chciała nawet nauczyć się gotować, choć do tej pory wykazywała w tej dziedzinie zupełny brak talentu. Cieszyła się po prostu, że znowu jest w Sopocie. Czasy najszczęśliwszego dziecka nad Bałtykiem minęły, ale gdy tylko wysiadła z pociągu na peronie pierwszym i dobiegł ją znany zapach soli, ryb i okolicznych morenowych lasów, poczuła, jak wracają jej siły. Sopot miał na nią dobry wpływ, stał się częścią jej duszy i wiedziała, że będzie w niej już do końca życia.

Ciotka Karl przedstawiła sobie dziewczęta i ucieszyła się, gdy wyszło, że wcześniej już się poznały.

– Więc jednak będziemy razem pracować – zawołała Gundi. – Obawiam się, że w pierwszych dniach będę dla was raczej ciężarem niż pomocą, ale obiecuję, że będę się starać.

Róża, która ścieliła właśnie łóżko dla gości, ledwie uniosła głowę, by odpowiedzieć na przywitanie Gundi, ale Zosia zatrzymała się i uśmiechnęła. Podobnie jak tamtego wieczora w Błękitnym Pudlu Gundi zwróciła uwagę na to, jak jest delikatna i urocza – nie tylko piękna, ale również tak ujmująca, że każdy po prostu musiał ją lubić i chciał ją chronić. Gundi cieszyła się, że będzie spędzać czas z Zosią. Lore, której matka zmuszona była sprzedać sklep z towarami kolonialnymi, miała teraz okropnego szefa i nie mogła przyjeżdżać zbyt często. Nikt nie zdołałby zastąpić jej siostry, ale miło było mieć do towarzystwa inną dziewczynę, z którą Gundi dobrze się rozumiała.

Oczywiście liczyła na to, że zobaczy przyjaciół. Kontakt z Juliuszem nigdy się nie urwał, choć okazja do zakochania się minęła bezpowrotnie. Od tamtego wieczora już się nie widywali, ale Julius pisywał do Gundi, a był prawdziwym mistrzem w pisaniu listów. Na Boże Narodzenie przesłał jej płytę, na której Tadeusz Radun śpiewał *Daremne pragnienie*. Gundi uznała to za niezwykle szlachetny gest, zwłaszcza że Julius nie cierpiał polskiego tenora.

„Tadeusz Radun – złoty głos z Kaszub”, widniało na okładce płyty. Zdziwiona Gundi spytała o to Popa, który kilkakrotnie obrócił okładkę w dłoniach.

– Radun – wymruczał. – Z takim nazwiskiem może być równie dobrze jednym, jak i drugim.

– Polakiem albo Kaszubem?

Pop skinął głową.

– Chyba jeszcze nigdy nie widziałam Kaszuba – powiedziała Gundi.

– A ja myślę, że codziennie jakiegoś widzisz, może nawet w lustrze – odparł Pop. – Tu u nas wszyscy są taką mieszanką, że można by nadziewać nią pierogi.

– To dlaczego na okładce piszą o Kaszubach? Przecież śpiewa po polsku.

– Kto wie, dziewczuszko – odparł Pop. – To nie taka duża różnica. A jako Kaszub może się lepiej sprzedawać.

– Dlaczego?

Pop spojrział na nią i powiedział coś oczami. Coś smutnego, czego Gundi tym razem nie zrozumiała.

– Polacy myślą, że Kaszub jest jednym z nich, a my, Niemcy, uważamy go za jednego z nas – stwierdził wreszcie. – Więc w ten sposób pasuje wszystkim. Ma to i dobre strony. – Potem ponownie wziął do rąk obwolotę, zerknął na nią i zwrócił się do Gundi: – W każdym razie masz miłego kawalera. No i jak? Lubisz go?

Gundi zastanawiała się.

Wtedy, gdy grupa się rozpadła, Julius rzeczywiście został u nich na noc. Pop postanowił, że przy takiej pogodzie nie wyrzuci się za drzwi ani psów, ani smutnych chłopaków, rozstawił więc dla Juliusa łóżko w korytarzu. Gundi, idąc do ubikacji, musiała przejść koło niego. Gdy wracała, Julius przytrzymał ją za nogę i popatrzył na nią. Pomimo ciemności dostrzegła, że jest równie smutny jak ona, i cieszyła się, że ma go przy sobie.

Gundi nie była głupia. Była nowoczesną dziewczyną, która chodziła do kina i wiedziała, co robią nocami mężczyźni i kobiety. Z kuchni dochodziło potężne chrapanie, potwierdzające, że Pop głęboko śpi. Jeśli to zrobimy, przeszło jej przez głowę, jeśli będziemy się kochać, tu, na podłodze, może być ekscytująco, może zapomnę wtedy, że straciliśmy band, i wymyślę, jak mam z tym dalej żyć.

Julius jednak puścił ją szybko, jakby sam się przestraszył.

– Wracaj do łóżka, Gundi – wymruczał i od tamtej pory już się nie widzieli.

Pop nadal czekał na odpowiedź.

– Tak – stwierdziła Gundi. – Lubię go.

– Bardzo?

Gundi potaknęła.

– Nie wiem tylko jak bardzo. I w tym chyba tkwi problem.

Pop ponownie popatrzył na nią długo, po czym spytał:

– Dla ciebie czy dla niego?

– Dla niego oczywiście.

– Kto wie, czy on w ogóle to dostrzega – odparł Pop. – My, mężczyźni, w tych sprawach nie jesteśmy nawet w połowie tak mądrzy, jak się wam, kobietom, wydaje.

Gundi długo się nad tym zastanawiała, ale nie doszła do żadnego wniosku. Teraz zaś znalazła się na powrót w Sopocie i miała zobaczyć Juliusa. Zostawił w pensjonacie bukiet róż stulistnych, a przy nim pocztówkę ze zdjęciem kąpieliska dla rodzin, na której prosił, by Gundi przyszła następnego dnia na molo na zawody pływackie. „Trenuję od maja. Jeśli zwyciężę, nagroda będzie Twoja”.

Gundi przeczytała te słowa z nutką nostalgii w głosie. W poprzednich latach Julius nigdy nie miał czasu trenować do zawodów pływackich, a każdą wolną chwilę poświęcał grze na trąbce. Mimo to zamierzała pójść go dopingować. Może tego lata przekona się nawet, jak bardzo go lubi. Dziwne było tylko, że nie wydawało się to jej szczególnie ważne, odkąd nie było już bandu, a ona przestała wierzyć, że zakochanie się może pomóc jej w napisaniu niezapomnianej piosenki.

Spóźniła się nieco, bo zamarudziła z ciotką Karl w kuchni. Na prośbę Gundi ciotka jeszcze raz pokazała jej, jak rozwałkować ciasto na pierogi. Obie śmiały się, bo Gundi zabierała się do tego jak pies do jeża, i zawołały Zosię, która śmiała się razem z nimi.

– Ja też nie potrafię – powiedziała Zosia głosem niczym ptaszek. – Potrzeba tyle siły. Ale moja mała, chuda matka to umiała – od robienia pierogów miała mięśnie niczym niedźwiedź.

– Przykro mi z powodu twojej matki – powiedziała Gundi, przestając się śmiać.

Na twarzy Zosi przemknął cień.

– To miło z twojej strony, Gundula. Jesteś miła. Jeśli chcesz nauczyć się robić pierogi, moja siostra może z tobą poćwiczyć. Matka miała mięśnie jak niedźwiedź, a Róża ma jak słoń.

Ponownie się roześmiały. Gundi podziękowała za propozycję, ale postanowiła porzucić temat pierogów i zamiast tego następnego dnia spróbować ugotować eintopf z brukwi. Potem ruszyła w drogę, lecz dotarła na plażę i molo dopiero po tym, jak zabrzmiał sygnał startowy, i machała bez sensu, tak jakby pływający Julius mógł odwrócić się i ją zobaczyć.

Nawet go nie rozpoznała, bo sylwetki pływaków ginęły wśród fal. Był pochmurny dzień, jak na czerwiec chłodno, morze szare jak kamień i wzburzone. Mimo to zjawilo się wielu widzów w płaszczach i zydwestkach. Później pójdą ogrzać się w barach i kawiarniach przy machandlu albo śliwowicy. Zawody należały do ulubionych atrakcji sezonu. „Möwe”, ilustrowane pismo zarządu uzdrowiska, już od tygodni opisywało postacie obiecujących pływaków i zwłaszcza damski świat nie zamierzał pominąć spektaklu, w którym uczestniczy dwudziestu pięciu mniej lub bardziej krzepkich mężczyzn w kostiumach pływackich. Tylko w wodzie ze względu na niesprzyjającą pogodę nie było nikogo poza uczestnikami.

Gundi osłoniła dłonią oczy, by spróbować wypatrzeć Juliusa. To była jedna z tych cech Sopotu, które tak bardzo kochała – niebo mogło być pochmurne, a słońce ukrywać się daleko, ale gdy tylko spojrzało się w stronę morza, miało się uczucie, że ślepie się od światła. Tor, który pokonywali uczestnicy, miał kształt podkowy i oznaczono go niebiesko-żółtymi chorągiewkami. Pomiedzy nimi raz po raz ukazywała się czyjaś głowa, ale nie dało się rozróżnić poszczególnych zawodników.

Gundi stanęła na palcach, z trudem utrzymując na piasku równowagę. Gdy nagle coś uderzyło z rozpędem w jej kolana, straciła oparcie i runęła naprzód, na plecy jakiejś damy w płaszczu przeciwdeszczowym w szkocką kratę. Kobieta odwróciła się przestraszona, a Gundi pozbiierała się i uniosła dłonie.

– Przepraszam i bardzo dziękuję, madam. Gdyby tu pani nie stała, przewróciłabym się na ziemię.

Dama uśmiechnęła się uprzejmie, ale najwyraźniej nie zrozumiała ani słowa, więc Gundi odwróciła się i o mały włos znowu nie upadła. Długowłosy owczarek pojawił się jakby spod ziemi, skoczył na nią i polizał po twarzy.

– Lex! – zawołała Gundi radośnie. – Mój ukochany, najukochańszy Lex, skąd się tu wziąłeś i czy to nie cudownie?

Objęła zwierzę rękoma i zatoczyli się razem po piasku niczym para pijanych tancerzy. Potem pies opadł na cztery łapy, a Gundi pochyliła się nad nim i zanurzyła dłonie w jego futrze.

– Wiesz, jak bardzo za tobą tęskniłam, ty wielki psie? Musisz to wiedzieć, bo inaczej byś się tu nie zjawił.

– Jest tu, ponieważ cię szukałem.

Gundi uniosła głowę i zobaczyła Erika ubranego w uniform w ciemno jasnobrązowe pasy z wyhaftowanym na kieszeni na piersi napisem „Wynajem koszy plażowych Ziebuhr”. Ciemne włosy miał zaczesane ze starannym przedziałkiem. Reinhold Ziebuhr był dziwakiem, który karmił mewy i włóczące się koty, nosił wodę osiołkom, które wozily dzieci, i na przekór zarządcy plaży skwapliwie usuwał tabliczki z napisem „Psom korzystanie z plaży zabronione”. Uwielbiał Lexa. Erik lubił Ziebuhra, ponieważ ten przed laty wyłowil z morza skrzynię z na wpół żywym szczenięciem i je uratował. Teraz najwyraźniej pomógł Erikowi i dał mu pracę.

Czy Erik stracił swoją łódź? Nieważne! Gundi wypuściła Lexa i objęła ponad psem jego pana.

– Ach, Eriku. Ericzku. Jak mogłam wytrzymać cały ten czas bez ciebie?

Potem zreflektowała się. Rozstali się skłóceni, a gniew Erika był uzasadniony. Puściła go i wyprostowała się.

– Przykro mi – wymruczała.

– Nie – powiedział Erik. – To mnie jest przykro. Dlatego cię szukałem.

– Skąd wiedziałeś, że jestem w Sopocie?

– No cóż. – Erik wykrzywił drwiąco twarz, ale nie wykonał znieawidzonego przez Gundi ukłonu. – Taki już jest Sopot. Gdy przyjeżdża Gundula Frieböse, cała miejscowość od razu o tym wie.

– Tak się cieszę, że znowu tu jestem, Eriku. I nie musisz mnie przeproszać. Gdy tylko ponownie będziemy razem... – Przestraszyła się i zgubiła resztę zdania. Co też takiego powiedziała? Czy naprawdę aż tak bardzo tęskniła za Erikiem?

– Chciałem... – zaczął, chwycił psa za obrozę i przyciągnął go ku sobie. – Tamtego wieczora nie byłem sobą i zachowałem się niewłaściwie. Przekaż to proszę również swojemu dziadkowi. Nie miałem prawa mówić o nim w ten sposób.

– Popowi? To przecież głupstwo. Pop jest od nas ponad trzy razy starszy, widział, jak pół świata się wali i na powrót powstaje, i wie, jak traktować naszą gadaninę. Poza tym martwi się teraz zupełnie innymi sprawami, w stoczni. Nie ma ci niczego za złe, zresztą nie było go przy tym, gdy o nim mówiłeś.

Erik stał przed nią nieporuszony. Gundi uznała, że pasiasty uniform wygląda śmiesznie, ale twarz Erika już nie.

– Mimo wszystko przepraszam – powiedział. – Byliśmy przecież przyjaciółmi, a wobec przyjaciół nie należy zachowywać się tak, jak ja to zrobiłem z powodu tej piosenki. Tak to już jest, gdy chce się czegoś zbyt mocno. Może to i dobrze, że się tego nie dostaje. Życzę ci miłego lata w Sopocie, Gundi. – Pociągnął Leksa za obrozę i odwrócił się, by przejść przez tłum.

– Ależ Eriku! – zawołała Gundi. – Przecież nadal jesteśmy przyjaciółmi! A między przyjaciółmi to nie jest nic wielkiego, jeśli ktoś raz dziwnie się zachowa. Poza tym to ja postąpiłam najpaskudniej. Rozczarowałam was. Jest mi z tego powodu nieskończenie przykro.

Niektórzy z widzów spoglądali w jej stronę. Jakieś dwie Rosjanki w za ciepłych płaszczach dyskutowały, przy czym jedna mozolnie tłumaczyła drugiej słowa Gundi. Erik przystanął i odwrócił się z uśmiechem na twarzy. Szczerym. Bez drwiny.

– To miło z twojej strony, Gundi. Ale czego ode mnie chcesz? Nie gram już nawet na basie.

Było to takie uczucie jak wtedy, gdy przy krojeniu cebuli człowiek zatnie się w palec – krótki, ostry ból, a potem płynąca krew i zdumienie. Gundi nie przysłała do głowy naprędce żadna odpowiedź, zresztą nie było już nic słychać, bo wokół wybuchły owacje dla zwycięzcy zawo-

dów pływackich. Mimo to zaczęła mówić, choć dobrze wiedziała, że Erik nie rozumie ani słowa.

– To wielka szkoda, Eriku – wymruczała. – Byłeś lepszy od nas wszystkich. Gdybyś nie zadawał się z nami, tylko znalazł inny zespół, odniósłbyś sukces.

Pomiędzy nich wcisnęli się ludzie, przepychający się do przodu, by oklaskiwać zwycięzcę. Jeszcze przez chwilę spojrzenia Gundi i Erika krzyżowały się, a gdy mówiła, choć nie mógł jej zrozumieć, widziała, że i on mówi, i nie wiedziała co. Potem cofnął się o krok, ciężko, jakby nie potrafił się oderwać od ziemi, odwrócił się i odszedł z Leksem u boku. Gundi również nie potrafiła się poruszyć. Skierowała się w stronę morza i wiwatów dla zwycięzcy dopiero wtedy, gdy ktoś chwycił ją za ramię i zakręcił.

– Gundi! Droga Gundi! Tak liczyłem na to, że przyjdiesz, ale nigdzie nie mogłem cię dostrzec.

Julius miał na sobie biały płaszcz kąpielowy z emblematem Kasino-Hotelu, który w tym roku był sponsorem zawodów. Cały ociekał wodą i szcząkał zębami – naprawdę był zmarzluchem i pływanie przy tej pogodzie musiało wymagać od niego piekielnie dużo samozaparcia. Gundi z trudem roześmiała się i łagodnie odepchnęła go od siebie, nim przemoczony zdołał ją uściskać.

– Idź sobie, ty topielcu. Trochę się spóźniłam i nie znalazłam już dobrego miejsca. Mów, wygrałeś?

Niebo zrobiło się teraz naprawdę ciemne i Gundi poczuła na policzkach deszcz, który w mgnieniu oka stawał się coraz bardziej rześisty. Dobry humor Juliusa znikł.

– Trenowałem jak szalony – powiedział i pokręcił głową. – Ale to nie wystarczyło. Nie potrafiłem nawet wygrać głupiego wyścigu pływackiego.

Gundi spojrzała za niego na molo, gdzie wzniesiono podium dla zwycięzców. Pracownicy hotelu poprowadzili na nie trzy drżące, przemoczone postacie, a kapela dęta zarządu uzdrowiska, która stłoczyła się pod płóciennym daszkiem, zagrała tusz. Zwycięzcy założono na szyję wieńiec i wręczono puchar, który wyglądał jak olbrzymi wazon.

– Ale po co ci one? – spytała Gundi. – To znaczy ten wiecheć i garnek?

- Chciałem go tobie podarować.
- A co mielibyśmy z Popem z nim zrobić? Używać jako nocnika?
- Gundi! Ani trochę się nie zmieniłaś.

Roześmiała się i wzięła go pod ramię, choć wzdrygnęła się, kiedy dotknęła mokrego płaszcza kąpielowego.

– Ty też nie. Teraz postaraj się wysuszyć, a wtedy będziesz mógł zaprosić mnie na Seestraße na gorącą czekoladę. To mi się bardziej spodoba.

Julius syknął.

– Chciałbym. Ale jak zwykle nie mam pieniędzy. Zwycięzca z osobą towarzyszącą jest zaproszony o błękitnej godzinie do Kasino-Hotelu. Nie wiesz nawet, jak bardzo marzyłem, by móc cię tam zabrać.

Przez chwilę Gundi również o tym marzyła i trochę to bolało. Kasino-Hotel to Kasino-Hotel, wszystko się wokół niego kręciło. Ale oni też mieli dobrze. Nie był stworzony dla ludzi ich rodzaju, a od tego przecież się nie umierało.

– Idź się wyszykować – powiedziała i klepinięciem w plecy posłała Juliusa w drogę. – Pójdziemy do Pudła. Przecież właśnie przyjechałam, więc ja stawiam.

– W Pudlu nie ma czekolady.

– Ale są lody z szampanem! – zawołała Gundi, podskoczyła, wzbijając tumany piasku, i pobiegła przodem.

14

Lipiec

Od tamtego dnia Gundi niemal codziennie spotykała się z Juliusem. Nie rozwoził już ryb, bo nie mógł dłużej znieść paskudnego zapachu. Zamiast tego zabrał się do porządkowania spuścizny po kupcu, hurtowniku cukru, którego małżonka miała w ramach wynagrodzenia przekazać Juliusowi procent spadku. Julius przystąpił do pracy z wielkimi nadziejami. W gustownym gabinecie w willi przy Ernststraße, położonej niedaleko domu jego ojca, czuł się w swoim żywiole i myślał już o tym, by wyspecjalizować się niejako w tej dziedzinie. Okazało się jednak, że

kupiec zostawił po sobie taki chaos, a im więcej tygodni mijało, tym bardziej przygnębiony stawał się Julius i tym bardziej wątpił, czy ostatecznie ze spadku cokolwiek zostanie.

– Wygląda na to, że nawet willa jest zadłużona aż po dach – tłumaczył ponuro Gundi podczas pikniku, gdy siedzieli ściśnięci w opuszczonym koszu plażowym. Lato nie było tak piękne jak poprzedniego roku. Niemal codziennie padał deszcz. Goście Kasino-Hotelu popijali szampana na przeszklonym wysokim tarasie i spoglądali w dół na ludzi na plaży, którzy dalej grali dzielnie w badmintona, połykali kanapki z matjasem albo gdańską flądą i mokli na deszczu.

– Jak ten człowiek zdołał narobić aż tyle długów? – spytała Gundi. – Takim jak my nie pożyczą w Pudlu nawet pół guldena – w przeciwnym razie siedzielibyśmy teraz pod dachem przy kieliszeczku.

– Ale tacy jak my nie wybudowaliby najpiękniejszej willi w całym Sopocie i nie wyposażyli jej gdańskim barokiem, kominkami z alabastru i fajansami z Delft – odparł Julius gorzko. – Sam dom jest wart tyle, ile ty i ja nie zarobimy przez całe życie. Do tego dochodzi ogród, który bardziej przypomina park, i taras, na którym można siedzieć w fotelu, popijać białego burgunda i patrzeć na słońce zachodzące nad morzem.

– Może twój hurtownik cukru trochę za często tam przesiadywał i wpatrywał się w słońce – stwierdziła Gundi. – I przy burgundzie zapomniał po prostu o swoim cukrze.

Julius nie podjął lekkiego tonu.

– Nie wiesz, jak bardzo chciałbym móc dać ci taki dom – powiedział. – To ty powinnaś siedzieć na tej werandzie w angielskim wiklinowym fotelu, z kieliszkiem schłodzonego wina w dłoni, a pokojówka w białym czepku podawałaby ci koreczki.

– Jakie znowu koreczki? – spytała Gundi, która dobrze wiedziała, o czym Julius mówi. Ułożyła się głębiej w koszu plażowym i ścisnęła Juliusa za ramię. – Tutaj też jest pięknie, Ju-Ju. A takie czepki przeszkadzają w pracy, możesz spytać Zosię i Różę albo nawet mnie. Miło byłoby wypić kieliszek wina, ale bułki z kielbasą od ciotki Karl smakuja i bez niego.

– Nigdy nie pojme, jak mozesz widziec swiat w tak rozowych barwach.

– Może dlatego, że moim zdaniem jest piękny – odparła Gundi. – Byłam najszczęśliwszym dzieckiem nad Bałtykiem, siedzę w koszu plażowym z moim przyjacielem Ju-Ju, nie głoduję i mam przed sobą jeszcze sześć tygodni lata w Sopocie. W dodatku cieszę się, że nikt mi niczego nie pożycza, bo dzięki temu nie mam długów jak twój szanowny pan Cukrownik.

– Nazywał się Seesen – powiedział Julius. – Harro Seesen, a jeśli mnie pytasz, nie zmarł z powodu krwawienia z żołądka. Na blacie biurka, przy którym pracuję, jest ciemna plama w kształcie Afryki, która nie daje się zetrzeć. Założę się, że po prostu zastrzelił się w tym eleganckim pokoju w swojej luksusowej willi.

Gundi wzdrygnęła się.

– Z powodu długów?

Julius potaknął.

– Nadal zastanawiam się, w jaki sposób zdołał wpaść w takie długi – powiedziała Gundi. – Tyle że w końcu nikt już nie mógł mu pomóc. – Umiała sobie wyobrazić wszystko, ale tego, żeby ktoś nie chciał dłużej żyć, nie być więcej przy tym, gdy nazajutrz ponownie wstanie słońce i otworzy się cały dzień nowych możliwości – nie, tego nie potrafiła sobie wyobrazić. A już na pewno nie wtedy, jeśli byli ludzie, którzy wypłakaliby sobie z tego powodu oczy. Gundi zobaczyła w wyobraźni Popa, Lorę i ciotkę Karl i przełknęła z trudem. – Miał dzieci, ten cukrowy Seesen?

– Córkę – odparł Julius. – Dwunastoletnią Toni. Taki mały, rozpieszczony złoty skarb, któremu teraz nagle zimny wiatr dmie w oczy. – Wskazał łokciem w stronę Kasino-Hotelu. – Narobił długów tam, na górze. W kasynie. Wiesz, że w Sopocie nazywają je jaskinią hazardu, bo szanowani obywatele dają się tam ograć do suchej nitki?

Gundi ugryzła kawałek bułki, ale pozostawiła go w ustach i popatrzyła w górę na miodową fasadę hotelu, okna z polakierowanymi na biało balkonowymi balustradami i kwitnącymi czerwonymi pelargoniami niczym w krajach południa. Był taki piękny, stał majestatycznie i zapraszająco pośród ogrodu, w otoczeniu fontann i różanych pergoli, ze schodami, po których spieszyli kelnerzy we frakach, by podać gościom pod białymi słonecznymi żaglami wszystko, czego potrzebowali do wypoczynku i dobrego samopoczucia. Niełatwo było uwierzyć, że w tym

jasnym, szemrzącym wesoło, żyjącym z beztroski świecie czai się ciemny wir, który wciąga i porywa na zatracenie.

A przecież to właśnie – niebezpieczeństwo, otchłań, możliwość przegrania w ciągu nocy swojego życia – stanowiło o nieodpartym uroku Kasino-Hotelu. Nie był to bynajmniej jedyny luksusowy hotel na wybrzeżu. Lecznicze działanie sopockiego uzdrowiska znano w całej Europie, lasy otaczające miejscowość niczym kochankę chroniły ją od burz, a woda w osłoniętej Zatoce Gdańskiej była cieplejsza niż w innych miejscach nad Bałtykiem. Nie bez powodu kąpielisko dla pań na położonym bliżej Gdańska Westerplatte cieszyło się nieustającą popularnością, choć tuż obok znajdowała się udostępniona Polakom składnica wojskowa.

Hoteli, które przyciągały bogatych i pięknych, było zatem dość, ale to właśnie Kasino-Hotel już na rok przed rozpoczęciem sezonu nie miał wolnych pokoi. To przed płotem Kasino-Hotelu gromadzili się ludzie, pokazywali go palcami i mruzczyli: „Żeby choć raz tam gościć, tylko raz...”.

– Gdybym miał pieniądze, też bym grał – powiedział Julius niczym echo rozmyślań Gundi.

– A gdybyś wszystko stracił – tak jak twój cukrowy Seesen?

– Nawet jeśli – odparł Julius. – Gorzej niż teraz już być nie może i nikt by za mną nie tęsknił.

– Jesteś idiotą. – Gundi wyskoczyła z kosza. Nie zwracała uwagi na to, że ulewny deszcz moczy ją niczym zimny prysznic. – Jak sądzisz, dlaczego siedzę z tobą w tym głupim koszu i wysłuchuję twojego narzekania – jeśli miałabym za tobą nie tęsknić?

– Naprawdę, Gundi? – Spojrzał na nią oczami wielkimi jak u dziecka.

– Możesz być pewien, głuptasie.

– Ale przecież nie mam ci niczego do zaoferowania.

– Ależ masz. Dzień po dniu twoje żałosne śpiewki. – Gundi, która jednak przemokła, opadła na powrót do kosza plażowego, ale skrzyżowała ręce na piersi, zamiast jak wcześniej położyć dłoń na ramieniu Juliusa. – Musi mi się to podobać, skoro siedzę tu wciąż jak ta idiotka.

Gundi uważała, że humor to złoty most, po którym można na powrót się zejść, jeśli ktoś zachował się niewłaściwie. Trochę śmiechu i po

wszystkim. Julius jednak, jak to często bywało, zignorował jej most.

– Ze względu na ciebie chciałbym jednak mieć możliwość, by coś w życiu osiągnąć, też wybudować sobie willę i spędzać wakacje w luksusowych hotelach. Dla ciebie i mojej matki. Ale wygląda na to, że rzeczywiście zostało mi tylko kasyno. Brak mi jednak kapitału na start i smokingu, bo takiego obdartego nieudacznika jak ja z miejsca wystawią za drzwi.

– Ach, Ju-Ju. – Gundi zdusiła westchnienie. – Kto niby ma willę albo mieszka w Kasino-Hotelu? Co najwyżej bardzo mała garstka ludzi, a cała reszta też musi przecież cieszyć się życiem. Dlaczego trochę nie poczekaasz? Żona Cukrownika musi ci mimo wszystko zapłacić, a kto wie, może za te pieniądze uda ci się otworzyć mały sklepik. Chodziłeś przecież do tej wyszukanej szkoły, masz coś w głowie, a w garniturze świetnie byś się prezentował...

– Ale nie pachnę jak należy. – Julius parsknął. – A o zapłacie mogę zapomnieć. Muszę jeszcze wymyślić, jak powiem matce, że trzy miesiące pracy trzeba spisać na straty.

– Momencik. Wykonałeś swoje zadanie, a zatem należy ci się zapłata.

– Podpisałem umowę. – Gdyby istniała nagroda za najbardziej żałosny głos w Sopocie, Julius wygrałby bezkonkurencyjnie. – Zamiast ustalonej sumy w ramach wynagrodzenia dostanę jeden procent z wypłaconego spadku. A jeden procent od zera to zero, niezależnie od tego, jak to interpretować.

– Schietke sagt Liedtke. Co za draństwo. Ach Ju-Ju, naprawdę masz największego pecha pod słońcem.

– Możesz to wykrzyczeć na cały świat.

– A to coś pomoże? W takim razie tak zrobię. – Złożyła dłonie przy ustach na kształt tuby i chciała zakrzyknąć ponad plażą, ale Julius pokręcił głową. Ponownie humor nie zadziałał, aby poprawić jego zły nastrój.

– Matka stale mi wyrzuca, że straciła pieniądze i siły na moje wykształcenie. Wiesz, jak to boli? Widziała we mnie lekarza, adwokata, sędziego – syna, z którego mogłaby być dumna. A ja zmarnowałem wszystkie te lata, bo pokładałem nadzieje w muzyce, i czuję się winien tego, że moja czterdziestopięcioletnia matka jest teraz starą kobietą.

W ten sposób zrzucał winę na Gundi. Gdyby opanowana manią wielkości nie wmawiała sobie, że potrafi napisać wyjątkową piosenkę, Julius

zostałby może lekarzem lub adwokatem. Gdyby nie była taką megalomanką, nie przypisywała sobie talentu, którego nie posiadała. Ale czy i Pop nie miał nieco racji? Nikt od tego nie umarł.

– Przecież jesteśmy jeszcze młodzi – zaczęła Gundi słabo. – Kto wie, co nas jutro spotka dobrego.

– Może ciebie. Jesteś ładna, możesz przynajmniej porządnie wyjść za mąż. Pod warunkiem, że nie będziesz trzymać się takiego nieudacznika jak ja.

Gundi wstała. To nie miało sensu. Zamiast pomóc Juliusowi odpędzić nastrój, jakby świat się walił, czuła, że sama się mu poddaje.

– Muszę już iść. Ciotka Karl mnie potrzebuje – stwierdziła, choć Zosia i Róża świetnie radziły sobie bez niej. Czuła się bezradna i bezsilna, ale następnego dnia znowu spotkała się z Juliušem i na powrót na próżno próbowała go rozweselić.

Pozostała jej jedna nadzieja, a w rękawie – w nadchodzącym tygodniu w czwartek miało odbyć się w mieście korso kwiatowe, parada udekorowanych statków i pokaz fajerwerków na molo – główna atrakcja sezonu. Już kilka tygodni wcześniej ustalili, że Pop i Lore wezmą z tej okazji trzy dni urlopu, by spędzić w Sopocie cudowny, niekończący się weekend. Gundi nie mogła już się doczekać, tak za nimi tęskniła, i nawet pogoda miała się poprawić. Może Julius łatwiej odzyska humor, gdy wszyscy znowu będą razem.

Musieliby tylko wszyscy być razem.

Gundi chciała zaprosić Erika, by tak jak dawniej spędził z nimi ten dzień, ale nie potrafiła się przełamać. Widywała go od czasu do czasu, jak wraz z Reinholdem Ziebuhem przedstawiał kosz plażowy lub wskazywał jakiejś klientce wolne miejsce, i za każdym razem czuła się winna, że w ogóle patrzy w jego stronę. Pasiasty uniform w kolorze kawy przypominał nieco więzienną odzież, a Erik wyglądał w nim na mniejszego niż w rzeczywistości. Julius opowiedział jej, że podczas jednego z zimowych sztormów łódź Erika roztrzaskała się o molo. Nie miał zatem wyboru i musiał przyjąć słabo płatną pracę u Ziebuhra.

Gundi chciała błagać Erika, by nie porzucał gry na kontrabasie, ale jakie miała do tego prawo? Wyraźnie dał do zrozumienia, że uznaje ich przyjaźń za zakończoną. Był na tyle wielkoduszny, że nie czynił jej

wyrzutów, ale to nie oznaczało jeszcze, że chce mieć z nią cokolwiek wspólnego.

– Rozmawiasz czasem z Erikiem? – spytała Juliusa.

– Jesteśmy sąsiadami – odparł, wzruszając ramionami. – Ale w miarę możliwości schodzimy sobie z drogi. Jeden nieudacznik wstydzi się drugiego.

Zatem towarzyszył jej tylko Julius, gdy w czwartkowy ranek szła przez przyozdobioną kwiatowymi girlandami miejscowość na dworzec, aby odebrać Popa i Lore. Ciotka Karl została w pensjonacie i nakrywała stół w ogrodzie, żeby podać im później kawę i świeżo upieczone ciasto ze śliwkami. Faktycznie już nocą przestało padać. Pokazało się nawet słońce, które wypalało dziury w szarości i przesyłało pozdrowienia świętującemu Sopotowi. Gundi zapomniała o troskach. Znowu miała ochotę skakać po chodniku, ale opanowała się ze względu na Juliusa i wyobrażała sobie, że przechodnie myślą: oto Gundi Frieböse, może nie najszczęśliwsza nad Bałtykiem, ale wciąż mająca cholernie dużo szczęścia.

Lore miała przywieźć gitarę – może już dziś razem zagrają. Kto wie, może Julius przyniesie nawet swoją trąbkę i znowu poczują muzykę. Kochali ją przecież nie tylko dlatego, że pewnego dnia chcieli dzięki niej zrobić karierę. Muzyka była dla nich całym światem. Dzięki niej czuli się olbrzymami, a nie karłami w pasiastych uniformach w kolorze kawy.

Nadjechał pociąg, a Gundi pospieszyła przed Julusem schodami na peron. Oto był – jej ukochany pociąg emaliowy sztyd z napisem „Zopot”. Gdy weszła na peron, Pop i Lore właśnie wysiadali z wagonu najtańszej klasy. Gundi na pierwszy rzut oka dostrzegła, że nie będzie to weekend pełen muzyki, lekkości i nowej nadziei. Lore nie zabrała gitary, nie miała nawet ze sobą bagażu, a w dodatku wyglądała, jakby przygniatał ją jakiś ciężar. Pop był szary na twarzy. Gundi widywała go zmęczonego, przeziębionego albo skacowanego po bibce z Gustavem Kapahnke, ale jeszcze nigdy szarego. Nie potrzebowała więcej, by zrozumieć, że coś jest bardzo nie w porządku.

– Gundi, tak mi przykro! – zawołała Lore, gdy tylko ją dostrzegła. – Wiem, że obiecałam, ale nie mogę zostać. – Tak jakby to ona, Gundi, miała najbardziej ucierpieć przez to, że Lore ominie cały wspaniały letni weekend w Sopocie. – Tylko powoli – powiedział Pop. – Zostaniesz tu, ciotka Karl i ja już to jakoś załatwimy. Nic nie da, jeśli i ciebie pozabawimy przyjemności.

– Co się takiego stało? – Stali we czworo naprzeciwko siebie, zmieszani, nie wiedząc, co zrobić z dłońmi i myślami. W końcu Gundi nie mogła już wytrzymać, musiała wziąć Popa w ramiona, jeszcze nim usłyszała jego odpowiedź. Zawsze ją chronił. Od pierwszego dnia, gdy zabrał ją do siebie z mieszkania sprzedawcy towarów kolonialnych, czuła się bezpiecznie, ponieważ opiekował się nią ten duży, potężny mężczyzna, ale nagle sprawiał wrażenie, jakby się skurczył. Głos, ramiona, serce. Zrezygnowany, jakby teraz to Gundi musiała go chronić.

Ścisnęła go tak mocno, aż zabolęły ją ręce. Nie ma sprawy, Pop, myślała. To tak, jak mi kiedyś tłumaczyłeś, gdy w dzieciństwie wypłynęłam za daleko i utopiłabym się, gdybyś mnie nie wyciągnął: „Gdy robi się niebezpiecznie, lepiej być we dwoje. Raz jedno na górze, raz drugie, a jeśli żadnego nie da się już uratować, przynajmniej jest z kim trącić się kieliszkiem, idąc na dno”.

Pop stał w milczeniu w jej ramionach. Zamiast niego przemówiła Lore.

– Zwolnili mnie, Gundi. Przestałam zarabiać. Matka mówi, że musimy wynieść się z mieszkania, a gdy powiedziałam, że mimo wszystko pojedę, bo ci to obiecałam, rzuciła się na ziemię i zaczęła krzyczeć. Muszę wrócić następnym pociągiem.

– Nie musisz – powiedział Pop. – Daj się matce wypłakać, czasami to najlepsze lekarstwo. Sama odpoczniesz i w poniedziałek z nowymi siłami stawisz wszystkiemu czoła, a pierwszy sklepikarz, który zobaczy taką ślicznotkę, z miejsca cię zatrudni.

Lore prawie nigdy nie płakała. Teraz jednak jej głos brzmiał tak, jakby miała ochotę się rozplakać.

– Nie jestem ślicznotką – stwierdziła. – Właśnie dlatego pan Hansen mnie zwolnił. W sklepie będzie teraz pracować córka jego kuzynki. On mówi, że miło się na nią patrzy. Przyciągnie klientów.

Gundi czuła, jak Pop się wzdryga.

– Niech go piorun strzeli przy sikaniu – zamruczał pod brodą, a potem jego ciężkie ciało ponownie drgnęło, a on sam się opanował. – Zapomnij o tym, co mówi ten chłystek – zwrócił się do Lore. – Jesteś naszą Lorcią. Nie daj sobie wmówić, że jesteś nic niewarta.

Gundi widziała, że Lore łka, widziała, jak jej krtań podskakuje trzy razy w górę i w dół, ale nadal nie odezwała się ani słowem.

– Może pójdziemy najpierw na kawę do ciotki Karl? – zaproponowała, by pomóc siostrze. – W przeciwnym razie ciasto wystygnie, a za godzinę zaczyna się korso. Jak trochę się rozweselimy, na pewno coś nam przyjdzie do głowy, Lorciu. Na pewno.

A jeśli nie?, przeszło jej przez myśl. Jak mogła znowu wzbudzać w Lore nadzieję – czyż przez jej puste obietnice przyjaciele nie popadli w duże kłopoty?

– Musicie sami iść do ciotki Karl, dziewczuszko. – Ton Popa był równie szary jak jego twarz. – Ja nie mogę.

– Nie pójdziesz do ciotki Karl? Co to za głupstwa?

Pop uwolnił się z jej objęcia, cofnął się o krok i stanął na peronie kolejowym niczym człowiek, który został sam na świecie.

– Mnie też zwolnili – oznajmił. – Klawitter splajtował, stoczną przejmie teraz spółka, ale nie przyjmą do pracy w niej takiego starego durnia jak ja.

– Jesteś przecież brygadzystą! Od pięćdziesięciu lat...

– Tak – powtórzył Pop głęboko zamyślony. – Od pięćdziesięciu lat. Jeszcze w kwietniu Klawitter przypiął mi Złotą Szpilkę. Ale teraz to koniec. Nie łam sobie głowy, dziewczuszko. Coś się znajdzie, jeszcze Polska nie zginęła. Tyle że ciotka Karl ma już dość na głowie, nie będziemy jej tym obciążać, rozumiesz?

15

Wrzesień

Wtedy na dworcu Gundi wydawało się, że świat stanął w miejscu. Potem jednak się przekonała, że świat nigdy tego nie robi. Rozległ się gwizd i pociąg ruszył, świeżo zaplombowany, w kierunku Gdyni, a jej życie potoczyło się dalej niczym taśma filmowa w kinie – wystarczyło na chwilę wyjść, by przegapić kluczową scenę.

Ciotka Karl nadal czekała z kawą i ciastem śliwkowym, w Parku Zdrojowym ozdabiano ostatni pojazd biorący udział w korso, a cztery osoby na peronie kolejowym musiały podjąć decyzję, bo życie toczyło się dalej.

– Chyba zwariowałeś – zwróciła się Gundi do Popa. – Ciotka Karl jest z tobą na dobre i na złe! Nie możesz przecież zamknąć swojego życia jak drzwi do pociągu, a potem go zaplombować, podczas gdy ci, którzy cię kochają, stoją na zewnątrz.

Do Lore i Juliusa powiedziała zaś:

– Dalej, chodźcie, musicie mi pomóc zaciągnąć tego uparciucha do pensjonatu. – Naraz wszyscy zaczęli namawiać Popa do pójścia i to im pomogło. Byleby mieć coś do zrobienia. Nie przyglądać się beczynnie, jak życie się rozpada.

W końcu Pop poszedł do ciotki Karl, a ta oczywiście zareagowała tak, jak Gundi się tego spodziewała.

– No cóż. Po prostu przeprowadzisz się z dziewczuszką do mnie. Nie jest przecież tak, że nie przydałby mi się w domu mężczyzna.

To był najsmutniejszy widok, jaki pamiętała Gundi: Pop, który się wstydził. Trzymał w dłoniach czapkę, obracał ją w kółko i gniótł.

– Ależ nie, duszko – wyjąkał. – Ależ nie, ależ nie.

– Wypijesz kieliszek?

Pop pokręcił swoją dużą głową.

– Ach, duszko – wymamrotał. – Jesteś najukochańszą istotą stąd aż do końca świata. Ale stary Frieböse nie po to spłodził syna, żeby ten miał osiąść w uwitym gniazdku i zajmować się nic nierobieniem. Stary gdańszczanin ze mnie. Trochę twardogłowy i niedający się łatwo przesaadzić.

Gundi już wcześniej pytała go czasem: „Ty, ja i ciotka Karl, dlaczego nie mieszkamy razem?”.

„Bo dobrze jest tak, jak jest”, odpowiadał Pop. „Ona zarabia na życie tam, ja tu, a jeśli tu lub tam czegoś braknie, drugie nie jest temu winne i miłość się nie kończy”.

W dniu korso kwiatowego Gundi po raz pierwszy zastanowiła się, dlaczego tak się dzieje. Dlaczego tu i tam zaczyna nie wystarczać i miłość się kończy, choć ludzie harują od rana do wieczora? Ona sama była leniuchem, dobrze o tym wiedziała – ale ludzie tacy jak Pop i ciotka Karl, Julius, Lore i Erik? Coś było nie w porządku, skoro Pop, który od piętnastego roku życia pracował w stoczni, nie miał nawet tyle pieniędzy, by żyć sobie cicho i spokojnie ze swoją duszką.

Nie zastanawiała się jednak nad tym zbyt długo, bo rozboleła ją od tego głowa, a poza tym musiała przemyśleć wiele innych spraw. Pop koniec końców musiał sobie jakoś poradzić. Opłacał przecież składki na ubezpieczenie emerytalne, więc teraz powinni wypłacić mu emeryturę.

– Za dużo, by umrzeć – powiedział. – Ale wystarczy, by jeszcze chwilę pożyć. To o ciebie mi chodzi, dziewczuszko. Nie zniósłbym, gdyby ci czegoś brakowało.

Po chwili, gdy Gundi i ciotka Karl nakładły mu już swoje do głowy, postanowiono, że Pop i Lore mimo wszystko spędzą sobotę i niedzielę w Sopocie, a Gundi pożyczycy Lore bieliznę i przybory kosmetyczne. Lore ostatecznie rozpląkała się z powodu całego tego ciężaru, który na nią spadł. Tylko kilka łez, po czym otrząsnęła się dzielnie i powiedziała:

– Sama nie wiem, co się ze mną dzieje. Zwykle taka nie jestem.

Gundi i Julius wzięli ją pod rękę i tak poszli na korso. Bez Popa i ciotki Karl, którzy potrzebowali trochę czasu dla siebie. Spóźnili się na najpiękniejsze pojazdy, które jechały na samym przodzie, ale zdążyli, by podziwiać niewielki wóz z Błękitnego Pudła, jeden z tych zielonych jak trawa, przysadzistych samochodów marki Opel, które potocznie nazywano „rzekotkami”, z dość skromną dekoracją z margerytek. Na masce kiwała się rzeźba z chabrów, w której jeśli znało się nazwę lokalu, dało się rozpoznać pudła.

Gundi uznała jednak, że pojazd ten był najwspanialszy ze wszystkich. Czuła się nie najlepiej, a z okien pudłowego auta machali kelnerzy w niebiesko-białych fartuchach. Natan Elkeles, barman, który swoją try-skającą charyzmą znacznie zwiększał obroty knajpy, wychylił się, by posłać jej spojrzenie spod sennych powiek, a Helma, przemądrzała, o wiele za młoda kelnerka, zawołała:

– Gundi, Gundi!

To przywróciło jej nieco poczucie bezpieczeństwa, które wcześniej tego dnia zostało strzaskane. Auto jadące za „rzekotką” było dwukrotnie dłuższe i ozdobione równymi pasami róż ufarbowanych na czerwono i czarno. „Powrotu do Rzeszy”, głosił biały napis ponad przednią szybą. Okna były zamknięte i do połowy obwieszane różami i plakatami: „Nasz Sopot pozostaje niemiecki”, „Kto kocha Sopot, głosuje na narodowych socjalistów!”.

– Znowu walka wyborcza? – zamruczał jakiś mężczyzna z brzuchem, na który mógłby odstawić trzymany w dłoni kufel piwa. – Myślałem, że mamy urlop.

Wielu ludzi się roześmiało. Za na wpół zakrytą szybą Gundi dostrzegła twarz, która wydała się jej znajoma. Czyż nie był to ten mężczyzna z wysypką, który ubiegłego lata zadarł z bratem Zosi?

– Widzisz tego tam? – Julius wskazał na auto.

– Tego z pryszczami, z Pudla? Ma na imię Bruno, prawda?

Julius pokręcił głową.

– Nie o niego mi chodzi. Ten obok. To Mick Tetzlaff, ojciec Erika. Podlizuje się teraz tym nazistom, choć od nich też nic nie wyciągnie.

Gundi nie zdołała dostrzec nikogo poza Brunonem, a po chwili pojazd zniknął im z oczu. Kolejny znowu był piękny, zdobiły go dwa naturalnej wielkości łabędzie, stykające się dziobami. Jednak radosny nastrój się nie pojawiał. Poszli obejrzeć turniej tenisowy, na który Julius miał bilety. Mała Toni Seesen występowała w kategorii dziecięcej i wygrała misę z wygrawerowanym obrazkiem przedstawiającym Kasino-Hotel.

– Ta misa i bilety to będzie pewnie całe jej honorarium – powiedział Julius tonem tak przybitym, jak wszyscy się czuli. Toni Seesen była szczupłą, bardzo poważną dziewczynką z brązowymi warkoczami, która przyjęła wyróżnienie bez cienia uśmiechu. Jej ojciec nie żyje, pomyślała Gundi, ale nikt z nas przecież nie umarł. Nie wolno nam spuszczać głów.

Jednak gdy stała wieczorem wraz z innymi na plaży, żeby obejrzeć fajerwerki, które w lśniących łukach rozjaśniały niebo nad moło, musiała zaciskać pięści w kieszeniach spódnicy, aby się nie rozplakać. Pop i ciotka Karl też przyszli, stali w milczeniu obok siebie i wydawali się Gundi aż nazbyt dzielni. Byli starzy, zasłużyli na to, żeby być zadowoleni, a nie dzielni. I co z Lore, która codziennie męczyła się z nieuprzejmymi klientami, by teraz zostać z niczym, z Julusem, który nie wiedział, co dalej, i Erikiem, który nawet się nie pokazywał? Odbite iskry światła pokrywały morze dywanem złotych drzazg. Pokaz fajerwerków był wspaniały, powinni wspólnie się nim cieszyć, ale zamiast tego każde z nich walczyło ze łzami.

Gundi uparcie wpatrywała się w niebo, zdecydowana nie odwrócić się, nie zaszczyć nawet jednym spojrzeniem ozdobionego lampionami

odcinka plaży należącego do Kasino-Hotelu, nie zwracać uwagi na śmiejących się gości na białych leżakach, otulanych przez boyów hotelowych kocami i częstowanych szampanem.

Dlaczego oni? Dlaczego nie my, przede wszystkim mój Pop, który nigdy nie pozwalał sobie na nic więcej niż spędzenie niedzieli na plaży i wypicie poprzedniego wieczora jednego kieliszeczka?

Po raz pierwszy poczuła coś w rodzaju nienawiści do Kasino-Hotelu i jego letników, którzy nie mieli na tym świecie żadnych trosk. Jak jednak mogła nienawidzić ludzi, których nawet nie знаła i którzy niczego jej nie uczynili? To ona była przecież winna, a nie ci obcy ze swoimi sznurami pereł i pelerynami. Ona spowodowała, że tym, których kochała, źle się wiodło. Nikt inny tylko ona sama ze swoją próżnością.

Na niebie przeleciał lśniący ogon komety, w tłumie rozległy się „achy” i „ochy”, a dłonie Gundi jeszcze mocniej zacisnęły się w kieszeniach. Ta przeklęta piosenka, dudniło jej w głowie, gdybym tylko miała tę piosenkę, jedną przeklętą piosenkę.

Od tamtej pory minęło już sześć tygodni, dużo wody upłynęło w Motławie i Wiśle, jak mawiał Pop, a lato chyliło się ku końcowi. Ciotka Karl chciała wyrzucić białą zastawę z bladoniebieskim napisem Klawitter-Werft, żeby Pop nie musiał jej już oglądać, ale ten zaprotestował:

– Wyrzucić dobre naczynia na śmieci? Masz może w piwnicy osła, który pluje dukatami? – Potem pogłodził napis na brzegu swojego talerza zupy i zamyślony, jak teraz często bywał, wymruczał: – Tych wszystkich lat nie wyrzucę przecież na śmietnik. To były dobre lata. To było moje życie.

Ku zaskoczeniu wszystkich w wieku sześćdziesięciu pięciu lat i pomimo trudnego położenia Pop dostał jednak pracę. W zakładach Schichau, do których należała również stocznia, znaleziono dla niego miejsce. Nie na stanowisku, do którego doszedł po kilkudziesięciu latach, tylko w roli pomocnika stolarza, za niecałą połowę swojej dawnej pensji.

– Z Schichau nie jest lepiej niż z Klawitterem – wyjaśnił Gundi. – Tyle że macierzysta spółka ma siedzibę w Elblągu w Niemczech, a rząd Rzeszy postanowił, że nie można tak po prostu pozwolić upaść wschodniemu potentatowi w budowie okrętów. Zatem Schichau jako zakład przemysłowy otrzymuje dotacje w ramach programu Pomoc dla

Wschodu (Osthilfe), a mnie z moim fartem skapnie coś z tego kwaśnego mleka.

Gundi nie lubiła kwaśnego mleka i wątpiła, by Pop miał fart, bo mógł pracować w Schichau za kilka fenigów. Ciotka Karl powstrzymała ją jednak przed rzuceniem jakiegoś komentarza.

– Zostaw to. Przecież nie tylko pieniędzy mu brakowało, ale też towarzystwa, tej gadaniny w męskim gronie i poczucia, że jest coś wart.

To pierwsze Gundi rozumiała. Ale w drugie nie wierzyła. Pop był upokorzony, bo zwolnili go ze stoczni i musiał zadowalać się jałmużną w drugim zakładzie. To budziło w niej gniew. Nikt nie miał prawa upokarzać Popa Frieböse. Gdybym była bogata, myślała, kupiłabym mu takie auto, jakimi jeżdżą grube ryby i zatrudniła szofera w liberii i pum-pach, takiego jak w Kasino-Hotelu. Pop zajechałby przed biuro zarządu Schichau, wysiadł i rzucił na stół swoją kartę zegarową. „Dziękuję bardzo, nie będzie mi już potrzebna”.

To nie pasowało do Popa. A Gundi nie była bogata. Marzenia odciągały jednak jej uwagę od ponurych myśli, które ją nachodziły, gdy zastanawiała się nad przyszłością. Tak jak teraz, gdy składała wymaglowane prześcieradła i musiała wciąż zaczynać od początku, bo nie potrafiła nauczyć się właściwego sposobu ich układania. Jeszcze przez trzy tygodnie pościel miała być na okrągło prana, krochmalona i maglowana, żeby goście mogli cieszyć się świeżo zasłanymi łózkami. Potem rzeka turystów zmieni się w strumyk, który w końcu wyschnie. Nieliczni kuracjusze i spragnieni wypoczynku, którzy przyjeżdżali zimą, rzadko zatrzymywali się w pensjonacie Sonnenschein, a ciotka Karl sama dawała sobie wtedy radę z niezbędnymi pracami.

Gundi będzie musiała wyjechać i w przeciwieństwie do poprzednich zim koniecznie znaleźć pracę. Bóg wiedział, skąd miała ją wziąć, ale nie chciał jej tego powiedzieć. Lore tygodniami szukała posady i w końcu zatrudniła się w firmie sprzedającej maszyny do pisania. Chodziła po całym Gdańsku, namawiając do ich zakupu. Musiała ładować ciężkie pokazowe urządzenia do torby przypominającej torbę na narzędzia, odwiedzać kolejne biura w mieście i wielokrotnie doświadczać, jak zatrząskują jej drzwi przed nosem. Prowizję dostawała tylko wtedy, gdy zawarła umowę, w przeciwnym razie męczyła nogi na próżno i zostawała z pustymi rękoma.

Podobnie jak Julius, który od zbankrutowanych Seesenów faktycznie nie dostał nic oprócz zestawu rodowych świeczników.

– Mosiężne, nawet nie srebrne. Wszystko, co jest cokolwiek warte, wdowa już dawno oddała w zastaw, żeby zachować dom dla siebie i córki. To, jak ja się utrzymam, nie ma znaczenia. Jestem przecież tylko idiotą bez wykształcenia, podpisującym umowy, od których włos się na głowie jeży.

Gundi pozwoliła sobie na przekleństwo i na powrót rozprostowała krzywo złożone prześcieradło. Ze mną jest jeszcze gorzej, pomyślała. Jestem za głupia nawet do najprostszych czynności. Potem zatrzymała się. Z korytarza prowadzącego do pralni, gdzie stała deska do prasowania i bieliźniarka, dobiegał hałas.

Nie. Nie hałas. Coś, co ze wszystkich sił starała się wyrzucić z myśli, a co mimo to wciąż wczepiało się w nie niczym pędy Czarnookiej Zuzanny w parapet.

Muzyka.

Bez zastanowienia ruszyła biegiem. Szarpnięciem otworzyła drzwi do pralni i wraz z zapachem krochmalu i świeżo upranej pościeli dobiegła ją muzyka. W pomieszczeniu przebywały dwie polskie dziewczyny. Róża stała przy desce do prasowania i przesuwiała żelazkiem po obrusie. Zosia siedziała na ławce przy ścianie, a przed nią, na stole przeznaczonym do składania wypranych rzeczy, leżało pudełko z naciągniętymi strunami, które trącała i w ten sposób wydobywała z nich melodię.

Gundi od razu rozpoznała instrument. Była to cytra gitarowa, taka, jaką sama wypożyczyła przed laty, żeby Lore mogła na niej ćwiczyć. Lore tak bardzo pragnęła muzykować z Gundi i chłopcami, wątpiła jednak w swój talent, a o cytrze mówiono, że można nauczyć się grać na niej w zaledwie trzy dni. Prosty instrument rzeczywiście uutorował Lore drogę do muzyki. Niedługo potem za radą Gundi odłożyła pieniądze na zakup gitary i nauczyła się na niej grać dzięki Erikowi, który opanował podstawy gry na najróżniejszych instrumentach. Przez pewien czas Gundi zachęcała Lore, by spróbowała również śpiewu, ale ta nigdy na to się nie odważyła.

Gundi dawno już nie słyszała delikatnego tonu cytry, która nie nadała się dla zespołu wykonującego w barach muzykę taneczną. Zosia nie śpiewała, tylko nucila, a Róża stojąca przy desce do prasowania nucila razem z nią.

Gundi nie znała tej melodii. Nie, to nie do końca była prawda: do tej pory jej nie znała, ale oto usłyszała ją i miała zapamiętać do końca życia. Chciała pilnie zapytać o ten utwór, ale nie miała serca przerywać muzyki. Nie przypominał żadnego innego, ani *Daremnego pragnienia*, ani *Blue Skies*, ani najnowszego *Let's Do It* Cole'a Portera. Był niepowtarzalny, miał w sobie coś chłodnego, niemal zblazowanego, rzucone przez ramię słowo pożegnania – a potem tonacja zmieniała się i niczym mimochodem trafiała prosto w serce. Był lekki jak piórko i dogłębnie smutny. Uskrzydlał i pozostawiał po sobie kroplę tęsknoty do życia, które jest niczym niedziela w Sopocie – piękne, ale niestety, nie trwa wiecznie. To była piosenka, na którą Gundi czekała przez te wszystkie lata.

Róża dopiero teraz zauważyła Gundi. Przestała nucić i syknęła:

– Psst! – Zosia natychmiast umilkła i piosenka się urwała.

Gundi poczuła jakby jej coś odebrano.

– Co to jest?

– Co? – Róża spuściła wzrok i prasowała dalej. – Chodzi ci o ten obrus na niedzielny obiad z okazji bierzmowania?

Zdumiewające było, jak szybko w kontakcie z gośćmi obie siostry nauczyły się bezbłędnie mówić po niemiecku. Róża nadal była zamknięta w sobie, ale przynajmniej nie upierała się już, by zwracać się do Gundi per pani.

– Miałam na myśli piosenkę – powiedziała Gundi. – Ten utwór, który właśnie wykonywałyście.

– Nie grałam żadnego utworu.

– Ach, przestań, Różo. – Zosia zaśmiała się. – Chodzi jej o *Świt na morzu*.

Świt na morzu. Tyle nawet Gundi rozumiała po polsku. Brzmiało to jak Sopot. Jak te dni, gdy jako mała dziewczynka porzucała śniadanie i biegła na plażę, by przywitać morze, jak morska piana wysychająca na nogach i jak wodorosty, które owijały się wokół kostek. Tyle że nie była to piosenka dla małych dziewczynek, tylko dla dorosłych, którzy wiedzą, że dni lata są policzone.

– Czy jest do tego tekst? – spytała. – Można go zaśpiewać?

– Kilka linijek – odparła Zosia. – Co mi przyjdzie do głowy. Ale my nigdy nie śpiewamy. Nie potrafimy dobrze śpiewać.

– Sama go napisałaś? Jest twój?

Palce Zosi skubały nerwowo struny cytry, nie wydobywając przy tym dźwięku.

– Nie napisałam. Nie wiem, jak się pisze muzykę. Ale bardzo ją lubię.

– Ja też – powiedziała Gundi. Popatrzyły na siebie.

– Lubię chodzić do barów, gdzie jest muzyka, z moim bratem i jego przyjaciółmi. Tańczyć albo tylko słuchać. Z całej tej muzyki zapamiętam czasem kilka tonów, nie wiem dlaczego.

– Więc nie wiesz, skąd znasz tę piosenkę? – spytała Gundi.

Zosia pokręciła głową.

– Wymyśliła ją – powiedziała Róża.

– Nie, do głowy przyszła. – Im mniej pewnie czuła się Zosia, tym więcej błędów popełniała, mówiąc po niemiecku. – Na pewno gdzieś słyszałam. Moja matka dużo śpiewała. A Róża i ja zwykle tego nie robimy – muzyki w pracy. To był tylko jeden raz.

Róża roześmiała się, parskając.

– Ja dalej prasowałam. Od tego, że moja młodsza siostra robi sobie pięć minut przerwy, nikt nie umrze.

– Ależ nie! – zawołała Gundi. – Ciotka Karl przecież nie gnębi ludzi, a ja sama od rana do wieczora robię sobie przerwy.

– To co innego. Nie jesteś Polką.

– Ach, Rózo – powiedziała Gundi. – Proszę, nie zaczynaj znowu z tym. Jest mi obojętne, czy prasujecie, czy robicie te głupie zakładki na materiale, dla mnie to i tak czarna magia. Podoba mi się wasza piosenka. *Świt na morzu*.

Zosia uśmiechnęła się.

– Możesz zagrać ją jeszcze raz? I podać mi do niej tekst, te kilka linijek, które znasz?

– Czemu ma to służyć? – spytała Róża i po polsku ofuknęła siostrę: – Zostaw te bzdury.

Zosia rzuciła wesoło odpowiedź, której Gundi nie zrozumiała, poprawiła cytrę i ponownie zagrała piosenkę. Choć muzyka była cicha, wypełniała całe pomieszczenie i wydawała się je poszerzać. Kilka linijek tekstu, które wyrecytowała Zosia, stanowiło łamane połączenie niemieckiego i polskiego.

– Przykro mi – powiedziała wreszcie. – Nie wymyśliłam ich jeszcze po niemiecku.

– Nie szkodzi – odparła Gundi, w której głowie niemieckie słowa do *Świt na morzu* pojawiły się same z siebie. – I naprawdę nigdy jej nie śpiewacie? Tylko nucicie wyłącznie dla siebie?

Zosia pokiwała głową.

– Dla zabicia czasu, rozumiesz? Nudy.

– Rozumiem – odparła Gundi. – Nic na świecie nie wydaje mi się równie nudne jak cała ta babranina z praniem.

Obie się roześmiały.

– Posłuchaj, Zosiu – powiedziała wreszcie Gundi. – Mam kilkoro przyjaciół, z którymi wspólnie muzykuję. W ostatnim czasie, co prawda, nie graliśmy, ale bardzo chętnie znowu byśmy zaczęli. Znasz moją siostrę Lore – a mojego przyjaciela Juliusa też już widziałaś.

– Ładny chłopak – rozpromieniła się Zosia. – Blondyn, przystojny.

Gundi puściła do niej oko.

– Myślisz, że moi przyjaciele i ja moglibyśmy kiedyś zagrać twój *Świt na morzu*? Miałabyś coś przeciwko?

– Ależ nie, dlaczego? – Zosia podskoczyła, podbiegła do Gundi i ujęła jej dłonie. – Jesteś taka miła, Gundulo. Jeśli podoba ci się nasza pioseneczka, jest twoja. Podaruję ją tobie.

– Mówisz poważnie? – Gundi czuła się tak, jakby świat wokół niej zawirował. – Ale musisz zwracać się do mnie Gundi, wszyscy moi przyjaciele tak mówią.

– Wolę Gundula. – Zosia roześmiała się i zakręciła niczym w tańcu. – Podoba mi się. Brzmi jak muzyka. Brzmi jak ty.

Październik 1930

W dłoniach, które w ostatnim czasie coraz częściej drętwiały, Pfitzner obracał niewielką karteczkę. Była to swego rodzaju polisa ubezpieczeniowa. Nie była jaka. Właśnie taką się zawierało, gdy człowiek widział swój dom w płomieniach, ale mimo to ostatkiem sił walczył, aby uchronić go przed całkowitym spalaniem.

Pfitzner naprawdę użył wszystkich swoich sił w walce o pomyślné zakończenie. Pośród płomieni utrzymał straconą już pozycję i poruszył niebo i ziemię, by uzyskać tę polisę. I oto ją miał. Trzymał ją w oblanym zimnym potem dłoniach. Jeśli ten ruch się nie opłaci, przynajmniej zrobił wszystko, co w jego mocy, i potem będzie mógł się poddać. Uprzątnąć to godne pożalowania biuro, iść do domu i umrzeć.

Gdy pół roku wcześniej banki najpierw w Ameryce, a potem w krajach Europy zaczęły upadać niczym kostki domina, Pfitzner zacierał ręce. Kryzysy wywoływały cierpienie, a w Gdańsku jeszcze przed nastaniem kryzysu cierpienie było tak wielkie, że teraz musiało stać się nie do zniesienia. Umęczeni ludzie będą zmuszeni rozpaczliwie szukać ratunku i rzucą się do stóp pierwszemu, który przygalopuje na białym koniu i obieca im zbawienie.

Heil! Heil!

Partia Pfitznera nadawała się do tego jak żadna inna. Miała konie, flagi, maszerujących bohaterów i rozwiązanie zrozumiałe nawet dla największego głupca. Była partią, która mogła wyłapać wszystkich tych wykolejonych pochlebców, wszystkich, którzy nie mieli już nic oprócz głosu nadanego im przez chore bóstwo, któremu służyli – demokrację. To było dziecinnie proste, szaleństwo, które ogarnęło świat, dosłownie zapędzało ku nim stada owiec z ich głosami wyborczymi. Zdrętwiałe dłonie Pfitznera bolały od pocierania. Pozostawało otwartą kwestią, jak pójdzie im dalej, gdy zostaną ogłoszone nowe wybory, ale wsadzili stopę w drzwi. Gdzie stał jeden, mógł dołączyć drugi, a przez szparę, którą uchylały dwie nogi, zdoła wejść cały pułk.

Potem jednak jego partii udało się zaprzepaścić pewne już zwycięstwo. Czym była partia, dlaczego się do niej przystępowało? Pfitzner rozumiał, że sam zapisał się jedynie dla wspaniałej idei. Ci krety, którzy w Gdańsku nazywali się członkami partii, nie mieli z tym nic wspólnego.

Maass, słabeusz, już się poddał, a opieszale Hohnfeldt puszył się, choć niczego nie zdołał osiągnąć. Bruno Fricke, który przejął gdańskie SA, był człowiekiem innego kalibru. Dłonie trzymał zaciśnięte w pięści w kieszeniach i uderzał przy najmniejszym miauknięciu. Problem z nim polegał na tym, że miał pusto w czaszce i nie dało się jej napełnić. Pfitzner nie cenił wymuskanych intelektualistów. Sam Führer dowodził, że chodziło o gotowość do czynu, o wierność i ofiarność, które rzadko szły w parze z wysoką inteligencją i wykształceniem. Głupota musiała jednak mieścić się w przewidywalnych granicach, a głupota Frickego nie miała granic. Ponieważ nie pasował mu Hohnfeldt, wkroczył wraz ze swoją bojówką do centrali partii, obwieścił, że Hohnfeldt zostaje wykluczony, i usadził własny zadek na chwiejnym krześle gauleitera.

Ta dziwna tragikomedialna rozegrała się po tym, jak w Rzeszy koalicja zdrajców ojczyzny padła na kolana i to samo nastąpiło w Gdańsku. W Volkstagu, tym nikomu niepotrzebnym wianuszkowi damulek, skreślono pięćdziesiąt miejsc, i zarówno w Rzeszy, jak i tu ogłoszono ponowne wybory. Pfitzner, który za mało sypiał, by śnić, miał wrażenie, że znalazł się w koszmarze: ich ruch znajdował się w samym środku walki, która mogła przynieść oczekiwany zwrot, i zamiast skupić na niej wszystkie siły, wyżsi funkcjonariusze partii musieli zostać oddelegowani z Rzeszy, by zaprowadzić porządek w gdańskim przedszkolu.

Przybył Hermann Göring. Wyrzucił Frickego i przywrócił Hohnfeldta. Człowiek, który nazywa się Arthur Greiser, otrzymał zadanie zorganizowania na nowo ruchu narodowych socjalistów w Gdańsku. Nieźle się z tym namęczył. W czasie wojny Greiser był pilotem i nie brakowało mu odwagi, a w porównaniu z miejscowymi kolegami stanowił lepszy wybór. Lecz choć jednooki jest królem wśród ślepców, nie kwalifikuje go to jeszcze do rządzenia całym krajem.

Pfitzner walczył dalej niczym kret, który chce sam przekopać ogród. Przekopał go. Podłoże było gotowe. Dowód stanowił dokument, który trzymał w dłoniach.

Wybory do Reichstagu przyniosły wynik, który przewyższył najśmielsze oczekiwania Pfitznera: ze stu siedmioma miejscami ruch stał się drugą najsilniejszą partią po socjaldemokratami. Słodki był smak triumfu, ale gorzka obawa, że wśród radości ze zwycięstwa zapomniany zostanie Gdańsk. Wielu zakładało, że zapowiedziane na listopad wybory do Volkstagu w zasadzie zostały już przegrane i skłócenie awanturnicy z gdańskiej partii zmarnowali swoją szansę. Pfitzner nie mógł mieć

nikomu za złe takiego nastawienia. Ale prędzej by umarł, niż je podzielił.

Niestrudzenie drążył dalej, odkręcał pióro wieczne i pisał listy, nadawał telegramy i wisiał na słuchawce telefonu. Swoje wywody zaczynał od tego, że Greiser jest dobrym człowiekiem. Tylko nie dość dobrym dla Gdańska. „Nie potrzeba nam kogoś, kto zapali świecę. Potrzeba nam kogoś, kto wznieci pożar”.

Wygrał. Dziś wieczorem mieli przyłożyć lont i rozpocząć walkę o każdą niemiecką duszę w Gdańsku. Skłóceni członkowie partii zostali wezwani do Café Derra, tylko nie wiedzieli jeszcze, co ich tam czeka. Czyje przybycie miało położyć kres przywództwu Greisera. Ale Pfitzner wiedział. W wilgotnych od potu dłoniach trzymał kopię pełnomocnictwa:

Członek partii, poseł do Reichstagu Albert Forster niniejszym zostaje przeze mnie zatwierdzony na stanowisku komisarycznego przywódcy okręgu Wolnego Miasta Gdańska.

Ma wszelkie pełnomocnictwa, zarówno ponad podziałami politycznymi, jak i ponad SA i SS, by zorganizować wszystko, co uzna za konieczne, do nadchodzących wyborów do Volkstagu.

Po wyborach jego zadaniem będzie przedłożyć mi swoje propozycje co do zaprowadzenia nowego porządku w Gdańsku.

Adolf Hitler

CZEŚĆ TRZECIA

Wanda

Berlin

Zima 1963

*Krągła gwiazdo, zaciskasz swoją złotą pętlę.
Serce mojej matki zranił ołów.*

Paul Celan, *Osika*

– Nie możesz brać sobie do serca wszystkiego, co serwuje ci Andras – powiedział Manne. – Do głowy tak, ale nie do serca. To przypomina nieustanny ostrzał stalowymi kulami. Nie wytrzymasz tego.

– A jak mam to zrobić? – spytała Wanda, wsuwając segregator z dokumentami, który dał jej Andras, z powrotem do teczki. Lubiła przebywać u Mannego, który mieszkał o niecałe pięć minut drogi od uniwersytetu, lubiła jego pokój w suterenie, gdzie panował półmrok i można było usiąść jedynie na łóżku. Nigdy wcześniej nie była w domu takim jak ten należący do rodziny Mannego. Był stary i duży, otoczony jeszcze starszymi i jeszcze większymi drzewami, wypełniony rzeczami, które sprawiały wrażenie zebranych przypadkowo, różniącymi się kolorem i kształtem, ale mimo to tworzącymi bogatą, lśniącą całość.

Przede wszystkim zaś był pełen ludzi aż po dach. Manne miał czworo rodzeństwa, które podobnie jak jego rodzice najwyraźniej stale przyjmowało gości. Goście przesiadywali w licznych pokojach przy uchylonych drzwiach, głośno debatowali, mnóstwo jedli i wypijali całą baterię butelek.

Andras miał przyjść później. Zwykle się spóźniał, ponieważ praca nie zostawiała mu zbyt wiele wolnego czasu. Do rozpoczęcia procesu we Frankfurcie zostały już tylko trzy tygodnie, Andras zatem wypełniał swoje dni spotkaniami, żeby w ostatniej chwili jeszcze czegoś się dowiedzieć. Był wyczerpany, a Wanda czuła podobnie i żadnemu z nich nie wychodziło to na dobre. Tęskniła za nim, a jednocześnie obawiała się, że Andras podejdzie do drzwi. Chwilowo sprawiało jej radość, że jest z Mannem sama.

Podczas tego miesiąca, odkąd się poznali, dom van Bontjesów stał się czymś w rodzaju ich azylu. Podczas miesiąca, gdy czekała na obiecaną przez matkę, Matti, odpowiedź. Wciąż jej jednak nie dostała. Dopóki nie było odpowiedzi, Wanda nie chciała przebywać w mieszkaniu przy Alboinstraße i wracała do domu dopiero wtedy, gdy wiedziała, że wszyscy już śpią. Tylko Matti nie spała. Może nawet nigdy. Kiedyś wybiegła z pokoju na ciemny jak smoła korytarz i chwyciła Wandę za ramiona.

– Proszę, nie odsuwaj mnie. Pozwól mi ze sobą porozmawiać, Wando, proszę, proszę, pozwól mi ze sobą porozmawiać.

Ten jeden raz jej głos brzmiał znowu tak, jak znała go Wanda. Nie jak głos obcej osoby.

– Te pytania, które ci zadałam – odparła sucho Wanda. – Odpowiedz mi na nie?

– Daj mi jeszcze czas! – zawołała Matti. – Powiedziałaś przecież, że dasz mi jeszcze tydzień.

– W takim razie porozmawiam z tobą za tydzień – odrzekła Wanda. Ariane, którą ta wymiana zdań wybudziła ze snu, usiadła na swoim łóżku pod antresolą i wydała udręczony jęk. Wanda wykorzystała ten moment nieuwagi Matti, by zniknąć w pokoju, który dzieliła z Verą.

To był ostatni raz, gdy Matti się do niej odezwała.

Następnego wieczora Wanda wróciła jeszcze później. Nie chciała rozmawiać z nikim z rodziny, dopóki nie wiedziała, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem, i w co może nadal wierzyć. Andras o tym wiedział.

– Idź do Mannego, później się tam spotkamy – powiedział, gdy rozstawali się przed uniwersytetem.

Początkowo Wanda czuła się odsunięta i obawiała się, że będzie dla Mannego i państwa van Bontjes ciężarem. Teraz jednak cieszyła się, że tu jest. Obca i nowa, ale bezpieczna. W środku nieznanego stylu życia, o którym ze zdumieniem stwierdziła, że jej odpowiada.

Manne zapalił świecę i umieścił ją na tacy leżącej pomiędzy nimi na narzucie łóżka.

– Moja matka mówi, że trzeba wyznaczyć sobie granicę na wysokości krtani: oczy i uszy wszystko odbierają, mózg wszystko przetwarza, ale gardło filtruje i nic nie przenika do piersi. Nauczyła się tego we Francji, w ruchu oporu. Musieli przetwarzać informacje w ciągu kilku sekund. Gdyby jednak dopuszczała do siebie to, co widziała, nie dałaby rady tego dalej robić. Stałaby się nieuważna i by ją złapano.

Matka Mannego nazywała się Rieke van Bontjes. Była wysoką, kościstą, energiczną kobietą, najwyraźniej zdolną prowadzić trzy lub cztery życia jednocześnie. Piątkę dzieci urodziła w pięciu różnych krajach Europy, ostatecznie osiadła w Berlinie i pracowała jako ordynatorka w Instytucie Medycyny Tropikalnej. Przy okazji zaś zasiadała w najróżniejszych gremiach politycznych, gościła w swoim ogromnym domu wszystkich tych ludzi, a gdy Wanda błąkała się w poszukiwaniu toalety, zobaczyła, jak Rieke otwiera mężowi drzwi, obejmuje go i całuje.

Namiętnie, jakby od tego koła ratunkowego złączonych ust zależało życie. Tak jak całują się młodzi ludzie, jak sama Wanda właśnie nauczyła się całować.

– Czy twoja matka była na to dość silna? – spytała Mannego. – Zawsze? W każdej sytuacji?

– Dopóki musiała – odparł Manne. – Potem się załamała. Nadal czasem się załamuje. Mój ojciec także.

Ojciec Mannego, holenderski etnolog, któremu za zasługi w ruchu oporu przyznano liczne order, ale który żadnego nie przyjął, wyglądał jak starsza, przekreślona przez maszynkę do mięsa wersja Mannego: blady, z surowymi rysami, potężnymi uszami i uważnymi oczami za okularami o grubych szklach.

– I co wtedy robią? – spytała Wanda.

– Jadą do takiego zamku na południu Francji, gdzie matka ukrywała się w ostatnim roku przed wyzwoleniem. Żeby płakać, jak mówią. Potem znowu przez pewien czas czują się lepiej.

Wanda miała wrażenie, jakby Manne, który urodził się w tym samym roku co ona i mieszkał tylko o kilka dzielnic od niej, opowiadał historie z innego świata. A najdziwniejsze w tym wszystkim nie było to, że ludzie ci, jak gdyby nigdy nic, podróżowali przez pół kontynentu, by wypłakiwać się za murami jakiegoś zamku, tylko że rozmawiali o tym ze swoimi dziećmi, że przedstawiali się ich przyjacielom jako „Rieke” i „Claas” i zostawiali wszystkie drzwi otwarte, jakby nie mieli nic do ukrycia.

Nigdy wcześniej nie zwracała na to uwagi, że Matti i ciotka Lore zawsze starannie zamykają drzwi do swojej sypialni i rozmawiają przyciszonymi głosami. „Psst. Nie tak głośno. Ściany są cienkie, sąsiedzi mogą nas usłyszeć”. W domu van Bontjesów natomiast było gwarno jak w ulu.

– O to właśnie mi chodzi. – Manne uniósł filiżankę, a para zasłoniła mu twarz. – Nie dopuszczaj tego do siebie, nie do swojego serca, dopóki nie poczujesz się bezpieczniej. Dopóki nie będziesz wiedziała, co jest z twoją rodziną, co przed tobą przemilczają i dlaczego. – Wanda poszła za jego przykładem. Para, która zostawiała wilgoć na jej policzkach, miała w sobie coś ożywczego.

– Nie dopuszczam tego do siebie – powiedziała. – To wcale nie jest mój wybór. Czuję się, jakbym tkwiła za murem, który oddziela kawałek Berlina, za żelazną kurtyną, gdzie nic do mnie nie dociera.

– Dobrze porównanie – powiedział Manne. – Ale do Berlina Wschodniego można przejść. Potrzeba tylko przepustki.

Wanda spróbowała się uśmiechnąć.

– W takim razie tkwię w Polsce. Andras mówi, że tam nikt się nie dostanie, nikomu nie dają wizy, chyba że ma osobiste zaproszenie. A ja najwyraźniej nie zapraszam – matka coś do mnie mówi, siostra coś do mnie mówi, ciotka mówi, że mam zostawić matkę w spokoju i nie nalegać na odpowiedzi, ale do mnie to nie dociera. Nic mnie nie porusza. A potem znowu Andras opowiada mi o Auschwitz, o całej tej grozie, i wiem, że zdrowi ludzie muszą wtedy krzyczeć, płakać i rozpaczać, lecz to mnie nie rusza. Nic do mnie nie trafia.

To, co powiedziała, brzmiało potwornie. Nieludzko. Manne podmuchał na herbatę.

– W przypadku Auschwitz większość ludzi tak reaguje – stwierdził. – Nie mamy do tego miary, żadnego odniesienia, niczego, w czym mogłoby się to zmieścić. Coś w nas spuszcza kratę bezpieczeństwa, ponieważ czujemy, że jeśli dopuścimy to do siebie, rozsądzi nam czaszkę. Tego właśnie boi się Andras: że nikt nie jest gotowy tego wytrzymać, że proces zostanie zaprzepaszczony, ponieważ ludzie nie chcą dopuścić tego do swoich delikatnych głów.

Wanda skinęła głową.

– Sigi omija mnie z tego powodu łukiem. Żeby nie zatruwała jej jadem przeszłości, który sący mi Andras. To już minęło, mówi, nie można tego odwrócić, dlaczego mielibyśmy ciągle sobie to wyrzucać? Inni też mają niejedno na sumieniu.

– Inni to inni – powiedział Manne i odstawił filiżankę. – A my to my i nasze sumienia są nasze.

– Ale nie twoje – weszła mu w słowo Wanda. – Jesteś w połowie Holendrem, twoi rodzice byli prześladowani. Niemal cała rodzina Andrasa zginęła. To szaleństwo mówić coś takiego, to niemal niedopuszczalne, ale odkąd to wszystko się zaczęło, chciałabym nie być Niemką. Nie musiałabym wtedy dowiadywać się, że moi rodzice zrobili coś potwornego.

Urwała. Wcześniej nie uświadamiała sobie, że czuje to, co właśnie powiedziała. Bała się Matti, bała się odpowiedzi, na którą czekała, bała się tego, co w przyszłości stanie się częścią jej samej i z czym będzie musiała dalej żyć.

– Skąd wiesz, że to coś potwornego? – spytał Manne.

– Bo tak bardzo pragnęłabym czegoś przeciwnego. – Wanda wbiła wzrok w wijący się na tacy egzotyczny wzór. – Żeby matka przytuliła mnie i powiedziała: nie martw się, pierożku, byliśmy przeciwko. Byliśmy po stronie Polaków, Żydów, po stronie ofiar, pomagaliśmy i walczyliśmy. Tak jak twoi rodzice. Ale gdyby tak było, gdyby stali po właściwej stronie, moja matka, ciotka i mój ojciec, którego samo imię stanowi tabu, nie musieliby niczego przemilczać. Wtedy mogłabym być dumna z tego, co robili.

Nabierała tchu krótko, urywanie, czując przy tym ból aż w plecach. Nie unosiła wzroku. Światło świecy oślepiło ją, lecz nie zamknęła oczu.

– Wando. – Manne poklepał ją po ramieniu i podał jej zmiętą niebieską paczkę papierosów. – Nie było tylko ofiar i sprawców, świat się na nich nie dzieli. Żaden świat.

Wanda uniosła jednak głowę. Tylko odrobinę.

– Nie wiedziałam, że palisz.

– Bo nie palę. Ale Andras czasami tak, gdy jest głodny, a nie potrafi niczego przełknąć. Myślałem, że może ty też.

Wanda nigdy jeszcze nie paliła i nie czuła też głodu, ale była pewna, że nic by nie przełknęła. Wyciągnęła z paczki jeden z kruszących się papierosów.

– Trzymasz je tu na wypadek, gdyby przyszedł Andras i chciał zapalić? I w dodatku troszczysz się o dziewczynę, którą poderwał, choć w swoim przepelnionym życiu nie wie nawet, gdzie miałby ją zmieścić? Naprawdę jesteś wymarzoną przyjaciółką.

– Bzdura. – Manne uniósł świecę i podsunął ją Wandzie. – Mam te papierosy, bo matka wszędzie je zostawia. Francuskie. Czarne jak smoła, bez filtra. Jest lekarką, wie, że w końcu umrze na raka płuc, ale nie potrafi zrezygnować z tych papierosów, za które wtedy, w Paryżu, sprzedawała duszę. – Zaczekał, aż Wanda wsunie papierosa do ust. Potem podał jej ogień. – A o ciebie troszczę się, jak to nazywasz, bo cię lubię. Swoją drogą, lubiłem cię, zanim Andras cię poderwał. Najpóźniej od

czasu, gdy spytałaś Raimunda Krankemanna, czy dwa zegarki na jego ręku pokazują różny czas.

– O mój Boże. – Wanda skrzywiła się. – Myślałam, że mnie za to udusi.

– W każdym razie wyglądał tak, jakby z trudem się powstrzymywał. A pytanie było dobre. Jeden zegarek wskazuje czas, w którym Krankemann nadal tkwi, i gdybyś nie trafiła w dziesiątkę, nie zdenerwowałaby się aż tak bardzo.

– I od tamtej pory mnie lubisz? – Wreszcie odważyła się zaciągnąć papierosem. Ku swojemu zaskoczeniu nie musiała nawet zakaszleć. Zrobiło się jej tylko niedobrze, ale, co dziwne, spodobało się jej to.

– Powiedzmy po prostu, że cię lubię. Jeśli sądzisz, że ze względu na Andrasa troszczyłbym się również o Sigi, grubo się mylisz.

– O Sigi?

Manne chciał coś pospiesznie odpowiedzieć. Potem jednak rozmyślił się i zagryzł dolną wargę.

– Nieszczerólnie lubię Sigi – rzekł w końcu. – Dziwiłem się, że się z nią przyjaźnisz.

– Andras też tak powiedział. – Wanda ponownie zaciągnęła się papierosem. – Uważa, że ona do mnie nie pasuje.

– I ta dziewczyna z pralni Meyer też nie. W przeciwieństwie do Sigi uważam ją jednak za całkiem sympatyczną – ale nie pasuje do ciebie.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam – stwierdziła Wanda. – Chciałam po prostu mieć przyjaciół. Zawsze i wszędzie.

– Nieważne jakich?

Zastanowiła się i poczuła się nagle bardzo samotna.

– Tak sędzę.

Manne, siedząc po turecku, wyprostował jedną nogę i trącił Wandę dużym palcem w skarpetce.

– Hej. Ja do ciebie pasuję.

Musiała się roześmiać, choć nagle przestraszona, chciała zwinąć się w kłębek.

– Tak. Też mi się tak wydaje. Choć chwilowo nie wiem nawet, czy sama do siebie pasuję – i kto to w ogóle jest ja sama.

Ponownie zaciągnęła się papierosem, tym razem zakaszłała i ją zemdliło. Manne odebrał jej niedopałek i zgasił w świeczniku.

– Chcesz wody? – spytał.

Wanda pokręciła głową.

– Przepraszam.

– Nie ma sprawy. Jak długo musisz jeszcze czekać, nim matka powie ci to, co chcesz wiedzieć?

– Powie mi dziś wieczorem – odparła Wanda. – Obiecała, że dłużej nie będzie tego odkładać.

Przy ostatnim słowie serce Wandy zadudniło niczym w pustce. Ból powędrował jej wzdłuż ręki. Zmusiła się, by trzymać palce nieruchomo. Od tygodni skubała skórę na przegubie. Tak jakby niebieska wstążeczka nadal się tam znajdowała. Andras, co prawda, na powrót ją związał, ale następnej nocy musiała spaść. Wanda nie szukała jej, lecz palce, przywykłe do tasiemki, zamiast niej ciągnęły cienką, gołą skórę.

– To, co wcześniej powiedziałaś, nie jest takie proste – stwierdził Manne. – To o ofiarach i sprawcach. Moi rodzice byli komunistami. Ojciec Andrasa Żydem. Nie mieli wyboru, niesprawiedliwe państwo Hitlera uczyniło z nich ofiary. Nikt nie wie, co by zrobili, gdyby należeli do rzeszy tych, którzy nie ucierpieli. Mój ojciec stwierdził kiedyś, że sprawia mu radość, że nigdy nie musiał się tego dowiedzieć. Nie było przecież tak, że w ciągu jednej nocy cały kraj podzielił się na prześladowców i prześladowanych. Wielu początkowo nie chciało mieć z tym wszystkim nic wspólnego.

Wanda objęła swój nadgarstek.

– Andras mówi, że nie można było nie mieć z tym nic wspólnego – odparła. – Każdy musiał się określić. Pokazał mi oświadczenie Franza Josefa Strauša, który kazał aresztować dwóch redaktorów „Spiegla”, bo za dużo wiedzieli. Ten człowiek często przyznawał, że jeśli chodzi o nazistowską przeszłość, każdy ma coś do ukrycia i dlatego wszyscy jesteśmy podatni na szantaż.

– Z tego też powodu Franz Josef Strauß musiał ustąpić – wtrącił Manne.

– On owszem, ale tysiące innych nie. Tak mówi Andras. Kto nie był przeciw, był za. Kto nie zwalczał zła, wspierał je.

– Trudno się o tym rozmawia – stwierdził Manne. – Szybko się męczymy i stajemy niedokładni. Andras jest zagniewany. Od tego gniewu wszystko go boli i czasami nie potrafi inaczej, niż atakować każdego dookoła. Uważam, że ma do tego prawo. Ale nie ma prawa zabronić ci nadal kochać matki, niezależnie od tego, czego się o niej dowiesz. I tak naprawdę on wcale tego nie chce. Jest zraniony, ponieważ ten wielki naród tylko pozornie łatwo uznał, że można po prostu żyć dalej. Tak jakby w jego szeregach nie było żadnej wyrwy, jakby nie brakowało całego wycinka jego kultury, jakby ludzie tacy jak krewni Andrasa nigdy nie istnieli.

Wanda również czuła się wyczerpana. Chętnie opadłaby na to wielkie łóżko, na jedwabistą kapę i pozwoliła, by Manne się o nią zatroszczył. Zamiast tego musiała jednak wkrótce zebrać się i udać do domu, by wysłuchać historii, na którą czekała od miesiąca. Jeśli Andras wkrótce nie przyjdzie, nie zdąży się już z nim zobaczyć.

Naraz coś sobie przypomniała. Coś zupełnie innego, co wydawało się bez znaczenia.

– Dlaczego powiedziałaś, że dla Andrasa nie zatroszczyłbyś się o Sigi? Dlaczego miałyby cię o to prosić, przecież gdy tylko o niej wspomnam, reaguje, jakby giez go użądlił?

Manne zagryzł wargę.

– Bałem się, że mnie o to spytasz, kiedy mi się to wyrwało. Głupio zrobiłem – ale myślałem, że już wiesz.

– O czym?

– O Sigi i Andrasie.

Wanda nie wiedziała, ale nie potrzebowała nawet sekundy, by się domyślić. Czuła się dziwnie: od trzech tygodni jej świat się wali, a jednocześnie miała naraz takie same problemy, jakie już od lat dręczyły jej koleżanki. Zakochała się. Podczas gdy jakaś część Wandy odsuwała wszystko, co znane, i zastanawiała się, kim jest i jaka czeka ją przyszłość, druga część pytała: czy jestem dla niego dość dobra? Czy mu się podobam? Czy nie mógłby mieć innych, bardziej interesujących dziewcząt?

Wiedziała o nim wszystko i nic. Rozmawiał z nią o Auschwitz i o Paulu Celanie, o swoich rodzicach i o zmarłych krewnych, oboje uwielbiali muzykę Boba Dylana i pili razem amerykańskie piwo – ale jaką dziewczynę zabierał przedtem do swojej ulubionej knajpy, czy ją kochał, czy cierpiał już z miłości? Co podobało mu się w kobiecie, co go drażniło? Jeśli chodzi o te sprawy, był jej obcy, a ona sama ślepa.

Czujniejsza osoba z pewnością nie potrzebowałaby Mannego, by domyślić się, że Andrasa musiało wcześniej łączyć coś z Sigi. Znał jej rodziców, wiedział o przeszłości jej ojca i wyczuwał słabe punkty Sigi, w których mógł ją zranić. W świetle tego, jak się nawzajem traktowali, jak wybuchowo reagowali, gdy tylko usłyszeli swoje imiona, było oczywiste, że musiało między nimi zajść coś więcej niż tylko sprzeczka w audytorium germanistyki.

– Jak w takim razie może mówić, że ona do mnie nie pasuje? – rzuciła Wanda, bardziej do samej siebie niż do Mannego. – Najwyraźniej do niego pasuje jeszcze mniej.

– Pytaj Andrasa, nie mnie – odparł Manne. – Albo lepiej zapomnij o tym wszystkim. To jego sprawa, nie Sigi i nie twoja. Sam często siebie nie rozumie, nie jest mu z samym sobą lekko.

Przerwało mu skrzypienie drzwi. Na twarzy Mannego odmalowała się ulga. Andras nigdy nie pukał.

– Rozmawiacie o mnie? – spytał, wchodząc.

– Jasne – powiedział Manne. – Zawsze. Czy są na świecie inne tematy niż Andras Goldfarb?

18

W jego śmiechu pobrzmiwało zmęczenie. Włosy miał mokre i rozczochrane, a zaczerwienione z zimna policzki na bladym obliczu sprawiały wrażenie, że gorączkuje. W lewej ręce trzymał butelkę wina, która wydawała się prawie czarna.

– Z południa Francji. Twoja matka mi je poleciła, gdy powiedziałem, że pilnie potrzebuję lekarstwa na chorobę życia. – Z dziwną elegancją, zadającą kłam jego zaniedbanemu wyglądowi, przecisnął się przez chaos segregatorów, książek, stert gazet i płyt. Podał Mannemu otwartą już butelkę.

Manne popatrzył na niego.

– Aż tak źle?

Andras potaknął.

– Leo Honigmann jednak nie wystąpi jako świadek. Lekarz wystawił mu zaświadczenie. Mówi, że mam przestać go nachodzić. Ale jak mogę to zrobić? Wszyscy znamy prawdę – tylko że bez świadków nie jest nic warta, a przestępcy śmieją się w kułak. To może być nasza ostatnia szansa, by pociągnąć winnych do odpowiedzialności, ale wszystko, co osiągnąłem przez te lata, wali się niczym domek z kart.

– A co z córką Elkelesa?

– Nie udało mi się z nią porozmawiać. Jutro spróbuję znowu. Zwłaszcza jeśli wreszcie się napijesz i oddasz mi butelkę, żebym mógł przetrwać ten przeklęty wieczór.

– Kieliszki? – Manne poprawił okulary.

– Twoja matka już mi je proponowała. Ale mam tylko dwie ręce. – Uniósł je do góry. Podłużne dłonie ze szczupłymi palcami. – Bądź kumplem, wypij z butelki. Choć zwykle od tego całego kumplostwa chce mi się rzygać.

Pochylił się nad łóżkiem i nie dotykając Wandy, pocałował ją w usta. Mocno i czule. Pierwszy raz pocałował ją w ten sposób, gdy rankiem po tej strasznej nocy stał na ulicy przed jej domem. Dzień się jeszcze nie rozbudził, może nigdy nie miał się rozbudzić, tylko aż do zmroku pozostać uwięziony w lodowoszarym półświecie. Zimno bolało. Andras miał na sobie swój lichy prochowiec, dłonie trzymał w kieszeniach.

– Co tu robisz?

– Nie wiem. Nie mogłem spać.

– Dlaczego nie?

Nie wyjmując rąk z kieszeni, pochylił się i złożył na jej ustach pocałunek. Niczym pieczęć. Wanda marzła, przez całą noc leżała, drżąc, pod kołdrą, która już nie chroniła, w pokoju, który nagle wydawał się pułapką – albo trumną. Jak pociąg w jej śnie.

Wargi Andrasa były lodowate, ale żywe. Weź mnie w ramiona, chciała mu powiedzieć, lecz on już to zrobił i przywarli do siebie.

– Jesteś szalony – powiedziała, gdy po całej wieczności oderwali się wreszcie od siebie. – Zimny jak bryła lodu. Jak długo tu czekałeś?

– Tak – stwierdził, zamiast odpowiedzieć na pytanie. – Jestem szalony i lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś nie miała ze mną nic wspólnego.

Wanda to rozumiała. Nawet tamtego ranka, gdy nie rozumiała już niczego więcej. Był niebezpieczny, wciągał ją w głębię, z którą nie była gotowa się zmierzyć. Mimo to sięgnęła po jego dłonie ukryte w kieszeniach prochowca i je uścisnęła. W świetle, w którym wszystko stało się obce, ten niebezpieczny mężczyzna jako jedyny wydawał się należeć do niej.

Manne wyłowił z półki z książkami ceramiczny kubek, napełnił go do połowy i podał Wandzie.

– Skoro już my dwaj pijemy z gwinta, niech przynajmniej dama trzyma fason.

Wanda uśmiechnęła się, choć jej serce nie przestawało dudnić w pustej przestrzeni. Kubek, którym miała trzymać fason, najwyraźniej dawno już nie był wycierany. Na czarno-czerwonej powierzchni wina połyskiwał kurz. Ładnie, uznała, po czym wypiała. Smak i uczucie w ustach nie miały nic wspólnego ze słodkawym białym winem, które ciotka Lore dostawała od pana Ecka na Boże Narodzenie.

– Właściwie powinnam już iść.

– A niewłaściwie? – Andras usiadł obok niej na łóżku i podciągnął nogi. Wanda uznała, że łóżko przypomina tratwę. Płynęli nią we troje przez bystrza i dopóki nie stracą tego niewielkiego czworokąta, byli bezpieczni.

– Niewłaściwie też powinnam już iść – odparła Wanda, ale pragnęła zostać, nie chciała zmuszać się do wyjścia na zimno, w ciemność i niepewność. Na nocnym stoliku Mannego tykał podróżny budzik i choć bardzo z tym walczyła, raz po raz na niego zerkała. Było wpół do siódmej. Do Tempelhof dotrze co najmniej za półtorej godziny, a rano powiedziała przecież ciotce Lore, że wróci najpóźniej o ósmej. A raczej wcześniej.

– Miło byłoby znowu mieć cię tu na kolacji – odparła ciotka Lore. – Nawet jeśli to, co upichcę po pracy, nie może równać się ze sztuką kulinarną twojej matki.

Matti przestała gotować. I mówić. Od czasu nocnej konfrontacji na korytarzu właściwie już się nie odezwała, ani do ciotki Lore, ani do Very, ani do Ari. Naciskana przez Wandę podała jedynie dzisiejszą datę, mówiąc przy tym głosem obcej osoby:

– Dowiesz się wszystkiego. O domu w Sopocie. O domu nad morzem.

Nie przestała tylko nucić. O ile wcześniej robiła to wyłącznie rano, gdy sądziła, że nikt jej nie widzi, i w dodatku tak cicho, że Wanda musiała nastawiać uszu, teraz chodziła po mieszkaniu z piosenką na ustach niczym robot, którego nie da się wyłączyć.

– Jeśli przynajmniej raz nie zanuci czegoś innego, oszaleję – jęknęła Vera, która wróciła wyczerpana z pracy i musiała uczyć się do egzaminu w szkole zawodowej. – Nie mogę już dłużej słuchać tej ponurej melodii, ciarki mnie przechodzą.

To nie było w stylu Very, by się skarżyć. Ale trybiki w ich rodzinie, które wyrobiły się samoistnie przez lata, i tak się już zepsuły, podobnie jak karuzela z małpkami, którą Matti zrobiła przed laty z córkami i która nadal wisiała nad łóżkiem Wandy. Kiedyś jedna małpka spadła i została zdeptana. Od tamtej pory zabawka zwisała krzywo. Tak jak teraz ich życie rodzinne. Tylko że nikt nie wiedział, która małpka w ich przypadku spadła i czego im właściwie brakuje.

W każdym razie musiała już iść.

– Nie wrócę po to, by zjeść kolację – powiedziała wcześniej do ciotki Lore. – Wrócę tylko dlatego, że muszę dowiedzieć się, kim jestem.

– Jesteś Wandą! – zakrzyknęła ciotka Lore, która zawsze była opanowana. – Jej dzieciątkiem z mgły, jej ulubienicą, dla której przetrwała całą tę niedolę. Daj jej spokój. Nie chcę, żeby mi się załamała. Wanda, ona jest moim życiem, moją małą kluseczką, ona i ja, to wszystko, co zostało jeszcze z naszego świata. Zawsze się nawzajem ochraniałyśmy.

– A ja chronię siebie – odparła Wanda ku własnemu przerażeniu i wyszła. – Zobaczymy się dziś wieczorem, najpóźniej o ósmej.

Jeśli chciała dotrzymać obietnicy – czy też spełnić swoją groźbę, musiała już iść. Upiła łyk zakurzonego wina, połyskującego w blasku świecy. Wszystko w niej wzbraniało się i lękało, a zarazem poganiało ją, syczało jej do uszu: a co, jeśli przyjdiesz za późno, jeśli ona ucieknie razem ze swoją wiedzą i zostawi cię z pustymi rękoma?

Ona.

Jak mogła myśleć w ten sposób o swojej matce, o Matti, którą tak bardzo kochała? Czyż nie знаła dość innych osób – takich jak Helga – by wiedzieć, że więź między nią a matką nie miała w sobie nic oczywistego, że miłość, którą otoczyła ją Matti, była jej ochroną i tarczą na tym świecie?

Ból nadszedł niczym kara. Zaraz potem Andras ujął jej dłoń i przyciągnął ją ku sobie, tak że nie mogła szarpać nadgarstka. Wanda spuściła wzrok i zobaczyła oderwane strzępki skóry, drobniutkie krople krwi, które pojawiły się na przegubie.

– Nie idź jeszcze – powiedział Andras. – Wiem, że musisz, ale nie idź zaraz.

Pocałował jeden z jej palców, przyłożył go do swoich warg i zamknął na chwilę oczy. Manne, u którego wylądowała butelka, sięgnął nią obok Andrasa i dolał wina do zakurzonego kubka Wandy.

– Jeszcze łyczek? – spytał. – Zwykle nie zmienia to nachylenia osi ziemskiej. Ale jeśli musisz iść, to musisz. Nie pozwól, żebyśmy cię zatrzymywali.

– Miałem gówniany dzień – powiedział Andras, ułożył dłoń Wandy w pięść i nakrył ją swoją dłonią. – Jeden z tych, gdy myślisz, że od miesięcy walczysz z cieniami, które rozplývają się, gdy tylko je pochwycisz i sądzisz, że wreszcie masz w rękę. Możesz jeszcze zostać, Wando? Za kilka kropli wina? Chciałbym się tylko przez chwilę rozgrzać między wami. Przypomnieć sobie, że nadal mam nogi, ręce, głowę i wszystkie narządy pomiędzy. Gdy tylko poczuję znowu przynajmniej część z nich, odprowadzę cię do domu.

– Dlaczego miałbyś odprowadzać mnie do domu? – Półtorej godziny przez miasto. Zwykle i tak pokonywała tę drogę sama, przeważnie późno w nocy, różnymi kolejkami i autobusami. Z kolei Andras najczęściej zostawał na noc w domu Mannego. Był częścią kosmosu van Bontjesów, to było jego miejsce, jeszcze nim Wanda go poznała.

– Czeka cię dziś twoja rozmowa – odparł Andras. – Pojadę z tobą. Nie mogę ci pomóc, tak jak ty nie możesz pomóc mnie w moich sprawach. Ale trochę pomaga, jeśli chwilę przedtem nie jest się samemu. W każdym razie tak sobie wmawiamy.

Puścił jej dłoń, położył się na plecach i wbił wzrok w sufit. Gdy Manne podał mu butelkę, wsunął szyjkę do ust i wypił.

– Zimno mi – powiedział potem.

– Zawień się w kołdrę – zaproponował Manne.

– Nie – odparł Andras. – To mnie nie ogrzeje. Czy któreś z was mogłoby się położyć obok mnie? Albo oboje? Tylko na chwilę.

Manne widział, jak Wanda się waha.

– No chodź. – Wziął jej dłoń i pociągnął. Nie musiała nic robić. Trzymała swój niemal pusty kubek, a Andras przysunął się do jej boku. Po drugiej stronie położył się Manne, który wcześniej zdmuchnął świecę. Przez wąskie okno wpadało do ciemnego pokoju światło ulicznej latarni. Przez warstwy materiału Wanda czuła przy swoim ciele ciało Andrasa, wyczuwała swoimi konturami jego kontury, był jeszcze chudszy, niż przypuszczała. Zaskoczyło ją drżenie, które przebiegało po jego ciele raz po raz, nie ustawało, tylko stawało się szybsze i silniejsze, jakby nieustannie raził go prąd.

Było tak gwałtowne, że musiało boleć. W końcu zaczęła głaskać go po boku, od pasa w górę, po żebrach, ramionach i szyi. Potem znowu od początku. Jej dłoń wsunęła się pod prochowiec, odsunęła ubranie, które i tak nie grzało. Nie słyszała już tykania budzika, wydawało jej się tylko, że po niemal wieczności drżenie osłabło. Jej dłoń spoczęła na szyi Andrasa, jego włosy opadały miękko na jej wierzch, i Wanda ze zdumieniem stwierdziła, że jego krew pulsuje równie szybko jak jej własna. Skóra, wcześniej lodowata, ogrzała się, i również Wandzie zrobiło się ciepło. Dopóki mieli swoją tratwę, byli bezpieczni.

Obudziła się gwałtownie, spanikowana, wiedząc, że stało się coś nieuniknionego, tak jak wtedy, gdy wyrwała się z mrocznego snu o pociągu. Otrząsnęła się kilkakrotnie, by odgonić lęk, i dopiero potem dostrzegła, że Manne siedzi obok i gładzi ją po ramieniu.

– Pomyślałem, że lepiej cię obudzę. Bo chciałaś wrócić do domu. Jeżeli o mnie chodzi, nie musisz iść, Wando. Jeśli nie czujesz się dobrze, zostań – porozmawiasz z matką jutro.

Na nocnym stoliku paliła się mała lampka. W jej świetle Wanda widziała cyferblat budzika i zrozumiała, że minęło niewiele ponad pół godziny. W mgnieniu oka rozbudziła się i usiadła.

– A jeśli jutro niczego już mi nie powie? – spytała. – Odkąd stało się to wszystko, najbardziej boję się, że będzie milczeć i tylko nucić tę swoją piosenkę. Że odmówi mi mojej historii. Że nie będę już miała szansy, by ją odnaleźć.

– Tak jak świadkowie Andrasa – stwierdził Manne. – Wizja tego, że będą musieli ponownie przeżyć piekło przeszłości, budzi w nich taki lęk, że wolą milczeć. Pozwolić, by oprawcom wszystko uszło na sucho. Ten człowiek, którego Andras od wielu dni próbuje przekonać, wszedł kiedyś pod stół, naciągnął na siebie obrus ze wszystkim, co na nim stało, i krzyczał ze strachu tak, że nie słyszał już głosu Andrasa. Sześćdziesięcioletni mężczyzna. Profesor ekonomii, szanowany za swój chłodny umysł i stałe poglądy.

– Ten człowiek był w Auschwitz, tak? Był torturowany, grożono mu śmiercią?

Manne potaknął.

– Jego żonę zamordowano. Dzieci też. Wie, jak to się stało, powiedział Andrasowi, że co noc przeżywa to na nowo, ale nie potrafi powiedzieć o tym głośno. Ani słowa.

– Moja matka nie była w Auschwitz – stwierdziła Wanda. – Nazywa się Gundula Scharneck, z domu Frieböse, i jest katolicką Niemką z Gdańska, której włos nie spadł z głowy. Ma inne powody, by milczeć, Manne.

– Z pewnością – odparł Manne. – Wszyscy mają swoje powody. Każdy z całego tego pokolenia. A po prawie dwudziestu latach zbiorowego milczenia nagle zjawiamy się my i żądamy, by wyjaśnili nam te powody. – Wstał. – Pozwólmy Andrasowi spać, dobrze? Nie wiem, od ilu nocy nie zmrużył oka. Godzinami siedzi, wertuje papiery, których treść już dawno zna na pamięć, i słucha swojego Boba Dylana, wciąż te same kawałki.

– *A Hard Rain's A-Gonna Fall?* – Wanda zdążyła już nauczyć się tej piosenki na pamięć, tak jak Andras swoich dokumentów. Uzależniła się od niej, ponieważ gdy jej słuchała, nie czuła się sama, ponieważ bard zaglądał do jej głowy i nadawał ton jej panice. Ponieważ śpiewał o ostrzeżeniach, wykrzykiwanych głośno niczym grzmoty, i o falach, które mogły pochłonąć świat.

– Przede wszystkim ten – powiedział Manne. – I ogląda przy tym fotografie, których lepiej, żeby nie widział.

– Fotografie z Auschwitz?

Manne pokiwał głową.

– Taczki, na których leżą stosy zmarłych, rzuconych jeden na drugiego niczym worki. Rozmyte ujęcia zupełnie nierozpoznawalnych, wycieńczonych twarzy, nad którymi trzyma lupę, szukając znajomych rysów. Wie, że się wykańcza. Ale nie potrafi przestać. Moja matka sądzi, że jeśli nie będzie uważać, załamie się i nie zjawi na rozpoczęciu procesu.

Wanda mogła tylko potakiwać. Zmuszała się, by nie skierować wzroku na Andrasa, nie pragnąc, by się obudził i jej towarzyszył. Jak możemy być zakochani, zastanawiała się, jak możemy w ogóle o tym myśleć, poświęcać na to czas? Uczyć się kochać. Chodzić do kina, może zjeżdżać na sankach ze wzniesienia Insulaner, gdy spadnie śnieg. Siedzieć w Village, całować się, podczas gdy Bob Dylan śpiewa, że świat się kończy. A gdy Andras przesuwając dłonią po mojej nodze, jego głowa pełna jest fotografii niedających się już zidentyfikować zmarłych.

– Chodź – powiedział Manne. – Jeśli chcesz wracać do domu, odwiozę cię.

– Odwiesz?

– Jasne. – Skierował się już między stosami na podłodze w stronę drzwi. – Czeka cię wystarczająco trudna rzecz, nie musisz dodatkowo czekać wieki na zimnie na autobus.

Wanda nie знаła żadnej osoby w swoim wieku, która umiałaby prowadzić auto. Manne zszedł przed nią po schodach. W korytarzu paliło się światło, z jednego z dużych pokoi przez otwarte drzwi dobiegały głosy, które nie brzmiały wesoło.

– Kłóć się – powiedział Manne.

– O co?

– O politykę. Nie potrafią inaczej. Denerwuje ich każde niewłaściwe słowo. Także dla moich rodziców to się nie skończyło, Wando.

Wyłowił z jednej z półek kluczyki.

– Wezmę samochód – zawołał w stronę pokoju. – Odwiozę szybko Wandę do domu.

Nie czekając na odpowiedź, otworzył drzwi domu. Razem z Wandą wyszedł z ciepła i rozlanej rozrzutnie jasności w ciemność.

19

W Dahlem miasto wycofało się już do sfery prywatności, spuszczone rolety lub zaciągnięte zasłony odcinały odgłosy świata. Wysokie płoty osłaniały oddalone od ulicy domy zamożnych mieszkańców i chroniły ich spokój. Ogrody były rozległe, tworzyły odstęp między sąsiadami. Ponad dachami wznosiły się czuby jodeł, a na wielu bramach znajdowały się tabliczki ostrzegające przed psami.

Dahlem było uprzywilejowaną dzielnicą. Otaczały ją lasy i jeszcze przed założeniem Wolnego Uniwersytetu była to ostoja badaczy i naukowców. Nie doświadczyła wielu zniszczeń, stara zabudowa przetrwała grad bomb i pożary, a Amerykanie, w których sektorze leżała dzielnica, dobrze się z nią obchodzili. Gdy Wanda przyjechała tu na immatrykulację, od razu polubiła Dahlem. Wyglądało jak miejsce, w którym życie płynie beztrosko, a szczęśliwe rodziny wychowują rozkoszne dzieci, ale ta na pozór niczym niezmacona idylla, jeśli dobrze jej się przyjrzeć, może się łatwo rozpaść. Nikt nie podejrzewał, co kryje się za obłożonymi klinkierem lub pokrytymi miodowym tynkiem fasadami, co mieści się za ogrodami i portalami, wysokimi oknami i wieżbami dachowymi.

Andras opowiedział Wandzie, jak powstała willowa dzielnica Dahlem, przewidziana wyłącznie do przyjemnego życia. W czasach belle époque – jakże piękna nazwa! – rozdawano działki, ale tylko wypłacalnym nabywcom, zobowiązującym się wznieść na nich okazałe siedziby rodowe, w których będzie mogło zamieszkać kilka pokoleń. Okolica cieszyła się wyjątkową popularnością wśród uznanych naukowców, którzy prowadzili badania w pobliskich instytutach Towarzystwa Postępu Naukowego im. Cesarza Wilhelma. Większość mieszkańców była pochodzenia żydowskiego. Niedaleko domu van Bontjesów rezydował wuj Andrasa. Był zoologiem i autorem uznanego dzieła na temat ssaków morskich.

– Josef, najstarszy brat mojego ojca, ukochany syn babci Huldy. To on sprowadził ojca z Budapesztu. Podobał mu się Berlin, a Dahlem jeszcze bardziej. Chciał zbudować duży dom, bo pragnął mieć pół tuzina dzieci, a ten pogrążony w półśnie żydowsko-mieszczański świat był bardzo w jego guście.

– I miał te pół tuzina dzieci?

Przy wszystkich pytaniach, które zadawała Andrasowi, Wanda, już je wypowiadając, żałowała, że nie może ich cofnąć.

– Tylko czworo. Potem nastąpił koniec.

Ciche Dahlem spodobało się także elicie partii nazistowskiej. Tu był spokój po łoskocie grzmotów i krzykach umierających. Domy i ogrody wywłaszczonych przejęli ludzie jak Heinrich Himmler i Joachim von Ribbentrop. Willa właściciela domu towarowego Wertheima została zburzona, a w jej miejscu ulubiona reżyserka filmowa Hitlera, Leni Riefenstahl, kazała wznieść swoją feudalną siedzibę. Manne prowadził auto po pustych ulicach, Wanda zaś wyglądała przez okno, patrzyła na mijane domy i zastanawiała się, gdzie podziały się rodziny, które je wybudowały, i jak wielu z tych, którzy się tu urodzili, nadal żyło. Ich miasto nigdy już nie miało być takie samo. Stało się miastem pospiesznie wznoszonych fasad, czystego tynku, który przykrywał ciemność. Miastem ze zwłokami w piwnicach, z murami, którym nie wolno było się skruszyć, bo w przeciwnym razie ukazałyby otchłania.

Wanda objęła się rękoma. Auto wyjechało z ciszy Dahlem do Steglitz, dzielnicy urzędniczej, gdzie paliły się jeszcze światła i widziało się ludzi. Manne zdjął dłoń z kierownicy i pokręcił jednym z guzików na desce rozdzielczej.

– Zaraz zrobi się cieplej – powiedział.

Rzeczywiście trwało tylko chwilę, nim z dyszy napłynęło ciepłe powietrze i wypełniło wnętrze pojazdu, nasilając zapach skóry i długowłosego psa van Bontjesów.

– Wando – odezwał się Manne. – Nie mogę przestać myśleć o tym, co powiedziałaś. Że boisz się, że twoja matka może już zawsze milczeć i nie będziesz wtedy miała szansy poznać swojej historii. Sądzę, że to nieprawda. W każdym razie niekoniecznie.

– Moja ciotka również milczy – odparła Wanda. – Mówi, że decyzja należy do mojej matki i jeśli ona do niczego się nie przyzna, ciotka nie

będzie zdrajczynią. Tak się wyraziła. Zdrajczynią. Moja ciotka, twardo stojąca na ziemi kobieta, która w sklepie na rogu sprzedaje krojony chleb i pastę do podłóg.

– Nie o to mi chodziło. – Głos Mannego był cichy. Z ożywionych ulic Steglitz auto wjechało w cichą dzielnicę Tempelhof. – Wcześniej, mówiąc o żelaznej kurtynie, powiedziałaś coś jeszcze – że do Polski nie można dostać wizy, chyba że na osobiste zaproszenie. To właśnie chodziło mi po głowie. Wiesz przecież, że moi rodzice wszędzie mają znajomych, większość z czasów, w których Hitler rozrzucał narody Europy po całym kontynencie jak mój brat David farby na płótnie. Jednym z ich przyjaciół jest pochodzący z Warszawy Leon Fingerzwajg, któremu matka pomogła uciec z okupowanego Paryża. Mieszka w Berlinie Wschodnim, a moja matka znaczy dla niego więcej niż słońce. Jeśli chcesz, na pewno dałoby się coś przez niego załatwić.

– Jeśli „czego” chcę? I „co” dałoby się załatwić?

Manne utkwiał wzrok w jezdni, w czarnych kałużach na nierównym asfalcie.

– Jeżeli matka nie opowie ci twojej historii i będziesz chciała na własną rękę prowadzić poszukiwania w twojej ojczyźnie, Leon prawdopodobnie mógłby zdobyć dla ciebie potrzebne zaproszenie. Ma w Polsce rodzinę i wielu przyjaciół.

Przez całą drogę serce Wandy mocno biło, wywołując echo niczym w pustej przestrzeni. Teraz jej tętno przyspieszyło, ale po raz pierwszy w paraliżujący strach zakradło się także coś innego. Niewiarygodne zdumienie.

W twojej ojczyźnie.

Do tego momentu ta część jej samej, która została przed nią zatajona, napełniała ją wyłącznie mrocznymi przecuciami. Teraz wezbrało w niej nieobecne wcześniej podekscytowanie. Dlaczego była przekonana, że nieznane wiązało się wyłącznie z grozą?

– Nigdy wcześniej nie byłam nigdzie indziej niż tu – wyrwało się jej. – Nie znam obcych języków, chyba że liczyć łacinę, mój angielski nie wystarcza nawet, by zrozumieć Boba Dylana. Zatkaną mnie nieco, że sądzisz, że mogłabym pojechać sama do zupełnie obcego kraju.

Manne nadal w skupieniu wpatrywał się w ulicę, ale w kąciku jego ust drgnął jakiś mięsień.

– To pierwsze nie jest prawdą. Byłaś już gdzieś indziej.

– Nie, naprawdę nie. Nawet nie pojechałam na wycieczkę klasową do Frankonii.

Nim zmieniło się światło, rzucił jej uśmiech. Potem nacisnął pedał gazu.

– Byłaś przecież w Gdańsku. A przynajmniej w tym pobliskim kurorcie. To nie jest nigdzie, prawda? Gdańsk był podobno jednym z najpiękniejszych miast w całej Europie.

Wanda zrozumiała. „W twojej ojczyźnie” oznaczało, że przecież tam była! Związek między nią samą a miastem, o którym mówił Manne, nie był abstrakcją, tylko czymś, co miało w sobie fizycznie namacalną prawdę. Tam się urodziła. Tam jest początek jej historii, jakkolwiek się dalej potoczyła.

– Swoją drogą, jeśli rzeczywiście tam pojedziesz, zzielenieję z zazdrości – powiedział Manne. – Gdańsk ma w sobie coś, co uskrzydla wyobraźnię – czy chodzi o bałtycką zatokę, nonszalancką świetność, której nie obchodzili zmieniający się władcy, czy tragiczny los miasta jako kości niezgody. Poza tym w przeciwieństwie do Andrasa mam słabość do niemieckiego romantyzmu. Niekoniecznie do Arnima i Brentana, których Krankemann uznaje za dowód na wyższość kultury niemieckiej. Ale na przykład tego:

Ciemne dachy, smukłe okna,

Wieże patrzą z gęstej mgły,

I posągi niby widma

Stoją przy framugach drzwi.

– Co to? – Zacytowane słowa przywoływały w ciemności muzykę i wyczarowywały obrazy.

– Joseph von Eichendorff o Gdańsku.

– To właśnie powiedział Andras! – zawołała Wanda. – Że powinnam poczytać Josepha von Eichendorffa.

– Andras nie jest wcale tak nieczuły, za jakiego lubi uchodzić. – Manne uśmiechnął się i zmniejszył prędkość. – Powiesz mi, gdzie mam skręcić? Nie znam tej okolicy.

Wanda musiała się otrząsnąć, by odzyskać orientację.

– Tutaj w lewo. Potem w prawo. Tam przed nami, gdzie na rogu jest mały sklepik, znowu w prawo.

Okno pana Ecka było ciemne. Ledwo jednak skręcili w Alboinstraße, rozbłysło i oślepiło ich światło. Manne nacisnął hamulec.

Światło migąło jaskrawo na niebiesko.

Wanda usłyszała swój krzyk.

Manne też krzyczał.

– Czeka! Musisz pociągnąć dźwignię!

Wanda jak oszalała szarpała drzwi, ale nie zdołała ich otworzyć. Manne sięgnął ponad nią, pociągnął za klamkę i drzwi się otworzyły. Wanda wyskoczyła z auta i pobiegła po zamrożonej jezdni do karetki, która stała przed drzwiami ich domu z kręcącym się niebieskim kogutem. Wciąż krzyczała, choć zabrakło jej powietrza.

– Matti! Matti, Matti, Matti!

Drzwi były otwarte. W bramie, której zawsze tak się bała, stali jacyś ludzie, palili papierosy i rozmawiali.

– To córka? – spytała jakaś kobieta.

– Nie mam pojęcia. Miała ich chyba kilka.

Wanda biegła dalej. Na podwórzu świeciła pojedyncza żarówka nad drzwiami prowadzącymi do bocznego skrzydła. Również tu stali ludzie, tworząc grupki, które kątem oka postrzegła jako cienie. Z drzwi wyszło jej naprzeciw dwóch odzianych na biało mężczyzn, niosących ciężki metalowy przyrząd. Wanda przecisnęła się obok nich i wpadła do domu, krzycząc z całych sił:

– Matti!

Drzwi do wszystkich mieszkań były otwarte, we wszystkich stali ludzie.

– Nie idź tam, mała – zawołał dozorca Boehme. – To już nic nie pomoże.

Wdowa Bader miała na sobie swój różowy szlafrok z frotté. Zastąpiła Wandzie drogę.

– Pozwól im dokończyć pracę. Wcześniej mogłaś pomyśleć o tym, że zależy ci na matce.

Wanda odepchnęła ją, usłyszała uderzenie, gdy kobieta wpadła na ścianę, i pobiegła dalej. Na podeście schodów przed ich mieszkaniem kłębili się ludzie. Jakiś ubrany na biało sanitariusz stał przy noszach, odwiązując pasy, a dwóch kolejnych zajmowało się kobietą, która zgięta trzymała się za brzuch i zwijała z bólu.

– Ciociu Lore! – Wanda zatrzymała się w pół kroku.

Ciotka Lore wyprostowała się i zwróciła ku niej czerwoną, wycieńczoną twarz.

– Idź stąd! – krzyknęła. – Znikaj! Zabiłaś ją, moją małą kluseczkę, mój promyczek, moje jedyne kochanie, zabiłaś mi ją. – Potem ukryła twarz w dłoniach i zaczęła niepoohamowanie szlochać, tak jak można sobie wyobrazić wycie wilka, nawet jeśli nigdy się go nie słyszało.

Sanitariusze wzięli ją pod ramiona i wymienili spojrzenia, po czym jeden z nich odwrócił głowę i zawołał w stronę mieszkania:

– Czy ktoś z rodziny może wyjść? – Brzmiał przy tym tak bezradnie, jakby nie był to jego zawód, jego codzienne zajęcie. – Wróciła ta dziewczyna, której brakowało.

W przedpokoju zaszurały kroki. W drzwiach ukazała się Ariane z trupio bladą twarzą, potarganymi włosami i krwawą szramą na policzku.

– Antresola – powiedziała beznamiętnie. – Gdy wróciłam do domu, kłapa była otwarta, a przecież nigdy nie zostawiałyśmy jej otwartej. – Był to chyba najdłuższy nieprzerwany ciąg słów, jaki Wanda kiedykolwiek usłyszała od Ariane.

Vera stanęła obok. Podbródek jej drżał, dłonie raz po raz splatały się i rozłączały.

– Byłam u Tine Schleicher – powiedziała. – Uczyć się. Myślałam, że mogę zostać dłużej, bo dziś Matti chciała przecież z tobą porozmawiać.

– Gdzie ona jest? – wychrypiąła Wanda.

Vera otworzyła usta, ale jej podbródek drżał tak mocno, że nie wydo była z siebie ani słowa.

– Jeszcze w środku. – Ariane ponownie odezwała się całkowicie beznamiętnym tonem. – Weszli tam, na górę, i ją odcięli. Ale już nie żyła.

CZĘŚĆ CZWARTA

Gundi

Freie Stadt Danzig,
nadbałtyckie uzdrowisko Zoppot

Zima 1932

Księżyc świeci z góry tęsknie,
Widać z miasta tego rad,
Jakby zdjęty snem kamiennym
Leżał w dole baśni świat.

Joseph von Eichendorff *W Gdańsku*

Grudzień 1932

– Życie jest takie piękne – zawołała Gundi, puściła Juliusa, z którym szła pod ramię, i skoczyła kilka kroków naprzód. – Takie piękne, takie piękne, że nie chcę nigdy umrzeć. – Śnieg zawirował, a skacząca Gundi wpadła na jakiegoś pana w meloniku i prochowcu. – Och, przepraszam! – zawołała, zakręciła się i spojrzała w górę na swoją ofiarę niczym skruszone dziecko.

– Ależ nic się nie stało. Nie ma sprawy. – Surowe rysy mężczyzny natychmiast złagodniały. – No, to miłej zabawy, dziewczusko. Ta ogromna huśtawka nie powinna wzlecieć do nieba bez ciebie.

Lore roześmiała się. Odkąd pamiętała, zawsze śmiała się z niezmienną radością życia Gundi oraz jej wpływu na ludzi, nawet wtedy, gdy nie miała na to ochoty. Dziś jednak miała ochotę. Dlaczego by nie? Było im dobrze. Bożonarodzeniowy Jarmark świętego Dominika ze swoimi straganami, budami i obwoźnymi sklepikami, ciągnący się od Zielonej Bramy aż do Motławy, rozjaśniał zimową szarość blaskiem świec i świetlnych łańcuchów. Jakiś sprzedawca kandyzował nad paleniskiem jabłka, które roztaczały nieodparty aromat, a napędzane wodną parą organy karuzeli grały w kółko:

Wszędzie wokół słychać
radosny głos – Wesołych Świąt.

Jedynym, co przeszkadzało Lore skakać wesoło tak jak Gundi, był fakt, że ona sama była właśnie Lore, a nie Gundi. Nadal z trudem mogła uwierzyć w to, jak dobrze się im powodziło, i wciąż obawiała się, że w jedną noc cały czar może prysnąć.

Na to jednak się nie zanosilo. Ani trochę. Odkąd zapanował kryzys, liczba bezrobotnych rosła w zawrotnym tempie, gdański gulden stale tracił na wartości, a wielu ludziom to, co zdołali zarobić, nie wystarczało na najpilniejsze potrzeby. Jednak muzyka i taniec, choć nikt nie powinien mieć już na nie pieniędzy, nadal były pożądane. Z rosnącą biedą stawały się wręcz coraz bardziej potrzebne. Na Jarmarku Dominikańskim kręciły się rzesze ludzi, których najwyraźniej nie było nawet stać na ciepłą odzież, a mimo to lgnęli do świątecznego blasku i w zapomnieniu obracali się przy dźwiękach parowych organów.

Na tym właśnie korzystali. Był popyt na zespoły takie jak Pierogi, które nie trzymały się jednego kierunku muzycznego, tylko potrafiły płynnie dostosować styl do życzeń publiczności. Ludzie, którzy po pracy tłumnie napływali do tanich tancbud, nie szukali muzycznego wyrafowania ani awangardy. Szukali zabawy, kilku godzin szybkiego zapomnienia, do tego powiewu czegoś zakazanego, zmysłowego przyciągania, potu, bliskości i przykrótkich sukienek. Wczoraj wieczorem grali w Oliwie w Pałacu Tańca Maskotte, a lokal do późnej nocy był wypchany po brzegi, tak że trudno było rozróżnić, kto tańczy z kim.

Oczywiście na przygrywaniu w lokalach drugiej kategorii trudno się było wzbogacić. Kto jednak przetrwał czasy, gdy wieczorem nie wiedział, za co rano kupi bilet na tramwaj do urzędu pracy, ten mierzył bogactwo własną miarą. Lore czuła się bogata. Mieli się z czego utrzymać. Julius, który był taki mądry, nie musiał dłużej pozwalać, by pomiano nim jako chłopcem na posyłki, a piękny Lex dostawał co rano pełną miskę. W dodatku mieli w kieszeniach napiwki z występu minionej nocy i mogli przehulać je na jarmarku. Lore wolałaby zaoszczędzić te pieniądze, nie chciała jednak, by pozostali znowu się z niej śmiali i przezywali „Lore skarbonką”.

– Co powiesz, Lorciu? Ty i ja na ogromnej huśtawce? – Gundi skakała do tyłu, zbliżając się do wysokiej konstrukcji z kolorowymi gondolami w kształcie statków, kusząc niczym syrena.

– Myślałam, że chcesz się huścić z Julusem.

– E tam. On przyniesie nam tymczasem karmelowe laseczki i kubek ponczu, prawda? Zrobisz to dla nas, Ju-Ju?

Julius uśmiechnął się.

– Wygląda na to, że nie mam wyboru.

– Dokąd byśmy wtedy zaszli? Odkąd to mężczyźni mają wybór?

Ze śmiechem spojrzeli sobie w oczy, a jakaś kobieta, ciągnąca po Długim Targu duży kosz, przystanąła wzruszona i przyglądała się im. Kto nie wiedział, że sprawy między Gundulą Frieböse i Julusem Czarnetzkim wcale nie były jednoznaczne, musiał uznać ich za najpiękniejszą parę na jarmarku.

– Dlaczego nie pójdziecie na huśtawkę we troje? – spytał Erik. – Ja mogę przynieść słodczyce, napoje i czego jeszcze dama sobie zażyczy.

– Nie ma mowy. – Julius mrugnął do Gundi, po czym oderwał od niej wzrok i zwrócił się do przyjaciela: – Wsadzę teraz nasze dwie gracje do gondoli, a potem my dwaj spokojnie napijemy się jak mężczyźni. – Wziął Lore i Gundi pod ramiona, Gundi z kolei chwyciła Erika i wszyscy razem – jako Pierogi – ruszyli ku nowej, wielkiej elektrycznej huśtawce, która w tym roku stanowiła główną atrakcję jarmarku.

Zmienili się. Rzadko się teraz kłócili, a jeśli już, to o rzeczy, w których sprawie łatwo dochodzili do porozumienia: aranżacja jakiegoś utworu lub nieoddana do pralni marynarka z kostiumu Erika. Problemy śmiechu warte. Odkąd mieli piosenkę – swoją piosenkę, *Świt na morzu* – ich życie stało się kłębkim wełny, w którym znaleźli właściwy koniec, więc węzły rozplątywały się same.

Używali jej oszczędnie. Otworzyła im drzwi, ale nie oznaczało to, że odtąd grali ją już zawsze. W ciągu niecałych czterech lat od swojego pierwszego występu wypracowali repertuar znajdujący uznanie wśród młodych i starych. To, czy na zakończenie udanego występu zagrają także *Świt na morzu*, pozostawało otwartą kwestią.

– To musi być tak jak z małą łyżeczką, rozumiecie? – tłumaczyła Gundi.

– Z jaką niby małą łyżeczką?

– Jak jesteś zaproszony na obiad, najpierw sprawdzasz, czy obok talerza leży mała łyżeczka – odparła Gundi. – Jeśli tak, wtedy spodziewasz się, że podadzą deser, czyli najlepsze dopiero nastąpi. Cały czas o tym myślisz, jedząc eintopf z rzepy, i tym bardziej ci on smakuje. Gdy ludzie idą do lokalu, by nas posłuchać, powinni przez cały czas mieć nadzieję, że na końcu usłyszą *Świt na morzu*. Dzięki temu zasmakuje im również nasza prostsza strawa i nie musimy od razu marnować czaru *Świtu na morzu*.

Nie dało się zaprzeczyć, że *Świt na morzu* rzucał na słuchaczy czar, przy którym bladły wszystkie inne piosenki. Nawet Lore, która mniej od pozostałych znała się na muzyce, od razu pojęła, że to wyjątkowy utwór, ale nie za bardzo go lubiła. Zdaniem Lore trzeba było mieć niezwykle pogodne usposobienie, by lubić *Świt na morzu*, tę melancholię, która kładła się na sercu i od której nie było ucieczki. Ale nie zmieniało to faktu, że piosenka uzależniała. Gdy się ją raz usłyszało, można było tego żałować, ale żal pojawiał się zbyt późno, bo utwór nie opuszczał już serca.

Świt na morzu wywoływał takie uczucie, jakby w jakiejś cudownej chwili przypomnieć sobie, że trzeba umrzeć, że wszystko, również to, co najśłodsze, najukochańsze, się kończy.

Gdy Gundi zagrała tę piosenkę Lore, Erik już ją znał.

– Jeśli chodzi o was, ciebie i Juliusa, wiedziałam, że będziecie zachwyceni – wyjaśniła siostrze. – Potrzebowałam opinii Erika, żeby wiedzieć, czy naprawdę się do czegoś nadaje.

Odkąd Erik w więziennym ubraniu zaczął ciągać po plaży kosze Reinholda Ziebhura, nie miała odwagi pokazać mu się na oczy.

– Ja jestem temu winna – raz po raz Gundi skarżyła się Lore. Kiedy jednak nauczyła się już melodii *Świtu nad morzem*, z miejsca chwyciła akordeon i w popołudniowym deszczu pobiegła na plażę, by zagrać ją Erikowi.

Nie przećwiczyła jej nawet.

– W pięciu taktach przynajmniej sześć razy się pomyliłam – opowiadała Lore, śmiejąc się. – Erik początkowo nie chciał jej nawet wysłuchać, ale wiesz przecież, że gdy zacznę grać na harmonii, nikt nie przechodzi obojętnie.

Erik szybko się poddał i kiedy tylko Gundi zagrała kilka taktów, poszedł do Reinholda Ziebhura, by powiedzieć mu, że bierze popołudnie wolne. Gdyby Ziebhrowi to nie odpowiadało, Erik rzuciłby pracę u niego. Przyniósł z piwnicy swój kontrabas i jeszcze tego samego wieczora zaczął z Gundi ćwiczyć. Tydzień później umówili się z Lore i Juliussem, a po kolejnych dwóch tygodniach, jeszcze przed zakończeniem sezonu, postanowili spróbować wystąpić z piosenką.

– W Pudlu – zaproponowała Gundi. – Jesteśmy tam stałymi gośćmi, a Natan Elkeles jest taki kochany, że nie zakaze nam z miejsca wstępu, jeżeli zagramy jak początkujący.

– Nie mogę powiedzieć o nim, że jest kochany, ale ma charakter i zna się nieco na muzyce – zgodził się z nią Erik, więc następnej niedzieli z bijącymi sercami wyruszyli do Pudla.

Oczywiście było o wiele za wcześnie, by wykonać piosenkę publicznie. Faktycznie zagrali jak początkujący i podczas tego pierwszego występu nie słyszało się u nich ani śladu subtelności, którą można by wydobyć z utworu takiego jak *Świt na morzu*. Mieli jednak za sobą czarną serię straconych nadziei i tym razem musieli mieć pewność – aby

na przekór rozumowi ponownie oddać marzeniu o muzyce wszystko, co mieli, musieli wiedzieć, że ich utwór jest choć trochę dobry.

Nie trochę. Wystarczająco dobry.

– Co to jest? – spytał Natan Elkeles. – Kto to napisał?

– Ja.

Natan Elkeles miał uwodzicielskie oczy i kiedy chciał wyrazić wątpliwość, odciągał dolne powieki.

– Myślałem, że wszystko poszło ci w nogi, skarbie. To dla mnie niespodzianka, że twoja główka nadaje się do czegoś więcej niż do mrugania oczami i układania włosów.

Miał taką manierę – rzucał zniewagi, w których krył się komplement, a w stylu Gundi było sobie z nimi radzić.

– Napisałam tę piosenkę nogami – odparła. – Dlatego nadaje się do tańczenia i ocierania udami. Do rozmyślań polecam Operę Leśną. W repertuarze mają znowu Wagnera.

Elkeles wyszczerzył zęby, wyciągnął zza ucha ołówki i naskrobał coś w swoim notesiku. Potem zwołał resztę załogi Pudła – kelnerki Helmę i Ernę, ślepego Ludwika, który zmywał naczynia i w razie potrzeby robił coś do jedzenia, oraz Waldemara Thomschke, właściciela lokalu. Wszyscy usiedli przy stole, a Gundi, Julius, Erik i Lore musieli ponownie zagrać *Świt na morzu*. A przede wszystkim zaśpiewać. Gundi, która zupełnie wyszła z wprawy i przywykła do lżejszych utworów, raz zafałszowała tak brzydko, że Erik przy basie aż syknął. Gdy skończyli, na chwilę zapanowała cisza, Lore zaś nie wiedziała, gdzie podziać wzrok, ale Elkeles i Thomschke wymieniali znaczące spojrzenia.

Z zaplecza dobiegł krzyk dzieci. Właściciel lokalu prawdopodobnie umieścił tam swoją rodzinę. Plotkowano, że Erna jest jego kochanką, choć z wyglądu mogłaby być matką.

– No dobrze – powiedział wreszcie brzuchaty Thomschke i otarł czoło kraciatą chusteczką. – Nie będę owijać w bawełnę – gdyby dać to zespołowi takiemu jak Indigo Moon, będziemy mieć przebój kolejnego sezonu. Do mojej małej budy nie sprowadzę Indigo Moon, ale tego lata gościliśmy tu paru całkiem przyzwoitych muzyków, z którymi dałoby się spróbować. Odkupię od was ten utwór. Ile chcecie? Trzy razy kolację dla was wszystkich?

W Pudlu nie podawano kolacji. Tylko pierogi i śledzie, które zdołał naprędce przygotować ślepy Ludwik.

– Nie ma mowy – powiedziała Gundi głosem tak twardym, jaki Lore słyszała tylko u jednego człowieka – ich wspólnego ojca, sprzedawcy towarów kolonialnych, który prowadził interesy zgodnie z zasadą „żadnych negocjacji”. – Należy do nas. Nikt inny nie będzie go grać.

– Jasne – odparł Thomschke, wstał i udał się za ladę do kasy. – A więc ile? Płacę gotówką prosto do rąk.

– Nie ma mowy – powtórzyła Gundi.

– Sto guldenów? No dalej. Słyszałem, że u Popa Frieböse nie jest teraz zbyt różowo, a ta pracowita pszczołka Ernestynka Karl też nie miałyby nic przeciwko małemu ociepleniu. Sto guldenów czy nawet sto pięćdziesiąt to przecież dla was kupa szmalu.

– Słyszałeś pannę Frieböse – przerwał mu barman. – Nie ma mowy. Albo pozwolimy ich jarmarcznej trupie śpiewać *Świt na morzu*, albo musimy sobie go odpuścić.

– I co niby mam teraz zrobić? – Thomschke otarł chusteczką łysinę. – Ty, Natanie, postawiłeś mnie przed tym dylematem, więc powiedz mi, proszę, jak go rozwiązać.

– W maju zaprosisz na otwarcie sezonu nowy band – odparł Natan, wsuwając papierosa w srebrną lufkę. – Jak się nazywa?

– Pierogi – rzuciła błyskawicznie Gundi, nim ktokolwiek z pozostałych zdołał pozbierać myśli.

– A, tak – powiedział Natan Elkeles. – Pierogi. Im człowiek starszy, tym mniej zadaje pytań. Tylko się dziwi.

– Nie mówisz chyba poważnie! – zawołał Thomschke. – Oni nawet nie potrafią tego zagrać.

– Ale to było takie ładne – stwierdziła Helma, która od lat usługiwała w lokalu, a nadal wyglądała jak szesnastolatka. – Strasznie się popłakałam.

– Mnie też chce się płakać – wymruczał Thomschke. – Gdy wyobrażam sobie, że w kolejnym sezonie mam zaproponować gościom ten tak zwany band, ściska mi serce.

– Nie było aż tak źle – powiedział ślepy Ludwik z twardym polskim akcentem. – Bas jest naprawdę dobry, gdyby pozwolić mu grać samemu, wtedy by uszło. A dziewczyna ma głos jak burza. Tylko nie powinna śpiewać.

Dyskusja trwała jeszcze jakiś czas, ale tylko Lore miała nerwy napięte do granic możliwości. Gdyby to od niej zależało, wzięłaby sto guldenów i wybiegła z lokalu, nim Thomschke zmieni zdanie. Lepszy wróbel w garści. Inni jednak dawno już wiedzieli, że gołąb też już do nich należy.

Wreszcie Thomschke zgodził się zaangażować ich na próbę na cztery wieczory. Zimą. Gdy przyjdzie tylko paru miejscowych, by raczyć się śliwownicą. Do tego czasu mieli ćwiczyć.

– Dzień i noc, jeśli można was o to prosić. W przeciwnym razie wiosną będę musiał zamknąć lokal i pójść żebrać.

– Jeśli mamy ćwiczyć dzień i noc, potrzebujemy zaliczki. – Gundi wyciągnęła rękę. – Nie można przecież żyć samym powietrzem i miłością.

Thomschke patrzył na nią tak, jakby decydował, czy można ją bezpiecznie zjeść, a potem zaklął pod nosem i wcisnął jej do ręki wyjęte już z kasy banknoty.

– Bezczelność górą, co? Albo straciłem rozum, albo mój szatański barman dosypał mi czegoś do herbaty.

Lore nie wiedziała już, jak często ten październikowy dzień 1928 roku rozgrywał się przed jej oczami. To był ich punkt zwrotny, początek lepszych czasów, i Lore miała na zawsze zachować go w pamięci, nawet jeśli rocznicę obchodzili kiedy indziej – w grudniu, dla uczczenia dnia, gdy przed czterema laty mieli swój pierwszy występ.

Odnieśli sukces. Znaleźli swój sposób na zagranie *Świtu na morzu*, a na zakończenie Natan Elkeles strzelił korkiem od szampana, goście zaś domagali się bisów. Waldemar Thomschke zaangażował ich na stałe i teraz zespół Pierogi był już nieodłącznym elementem sopockiego sezonu.

Gdyby ktoś spytał Lore, co było w tym wszystkim najpiękniejsze, nie musiałyby długo zastanawiać się nad odpowiedzią. Najpiękniejsze było to, że w niedzielne wieczory nie musiała już rozstawać się z Gundi, tylko mogła przez całe długie lato dzielić z nią pokój w pensjonacie Ernestine

Karl. W niedzielę wciąż nierzadko ogarniała ją gorzka melancholia, z jaką dawniej wsiadała do pociągu na dworcu w Sopocie. Zawsze już miała nienawidzić dworców kolejowych, ale ponury nastrój rozwiewał się w mig, gdy tylko jej serce pojmowało, że tego dnia nie musi nigdzie jechać. Zamiast tego szła z przyjaciółmi do Błękitnego Pudła, by grać dla niedzielnych gości.

Zimą występowali w gdańskich tancbudach, tych najzwyczajniejszych, gdzie nie trzeba było płacić za wstęp, i serwujących tanie przekąski. Kasino-Hotel nie był dla nich, ale wśród prostych ludzi zdobyli coś w rodzaju sławy. Ich życie się zmieniło, a oni wraz z nim. Najbardziej Julius.

Lore z podziwem patrzyła na jego szerokie plecy, gdy stał w kolejce przed kasą po bilety na olbrzymią huśtawkę. Wcięty w talii granatowy płaszcz idealnie mu pasował, podkreślał jego męską, wyprostowaną sylwetkę. Julius dorósł. Nie było już śladu po wiecznym uzalaniu się nad sobą, bardziej pasującym do małego chłopca. Stał się mężczyzną, który znał swoją wartość i czerpał z tego spokój i pewność siebie, nie tracąc przy tym nic z prostolinijności, którą tak bardzo lubiła w nim Lore.

Odwrócił się, posłał im chłopięcy uśmiech i uniósł w górę dwa zdobyte bilety.

– Dwa razy podróż statkiem, wyłącznie dla najpiękniejszych sióstr w Zatoce Gdańskiej. Dopóki nie stać nas jeszcze na prawdziwy statek, musi wystarczyć huśtawka na jarmarku.

Wyciągnął dłoń do Gundi, by pomóc jej wsiąść do ozdobionej mrugającymi lampkami gondoli, ale Gundi już wskoczyła do środka.

– Czyżbym usłyszała „prawdziwy statek”? Przyznaj się, po cichu wyciągnąłeś od Waldiego Thomschke dodatkowe pieniądze i na święta podarujesz mi rejs?

Julius z uśmiechem zwrócił się do Lore, by pomóc jej wsiąść na huśtawkę.

– Nie jest obdarzona nadmierną skromnością ta twoja siostra Gundi Frieböse.

– E tam! – zawołała z góry Gundi. – Jestem uosobieniem skromności! Potrzebuję tylko malutkiego rejsiku, do Wenecji i z powrotem! Proszę, Ju-Ju! Jeśli zabierzesz mnie w rejs, z miejsca cię poślubię!

Lore ponownie się roześmiała, pozwoliła Juliusowi sobie pomóc, a na górze objąć się z Gundi. Może wszyscy się zmienili, ale Gundi pozostała taka sama. I tak było dobrze. To, że Gundi była sobą, nie tylko zapewniło im sukces, ale także sprawiało, że wciąż trzymali się razem: jej siła życiowa, jej szwung, jak mawiał Pop, entuzjazm, cementowały przyjaźń tej czwórki.

Operator włączył mechanizm i huśtawka poszybowała w górę. Lore o mały włos nie spadła ze strachu z ławki, ale Gundi chwyciła ją i pomogła usiąść z powrotem.

– Czy to nie piękne, moja Lorciu? Czy nie jest nam przewspaniale?

– Tak, jest. Właśnie o tym myślałam, o tamtym dniu...

– To właśnie moja Lorcia, cała ona. Nigdy nie myśli o dziś, tylko zawsze o wczoraj. – Gundi ubrana w puchaty, obszytym futrem płaszcz jak dla małej dziewczynki, przytuliła siostrę i spojrzała w niebo, ku któremu fruwały w swojej gondoli. Lore nie zauważyła, jak szybko nadciągnął i zapadł zmierzch. Niebo było teraz granatowoczarne i już przeczuwało się na nim gwiazdy, które miały zaraz przebić się przez szklaną kopułę. W dole ciągnęło się miasto z wieżyczkami, światłami, krętymi uliczkami i lśniącym pasem rzeki. Lore wstrzymała oddech, tak piękny był to widok. O własnym mieście rzadko się myślało, ale w szkole Lore musiała nauczyć się pewnego wiersza i teraz wydało się jej, że go rozumie:

Księżyc świeci z góry tęsknie,
Widać z miasta tego rad,
Jakby zdjęty snem kamiennym
Leżał w dole baśni świat.

Lubiła szkołę i chętnie chodziłaby do niej dłużej. Koniec końców jednak wszystko dobrze się ułożyło.

– Jestem taka szczęśliwa, Lorciu. – Gundi przysunęła się do niej na wąskiej ławeczce, na której wlatywały pod rozświetlonym niebem nad Gdańskiem. – Taka szczęśliwa. Nie chcę nigdy umrzeć.

– Na Boże Narodzenie podaruję ci moją tasiemkę życia. – Lore czuła się głupiutko i swawolnie, nie znała siebie takiej. – Tę niebieską, od Popa – wtedy zawsze będziesz mogła zacząć żyć od nowa.

– Naprawdę to zrobisz? Jesteś najlepsza, Lorciu. Najlepsza na świecie.

Lore roześmiała się.

– Od biednego Juliusa żądasz rejsu, a ode mnie wystarcza ci licha tasiemka?

– Nie jest licha. – Wiatr wywiewał włosy Gundi spod czapki i łopotał nimi niczym chorągwią ponad jarmarkiem. – Jest od ciebie i dlatego cenię ją bardziej niż złoto.

– A co z Juliusem? Nadal zbyt mało zależy ci na tym biedaku, żeby się zdecydować?

– Ju-Ju? – zawołała Gundi. Potem przycichła. – Ależ zależy mi na nim, na tym moim niepozornym mężczyźnie, nawet bardzo. Tylko tak mi trudno podejmować decyzje. Lepiej będzie, jeśli pozwolę życiu zdecydować za mnie. Przecież dało mi Popa i ciebie, i Sopot.

Huśtawka ponownie wleciała w granatową czern, ale wytracała już pęd, przestała być szybującą pod niebem czarodziejską gondolą, tylko przypomniawszy sobie o grawitacji.

– *I Świt na morzu* – powiedziała Lore, nie wiedząc właściwie dlaczego.

Gundi milczała przez chwilę, podczas gdy gondola nadal spowalniała.

– *I Świt na morzu* – powtórzyła. – Właśnie. *Świt na morzu*.

21

Luty 1933

Tydzień po tym, jak Hitler został kanclerzem Rzeszy, wszyscy pojechali do Berlina. Wszyscy ci figuranci, którzy w niczym nie przyczynili się do zwycięstwa narodowego przebudzenia, teraz przypisywali sobie zasługi i chcieli świętować. Od Hohnsfeldta po Maassa. Nie obchodziło ich, że dla Gdańska nie odniesiono jeszcze żadnego zwycięstwa, że prawdziwa walka dopiero się zaczyna i wymagać będzie wszystkich sił.

Przynajmniej Forster nie pojechał z nimi. Zdaniem Pfitznera i tak za dużo podróżował po okolicy, a w głębi serca – Pfitzner nie miał co do tego złudzeń – temu człowiekowi z Frankonii miasto Gdańsk było zupełnie obojętne, ale istniały dwie inne siły, które napędzały go i czyniły przydatnym: Forster słuchał Hitlera, darzył go nienaturalną niemal miłością. To, co Hitler powiedział, Forster wprowadzał w życie. Dzięki dwu-

nastu miejscom, które zdobył w wyborach w 1930 roku, miał w rękę władzę, ponieważ niemieckonarodowi, tworzący koalicję wraz z Centrum i liberałami, potrzebowali do utworzenia rządu akceptacji NSDAP. Forster i kierujący frakcją Greiser mogli już wiele razy obalić Senat i zażądać nowych wyborów, ale zawsze, gdy do tego dochodziło, Forster jechał do Hitlera, a ponieważ ten uważał, że pora jeszcze nie nadeszła, Forster odwoływał swoją sforę.

Pfitzner, choć teraz urzędował w porządnym biurze z widokiem na majestatyczną sylwetkę kościoła Mariackiego, od samego czekania niemal tracił zmysły.

Forster osiągnął bardzo dużo, nie dało się temu zaprzeczyć. Organ partyjny „Danziger Vorposten”, służący jako tuba propagandowa, stanowił tylko początek. Zmieniała się cała atmosfera w mieście. Na zgromadzeniach politycznych, niezależnie od głoszonych poglądów, dochodziło do bójek, a na ulicach też się wiele działo. Żydzi, Polacy, czerwoni, cała ta banda i ich poplecznicy nie odważali się już otwarcie okazywać swojej bezczelności, bo wiedzieli, że mogą za to oberwać.

Forster zdołał w dużej mierze przeciągnąć na swoją stronę policję, przynajmniej w obrębie miasta Gdańska. Gdy chodziło o zrywanie z budynków czerwonych flag, zamalowywanie okien wystawowych albo palenie plakatów, mógł liczyć na pomoc mundurowych, którzy gromadnie przystępowali do partii. Poza tym angażował ludzi, którzy nie mieli nic do stracenia i nie bali się niczego, ani śmierci, ani postawienia przed sądem. W Kolbudach jakiś ledwo szesnastoletni kretyn dostał cios w żebra, zmarł i stał się przydatnym męczennikiem. W Nowym Porcie zdemolowano polską skrzynkę na listy, Wysoki Komisarz Ligii Narodów teatralnie się oburzył, ale nie dało się udowodnić niczego poza uzasadnionym gniewem ludu z powodu obcego ciała, którego respektowanie mu narzucono.

Forster znał się na rzeczy – działał tam, gdzie nie było jeszcze widać owego gniewu, który zdrowy organizm narodowy już dawno powinien był wyrazić. Mimo to każdy dzień oczekiwania stanowił dla Pfitznera udrękę, ponieważ znowu tracił nadzieję. Wiedział, że Forster nie jest mu przychylny. Ludzie o umiarkowanej inteligencji rzadko sprzyjali tym, w których wyczuwali intelektualną przewagę. Pfitzner jednak sprowadził Forstera nie dlatego, że chciał być przez niego lubiany, tylko dlatego, że zależało mu na Gdańsku. Sam nie sprzyjał nikomu. Chciał sprawiedliwości.

Teraz zaś, gdy Hitler został kanclerzem, okazało się, że postawił na dobrego konia. Doszła bowiem do głosu druga siła, która napędzała Forstera – jego osobista ambicja. Z pewnością nigdy nie był ulubionym uczniem żadnego nauczyciela, ale chciał być ulubionym uczniem swojego uwielbianego Führera.

– Oczyszczę mój okręg z Żydów – powiedział do Pfitznera i niewiele brakowało, a wywaliłby przy tym z obrzydzenia język. – Jako pierwszy. Mówię wam, towarzyszu, cały ten gdański okręg będzie oczyszczony z Żydów, zanim inni zdążą o tym pomyśleć. A gdy już pozbędę się Żydów, oczyszczę go z Polaków, nasz ukochany Führer nie musi mnie nawet o to prosić.

– Niczego pan nie zrobi – odparł Pfitzner. – Jest pan tu nikim.

Trafił w czuły punkt. Forster, zbawca, którego Führer osobiście posłał do Gdańska, nie miał w Gdańsku nic do powiedzenia. Na oficjalnych wystąpieniach, podczas zagranicznych wizyt lub podejmowania brytyjskiej eskadry nikogo nie interesował gauleiter jakiejś partii, która nawet nie była w rządzie. Greiser, który przynajmniej był przewodniczącym frakcji, według protokołu figurował przed Forsterem. Forster nienawidził Greisera. Nienawidził każdego, kto ustawiał się przed nim, a już na pewno wtedy, gdy chodziło o przychylność ukochanego Führera. Uderzenie w ten czuły punkt było sensownym posunięciem, Pfitzner nie widział innego wyjścia. Forster nie miał kochanki, żadnych zakazanych nawyków, żadnych słabości. Nie był człowiekiem, tylko czołgiem, który właściwie obsługiwany mógł zburzyć komisariat Ligi Narodów.

– Jest pan tu nikim – powtórzył Pfitzner. – Uważa pan, że wreszcie kimś zostanie, bo od niedawna rządzą w Berlinie, ale zapomina pan, że Berlin nie ma tu nic do powiedzenia. Nawet gdybyśmy sprawowali rządy także tutaj, wciąż musielibyśmy płaszczyć się przed Wysokim Komisarzem, który ingeruje w nasze sprawy, ale mielibyśmy przynajmniej jakiś przyczółek. Mielibyśmy, towarzyszu Forster, mielibyśmy. Może jednak nadszedł czas, by przypomnieć naszemu ukochanemu Führerowi, że w Gdańsku pilnie potrzebne są nowe wybory i że od lat czekamy na nie z anielską – albo baranią – cierpliwością?

Nadszedł czas. Forster nie był idealnym człowiekiem, myślał Pfitzner, odkręcając pióro wieczne, ale mimo wszystko najlepszym człowiekiem, jakiego mogli dostać. Dopóki Pfitzner miał go na oku, robił notatki i zajmował się stroną organizacyjną, dał sobie radę. Zamiast pojechać z próżniakami na obchody do Berlina, Frankończyk odrobił na miejscu pracę

domową, a potem spotkał się z Hitlerem nad Tegernsee, by przypomnieć mu o wyborach w Gdańsku. Tym razem Hitler go nie zbył, mówiąc, że jeszcze nie pora.

– Ufam panu – powiedział. – Proszę zrobić to, co konieczne.

Pfitzner sam już to zrobił. Po powrocie Forster musiał tylko przedstawić Ziehmowi, żalosnemu prezydentowi Senatu, gotowe ultimatum – tolerancja się skończyła. Jeśli Ziehm chciał zapobiec natychmiastowemu rozwiązaniu Volkstagu, musiał zobowiązać się do przyjęcia NSDAP do swojego rządu. Poza tym na 28 maja zapowiedziano nowe wybory.

Ledwo wysechł tusz na uchwałach, Forster rzucił się w wir kampanii wyborczej. Po cienistych uliczkach miasta pędzili motocykliści, ciągnąc za sobą transparenty z napisem „Niemiecki Gdańsk wybiera narodowych socjalistów”, a na fasadach i strzelistych wieżyczkach powiewały sztandary ze swastyką. Najważniejsza była jednak walka prowadzona przez Forstera oddolnie: szerzenie strachu i grozy wśród przeciwników. Na ich zgromadzenia wpadało SA, atakowało kandydatów i rwało na strzępy programy wyborcze. Kto chciał przebić skorupę i zamiast niesprawiedliwości zaprowadzić sprawiedliwość, ten nie mógł się wahać, nie mógł być miękki, tylko twardy jak stal. Musiał posuwać się do zastraszenia. Wymusić swoje zwycięstwo.

Pfitzner zatarł ręce, które już dawno temu zaatakowała bolesna choroba skóry. Zaczęło się. Bez wątpienia, wreszcie się zaczęło.

22

Maj

To był jeden z ich najlepszych występów. Początek sezonu w Błękitnym Pudlu. Gundi kochała maj, gdy Sopot należał jeszcze do mieszkańców, ale już także do tych przybyszów, którzy zjawiali się, gdy dla niefrasobliwego grona pięknych i bogatych było jeszcze za zimno, za spokojnie, za mało do oglądania i bycia oglądanym, gdy nad plażą i morzem zalegała mgła, lśniąca w blasku wschodzącego słońca, a Gundi zastanawiała się, czy gdyby zobaczyła cały świat, tak jak tego pragnęła, to znalazłaby miejsce, gdzie mgła potrafi lśnić podobnie jak w Sopocie?

Wszystko przebiegło idealnie. Pogodny dzień i gwiazdzisty wieczór, Pudiel wypełniony po brzegi, w tłumie znane twarze mieszały się z wieloma nowymi, przy barze Natan w najwyższej formie, do tego pierogi Ludwika i pośladki małej Helmy w czarnej ołówkowej spódnicy, kołyszące się stale w chodzie. Sknera Thomschke kupił jednak jeden z tych nowych mikrofonów, by pogłośnić nieśmiałą grę Lore, Erik z występu na występ stawał się coraz lepszy, a Julius, który po wizycie u fryzjera wyglądał olśniewająco, dał w trąbkę ze wszystkich sił. Gundi sama wiedziała, że jej wykonaniu nie można było niczego zarzucić, a goście, którzy początkowo siedzieli wyczekująco, zerwali się z miejsc i zaczęli tańczyć.

Blue Skies oraz *What Is This Thing Called Love* – i sala, którą z każdym kolejnym utworem wypełniał coraz większy entuzjizm.

Najlepsze było to, że przyszli Pop i ciotka Karl, że usiedli przy wąskim stoliku z zieloną lampką, który stał się już jakby ich stałym stolikiem, i że nie wyglądali na zmęczonych, przede wszystkim byli szczęśliwi. Pop, który wkrótce kończył siedemdziesiąt lat, nadal pracował w Schichau w stolarni i choć próbował to ukryć, uwagi Gundi nie uszło, że przychodzi mu to z coraz większym trudem. Gdy przyjeżdżał do Sopotu, często siedział w milczeniu w swoim ulubionym fotelu w kuchni i z uśmiechem w oczach przyglądał się ciotce Karl przy jej zajęciach, aż wreszcie zasypiał na siedząco.

Gundi chętnie by mu pomogła, umożliwiła zrobienie rzeczy, na które nigdy nie mógł sobie pozwolić – powinien przecież mieć jeszcze coś z życia. Ale powinna była przewidzieć, że w przypadku Popa trafi kosa na kamień.

– Schowaj swoje pieniądze do kieszeni, dziewczuszko – powiedział. – Twardo o nie walczyłaś i będą ci jeszcze potrzebne. Twojemu staruszkowi jest dobrze tak, jak jest. I nie będzie ci zawracał głowy.

Gdy Gundi patrzyła teraz na nich dwoje, widziała, że musi łączyć ich coś prawdziwego. Czy za pięćdziesiąt lat będę siedziała tak gdzieś z Ju-Ju?, przemknęło jej przez głowę, gdy ostatni raz śpiewała refren do *Night and Day*. Nagle ogarnęły ją mdłości.

Był to idealny występ, a mimo to pierwszy od ponad czterech lat, którym nie potrafiła się cieszyć. Julius wykonał swoje końcowe solo, a Gundi poczuła w ciele mrowienie.

– Bez bisów – syknęła do pozostałych, jeszcze nim Julius odłożył trąbkę. Zwykle po występie pozwalali zaprosić się na parę kieliszków i tańczyli do muzyki z gramofonu, ale dziś chciała jak najszybciej wyjść.

Powód znajdował się przy ladzie, na wpół zakryty przez tańczące pary. Przy barze stały Zosia i Róża wraz ze swoim bratem Jeszkiem i mężem Róży, Henrykiem Kościuszko. Żartowały z Natanem, którego liczni bracia i bratankowie także się zjawili. Przynajmniej Zosia i mężczyźni byli rozbawieni. Róża stała nieporuszona i gdy tylko Gundi zerkała ku niej, wbijała w nią wzrok.

W ostatnich latach widywała je jedynie przelotnie. Odkąd Róża wyszła za mąż, siostry nie pracowały już u ciotki Karl. Kryzys gospodarczy uniemożliwił spędzenie urlopu wielu gościom, którzy co roku przybywali do pensjonatu Sonnenschein, więc ciotka Karl musiała zacisnąć pasa i z ulgą przyjęła fakt, że dziewczęta znalazły pracę gdzie indziej. Poza tym w ostatnim czasie coraz częściej trafiali się ludzie, którzy narzekali, że nie położą się do łóżka zasłanego przez Polkę. Ciotka Karl nie znosiła kłótni. Chciała żyć w zgodzie z każdym, a Jeszek, brat obu dziewcząt, zarzucił jej kiedyś, że to dla Polki hańba wymiatać z pokoiów brudy po Niemcach. Ani jedna, ani druga strona nie miała racji, ale w takim wypadku dla wszystkich mogło być lepiej, żeby się rozstali.

Henryk Kościuszko prowadził pasmanterię położoną w małym przejściu podziemnym i zamiast ekspedientki klientów obsługiwały teraz jego żona z siostrą. Interes szedł tak dobrze, że przychodziła im nawet pomagać ich ciotka, siostra zmarłej Felicji. Gundi w duchu cieszyła się z tego. Lubiała Zosię i nie miała nic przeciwko zamkniętej w sobie Róży, ale gdy tylko je spotykała, coś zaczynało ją dręczyć. Nie potrafiła już rozmawiać z nimi swobodnie i w miarę możliwości schodziła im z drogi. Teraz jednak zjawily się tutaj, w ich stałym lokalu, gdzie Pierogi miały występować przez całe lato. Zosia na swoich lśniących, ściętych na pazia włosach miała jeden ze ślicznych, własnoręcznie zrobionych kapeluszy.

Julius opuścił trąbkę, a tańczący przystanęli i rozległy się oklaski. Po kilku sekundach klaskanie stało się rytmiczne. Ktoś zawołał „bis!”, a inny nazwę piosenki, którą chciał usłyszeć. Którą wszyscy chcieli usłyszeć.

– Ukłońcie się i idziemy – warknęła Gundi rozkazująco.

– Już teraz? – spytała Lore, ale posłusznie owinęła ściereczką gryf gitary. – Nic więcej dziś nie zagramy?

Erik nie zamierzał chować instrumentu.

– Oszalałaś? Nie ma nawet dziesiątej.

– To początek sezonu. – Julius uśmiechnął się do Gundi, a mdłe uczucie w jej żołądku nasiliło się. – Musimy grać jeszcze co najmniej pół godziny, najlepiej zacznijmy od *Świtu nad morzem*, to zobaczymy same zadowolone twarze. Dlaczego w ogóle tak się spieszysz?

– Tylko nie *Świt na morzu*! – wyrwało się Gundi. Potem jednak opanowała się. Było jej niedobrze, ale Julius oczywiście miał rację: bez paru bisów nie zejda dziś wieczorem ze sceny. Mogła jedynie próbować unikać tej piosenki, na którą wszyscy czekali. – Zagramy *Na huśtawce* – postanowiła i sięgnęła po teczkę, by rozdać nuty.

– Naprawdę oszalałaś – powiedział Erik. – Czy za dobrze nam idzie, że za wszelką cenę musimy coś zepsuć?

Utwór ten ćwiczyli dopiero od kilku tygodni i do tej pory nie grali go publicznie. Poza tym były w nim najróżniejsze słabe punkty. Gundi nigdy nie przestała pisać piosenek dla Pierogów. Początkowo żywiła nawet nadzieję, że teraz, gdy presja ustąpiła, gdy mieli już *Świt na morzu*, węzeł puści. Tworzyła z zapalem i stała się w tym dużo lepsza. Czasami pomagał jej Erik, który miał zaskakujące wyczucie barwy dźwięku. Końcowy rezultat jednak nadawał się w najlepszym razie na wypełniacz, ale nie na główny punkt wieczoru takiego jak ten. Nie było to nic szczególnego i nie dawało im satysfakcji.

Ponownie ogarnęły ją mdłości jak przy pustym żołądku. Odważyła się ostrożnie zerknąć. Polskie siostry nadal stały przy ladzie, Zosia w otoczeniu krewnych Natana Elkelesa, Róża nieruchoma, ze wzrokiem wbitym w Gundi. Chciała się odwrócić i uwolnić od jej spojrzenia, ale przyszywało ją do szpiku kości.

Dlaczego się tak zadreczęła? Czasami przyłapywała się nawet na tym, że chciała zastąpić *Świt na morzu* inną piosenką. Co było przecież absurdalne. Nawet jeśli kiedyś miała napisać wielki utwór, to *Świt na morzu* był jej piosenką. Nikt nie potrafił śpiewać jej tak jak ona, a ona sama nigdy nie miała śpiewać żadnego innego utworu w taki sposób, bo ten opowiadał o niej samej, nawet jeśli Gundi nie rozumiała dobrze dlaczego. Do tego dochodziła muzyka. W *Świcie nad morzem* kryły się jej sopockie niedziele z Popem i wieczorne powroty z niebieską torbą wypełnioną tęsknotą. Zosi na niej nie zależało, sama to powiedziała. Dla niej było to tylko zabijanie czasu i chętnie oddała piosenkę Gundi. Dlaczego zatem

nie potrafiła odgonić tych bezsensownych myśli, podejść do nich i zaprosić na kieliszek szampana?

– Gundi? – Julius dotknął jej ramienia. – Kochana, co z tobą? Jesteś jakaś nieobecna. Słuchaj, nie możemy zagrać *Huštawki*. Nie chodzi o piosenkę, jest naprawdę ładna, ale nie jesteśmy jeszcze gotowi. Sama to wiesz.

– Wszystko jedno – odparła Gundi. – Po prostu zagrajmy coś innego.

– Kochana, musimy zagrać *Świt na morzu*, nie ma wątpliwości. Ludzie się go domagają, chcą zacząć lato od *Świtu nad morzem*.

Gundi zamierzała odmówić, ale powstrzymała się. Nie była już amatorką. Od czterech lat się tym parała, płacono jej za to, by uszczęśliwiała publiczność, a ona kochała każdą sekundę. I oto publiczność stała niecałe dwa kroki od niej i wołała tytuł piosenki. W przytłumionym świetle Gundi widziała radosne, wyczekujące twarze. Nie miała wyboru.

– No dobrze. Zagramy *Świt na morzu*.

To właśnie było w tej piosence najdziwniejsze: za każdym razem, gdy sądziła, że tym razem nie zaśpiewa, bo walczyła z przeziębieniem, bo martwiła się o Lorę albo przejmowała chaosem w swoim życiu uczuciowym, śpiewała lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Tego wieczora jednak naprawdę czuła, że to niemożliwe: jej żołądek się skurczył, serce waliło. Nie zdoła zaśpiewać.

Julius podał Gundi mikrofon i skinął zachęcająco. Aby jej wzrok nie zatrzymał się na Róży, Gundi odwróciła się w stronę małego stolika, gdzie siedzieli Pop i ciotka Karl. Pop jakby przypadkiem uniósł głowę i popatrzył na nią z uśmiechem w kącikach oczu. To było niczym wełniany koc, którym okrywała się w zimowe noce, tyle że ten uśmiech ogrzewał ją od wewnątrz i wypełniał całe jej ciało. Pop był z niej dumny, Pop był dzięki niej szczęśliwy. Nic nie mogło tego zepsuć. Czując to ciepło w gardle, zaczęła śpiewać. Śpiewała lepiej niż kiedykolwiek wcześniej.

Gdy skończyła, pomieszczenie rozmywało się za zasłoną łez. To właśnie odróżniało dobrą piosenkę od każdej innej – zawsze można było zaśpiewać ją tak, jak za pierwszym razem. Troski zniknęły. Była tylko ona i jej piosenka, która nie mogła należeć do nikogo innego. A Gundi także nie mogła należeć do nikogo innego, tylko do muzyki, do swojego *Świtu nad morzem*. Zalała ją fala oklasków, jakby nie znajdowali się

w małej, sennej speluncie na nadmorskiej uliczce w Sopocie, tylko w Operze Leśnej lub w Hali Sportowej w Gdańsku.

– Gun-di, Gun-di! – skandowali ludzie. – Gundi Słoneczko!

– Nasze Pierogi, takie są tylko w Sopocie.

– Jeszcze raz, jeszcze raz!

– Chcemy usłyszeć *Świt na morzu!*

– Jeszcze raz, jeszcze raz.

– No dalej – powiedział Erik. – Gramy jeszcze raz. A potem nawet jeszcze jeden i koniec. Moje gardło przypomina już tarkę. Muszę się napić.

Julius otarł ustnik trąbki, a potem szybko pocałował Gundi w skroń.

– Byłaś cudowna, kochana. Dzisiejszego wieczora pokazałaś, że jesteś jedną z wielkich. Z największych.

Przesadzał. Ale taki właśnie był Julius. Zawsze starał się prawić jej komplementy, jeden miłszy od drugiego. W końcu prześcigał w tym sam siebie i porównywał ją do trzęsienia ziemi. Gundi odchrząknęła, by rozluźnić gardło, i wyprostowała plecy. – Zgoda! Ale tylko dla was – zawołała do publiczności.

– Dla was, dla pięknego lata, dla jedyne go prawdziwego kurortu nad Bałtykiem!

Ludzie wiwatowali.

Gdy się uspokoili, Gundi chwyciła mikrofon, a Lore i Erik delikatnie, płynnie zagrali pierwsze akordy przygrywki.

– Chwileczkę. Mam pytanie. – Głowy odwróciły się, ciała zawirowały. Za parkietem przeciskała się naprzód Róża ze swoim mężem i bratem. Mówiła ostrym, wyraźnym, niemal idealnym niemieckim: – Ta piosenka jest słynna w całym Sopocie, prawda? Chciałabym wiedzieć, skąd się wzięła? Kto ją napisał? Pani sama?

23

Gundi stała jak sparaliżowana. Nawet gdyby jej za to zapłacono, nie wydobyłaby z siebie ani słowa.

– Ależ oczywiście – odparł Julius przyjaźnie i co najwyżej z lekkim zdziwieniem. – Tekst i muzykę do *Świtu nad morzem* napisała Gundi Frieböse. Ale myślałem, że wszyscy to wiedzą.

– Ach tak? – Róża zrobiła krok naprzód. – Ja nie wiedziałam. Proszę o wybaczenie.

Gundi musiała coś powiedzieć. „Dopóki pozostaje się przyzwoitym człowiekiem, wszystko toczy się spokojniej”, uczył ją Pop. „Ale zbyt przyzwoitość jest nudna. Gdy wczesnym rankiem patrzysz w lustro i myślisz: jeszcze się umyję, to wystarczy”. Gundi nigdy nie wątpiła, że sama jest przyzwoitym człowiekiem i zawsze nim będzie. Takim, któremu tu i tam zdarza się zrobić coś niewłaściwego, ale który co rano potrafi spojrzeć sobie w twarz. Wiedziała, że w żadnym razie nie powinna milczeć i zignorować tej sprawy, ale przez jej gardło nie przeszło żadne słowo.

– Jeszek, nie, zostaw to! – To była Zosia, która w swojej ślicznej różowej garsonce wyciągała się, by pochwycić spojrzenie Gundi. – Przykro mi, Gundulo, to wszystko głupstwa, nie wiem dlaczego!

Jej brat w trykotowej koszulce Towarzystwa Wioślarskiego z Gdyni, przyciasnej na piersi i w ramionach, odepchnął na bok pary tańczących i wyszedł na środek parkietu.

– Dlaczego Gundi Frieböse nie mówi sama za siebie? – zawołał i zmierzył ją wzrokiem. – Nie odpowiesz mojej siostrze? Myślisz, że Polce nie należy się odpowiedź?

Wielu ludzi próbowało go odepchnąć. Julius wystąpił naprzód i zawołał coś, czego Gundi nie zrozumiała. Zamiast tego zobaczyła człowieka, który wpadł z boku na parkiet. Był to ten pijak z wysypką na twarzy, który napastował kiedyś Zosię. Teraz odepchnął z drogi jakąś kobietę tak mocno, że ta zachwiała się i chwyciła Jeszka za koszulkę.

– Zamknij gębę, ty polski śmieciu. Jeszcze raz powiesz coś do naszej Gundi, a tak dostaniesz, że się już nie podniesiesz.

Lex, owczarek, który spał z tyłu za nimi, przywiązany na smyczy do rury grzewczej, wstał niczym w zwolnionym tempie, jeżąc każdy włos sierści na grzbiecie i wydobywając z gardła ponury, groźny warkot. Erik kazał mu podejść do siebie i się uspokoić. Pies nie był już młody, ale miał zęby, które potrafiły zgniatać kości, oraz dobre wyczucie niebezpieczeństwa.

Powstał tumult. Mężczyźni zerwali się z krzeseł i nie było jasne, kto spieszy komu na pomoc. Jeszek wyprostował się tak, że ten drugi, o którym Gundi pamiętała, że ma na imię Bruno, wyglądał przy nim jak karzeł. Zacisnął pięść i zamachnął się. Biedna Zosia krzyknęła coś po polsku, ale to nie dotarło do jej brata, ponieważ ze wszystkich stron z hałasem rzucili się ku niemu ludzie.

– Co on tu robi? – spytał Julius. Rozejrzał się za Erikiem. – Sądziłem, że naziści przesiadują w Baronskym. Czy nie mówiłeś, że twój ojciec i jego kompani mają swoje stałe miejsce u Pachmüllera?

– Wielkie dzięki – odparł Erik. – Naprawdę zależało mi na tym, żeby dowiedział się o tym cały Sopot.

W gronie tych, którzy wstali i przeciskali się na parkiet, znalazł się również Pop. Przez całe dzieciństwo wydawał się Gundi olbrzymem, który potrafił zburzyć cały świat sprzedawcy towarów kolonialnych i uwolnić ją od niego. Teraz był starym, niezbyt wysokim mężczyzną. Sprawiał wrażenie raczej drobnego czy wręcz wątłego. Mimo to podszedł do tłumu przepychających się mężczyzn. Gundi zobaczyła jeszcze, jak ktoś podnosi krzesło, by spuścić je tam, gdzie jaśniały białe włosy Popa.

Pobiegła.

– Pop, nie! Stój! Posłuchaj mnie!

Jakieś dłonie chwyciły ją za ramiona i barki. Na próżno walczyła, by się uwolnić. Zobaczyła, jak Natan Elkeles wyszedł zza lady, by ruszyć na parkiet.

– Co ci przyjdzie z tego, że będziesz się mieszać? – zawołał do niego jeden z braci czy bratanków.

Natan odwrócił się.

– Mam dość – powiedział i tylko ci, którzy go znali, mogli usłyszeć, jak pod spokojną powierzchnią kipi z wściekłości. – Sprowadzę z Baronsky'ego Forstera i jego kumpli, niech zabierają stąd tych swoich karłów, jeśli nie chcą, żebyśmy zrobili z nich miazgę.

Poszedł, zatraskując za sobą drzwi. Gundi uderzała naokoło łokciami, ale Julius objął ją i zaklinał:

– Już dobrze, kochana, my, mężczyźni, się tym zajmiemy, nie denerwuj się tak.

Gundi chciała wykrzyknąć do niego, że to ona jest winna całej tej bijatyki, ale jak miałyby ją zrozumieć? Udało się jej przynajmniej dostrzec w tłumie Popa, całego, choć niezwykle wzburzonego. Krzesło leżało strzaskane na ziemi, a obok mężczyzna o imieniu Bruno bił się z Jeszkiem Pajewskim, otoczony przez innych, zagrzewających ich okrzykami do walki. Helma, kelnerka, trzymała na biodrze jakiegoś brzdąca w pieluszcze – prawdopodobnie jedno z dzieci Thomschkego – i z płaczem przytulała się do jednego z braci Elkelesa. Zosia także płakała, ale nie pozwoliła Róży pocieszyć się, tylko ofuknęła ją po polsku i odepchnęła. Ślepy Ludwik, który czyścił za ladą szklanki, upuścił jedną, czego Gundi przez te wszystkie lata, gdy przychodziła do Pudła, nigdy jeszcze nie widziała.

Wreszcie drzwi się otworzyły i kipiący z wściekłości Natan wszedł długim krokiem. Za nim podążała mała delegacja mężczyzn, wszyscy w paskudnych brunatnych koszulach, które teraz widywało się wszędzie – dość wysoki blondyn, którego Gundi nie znała, a potem ojciec Erika Mick, Reinhold Ziebuhr i Frieder Holle, sprzedawca lodów z kąpieliska dla rodzin. Czyżby wszyscy oni przystąpili do tej dziwnej nazistowskiej partii? Czy odkąd wygrała ona wybory w Niemczech, stała się niczym katar, którym każdy się zarażał?

We Wrzeszczu pan Martensius z warzywniaka zaczął niedawno nosić w butonierce odznakę z hakenkreuzem, a mąż pani Olschewski podobno także wstąpił do partii. Na tabliczce na drzwiach ich mieszkania widniało teraz *Olscheck*. „Olschewski brzmiało pewnie dla ich nowych kompanów zbyt polsko”, uznał Pop, dziwiąc się tym obrotem spraw. W Gdańsku co trzecie nazwisko brzmiało polsko, ponieważ przez długi czas, gdy miasto raz było częścią tego, a raz tamtego kraju, wszystko zdążyło się ze sobą wymieszać. A jak można zmienić swoje nazwisko, tak jakby nagle przestało się być tym, kim się było?

– Ja jestem Frieböse – powiedział Pop. – Byłem nim w pieluchach i będę nim na cmentarzu. Gdybym nagle stał się Müllerem, na końcu sam bym już siebie nie znał.

Ale on znał samego siebie. Był Popem Frieböse, który z czerwoną z gniewu twarzą przecisnął się do czterech nazistów i zastąpił im drogę.

– Posłuchaj, koleżko – naskoczył na blondyna, który najwyraźniej był ich przywódcą. – Nie interesuje mnie, co wymyślicie sobie w tych swoich głupich łbach, ty i ta twoja partia, nie mam czasu na takie bzdury. Ale tego – wskazał na roztrzaskane krzesło i walczących – tego tu nie

chcemy. To nie przystoi nam, gdańszczanom. Odkąd się tu kręcicie, wciąż zdarzają się jakieś bijatyki, i nie sprowadzicie nam teraz tego do Sopotu, rozumiano? Jeśli nie potrafisz kogoś znieść, daj mu spokój i zabierz się gdzie indziej.

Twarz Natana Elkelesa, który wyglądał, jakby zaraz miał kogoś uduścić, nieco złagodniała. Skubnął ołówek za uchem i poklepał Popa po ramieniu.

– Już w porządku, kapitanie. Ich przywódca obiecał mi, że zabierze swoich podwładnych i zadba o to, by nigdy już się tu nie zjawili.

– Pod warunkiem, że w ogóle chodzi o naszych ludzi. – Blondyn poprawił pas od munduru. – Zakłamana prasa tak twierdzi, ale w rzeczywistości te bijatyki wszczynają czerwoni, nie my.

– Wszystko jedno – wtrącił Elkeles i włożył ołówek za ucho. – Po prostu się wynieście i nie psujcie mi dłużej apetytu.

Mężczyźni zdołali tymczasem rozdzielić walczących. Jeszek Pajewski pozbił się i splunął na podłogę. Mężczyzna imieniem Bruno, który krwawił z rany na czole, musiał wstać przy pomocy Hollego i Micka Tetzlaffa.

– Ta polska świnia naprzykrzała się naszej Gundi! – oburzał się. – Wiadomo przecież, jak te lubieżne brudasy lepią się do naszych czystych blond dziewcząt.

– Bzdura! – zawołała Gundi. – Nikt mi nie zrobił przykrości, tylko ta głupia bójka.

Natan odwrócił się do niej.

– Zostawcie to, nie zwracajcie już na nich uwagi. Zagrajcie *Świt na morzu*.

– Ha! Przecież mówiłem – triumfował blondyn. – Bruno Fricke w żadnym razie nie należy do Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników. Takie asocjalne elementy trzymają się czerwonych, ale nie nas. Już lata temu wykluczyliśmy Frickego.

Natan westchnął i chwycił się za brzuch.

– Na miłość boską, zagrajcie wreszcie.

Całe to zajście najwyraźniej odbiło mu się na żołądku. Mała Helma, nadal z dzieckiem Thomschkego na biodrze, przycisnęła się do niego

i objęła go od tyłu ramieniem.

– Napij się śliwowicy, Natek. Nie przejmuj się tak tymi krzykaczami, oni zaraz sobie pójdą.

Gundi dała sygnał pozostałym i w mgnieniu oka ustawili instrumenty. Erik i Lore wykonali przygrywkę za szybko, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Gundi zaczęła śpiewać, a muzyka wyciszyła emocje. Natan i Helma wraz z dzieckiem, objęci jak zakochani, udali się z powrotem za ladę. Zosia strzepywała bratu pył z ubrania. Pop przyprowadził na parkiet ciotkę Karl, pozostali goście również zaczęli tańczyć, Bruno Fricke zaś został wyprowadzony z lokalu przez kompanów, do których dołączyli naziści z Baronsky'ego. Tylko jeden z nich został. To jednak Gundi zobaczyła dopiero wtedy, gdy przebrzmiał ostatni ton *Świtu nad morzem*.

– Co to była za piosenka? Zagrajcie jeszcze raz! Muszę ją znowu usłyszeć.

Nie było w tym nic nowego, że *Świt na morzu* wywołuje taką reakcję. Nowy był jednak ton, którym wyrażono życzenie.

– *Muszę* – powtórzył blond nazista i brzmiał przy tym, jakby umierał z głodu. Pozwolił swoim ludziom odejść, odwrócił się i stanął przed Gundi. – Zaśpiewaj jeszcze raz.

– Hej, mówiłem, że macie stąd zniknąć! – zawołał Natan zza lady. – Wszyscy. Pan też. Nie będzie pan rozkazywać naszym muzykom, a jeśli zaraz pan nie pójdzie, wezwę policję.

– Na pani miejscu zastanowiłbym się, czy warto występować w takim lokalu – powiedział blondyn do Gundi. – Nikomu nie zrobiłem nic złego, zadbałem nawet o to, by pozbyć się tego asocjalnego typu, choć ta sprawa zupełnie mnie nie obchodzi. Nie wiem, dlaczego barman zachowuje się wobec mnie tak obelżywie, ale nie wdaję się w kłótnie z tego rodzaju ludźmi.

Patrzył prosto na nią, a Gundi nie potrafiła się odwrócić. Jego oczy były jasne i niespokojne, w prawym drgał jakiś nerw.

– Szkoda pani do tego lokalu. – Z kieszeni na piersi paskudnej koszuli wyjął jakąś karteczkę i podał jej. – Jestem Albert Forster, gauleiter Gdańska. Proszę się nad tym zastanowić. Mógłbym pani pomóc.

Gundi nie miała pojęcia, kim jest gauleiter, i nie chciała tego wiedzieć. Bez zastanowienia wzięła jednak karteczkę.

– Zatrzymałem się na kilka dni w hotelu w Sopocie, by wysondować teren. Byłoby mi miło, gdyby się pani do mnie odezwała. Proszę zacząć, zapiszę pani adres. – Wyjął jej karteczkę z palców, szybko zanotował coś na odwrocie i z powrotem ją oddał. Potem niepotrzebnie mocno uściskał dłoń Gundi. – To był dla mnie zaszczyt. Do zobaczenia. – Odwrócił się dziwnym marszowym krokiem i opuścił lokal.

Gundi stała zmieszana, a wokół niej ponownie rozległa się radosna wrzawa sobotniego majowego wieczora.

– Co z tobą, kochana? – Julius objął ją ramieniem. – Rzadko wyglądasz tak, jakby cię piorun strzelił.

Zamiast odpowiedzieć Gundi podała mu karteczkę. Miał rację. Sama nie знаła siebie takiej, ale nie chciała wyjawić mu powodów. Spotkanie z Forsterem było zaledwie ostatnim z całego łańcucha zdarzeń, wobec których czuła się bezradna.

– Daj i mnie zobaczyć. Czego chciał od ciebie ten typ? – Erik nadzedeł z tacą pełną kieliszków szampana i piwem dla siebie. Wziął od Juliusa karteczkę. – Niepojęte – prychnął. – Ten gnom zakwaterował się w Kasyno-Hotelu. A moja matka od lat słyszy od ojca, że nie ma pieniędzy dla Gretchen i Maksa, bo jego ruch mu nie płaci, tylko każdego feniga przeznaczają na walkę.

– Czy moglibyśmy już o nich zapomnieć? – spytała Lore. – Mam przez nich gęsią skórę, a cała ta awantura zepsuła mi wieczór.

– Dobry pomysł. – Julius wziął jeden z kieliszków, a drugi podał Gundi. – Wyglądasz, jakbyś pilnie musiała się napić, kochana. Za nas. Za Pierogi i wszystkie cudowne rzeczy, które przyniesie nam to lato.

Trącili się kieliszkami. Gundi wypięła, ale musujące wino zamiast jak zwykle ją ożywić, wywołało u niej mdłości.

– Tak mi przykro – wyszeptał nieśmiały głos za jej plecami. Stała tam Zosia, trzymając w dłoniach swój zachwycający kapelusik. – To nasza wina, że wasz wieczór jest zepsuty. Nie wiem, czemu moja siostra musi zachowywać się tak brzydko. Zawsze byłaś dla nas miła, pani Karl zawsze była dla nas miła. – Jej czarne oczy zamigotały. – Nakrzyczałam na Różę, że powinna się wstydzić! A Jeszek razem z nią.

– Nie, Zosiu! – zawołała przerażona Gundi. – Nie. Twoja siostra... twoja siostra ma rację. Musimy o tym spokojnie porozmawiać...

– Wcale nie ma racji! – krzyknęła Zosia. – To głupia geś. A przynajmniej tak się zachowuje. Jest bardzo smutna ta moja Róża, chciałyby mieć dziecko i nie ma. Ale czy to twoja wina? Czy daje jej to prawo, by wyżywać się na innych?

– Nie, nie daje, ale... – Gundi znowu zrobiło się niedobrze.

– A do tego Jeszek – ciągnęła Zosia, a w jej oczach wciąż błyskał gniew. – Jest jeszcze głupszy. Najpierw wyleciał ze szkoły technicznej, bo wciąż wszczywał bójki, a teraz, gdy wreszcie znalazł dobrą posadę w Poczcie Polskiej, znowu zaczyna. Mój biedny ojciec nie wie już, co robić. Kiedyś powiedziałam do Jeszka: chyba nie jesteś człowiekiem, tylko masztem flagowym. Inaczej wiedziałbyś, że masz głowę do myślenia, a nie po to, by wywieszać na niej polską flagę.

Im bardziej się gorączkowała, tym bardziej łamanym niemieckim mówiła. Gundi roześmiała się, choć nie czuła się dobrze.

– Ach, Zosiu. Tęskniłam za tobą. Dobrze ci się wiedzie?

Zosia wzruszyła ramionami.

– Trochę nudno jest mieszkać z Henrykiem i Różą, i ciotką Ireną, która meczy jak koza. I przez cały dzień sprzedawać gumę do majtek. U ciotki Karl, gdzie nauczyciel Scholl zostawił swoje majtki w łóżku, było weselej.

Obie wybuchły śmiechem.

– I z tobą, Gundulo. – Zosia ujęła dłoń Gundi i wsunęła w nią brzeg kapelusza w delikatnym odcieniu różu. – Z tobą zawsze było wesoło.

– Z tobą też, Zosiu.

– To dla ciebie. Słyszysz? Prezent. Tak samo jak piosenka. Nie pozwolę traktować się jak głupią młodszą siostrę, sama decyduję, co komu dam.

– Nie mogę tego przyjąć.

– Ależ tak. Musisz. Nie uważasz, że to słuszne, gdy podarowuje się każdemu to, czego ten potrzebuje? Ja nie potrzebowałam tej piosenki, a ty tak, więc o co chodzi?

Patrząc z tej strony, miała rację. Ze swoją małą cytrą gitarową i cienkim głosikiem Zosia nie zdołałaby sama wystąpić z piosenką. Poza tym jako Polce byłoby jej jeszcze trudniej przebić się niż Pierogom. Powin-

nam dać jej pieniądze, przeszło Gundi przez głowę. Sama jednak nie miała ich wiele. Dzięki występom nie dorobili się przecież bogactwa. Nie żyło się im źle, Julius i Lore pomagali swoim matkom opłacać czynsz, a Erik mógł dawać co nieco na swoje młodsze rodzeństwo, ale nie było ich stać na wielkie gesty. Od spełnienia marzenia Gundi, by posłać Popa i ciotkę Karl w podróż, dzieliła ich jeszcze daleka droga.

– Kapelusz jest uroczy – powiedziała wreszcie. – Pozwól mi przynajmniej za niego zapłacić.

– Nie ma mowy. – Zosia roześmiała się, ukazując perłowe ząbki, i odsunęła się. – Prezent to prezent, jego odebranie to kradzież, a zapłata to obraza! Miło się z tobą rozmawiało, Gundulo. A teraz pozwolę ci wrócić do przyjaciół.

Była najwyższa pora, bo Julius zaczynał się niecierpliwić.

– Chciałbym dziś wieczorem przynajmniej raz z tobą zatańczyć. Nawet jeśli wszystko wydaje się trząść w posiadach, to przecież przygrywka do naszego sezonu w Sopocie, prawda?

Gundi założyła różowy kapelusik Zosi i pozwoliła poprowadzić się na parkiet. Julius poprosił Helmę, by nastawiła *Wait 'Till Tomorrow Night* Dajosa Béli, bo oboje z Gundi lubili tańczyć shimmy. Utwór ten był już nieco przestarzały, ale wciąż piękny, a rosyjski zespół grał tak zmysłowo i kusząco, że można było poczuć się jak w sali balowej, na pokładzie wielkiego statku lub na plaży pod rozgwieżdżonym południowym niebem. Nikt nie tańczył równie dobrze jak Julius. Gundi nie potrafiła zliczyć, od ilu już lat tańczą ze sobą.

– To byłoby pięknie, prawda? – spytał Julius. – Zagrać kiedyś z tak dużą orkiestrą. Wyobraź sobie nasz *Świt na morzu* w berlińskim varieté Wintergarten, przy akompaniamencie Dajosa Béli. Ale on nie przebywa już w Berlinie.

– A gdzie?

– Nie jestem pewien. Podobno wyjechał do Paryża.

Zwykle Gundi nastawiała uszu, gdy tylko padły słowa takie jak Paryż czy Wenecja, wszystkie te budzące tęsknotę nazwy, ale dziś nie potrafiła skupić się na rozmowie. Na tańcu jeszcze mniej. Zamiast tego krążyło jej po głowie spotkanie z Zosią.

Nie tylko z powodu piosenki. Jeżeli o nią chodzi, niebezpieczeństwo chwilowo minęło, a stanowisko Zosi miało swoje uzasadnienie.

– Nie zdziwiłoby mnie, gdyby ten Forster niedługo zaprosił cię do Kasino-Hotelu – zmienił temat Julius.

– Tak uważasz? – Gundi wciąż nie słuchała.

– Jasne. Od razu tak pomyślałem, gdy dał ci swoją wizytówkę. Podobasz mu się. Chce ci zaimponować, a najłatwiej osiągnie to dzięki temu hotelowi, o którym marzysz od lat.

– E tam.

– Wiesz, że nigdy nie przestałem tego pragnąć? – spytał Julius. – Nie ze względu na mnie, tylko dlatego, że bardzo chciałbym spełnić twoje marzenie. Wszystkie twoje marzenia. Ale nigdy mi się to nie udało.

– Nonsens, Ju-Ju.

– Nie zrobiłabyś tego, prawda? Nie poszłabyś spotkać się z tym Forsterem, bo on może zaoferować ci Kasino-Hotel, a ja nie?

– Przestań już o nim gadać – przerwała mu Gundi, która ledwo mogła oddychać i miała tego wszystkiego dość. – Prowadzi przecież swoją kampanię, na pewno w ogóle o mnie nie myśli. A jeśli nawet, to co mielibyśmy robić w Kasino-Hotelu? Jest nam przecież dobrze tak, jak jest.

Julius wydawał się usatysfakcjonowany, ale mdłe uczucie powędrowało z żołądka Gundi aż do gardła. Jest nam dobrze, pomyślała ponownie. Gdyby tylko wszystko mogło zostać tak, jak jest, byłoby naprawdę dobrze.

Jej obawy i mdłości nie wynikały wyłącznie z niepokoju związanego z piosenką. Coś innego dręczyło Gundi przez cały wieczór i Julius w żadnym wypadku nie mógł się o tym dowiedzieć. O ile nie miała ogromnego szczęścia, nic nie zostanie takie, jakie było. Od tygodnia spóźniał się jej okres.

Spodziewała się dziecka.

24

Lipiec

Zaproszenie do Kasino-Hotelu przyszło sześć tygodni później. Nie do Gundi, jak obawiał się Julius, tylko do „Zespołu tanecznego Pierogi, c/o bar Błękitny Pudel, Seestraße, nadbałtyckie uzdrowisko Zoppot”.

Natan Elkeles przekazał Juliusowi kopertę z eleganckim nagłówkiem, gdy ten pewnego pięknego ranka zjawił się w lokalu z dekoracjami do ich wieczornego występu. Temat wieczoru: „Morza Południowe”. Mieli zagrać tango *Gdy będziesz kiedyś na Hawajach*, a Julius zdobył sztuczne palmy i girlandy kwiatów, by stylowo ubarwić dość ponure wnętrze Pudła.

Usiadł przy barze, by omówić ostatnie szczegóły i wypić Bronx Cocktail Elkelesa na kruszonym lodzie, jak stało się już ich tradycją. Elkeles robił najlepsze koktajle w Pomerelii, a móc pozwolić sobie na taki napitek, a nawet postawić go niczym jeden światowiec drugiemu, nadal znaczyło dla Juliusa więcej, niż chciał przed sobą przyznać. Dziś jednak Elkeles nie dołączył do niego, tylko został za barem, gdzie zręczne palce Ludwika wyczuwały kieliszki i pewnie wsuwały je w podwieszany uchwyt ponad jego głowę. Nigdy nie zdarzyło mu się zbić nawet jednego. Prawie nigdy.

Elkeles zamachał kopertą, którą trzymał w czubkach palców, i rzucił ją Juliusowi na kolana, jakby brzydził się jej dotykać. Ze swoimi mefistofelowymi rysami i ostrymi bokobrodami był prawdziwym sopockim oryginałem. Każdy coś w nim cenił, każdy szukał jego towarzystwa, nawet ci, których już kiedyś dosięgnął cięty sarkazm Elkelesa. Odkąd jednak pod koniec maja wybory wygrali naziści, zaczął przesadzać, jak uznał Julius. Nie był już w charyzmatyczny sposób bezczelny, tylko otwarcie agresywny.

Julius chwycił kopertę.

– Co masz przeciwko Kasino-Hotelowi?

Elkeles wyduł usta, jakby miał zagwizdać.

– Jeśli naprawdę chcecie tam grać, macie moje błogosławieństwo. Podróżnych się nie zatrzymuje. Dopilnujcie tylko, żeby nie zostawić tu żadnych waszych rzeczy, bo do tego lokalu już nie wrócicie.

Juliusa świerzbili ręce, by otworzyć kopertę, ale nie mógł zostawić tego bez odpowiedzi.

– Co ma znaczyć ten teatr, Natan? Gramy przecież w najróżniejszych lokalach. Jeśli chcecie mieć nas na wyłączność, musicie zapłacić nam większą gażę, a na to nie możecie sobie pozwolić, tak jak my nie możemy utrzymywać się tylko z waszych pieniędzy. Kasino-Hotel nie chce nas zaangażować. Gdyby jednak tak się stało, nie moglibyśmy prze-

cież być tak głupi, żeby odmówić. Poza tym, wybacz szczerą, zachowujesz się niemal tak, jakby Pudel należał do ciebie.

– Wybacz szczerą – przedrzeźniał go Natan uszczypliwie. – Nie powinno cię obchodzić, czy Pudel należy do mnie, czy nie. Ale śmiało możesz podejmować decyzje tak, jakby do mnie należał, nie wyjdiesz na tym źle. Ach, zapomniałem. W Pierogach to przecież nie ty decydujesz. Proszę o wybaczenie. Zwrócę się zatem do wielmożnej panny Frieböse.

– Zostałem niedawno twoim wrogiem czy z jakiegoś innego powodu jesteś wobec mnie taki paskudny? – spytał Julius.

– Jestem paskudny z zasady – odparł Natan. – I mam samych wrogów.

– Jeśli będziesz się przy tym upierał, odsuniesz od siebie przyjaciół.

– Z przyjemnością. – Elkeles odgarnął włosy z czoła i poprawił ołówek za uchem. – Z większością przyjaciół, którzy mi się trafiają, nie mogą się równać nawet najwięksi wrogowie.

Julius powstrzymał westchnienie.

– Kasino-Hotel przysłał nam pewnie co najwyżej jakąś reklamę, ale chciałbym jednak wiedzieć, co cię w tym tak oburza.

– Nic. – Natan chwycił srebrny shaker i zaczął mieszać składniki, gorzki francuski wermut, którego pilnował niczym skarbu, i drobno startą skórę z hiszpańskich pomarańczy. – Kasino-Hotel ma porządną piwniczkę. Gdybym uważał za konieczne zawieranie przyjaźni, byłoby to moje jedyne kryterium.

– A dlaczego nie wolno nam tam grać?

– Jest mi obojętne, gdzie gracie. – Natan po kropelce wlewał do shakera sprowadzony z Anglii gin. – Ale kto spoufala się z tą bandą Forstera, ten albo dobrowolnie będzie trzymać się z dala od mojego lokalu, albo zostanie z niego wyrzucony.

– A co Forster... – Julius zamilkł, a Natan pociągnął w dół dolną powiekę prawego oka. Sam przecież obawiał się, że ten nazista, który nie ukrywał swojego podziwu dla Gundi, wyłoży mocne karty. Tamtego wieczora w maju uspokoił się myślą, że gauleiter nie może podobać się kobietom. Miał w sobie coś z pajaca, nakręcanej lalki dla dzieci, której mechanizm działał na zbyt szybkich obrotach.

Teraz jednak nie był już samochwałą, którego partia posłała na straconą placówkę, by się go pozbyć. Albert Forster poprowadził kampanię wyborczą, wobec której nikt nie mógł pozostać obojętny: na każdym słupie ogłoszeniowym widniały krzykliwe plakaty, na każdej ulicy warczały motocykle obwieszane tablicami. Przemarsze z pochodniami i sztandarami w cienistych uliczkach Gdańska sprawiały wrażenie powrotu do średniowiecza i wszędzie dochodziło do zajść. Bijatyki, rozbijane witryny sklepowe, chóry skandujące w kinach i teatrach. „Powrót do Rzeszy” i „Gdańsk jest niemiecki” brzmiały hasła, których echo pobrzmiwało Juliusowi w uszach.

Czy naziści obiecywali coś jeszcze? Nic konkretnego nie przychodziło mu do głowy, tylko powtarzane w kółko zapewnienia, że ci, którzy sprowadzili na Gdańsk nieszczęścia, zostaną pociągnięci do odpowiedzialności i wtedy niedola się skończy. Na licznych plakatach widnieli karykaturalnie przedstawieni Żydzi z garbatymi nosami i wylupiającymi oczami, liczący pieniądze lub goniący za blond dziewczętami. Na jednym z plakatów Julius zobaczył człowieka, który patrzył przed siebie pustym wzrokiem i któremu ślina ściekała z ust. „Ten dziedzicznie chory kosztuje społeczeństwo sto tysięcy guldenów”, napisano poniżej. „Towarzystwo, chodzi także o twoje pieniądze!”.

Czy można było w ten sposób zyskać głosy wyborców? Oczywiście zawsze istnieli ludzie, którzy przypisywali Żydom winę za wszystkie nieszczęścia, a tego rodzaju haseł nie dało się tak łatwo zbyć, bo gdańszczanom źle się wiodło. Zakłady zwalniały ludzi, stocznie plajtowały, a firmy takie jak Schichau utrzymywały się na powierzchni wyłącznie dzięki dotacjom z Rzeszy. Gdy człowiek, który właśnie wylądował na bruku i nie miał za co nakarmić dzieci, przechodził obok błyszczących, eleganckich wystaw żydowskiego domu towarowego Sternfelda, mógł czuć gniew. Jeśli jakaś rodzina musiała odmówić sobie niedzielnej wycieczki do najtańszego kąpieliska w Sopocie, a przy tym widziała, jak żony żydowskich bankierów wylegają się na leżakach w Kasino-Hotelu, było to niczym wiadro oliwy dolanej do trzaskającego ognia.

Julius rozumiał również, że rzesze żydowskich uchodźców ze Wschodu wzbudzały w ludziach lęk. Gdańsk nie dawał rady wyżywić własnych mieszkańców – skąd miały wziąć się pieniądze na zaopatrzenie tych tysięcy, które ścigały do miasta? Byli obcy, nie mówili po niemiecku, nie mogli tu niczego osiągnąć. Dla wszystkich byłoby lepiej, gdyby wrócili do swoich krajów, w końcu bliższa ciału koszula niż sukmana.

Ale chorzy?

Ludzie tacy jak Gretchen, siostra Erika, w której głowie coś nie działało, która nigdy nie miała nauczyć się poprawnie mówić i nigdy nie będzie w stanie na siebie zarabiać? Nikt przecież nie mógł uważać takiej godnej pożałowania istoty jak Gretchen za odpowiedzialną za to, że innym źle się wiedzie. Gretchen nie robiła nikomu nic złego, a owe kwoty, które rzekomo kosztowała społeczeństwo, pozostawały dla Juliusa zagadką. Dziewczynę utrzymywała matka. Erik dawał jej tyle, ile mógł. Od nikogo innego nie dostała nawet feniga.

Jakkolwiek by jednak było, Forster i jego NSDAP wygrali wybory do Volkstagu. Nie tylko wygrali. Zdobyli absolutną większość, co nie udało się wcześniej żadnej innej partii. Z pięćdziesięcioma jeden procentami mogliby rządzić samodzielnie, ale nawiązali porozumienie z solidną katolicką partią Centrum. To budziło zaufanie. Na prezydenta Senatu wybrali Rauschninga, starszego wiekiem właściciela ziemskiego, który sprawiał wrażenie rozsądnego człowieka, w żadnym razie nie radykała. Sam Forster najwyraźniej awansował nagle na męża stanu. „Gdańsk jest europejską beczką prochu – oznajmił w swoim pierwszym przemówieniu w Pałacu Sportu, transmitowanym przez radio. – Naszym celem jest usunięcie całego tego prochu”.

Nie było już mowy o natychmiastowym wysuwaniu roszczeń wobec Ligi Narodów, co zaalarmowałoby Polaków i naruszyło chwiejną równowagę w stosunkach między oboma państwami. Zamiast tego zapowiedziano wizytę nowego rządu w Warszawie, gdzie zamierzano podpisać porozumienie o prawach gdańskich Polaków i o korzystaniu z portu. O tym wszystkim lud został poinformowany przez Forstera, tak jakby istniała jedność między rządem a partią, której przewodniczył, podobnie jak u Hitlera w Berlinie. Obiecywał poprawę na rynku pracy, szybką pomoc z Rzeszy i życzył gdańszczanom słonecznego lata. Kwiatowe korso w Sopocie miało być jeszcze bardziej spektakularne, a w Parku Zdrojowym miały odbywać się cotygodniowe darmowe koncerty.

Człowiek ten nie był już hanswursten. Okazywał klasę, o którą Julius by go nie podejrzewał, i nie dało się nie zauważyć, że robi to wrażenie na płci pięknej. Dlaczego zatem nie i na Gundi? Nie interesowała się polityką, ale z pewnością zależało jej na wszystkich tych marzeniach, które snuła w swojej głowie. Julius miał wrażenie, że koperta w jego palcach rozgrzewa się niczym brykiet. Postanowił więc otworzyć ją samemu i na podstawie treści zdecydować, czy pokaże ją Gundi, czy nie.

Przypominało to trochę zdradę.

Zwykle tak nie postępował.

Wiedział jednak, że nie zdoła się powstrzymać.

Za jego dziecięcym marzeniem o wielkiej sławie kryło się pragnienie, by udowodnić coś wszystkim – matce, nadętej pychą rodzinie ojca, ludziom takim jak Seesenowie, którzy sami tkwiąc po szyję w długach, nadal uważali się za lepszych od niego, a przede wszystkim Gundi. Ona była jego motylem. Przyleciała do niego na molo pewnego szarego lipcowego ranka, gdy jak to często bywało, nie wiedział, co powinien zrobić ze sobą i swoim życiem. Od tamtego dnia miał cel: chciał coś osiągnąć, żeby jego motyl pozostał przy nim. Świat Juliusa był mroczny i nie chciał już nigdy stracić światła, które rozpałała w nim Gundi.

Odkąd zaczęli zarabiać dzięki muzyce, miał czasami nadzieję, że dopiął swojego celu, a motyl nie lata niespokojnie wokół niego, tylko chce osiąść na stałe. W każdym razie uchodzili w Sopocie za parę. Potem jednak nadchodziły okresy zwątpienia, gdy nie potrafił uwierzyć, że ostatecznie wybrała właśnie jego.

Ostatnie miesiące były dobre, zima tak piękna, że ledwo mógł w to uwierzyć, a początek wiosny jeszcze piękniejszy. Od tamtego wieczora, gdy Forster ze swoimi ludźmi przyszedł do Pudła, Gundi zaczęła jednak unikać Juliusa. Im dłużej utrzymywała się ta sytuacja i im bezskuteczniej walczył o to, by ponownie się do niej zbliżyć, tym większą miał pewność, że zmiana ta musiała wiązać się z Forsterem.

Czy Gundi bez jego wiedzy spotykała się z tym nazistą? Czy składała jej obietnice i teraz – za pośrednictwem koperty – szykował się do ich zrealizowania? Gundi nie była dziewczyną pozbawioną zasad, nie należała do tych chciwych, niestałych istot, które pozwalały się kupić każdemu, kto wyciągnął z kieszeni parę banknotów. Ale w niej samej i w jej miłości do muzyki kryło się coś, co mogło zagłuszyć głos sumienia. Gundi nie czuła się szczęśliwa, jeśli nie miała swojej muzyki, a gdy ją miała, jej szczęście było tak ogromne, że zapominała o wszystkim innym, czego potrzebowali ludzie. Jeśli Forster zaoferował, że pomoże jej dotrzeć z muzyką tam, dokąd zawsze chciała – skąd miała wziąć siłę, by mu odmówić?

Była urocza ta jego Gundi. Kto ją spotkał, musiał ją polubić, a kto ją znał, nie chciał jej porzucić. Ale była także słaba. Rozpieszczona przez swojego dziadka i nienawykła do odmawiania sobie czegokolwiek.

Julius czuł się niemal w obowiązku zataić przed nią list z Kasino-Hotelu, nie ze względu na niego, tylko aby chronić Gundi przed samą sobą.

– Co jest? – spytał Elkeles. – Będzie dzisiaj coś z tych Hawajów, czy wolisz już teraz zwinąć manatki? Nie czuj się zobowiązany. Bądź jednak tak dobry i poinformuj mnie, żebym mógł zdjąć z drzwi zapowiedź.

– Chcę wypić mój *Bronx Cocktail* – odparł Julius. – Wystarczająco długo go wstrząsałeś.

– Tak. Ale nie piję z nazistami.

– Do diabła, Elkeles, nie jestem nazistą, a to twoje dziwactwo zmienia się powoli w manię prześladowczą. Co mieliby tu robić naziści? Choć mają teraz przewagę w Senacie, nie mogą wyprawiać w Gdańsku tego samego co w Berlinie, bo komisarz Ligi Narodów dałby im po łapach.

– Aha. A jeśli na niego gwizdzą?

– W takim razie musieliby zmienić konstytucję Gdańska. Do tego potrzebują dwóch trzecich większości, a nawet gdyby ją mieli – uważasz, że Liga Narodów by na to pozwoliła? Podaj mi teraz mojego drinka i porozmawiajmy o Hawajach. Jeśli cię to uspokoi, na pewno nie będę grać z Pierogami dla Forstera i nawet nie otworzę tego listu, który tak cię irytuje.

– Dobrze. – Elkeles wyciągnął ku niemu dłoń.

– Co to ma znaczyć?

– Nic. – Barman cofnął dłoń i dalej wstrząsał koktajl, który dawno już musiał się zepsuć. – To tylko taki test, dla mojej prywatnej przyjemności. Gdybyś naprawdę nie chciał otworzyć tego listu, mógłbyś mi go oddać.

Julius otworzył list nocą, gdy wrócił po występie do domu. Na ciężkim, kremowym papierze znajdowało się odręcznie wypisane zaproszenie na próbny występ. W Kasino-Hotelu. Tam, gdzie przed sześcioma laty z miejsca wyrzucono go za drzwi. Julius chciał chronić Gundi. Ale sam też nie był odporny na pokusy. Postanowił zbadać tę sprawę. Samemu. Jeśli krył się za tym Forster, zamierzał bez ceregieli wyjść, i nikt na tym nie ucierpi. Jeżeli jednak oferta nie miała nic wspólnego z Forsterem, wtedy mogło to być lato ich życia.

Oczywiście za wszystkim stał Forster. Julius, którego poprowadzono z urzędzonej prosto, ale niezwykle elegancko recepcji do biura jednego

z dyrektorów, potrzebował zaledwie siedmiu minut, by się tego dowiedzieć.

– Spodziewałem się całego zespołu – oznajmił mężczyzna o srebrzystych, kręconych włosach i w garniturze w kratę, który przedstawił się jako „doktor Sirius-Krone, odpowiedzialny za rozrywkę dla gości”. – Występuje pan sam? Jest pan śpiewakiem?

– Trębaczem – odparł Julius i dodał zuchwale: – Liderem bandu. Reprezentuję Pierogi, których może pan nie zna, ale w Sopocie wyrobiliśmy już sobie markę i mamy dobrą opinię.

Reklamuję się nachalnie, pomyślał. Zachwalam nas, robię z siebie żebraka i nie wiem nawet, kto to wszystko zorganizował.

– Słyszałem co nieco – powiedział Sirius-Krone. – Pierogi, mały zespół, muzyka trochę do tańca, ale przede wszystkim muzyka dla duszy. Zgadza się?

Julius nie wiedział, dlaczego czuje się potraktowany z góry, i w końcu przytaknął.

– Jasne. Przywykliśmy zabawiać mieszaną publiczność i nie uciekamy przed niczym. Tańce standardowe, muzyka salonowa, co pan chce. Jeśli jednak pyta pan o naszą muzyczną ojczyznę, jest to taneczny jazz. Szczególny sposób grania, można go nazwać bałtyckim swingiem. Tej melancholii, którą wlewamy nawet w najskoczniejsze rytmy, nie zdoła wyrazić ktoś, kto się tu nie urodził, kto nigdy nie widział, jak w posępnej porannej ciszy unosi się nad wodą mgła, kto nie zna stad szarych gęsi, które przeciągają po ołowianym niebie w drodze donikąd.

– Bardzo ciekawe. – Siurius-Krone odchrząknął. – Przejdźmy jednak do rzeczy – mielibyśmy prośbę. Jeden z naszych gości wyraźnie zażyzył sobie, by zaangażować państwa na przyjęcie, które odbędzie się w hotelu pod koniec miesiąca. Będę szczery, nie chodzi tu o błahostkę. Zależy od tego dobre imię naszej instytucji. Pan, który prosił, by państwa zatrudnić, jest pod wrażeniem państwa zespołu, zatem nie tu leży problem. Mnie jednak zależy na tym, by upewnić się, że ludzie, którzy przybędą tu na zaproszenie naszego gościa, będą równie zadowoleni. Dlatego chciałbym wcześniej wysłuchać, co mają państwo do zaoferowania, jeśli byłoby to możliwe.

Wspomnianym gościem był Forster. Oczywiście Forster i to była chwila, w której Julius, tak jak zaplanował, powinien wstać i wyjść.

Zaplanował to jednak, zanim wszedł do holu Kasino-Hotelu, utrzymanego w bieli i złocie bez dodatkowych ozdób, zanim przy dyskretnych dźwiękach fortepianu poprowadzono go obok donic z palmami i pod kryształowymi żyrandolami do tego pomieszczenia, w którym unosił się zapach wytwornego gabinetu, takiego, jaki wyobrażał sobie od dziecka Julius. Gabinet jego ojca. Droga skóra, drogie whisky, drogie mydło po goleniu i cień zapachu stajni z drogimi końmi. Dopóki nie wszedł do biura z dębowymi meblami, przy każdym kroku myślał: gdyby Gundi to widziała, mój Boże, gdyby Gundi to widziała.

Było ich marzeniem, by zaprezentować tu swoją muzykę. Nie mógł pozbawić tego Gundi, nie zapytawszy przynajmniej:

- Chodzi o pana Forstera, prawda?
- Owszem, o gauleitera NSDAP w Gdańsku.
- I to on prosił o moją narzeczoną? Gundulę Frieböse?

Krone-Sirius zerknął do notatek.

– Przykro mi. Pan Forster pytał o zespół o nazwie Pierogi. I o piosenkę, której nie znam. Wybacz pan, moje zainteresowanie muzyką ma charakter wyłącznie zawodowy. Piosenka nosi tytuł *Świt na morzu*. O nią przede wszystkim mu chodziło.

Nie o Gundi. Tylko o muzykę, która przecież nie należała do żadnej partii.

- A ci panowie, którzy mają zjawić się na przyjęciu?
- Mam nadzieję, że wyraziłem się zrozumiale – odparł Sirius-Krone.
- Nie chodzi o jakichś zwykłych gości.
- Tylko o kogo?
- O Hermanna Göringa – powiedział Sirius-Krone, ale Juliusowi nazwisko to nic nie mówiło. – Oraz doktora Goebbelsa i Adolfa Hitlera.

25

Sierpień

Świt na morzu.

Boże, przeklnij mnie – nasz świt na morzu.

Otuleni w ciszę jak w twój stary płaszcz,

Stopy ciężkie od wodorostów, staliśmy w spienionej wodzie.

Stoję wciąż i czekam,
Choć cisza nie ma już echa.

Czasami, gdy śpiewała te słowa, Gundi zachodziła w głowę, skąd się wzięły. Kilka pokaleczonych strzępków zebrała od Zosi, tyle pamiętała. Ale w jaki sposób stały się one tym tekstem, o którym wiedziała, że coś znaczy, tego nie mogła pojąć. Teraz, tego wieczora, który powinien być najpiękniejszy w jej życiu, owe znane, lecz obce słowa po raz pierwszy wzbudzały w niej lęk.

Znalazła się w Kasino-Hotelu, ona, wnuczka Popa Frieböse z gdańskiego Langfuhr, naprawdę była tu i śpiewała swoją piosenkę przed gośćmi najbardziej luksusowego hotelu nad Bałtykiem. Co prawda, nie w wielkiej sali z wysokimi do sufitu oknami wychodzącymi na morze, ale w barze, w okrągłym pomieszczeniu wykończonym ciemnym drewnem i czerwonym jak wino aksamitem, intymniejszym i bardziej zmysłowym. Synowie rosyjskich księżąt i córki angielskich diuków zakochiwali się tu w sobie, podczas gdy zrujnowani gdańscy magnaci cukrowi oddawali resztki swojego majątku żydowskiemu bankierom. A to wszystko przy szampanie, przy dźwiękach muzyki i z uśmiechem za lekko podwiniętym wąsem. I oto stała tutaj wraz ze swoimi przyjaciółmi, grała na harmonii i śpiewała *Świt na morzu*.

Gdy skończyli, zamiast wrzawy, do której przywykli w Pudlu i Maskocie, rozległ się elegancki, przytłumiony aplauz. Gundi nie była już jednak amatorką, tylko scenicznym zwierzęciem, wystarczały jej oddechy słuchaczy, by wiedzieć, jakie wywarła wrażenie. A wrażenie było piorunujące. Powinien to być najpiękniejszy dzień w jej życiu.

Nie był jednak taki, ponieważ cały ten czar, ten sen, z którego nie musiała się budzić, przeminął, zanim zdążył się ziścić. Ciągący ból w jej brzuchu, tuż nad łonem przypominał Gundi o tym, że zniszczyła wszystko. Była w ciąży. Do macierzyństwa miała równie mało talentu jak jej własna matka, dzika Asta, i jak matka Asty, żona Popa, która zniknęła gdzieś wieki temu. Coś takiego ciążyło na rodzinie, a co mądrzejszy człowiek w porę od tego uciekał. Gundi jednak nie była mądra. Była głupia jak gęś, stała w Kasino-Hotelu wśród oklasków i miała w brzuchu dziecko.

Ledwo zwracała uwagę na gratulacje, ludzi, którzy ściskali jej dłonie, bukiet róż i lewkonii, który włożono jej do ręki. Od napoju, który Julius dosłownie wlał jej do ust z kieliszka w kształcie tulipana, zrobiło się jej niedobrze.

– Szampan, kochana – szepnął jej do ucha. – Nasz pierwszy szampan.
– Gundi czuła mdłości. – Podekscytowana?

Nie była nawet w stanie potaknąć.

Czas zleciał szybko. Więcej gratulacji, więcej rozmów, jeszcze więcej szampana oraz kelnerzy, którzy na srebrnych tacach przynosili małe kanapki jak dla lalek. Towarzystwo, które o błękitnej godzinie zgromadziło się przy barze, wreszcie sobie poszło. Ponownie zaproszono Pierogi, by zespół został na kolacji.

– Będzie coś lepszego niż pierogi, ha, ha. Proszę powiedzieć, czy te bryłowane kluchy naprawdę podaje się tutaj do jedzenia, czy służy to tylko lokalnemu kolorytowi?

Gundi stała i nie potrafiła podjąć decyzji, choć wszyscy na nią naciskali.

– Dlaczego nie mielibyśmy poświętować? – spytał Julius. – Dobrze nam poszło, prawda? Cokolwiek się teraz stanie, mamy prawo nacieszyć się wieczorem.

– Chyba lepiej będzie, jeśli Gundi się położy – wtrącił się Erik.

– Dlaczego? Akurat dziś?

– Popatrz tylko na nią. Ciemne piwo ze śliną lepiej wygląda.

– Źle się czujesz, Gundi? – Przestraszony Julius objął ją ramieniem. – To ten szampan? Nie jesteś do niego przyzwyczajona, może wypiałś za szybko.

– Prawie nic nie wypiałam – odparła Gundi, wokół której wszystko wirowało.

Nim ktoś zdążył jeszcze coś powiedzieć, jeden z hotelowych boyów w liberii, których personel i goście posyłali wciąż to tu, to tam z jakimiś liścikami, podszedł do nich i ukłonił się.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Pan gauleiter Forster chętnie odbyłby z państwem krótką rozmowę, jeśli się państwo zgodzą. Zaprasza na aperitif do małej czytelnicy.

W małej czytelnicy regały z książkami sięgały aż pod wysoki sufit. Jej okna wychodziły na ulicę, a po gorącym dniu padał teraz na szyby delikatnie szemrzący deszczyk. Pośrodku stało wiele stolików z rozłożonymi foliami, zapraszającymi do kartkowania, a rozstawione plansze zachę-

cały do gry w młynka, szachy i warcaby. Na wózkach przyszykowano najróżniejsze butelki, karafki i kieliszki, a w ozdobnym kredensie ustawiono rzędy skrzyneczek ze szlachetnymi wyrobami tytoniowymi. Gundi z miejsca zakochała się w tym pomieszczeniu z tapetami w ciemnozielone wzory i aksamitnymi zasłonami. Było śmiesznie staromodne i cudownie przytulne.

Spodobałoby się Popowi. Gundi wyobrażała już sobie, jak z butelką tabaki od Gustava Kapahnke z przyjemnością zasiada w jednym z foteli i wśród etykiet spirytualiów szuka machandlu. Nagle zatęskniła za nim z bolesną intensywnością. Wcześniej chciała być dorosła, sprawdzić się, dać mu salon taki jak ten. Teraz jednak pragnęła uciec w jego ramiona jak dziecko i powiedzieć: Ach, Pop. Narobiłam w swoim życiu straszego bigosu.

Albert Forster kazał zestawić we wnęce dwa stoliki. Podobnie jak naziści przybyli z Berlina nie nosił tego paskudnego munduru, tylko ciemny garnitur, w którym wyglądał bardziej cywilizowanie. Rytuał, który odprawili zgromadzeni na podjeździe – stanie w szpalerze, gwałtowne unoszenie ramion i okrzyki, gdy tylko ktoś wysiadł z auta – miał w sobie coś niepokojącego, archaicznego, ale tutaj, z koniakówką w dłoni, Forster wyglądał zupełnie normalnie, jak nowoczesny mężczyzna.

– Proszę usiąść – zaprosił czworokę z Pierogów i spytał, czego każdy się napije. Gdy podano już napoje i rozdano papierosy, odesłał swojego służącego. – Bardzo dziękuję, Pfitzner. Teraz już sami sobie poradzimy.

Służący – malutki, jakby krzywo zrosnięty człowieczek, który najwyraźniej nie pracował w hotelu, tylko był osobistym pomocnikiem Forstera – bynajmniej nie opuścił pomieszczenia, tylko usiadł kilka stolików dalej i utworzył jakiś foliał, nie patrząc na niego.

Forster zmierzył go spojrzeniem, ale nic nie powiedział, tylko zwrócił się do muzyków.

– Muszę państwu podziękować – powiedział. – Przeszli państwo samych siebie. Nasi goście z Berlina, których wrażenia stąd mają doniosłe znaczenie dla przyszłości Gdańska, byli pełni pochwał. Swoją drogą, czy mogę spytać, czy wszyscy czworo jesteście państwo rodowitymi gdańszczanami?

– Dziewczęta są z Wrzeszcza i Nowego Portu – odparł Julius. – Pan Tetzlaff i ja pochodzimy z Sopotu.

– O ile mi wiadomo, nie robi to różnicy.

Julius uśmiechnął się.

– Tylko niewielką. My, sopocianie, szcycimy się, że jesteśmy jeszcze bardziej gdańscy od gdańszczan.

Forster odpowiedział zadowolonym uśmiechem.

– A zatem państwa pochodzenie jest czyste jak łza, czy tak? Kolejny dowód na to, że niemieckości nie da się wykorzenić haniebnymi porozumieniami. Trudno znaleźć miasto, którego serce byłoby bardziej niemieckie od Gdańska.

Nikt nie wiedział, co na to odpowiedzieć, a Forster nie wydawał się tego oczekiwać.

– Umieć to docenić – ciągnął. – Muzykę, która niezależnie od tego, w którą stronę popychają ją wynaturzone mody, nie zaprzecza swoim niemieckim korzeniom. Archaicznym. Pełnym siły. Również strasznym, o tak, ponieważ w niemieckiej duszy przy całej jej świetlistości głęboko zakorzeniona jest także święta groza zmierzchu bogów. Czegoś takiego nam potrzeba. I to znacznie więcej.

– Nie wiem, o czym pan mówi – powiedziała Gundi, dla której cały ten wywód stopniowo stawał się zbyt pokrętny. – Gramy muzykę, żeby rozweselić nieco ludzi, którzy wieczorem wracają śmiertelnie zmęczeni z pracy. Nad czymś takim jak groza, niemieckość i zmierzch nigdy się jeszcze nie zastanawiałam.

Poczuła w żebrach łokieć Juliusa. Wyglądało na to, że znowu popełniła gafę, ale brakowało jej sił, by ją naprawić.

Forster roześmiał się, obnażając górne zęby. Gundi uznała, że wyglądem przypomina gryzonia.

– Proszę się nie martwić, droga panno Frieböse, nie powinna się pani nad tym zastanawiać. Po prostu proszę dalej grać swoją budującą muzykę, a całą resztą zajmijmy się my, politycy. A nam również chodzi o to, o czym pani mówiła: chcemy dać radość ludziom, którzy każdego dnia ciężko pracują dla swojej ojczyzny. Kto czuje radość, ten odzyskuje siłę do pracy, rozumieją państwo?

– Oczywiście – powiedział Julius.

– A jak jest z panem? Czy pan również się ze mną zgadza? – Forster zwrócił się do Erika, który siedział obok Lore zatopiony w myślach, a do

jego stóp tulił się Lex. – Swoją drogą, ma pan wspaniałego owczarka.

– Wiem – stwierdził Erik, nie odpowiadając na pytanie.

– Był już używany do celów hodowlanych?

– Nie ma papierów – odparł Erik. – Wyłowiłem go z Bałtyku po tym, jak ktoś go wyrzucił. Kto wie, czy jego pochodzenie jest czyste jak łąza.

Forster odsłonił zęby, ale tym razem nie roześmiał się. Jego służący uniósł wzrok znad grubej książki, której tak naprawdę nie oglądał, i sięgnął po pióro, najwyraźniej by zrobić notatki.

– Wróćmy do tematu – powiedział Forster. – Państwa i tej państwa piosenki szkoda na lokale dla półświatka, w których panoszą się Żydzi i dekadencyjnie szkodnicy. Powinni państwa poznać ludzi, o których pani mówiła, zwykli ludzie, którzy zasłużyli na radość. Nie tylko tu, ale także w Rzeszy. Mogę państwu w tym pomóc. Pozwolą państwo, że opowiem nieco więcej?

Wyczarował skądś aktówkę, wyjął z niej jakieś papiery i rozłożył na stole. Spojrzenie Gundi powędrowało po kolorowych fotografiach wydrukowanych na błyszczącym papierze. Grupa roześmianych blond dziewcząt w kostiumach kąpielowych na czymś w rodzaju wozu drabiniastego. Starsza para wychodzi z teatru, trzymając się pod ramię. Mężczyźni, kobiety i dzieci w lekkich letnich strojach stojący przy relingu statku.

Pomimo odczuwanych mdłości Gundi spodobał się ten statek. Statki od zawsze się jej podobały.

Zamiast o statku i ludziach na zdjęciach Forster mówił o związkach zawodowych:

– Z tymi i tutaj mamy mnóstwo kłopotów. Raz strajkuje ten, raz inny, potem znowu się kłóca, a niczego nie zyskuje prosty towarzysz, który chce tylko zadbać o swój codzienny byt. Słyszę o sporze robotników z przedsiębiorcami, a w interesie robotników leży przecież, by wszystkie strony sporu dążyły do jednego, jedyne go celu.

Pop także należał do związku. O partiach nie miał najlepszego zdania, ale jego związek zawodowy był dla niego jak wielka rodzina, w której nie każdego się lubi, ale nikt nikogo nie zostawia w potrzebie.

– W Rzeszy wyciągnięto już z tego wnioski – ciągnął Forster. – Führer skończył z wszystkimi tymi podzielonymi związkami i ciągłym

wszczynaniem przez nie awantur. Zamiast tego niemiecki robotnik ma teraz przedstawicielstwo, które angażuje się w tych sprawach, które naprawdę leżą mu sercu. Deutsche Arbeitsfront, Niemiecki Front Pracy. I owszem, w działalności tej narodowosocjalistycznej organizacji chodzi również o sprawy, o których mówiliśmy. O czas wolny. O siłę przez radość. W końcu człowiek, który przez całe życie pracował, powinien wiedzieć, że dzięki zarobionym pieniądзом może sobie na coś pozwolić.

To był pierwszy raz, gdy w labiryncie myśli Forstera Gundi odnalazła jedną z własnych. Tego właśnie życzyła Popowi i ciotce Karl: trochę radości w zamian za całą ich pracę, kilku lepszych dni, jakiejś przyjemności. Szybko zapomniała o mdłościach i ponownie przyjrzała się zdjęciom. Forster, który wydawał się śledzić jej myśli, wskazał palcem na jedno z nich, na którym mężczyzna w koszuli z krótkimi rękawami siedział przy stoliku pod palmą. Przed nim ciągnęła się połyskująca w słońcu morska tafla, usiana białymi żaglami, a na niebie nie było ani jednej chmury. Chcecie się pocić, jedźcie na Fidzi, przemknęło Gundi przez głowę. Mężczyzna uśmiechał się szeroko, policzki miał ogorzałe od słońca i unosił kieliszek likieru. Był w wieku Popa.

– Dlaczego tylko bogaci mają wozic się samochodami? – zastanawiał się na głos Forster. – A teatr? Czy jest tylko dla bonzów? Czy właśnie bonzowie potrzebują wypoczynku?

Czekał, aż Gundi ponownie na niego spojrzy. W milczeniu pokręciła głową.

– Kraft durch Freude, Siła przez Radość – ciągnął Forster. – Tak ma nazywać się organizacja, którą chcemy powołać do życia w ramach Niemieckiego Frontu Pracy i która będzie odpowiadać wyłącznie za uprzyjemnianie życia niemieckim robotnikom. Wszystkie plany są już gotowe, najpóźniej jesienią chcemy przystąpić do pracy. Jeśli o nas chodzi, wkrótce każdy niemiecki robotnik będzie mógł zaoszczędzić na zakup własnego auta. Będzie uczestniczyć w wydarzeniach kulturalnych za niższą opłatą, a przede wszystkim będzie mógł raz do roku wyjechać z rodziną na urlop. Państwo w swoim wspaniałym Sopocie sami wiecie, jak dobroczynny wpływ mają wakacje nad morzem. A ten pan tutaj – wskazał na roześmianego mężczyznę, który przypominał trochę Popa – zdaje się tego samego zdania.

Wziął koniakówkę z resztką złocistego płynu, odchylił się na krześle i przymknął oczy, po czym wypił.

– Myślimy jednak nie tylko o pięknych miejscowościach urlopowych, które oferuje nasz kraj – ciągnął. – Dlaczego robotnik nie miałby cieszyć się rejsem wzdłuż wybrzeża Morza Śródziemnego albo norweskich fiordów? Tak, dobrze państwo słyszeliście. Nasza organizacja planuje rejsy dla robotników, na statkach bez feudalnego górnego pokładu dla bogaczy, z jedną klasą dla wszystkich. Mamy nadzieję, że już przyszłego lata zaprosimy pierwszych szczęściarzy na pokład. Co prawda, potrwa jeszcze chwilę, nim KdF doczeka się wodowania własnego statku, ale na początku statki można będzie wyczarterować.

Pop, myślała Gundi. Pop i ciotka Karl muszą znaleźć się wśród tych pierwszych pasażerów, choćby miała to być jedyna rzecz, której nie zepsuje.

– Gdzie można się zgłosić? – spytała. – I ile kosztowałoby to dla dwóch osób?

Forster uśmiechnął się.

– Pani rodzice?

– Dziadkowie.

– Jak miło. – Forster nadal się uśmiechał. – Niestety, członkostwo w KdF początkowo nie będzie możliwe dla gdańszczan, ponieważ haniebnie odebrano im status Niemców zamieszkałych w Rzeszy. Jestem jednak pewien, że znajdziemy jakieś rozwiązanie dla naszych gdańszczan i przede wszystkim dla pani dziadków. Czy w zamian byłiby państwo zainteresowani zaangażowaniem się w nasze przedsięwzięcie? Wiedzą państwo, że podoba mi się państwa muzyka. Chciałbym zabrać państwa oraz *Świt na morzu* na statek należący do Kraft durch Freude. Kawalek Gdańska, który da ludziom szczęście w podróży przez świat.

Zapadła taka cisza, że Gundi słyszała drapanie pióra służącego po papierze.

– Zastanawiają się państwo? – spytał Forster. – Ta żydowska klika, która wcześniej państwa opłacała, nie będzie zachwycona takim angażem, i to państwa martwi? W takim wypadku mogę państwa uspokoić. Dopóki KdF nie rozpocznie działalności, chciałbym, żeby grali państwo tutaj, w Kasyno-Hotelu. Zamierzam regularnie spędzać jeden dzień w tygodniu w Sopocie, ponieważ tak bliska obecność boleśnie oderwanego serca Pomerelii jest dla mnie nie do przecenienia. Po takich dniach

potrzebuję wieczorem rozrywki, żeby przypomnieć sobie, że nie cały świat jeszcze upadł. Chcę, żeby grali państwo dla mnie. Tylko dla mnie.

Gwałtowność jego ostatnich słów wyrwała Leksa ze snu. Uniósł głowę i czujnie przyjrzał się swoimi ciemnymi oczami zgromadzonemu. Erik położył mu rękę między uszami.

– A ile by nas to kosztowało? – spytał.

Nieważne, wołała Gundi w duchu, nieważne, ile by kosztowało, muszę zrobić to dla Popa i ciotki Karl. Ale jak? Czy ten pokrętny człowiek nie może po prostu podsunąć mi dokumentu, który podpiszę i który on podpisze, zanim zrozumie, w jakim jestem stanie?

– Ile to będzie państwa kosztowało? Chodzi panu o utracony zarobek? – Forster spróbował pogłaskać Leksa, ale szybko cofnął dłoń, gdy pies kłapnęła zębami. – Nic. To właśnie próbowałem państwu wyjaśnić. Będą państwo grać dla mnie, dopóki Kraft durch Freude nie pošle państwa w wielką podróż. Proszę podać mi, ile dostają państwo od tego Żyda, a ja zapłacę trzykrotną kwotę.

– Od jakiego Żyda? – Dłoń Erika zacisnęła się na obroży Leksa.

– Tego z Błękitnego Pudła. – Jowialność Forstera, drażniąca nerwy Gundi, nagle zniknęła. – Jeśli zależy państwu na współpracy z nami, muszą państwo w przyszłości powstrzymać się od takich kontaktów.

– I co dalej? – spytał Erik, nie reagując na nieme modlitwy Gundi. – Mielibyśmy przystąpić do państwa partii?

Służący, który maltretował papier swoim skrzypiącym piórem, wydał odgłos będący czymś pomiędzy śmiechem a jękiem.

– Ha, ha – przyłączył się do niego zjadliwie Forster. – Co też pan sobie wyobraża? Sądzi pan, że partia, która podejmuje się herkulesowego zadania uprzątnięcia tej stajni Augiasza, będzie zabiegać o tłumy próżniaków? Nie zależy nam na lizusach chcących dostać się do pociągu, który dawno już odjechał. Tak, to prawda, że na pokładzie statków Kraft durch Freude zatrudniać będziemy wyłącznie członków partii, na których w nawet najkrytyczniejszej sytuacji możemy polegać. W przypadku artystów, których angażujemy do celów rozrywkowych, dopuszczamy jednak wyjątki, o ile poręczą za nich jeden z członków partii. Państwa poręczycielem jestem ja. Pod warunkiem, że mogę liczyć na właściwe poglądy i nieskazitelne pochodzenie.

– Mój ojciec był oficerem armii cesarsko-pruskiej – powiedział Julius. – Został ranny na wojnie. Strzał w płuca pod Verdun. Z pewnością uznaliby za więcej niż niewłaściwe, gdyby doszukiwano się jakiejś skazy w jego przeszłości.

– Ależ proszę – parsknął Forster. – Nie mówimy tu przecież o naszych niemieckich weteranach wojennych, których odwaga już raz została haniebnie zmarnowana. Mówimy o ludziach odmawiających służby, sabotujących obronność, o elementach dywersyjnych. Gdybym podejrzewał, że wśród państwa tacy są, nawet nie przyszłoby mi do głowy, by angażować państwa do naszych podróży.

– To znaczy, że nie musimy w ogóle nic robić? – wyrwało się Lore. – Nie musimy spełnić żadnych warunków, by zapłacił nam pan trzykrotnie więcej niż w Błękitnym Pudlu? Ale to przecież niemożliwe. Na świecie nic nie przychodzi tak łatwo.

– Ma pani słuszność, moja panno. – Forster ponownie uniósł wargę. – Wszystko w życiu ma swoją cenę, ale jeśli chodzi o Kraft durch Freude, nie musi się pani tego obawiać. Nie wymagamy od pani niczego, czego nie wymagałaby od samej siebie zdrowa niemiecka dziewczyna. Miałbym co najwyżej pewne zastrzeżenia w sprawie tego, jak się nazywacie.

– Chodzi o to, jak się nazywam?! – zakrzyknęła Lore. – Lore Ilse Lehwald? Jakże to budzi zastrzeżenia?

– Żadnych, droga panno Lehwald, nawet najmniejszych. – Forster ze śmiechem wrócił do swej wcześniejszej serdeczności. – Może być pani dumna z dobrego niemieckiego nazwiska, z którym rodzice posłali panią w świat, i z pewnością nie chcemy w tym niczego zmieniać. Chodzi raczej o nazwę państwa kapeli. Pierogi. Może było to pomyślane jako żart i bez złych intencji, ale jednak dla prostego niemieckiego robotnika taka nazwa brzmi zbyt polsko.

– Zbyt polsko? – spytał Julius. – W okolicach Gdańska pierogi je każdy, Polak czy Niemiec, gdańszczanin czy turysta. Wybraliśmy tę nazwę, by podkreślić naszą więź z Sopotem. Chodzi o bliskość morza, o położenie w Pomerelii. Nie ma to nic wspólnego z Polską i nikt z naszej czwórki nie jest Polakiem.

– Rozumiem – wymamrotał Forster pospiesznie. – Pomerelia. Kraina nad morzem. Ale skoro nikt z państwa nie jest Polakiem, dlaczego mieliście posługiwać się polską nazwą? Co byście państwo powiedzieli na to, żeby znaleźć nową nazwę dla państwa zespołu? Nic napuszonego.

Coś prostego, co wyraża miłość do ojczyzny. Na przykład Vier aus Zopot, Czworo z Sopotu.

Czworo z Sopotu. Gundi od razu przypadło to do gustu. Pozostało jednak niemiłe uczucie. Było w tym coś niewłaściwego, by bez żadnego sprzeciwu rezygnować z nazwy Pierogi. Pod tą nazwą znała ich i kochała publiczność, ta nazwa widniała na pierwszym plakacie wywieszonym na drzwiach Pudła, który podziwiali, nie mogąc uwierzyć w swoje szczęście. Gundi miała wrażenie, jakby zostawiali za sobą przyjaciela. Potem jednak przypomniała sobie, że ta dyskusja nie ma najmniejszego znaczenia, bo w przyszłym roku nie będzie występować ani pod tą, ani pod inną nazwą i że liczy się tylko podróż dla Popa i ciotki Karl.

Wpatrywała się w błyszczące fotografie, które rozmywały się przed jej oczami. Palce Gundi obracały niebieską tasiemkę na nadgarstku, którą podarowała jej na Boże Narodzenie Lore, śmiejąc się, a potem wołając: „Jakby była ci potrzebna!”. Oczywiście miała rację, Gundi nie potrzebowała już głupiej dziecięcej tasiemki, która miała gwarantować, że przetrwa się wszystko i potem zacznie po prostu żyć od nowa. Teraz jednak chciała, by tasiemka rzeczywiście miała magiczną moc.

– Wypijmy za Czworo z Sopotu. Pfitzner, proszę jednak zgłosić w barze, że potrzebujemy butelki Veuve Cliquot.

Skrzywiony człowieczek powoli się podniósł i odszedł, powłócząc nogami i wciąż trzymając pióro w dłoni. Gdy czekali, Forster zerknął do notatnika, który wyjął z teczki.

– Oczywiście państwa nazwiska również powinny dobrze prezentować się w programie. Gundula Frieböse. – Roześmiał się. – Bardziej gdańsko już się nie da, prawda? Lore Lehwald. Dźwięczne i łatwe do zapamiętania. Erik Tetzlaff. Z tego przemawia nordycka niewzruszoność.

Uniósł wzrok znad notatek i zapanowała niezręczna cisza. Przerwał ją człowieczek, który wrócił do pomieszczenia w towarzystwie kelnera z kubelkiem z szampanem. Gdy tylko kelner napełnił pięć kieliszków i oddalił się, Forster uniósł swój kieliszek.

– Za Czworo z Sopotu!

– Za Czworo z Sopotu – powtórzyła Lore i przestraszona znieruchomiała z kieliszkiem przy ustach, gdy zauważyła, że pozostali milczą.

– Jak pan widzi tę sprawę, panie Tscharn... Scharn... – Forster udawał, że nie potrafi wymówić nazwiska Juliusa. – Proszę nie zrozumieć

mnie źle. W żadnym razie nie podaję w wątpliwość, że może się pan pochwalić nieskazitelnym pochodzeniem, ale czy byłoby możliwe, by podkreślić to nieco na zewnątrz? Aby uniknąć błędnych skojarzeń?

– Chce pan, żeby zmienił nazwisko? – spytał Erik. – Nie może przecież tego zrobić. Tak się nazywa.

Nie, pomyślała Gundi, nie może tego zrobić, a tym nazistom chyba się w głowach przewracało, skoro nie mają nic lepszego do roboty, niż dyskutować o nazwiskach. Ale mimo to Julius powinien powiedzieć, że to robi! Proszę, drogi Ju-Ju, powiedz, że to zrobisz, żeby ten nazistowski głupek wpisał Popa i ciotkę Karl na listę podróżnych.

To była z jej strony niesłychana bezczelność. Cały ten balon miał pęknąć w ciągu kilku tygodni, ona sama miała go przebić, Forster zaś zapewne skreślił wtedy Popa i ciotkę Karl ze swojej listy. Julius zatem mógł śmiało odpowiedzieć, żeby Forster wsadził sobie głęboko te zagmatwane oferty, a potem wszyscy wstaliby i poszli razem do Pudła. Usiedliby tam przy barze, przysłuchiwaliby się gniewnemu mamrotaniu Natana Elkelesa i czekali, aż przygotuje im drinki, dzięki którym szybko zapomną o całym tym zamieszaniu.

– Poczekaj, Eriku – odezwał się Julius. Z kieliszkiem w dłoni zwrócił się do Forstera. – Jeżeli uważa pan to za konieczne, możemy o tym porozmawiać. Sam czasami myślałem sobie, że takie nazwisko w przypadku muzyka jest dość trudne do wymówienia.

– Ma pan słuszość. – Forster uniósł ku niemu kieliszek. – Nie chcemy przecież niepotrzebnie komplikować sobie spraw.

– O jakim nazwisku pan myślał?

– Hmm, Czarnetzki, Czarnetzki, niech się zastanowię – wymruczał Forster, któremu nazwisko Juliusa tym razem bez trudu przeszło przez usta. – Może Scharneck? Proste i szlachetne, nie sądzi pan?

– Scharneck – powtórzył Julius, ignorując spojrzenie, które rzucił mu Erik. – Czemu nie?

– A zatem za przyszłość, panie Scharneck. – Zadźwięzwały kieliszki. – Wszystko idzie jak po maśle, jak to się ładnie mówi, i nic już nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy wspólnie odnieśli sukces. O porządne prowadzenie się nie muszę chyba państwa prosić. W końcu będą państwo występować jako wizytówka naszego ruchu.

– Co ma pan na myśli, mówiąc o porządnym prowadzeniu się? – wyrwało się Gundi. Miała wrażenie, jakby jakiś nerw pękł w niej niczym nadmiernie napięta struna i nie było już odwrotu. – Jestem nieślubnym dzieckiem. To nieszczęśliwie porządne, prawda? Noszę też jedno w brzuchu, niedługo cały świat to zobaczy. Chyba niezbyt dobrze nadaję się na wizytówkę.

W ciszy słyszała swój oddech. A potem znowu skrobanie wiecznego pióra. Przynajmniej teraz nie musiała się już bać, że wszystko zepsuje, bo właśnie to uczyniła.

– Gundi! Kochana! Mówisz poważnie? Spodziewasz się dziecka? – Chwilę później Julius był już przy niej i obejmował ją ramieniem. Był to delikatny, opiekuńczy gest, ale Gundi czuła się tak, jakby ramię Juliusa było z metalu i miało zgnieść jej klatkę piersiową, jeśli zaraz się nie uwolni. – Dlaczego nic nie powiedziałaś, ty głuptasie? – Łagodnie odgarnął jej włosy z policzka, a na jego twarzy pojawił się całkowicie odmieniony wyraz.

Z wyraźnym trudem oderwał się od Gundi i zwrócił do Forstera, pewny siebie i rozpromieniony.

– Moja narzeczona na ogół wybiera dziwne momenty na takie wstrząsające oświadczenia. Oczywiście jak najszybciej weźmiemy ślub.

– W takim razie macie dziś państwo aż dwa powody do świętowania?

Julius potaknął.

– I nalegam, żeby kolejną butelkę zamówić na mój koszt. Z całym szacunkiem dla pańskiej hojności, ale za toast za mojego potomka zapłacę sam, muszę przy tym obstawać.

– Nie mam nic przeciwko. – Forster uściśnął wyciągniętą dłoń. – Wypijmy za kolejne pokolenie Scharnecków. Pfitzner, byłby pan tak dobry...

W uszach Gundi szumiało. W zeszywniałych palcach trzymała swoją tasiemkę życia.

– Ale nie mogę przecież urodzić dziecka! – zawołała. – Jak mielibyśmy występować, kto by się nim zajmował, jak to wszystko miałoby się odbywać?

– Jakoś sobie poradzimy, ukochana. – W pięknych oczach Juliusa błyszczały łzy. – Właśnie podarowałaś mi najszcześniejszy dzień mojego

życia. Pozwól nam się nim cieszyć. Wszystko inne jakoś się ułoży.

Nie potrafiła dłużej na niego patrzeć, odwróciła wzrok i napotkała spojrzenie Erika.

– Pomogę ci, Gundi – usłyszała, jak bezradnie mruży Lore. – Pomogę ci, jak tylko będę umiała. – Spojrzenie Gundi utkwilo jednak w Eriku. Wzruszyła ramionami, jakby go przeproszała, choć nie była pewna za co. Erik rozwiął czar, wykrzywił usta w uśmiechu i poklepał Juliusa po ramieniu.

– No, gratulacje, stary. A ja, idiota, zawsze myślałem, że nasza Gundi kocha nas obu.

26

1934

Ariane Sybille Scharneck przyszła na świat lodowatym rankiem w styczniu 1934 roku. Na ulicach gdańskiego Wrzeszcza śnieg leżał tak wysoko, że akuszerka, którą Julius wezwał przez nowiutki telefon z kliniki położniczej Storchenhaus, utkwiała po drodze.

Nie było jednak tak źle, bo na miejscu znajdowała się Lore. Lore nocowała w mieszkaniu przy Uphagenweg ¹³, odkąd lekarz podczas badania oznajmił, że teraz poród może zacząć się już w każdej chwili. Było dość miejsca: duży pokój, sypialnia i pokój, w którym miało później spać dziecko. Teraz spała tam Lore. Mieszkanie załatwił im Forster. Znajdowało się na pięttrze willi, którą opuścili właściciele. Została przejęta przez partię Forstera i podzielona na dwa mieszkania. Z sypialni, w której Gundi leżała w trakcie porodu, rozciągał się widok na ogród, rozległy i pusty, otoczony nagimi, rozrośniętymi dziko drzewami, jakby nikt nigdy go nie pielęgnował. Gundi godzinami wpatrywała się przez śnieg na parapecie na ogród, podczas gdy rozrywały ją fale bólu.

– Dobry Boże! – wyrwało się jej. – Lorciu, powiedz mi, dlaczego ludzkość jest taka głupia i sprowadza na świat dzieci?

Lore, kochana, nieoceniona Lore, siedziała na jej łóżku i ocierała jej czoło wódką francuską.

– Bo w przeciwnym razie by zginęła, tak myślę.

Choć zaczął się kolejny skurcz, Gundi roześmiała się.

– To był pierwszy żarcik, jaki kiedykolwiek od ciebie usłyszałam.

Zapobiegliwa, jak zawsze, Lore zdobyła książkę dla przyszłych matek i dowiedziała się z niej wszystkiego o zdrowym, naturalnym porodzie.

– Po prostu próbuję cię trochę rozweselić – powiedziała. – Na następny pozwolę sobie przy kolejnym dziecku.

– Niech Bóg broni! Zanim zwariuję na tyle, by chcieć mieć jeszcze jedno dziecko, każę się zamknąć w Silberhammer [14](#).

Silberhammer było państwowym zakładem opiekuńczym, położonym zaledwie o kilka przecznic dalej, na obrzeżu lasu w Langfuhr. Dom wariatów, jak mówili gdańszczanie. Spojrzenie Gundi ponownie powędrowało za okno. Znowu zaczęło śnieżyć, a niebo było niemal bezbarwne. Czuła, że zaraz zwariuje. W całym swoim życiu nigdy nie była poważnie chora, a teraz leżała na plecach jak gruby chrząszcz i zwijała się z bólu. Przede wszystkim jednak pomimo całej pomocy, którą im przyznano, nie wyobrażała sobie, co teraz zrobią, jak sobie poradzą.

Brakowało jej muzyki. Już od października nie występowała. Forster załatwił Juliusowi kilka indywidualnych angaży, ale nie miała pojęcia, jak udawało się im z tego utrzymać. Prawdopodobnie Forster płacił mu dodatkowo. Oszalał na punkcie *Świtu na morzu*, to nie był z jego strony zachwyt, on naprawdę oszalał. Aby usłyszeć ponownie *Świt na morzu*, gotów byłby zrobić o wiele więcej.

– *Świt na morzu* może śpiewać tylko pani, droga pani Scharneck. Nikt inny.

Takie moje szczęście, myślała Gundi. Nawet koty i króliki potrafią lepiej ode mnie rodzić dzieci, ale tylko ja umiem śpiewać *Świt na morzu*. Współczuła swojemu dziecku. Współczuła Juliusowi. Z rozpaczycy traciła zmysły, tak bardzo było jej żal ich obojga.

„Poczekaj, aż pojawi się dziecko”, mówili ludzie. Nawet Helma z Pudla, która sama wyglądała przecież jak dziecko i nie mogła mieć o tym pojęcia. „Gdy na nie spojrzysz, pokochasz je, przyzwyczaisz się do niego, a w końcu nie będziesz już wiedziała, jak mogłaś bez niego żyć”.

Gundi jednak świetnie wiedziała, jak mogła żyć bez dziecka. Kochała swoje życie i nie chciała przyzwyczajać się do żadnego innego. Swojego samozwańczego małżonka, który był przekonany, że wszystko ułoży się

cudownie i będą żyć jak w raju, zaklinała, by nie poświęcał się i jej nie poślubiał.

– Nie jestem do tego stworzona, Ju-Ju. Innym dziewczętom na myśl o sukni ślubnej wilgotnieją oczy, ale ja czuję się tak, jakby wsadzali mnie w kaftan bezpieczeństwa. Jesteś świetnym facetem, nie zasłużyłeś na to, żebym cię unieszczęśliwiła.

Objął ją.

– Ale ty mnie uszczęśliwiasz, ukochana.

– Proszę cię, nie gadaj głupstw. Nie nadaję się na żonkę, która uwija się w kuchni i troszczy o swojego męża. Nie potrafię nawet zakisić kapusty. Na myśl o tym, że mam ugotować prostą Bullewupp, kartoflankę, robi mi się gorąco.

Julius uśmiechnął się, jakby to było śmieszne.

– W takim razie inaczej zatroszczysz się o swojego męża. Jest skromny i zadowolony tym.

– Ju-Ju, nie możemy się pobrać. To zupełnie nierealny pomysł.

– Czy nie jest nam dobrze? – spytał urażony tak jak wtedy, gdy byli jeszcze dziećmi i Gundi wciąż zdarzało się powiedzieć coś niestosownego.

– Oczywiście, że jest, Ju-Ju. I było nam dobrze, to było dla nas nowe i ogromnie ekscytujące i gdyby nie to wszystko, nie byłoby tego dziecka. Ale to nie ma nic wspólnego ze ślubem. Nie potrafię być zamężną kobietą, nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać, a myśl o tym, że już dziś mam wiedzieć, co będzie za rok, napawa mnie strachem.

– Czy to znaczy, że mnie nie kochasz?

Nie, pomyślała. Wytłumaczyłam ci, co to oznacza, ale wygląda na to, że mnie nie słuchałeś.

– Ależ tak – odparła odważnie. – Kocham cię, tylko nie wiem, czy jutro też tak będzie. Możesz powiedzieć, że to nie jest prawdziwa miłość, i może masz rację.

Ponownie przyciągnął ją do siebie, zaklinał, że jej sposób kochania go mu wystarcza i że muszą też myśleć o dziecku. Gundi myślała o dziecku, ale nie wiedziała, jak mu pomóc. Potem Julius przypomniał jej Pierogi, które nie nazywały się już Pierogami, mówił o *Świcie na morzu* i o mor-

skich podróżach, które miały rozpocząć się w maju. Forster z jego pokrętnymi wyobrażeniami o porządnym życiu, tak mało pasującymi do nowych, dzikich czasów, prędzej by zemdlał, niż wpuścił na jeden ze swoich statków młodą matkę, która nie chciała poślubić ojca dziecka.

Młoda matka, krzyczało w duszy Gundi. Przecież to nie mogę być ja, każda inna, ale nie ja!

W każdym razie, gdyby odmówiła, pogrzebałaby tym samym wszelkie szanse nie tylko dla siebie, ale także dla Juliusa, Erika i biednej Lore. Nie mówiąc już o ciotce Karl i Popie. Choć ten ostatni jako jedyny ją rozumiał i nie opowiadał jej bajek.

– Nie chciałaś dziecka, prawda? – spytał bez ogródek. – Jesteś taka sama jak twoja matka, nie słyszysz dźwięku dzwoneczków, gdy myślisz o takim małym aniołku?

– Sądzisz, że to źle, Pop? Czy ze mną jest coś nie w porządku? Pani Olschewski rozgłasza w piekarni dookoła, że kobiety, które nie chcą mieć dzieci, postępują wbrew naturze, a wszyscy gorączkowo potakują.

– To niech Ollsche i jej stare baby kiwają głupimi głowami – powiedział Pop. – Ludziom, odkąd w ogóle istnieją ludzie, zawsze przeszkadzało, że ktoś nie jest taki jak oni. Inny. A ci, którzy od niedawna siedzą u nas za sterami, udzielają błogosławieństwa takim poglądom. To jednak nic nie pomoże. Jeśli ktoś jest jabłkiem, nie zrobisz z niego śliwki, ale machandlu i tak możesz się napić.

– Ach, Pop.

– I co teraz?

– Muszę wyjść za mąż – powiedziała Gundi i łyzy nabiegły jej do oczu.

– Schietke sagt Liedtke – wymruczał Pop. – Aż tak źle?

Gundi dzielnie zacisnęła usta i pokręciła głową.

– Wcale nie. Ju-Ju to miły chłopak i będziemy mieć razem przepiękne życie. Źle tylko, że...

– No, co takiego, dziewczuszko?

Wtedy popłynęła powódź łez i Gundi ponownie oparła głowę na piersi Popa.

– Źle tylko, że nie będę już mieszkać z tobą – wyrzuciła z siebie, łkając. – Że nie będziemy już siedzieć tu razem i jeść wątrobianki, że Gustav Kapahnke nie wpadnie już na remika i że już nigdy, nigdy, nigdy nie pójdziemy z twoją niebieską torbą na dworzec, by pojechać na całą niedzielę do Sopotu.

Obejmował ją, a ona czuła pod palcami, jak stał się wątyły, a jego plecy przygarbione. Wyjdę za mąż, pomyślała. Zgarnę te pieniądze, które obiecuje nam Forster, a Pop przestanie pracować, przeprowadzi się do ciotki Karl i choć jeden raz w życiu zrobi sobie urlop.

– No, dziewczuszko – powiedział. – Gdy tak cię słucham, myślę sobie, że to przecież nie takie trudne wychować małego ptaszka. Z wątrobianką też ci się uda. Stary Kapahnke z pewnością z chęcią będzie u ciebie przeziadywać, jakby nie miał własnego domu, a Sopot to Sopot, będzie zawsze i nikt ci go nie odbierze. Kto mówi, że musisz robić tak jak inni? Ta Ollsche? Ona po prostu tak kracze, bo nikogo nie obchodzi to, co mówi.

Wyszła za mąż. W kościele pod wezwaniem Serca Jezusowego przy Schwarzer Weg ¹⁵; biły dzwony i grzmiały organy, niemal tak głośno jak w kościele Mariackim, ponieważ Julius chciał zrobić wszystko porządnie. Było to tydzień po ich pierwszym występie w radiu. Nieco wcześniej Julius pojechał do Berlina, by w Izbie Muzyki Rzeszy złożyć wniosek o pozwolenie na pracę. Berlin. Jakże byłoby ekscytujące, gdyby mogła sama tam pojechać, do stolicy z jej nocnymi klubami, w których muzyka nie milkła, dopóki nad ranem śmieciarka nie zadzwoniła kubłami.

Zamiast tego Julius przywiózł Gundi ślubną suknię, białą jak twarożek i z tak ogromnej ilości materiału, że ciotka Karl mogłaby przykryć nim wszystkie łóżka dla gości. Mimo to Gundi nie zdołała się w nią zmieścić. Była okrągła jak piłka. Ciotka Karl musiała rozpruć szwy na plecach i wszyć wstawkę z kawałka prześcieradła. Julius sprowadził na Mirchauer Weg fryzjera, a gdy ten skończył czesać Gundi, w lustrze spoglądała na nią obca osoba. Kobieta. Już nie dziewczyna, która leżała na plecach na pustej plaży, przyglądała się przelotowi dzikich gęsi i śpiewała sama dla siebie piosenkę.

Według Forstera nowy odbiornik ludowy, który w Rzeszy można było kupić za grosze, sprawił, że wielu miłośników muzyki zwróciło już uwagę na Czworo z Sopotu. Ich nagranie nadawała rozgłośnia z Marchii Wschodniej, której program przejęła gdańska stacja Danziger Rundfunk,

więc *Świt na morzu* dało się usłyszeć również w ich rodzinnym mieście. Po piosence spiker ogłosił, że śpiewaczka – „urocza panna Gundula Frieböse” – w nadchodzącą sobotę wychodzi za mąż. Gundi nie przewidywała skutków. W najmniejszym stopniu. Na jej ślubie zebrał się chyba cały Wrzeszcz. Kościół był wypełniony po ostatnie miejsca, a na wybrukowanej Schwarzer Weg tłoczyli się ludzie z gratulacjami.

– Do diaska – wyszeptał Pop z uznaniem w drzwiach kościoła. – Do tej pory kobiety z naszych kręgów cieszyły się, jeśli zdążyły dotrzeć do urzędu cywilnego, nim coś wyskoczyło im tam z dołu.

Zaraz zakrył usta dłonią, ale było już za późno. Gundi parsknęła śmiechem spod kolubryniastego welonu. Śmiech był łatwiejszy od płaczu. Zawsze. Tak żyli i tak mieli żyć dalej. Pop miał na sobie prawdziwy garnitur z mało podniszczonego sztruksu, a białą grzywę przyklepał do głowy jakimś kruszącym się specyfikiem.

– Przyniosłem coś dla ciebie – powiedział i postawił przed wejściem niebieską torbę. Wraz z ciotką Karl wypełnili ją po brzegi rzeczami, które ich zdaniem powinny się znaleźć w posagu. Prześcieradłami, ściereczkami do naczyń, obrusami i naczyniami ze stołówki w stoczni Kawittera. Śmiech był łatwiejszy od płaczu. Prawie zawsze.

– Idziemy? – Przez chwilę oboje mieli ochotę podnieść torbę i zahuścić ją w drodze do ołtarza, jakby czekała ich niedziela w Sopocie. Potem jednak Pop opamiętał się i podał Gundi ramię. Gundi opornie zrobiła mały kroczek, a Pop raz jeszcze się zatrzymał. – Dziewuszeko, obiecaj mi jedno, słyszysz? Nie rób tego wszystkiego ze względu na mnie, bo ja tego nie chcę.

Gundi nie potrafiła nic odpowiedzieć, więc tylko pokręciła głową, a niesforny welon zafalował dookoła.

– Dobrze, moja dziewczuszeko. – Pop objął ją spojrzeniem. – Toby mnie bardzo zabolalo. Gdyby ktoś robił dla mnie coś, czego on sam nie chce, byłby to dla mnie ogromny ciężar, którego nie chciałbym nosić przez całe życie na swoim grzbiecie.

– Jasne, Pop. – Przełknęła gulę w gardle i u boku Popa wkroczyła do kościoła. Przeszła środkiem aż do ołtarza, gdzie czekał na nią Julius w eleganckim, wciętym, trzyczęściowym garniturze, z gardenią w butonierce.

Wszystko to pojawiała się przed nią w obrazach rozrywanych bólem, gdy wpatrywała się w biały czworokąt okna.

– Dobrze ci idzie, Gundi. – Lore pomogła jej usiąść, podparła plecy i rozłożyła nogi. – Świetnie sobie radzisz, zaraz ci się uda.

Gundi patrzyła na śnieg padający na tle białego nieba i krzyczała.

Kilka chwil później rozrywający ból nagle minął i Lore włożyła jej w ramiona czerwoną, zapuchniętą, owiniętą w białe kocyki istotkę, która krzyczała teraz zamiast Gundi jak obdzierana ze skóry.

– Dziewczynka. Macie z Julusem małą dziewczynkę.

Gundi nie wyobrażała sobie, co to znaczy mieć małą dziewczynkę. Popatrzyła na pomarszczoną twarzyczkę i z całego serca współczuła tej biednej istotce, że musi tak krzyczeć, ale nie miała najmniejszego pojęcia, jak może jej pomóc. Chciała, żeby dziecku było dobrze, żeby miało wszystko, czego potrzebuje, ale na myśl o tym, że ona sama będzie musiała o nie zadbać, robiło się jej niedobrze ze strachu. Jak jest się matką?

Gundi nigdy nie miała matki, ale gdy myślała o matkach, które znała – o matce Lore, widzącej na świecie samo zło, matce Juliusa, przypisującej synowi winę za wszystkie nieszczęścia – cieszyła się z tego.

Próbowała coś sobie wyobrazić, lecz nie umiała, nie potrafiła zobaczyć, jak mała dziewczynka idzie obok niej na dworzec, pomiędzy nimi niebieska torba, którą podarował jej Pop. Gdy tylko zaczynała o tym myśleć, widziała Popa, a małą dziewczynką była ona sama.

Jak jest się matką, gdy samemu potrzebowało się tak dużo czasu, by dorosnąć?

W końcu wszystko jakoś się ułożyło, tak jak zawsze wszystko w jej życiu – dała radę. Nie był to koniec świata. Dwa tygodnie po narodzinach Ariane do pokoiku wprowadziła się opiekunka do dziecka, a Pierogi – nie, Czworo z Sopotu – ponownie zaczęli próby. Gundi czuła paniczny strach przed wsunięciem dziecku w usta swojego sutka, ale wkrótce przestało to być problemem, bo mleko nigdy się nie pojawiło. Zaradna Lore zdobyła w aptece odżywkę Paulys firmy Milupa i pokazała opiekunce, jak przygotować sproszkowane suchary z mlekiem.

Opiekunka, ubrana zawsze na niebiesko kobieta o wąskich ustach, w wieku około pięćdziesięciu lat, należała do osób, które wszystko wiedzą lepiej. Oburzona kręciła nosem na nowoczesny pokarm dla nowo-

rodków, ponieważ dzieci rzekomo dostawały od niego biegunki. Gundi i Lore nie miały jednak czasu, by rozprawić o dziecięcych biegunkach, ponieważ zbliżał się ich występ na karnawałowym balu w Kasino-Hotelu. Później ruszali do Królewca, gdzie mieli zaplanowane spotkanie robocze z Friedrichem Franke, znanym kompozytorem szlagierów. Franke, który tworzył również muzykę do filmów, otrzymał zlecenie napisania dla Czwojga z Sopotu nowych utworów na rozpoczęcie ich pracy w KdF, prostych, dźwięcznych piosenek, które nie mogły się równać ze *Świtem na morzu*.

Gundi wolałyby nadal grać amerykańskie utwory, które zaaranżowali z pasją i zgodnie ze swoim charakterystycznym brzmieniem. Lubiła je, ponieważ były pełne werwy, i uważała, że amerykański tupet i młodzieńczość w oryginalny sposób łączą się z gdańską nostalgiczną nonszalancją. To było jednak wykluczone. KdF nie chciało amerykańskich piosenek i wykreśliło wszystkie z programu.

Nie chciało też, żeby Czwojro z Sopotu szykownie i nowocześnie określali się jako band. Od tej pory skromnie i staromodnie mówiono o kapeli tanecznej.

Pochodzący z Prus Wschodnich kompozytor, który sam stracił kawałek serca dla Gdańska i Sopotu, wykazał chociaż wycucie dla tego, co wyróżniało czwojro muzyków. Melodie, które im zaproponował, mogły przynajmniej na powrót wypełnić ich zdziesiątkowany repertuar i stanowić wstęp do ich głównej atrakcji.

– To wszystko jest trochę za gładkie – skrytykował Erik.

Franke uśmiechnął się półgębkiem.

– Czyj chleb jem, tego piosenkę śpiewam. Klient dostaje ode mnie to, co zamówił. – Po krótkiej dyskusji zgodził się jednak nadać lekkim piosenkom nieco surowszy ton, echo owej melancholii, która czyniła ze *Świtu nad morzem* coś wyjątkowego i o której Lore twierdziła, że można ją wytrzymać tylko wtedy, gdy jest się całkowicie szczęśliwym.

Gundi była zachwycona Królewcem i całym doświadczeniem podróży, choć chodziło tylko o krótką jazdę pociągiem. Hotel, w którym ulokowali ich ludzie z KdF, znajdował się tuż nad Pregołą, a pokój z łóżem z baldachimem był o wiele za duży dla dwóch osób. Miał osobną łazienkę, w której można by tańczyć tango, i marmurową umywalkę, którą Gundi uznała za zbyt wytworną, by poplamić ją mydłem i pastą do zębów.

Wieczorem w barze na życzenie gospodarzy zagrali *Świt na morzu* przed małą publicznością, która prześcigała się w pochwałach i wręcz nadskakiwała muzykom. Napitki płynęły strumieniami, toczono błyskotliwe i zabawne rozmowy, a gdy później jechali windą wyłożoną lustrami do swoich pokojów, Gundi zawołała:

– Nie mogę jeszcze zasnąć! Do naszego pokoju przysłali jeden z tych kubelków z szampanem, musicie się z nami napić!

Czworo z Sopotu siedziało zatem niemal do świtu na olbrzymim łożku, piło szampana ze szklanek do mycia zębów i paplało słodkie, puste głupstwa o wzlocie, którego właśnie doświadczali, i o wszystkich wzlotach i wielkich czynach, które jeszcze ich czekały. Dopiero teraz naprawdę byli Czworciem z Sopotu, ponieważ po raz pierwszy znaleźli się z dala od niego. Gdy Lore, Erik i Lex udali się wreszcie do swoich pokoi, by się położyć, Julius powiedział:

– Trochę szkoda, że zostali tak długo. Miałem nadzieję, że może to być coś w rodzaju naszej zaległej podróży poślubnej.

– Tak, mogłoby być – wymruczała Gundi, ułożyła się wygodnie pod grubą puchową kołdrą i prawie już zasnęła. Wiedziała, o czym mówi Julius, i owszem, zeszej zimy sama czerpała z tego wiele przyjemności. Nadal jednak była obolała po porodzie, a muzyka i odniesiony sukces zapewniły jej dość wrażeń. Chciała spać i śnić o tym cudownym dniu.

Od czasu do czasu z wyrzutami sumienia myślała o tym, że dziecko, które Julius nazywał „naszą małą”, może dostać biegunki, ale niepotrzebnie się martwiła. W domu okazało się, że Ariane wcale nie dostała biegunki, tylko urosła wspaniale na papce z sucharów.

Z Rzeszy przyjechał jakiś reporter i zrobił zdjęcia, na których Gundi w kupionej w Królewcu mufce i Julius z Ariane na rękach stoją w smętym ogrodzie przy swoim domu. Wyglądali na szczęśliwych, nawet Ariane, która drzemała napchana papką, a na fotografiach nie widać było pustki ogrodu. Reporter nie przestawał zachwycać się tym, jacy są fotogeniczni, i przesłał im później odbitkę najpiękniejszego zdjęcia oraz egzemplarz gazety, w której ukazał się artykuł. „Rodzina Scharneck z «Czworga z Sopotu»” – napisano pod zdjęciem. „Przed swoim pięknym domem w Gdańsku, wytęsknionym mieście Niemców”.

Tak to już było z troskami. Większość znikła sama i trudno było tylko wykazać się cierpliwością, by je przeczekać. Ludzie, którzy martwili się obecnością nazistów w Senacie, uważali podobnie – wymachi-

wanie szabelkami w Rzeszy, które wyrwało przerażoną Europę ze snu, nie mogło przenieść się do Gdańska, miasta morza i chronionego od tysięcy lat spokoju. *Nec temere, nec timide* brzmiała dewiza Gdańska, ani tchórzliwie, ani zuchwale. Spokojne miasto nauczyło w końcu tej postawy również tych rumpelsztyków, karzełeków, którzy od niedawna nim rządzą.

Prezydent Senatu Rauschning zawarł w Warszawie upragnioną umowę, która zabezpieczała prawa polskiej ludności Gdańska podobnie jak wspólne użytkowanie gdańskiego portu. W przemowie, którą nadawano z głośników wszędzie tam, gdzie w Gdańsku tętniło życie, przypomniał o konstytucji miasta, o jej nietykalności i dążeniu, by żyć w pokojowym sąsiedztwie zarówno z Niemcami, jak i Polską. Odwieczny spór o wojskową składnicę tranzytową na Westerplatte, o której naziści Forstera nie bez powodu twierdzili, że narusza status Gdańska jako strefy zdemilitaryzowanej, przycichł. Polski rząd ogłosił gotowość do odwołania przeniesionego tam dodatkowo batalionu, a Rauschning pozostawił tak sprawę.

Największym zaskoczeniem było to, że Rzesza poszła za przykładem Gdańska. Adolf Hitler, główny wymachujący szabelką, którego Gundi w przeciwieństwie do Lore uważała raczej za śmiesznego niż napawającego strachem, oraz szef państwa polskiego Józef Piłsudski zawarli pakt o niestosowaniu przemocy, który miał obowiązywać przez dziesięć lat, a później mógł zostać dowolnie przedłużony.

Problemy dotyczyły co najwyżej opiekunki do dziecka, która narzekała na wszystko i wszystkich – pokoik jest za ciasny, by pomieścić ją i dziecko, nie dba się o jej wyżywienie, a do jej zadań nie może należeć gotowanie dodatkowo dla całej rodziny. Poza tym nie wystarczy oddawać raz w tygodniu stosów dziecięcych rzeczy do pralni, cały dom zaś przypomina „za pozwoleniem i delikatnie mówiąc, chlew”. Była wykształconą niemiecką opiekunką do dzieci, z najlepszymi referencjami, i nie przywykła ani nie miała ochoty dostosowywać się do życia artystów i bohemy.

Artyści i bohema. To był świat, do którego należała teraz Gundi, za którym wcześniej tęskniła, choć go nie znała. Trzeci maja 1934 roku był dniem, w którym po raz pierwszy wkroczyła po trapie na białe cielsko statku wycieczkowego. Nazywał się „Monte Olivia” i był dziesięcioletnim, zbudowanym w hamburskiej stoczni Blohm & Voss statkiem pasażerskim, wycarterowanym przez KdF. Przed artystami na pokład zdą-

żyło już wsiąść blisko dwa tysiące urlopowiczów z pięciu różnych okręgów, by rozpocząć pięciodniowy rejs do Anglii.

Do Anglii! Ona, Gundi Frieböse z Mirchauer Weg we Wrzeszczu, naprawdę udawała się do tak dalekiego kraju! Albert Forster spełnił jeszcze jedną obietnicę: wśród okręgów, z których robotnicy mogli zgłaszać się do podróży, znalazł się również Gdańsk. Po rozmowie z Forsterem Gundi postanowiła mimo wszystko nie zgłaszać jeszcze Popa i ciotki Karl do tego pierwszego rejsu, ponieważ stanowił on coś w rodzaju próby generalnej, podczas której wszystko mogło pójść nie tak. Sama Gundi wcale nie czuła się na siłach sprostać ogromnemu zadaniu, jednak gdy tylko u boku Juliusa, mając za plecami Erika i Lore, weszła na pokład, wiedziała: tutaj należę i tutaj pokażę, co potrafię.

W kolejnym rejsie miał uczestniczyć Pop ze swoją ukochaną! Rejsie na południe, więc podobnie do mężczyzny na błyszczącej fotografii będzie mógł siedzieć w koszuli z krótkimi rękawami pod palmami, w rozmarzeniu spoglądać na błyszczące w słońcu morze i pocić się jak na wyspach Fidzi.

Przyjaciele mieli na sobie nowe, samodzielnie zaprojektowane kostiumy, białe spodnie i spódnice oraz niebieskie bluzy z marynarskim kołnierzem i napisem Czworó z Sopotu nad kieszenią na piersi. Nieśli swoje instrumenty i po pierwszych krokach na pokładzie Gundi mimo woli zaczęła kołysać się w chodzie tak samo jak wtedy, kiedy grała na akordeonie. Była dzieckiem morza, urodzonym w mieście morza, i jej muzyka została ukształtowana przez morze. Zostali przyjęci głośnym aplauzem. W Gdańsku musieli na Dworcu Głównym wsiąść do pociągu i pojechać w zaplombowanym wagonie w stronę Rzeszy, a potem aż do Hamburga, gdzie „Monte Olivia” wyruszała w morze, ale co dziwne, owacje, które powitały ich na miejscu, były takie same jak w domu:

– Gun-di, Gun-di, Gundi Słoneczko!

Jak wobec wszystkich tych wspaniałości, które ogarnęły ją niczym fala i porwały na grzywie piany, mogła zmusić się do myślenia o narzekaniach stetryczącej opiekunki? Z drugiej strony była teraz odpowiedzialna za dziecko i bez jej udziału nikt nie mógł rozwiązać wszystkich tych problemów z bielizną i pokoikiem, i odżywką dla niemowląt.

Wiwatujący tłum rozdzielił się, aby Czworó z Sopotu mogło udać się za jednym ze stewardów do swoich kabin. Julius, w jednym ręku trzymający trąbkę, czule objął Gundi za ramię.

– Szczęśliwa, ukochana?

Gundi skinęła głową.

– Strasznie szczęśliwa. Jedyne, co mnie gryzie, to...

Przystanął, uniósł jej podbródek i z uśmiechem spojrzał jej w oczy.

– O co chodzi? Nie znam mojej żony takiej. Odkąd to pozwalasz, by coś cię gryzło, kiedy jesteś szczęśliwa?

Odkąd jestem twoją żoną, przeszło Gundi przez głowę. I chciałabym, żebyś nie używał tego określenia tak, jakby było teraz moim imieniem.

– Nie gryzie mnie aż tak bardzo – odparła. – Chodzi tylko o Fräulein Helene, która powiedziała, że odejdzie, jeśli w końcu nie zaczniemy prowadzić porządnego domu. Łamałam już sobie nad tym głowę, ale znam się na tym jak kura na pieprzu. Czy moglibyśmy pozwolić sobie na zatrudnienie kogoś do gotowania, bo najwyraźniej mamy nagle całe góry pieniędzy? Ale nawet jeśli, gdzie znajdziemy taką osobę i gdzie ją umieścimy? Fräulein Helene już teraz narzeka, że mieszkanie jest za małe, no i zostaje jeszcze problem z praniem.

Julius miał rację. Na granatowo połyskującej wodzie tańczyły białe plamki piany i nie było w stylu Gundi pozwalać, by przepiękny dzień zatruwały problemy. Ruszyli dalej, a Julius przyciągnął ją do siebie.

– Niech to będzie moje zmartwienie, kochana. Po co wzięłaś sobie męża? Forster rozmawiał już ze mną o mieszkaniu. W przyszłości nie byłoby praktycznie, gdybyśmy wszyscy mieszkali daleko od siebie i musieli zjeżdżać się na próby i występy. Poszuka czegoś dla nas. W Sopocie. W pobliżu Kasino-Hotelu.

– W Sopocie? Mamy mieszkać w Sopocie? Już na zawsze?

Julius rozpromienił się, jakby w jego oczach zaśniła cała bożonarodzeniowa choinka.

– Już na zawsze. I wtedy będziemy mieć dość miejsca, by zatrudnić kogoś do prowadzenia domu. Nie mówiąc już o pieniądzach. Powinnaś całkowicie skupić się na swojej muzyce i niczym się nie martwić.

– A co z Popem, Ju-Ju? Pop musiałby przeprowadzić się razem z nami, bo nie wyjadę bez niego z Langfuhr.

– Wiesz, że twój Pop zawsze będzie mile widziany w moim domu – odparł Julius. – Zakładałem jednak, że zamieszka w pensjonacie

i wreszcie zrobi z panny Karl porządną kobietę.

– Masz na myśli ślub? Pop i ciotka Karl? – Gundi parsknęła. Potem jednak coś przyszło jej do głowy. – Powiedz, Ju-Ju, czy nie moglibyśmy poprosić ciotki Karl, żeby pomogła nam z gospodarstwem? Nie ma już prawie żadnych gości, a nie dostaje emerytury. Gdyby Pop i ciotka Karl zostawali w mieszkaniu, gdy wyjeżdżamy, nie martwiłabym się o Ariane. Byłby to chlew szalonych artystów i głupia Fräulein Helene by się denerwowała, ale dziecko miałoby się dobrze. Nie może być mu lepiej niż u Popa i ciotki Karl.

Rozległo się buczenie, tak głośne, że Gundi i Julius ze śmiechem przycisnęli dłonie do uszu. Ludzie pobiegli, by zająć najlepsze miejsce przy relingu i pomachać kapeluszami i chusteczkami tym, którzy zostawali w domu. Podniesiono kotwicę. Na białej burcie widniały wielkie litery Kraft durch Freude, a Gundi czuła się właśnie tak, jakby radość napępiała siłą jej ciało.

Julius pocałował jej włosy.

– Jeśli tego pragniesz, tak zrobimy – powiedział. – Ma być ci dobrze, Gundi. Tak dobrze, jak tylko może być kobiecie. A nasza mała powinna żyć jak księżniczka. I powinna dostawać wszystko, czego tylko zapragnie.

27

1936

Pfitzner nie planował udawać się już w żadne podróże. I tak nigdy nie rozumiał, co ludzie w nich widzą. Dla niego podróżowanie było równoznaczne z wojną, a gdy z niej wrócił, jego Gdańsk nie był już miastem, które znał. Ponieważ jednak okazało się, że nie może całkowicie polegać na nikim, nawet na Forsterze, zagryzał zęby i targał swoje spróchniałe kości po dworcach i hotelach, depcząc gauleiterowi po piętach i nie oddalając się od niego nigdy na tyle, by stracić go z zasięgu słuchu.

Forster był dobry. Nie było co do tego wątpliwości. Pfitzner się nie pomylił. Mądrze wybrał, kiedy zdecydował go poprzeć. Gdy tylko Forster zrozumiał, że ten mięczak Rauschning, uniżenie podlizujący się wrogom, nie zawaha się poświęcić Gdańska, nie zastanawiał się i szybko go usunął. Połknął żabę i wyniósł swojego znieawidzonego rywala Gre-

isera na stanowisko prezydenta Senatu, ponieważ było jasne, że w Gdańsku nie da się jeszcze zaprowadzić jedności pomiędzy państwem a partią. Późniejszą kampanię wyborczą prowadził jednak aż do wyczerpania. Blond dziewczyna, z którą wziął szybki ślub z Hitlerem w roli świadka, praktycznie go nie widywała, ponieważ pracował dniami i nocami.

Pewnego ranka Pfitzner, który zjawiał się w nowym biurze partii na Jopengasse ¹⁶ nie później niż o siódmej, zastał Forstera leżącego jak martwy obok biurka. Od prawie dwudziestu lat nie dotykał żadnego człowieka z wyjątkiem ściskania ręki. Dokładniej rzecz biorąc, koncepcja takiego okazywania uczuć, przy którym obmacuje się, a czasami obślinia drugą osobę, od blisko dwudziestu lat budziła w nim wstręt. Bał się dotknąć innego człowieka, a Forster nie stanowił tu wyjątku. Mimo to Pfitzner zrobił to, co jego ciało zapamiętało ze służby wojennej lepiej niż jego umysł, chwycił Forstera pod pachy i ułożył go w bezpiecznej pozycji bocznej, a następnie spróbował ocucić lekkimi uderzeniami w policzki, niewywołującymi wstrząsu mózgu.

Ostatnim razem, gdy próbował to zrobić, słyszał własne błagania i jęki. Teraz już o tym nie myślał. Chyba że nie potrafił się powstrzymać. Swojego brata Viktora spoliczkował w końcu tak mocno, że pękła mu skóra na policzkach. Ale brat nie wstał. Zamiast tego za Pfitznerem stanął dowódca, wiecznie bazgrzący coś na papierze Żyd, którego nazywali Bodo Ołówkiem, i odciągnął go.

– No, chodź już, Fritze, nie mogę cię tu zostawić. Sam mam młodszych braci, wiem, że serce pęka na kawałki, ale komu pomożesz, jeśli tu zostaniesz?

Zabiję cię, myślał Pfitzner, podczas gdy Żyd odciągał go stamtąd. Pewnego dnia zabiję ciebie i całą tę zgraję twoich braci.

Pfitzner odetchnął z ulgą, bo Albert Forster szybko przyszedł do siebie, przeprosił, zażądał dzbanka mocnej kawy, po czym ponownie stanął do walki. Niezbyt inteligentny, ale zdyscyplinowany i oddany sprawie człowiek. Aby zdobyć większość dwóch trzecich głosów w Senacie, niezbędną, by zmienić narzuconą Gdańskowi konstytucję, dał z siebie wszystko i wszystkie przewidywania dawały mu zwycięstwo. Potem nadszedł ten długo wyczekiwany dzień i Forster zasiadł na ostatnim piętrze budynku dyrekcji poczty przy Winterplatz ¹⁷, gdzie mieściły się studia Danziger Rundfunk, i przygotował się do triumfalnego obwieszczenia. Jego protegowani muzycy stali przy mikrofonach, by zaśpiewać po ogłoszeniu zwycięstwa.

To, że gdy zamiast zwycięstwa oznajmiono porażkę, nie upadł na kolana, tylko stał z podniesioną głową, zyskało mu coś u Pfitznera.

Nie miłość, tej nie mógł poczuć już nigdy do nikogo.

Ale rodzaj szacunku.

Forster przez cały wieczór mówił o zapowiadającym kolosalnym wyniku. Gdy przekazano mu, że znacznie rozminął się ze swoim celem, czyli wymaganą większością dwóch trzecich głosów, na sekundę odebrało mu głos. Po chwili jednak opanował się i wziął ledwie słyszalnie oddech.

– A teraz usłyszą państwo muzykę taneczną – oznajmił. – Czworko z Sopotu. Trochę harmonii po chaosie walki wyborczej. Miłe przypomnienie o pięknie naszej ojczyzny.

Pfitzner oczywiście nie podziwiał Forstera za to, że ten nie uzyskał większości, która pozwoliłaby odrzucić haniebną konstytucję. Podziwiał jednak fakt, że Forster zachował zimną krew i natychmiast przeszedł nad zdobytymi pięćdziesięcioma trzema procentami do porządku dziennego. Walczył dalej. Panom w Rzeszy kładł Gdańsk na talerzu, gdy tylko zamawiali feudalne menu. Forster był jednym z dobrych, Pfitzner nie mylił się co do niego. Mylił się jednak, zakładając, że Forster nie ma żadnych słabości.

Nie istnieli ludzie bez słabych punktów. Forster tylko na pierwszy rzut oka wydawał się bliski ideału. Na przykład nie widziało się u niego słabości do żony. Gdyby tę schludną blondynkę postawić nad przepaścią i zażądać od Forstera, by wyparł się Führera, aby ją uratować, nie mru-gnąłby nawet okiem i pozwolił jej rozbić się o skały. Tym bardziej rozczarowujące było jednak odkrycie w nim pewnej słabości. Forster upadłby na kolana, sprzedał swoją babkę i zapomniał o swoich ideałach dla piosenki *Świt na morzu*. Było to stosunkowo nieszkodliwe i dało się z tym wytrzymać. Gdzie jednak znalazło się jedną słabość, tam mogła kryć się i druga.

Dlatego też Pfitzner postanowił towarzyszyć Forsterowi na każdym kroku. Został jego osobistym sekretarzem. Forsterowi podobało się, że może traktować go jak swojego lokaja, a Pfitzner tolerował to, dopóki mógł robić swoje i notować. Przypomniawszy sobie Bodo Ołówka. Po tych wszystkich latach. Czyż nie byłby to dowód na ironię losu, gdyby ktoś z towarzyszącej wciąż Forsterowi eskorty nadał mu przydomek Fritze Pióro?

Ostatnio odbyli podróże do Berlina. Do Hitlera, który ze swoimi najwierniejszymi poplecznikami świętował rocznicę przejścia władzy. Tego rodzaju imprezy coraz bardziej denerwowały Pfitznera. Kiedy wreszcie ci wiecznie świętujący ludzie zajmą się Gdańskiem? Rok wcześniej włączono do Rzeszy Kraj Saary.

Kraj Saary wreszcie jest wolny.

Teraz, mój Gdańsku, kolej na ciebie!

– widniało na kolumnach i murach w mieście, ale teraz nikogo to już nie obchodziło. Podczas trwającego dwa dni zgromadzenia tylko jeden człowiek uznał za konieczne, by w ogóle wspomnieć o Gdańsku. Wilhelm Gustloff, członek partii od pierwszych chwil jej istnienia, ze względów zdrowotnych osiadł w Szwajcarii i tam działający na rzecz rozpowszechnienia myśli narodowosocjalistycznej, zagadnął Forstera przy bufecie.

– Nawet pan nie wie, jak dobrze pana rozumiem – powiedział do gauleitera, podczas gdy Pfitzner jak zawsze trzymał się dyskretnie z tyłu. – Oczywiście tutaj w Rzeszy każdy ma powód do wznoszenia toastów i świętowania, ale my? Ja w moim Davos i pan w swoim Gdańsku? Kto chce słuchać o tym, jak się męczymy?

Ponieważ człowiek ten nie miał do zaoferowania niczego oprócz narzekań, Pfitzner zanotował jedynie jego nazwisko, które później tkwiło samotnie i nieznacząco na kartce. Wrócili do domu. Bez sukcesu, jak to często bywało. Trzy dni później Wilhelm Gustloff zginął od pięciu strzałów w swoim mieszkaniu w Davos. Sprawcą był Żyd David Frankfurter, który niedawno imigrował do Szwajcarii, nie znał nawet Gustloffa osobiście i natychmiast po dokonaniu zbrodni zgłosił się na policję. Zabił Gustloff, by pokazać, że Żydzi nie pozwolą sobą pomiatać bez sprzeciwu, tylko że stawiają opór niesprawiedliwości narodowych socjalistów.

Pfitznera ogarnęło przez chwilę uczucie powinowactwa z tym człowiekiem. Jego idea miała w sobie pewien urok – a co, gdyby to sam Pfitzner dokonał mordu, gdyby na przykład zabił tego przekłętego Irlandczyka Seana Lestera, Wysokiego Komisarza Ligi Narodów, beczelnie decydującego o losie miasta, z którym nie łączyła go nawet jedna kropla krwi, nawet jedna komórka serca? On także zaraz po dokonaniu zbrodni mógłby zgłosić się na policję i oświadczyć, że zabił Lestera, by pokazać, że gdańszczanie nie pozwolą sobą pomiatać bez sprzeciwu, tylko stawiają opór niesprawiedliwości Ligi Narodów.

Czy taki mord wreszcie zwróciłby uwagę na cierpienia jego miasta?

Pfitzner w to wątpił. Również wrzawa wokół Żyda Frankfurtera szybko przebrzmiała. Poza tym nie wchodziło oczywiście w grę, by w sprawie Gdańska naśladować postępek Żyda. Z jego punktu widzenia robiono, co prawda, zbyt wiele hałasu wokół kwestii żydowskiej, ale nie oznaczało to, że Żydzi coś dla niego znaczyli. Zwalczanie ich po prostu w niczym mu nie służyło. To, że Żydzi znikną z Gdańska, nie mogło uczynić jego miasta wolnym, dlatego wołał zajmować się prowadzeniem kartoteki niepożądanych Polaków.

Gdyby to zależało od Pfitznera, wszyscy Polacy byłiby niepożądani. Wpisywanie do kartoteki tych, którzy okazywali wrogość Niemcom, którzy unikali pracy, byli aroganccy i buntowniczy, a tym samym we właściwym czasie mogli zostać zatrzymani, deportowani lub zlikwidowani, dawało mu pewną satysfakcję i zajęcie, gdy znowu nie działo się nic innego.

Żydów zostawiał innym. Z jednym wyjątkiem. Zamierzał sam zająć się zgrają krewnych Bodo Ołówka, o których zupełnie przez przypadek dowiedział się, że mieszkają w pobliżu ulubionego hotelu Forstera. Również ten plan dawał Pfitznerowi zajęcie w czasie, gdy, jak to często bywało, sprawy nie posuwały się naprzód. Nie wchodziło w grę, by po prostu zastrzelił swojego wroga, tak jak uczynił to Żyd Frankfurter. Po pierwsze, jego wyniszczone ciało nie nadawało się już do obsługi broni, a po drugie, taka śmierć byłaby śmiesznie łagodną karą za to, co musiał wycierpieć Pfitzner, który został skazany na życie, na niekończącą się udrękę.

Żał mu było owego Gustloffa. Któż chciałby tak umrzeć, oddalony o całe lata świetlne od swojego celu? Świetnie nadawał się jednak na męczennika ich ruchu, który po mistrzowsku wykorzystywał męczenników. Nie tak dawno podczas akcji na zebraniu Niemiecko-Narodowej Partii Ludowej pewien pijany syfilityk nazwiskiem Deskowski wypadł przez szklany dach i niedługo potem wyzionął swojego schorowanego ducha. Forster, wykazujący się w tym zakresie niemal wrodzonym talentem, uczynił z tego żalostnego robaka bohatera, a Hitler nadał oddziałowi SA, do którego należał Deskowski, jego imię. Również po śmierci Gustloffa Forster zacierał ręce.

– Zobacz pan, Pfitzner. Führer jeszcze nazwie statek na cześć Gustloffa.

– Jaki statek?

– Mój Boże, Pfitzner! Ile jeszcze razy będzie mnie pan o to pytał? Mówię oczywiście o tym statku, który Blohm & Voss buduje w Hamburgu dla Kraft durch Freude. W maju ma być wodowany. Będzie to największy statek rejsowy na świecie. Basen, sala gimnastyczna, wszystko, a do tego oczywiście sala muzyczna. I tylko jedna klasa, bez rozróżnienia na biednych i bogatych. W pełni narodowosocjalistycznie. Gdy Führer nazwie ten wspaniały statek na cześć Wilhelma Gustloffa i ochrzci go w obecności wdowy, ponownie przyciągnie to ludzi do naszej idei.

– Z tego, co wiem, za Kraft durch Freude odpowiada Robert Ley, podczas gdy pan ma zadbać o Gdańsk – odparł Pfitzner i wrócił do swojej pracy. Nie zaprzeczał, że wszystkie te kwestie propagandowe mogą w końcu przysłużyć się Gdańskowi, że również Czworo z Sopotu, których Forster wychwalał pod niebiosa, przydaje się Gdańskowi, a przynajmniej sprawia, że nazwa miasta pojawia się w rozmowach, ale w dni takie jak ten miał dość tego ślimaczego tempa.

W dni takie jak ten pragnął tego samego, czego pragnął w 1918 roku w okopach pod jakąś flandryjską wioską – jednego szybkiego uderzenia. Bomby, która rozerwałaby jego wrogów na strzępy.

28

Kwiecień 1938

Niecały rok wcześniej w Hamburgu odbyło się wodowanie. Czworo z Sopotu popłynęło barkasem do doku stoczni, gdzie gigantyczny statek wystawał ponad budynki i rusztowania. Z jego pokładu wykonali przed milczącym tłumem *Świt na morzu*. Jak opowiadano potem Gundi, wdowa po zamordowanym, na którego cześć ochrzczono statek, stała na trybunie obok Hitlera i Roberta Leya, przywódcy Niemieckiego Frontu Pracy, i płakała.

Gundi współczuła tej kobiecie. Julius opowiadał, że stojąc w drzwiach swojego salonu, musiała bezradnie przyglądać się, jak ciało jej męża przeszywają kule. Na samo to wyobrażenie Gundi dostawała dreszczy. To miło, że ich piosenka sprawiła wdowie nieco radości. Było też dla niej pewną pociechą, że najwspanialszy statek rejsowy wszech czasów nosił imię jej męża. „Wilhelm Gustloff”. Okręt, który miał nieść ludziom radość.

– Kraft durch Freude, Siła przez Radość, to najkrótsze określenie tego, czego chcą nowe Niemcy – przemawiał Robert Ley głosem podobnym do stukającej blaszanej pokrywki. – Chcemy żyć nie dla samej radości, ale aby z niej czerpać i zapewnić, że Niemcy będą wieczne.

Jak zwykle przy tego rodzaju przemowach, czy to w Rzeszy, czy w rodzimym Gdańsku, Gundi z trudem powstrzymywała się od śmiechu. Mówcy zawsze bili się w piersi tak mocno, że można było obawiać się o ich kręgosłup, zawsze krzyczeli tak głośno, że tryskały kropelki śliny, i zawsze przywoływali to, co najlepsze, największe i wieczne. Gundi podobało się jednak, że w przemówieniu często padało słowo „radość” i że Ley ponownie podkreślił, iż każdy Niemiec powinien zyskać siłę do radzenia sobie ze swoimi troskami. Za to lubiła całą tę ideę i ten wspinały statek, który za rok miał wyruszyć w swój dziewiczy rejs i przysporzyć tysiącu pięciuset urlopowiczom radości, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyli.

Postanowiła, że pomyśli wtedy o biednej pani Gustloff. Oraz że będzie traktować własnego męża z większym szacunkiem. Dał jej tak wiele, żądając tak niewiele, zdejmował z niej wszystkie ciężary i równał przed nią drogę, aby jej życie mogło toczyć się tak, jak tego pragnęła. Jutro mogła nie mieć już okazji, by mu za to podziękować i powiedzieć, że go kocha. Tak jak w przypadku Hedwig Gustloff.

Oboje stale byli zajęci, dni upływały im w takim pośpiechu, tak były wypełnione spotkaniami, że z trudem dawali radę porozmawiać o czymś więcej niż o najważniejszych kwestiach: na kiedy wyznaczyć pierwszą próbę nowego utworu, kto zaangażuje muzyków studyjnych na koncert noworoczny w radiu, co z ofertą firmy płytowej? Ogrodnik złożył wymówienie, gdzie do wiosny znajdą nowego? Czy Julius pamiętał, by upomnieć nianię Ariany za opowiadanie jej strasznych bajek? A kucyk szetlandzki na jej urodziny – czy naprawdę jest potulny jak baranek i czy nie zrzuci dziecka?

Na rozmowy o uczuciach nie zostawało wiele czasu. Ale to nie było usprawiedliwienie. Kto został w życiu obdarzony takim szczęściem, musiał od czasu do czasu zatrzymać się i sobie o tym przypomnieć. Julius regularnie pytał ją, czy jest szczęśliwa, nie przepuszczał ku temu żadnej okazji. Również teraz, gdy wreszcie nadeszła pora i ich barkas dotarł do wyciągniętego już z doku „Wilhelma Gustloff”. Okręt Kraft durch Freude miał już za sobą pierwszą krótką podróż przez kanał La Manche. Posłużył wtedy za swego rodzaj pływający lokal do głosowania

dla osiadłych w Wielkiej Brytanii Niemców i Austriaków, którzy mieli zdecydować o anszlusie Austrii.

Przyciszonym głosem bezlitośnie drwiono z tego, że anszlusu już dokonano, przecież oddziały Wehrmachtu wmaszerowały do stolicy Austrii, po co więc jeszcze głosowanie? Gundi nic nie wiedziała, na politykę miała równie mało czasu jak na miłość. W drodze powrotnej ze swojej kontrowersyjnej misji „Gustloff” odebrał sygnał alarmowy z uszkodzonego brytyjskiego masowca i nim ten zatonął, wysłał łódź motorową na ratunek. Wszystkich dziewiętnastu członków załogi uratowano i od tej pory nawet brytyjska prasa wychwalała „Gustloffa”.

Po tej akcji ratunkowej Niemcy zyskali większe poważanie, podobnie jak dwa lata wcześniej podczas Igrzysk Olimpijskich. Gundi cieszyła się z tego. Uwielbiała podróże, uwielbiała spotykać ludzi z obcych krajów i porozumiewać się rękoma, nogami i śmiechem, ale czuła się nieprzyjemnie zaskoczona za każdym razem, gdy ktoś traktował ją wrogo tylko dlatego, że była Niemką. Podczas tej podróży – bardzo wyjątkowej podróży – na pewno to się nie zdarzy. Julius twierdził, że oburzenie wywołane anszlusem Austrii już przycichło. Jeśli Austria i Niemcy chciały utworzyć jedno państwo, jak według Juliusa zamierzały już po wojnie, dlaczego im na to nie pozwolić?

Innych krajów nie powinno to obchodzić, tłumaczył jej. I że dotyczy to również Gdańska. Gundi odsuwała od siebie myśl, że w tym toku rozumowania jest coś niepokojącego. Teraz, gdy spuszczone drabinkę, by mogli dostać się na pokład „Gustloff”, Julius i tak nie mówił już o polityce.

Puścili Erika i Lore przodem. Gundi uwielbiała tę chwilę, gdy siedzieli nadal w barkasie, otoczeni przez morze, gdy fale lizały burtę, a w nozdrzach miała zapach soli, wodorostów i przygody, ale mimo to czuła się pewnie i bezpiecznie niczym w objęciach.

– Jesteś szczęśliwa? – spytał Julius.

Gundi skinęła głową i chciała coś odpowiedzieć.

Julius jednak ją uprzedził.

– Jak mogłabyś nie być – stwierdził. – Masz dziś wreszcie na pokładzie swojego Popa i swoją ciotkę Karl, tak jak od dawna pragnęłaś. Musisz dosłownie tryskać szczęściem.

Miał rację. Gdyby zależało to od Gundi, Pop i ciotka Karl już przed niemal czterema laty zajęliby kabinę podczas ich pierwszego rejsu na południe, ale oni wciąż znajdowali nowe powody, by odmówić.

– Nie chcę tego przyjąć, dziewczuszko – brzmiała pierwsza wymówka Popa. – Rejsy statkiem to coś dla bogaczy, a ja nie chcę, żebyś wydawała tyle pieniędzy na mnie, starego dziwaka.

– Teraz jest inaczej – protestowała Gundi. – Rejsy statkami są dla wszystkich – przede wszystkim dla tych, którzy przez całe życie pracowali.

– Tak, tak – przerwał jej, nie podnosząc głosu. – Teraz jest inaczej. Tylko wolimy nie zastanawiać się, jaka jest cena tego wszystkiego.

– Pop! – tym razem to ona przerwała jemu, w dodatku głośno i ostro. – Nie chcę się z tobą przekomarzać, tylko wyruszyć w rejs. Do Włoch, Neapolu, gdzie jest tak gorąco, że jeśli ma się ochotę, można przez cały dzień chodzić w kostiumie kąpielowym.

– Niech mnie piorun strzeli – wymruczał Pop. – Żeby tylko Włochom i temu ich Duce nie opadły szczęki z przerażenia.

Nie popłynął do Włoch. Oficjalnie dlatego, że miał zbyt wiele do roboty przy przeprowadzce. Tak twierdził ten kłamca, który zakwaterował się w pokoju w pensjonacie Sonnenschein z jedną tylko walizką, nie rezygnując ze swojego mieszkania w Langfuhr.

– Musisz to zrozumieć – tłumaczył Gundi skruszony. – Jeśli potrzebny ci jeszcze taki staruszek jak ja, jestem na twoje zawołanie, ale zupełnie wyprowadzić się z Langfuhr? Nie, dziewczuszko. Nie mogę.

Tak właśnie się stało – ciotka Karl i Pop byli na zawołanie, bo Gundi ich potrzebowała. Przychodzili codziennie do mieszkania, które załatwił w Sopocie Forster dla młodej rodziny, dbali o sprawne prowadzenie gospodarstwa i byli cudowni wobec Ariane, ale nie przyjmowali dobrodziejstw, którymi Gundi chciała ich obsypać. Pop przynajmniej przestał pracować. Dostawał niewielką emeryturę, udostępnił pokój w swoim mieszkaniu podnajemcy i z tego się utrzymywał. Ciotka Karl nadal wynajmowała pokoje.

W drugiej zaplanowanej podróży do Włoch nie wzięli udziału, ponieważ Ariane miała odrę. Kolejnej wiosny nie popłynęli na norweskie fiordy.

– Jeszcze coś tam sobie odmrozę, jeśli będę przez cały dzień biegać w kostiumie kąpielowym – dowcipkował Pop, nie podając dalszego uzasadnienia.

Latem partia Forstera odkupiła dom od pewnego bankrutującego właściciela i zaproponowała Juliusowi jego wynajem.

– Ma widok na morze i wspaniały ogród, gdzie będzie mogła się bawić wasza mała. Poza tym potrzebny jest panu naprawdę reprezentacyjny dom, Scharneck. Reporterzy z magazynów mogliby tam robić piękne zdjęcia, a „Wochenschau” też chętnie zamieściłaby coś o Scharneckach.

Nie był to dom, tylko willa. Zbudowana na planie litery „L”, z wieżyczką nad każdym załomem dachu, z zadaszonym tarasem, licznymi wykuszami i przeszkloną werandą. Ogród okazał się parkiem, a tuż za kutym żelaznym ogrodzeniem zaczynało się morze.

Po obejrzeniu domu Julius wpadł podekscytowany do baru w Kasino-Hotelu, gdzie spotkali się we czworo na drinka przed występem.

– Gundi, musimy go mieć – zawołał do niej, przekrzykując rozmowy i brzęk kieliszków, bo wcześniej Gundi nie chciała tam zamieszkać. Z opisu uznała dom za zbyt duży, zbyt pompatyczny, nie czuła się na niego gotowa, a cena za wynajem, którą podał Forster, wydała się jej zbyt niska. Niepokojąco niska. Julius jednak wyglądał, jakby pokonał biegiem całą drogę z drugiego końca Parku Zdrojowego i jakby nie było już miejsca na dyskusję.

– Jest aż tak ładny? – spytała bez entuzjazmu.

– Gundi, on znajduje się przy Ernststraße. To dom Harro Seesena!

Leżał o dwa domy od posiadłości ojca Juliusa i był co najmniej dwukrotnie większy. Choć Gundi nie chciała takiego obciążenia, rozumiała, że Julius musiał tam zamieszkać. Gdy zaś sama zobaczyła willę, białą, z dachem krytym czerwonym gontem i z krętymi korytarzami, tarasami i wykuszami, jej serce zabiło mocniej. Ona nie potrzebowała tak wystawnego domu. Gdyby jednak go miała, gdyby jej mała dziewczynka dorastała w takim pałacu, bawiła się w wielkim ogrodzie w chowanego i pikniki dla lalek, może uciszyłoby to wyrzuty sumienia Gundi.

Jej mała dziewczynka nie miała niebieskiej torby i nie była najszcześliwszym dzieckiem nad Bałtykiem. Lecz będzie mogła rankiem otworzyć dwuskrzydłowe drzwi wychodzące na tylny taras i w nocnej koszuli

przebiec przez ogród, by znaleźć się nad morzem, na plaży, jakby należały do niej.

Pod względem praktyczności Erik i Lore nadal nie mieli optymalnego lokum, a w domu Seesena były w głównym skrzydle trzy, a w bocznym dwie sypialnie.

– Moglibyśmy mieszkać wszyscy razem! – Ten pomysł spodobał się Gundi. – Obawiam się, że w ogóle nie będziemy już sypiać, tylko gadać całymi nocami.

Do tego dochodziły pokoiki na poddaszu, w których można było umieścić nianię oraz wreszcie także kucharkę. Ciotce Karl pozostawiałoby wtedy tylko nadzorowanie ich pracy, bez codziennej harówki. Na parterze znajdowało się kilka dużych pomieszczeń, określanych jako pokoje reprezentacyjne i noszących niezwykle światowe nazwy jak salon i buduar. Mogli przejąć pozostawione przez właścicieli meble, które i tak były zbyt ciężkie, by wynieść je z domu. W salonie alabastrowy kominek wysokości człowieka z pewnością mógł ogrzać salę taneczną, a salon z łatwością dało się w nią przekształcić – cały dom był wręcz stworzony do tego, by bawić się w nim wspólnie ze wszystkimi ich przyjaciółmi.

Lore i Gundi biegały jak dzieci po wszystkich pomieszczeniach i wyobrażały sobie wspaniałe przyjęcia:

– Tutaj postawimy bufet, a tam musi stanąć gramofon – ach, w ogóle gramofon w każdym pokoju! I jeszcze ogród zimowy! Dla wszystkich tych, którzy chcą słuchać muzyki i marzyć o morzu, tak aby nie przeszkadzały im hałasy pozostałych.

Ów ogród zimowy od razu stał się ulubionym miejscem Gundi. W przeciwieństwie do reszty domu wyposażony był w lekkie meble z plecionej wikliny, pomiędzy którymi umieściła donice z palmami i pamiątki z podróży. Gdy siedziało się tam w pogodny sierpniowy dzień, a słońce odbijało się od wielkich okien, można było popijać kolorowy koktajl z wisienką maraschino i zapomnieć o tym, że mieszka się na północy Europy. Kiedy jednak nadchodziła jesień i deszcz uderzał o szyby, ale także wtedy, gdy pogoda się uspokajała i słyszało się tylko huk morza, człowiek wiedział dobrze, gdzie się znajduje: nad Bałtykiem. W Sopocie. W domu.

Gundi sądziła, że nigdy nie zdoła zappełnić tego wielkiego, obcego budynku, ale nim zdołała się obejrzeć, stał się jej domem. Był jak dla

niej stworzony.

– Willa Gundula – powiedział Julius ze śmiechem.

Dla Ariane, która była grzeczną, spokojną dziewczynką, najpiękniejsza w tym wszystkim wydawała się perspektywa, że dzień i noc będzie mieć przy sobie Leksa, za starego już, by wciąż uczestniczyć w podróżach. Jeśli nikt nie protestował, wpuszczala go do swojego łóżka. Julius zdecydowany był kupić jej kucyka, gdy tylko będzie dość duża, by móc na nim jeździć.

Wprowadzili się zatem do wielkiego domu przy Ernststraße, w środku sezonu, gdy występ gonił występ i nie mogli się o nic zatroszczyć. Ponownie pomogli Pop i ciotka Karl, co rozwiązało kwestię ich morskiej podróży tego roku. Rok później Ariane zachorowała na szkarlatynę, a zaraz potem na świnkę. Poza tym im była starsza, tym więcej mieli problemów z nianią. Fräulein Helene wzbudzała w dziewczynce lęk. Wmawiała Ariane, że od robienia grymasów dostanie paraliżu twarzy albo że obudzi się z psim pyskiem, ponieważ nocą w jej łóżku spał owczarek. Ariane błagała Popa i ciotkę Karl, by nie zostawiali jej samej, więc i w kolejnym roku podróż odpadła. W dodatku niemożliwe okazało się znalezienie kucharki na stałe, więc pojawiała się jedna wymówka za drugą.

To, że dziś weszli jednak na pokład, aby wziąć udział w rejsie „Wilhelma Gustloffa” na południe, do czarującej Lizbony i na kwitnącą wyspę Maderę, było prawdziwym cudem. A raczej wielkim cudem. Gundi przestała już w to wierzyć i teraz, gdy tego przepięknego wiosennego dnia siedziała w barkasie i Julius o tym wspomniał, niemal pociekły jej łzy.

– Tak, jestem szczęśliwa, bo wreszcie zaciągnęłam na pokład Popa, tego uparciucha – przyznała. – Chcę, żeby były to dwa najpiękniejsze tygodnie jego życia. Nie musimy odbywać próby przed naszym występem na wieczorku powitalnym, prawda, Ju-Ju? Chciałabym wcześniej wszystko Popowi pokazać. Czytelnię, gdzie nic nie musi robić, tylko może usiąść wygodnie z gazetą, i gdzie podadzą mu tabakę. Siedem barów – ach, nie, na „Gustloffie” nazywają to wyszynkami. – Roześmiała się. – Pokład słoneczny, gdzie może na leżaku cieszyć się morskim powietrzem, i basen z malowidłami ściennymi oraz oczywiście salę muzyczną i wielką restaurację...

Urwała. Wzrok Juliusa spotkał się z jej wzrokiem, a uśmiech Juliusa powiedział jej, że cieszy się on razem z nią. Kiedyś pokłócili się i rzucił jej w twarz:

– Chciałbym choć przez jeden dzień być dla ciebie tak ważny jak twój Pop.

Ale to było już dawno temu. Wtedy przypomniała mu, że przed ślubem ostrzegła go przecież, że nie stanie się inną osobą, niż jest. Julius przeprosił i już nigdy więcej nie powiedział nic podobnego.

– Cudownie jest widzieć cię tak szczęśliwą – stwierdził teraz. – Wiesz, że stajesz się coraz piękniejsza, im mniej w tobie dziewczynki i rozkwitasz jako kobieta?

– Ach, Ju-Ju, jesteś taki kochany. Ale szczerze mówiąc, nadal czuję się jak dziewczynka. Chyba jestem jedną z tych okropnych osób, które nigdy nie dorastają.

– Nie jesteś okropna. – Pocałował ją w policzek. – Wręcz przeciwnie. Jesteś moim szczęściem, Gundi. Nawet jeśli ja nie jestem twoim.

Ból w jego głosie, który Julius próbował przykryć uśmiechem, bolał i ją. Szczęściem było dla niej tyle rzeczy – muzyka, w której się spełniała, cudowne życie z przyjaciółmi, podróże, przygoda odkrywania dalekich krajów i fala błogości po powrocie do domu, pewność, że to jest jej dom – jej Gdańsk, jej Sopot, jej morze i jej Pop. Nie chodziło o Juliusa. Chodziło o to, że była aż za bardzo bogata, za bardzo można jej było zazdrościć.

Przypomniała sobie wieczór, gdy jedli w kuchni pączuszki i ciotka Karl spytała, co Gundi kocha najbardziej na świecie. Wtedy skłamała i ciotka Karl od razu to zauważyła. Od tamtej pory nigdy już nie próbowała kłamać. Gdyby Julius to zauważył, czy nie poczułby się jeszcze bardziej zraniony?

W luku pojawiły się dwie głowy i jakiś głos do nich zawołał. Julius podał Gundi rękę, by pomóc jej wstać.

– Musimy iść. Nie chcesz przecież, by z twoim Popem na pokładzie odpłynął bez nas.

– Nie, nie chcę. – Gundi pozwoliła sobie pomóc, objęła go i pocałowała w gładko ogolony podbródek. – Obaj jesteście moim szczęściem – mój Pop i mój Ju-Ju. Tak jest w porządku, nie sądzisz?

Jego twarz ożywiła się.

– Jeszcze jak w porządku. To chyba najpiękniejsze słowa, jakie kiedykolwiek od ciebie usłyszałem. Kocham cię, Gundi. Nie wiesz nawet jak bardzo.

Gundi pomyślała o wdowie Gustloff, o uczuciu ciepła i bycia w świecie, który przez jedną noc mógł rozpaść się na kawałki.

– Ja też cię kocham, Ju-Ju.

Pocałował ją. Musiał to być przelotny pocałunek, bo z góry znowu zawołał ich steward, który chciał już wciągnąć drabinę, ale liczyło się tylko to, że między nimi dwojgiem wszystko jest w porządku. Julius niczego nie zauważył i tym razem go nie zraniła.

– Ale teraz szybko. – Uśmiechnął się szelmowsko niczym chłopiec. – Żeby Peter Otto Paul Frieböse, stary stoczniowy stolarz, nie zdążył rozebrać statku na części.

– Paul Otto Peter Freiböse. – Uśmiechnęli się do siebie. Potem Gundi stanęła na pierwszym szczeblu drabinki i weszli na pokład, w samą porę, nim statek podniósł kotwicę i obrał kurs na południe.

29

Nie było wątpliwości co do tego, że Pop cieszy się podróżą. Nawet jeśli stary uparciuch początkowo się przed nią wzbraniał. W każdym razie rejs sprawiał przyjemność ciotce Karl, a u Popa była to już połowa sukcesu. Ciotka Karl poszła do fryzjera, była to niespodzianka, którą przygotowała dla niej Gundi, i wyszła od niego z mnóstwem jedwabistych, niebieskawych fal.

– Ukochana Ernestine, wyglądasz jak lody z bitą śmietaną – zagaił Pop najpiękniejszą wysoką odmianą niemieckiego, bez gdańskich naleciałości, a ciotka Karl oblała się rumieńcem.

Tańczyli razem do muzyki Czworoga z Sopotu. Z dziecięcym zaciekawieniem próbowali w restauracji jednego dania po drugim, a potem popijali koktajle w sali muzycznej. Przede wszystkim jednak spędzali całe godziny na słonecznym pokładzie i z podziwem obserwowali, jak morze zmienia się, a zarazem pozostaje wciąż takie samo. Gundi widziała na ich twarzach to, co sama czuła podczas swojego pierwszego

rejsu: morze było niczym niedziela w Sopocie. Nie miało końca. Naprawdę.

Wcześniej Gundi wiedziała, że Pop planuje znowu spławić ją jakąś wymówką, i postanowiła, że będzie to jej ostatnia próba. Jeśli nie zechce popłynąć z nią na „Gustloffie”, więcej go o to nie poprosi. Tym razem nie mógł zasłaniać się Ariane: ona i dom byli w rękach najlepszych z możliwych, a ciągle problemy z nią w cudowny sposób rozwiązały się same, podobnie jak wiele spraw w życiu Gundi. Gdyby więc mimo to powiedział nie, musiała pogodzić się z tym, że nie chce jej prezentu. Ta myśl wywołała w niej zaskakująco ostry ból. Nie podejrzewała, że jakiś człowiek może zadać jej takie cierpienie – a już najmniej ukochany Pop.

Zwróciła się zatem do niego:

– Powiedz mi prawdę, Pop. Bez ogródek. Nie chcesz ze mną podróżować, prawda? Tak się na to cieszyłam. Od lat wyobrażałam sobie, że podaruję tobie i ciotce Karl ten rejs, ale jeśli tego nie chcesz, przestanę cię namawiać. To i tak nie pomoże.

– Nie jest tak, że tego nie chcę, dziewczuszko – zaczął, ale Gundi nie pozwoliła mu się wykręcić.

– Nie traktuj mnie jak głupiej, Pop. Nie może chodzić o Ariane, z Zosią i Różą ma tak dobrze jak pączek w maśle. A zatem powiedz mi, że tego nie chcesz, a ja już nigdy nie będę do tego wracać.

Sprawa z Zosią i Różą była kolejnym ze szczęśliwych zbiegów okoliczności, które mnożyły się w jej życiu. Gundi straciła cierpliwość do Fräulein Helene. Ariane płakała przez ból brzucha, lekarz podejrzewał zapalenie wyrostka, ale prawdziwą winną okazała się niania. Wmówiła małej, że od wszystkich zadawanych przez nią pytań zrobią się jej w brzuchu dziury. A przy tym Ariane nie zadawała nawet w połowie tylu pytań, ile zadawałaby na jej miejscu Gundi. Dysząc z wściekłości, własnoręcznie wyniosła więc torbę i walizkę Fräulein Helene przed kutą bramę, chwyciła córkę za rękę i poszła z nią na tort do cukierni.

Na Seestraße. Żaden prawdziwy miłośnik tortów w Sopocie nie chodził nigdzie indziej. Gundi nie lubiła hałasu w Baronskym, a w Pudlu nie odważała się pokazać, choć bardzo za nim tęskniła. Powstrzymywało ją niejasne poczucie niewierności, choć był to przecież nonsens – żaden człowiek, żaden rozumny artysta nie odrzuciłby oferty, którą przedstawił im Forster, i to Natan zmusił Juliusa, by wybierał, nie odwrotnie. Ponieważ jednak od lat obchodziła łukiem ów najprzytulniejszy lokal w Sopo-

cie, udała się z Ariane do nowej lodziarni Venezia przed wejściem do Domu Zdrojowego. Zamówiła dwa kawałki tortu czekoladowego z podwójną porcją lodów waniliowych, a dla siebie dodatkowo poncz jajeczny. Dopiero gdy spróbowała już wszystkiego, poczuła się dość odważna, by zastanowić się nad tym, kto od jutra ma opiekować się jej córką, podczas gdy ona sama uda się w podróż z Czworkiem z Sopotu. Ariane rozgrzebywała widelcem lody i tort, czyniąc z nich pobjowisko.

– Fräulein Helene mówi, że będę zawsze chorować, bo nie jestem prawdziwą niemiecką dziewczyną – opowiadała w swoim dzieciennym języku, nie unosząc wzroku znad bałaganu na talerzu. – Mam artystyczną krew. To nie jest zdrowe.

Gundi zachłysnęła się ponczem.

– Ona sama chyba nie jest zdrowa! – rzuciła, kaszląc i rozbryzgując okruchy tortu i kropelki lodów. – Ma źle w głowie.

Więcej nie dała rady wykrztusić, bo inaczej udusiłaby się od kaszlu. Zresztą i tak nie wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć swojej czterolatce. Czują się przytłoczona. Powróciły wspomnienia o sprzedawcy towarów kolonialnych Lehwaldzie, o lękach, które leżały pogrzebane tak głęboko, że nie miały nawet twarzy. Pozostał jednak jeden obraz z czarnej nocy, koc, pod którym się kuliła, i ściana, którą pytała: dlaczego matka zostawia mnie samą z tym złym człowiekiem?

Była matką Ariane. Zostawiła Ariane samą ze złą kobietą. Od kaszlu pękała jej pierś, ale ktoś stanął obok i poklepał ją po plecach. Ten sam ktoś skinął na zaspaną kelnerkę, która raczyła w końcu przynieść Gundi zbawczą szklanekę wody. Chwilę trwało, zanim Gundi mogła się napić, a potem jeszcze chwilę, zanim kaszel się uspokoił. Wreszcie uniosła wzrok.

– Nie chcę ci przeszkadzać, Gundulo. Ale widziałam, jak tu wchodzisz, a pilnie potrzebuję pomocy. Nie dla mnie. Dla ojca i Róży. I Jeszka.

Obok niej stała Zosia. Tak chuda, że czerwony kostium, który ta utalentowana istota z pewnością uszyła samodzielnie, wisiał na niej, i wyraźnie zrozpaczona, ale zarazem tak urocza, że Gundi zrobiło się ciepło na sercu. Lubiła Zosię. Tęskniła za nią.

– Chodź, siadaj, Zosiu, tak się cieszę, że cię widzę. Jeśli mogę ci pomóc, chętnie to uczynię – ty też mi przecież pomogłaś. – Powiedzieć,

że Zosia jej pomogła, to jakby nic nie powiedzieć. Wszystko, kim była Gundi, wymarzone życie, które wiodła, zawdzięczała Polce. Po kilku namowach ta pozwoliła wreszcie zamówić dla siebie tort i likier śliwkowy. Gundi poprosiła kelnerkę o papier i ołówek dla Ariane, żeby mogły spokojnie porozmawiać.

Zosia była taka jak Gundi, co w sercu, to na języku – po pierwszych kroplach likieru wyznała wszystko. Jej szwagier stracił swój sklep. Już od lat ludzie z partii nazistowskiej, jeszcze niemal dzieci w krótkich spodenkach, stawali przed sklepem i trzymali tablice z hasłem „Niemcy, nie kupujcie u Polaka”. Henryk Kościuszko przetrwał, bo miał stałych klientów, którzy nie chcieli rezygnować z oferowanych przez niego wysokiej jakości towarów. W końcu jednak nagonka stała się zbyt silna. Prześladowcy tłukli Kościuszce szyby, pobili jedną z klientek i w końcu nikt już nie odważał się u niego kupować.

– Tak mi przykro, Zosiu. Szkoda, że wcześniej do mnie nie przyszedł. Forster gada dziwne rzeczy i potrafi grać na nerwach, ale odwołałby swoich drabów. I co teraz? Sklepu nie da się już uratować?

Zosia pokręciła głową, jej szczupłe ciało całe zadrgało. Ciemne oczy wydawały się zbyt wielkie na urzekająco pięknej twarzy.

– Musimy wynieść się ze sklepu i z mieszkania. Już jutro. Niemcy czekają przed drzwiami, żeby się wprowadzić.

– To niemożliwe! – Gundi skinęła na kelnerkę i zamówiła dla Ariane lemoniadę, by czymś ją zająć. – Czy może pani pokazać jej, jak wyciska pani cytryny? Byłabym bardzo wdzięczna.

Kelnerka odeszła z Ariane, Zosia zaś złożyła dłonie i mówiła dalej, napinając wargi:

– To prawda, Gundulo. Róża nosiła pod sercem dziecko, wreszcie, tak długo tego pragnęła. Też chciała mieć taką słodką dziewczynkę, jak masz ty, albo małego chłopca dla Henryka. Ale po tym, jak ludzie wybili nam okna w sklepie i krzyczeli: „Niemcy, nie kupujcie u Polaka”, Róża upadła, wszystko pełne krwi, dziecko wyszło i było martwe.

– Nie, Zosiu!

– Też to sobie mówię – odparła Zosia. – Mówię sobie dzień i noc: nie, nie, nie. Biedna, biedna Róża. Tak bardzo kocha dzieci. Ale mówiąc „nie”, nie pomogę Róży ani ojcu, który nie może zamieszkać w małej dziurze ciotki Ireny. A już na pewno nie Jeszkowi, temu nicponiowi,

który znowu trafił do więzienia. Dlatego przychodzę do ciebie – masz teraz duży dom, może potrzebujesz pracownic? Możemy robić wszystko, wiesz, że nieźle radzimy sobie z praniem.

Umysł Gundi pracował błyskawicznie. Wzięła dłonie Zosi w swoje.

– Biedna Zosiu – powiedziała. – Biedna, kochana Zosiu. Pamiętasz jeszcze, jak powiedziałaś mi, że trzeba dawać innym to, czego właśnie potrzebują? Mam wrażenie, że my dwie zawsze spotykamy się właśnie wtedy, gdy jedna z nas ma do podarowania to, czego potrzebuje druga. Pilnie potrzeba mi niani, takiej, która kocha dzieci, a także kogoś, kto pomoże mojej starej ciotce z gospodarstwem. Mamy dość miejsca. Dla twojego ojca, który nie da rady wejść aż na poddasze, znajdziemy coś innego. A twój brat? Dlaczego znowu jest w więzieniu?

– Obraził Niemca – odparła Zosia znudzona. – Policjanta.

– Zajmę się tym. – Gundi ścisnęła dłonie Zosi. – Nie martw się.

– I naprawdę możemy przyjść do ciebie?

– No jasne. Liczę na was. A co z twoim szwagrem?

– Idzie do wojska – powiedziała Zosia. – Na Westerplatte. Nie może być wojny, bo inaczej moja Róża się załamie.

– I nie będzie – obiecała jej Gundi, po czym zamówiła jeszcze po likierze.

Reszta tego, co wyglądało na górę problemów, rozwiązała się w pół dnia. Ojciec Zosi, inwalida, zamieszkał w jednym z pokojów w pensjonacie ciotki Karl, a Róża i Zosia wprowadziły się do pokojów na poddaszu. Ariane chowała się pod fartuchem Róży, jakby tam znalazła schronienie przed groźbami Fräulein Helene. Róża zaś, która zwykle wszystkim schodziła z drogi, otoczyła dziewczynkę miłością. Dała się nawet przekonać do tego, by zaparzać herbatę z dzikiej róży jak Pop, ponieważ napój uspokajał Ariane tak, jak niegdyś uspokajał Gundi. Zosia nie wykazywała wrodzonego talentu do prowadzenia gospodarstwa, ale starała się, jak mogła. Była przy tym zawsze przyjazna, wręcz wesoła, a ciotka Karl już przed laty zapalała do niej sympatią.

Co do brata, wystarczyła krótka rozmowa z Wernerem Schlichertem, szefem policji we Wrzeszczu, który chodził z Popem i Kapahnkem do Kroog. Jeszek Pajewski zrywał plakaty narodowych socjalistów ze słupa ogłoszeniowego przed Poczta Polska, a policjanta, który chciał mu w tym przeszkodzić, nazwał gnojkiem. Nie był to pierwszy raz, gdy

zwrócił na siebie uwagę swoją wrogą wobec Niemców działalnością, a szefowi policji nie spodobało się, że ma puścić mu to płazem. Gdy jednak dowiedział się, że sama Gundi Słoneczko z Czworka z Sopotu o to prosi, formalności załatwiono od ręki. Na Poczcie Polskiej przyjęto rap-tusa z powrotem, bo przy całej swojej porywczoci był bystry, a zakwa-terowanie znalazł u kolegi. Wszystko było załatwione. Nie prowizorycz-nie i w pośpiechu, lecz trwale i dobrze.

– Nie traktuj mnie jak głupiej, Pop – powiedziała zatem Gundi do Popa, choć przyszło jej to z trudem. – Ariane ma z Zosią i Różą tak dobrze jak pączek w maśle. A zatem powiedz mi, że tego nie chcesz, i sprawa będzie zamknięta.

– Ach, moja dziewczuszko. – Pop wstał i przyciągnął Gundi do siebie, tak że nie mogła już widzieć jego twarzy i czytać w jego oczach. – Nie wiedziałem, że tak ci na tym zależy. Jestem starym uparciuchem i nigdy nie przyjmowałem od nikogo niczego w prezencie. A już na pewno nie od kogoś, kogo nie mogę znieść.

– Ode mnie też nie, Pop? Mnie nie możesz znieść?

– Bzdura – odparł. – Nie mówię przecież o tobie, tylko o tych wykrzykujących „heil”. Ale zapomnijmy o tym. Nim mój bąbelek się nachmurzy, stary Frieböse pozwoli zabrać się przez ocean w olbrzymiej wannie.

A zatem w wieku siedemdziesięciu pięciu lat Pop kupił dla siebie i ciotki Karl pierwszą walizkę w życiu. Na „Wilhelmie Gustloffie” nie było podziału na klasy, wszystkie kabiny wyposażono tak samo, a Gundi wiedziała, że Pop nie chciałby żadnych względów. Na jej prośbę jednak kapitan Lübbe osobiście przydzielił im kabinę przy dziobie, gdzie nocą, gdy zasypiali, mieli wspaniały widok. Pragnęła podarować Popowi dwa tygodnie w raj i gdy widziała go teraz, jak cieszy się życiem na pokła-dzie słonecznym, oddychała głęboko i z ulgą. Kelner podał Gin Sour i Pop z leżaka trącał się kieliszkiem z ciotką Karl, Gundi zaś była pewna, że postąpiła słusznie.

Tylko do czytelnicy nie chciał się wybrać. „Co miałbym tam robić? Nie znajdę tam przecież mojej gazety”. Na próżno przypominano mu, że oprócz „Danziger Volksstimme”, zakazanej przed dwoma laty, jest prze-cież wiele innych gazet. Nie czytał zatem, tylko siedział w słońcu obok ciotki Karl, trzymał jej kłębek włóczki i od czasu do czasu mówił:

„Duszko, ach, moja kochana duszko. Nie do uwierzenia, co też można jeszcze przeżyć na starość”.

Trzeciego dnia podróży Czwooro z Sopotu zagrało w południe krótką składankę na dolnym pokładzie promenadowym i nim udali się na posiłek, Gundi, którą rozboleła głowa, chciała pójść szybko po tabletkę, którą miała w walizce. Zatrzymał ją Richard Vollert, pierwszy oficer.

– Idzie pani do swojej kabiny, pani Scharneck? Czy byłaby pani tak dobra i zapukała do kapitana Lübbe? Czekam od dłuższego czasu, aż wróci z przerwy, ale nigdzie go nie ma. Obawiam się, że zasnął.

Kabiny załogi mieściły się na mostku kapitańskim, ale kapitan Lübbe nie zaznawał tam dość spokoju, został więc zakwaterowany w tej samej części, co przebywający na pokładzie artyści. Zapukanie do jego kabiny nie było zatem problemem. Gundi zastukała kostkami palców najpierw nieśmiało, potem głośniej, aż wreszcie użyła pięści. W środku nic się nie poruszyło. W Gundi obudził się instynkt przypominający silne zwierzę, które chciało odpędzić ją od drzwi. Niech oficer Vollert się tym zajmie, co ona sama mogła zrobić ze śpiącym kapitanem? Jej dłoń była już jednak na klamce. Bezgłośnie otworzyła drzwi.

Kapitan Lübbe, niski, korpulentny mężczyzna z krótko ostrzyżonymi włosami leżał na plecach między biurkiem a łóżkiem. Oczy miał szeroko otwarte, spojrzenie utkwione w suficie. Gundi nigdy jeszcze nie widziała człowieka, który nie żył. Chciała krzyknąć, żeby ktoś przyszedł i żeby nie była już sama ze swoim przerażeniem, ale z jej krtani wydobyły się tylko ciche, ostre dźwięki. Chciała uciec, zatrzaskać drzwi, jakby niczego nie zobaczyła, ale jak mogła tak postąpić? Nadal był to przecież człowiek, zasługiwał na szacunek, a poza tym nie zdołała choćby ruszyć palcem.

Ktoś nadszedł. Za swoimi plecami usłyszała kroki, a potem kilka przestraszonych słów, których nie zrozumiała. Od razu rozpoznała jednak głos. Rozpoznała go z taką pewnością, że aż nie wierzyła własnym uszom. Postradała rozum. Wmawiała sobie, że właśnie tu, w chwili największej grozy, słyszy ten najpiękniejszy głos na świecie.

– Gundi Słoneczko? Madame Świt na Morzu? Proszę wyjść. Ja to sprawdzę. – Głos był przytłumiony, lecz dało się w nim wyczuć siłę. Równie ostrożnie i mocno mężczyzna ujął ją za ramiona, odsunął nieco na bok i sam wcisnął się do kabiny. Ukląkł przy zmarłym, sprawdził puls na jego szyi, a potem na nadgarstku. Na nadgarstku Gundi wisiała błę-

kitna wstążeczka. Najchętniej rozwiązałyby ją i założyła kapitanowi Lübbe, żeby mógł ożyć.

– Biedny kapitan Lübbe, madame Świt na Morzu. Jakże musiała się pani przestraszyć. – Wymawiał „r” silniej niż Niemcy, ale mówił po niemiecku bezbłędnie. Wciąż klęcząc, popatrzył na nią. Pasma gęstych włosów opadało mu na czoło aż do nasady dużego nosa. – Sądzę, że kapitan Lübbe odszedł spokojnie. Miał problemy z sercem, opowiadał o tym wczoraj po kolacji.

– Nie wygląda to spokojnie – usłyszała Gundi własne słowa.

– Umieranie? – spytał. – Nie. Nigdy tak nie wygląda. Myślę, że używamy takich frazesów, by wmawiać sobie, że można do tego przywyknąć. – Zdjął narzutę z łóżka i przykrył nią twarz zmarłego. – Proszę wyjść, Gundi Słoneczko, i udać się ze mną. Muszę powiadomić lekarza okrętowego oraz kogoś, kto przejmie mostek. Nikomu nie pomoże, jeśli będzie pani dalej się tu dręczyć. Tak czy siak, czekają panią koszmary.

Wstał. Gundi pozwoliła, by wziął ją pod ramię i poprowadził przez korytarz. Jej serce łomotało, jakby miało pęknąć, jakby chciało udowodnić, że żyje.

– Biedna Gundi Słoneczko – powtórzył. – A tak się cieszyłem na spotkanie z panią.

– Dlaczego mnie pan tak nazywa?

– Gundi Słoneczko? Przecież każdy tak na panią mówi.

Znał ją. Wiedział, kim była.

– Nie miałam pojęcia, że będzie pan na statku – wyjąkała. Zwykle każdy artysta na statkach KdF znał nazwiska pozostałych występujących.

– Ja także nie miałem pojęcia – odparł mężczyzna. – Jeszcze przed trzema dniami. Byłem na koncercie w Hamburgu, ale gdy usłyszałem, że na tym statku występuje Gundi Słoneczko, pobiegłem do biura armatora i błagałem: proszę, pozwólcie mi choć przez jeden wieczór śpiewać na „Wilhelmie Gustloffie”.

– Dlaczego? – Nie musiał błagać. Był gwiazdą, śpiewał w filmach, jeździł na tournée za ocean.

– Dlaczego? Bo pragnę zaśpiewać z panią. Już od trzech lat. Tylko wciąż mi się pani wymyka. Proszę panią, Gundi – tylko jeden, jedyny

raz.

– Ja także chcę z panem zaśpiewać – wyrzuciła z siebie Gundi. – I to od znacznie dłuższego czasu niż zaledwie trzech lat.

– No właśnie. – Mężczyzna roześmiał się. – Pani jest Słoneczkiem z Sopotu, a ja złotym głosem Kaszub. Po prostu do siebie pasujemy.

Mężczyzną był Tadeusz Radun. To naprawdę on szedł przed nią, a potem razem przystanęli w wąskim korytarzu. Serce Gundi waliło. Oboje nic już nie mówili.

CZEŚĆ PIĄTA

Wanda

Gdańsk, Sopot

Zima 1964

Mleczu polny, zieleni się Ukraina.
Moja jasnowłosa matka nie wróciła.

Paul Celan *Osika*

Ich brauche jemanden, der sich erinnert – Potrzebuję kogoś, kto pamięta.

Wanda poprosiła Leona, by przetłumaczył kilka zwrotów, które wydały się jej przydatne, i zanotowała je w pustym do połowy zeszytce do łacińskich słówek:

Bitte – Proszę

Danke – Dziękuję

Guten Morgen – Dzień dobry

Wie komme ich zum Bahnhof? – Jak dotrzeć na dworzec kolejowy?

Chwilowo nie przyszło jej na myśl nic więcej, bo nie potrafiła wyobrazić sobie samej siebie, jak chodzi po jakimś mieście w Polsce i zagaduje obcych ludzi. W jej głowie nie pojawiał się żaden obraz. Żadna możliwa rzeczywistość. Nie wiedziała zatem, jakie zwroty mogą jej być potrzebne. Zastanawiała się nad tym dalej, bo jej myśli wiły się jak węże, które musiała utrzymywać w ruchu kołowym, żeby nie skupiły się i nie ugryzły. Ostatecznie przypomniało się jej jeszcze to jedno zdanie i podała je Leonowi: Potrzebuję kogoś, kto pamięta.

Koncentrował się na jeździe. Dotarli do miasta Görlitz, o którym rozmawiali w Berlinie. Zaczął padać śnieg, ale szybko topniał. Görlitz sprawiało wrażenie zapomnianego przez czas, niczym filmowa scenografia – domy wysokie i stare, nie zniszczone, ale podupadłe, niczym nadgryzione przez olbrzymie zwierzę. Sprawiały wrażenie pustych, choć na szerokich jezdnich poruszało się kilka bardzo małych aut i tramwaj. Był dom towarowy, który wydawał się równie gigantyczny jak Hartie, szarobrązowa pałacowa budowla, ale z ciemnymi oknami i bez wychodzących ze środka tłumów.

Może tylko wmawiała sobie to wszystko. Może obce miasto sprawiało na niej wrażenie pustyni, ponieważ i w niej samej była pustynia. Ponieważ z pustynią nie musiała nawiązywać kontaktu, nie musiała wstępować z nią w żadne relacje.

Nie znosiła już relacji. Bliskości ludzi. Z tymi, którzy zostali z jej rodziny, nie chciała rozmawiać. Ani z Ari, ani z Lore. Gdy wszystko,

o czym się z kimś rozmawiało, okazywało się kłamstwem, mowa stawała się hałasem, nieniosącym w sobie żadnej treści. Wanda potrzebowała prawdy. Nie potrafiła znieść już słów pozbawionych treści.

Mogłaby porozmawiać z Verą. Obie dzieliły ten sam los: siostry, bliźniaczki, oszukane. Ale Vera nie chciała rozmawiać. „Zniszczyłaś rodzinę”, wykrzyczała. Wanda, która nie mogła dłużej mieszkać przy Alboinstraße, złapała Verę przed drogerią, w której ta odbywała praktyki. Nigdy jeszcze nie słyszała, by jej bliźniaczka krzyczała, a już na pewno nie na ulicy, właśnie Vera, która zawsze lękliwie dbała, by nikomu nie przeszkadzać. Najgorsze było przy tym to, że płakała. „I dlaczego? Co takiego jest w tej przeklętej przeszłości? Dlaczego koniecznie musiałaś wiedzieć, co się kiedyś wydarzyło, w jakimś mieście, którego nikt już nie zna? Po to zabiłaś Matti. Ona tak bardzo cię kochała, Ariane i mnie nie kochała nawet w połowie tak jak ciebie, a ty ją zabiłaś. To tak, jakbyś powiesiła ją własnymi rękoma”.

Powiesiła. Ale to nie była prawda. W tym niskim pomieszczeniu nawet człowiek niewielkiego wzrostu nie stanąłby wyprostowany. Matti podcięła sobie żyły nożyczkami do robótek ręcznych, zawsze starannie zaostrzonymi. Zrobiła to równie porządnie, jak wcześniej żyła – odsunęła karton z bożonarodzeniowymi ozdobami, żeby się nie pobrudził. Sama wcisnęła się w kąt i podłożyła pod spód stare ręczniki, by krew nie skapywała na łóżko Ariane.

Policja przeprowadziła dochodzenie. Wykazało, że Matti dokonała tego czynu, ledwo ostatnia z nich opuściła mieszkanie. Musiała obliczyć, że w ten sposób będzie mieć dość czasu, aby się wykrwawić. Wandzie zrobiło się niedobrze, gdy czytała ten fragment raportu, ale mimo to chciała wiedzieć. Poznać każdy szczegół. Miała nadzieję, że Vera również chce wiedzieć, odsłonić wszystko, wydobyć z ukrycia, gdzie leżało pogrzebane, ale tamtego wieczora przed drogerią zrozumiała, że tak nie jest. Że została z tym sama.

Sama.

Z Andrasem też nie chciała rozmawiać. Ostrzegano ją przed nim. „Co on chce osiągnąć?”, krzyczał w jej uchu głos Sigi. „Że dzieci zwrócą się przeciwko rodzicom, ja przeciwko mojemu ojcu, ponieważ w czasie, którego nie możemy nawet oceniać, spełnił swój obowiązek? Żeby rozpadły się rodziny? Dlaczego nie pojedzie tam, na Wschód, niech tam rodzice i dzieci szpiegują się nawzajem. W naszym społeczeństwie

rodzina jest podstawową komórką państwa. Jeśli jest chora, cały organizm się rozpadnie”.

Wanda nie wiedziała, czego chce Andras. Ją także okłamał, ponieważ ani słowem nie wspomniał o tym, że w poprzednim semestrze był związany z Sigi. Myślenie o tym teraz wydawało się śmieszne, ale Wanda miała dość bycia okłamywaną. To, czego Andras chciał, mógł śmiało zachowywać dla siebie, ale również Wanda wiedziała, co osiągnął. Sigi mówiła prawdę – zniszczył jej rodzinę.

Fasadę rodziny, powiedziała sama do siebie. Jej rodzina okazała się tym, czym wydawały się jej domy w Görlitz – makietami. Bez wymiarów i głębi. Andras popukał w nie tak, jak Matti pukała w owoce, by sprawdzić, czy są dojrzałe, i papierowa konstrukcja runęła. Podobno w XVIII wieku pewien rosyjski gubernator kazał wznieść wzdłuż brzegu Dniepru całe wioski z takich makiet, by wywołać wrażenie, że kwitnie tam życie.

Wioski potiomkinowskie.

W zasadzie nie mogła mieć Andrasowi za złe, że je obalał. Ale to niczego nie zmieniało. Nie chciała z nim rozmawiać. Odrzucała próby kontaktu z jego strony, a on nie podejmował ich zbyt wielu. Miał swój proces, na którym musiał się skupić, swój świat w gruzach. Nie mógł przejmować się gruzami, które sam za sobą zostawił.

Pozostał Manne.

Lodowatym rankiem po tej nocy, która nie miała końca, zabrał ją do siebie do domu. Nie zadając pytań. Później przyniósł walizkę z kilkoma jej rzeczami i umieścił Wandę w pokoju uprzątniętym naprędce przez jego siostrę. „Zostań, jak długo chcesz. Klara będzie spać u Miriam. To żaden problem”.

W ciągu następnych dni Wanda przekonała się, jak ważne jest, by nie musieć walczyć o podstawowe rzeczy, gdy i tak nie ma się na to siły. Dach nad głową. Czysta odzież. Herbata, wino i talerz z niezwykle smacznymi potrawami z makaronu. Manne był jej ratunkiem. Ale i z nim nie chciała rozmawiać. Nie do wytrzymania było siedzieć w całkowitym milczeniu, dzień i noc czekając na odpowiedź, gdy nawet nie zadano pytania, ale nie była w stanie się otworzyć. Nie potrafiła usiąść z Mannem i kontynuować rozmowy od momentu, w którym śmierć Matti rozcięła jej życie na dwie części. Poza tym przy całym swoim przyjaznym stosunku do ludzi Manne nie mógł jej zrozumieć. Nikt tego nie mógł. Ona sama też nie.

Sposób, w jaki Matti umarła, wyrzucił Wandę poza nawias społeczeństwa: była córką, która miała na sumieniu własną matkę. Która lodowato ignorowała jej błagania, aż ta nie widziała innego wyjścia, jak odebrać sobie życie.

Odebrać życie.

Nocami słowa te uderzały w Wandę, jakby miały roztrzaskać jej czaszkę.

Manne pokazał jej kuchnię i piwniczkę z winem, z których mogła korzystać bez ograniczeń, zadbał, by regularnie przynoszono jej na tacy ciepły posiłek, a od czasu do czasu dawał jej gazetę lub książkę. „Jeśli masz ochotę rozmawiać, jestem tu. Jeśli nie, zostawię cię w spokoju”.

Chciała rozmawiać. Ale była wyrzutkiem, niedysponującym tym, co łączyło ludzi, mową. Po trzech dniach Manne przestał przychodzić. Zamiast tego zjawiała się jego matka.

Rieke van Bontjes.

Na samym początku Wanda pomyślała, że nigdy jeszcze nie widziała, by ktoś napełniał kieliszek winem aż po same brzegi.

– Wody też przecież nie dolewamy sobie co chwila – wyjaśniła matka Mannego. Pewność, że przynajmniej wino nie skończy się szybko, miała na Wandę dziwnie uspokajający wpływ.

– Uważam za mój obowiązek, by to pani powiedzieć, Wando: pani matka zostanie pochowana na początku przyszłego tygodnia. Jeśli chce pani pójść na pogrzeb, ktoś z nas panią zawiezie.

– A jeśli nie chcę iść? – wyrwało się Wandzie. – Wtedy będę potworem, prawda?

– Potwory od dwudziestego grudnia stoją przed sądem we Frankfurcie – powiedziała. – Ponieważ mam pewne doświadczenie w tym zakresie, polecam pani prosty test: stara się pani postępować właściwie i ponosi porażkę? W takim razie nie jest pani potworem, tylko dość zwykłym człowiekiem.

– To naprawdę takie proste? – spytała Wanda.

– Nie – odparła Rieke van Bontjes. – Ale jeśli nie chce się wyjechać na bezludną wyspę, trzeba jakoś żyć dalej. Jestem lekarzem. Muszę wsunąć komuś dłoń w odbyty, żeby przeprowadzić badanie, które ratuje

życie, i nie mogę wcześniej pytać, czy przed dwudziestoma laty tak torturował moich przyjaciół, że oni tego nie przeżyli.

Z Rieke van Bontjes można było rozmawiać, ponieważ nic jej nie szokowało i nie zależało jej na tym, by oceniać moralnie decyzje innych ludzi.

– Czuję się tym przytłoczona już wtedy, gdy chodzi o mnie samą – powiedziała. Tylko jeden raz wyraziła swego rodzaju ocenę i była ona sprzeczna z tą, jakiej spodziewała się Wanda. – Przyznaję, że to, czym pani matka panią obciążyła, odbiera mi dech – wyznała. Nie uważała za dziwne, że Wanda nie czuje się na siłach, by wziąć udział w pogrzebie.

Wanda była chora i van Bontjesowie pielęgowali ją, nie wymagając od niej ozdrowienia. Ledwo jadła. Prawie nie spała.

– Taka jest korzyść z trudnych czasów – stwierdziła Rieke van Bontjes. – Później uznaje się za empirycznie dowiedzione, że człowiek nie umiera, jeśli przez pewien czas żyje tylko o alkoholu, papierosach i jednym sucharze dziennie.

Powiedziała Wandzie coś jeszcze. Już w trakcie ich drugiej rozmowy.

– Chwilowo pewnie nie ma pani ochoty nawet o tym myśleć. Ale jeśli to, o czym wspomniał Manne, jest prawdą i zastanawia się pani nad podróżą do Polski, odwiedzę w Pankow mojego przyjaciela Leona, który może być pani pomocny.

Wanda nie odpowiedziała, ale jej milczenie mogło zdradzać, co działo się z jej ciałem. Serce waliło. Krew pulsowała. Było tak, jakby policzyła do stu i otrzymała z powrotem zagubioną tasiemkę życia.

– O jaki rejon chodzi? – spytała Rieke van Bontjes.

– Gdańsk – odparła Wanda. – Sopot.

Podobnie było z *A Hard Rain's A-Gonna Fall* Boba Dylana – bolało, ale chciała słyszeć ten utwór wciąż na nowo. Ból pomagał, ponieważ udowadniał, że żyła, że jej uczucia zamarły, ale nie obumarły.

– Będzie pani musiała pogodzić się z tym, że potrwa to długo – powiedziała Rieke van Bontjes. – Ale gdy Leon chce znaleźć sposób, to go znajduje, może być pani pewna.

Znalazł. Choć trwało to blisko sześć tygodni. Już następnej nocy Wanda wiedziała, że chce pojechać do Polski. Musi pojechać do Polski. Rieke van Bontjes miała rację: to, czym obciążyła ją matka, odbierało

dech. Nie będzie potrafiła zaczerpnąć powietrza, nie mówiąc już o kontynuowaniu swojego życia, jeśli nie dowie się, co do tego doprowadziło. Dlaczego opowiadanie o przeszłości było tak straszne, że Matti – jej spokojna, czuła Matti, która o tej porze piekła placuszki rumowe i stawiała w oknie świece z gałązkami jodły, wolała zmienić ich dom w rzeźnię i zniszczyć samą siebie?

To, co uczyniła Matti, było bezkresne. Nie pozostawiało Wandzie żadnej deski ratunku. Jej węzowe myśli wgryzały się w miejsce, w którym miała korzenie ta bezgraniczna ciemność. Wanda próbowała wmawiać sobie, że odnajdzie drogę wyjścia z mroku, jeśli poszuka tam, gdzie się zapadały.

Nie wzięła pod uwagę, jak skomplikowane jest życie w podzielonym mieście, w podzielonej części świata. Aby złożyć wniosek o wizę na wjazd do Polski, należało mieć zaproszenie od polskiego obywatela. Z kolei żeby Wanda mogła je otrzymać, Rieke van Bontjes musiała zdobyć pozwolenie na wjazd do wschodniej części Berlina, gdzie mogła poprosić swojego przyjaciela Leona Fingerzwajga o przysługę.

– Oczywiście można to omówić przez telefon – powiedziała Rieke. – Ale tak będzie bezpieczniej. Kto wie, które połączenia są na podsłuchu.

Nie tylko Matti prześladował dawny lęk, którego ostatecznie nie przeżyła. Całe kraje obmurowywały się, szpiegowały nawzajem, przepytowały godzinami młode dziewczęta, nim odważyły się przepuścić je przez swoje granice. Formularz wizowy obejmował trzy strony kwestionariusza, na których Wanda musiała przykleić swoje zdjęcie i ze szczegółami opisać, dlaczego pragnie odbyć tę podróż.

– Niech pani powie prawdę – doradziła jej Rieke. – Proszę napisać, że pani matka właśnie zmarła i żeby poczuć się bliżej niej, chce pani odwiedzić jej przyjaciół w pięknym Gdańsku, który tak kochała. Gdańsk, Wando. Sopot. Danzig i Zoppot już nie istnieją.

– Dlaczego mówi pani, że to prawda? – spytała Wanda.

– Ma pani rację – odparła Rieke. – Sama nie do końca wiem, dlaczego tak powiedziałam.

Ale tak właśnie było. Wanda czuła, że jest to część prawdy. W tych chwilach, w których jej myśli zajęte były planowaniem podróży, czasami na kilka sekund pojawiała się inne wspomnienie Matti. Nie to z krwią, krzykiem i niebieskim światłem w nocy. Tylko takie, które pachniało

herbatą z dzikiej róży i nadzieniem do pierogów. Ten cień wspomnienia zawsze błyskawicznie się rozwiewał, ale na jeden oddech dawał Wandzie poczucie, że łączy ją więź z ludźmi.

Że nie stoi samotnie pośród gruzów.

Nie była pełnoletnia i dlatego potrzebowała upoważnienia.

– Ja się tym zajmę – obiecała Rieke.

– Ciotka Lore mi go nie da. Jeszcze bardziej niż moja matka nie chce, żebym grzebała w przeszłości.

Ponieważ Rieke o to dopytywała, Wanda z ociąganiem opisała jej sen o pociągu i reakcję Lore.

– Teraz mam wrażenie, że to nie był sen, ale wspomnienie, a ona nie chciała, żebym je miała – powiedziała.

– Bardzo możliwe – odparła Rieke. – Tylko niech pani nie skupia się na samym pociągu. Ja też mam takie sny. Niekoniecznie chodzi w nich o pociągi i dworce kolejowe, ale o sytuację, z której nie ma ucieczki.

Obiecała Wandzie, że dostanie upoważnienie.

– W razie potrzeby je sfalszuję.

Nadeszło Boże Narodzenie i było to niczym chodzenie boso po rozbitym szkłe – nie potrafiła uczynić żadnego ruchu, by z bólu nie tracić zmysłów. Skoro nie było już Matti, nie mogło też być świąt. Wigilia. Dlaczego używały tej nazwy? Rankiem w Wigilię Matti zamiast zwykłego fartucha zakładała biały, wykrochmalony, a wszystkie domowe obrusy, pościelenie i firany również były wykrochmalone i białe. Gdy pozostali się budzili, Matti już od kilku godzin stała w kuchni, by przygotować wszystkich dwanaście potraw, a wieczorem wyjmowały dodatkowy szósty biały talerz z niebieskim napisem i ustawiały go na stole przy innych. „Dla tych, którzy powinni przyjść, ale już nie przychodzą”.

Na tych, którzy powinni być obecni, ale już się nie zjawiali, zawsze czekał też prezent, którego nigdy nie rozpakowywano.

– Mam nadzieję, że wie pani, że chętnie ugościmy panią w święta – powiedziała Rieke van Bontjes. – Ale nie nalegamy. U nas zawsze są ludzie, nie jesteśmy chrześcijanami ani nie ma u nas dobrych gospodyń, więc jest to dość swobodne spotkanie. Za to Claas tradycyjnie piecze na zimowym grillu przepiórki, prawdziwy poemat. Jeśli będzie pani miała ochotę, proszę zejść na dół.

Wanda nie miała ochoty, ale słyszała rodzinę i jej przyjaciół śmiejących się w zaśnieżonym ogrodzie. Później usłyszała, jak ktoś w domu płacze, a potem puszczano płyty z utworami na saksofon i z miękkim jazzem. Cztery dni wcześniej we frankfurckim ratuszu zwanym Römer rozpoczął się proces oświęcimski, największy niemiecki proces od czasów zakończenia wojny. Claas van Bontjes przyczepił reportaże z gazet nad drzwiami domu, tam, gdzie inni wieszali girlandy z gałązek jodły i kalendarze adwentowe.

Obcowanie z rodziną i jej historią, gdy jej własna się rozpadła, kosztowało Wandę więcej siły, niż sądziła, że posiada. Postanowiła nigdy już nie nazywać wieczoru przed Bożym Narodzeniem Wigilią, ale zaraz po świętach nadszedł dla niej prezent. Przyznano jej wizę, którą zdeponowano, i Wanda mogła ją odebrać. Kosztowało to majątek, zapłacili van Bontjesowie. Van Bontjesowie dali jej także pieniądze na podróż.

– Pożyczka – powiedziała Rieke.

Było to ogromnie zawstydzające.

– Proszę mi wierzyć, Wando, to nic wobec pieniędzy, które w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku musiałam pożyczyć we Francji. Ale może być pani pewna, że do dziś je spłacam. Moją przyjaźnią. Tym, że pomagam komuś, kto potrzebuje tego tak bardzo, jak ja przed dwudziestoma pięcioma laty.

Na pieniądzach i podstemplowanym dokumencie wjazdowym się nie kończyło. Wanda potrzebowała jeszcze wizy tranzytowej, o którą musiała wystąpić do wydziału konsularnego NRD i która uprawniała ją do podróży przez normalnie niedostępną połowę Niemiec.

Gdy i to zostało załatwione, styczeń prawie dobiegł końca. Nie leżał już śnieg, ale panował wyjątkowy chłód. Z toczącego się we Frankfurcie postępowania dowodowego docierały tylko szczątki wiadomości. Donoszono o świadkach, którzy załamywali się i wymagali pomocy lekarskiej, o pewnym ocalałym, który chciał złożyć zeznania, ale wydobył z siebie tylko dźwięki, żadnych słów. Po naradzie z polskim znajomym, która tym razem odbyła się telefonicznie, postanowiono, że Wanda wyjedzie pierwszego lutego.

– Leon odbierze panią na dworcu Friedrichstrasse i zawiezie do Görlitz, gdzie wsiądzie pani do pociągu – powiedziała Rieke.

– Ale dlaczego miałyby to robić? Przecież nawet mnie nie zna.

– *Nom de Dieu*, my także prawie go nie znaleźliśmy – odparła Rieke. – Wiedzieliśmy tylko, że musi przedostać się przez granicę i nie ma nikogo oprócz nas, kto może go bezpiecznie przeprowadzić.

To zamknęło rozmowę. Claas van Bontjes pożyczył Wandzie walizkę, w której Manne przywiózł wcześniej jej rzeczy z Alboinstrasse i która wyglądała tak, jakby przetrwała nie tylko ostatnią, ale i przedostatnią wojnę. Wanda przystąpiła do pakowania. Manne wsunął się na palcach do pokoju i położył na wierzchu swój musztardowy sweter, grubszy od każdego płaszczka. W czerni zimowego ranka Rieke zawiozła ją na stację metra Hallesches Tor.

– Pojedzie pani przez ciemne stacje, na których pociąg się nie zatrzymuje. Gdy tylko pojawi się światło, proszę wysiąść. To będzie dworzec Friedrichstrasse, jedyny przystanek na wschodzie. Nie da się go przegapić.

To był pociąg ze snu Wandy: mijane w pędzie czarne dworce, a potem nagle światło i sylwetki mężczyzn czekających przed drzwiami pociągu. Wanda wysiadła z trudem, nogi się jej trzęsły, ale niemal w tej samej chwili zrozumiała, że Rieke miała rację: nie chodziło wcale o pociąg, a ludzie w ciemnych płaszczach byli tylko spieszącymi się podróżnymi. Z lękiem, który prześladował ją we śnie, będzie musiała poradzić sobie, gdy go napotka.

Na dworcu Friedrichstrasse urzędnicy odebrali jej magazyn „Spiegel” подарowany przez Mannego, rozdarli woreczek waty, który miała w walizce, i spytali, czy ma przy sobie broń, amunicję lub materiały wybuchowe. Gdy wreszcie ją wypuścili, za barierką czekał Leon Fingerzweig.

– Pani Wanda Scharneck? Chciałbym móc powiedzieć: witam w mojej ojczyźnie, ale niestety, będę pani towarzyszyć tylko przez NRD.

Był miły. Spokojny. Mówił dobrze po niemiecku i jeździł małym autem. Gdy wyjeżdżali z Berlina, zaproponował, by omówili kwestie praktyczne.

– Nie bywam już w Polsce często, ale mam nadzieję, że w większości spraw będę mógł pani pomóc. – Wyjaśnił jej, że zostanie skontrolowana na granicy w Görlitz, a potem ma wsiąść do pociągu. Görlitz tak jak Berlin było podzielonym miastem. Za granicą nazywało się Zgorzelec. –

Niech pani tego nie zapomina. Niech pani mówi, że przesiada się w Poznaniu, nie w Posen, jedzie do Gdańska, nie do Danzig, wsiada do

regionalnego pociągu do Sopotu. Niemieckie nazwy dla wielu ludzi będą brzmieć tak, jakby przyjechała pani po to, by odebrać im ich kraj.

Podczas przesiadki w Poznaniu musiała poradzić sobie sama, ale na Dworcu Głównym w Gdańsku brat Leona, który wystosował zaproszenie, miał pomóc jej znaleźć peron do Sopotu.

– Ma na imię Witold. Słabo mówi po niemiecku. Nie lubi Niemców ani tego, że mieszkam wśród nich. Gdy wysiądzie pani w Sopocie, musi pani tylko udać się przejściem podziemnym, a zaraz potem szeroką ulicą na wprost. Nazywa się Bohaterów Monte Cassino. Główna ulica w Sopocie. Kiedyś tętniło tam życie. Tam, gdzie się kończy, zaczyna się plaża i tam znajdzie pani swój hotel. To nietrudne. Jeśli mimo wszystko się pani zgubi, proszę pytać o Grand Hotel. Każdy go zna. Zawsze wszyscy go znali, tylko dawniej nazywał się Kasino-Hotel.

Nie mieli już nic więcej do omówienia, więc wpadli na pomysł ze słówkami. Leona zdumiało, że Wanda nie zna ani słowa po polsku.

– Tak jak wtedy, gdy uciekaliśmy. Gdziekolwiek, gdzie o świcie nie zaczęły walić w nasze drzwi, by pognać nas w dół po schodach i wypędzić z miasta. Obce kraje, bez strzępka ich języka. – Pogrzebał w schowku, by znaleźć papierosy. – Pani również ucieka. – Nie było to pytanie.

Gdy jechali przez Görlitz, dawno już dniało, ale w szarym świetle nie było to widoczne. Cienka warstwa śniegu roztopiała się na pustych chodnikach. Ostatnie zdanie, które przyszło Wandzie do głowy, wydawało się jedynym, które miało z nią coś wspólnego. Podała je Leonowi:

– *Ich brauche jemanden, der sich erinnert.*

Pokiwał głową.

– Potrzebuję kogoś, kto pamięta. Niech pani nawet nie próbuje tego literować. Zapiszę to pani, gdy się zatrzymamy.

Nieco później wskazał na wprost na połyskujące srebrno pasmo poniżej pasma mgły.

– Tam jest.

– Co?

– Granica na Odrze i Nysie. Ta, która nie pozwala nam się połączyć. Jednym odbiera ojczyznę, to, czego nikt nie może zastąpić. Dla drugich

oznacza cień sprawiedliwości, która nigdy nie może zapanować wobec milionów zmarłych.

Skręcił w lewo, wjechał na odgradzony szlabanem teren dworca i stanął na pustym parkingu.

– A kto ma rację? – spytała Wanda.

Leon zaparkował auto i podał jej wymiętą paczkę papierosów.

– Dla tych, którzy dziedziczą niesprawiedliwość, nie jest to takie łatwe, prawda? Nikt z nas tego nie wybrał, a ból nie jest rozsądnym doradcą.

Papierosy pomagały Wandzie, odkąd często była głodna, lecz nie potrafiła niczego przełknąć. Tak jak Andras. Ale o nim nie chciała myśleć. Leon zerknął na zegarek.

– Już czas, Wando. Jeszcze tylko dwie sprawy. W pociągu nie może pani opuszczać swojego przedziału. Za kontrolą jest przy torach kiosk. Niech pani kupi sobie wodę i jakieś pieczywo. Do czasu, gdy znajdzie się pani w hotelu, prawdopodobnie nie dostanie pani nic do jedzenia.

– A jeśli będę musiała do toalety? – wyrwało się Wandzie.

Leon uśmiechnął się niewesoło.

– Lepiej by było, gdyby pani nie musiała. – Wziął z jej kolan zeszyt ze słówkami i ołówkę. – Potrzebuję kogoś, kto pamięta. Potrzebuje pani kogoś, kto pamięta. Ale niech pani nie zapomina: nikt z ludzi, którzy mieszkają teraz w Gdańsku i Sopocie, nie mógł znać pani rodziny. Przybyli tam dopiero po wojnie, tak jak pani do Berlina.

– Ale ci, którzy tam mieszkali... – zaczęła Wanda i przerwała, ponieważ poczuła się niewiarygodnie głupio. Jak mogła wyruszać w podróż do kraju, o którym nic nie wiedziała, którego otwartych ran nie znała i w którym nie była mile widziana? Chciała nadać swoim myślom jakiś cel, by nie załamać się po śmierci Matti. Teraz jednak zrozumiała, jak kruchy jest lód, na który nieświadomie weszła.

A za kilka minut miała stracić swoje jedyne oparcie.

– Niemcy, którzy tam mieszkali, musieli odejść – powiedział Leon twardo. – A z Polonii gdańskiej, polskiej ludności, która od pokoleń należała do Gdańska, mało kto przeżył. To nowe miasto. Miasto, które w czasie wojny straciło dziewięćdziesiąt procent swojej zabudowy i zostało odbudowane przez ludzi, którzy również stracili swoją ojczy-

znę. Przez wypędzonych z obszarów Polski wschodniej, które teraz należą do Związku Radzieckiego.

– Przez wypędzonych? – powtórzyła Wanda.

Leon skinął głową.

– Hitler osiągnął to, co zamierzał: wytarł mapę Europy i pomalował ją na nowo.

31

Tablica nie mogła być nowa. Wąska, pogięta, z odpadającą warstwą emalii, na której ktoś wymalował nazwę „Sopot”. Poza tablicą na dworcu nie było niczego. Żadnego kiosku, żadnego okienka, żadnego rozkładu jazdy. Oprócz Wandy nikt z pociągu nie wysiadł, a z wyjątkiem rzędu słabo świecących latarni wszystko było ciemne.

Mimo to gdy zobaczyła tę tablicę, coś zaszło w Wandzie. Jazdę pociągiem spędziła niemal nieruchoma ze strachu, zrozumiawszy, że samotność przybiera nowy wymiar, gdy jest się otoczonym przez język, którego jako jedyna osoba się nie rozumie. Przesiadając się na zatłoczonym Dworcu Głównym w Gdańsku, nie zobaczyła wcale miasta, choć z takim napięciem czekała na ten widok, brat Leona zaś potraktował ją jak towar, którego najlepiej jak najszybciej się pozbyć. Od strażników granicznych w Zgorzelcu po kontrolerów w pociągu regionalnym – wszyscy dawali Wandzie do zrozumienia, że nikt tu na nią nie czeka. Że nie pasuje, że nie ma tu czego szukać.

Teraz, gdy wagon zatrzymał się przy pogiętej tablicy i gdy wyniosła swoją walizkę na zaśnieżony peron, poczuła coś innego. Dotarła na miejsce. Uczucie to miało posmak herbaty z dzikiej róży i nie potrafiłaby go nikomu wytłumaczyć.

Tym silniej powróciły pozostałe doznania: obcość, głód, ołowiane zmęczenie i przeszywające zimno. Nie było nikogo, kogo mogłaby spytać o drogę, nawet posługując się dłońmi, stopami i swoim zeszytem słówek. Pociągnęła zatem walizkę po oblodzonych schodach i spróbowała przypomnieć sobie wskazówki Leona. Gdy znalazła się na ulicy, lodowaty wiatr dmuchnął jej w twarz, szarpnął włosy i przyniósł ze sobą zapach, którego nie dało się pomylić, nawet jeśli nigdy wcześniej się go nie czuło.

Sól. Wodorosty. Ryby. Była nad morzem.

Miasteczko spało. Wydawało się spać nie od kilku godzin, tak jak inne małe miasta, ale od stuleci. Miasto śpiącej królowny. Jakby ukłucie wrzecionem zatrzymało w nim życie i zachowało je takim, jakie było dawniej. Przejście podziemne znalazło się samo, a tuż potem przed Wandą rozciągnęła się szeroka ulica, wzdłuż której znajdowało się wiele lokali. Na zakręcie odkryła tabliczkę: Bohaterów Monte Cassino. Była zatem na dobrej drodze, od razu się tu odnalazła, choć z trudem zapamiętała obcą nazwę.

Wszystkie lokale były zamknięte, z pewnością nie od kilku godzin, tylko od kilkudziesięciu lat. Wznoszące się nad nimi domy zdobiły wieżyczki, wykusze i werandy. Tynk odpadał. Z pomalowanej na żółtozielono, udekorowanej stiukiem fasady opadał krzywo na witrynę szyld. Z wyjątkiem zakurzonej butelki i samotnej etażerki witryna była pusta. Café Sopot – widniało na szyldzie, ale tam, gdzie się przekrzywił, odsłonił kilka wyblakłych albo niedbale zamalowanych liter. Baro-. Ozdobne litery. Jak nazywała się wcześniej ta kawiarnia i gdzie byli ci, do których wtedy należała?

W sąsiednim lokalu okno wystawowe zabite deskami. Powyżej, na szarozółtej ścianie, Wanda również odkryła zamalowane litery, które stały się widoczne, jakby wypełzły przez zbyt cienką warstwę farby. Seestraße, przeczytała. Familienbad 100 Meter, kąpielisko dla rodzin 100 metrów. Pod miastem, które spało, leżało drugie, martwe.

Wiatr wpadł Wandzie pod płaszcz i przypomniał, jak straszliwie marzyła. Jak daleko mogło być jeszcze do hotelu? Uniosła wzrok i zobaczyła, że dotarła już niemal na koniec ulicy. Po prawej stronie wznosiła się latarnia morska, po lewej ciągnął się szereg wielkich budynków. Przed Wandą, w odległości paru kroków, wiatr mieszał i rozwiewał piasek ze śniegiem. Gwizdał, bo miał miejsce, mógł porządnie się rozhulać, a powierzchnia ciemniejsza niż noc i rozleglejsza niż jakikolwiek strach wznosiła się i opadała, wydając przy tym szum, dziką, zagłuszającą myśli pieśń powitalną.

Witaj, Wando. Witaj z powrotem.

Urodziłam się tu, krzyczało w jej uszach, byłam tu już kiedyś, właśnie tu, to miejsce jest ze mną związane!

Czy Matti była tu, na tej plaży, z nią i Verą w staromodnym wózku dla bliźniąt?

Witaj, Wando. Witaj w domu.

Gdy odwróciła się od morza, jej członki były tak zeszywniałe z zimna, że ledwo potrafiła nimi poruszyć. Wanda skręciła w lewo na promenadę prowadzącą wzdłuż niskich wydm. Uderzyły w nią piasek i ciemność. Wzdłuż chodnika stały kute żelazne latarnie, ale nikt nie zadbał o to, by je zapalić. Bo i po co? Wyglądało na to, że zimą nikt tu nie przyjeżdża, w każdym razie nikt, kto błąkałby się w lodowatą noc koło plaży. Gdzieś w walizce Wandy tkwiło pisemne potwierdzenie rezerwacji wraz z adresem hotelu – bez tego nie otrzymałaby wizy – ale szukanie go w ciemności było bezsensownym przedsięwzięciem.

Położony w odległości niecałych pięćdziesięciu metrów budynek z dwoma kopułowymi dachami i wysokimi wieżyczkami górował nad pozostałymi i był jedynym, w którego oknach gdzieś paliło się światło. Zdumiewające, jak dobrze podziałał na Wandę ten widok, jak przyspieszył jej krok. Cel musiał znajdować się właśnie tam, przed nią, bo nie miała już siły szukać dalej, a jak okiem sięgnąć, nie było wokół żywego ducha. Im bliżej jednak podchodziła do budowli, tym głośniejszy odzywały się wątpliwości: czy ten pałac z zamierzchłych czasów mógł być hotelem, w którym miała przenocować Wanda Scharneck? Stał za ogrodem, który wydawał się nietknięty ludzką ręką, rozległe trawniki, fontanna i pawilon pokryte śniegiem. Pomiedzy nimi przebłyskiwały rzeźby niczym tańczące duchy.

Za posępnym ogrodem zaczynały się szerokie schody prowadzące w górę do wejścia. Przez przeszkłone drzwi przelewało się słabe światło, które obiecywało ciepło i przyciągało Wandę ku sobie. Kute skrzydła ogrodowej bramy były jednak zaryglowane i zabezpieczone łańcuchem.

– Halo, jest tam kto?! – krzyknęła Wanda i potrząsnęła bramą, ale łańcuch, który przytrzymał pręty, nie poruszył się.

W milczącym pałacu ktoś musiał usłyszeć jej cichą modlitwę. Jedne ze szklanych drzwi otworzyły się i w ciemności zarysowała się jakaś postać. Mężczyzna w bladej liberii, w której musiał śmiertelnie marznąć, zbiegł lekkim krokiem po schodach i po zaśnieżonej ogrodowej ścieżce podszedł do Wandy. Nie zrozumiała, co woła do niej po polsku.

– Jestem Wanda Scharneck! – odkrzyknęła zrozpaczona po niemiecku, głosem łamiącym się i ochrypłym z zimna. – Z Niemiec! Berlin! Pan Fingerzwajg zarezerwował dla mnie pokój.

Zabolało ją coś w płucach. Zadyszana spróbowała inaczej:

– Do you speak English? My name is Wanda Scharneck, I have just arrived from Berlin...

Mężczyzna, po którym nie potrafiła nawet rozpoznać, czy jest młody, czy stary, skrzypiącym krokiem dotarł do bramy. Uniósł jedną dłoń, by pokazać Wandzie, że jej słowa na nic się zdają, a drugą zaczął odrygłowywać łańcuch. Nie mówiąc nic w jakimkolwiek języku, odciągnął skrzydło, dosłownie wyrwał Wandzie walizkę z ręki i brnąc w śniegu, skierował się w stronę budynku. Wanda podążyła za nim.

Ciepło było oszałamiające. Wanda miała pewność, że już do końca życia nie zapomni tego ciepła. Stała w swego rodzaju scenerii filmowej, w zaciemnionej restauracji z nakrytymi biało stolikami, migoczącymi na nich kieliszkami i żyrandolami zwisającymi z połączanego sufitu, roztopiała się niczym sopel lodu i kapła wodą na aksamitny dywan. Światło, które widziała z zewnątrz, dobiegało z pomieszczenia położonego z tyłu, oddzielonego kolejnymi przeszklonymi drzwiami. Wandzie wydało się, że dostrzega okrągłą ladę barową, za którą krzatali się jeszcze ludzie.

Człowiek, który niósł jej walizkę, otworzył wewnętrzne drzwi i coś przez nie zawołał. Nieco później zza lady wyszło dwóch mężczyzn, a trzeci, w ciemnym wieczorowym garniturze, dołączył do nich nie wiadomo skąd. Mężczyzna z walizką powiedział coś do trzech pozostałych. Wandzie wydało się, że rozumie swoje imię i wielokrotnie powtarzane słowo „niemiecka”, „deutsch”.

Jeśli spróbują mnie wyrzucić, będę stawiać opór, pomyślała Wanda. Zawładnęły ją ciepło i zmęczenie, więc z trudem panowała nad przy-
mykającymi się powiekami. Najchętniej położyłaby się na dywanie i zasnęła.

Wreszcie gadanina się skończyła i jeden z mężczyzn, którzy przyszedli z baru, odezwał się łamanym niemieckim bez cienia uprzejmości:

– Zimą nie ma wejścia od strony plaży. Powinna pani przyjść od ulicy. Spodziewaliśmy się pani wcześniej. Goście nie przyjeżdżają tak późno.

Przynajmniej mówił po niemiecku, przynajmniej rozpoznał jej nazwisko, przynajmniej pozwoli jej zostać. Inne rzeczy nie były takie ważne i mogła je wyjaśnić jutro.

– Bardzo mi przykro – przeprosiła. – Pierwszy raz jestem w Polsce, a z Danzig, to znaczy z Gdańska, odchodzi tylko jeden pociąg. Nie znam

tych stron.

Miała właśnie sięgnąć do walizki, by odszukać dokumenty, gdy mężczyzna w garniturze drgnął gwałtownie i zwrócił się do niej.

– Gundi? – spytał oszołomiony, wpatrując się w Wandę i mrugając raz po raz, jakby wcześniej jej nie zauważył. – Gundi Frieböse z Pierogów? Czy to możliwe?

32

Nazywał się Ludwik Brzezno, był recepcjonistą w hotelu, a w dodatku jednym z tych, którzy według Leona Fingerzwajga prawie już nie istnieli: ocalałym członkiem Polonii gdańskiej. Był już niemal ślepy, dlatego wziął Wandę za jej matkę – rozpoznał ją po głosie.

– Siła natury. Każdy ton niczym bałtycki grzywacz. Nigdy bym nie pomyślał, że taki głos może zdarzyć się dwa razy. Początkowo śpiewała jak skrzecząca żaba, ale gdy już się tego nauczyła, nie było lepszej od niej. Ludzie ją uwielbiali. Pani też śpiewa? To nie moja sprawa, ale jeśli nie, marnuje pani bogactwo.

Wandzie nigdy nie przyszłoby do głowy, że jej głos przypomina głos Matti. Nie określiłaby też jej cichego, łagodnego głosu jako siły natury. Gdy wyjechała z Gdańska, musiał stracić siłę, osłabnąć podczas ucieczki i nigdy się nie odrodzić. To, że ona, Wanda, powinna śpiewać, powiedział również Andras: „Twój głos jest niesamowity. Przy co drugim zdaniu, które wypowiadasz, myślę sobie, *heaven*, to powinna być piosenka”. Fakt, że recepcjonista znał Matti, nie oznaczał jednak, że jest chętny pomóc Wandzie.

– Moja matka nie żyje – powiedziała, gdy już wyjaśniła pomyłkę. – Przyjechałam, by odszukać jej ślady. Jakie to szczęście spotkać kogoś, kto ją znał.

Ludwik Brzezno, który był nieco przystępniejszy od pozostałych, zamknął się w sobie.

– Nie znałem pani matki. Była Niemką, ja Polakiem, mieszkała jak gwiazda w tym hotelu, a ja byłem na robotach przymusowych w stoczni Schichau. Jak mogłem ją znać? I czy w ogóle ktoś ją znał?

– Też się nad tym zastanawiam – wyrwało się Wandzie. – Ale słyszał pan przecież, jak śpiewa. Musi mi pan o niej opowiedzieć...

Brzezno pozostawił to zdanie bez odpowiedzi i powiedział coś do mężczyzny z walizką, po czym ponownie zwrócił się do Wandy.

– Tomasz pokaże pani pokój. Kuchnia jest już nieczynna. Jeśli jest pani głodna, możemy przynieść na górę trochę sałatki i wędliny.

– To bardzo miłe. – Wanda nie знаła się na hotelach. Czy za zamówione jedzenie płaciło się od razu? Czy dawało się napiwki? Wątpiła również, by umiała poradzić sobie z obcymi pieniędzmi, złotówkami, które wymienił dla niej Claas van Bontjes. Ważniejsze było jednak, by nie dopuścić do zerwania nadszarpniętej już nici rozmowy. – Proszę, panie Brzezno, byłabym panu bardzo wdzięczna za informacje.

– Jest pani zmęczona po podróży, a my chcielibyśmy zamknąć restaurację. Nie mam żadnych informacji. Żałuję. Tamte czasy minęły.

Nie dało się nic zrobić. Gdy w kolejnych dniach podejmowała próby, napotykała zdecydowany opór. Wandę ogarniała panika. Miała wizję tylko na czternaście dni. Jeśli w tym czasie niczego się nie dowie, będzie musiała wrócić z niczym, a nie miała najmniejszego pojęcia, jak żyć dalej z tym, co się stało. Chodziła sama po Sopocie i szukała punktu zaczepienia. Samotnie wpatrywała się w fasady, czując, że mają historie do opowiedzenia, i rozumiała jeszcze mniej niż przy słowach wypowiedzianych w obcym języku.

Historię opowiadał również sam hotel. Jej matka bywała w nim – nie tylko jako gość, ale jako ubóstwiana przez publiczność śpiewaczka. Tyle w każdym razie zdradził Ludwik Brzezno. Wydawało się to nie do uwierzenia. Matti, która stała w fartuchu przy kuchence, mieszając kiszoną kapustę, Matti, która nigdy nie wychodziła z mieszkania, tylko chowała się w nim niczym w gnieździe, gwiazdą? Musiała prowadzić dwa całkowicie oddzielone od siebie życia. Słusznie Brzezno postawił pytanie, czy w ogóle ktoś ją znał.

Wanda nie znalazła nikogo. Błąkała się po pustych ulicach, czasami zadawała w jakimś sklepie pytanie, które nie zostawało zrozumiane, a wieczorem pospiesznie wracała do hotelowego pokoju, który był równie nieprzychylny jak miasto przed jego drzwiami. Może jeszcze bardziej. Tak jakby czynił Wandzie wyrzuty, że czasy jego świetności minęły i ze wszystkich uroczystości, radości i triumfów została tylko bezużyteczna skorupa.

Wszędzie można dostrzec minioną wielkość. W całym budynku rzucał się w oczy rozrzutny, wystawny styl, jedna ozdobna sala za drugą, a między podniszczonymi aksamitnymi tapetami, zaśniedziałymi kandelabrami i kruszącym się stiukiem niemalże słychać szelest balowych sukni, śmiech gości, skrzywienie kół powozów i samochodów, które zajeżdżały żwirową drogą przed samo wejście.

Pokój również taki był: stary, zniszczony, nie dość kochany i zadbany, ale niepotrafiący ukryć swego piękna. Tutaj sprzedawano niegdyś po najwyższych cenach to, za czym tęsknili ludzie: luksus. Swobodę. Przerwę od codzienności. Na szerokim, ozdobionym mosiężną ramą łóżku leżała kapa z zielonego jedwabiu, a przy delikatnym sekretarzyku z drewna różanego można było wyobrazić sobie poetkę, zwiewną istotę, posługującą się piórem i atramentem. Łazienka obłożona marmurem i tak duża, że między wanną a umywalką dało się tańczyć. Francuskie okna prowadziły na wąski balkon z kunsztownie kutą balustradą i widokiem na plażę i morze. Ten pokój należał do świata glamour, który nie miał w sobie nic rzeczywistego. Wyblakły raj. I w najmniejszym stopniu nie pasował do Matti.

Restauracja, do której Wanda weszła wieczorem w dniu przyjazdu i w której podawano śniadania, była przeszklona dookoła i wyposażona jak na jakiś książęcy ślub. Wanda czytała o złej sytuacji zaopatrzeniowej w Polsce, widziała na ulicach żałośnie puste okna wystawowe, ale w hotelowej kuchni najwyraźniej nie odczuwano żadnych braków. Gościom dogadzano. Pyszna kawa, etażerki pełne przysmaków i koszyki z najróżniejszym pieczywem. Większości wędlin i potraw z ryb, które serwowano ze srebrnego wózka, Wanda nigdy jeszcze nie próbowała.

Ponieważ hotel był niemal pusty, o każdego gościa dbało minimum trzech kelnerów. Jeśli któryś nie miał nic do roboty, stał oparty o ścianę lub kredens, ze skrzyżowanymi nogami, i przyglądał się jedzącym w sposób, który Wanda uznała za nieprzychylny, a nawet wrogi.

Nie miała ochoty jeść. Kupiła na mieście papierosy i poszła z nimi do palarni na końcu zachodniego skrzydła. Atmosfera tego miejsca, gdzie dominowały zieleń i brąz, nie pozostawiała wątpliwości co do tego, że uczęszczali tu mężczyźni. Jakiś człowiek siedział w fotelu, czytając gazetę. Wanda zapaliła papierosa. Smakował tak, jak wyobrażała sobie smak palonej słomy. Ale nie zapaliła go po to, by się nim rozkoszować, tylko aby opanować rozedrgane nerwy.

Na ścianach wisały zgrupowane tematycznie fotografie w złotych ramkach. Wanda rozpoznała Charles'a de Gaulle'a, którego widziała w gazetach na zdjęciach z Adenauerem, oraz polskiego szefa partii Władysława Gomułkę. Najwyraźniej była to grupa poświęcona przywódcom państw. Na dłuższej ścianie wisały inne fotografie, częściowo ozdobione autografami. Artyści. Muzycy i aktorzy.

Kilka twarzy wydało się Wandzie nieco znajomych, ale większości z nich jeszcze nigdy nie widziała. Jej wzrok zatrzymał się na twarzy jednego z mężczyzn. Spojrzenie jego czarnych oczu było świdrujące, niemal natarczywe. Masa włosów, opadająca aż do zbyt dużego nosa mężczyzny, przypomniła Wandzie jej siostrę Verę, która chodziła do fryzjerki, by przerzedzać pasma, bo inaczej nie mogła sobie z nimi poradzić.

Z pewnością nie wisiał tu portret Matti. Bo i jak? Matti nie mogła być artystką. Na kredensie w kuchni stał instrument, ale o ile Wanda wiedziała, Matti nigdy go nawet nie dotknęła. Nigdy też nie śpiewała, tylko nuciła pod nosem ciągle tę samą piosenkę.

Wanda wpatrywała się w fotografie. Muzyki nie zostawiało się za sobą tak jak kraju, z którego zmuszonym się było uciec. Muzyka tkwiła we krwi i szła z człowiekiem wszędzie. Wanda odczuła to na własnej skórze. Mogła wyprzeć się wszystkiego, ale nie utworów, które grały w jej duszy. *A Hard Rain's A-Gonna Fall*, wersy na wpeł wykrzyczane przez mężczyznę chorego z miłości i przez drugiego, chorego z nienawiści.

Gdziekolwiek się udawała, piosenka Dylana nie przestawała w niej grać. Muzyki nie odkładało się jak przyciasnej garsonki. W historii Matti jako artystki coś się nie zgadzało.

– *Do you look for someone special?* – Wzdrygnęła się, słysząc męski głos. – Nie powiesili na ścianie wszystkich, którzy tu kwaterowali – ciągnął po angielsku. – Hitler i Goebbels nie podreperowaliby renomy tej starej dziury. Ale obaj zaznaczyli tu swoją obecność i bardziej pasowaliby do tej świetnej galerii niż monsieur de Gaulle.

– *I see* – wyjąkała Wanda, szukając angielskich słówek, których nauczyła się z Bobem Dylanem, nim zmarła Matti. Bywali tu Hitler i Goebbels. W tym samym czasie co Matti? To wszystko było absurdalne, wykraczało poza jej możliwości pojmowania. – *I was rather looking for an artist... a musician...*

Mężczyzna odziany w garnitur w jodełkę, ze złotą szpilką w kołnierzyku koszuli, wstał i podał jej rękę.

– Graham McGovern, Londyn, wyposażenie wnętrz – przedstawił się.
– Bywam tu dwa razy do roku w interesach.

– Wanda Scharneck. – Bardzo cicho dodała: – Z Berlina.

Mężczyzna zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

– *Berlin East?* – W jego głosie pobrzmiwało współczucie.

Pokręciła głową.

– *West.*

Wahał się przez chwilę, a potem wydał dźwięk przypominający gwizdanie przez zęby.

– Fascynujące. Po raz pierwszy spotykam tu kogoś z Republiki Federalnej. Zakładam, że nie przyjechała pani do tej polskiej dziury, by spędzić tutaj zimowy urlop?

Wanda ponownie pokręciła głową i zagryzła wargi. Nie rozmawiała z nikim od blisko trzech dni. Jeśli nie będzie uważać, straci panowanie nad sobą i opowie swoją historię temu zupełnie obcemu człowiekowi.

– A kogo miała pani nadzieję zobaczyć na tych zdjęciach? – spytał Brytyjczyk z nieskrywanym zaciekawieniem. – Z artystami sprawa ma się nie inaczej niż z politykami. Widzi pani, Garbo może zostać, podnosi renomę i jest politycznie poprawna. Ale na przykład tego człowieka, który nazywa się Rühmann, zdjęli. – Wskazał na prostokąt, na którym zielone paski tapety były mniej wyblakłe. – U nas nie jest znany. Słyszałem, że był ulubionym aktorem Hitlera, a także coś o Żydówce, którą porzucił. O takich rzeczach nie chcą tu dziś słuchać. Ten hotel wraz z kasynem był czymś w rodzaju jaskini rozrywki dla najwyższych naziistów w Gdańsku.

Takich prostokątnych śladów było więcej.

W gardle Wandy uwiązał lodowaty pierścień.

– Szukam mojej matki – wyrwało się jej, nim pierścień zdążył się zacisnąć.

– *Good Lord* – wymamrotał Brytyjczyk. Potem popatrzył na Wandę. – Żle się pani czuje? Mam poprosić o szklankę wody dla pani?

Wanda trzeci raz pokręciła głową.

Brytyjczyk wydawał się rozumieć.

– *Good Lord* – powtórzył. – To nie może być łatwe.

– Nie.

– Więc pani matka była artystką? Występowała tu?

– Nie jestem pewna. Przyjechałam, by się tego dowiedzieć.

– Jak nazywała się pani matka?

– Gundula Scharneck – odparła Wanda. – Albo Gundula Frieböse.

Przez chwilę panowało milczenie. Potem Brytyjczyk nieoczekiwanie wybuchnął śmiechem.

– Gundula Frieböse – wyjąkał, a w jego ustach imię i nazwisko brzmiało nierozpoznawalnie. – *You are unbelievable, you Germans*. Gdyby u nas jakiś artysta przyszedł do agenta z takim imieniem i nazwiskiem, ten w mgnieniu oka ochrzciłby go na nowo.

Wanda w ogóle o tym nie pomyślała. Bob Dylan urodził się jako Robert Zimmerman, Greta Garbo, nim zdobyła sławę, nazywała się Lovisa Gustaffson czy jakoś podobnie. Czy Matti używała artystycznego pseudonimu? Jak w takim razie Wanda mogła wpaść na jej ślad? Ponowne zwracanie się w tej sprawie do Ludwika Brzezno z recepcji nie miało sensu. Przy ostatniej próbie udawał, że nie rozumie po niemiecku.

– *Listen, Miss*. – Brytyjczyk najwyraźniej był zatroskany. – Jest pani pewna, że nie powinna się na chwilę położyć? Nie wygląda pani dobrze. A jeśli chodzi o pani matkę – może przejdzie się pani po miejscowości i pokaże ludziom jej zdjęcie? Pewnie nie przysporzy to pani sympatii, ale jeśli nie będzie pani przesadzać, ludzie szybko się uspokoją.

Czy była idiotką? Czy to możliwe, że sama nie wpadła na tak oczywisty pomysł?

– Powiedziano mi, że w Sopocie nie ma już wielu mieszkańców z tamtych czasów – próbowała się usprawiedliwić. – W Gdańsku też nie. Więc nikt jej nie rozpozna.

– Zawsze są wyjątki – odparł Brytyjczyk. – W Sopocie więcej niż w Gdańsku, ponieważ nadciągająca Armia Czerwona mniej przejmowała się jakimś małym kąpieliskiem niż piękną kością niezgody nad Motławą. Tutaj niewiele zniszczono, ale nie chciałaby pani zobaczyć gruzowiska,

którym był Gdańsk. No i jeśli pani matka była sławna, może znać ją nawet ktoś, kto sprowadził się tu dopiero po wojnie. Może nawet ja ją znam? Pokaże mi pani zdjęcie?

Musiał być mniej więcej w wieku Matti, ale myśl o tym, że ten mężczyzna, który wyglądał jak żywcem wyjęty z wystawy zakładu krawieckiego dla mężczyzn, mógłby ją znać, wydawała się absurdalna.

– Proszę – nalegał. – Niech mi pani sprawi przyjemność, zimą można zanudzić się tu na śmierć. A poza tym musi pani przyjąć ode mnie papierosa. Od tego paskudztwa, z którym się pani męczy, musi być pani nie-dobrze. – Oszołomiona Wanda poszła na górę, by przynieść zdjęcie. W pokoju zaczęła się jednak zastanawiać, dlaczego jest tak pewna, że ma jakieś przy sobie? Vera lubiła fotografować. Dawno temu dostała na urodziny prosty aparat Kodak i czasami rozdawała swoje zdjęcia w prezencie. Na nocnym stoliku Wandy przy Alboinstraße stały fotografie wszystkich członków rodziny, ale co kazało jej myśleć, że Manne wsunął jedną z nich do walizki i że w dodatku zabrała ją ze sobą do Polski?

Faktycznie znalazła fotografię. W portfelu tkwiło pomięte prastare zdjęcie, zrobione przed laty przez Verę na Wigilię. Widniały na nim najwyżej dwunastoletnia Wanda, Ariane, przymierzająca nową wełnianą czapkę, ciotka Lore, Matti oraz choinka z lametą, którą Matti co roku chowała z powrotem porządnie złożoną. Niestety, twarz Matti była rozmyta i w połowie zakryta przez obwieszoną lametą drzewko.

Wanda wzięła zdjęcie, ponieważ nie chciała zostać sama z bólem, które wywoływało, pokazała je Grahamowi McGovernowi i zapaliła papierosa, którym ją poczęstował. McGovern z żalem pokręcił głową.

– Na tej fotografii nie dałoby się rozpoznać pani matki, nawet gdyby była Garbo – stwierdził zgodnie z prawdą. – Wyraźnie widoczna jest wyłącznie ta dama. – Wskazał na ciotkę Lore. – Może to szalone, ale wydaje mi się, że gdzieś już widziałem tę twarz, lecz sama pani wie – gdy myśli długo krążą wokół czegoś, można wmówić sobie wszystko.

Wanda nie miała niczego, czego mogłaby się trzymać, żadnej strategii, zgodnie z którą mogłaby postępować, a dni, przyznane jej przez polski rząd na poszukiwanie historii, topniały szybciej niż śnieg. Dzień później Wanda wyruszyła pod ciężkim, żółto-szarym niebem, aby pokazać zdjęcie swojej rodziny przy bożonarodzeniowej choince właścicielowi każdego sklepu i kawiarni w Sopocie. Nie wiedziała, jak powiedzieć po

polsku „Czy zna pan tę kobietę?”, wyrwała więc z zeszytu ze słówkami stroną, na której Leon Fingerzwajg napisał ostatnie zdanie.

„Potrzebuję kogoś, kto pamięta”.

Przed południem poszukiwania przebiegły bezowocnie. Większość ludzi, którym podsuwała zdjęcie i kartkę, ledwo na nie zerkali, po czym dosłownie wyrzucali Wandę z lokalu. W południe czuła się wyczerpana i potrzebowała przerwy od ciągłych niezrozumiałych wyzwisk, pojechała zatem z taksówkarzem, którego polecił jej Graham McGovern, na Westerplatte, by zobaczyć miejsce, gdzie zaczęła się wojna.

Jechali przez brzozowe lasy ze srebrnymi pniami drzew, wyglądające, jakby nigdy nie powstała w nich ludzka stopa. Wanda spodziewała się pomnika lub muzeum, ale teren, na którym znajdowała się niegdyś polska składnica wojskowa, ciągnął się samotnie pośród krajobrazu zarastającego ruiny. Nie było tu kiosku ani tablicy, żadnych przewodników, którzy służyliby wyjaśnieniami. Wydrążone, sterczące kamienne szkielety budowli wznosiły się pośród gęstwiny mchów, przekrzywionych krzewów jałowca, łąsych brzoź, olch i wierzb. Wypalone budynki wpatrywały się w Wandę niczym czaszki z pustymi oczami.

Zatem to tutaj 1 września 1939 roku padły pierwsze strzały – raniem, o godzinie 4.45, z pancernika „Schleswig Holstein”, który stał w Kanale Portowym w Gdańsku, rzekomo z wizytą.

Wanda miała przy sobie cienką książeczkę o napaści na Polskę, którą dała jej Rieke van Bontjes. Do tej pory przeczytała zaledwie kilka fragmentów, ponieważ czuła, że podoła jej tylko w małych dawkach. Za ruinami, gdzie na paru grobach powiewały wyblakłe taśmy z wysuszonych wieńców, znalazła wreszcie witrynę z tablicą chronologiczną i kilka informacji po angielsku.

Naziści rozpowszechnili kłamstwo, że polscy powstańcy napadli na niemiecką rozgłośnię radiową w przygranicznym mieście Gliwice. W rzeczywistości sturmbahnführer SS sfingował napaść po otrzymaniu odpowiedniego rozkazu z hasłem „Babcia umarła”.

Dlaczego dręczyły ją te cyniczne szczegóły? Gdzie były jej matka i ciotka Lore, gdy tamtego ranka latem, tutaj, nad ich morzem, wybuchła wojna? Gdzie była Ariane, która musiała mieć wtedy pięć lat? Czy ludzie, którzy spali w Sopocie lub bliżej, w Gdańsku, usłyszeli strzały? Co wiedzieli, z jakimi myślami się obudzili? Czy ktoś z nich tego dnia

oddał się swoim codziennym zajęciom, poszedł do fryzjera, ugotował rosół albo kupił parę pończoch?

Polska nie była przygotowana na atak, jej armia nie stała w gotowości. Wojsko i rząd częściowo liczyły na deklarację o niestosowaniu przemocy podpisaną z Niemcami, a częściowo na porozumienie z Francją i deklarowane gwarancje Brytyjczyków. W kwietniu 1939 roku Hitler jednostronnie wypowiedział porozumienie i zamiast tego zawarł latem pakt o nieagresji ze Związkiem Radzieckim Stalina. Francja i Wielka Brytania oficjalnie dotrzymały słowa i wypowiedziały Niemcom wojnę. Nie posłały jednak swoich oddziałów do Polski, która stanęła z przestarzałą bronią do walki z agresorem, od pięciu lat zbrojącym się na potęgę.

Dwustu stacjonujących na Westerplatte polskich żołnierzy przez tydzień stawiało opór szturmującym Niemcom w liczbie trzech tysięcy pięciuset. Potem się poddali.

O beznadziejności ich walki świadczyły ostrzelane ruiny, Wandzie żadna tablica informacyjna nie była tu potrzebna. Niedobitków wzięto do niewoli i prawdopodobnie posłano na roboty przymusowe, jak Ludwika Brzezno. To był początek końca Polski.

Początek końca tego, za co do tej pory mogła uważać się ludzkość.

Gdy Wanda opuszczała Westerplatte, czuła się tak, jakby oblano ją odblaskową farbą, więc każdy mógł ją zauważyć i pokazać palcem. Farbą wstydu. Nie pomagało powtarzanie sobie, że to, co się stało, nie miało z nią nic wspólnego. Miało. Z nią, z Matti, z życiem w kokonie, które prowadziła, jak te trzy małpki, zakrywające sobie oczy, uszy i usta. Kleiło się do niej. I nie pozwalało się strząsnąć.

Kazała taksówkarzowi wysadzić się na dworcu kolejowym, by przejść ostatni kawałek drogi pieszo na zimnie. Gdy wychodziła z przejścia podziemnego, zauważyła mały sklepik wciśnięty na skraju Bohaterów Monte Cassino, dawniej Seestraße. Na szyldzie ledwo czytelnymi już literami widniało: „Pasmateria Kościuszko”. W Wandzie walczyły dwie siły. Jedna chciała odejść, zaszyć się w pokoju hotelowym, a następnego ranka wyjechać i nigdy więcej nie pokazać się na oczy żadnemu Polakowi, który mógł rozpoznać w niej Niemkę. Druga wiedziała, że to nie ma sensu, że teraz jeszcze bardziej niż wcześniej potrzebuje odpowiedzi. Jeśli natychmiast nie podejmie kolejnej próby, jutro nie znajdzie już na to siły.

Nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi. Zadzwoił sklepowy dzwonek. We wnętrzu było tak ciemno, że ledwo widziała ladę i stojącą za nią kobietę. Co znaczyło „pasmantaria”? Kramik? Na regałach stało kilka skrzynek i koszyków z nieokreśloną zawartością, a na stole leżał mały stos guzików. Kobieta wydawała się stara. Była ubrana na czarno, włosy miała upięte z tyłu głowy. Były białe jak pył, tak jak włosy Matti na czole i skroniach.

– Przepraszam – powiedziała Wanda. Potem położyła na stole przed kobietą zdjęcie swojej rodziny i karteczkę z pojedynczym zdaniem. – *Ich brauche jemanden, der sich erinnert* – powiedziała bez sensu po niemiecku. – Potrzebuję kogoś, kto pamięta.

Kobieta wpatrywała się w fotografię. Wanda wyjęła z kieszeni płaszcza zapalniczkę i zapaliła płomień, ponieważ w ciemności nie dało się niczego dostrzec. Kobiecie wyrwał się piskliwy dźwięk. Spojrzała na Wandę.

– Ty – Niemka?

Wanda skinęła głową.

– Zna pani tę kobietę na zdjęciu?

– Kim jesteś? – spytała kobieta łamanym niemieckim, jej usta były otwarte, język spieszył po wargach niczym przestraszone zwierzę. – Znam wszystkich ludzi na zdjęciu.

– Wszystkich?

Dwa palce powiodły czule albo badawczo po miejscu, gdzie znajdowała się Matti.

– Pani Lehwald z dużego domu... – zaczęła.

– Lore Lehwald?

– Lore Lehwald – powtórzyła kobieta. – Z dużego domu. Wydostała się? Pozostali nie żyją, dzieci też. Chcieli popłynąć wielkim statkiem, z Gdyni. Nigdy nie dotarł. Teraz wszyscy nie żyją.

CZĘŚĆ SZÓSTA

Gundi

Wolne Miasto Gdańsk,
nadbałtyckie uzdrowisko Sopot

Maj 1938

Przez dookolny sen głęboki,
Ponad domów wszystkich rząd
Tylko morza szum daleki –
Samotności cudny głos!

Joseph von Eichendorff, *W Gdańsku*

– Chcę napisać dla ciebie piosenkę, Gundi.

– Ja dla ciebie też.

Zamknął oczy, trzymał ją w objęciach i nucił pod nosem, tak jak zawsze to robił, gdy czymś się w pełni rozkoszował.

– Taką jak *Świt na morzu*, Gundi? Dla mnie?

Pokręciła głową.

– Nie napisałam *Świtu na morzu*. Nigdy nie napisałam żadnej piosenki. Całe życie chciałam to zrobić, ale nie potrafię. – Na ten temat wszystkich okłamywała. Tak długo już żyła w kłamstwie, że przez większość czasu uważała je za prawdę, ale teraz, gdy leżała przy Tadku, miała dość kłamstw. Powinien znać ją całą, być bez reszty z nią. Nagą. Bez jeśli i ale. I wciąż powinien ją wtedy kochać.

Wahał się przez chwilę. Ale nie zapytał o *Świt na morzu*.

– Ja też – przyznał i ponownie zaczął bawić się jej włosami, splatał ze sobą kosmyki i śmiał się cicho, ciesząc się refleksami światła świecy, tańczącymi na jej lokach. – Ja także przez całe życie chciałem napisać piosenkę i nigdy nie umiałem. Teraz chciałbym.

– Ja też. Tak bardzo. Zdradź mi, o czym ma opowiadać twoja piosenka.

„O tobie”, powinien wykrzyknąć, tak jak ona powiedziałaaby: „O tobie, o tobie, o tobie!”. Ale on powiedział coś jeszcze piękniejszego.

– O godzinach. – Tych godzinach, gdy łączymy się ze sobą, tuż nim nadejdzie dzień i świat znowu stanie się rzeczywisty.

– Ach, Tadku. Tadziu. – Uwielbiała te spieszczenia jego imienia, na które pozwalał polski język. – To mój ulubiony czas i chciałabym, żeby wczesnym rankiem świat nie musiał znowu być rzeczywisty.

Ukrył twarz w jej włosach i pocałował. Gdy się wynurzył, szepnął:

– Wiesz, jak nazywa się ten czas po angielsku? – Mówił płynnie w tym języku, mówił we wszystkich możliwych językach, bo stale

podróżował po świecie. – *The small hours*. To będą nasze sekretne godziny.

To był ich czas. Ich sekretne godziny, o których nie wiedział świat. Zatrzymane między dniem a nocą, należące do Tadka i Gundi. I nikogo innego. Zaczęła kłaść się spać zaraz po zakończeniu ostatniego występu, choć pozostałych to martwiło. Potem próbowała drzemać, aż minęła północ i życie na statku zamarło. Zawsze się wtedy budziła. Jakby cisza wyrwała ją ze snu. Bezgłośnie narzucała peniuar i boso przekradała się przez korytarz. Kabina Tadka wciśnięta była pod schodami awaryjnymi i znacznie mniejsza niż pozostałe. Stały w niej tylko szafa i łóżko. Zostawiał drzwi otwarte dla Gundi. Gdy przychodziła, leżał na plecach, przy zapalonej świecy i wykrzywił ciemną twarz w uśmiechu.

Świece były w kabinach zabronione. Mógłby wybuchnąć pożar, ale czy mogło się tym przejmować dwoje ludzi, którzy od dawna płonęli jasnym płomieniem? Nim zamienili ze sobą choć słowo, kochali się. Gundi nie wiedziała, że kochanie się z kimś może być właśnie takie, że trzeba to robić, aż nie ma się już nawet odrobiny siły w członkach. Przypominała sobie, jak rozpaczliwie liczyła na to, że gdy wreszcie się zakocha, napisze swoją piosenkę, jak próbowała się do tego zmusić, ale żadna piosenka się nie pojawiła.

Teraz po prostu była. Była w ich miłości, w takcie, w którym poruszały się razem ich ciała, w ich szeptach, śmiechu, odgłosach, które wydawał przy tym śpiący statek, i morzu, które nigdy nie spało. Była w każdej z jej myśli, a każda myśl miała na imię Tadek. Nie miało znaczenia, czy ją zapisze. Piosenka już była.

Przypomniała sobie, jak Lore spytała, czy nie jest ważniejsze, żeby być razem z Juliusem, niż napisać jakąś piosenkę. Wtedy Gundi jej nie rozumiała. Jak mogło istnieć coś ważniejszego od piosenki?

Teraz rozumiała. Nic nie było ważniejsze niż być razem z Tadkiem, i nic straszniejsze niż myśl, że jutro odbiją z Madery, że czas sekretnych godzin dobiegnie końca.

Niedziele w Sopocie wydawały się jej nieskończone, ale wtedy była dzieckiem. Teraz dorosła i noce z Tadkiem nigdy nie trwały dłużej niż chwilę.

– Musisz zostać przy mnie – powiedziała i ugryzła go w pierś. – Nie wytrzymam, jeśli już cię nie będzie, jeśli nocą będę błąkać się po moim domu i nigdzie cię nie znajdę.

Tadek odchylił głowę i jęknął.

– Nie mówmy o tym, proszę. Lepiej o tej piosence, którą dla siebie napiszemy.

Zmusiła się, by go puścić, i zsunęła się z niego.

– Tadku, pragnę cię. Jeśli nie będę cię mieć, wszystkie piosenki są mi obojętne.

Roześmiał się, objął ją i przyciągnął na powrót do siebie.

– No, chodź już do mnie, derwiszu, nie bądź nagle tak strasznie poważna. – Broniła się pół serio, pół żartem, i walczyli, aż ponownie zamknął ją w swoim uścisku i całowali się do utraty tchu. Tak pięknie byłoby po prostu się zatracić, nie myśleć o jutrze, żyła w ten sposób przez dwadzieścia osiem lat. Ale odkąd pojawił się Tadek, straciła tę umiejętność. Chciała wiedzieć, że będzie z nią również jutro i pojutrze i przez wszystkie dni, aż w końcu kiedyś, niosąc między sobą niebieską torbę, wsiądą razem na dworcu do pociągu i tak zakończy się ich wymarzone życie.

Odepchnęła go, usiadła mu na biodrach i przycisnęła jego ramiona do łóżka.

– Ale ja jestem poważna – powiedziała. – Nie chcę, żebyśmy od poniedziałku się już nie widywali, Tadku. A ty tego chcesz? Nie traktujesz mnie poważnie?

– Oczywiście, że nie chcę. Ale czy z tego powodu muszę być poważny?

Lubiła to. Przy nim nigdy nie musiała czuć się winna, że jest zbyt głupiotka, zbyt niedojrzała, zbyt raniąca. On był gorszy i to się jej podobało. Teraz jednak, w ciągu tych kilku ostatnich minut, nim sekretne godziny znowu przepłynęły im przez palce, chciała, by podszedł do tego równie poważnie jak ona.

– Po zejściu na ląd jedziemy na dziesięć dni do domu – powiedziała. – Możesz wtedy nic nie zrobić? Byłbyś u nas mile widzianym gościem.

– Zapomnij o tym – odparł. – Zapomnij tak prędko, jak prędko to wymyśliłaś. Jestem złym mężczyzną, który kradnie innym żony. Ale nie wiję sobie gniazdko w ich domach. To nie byłoby złe, Gundi, tylko pozbawione stylu.

Chciała go pocałować, ale zatrzymała się, bo to nie wystarczało. Dlaczego tyle mówiło się o miłości, a gdy się zjawiała, nagle brakowało słów? Powiodła palcem po żyłce na jego dłoni.

– Dziękuję, że to powiedziałaś. Jestem paskudna. Julius na coś takiego nie zasłużył.

Było tak, jakby ktoś wsadził piętę w tort śmietanowy i wszystko zostało zniszczone. Za każdym razem, gdy w sekretnych godzinach padało imię Juliusa. Kobiet zdradzających mężów było tyle, ile muszelek nad Bałtykiem. Wśród gości Kasino-Hotelu chwalono się zdradami, jakby był to jakiś konkurs. Jak te kobiety to robiły? Czy przestawały kochać swoich mężczyzn, kiedy znajdowały innych, których mogły kochać duszą, umysłem i ciałem? W takim razie nie mogły mieć mężów równie godnych miłości jak Julius!

– Sądzę, że nie zasłużył na to wszystko – powiedział Tadek.

Wieczorem po śmierci kapitana Lübbe wystąpili razem. Zaśpiewali wspólnie *Świt na morzu*, a Julius odegrał swoje solo na trąbce jak najciszej, aby upajający głos Tadka mógł równie cicho towarzyszyć mu z ostatnimi wersami refrenu. Aplauz był oszałamiający, triumfalny. Następnego wieczora Tadek po latach ponownie zaintonował swoje *Daremnne pragnienie*. Gestem poprosił Juliusa, by dołączył na trąbce do akompaniamentu. Gundi wydawało się, że słyszy, jak publiczność wstrzymuje oddech, i sama też to zrobiła.

Dwaj mężczyźni rozumieli się. Nie tylko muzycznie. Choć tak bardzo się różnili, łączył ich szacunek, Gundi nie miała co do tego wątpliwości. Była tym wzruszona. Ja też cię szanuję, Ju-Ju, myślała, i nie chcę cię zranić. Po prostu nie miałam pojęcia, jak to jest, gdy kobieta zakochuje się w mężczyźnie.

– To był głupi pomysł – powiedziała do Tadka. – Zapomnijmy o nim. Możesz zamieszkać w Kasino-Hotelu.

– O tym też lepiej zapomnijmy – odparł.

– Dlaczego? Byliśmy przecież świetni, porwaliśmy salę. Jestem pewna, że w Kasino-Hotelu będą całować twoje stopy, jeśli zaproponujesz, że z nami zaśpiewasz.

Tadek wygiął ciało z gibkością, która zdumiewała u tego postawnego mężczyzny. Przed twarzą Gundi pojawiła się jego stopa.

– Chcesz całować – proszę bardzo. Od ust po zadek, wszystko da się załatwić. Dla ciebie, madame Świt na Morzu. Ale nie dla panów z twojego Kasino-Hotelu.

Chwyciła jego kostkę i obsypała pocałunkami.

– A dlaczego? I w ogóle dlaczego już tak dawno tam nie występowałaś? To mój ulubiony hotel, podziwiałam cię tam, gdy byłam pulchną siedemnastolatką. Wierz mi, żaden dźwięk, który wydobył się z twoich ust, nie uszedł mojej pożądlivej uwadze.

Odsunął stopę i objął Gundi. Coś w jego pięknym śmiechu brzmiało fałszywie.

– To były dobre czasy. Przed kryzysem gospodarczym, zanim pół świata oszalało. Chętnie poznałbym tę pulchną siedemnastolatkę o pożądlwym spojrzeniu.

Przycisnęła się do niego i ukryła twarz w zagłębieniu między szyją a ramieniem.

– Znasz ją teraz. Nawet jeśli jest już starym pudłem. Proszę, śpiewaj ze mną, Tadeu. Po zakończeniu rejsu muszę przez kolejnych dziesięć wieczorów występować w Sopocie. Nasza mała córeczka lubi mieć nas przy sobie, dlatego chętnie przyjmujemy takie angaże. Ale przecież ty nie jesteś związany. Kiedy wpadłeś na ten głupi pomysł, że nie chcesz już występować w naszym Kasino-Hotelu?

– Latem przed dwoma laty – odparł Tadek. – Gdy zaraz za ślicznymi leżakami i szemrzącą fontanną ustawiono szyld: „Żydom korzystanie z plaży zabronione”.

Gundi zastanowiła się. A potem roześmiała.

– Ach, to. Zrobił to Reinhold Ziebuhr od koszy plażowych, zwariowany błazen, na którego nikt nie zwraca uwagi. Wyrwał ten szyld przed laty, wtedy było napisane na nim: „Psom korzystanie z plaży zabronione”. Ma hopla na punkcie psów. Wszystkich zwierząt. Teraz go po prostu przemałował.

– Na punkcie ludzi nie ma hopla, tak?

Była zmieszana. Zawahała się.

– Tadek, przecież nikt nie zwraca uwagi na głupią tablicę Ziebuhra.

– A czy w ostatnim czasie widziałaś Żydów na waszej plaży? W twoim Kasino-Hotelu, który tak bardzo kochasz? Na waszym korso kwiatowym, na wyścigach, w Operze Leśnej, w której grają już tylko Wagnera?

– Dobry Boże, nie widzę przecież po ludziach, czy są Żydami, czy nie.

– Nie? Adolf Hitler mówi, że można ich rozpoznać po zapachu.

– Adolf Hitler jako brzdąc w gorącej wodzie był kapany. Niech sobie gada. Poza tym wcale nie jesteś Żydem.

– Nie, nie sędzę, żebym był. Ale kto wie. Jeśli nikomu nie przeszkadza, co twój zwariowany błazen robi ze swoją tablicą, może niedługo napisze na niej: „Polakom korzystanie z plaży zabronione”.

Gundi zapomniała, że sekretne godziny potrzebują ciszy, że krzyk przeszkadza ich pięknu.

– Chcesz być ze mną czy nie? – zażądała odpowiedzi. – Jeśli nie chcesz, możesz powiedzieć mi to wprost i nie musisz zasłaniać się Ziebhrem, Hitlerem czy jeszcze jakimiś innymi bzdurami.

Zasłonił jej usta i obsypał pocałunkami niezasłoniętą część twarzy.

– Głupiutka, słodka Gundi. Czy byłbym tu nadal, gdybym nie chciał z tobą być? Planowałem zejść na ląd już w Lizbonie. Twoja pływająca nazistowska centrala „Wilhelm Gustloff” podoba mi się jeszcze mniej niż tablica tego człowieka wypożyczającego kosze plażowe.

Uwolniła się z jego objęć.

– Dlaczego znowu nie podoba ci się „Gustloff”?

Odsłonił zęby.

– Jestem Polakiem.

– Chyba Kaszubem.

– To samo powiedzieli w biurze waszego armatora: „Ale pan jest przecież Kaszubem, panie Radun, ze szlachtetnej, spokrewnionej z nami rasy, oczywiście jest pan przez nas mile widziany”. Mam polskie obywatelstwo, polski jest moim językiem ojczystym i nigdy nie byłem całkiem pewien, kim jestem. Nigdy nie przyszło mi też do głowy, dlaczego może to być ważne, piękna muzyka i piękne kobiety są wszędzie. Ale jeśli ktoś

mówi mi coś takiego, to nagle bez cienia wątpliwości wiem, że jestem Polakiem i nikim innym.

– Gadasz głupstwa, bo się sobie wtedy podobasz. – Gundi, która widywała w Kasino-Hotelu najróżniejsze sceny i gardziła płaczącymi kobietami, czuła, jak jej oczy napełniają się łzami. – Nikt w Niemczech nie ma nic przeciw Polsce. Oba kraje podpisały deklarację, a w zeszłym roku w Berlinie odbyło się spotkanie z polskimi artystami, na które przybył sam Hitler. Występowaliśmy tam. Sale były pełne.

– Ależ oczywiście, że Hitler nie ma nic przeciwko Polsce. Nie ma też nic przeciwko Czechosłowacji. Wręcz przeciwnie. Oba te kraje kocha tak bardzo, że chętnie zabrałyby sobie po kawałku. Dużym kawałku. I wygląda na to, że nasi przyjaciele na zachodzie Europy nie mają nic przeciwko temu, by to zrobić.

– Ale jeśli na jakimś obszarze mieszkają Niemcy? – uniosła się Gundi. – Jeśli historycznie należy do Niemiec? W Gdańsku na przykład... – Nie kończąc zdania, usiadła w rogu kabiny. Wreszcie się rozplakała i nienawidziła Tadka za to, że ją do tego doprowadził. Doprowadził ją również do tego, że powtarzała hasła, które głosili Forster i jego ludzie, choć nic z nich nie rozumiała i chwilowo zupełnie jej nie interesowały.

– Ach, moja Gundi. Moja syrenko. – Tadek roześmiał się. – Wiesz, że nie wyglądasz na starszą niż pięciolatka, gdy siedzisz tak w rogu nadąsana?

Był niesamowitym mężczyzną. W swojej krzykliwej brzydocie piękny. Wszystko w nim było zbyt ciężkie, ciało, włosy, powieki i głos niczym przesycony winem. Nie było w nim niczego, za czym by nie przepadała.

– Jesteś idiotą, Tadku. Mam gdzieś twoje gadanie o Hitlerze i mogłabym cię udusić, bo powiedziałaś, że piękne kobiety są wszędzie.

– Bardzo piękne – powiedział przymilnie i podkradł się bliżej.

Uderzyła go, nie zamierzając trafić, pozwoliła się znowu objąć i otoczyć jego ciężką, ciepłą obecnością. Może nie potrafiłam nigdy dorosnąć, ponieważ dorośli nie są chronieni przez swoich dziadków, pomyślała. Bez Popa nigdy nie czułam się bezpieczna, ale czuję się bezpieczna, gdy Tadek mnie tuli.

– Gdy byłam mała, pewien człowiek budził we mnie strach – powiedziała. Nigdy jeszcze o tym z nikim nie rozmawiała, nawet z Popem, który pewnie i tak sam z siebie to wiedział. Nie chciała opowiadać Tadekowi więcej ani przypominać tego sobie samej, a już na pewno nie faktu, że człowiek ten był jej ojcem. Chciała podzielić się z nim tylko jednym zdaniem: – Gdy jesteś przy mnie, strach mija.

Pogłaskał ją. Trzymał ją przyciśniętą blisko do swojego nagiego, pulsującego ciała. Był silny. Na Juliusa musiała mieć wzgląd, bo w jego złym dzieciństwie nie było Popa i musiał sam walczyć z tyloma rzeczami. Tadek jednak potrafił świetnie odpowiedzieć:

– Tu nie ma ludzi, którzy budzą strach, moja słodka. Tylko Kaszubi. Ci są niegroźni.

– Nienawidzę cię, Tadku. – Pocałowała go w szyję. – Kocham cię.

– Mówisz poważnie? Obie te rzeczy naraz?

– Nie. Ta pierwsza tylko czasami.

Zsunął z niej peniuar i pocałował długo i namiętnie. Później otarł palcem jej łyzy.

– Dziękuję, moja ukochana madame Morze. Odkąd cię obserwuję, sądziłem, że potrafisz kochać tylko swoją muzykę, a teraz mówisz mi coś takiego. Dziękuję, dziękuję. To tak, jakbyś napisała dla mnie piosenkę.

– Nie tylko to mówię.

– Ależ serce! Przecież wcale mnie nie znasz. Dopiero od dwóch tygodni, dzięki naszym sekretnym godzinom.

– Znam cię. Nie znam nikogo innego. Żałuję, że nie znałam cię zawsze, bo wtedy nie poślubiłabym biednego Juliusa.

– Oj, oj. – Ujął jej twarz w dłonie i spojrzał na nią spod ciężkich powiek. W jego oczach skryły się złote drobinki. – Ale poślubiłaś go. A teraz, obawiam się, nie możemy po prostu wymazać go z mapy, jak chętnie uczyniłby to Hitler z Polską.

– Tadku, wyświadczy mi przysługę – powiedziała Gundi. – Skończ wreszcie z tym głupim Hitlerem. Wiem, że nie możemy wymazać Juliusa, i nie chcę tego. Odkąd pamiętam, Julius jest moim przyjacielem, mamy razem nasz band, nasze dziecko, nasz dom.

– To właśnie cała Gundi Słoneczko. Najpierw band, który, swoją drogą, należałoby teraz nazywać kwartetem lub kapelą, potem dziecko.

– Taka właśnie jestem.

– I taką cię lubię.

– Nie jestem urodzoną matką, ale kocham Ariane. Chcę prosić Juliusa, by się ze mną rozwiódł. Nasze małżeństwo nie jest takie, jakie powinno być – nie wiedziałam tego, dopóki nie pojawiłeś się ty. Julius zaprzepaszcza swoje szczęście tak samo, jak ja o mały włos bym je zaprzepaściła. To nikomu nie pomoże.

– Gundinko – odezwał się Tadek. – Szczęście to nie zakotwiczona boja, tylko spiętrzone fale. Byłaś szczęśliwa, jeszcze zanim mnie poznałaś, nie odwracaj się od tego tylko dlatego, że teraz szczęście jest potężniejsze.

Zastanowiła się. Pocałowała go w kącik ust.

– Jesteś boskim kochankiem i śpiewasz niczym cherubin w kościele Mariackim – powiedziała. – Nie musisz jeszcze do tego być tak mądry.

– Tak, tak, my, Kaszubi. Szlachetna, spokrewniona z wami rasa.

– Pewnego dnia cię uduszę. Ale bardzo powoli, a wcześniej porozmawiam z Juliusem. Tak, masz rację, doświadczyliśmy wspólnie wiele szczęścia i nie trzeba tego niszczyć. Nasz dom jest ogromny. A naszej przyjaźni nic tak łatwo nie zabije.

– I zamieszkamy tam wszyscy razem? – Tadek zmarszczył czoło. – Ty i twój harem szczęśliwych przyjaciół, twoje dziecko i twój dziadek, a twój towarzysz Forster przyjdzie na herbatkę i będzie podziwiał naszą rasową menażerię?

– Forster nie jest moim towarzyszem. Nigdy do nas nie przychodzi i nie pijamy herbaty. Tylko napar z dzikiej róży. Wolno ci się ze mnie natrzęsać dopiero wtedy, gdy obiecasz mi, że za trzy dni nie znikniesz z mojego życia. Że zostaniemy razem. Po wszystkie dni, wszystkie sekretne godziny.

– Jesteś bardzo słodka – odparł. – Gdy tak się zapalasz, jakby wszystkie liny puściły, gdy nie robisz niczego połowicznie, tylko do końca. – Pocałował jej dłonie. – Czuję się schlebiony i uhonorowany, i dziękuję ci. Ale nie przyjmę tego daru. Nie, nie tak szybko, zanim zastanowisz się na spokojnie. Prawdopodobnie nie ułoży się to tak łatwo, jak to sobie

teraz wyobrażasz, wiele zostanie zniszczone i musisz wiedzieć, czy tego chcesz. Ja też, Gundi. Jeśli mam być szczery, do tej pory nigdy jeszcze nie myślałem o tym, by odwrócić się od wszystkich pięknych kobiet na świecie.

– Musisz to zrobić, Tadku.

Uśmiechnął się.

– Obiecuję, że się postaram. I że zniknę z twojego życia najwyżej przejściowo. Nie umiem tylko powiedzieć ci, kiedy i gdzie się znowu pojawię. Z tym pływającym nazistowskim pałcem prawdopodobnie będę mógł się od czasu do czasu pogodzić.

– Z „Gustloffem”? Wrócisz na „Gustloff”, gdy w maju popłyniemy do Neapolu?

– Zobaczyć Neapol i umrzeć. – Pocałował ją między piersiami. – Nie lubię się wiązać, ale sądzę, że da się to załatwić.

– Nie chcę cię wiązać. Tylko nie chcę być bez ciebie. Te dziesięć dni będzie piekłem, Tadku.

– I tak oboje tam trafimy. A teraz musisz już iść, moja kochana. Sekretne godziny nocy minęły.

34

Lato 1938 roku, pierwsze na „Wilhelmie Gustloffie”, było najszcześniejsze w życiu Gundi. Zarazem było też najtrudniejsze, ze zmęczenia wciąż zasypiała na siedząco i miała cienie pod oczami, ponieważ musiała godzić muzykę i swoje zobowiązania, życie z przyjaciółmi i sekretne godziny miłości, przerzucać je niczym piłeczki do żonglowania, ale to nie mąciło jej szczęścia. Popłynęła z Tadkiem do Włoch, do Norwegii i ponownie do Portugalii. Po powrocie z tej ostatniej podróży zaczął się wrzesień i Gundi musiała przetrwać cztery tygodnie bez Tadka, który wyjechał na tournée do Ameryki.

Cztery tygodnie lub dłużej. Tadek nigdy do niczego się nie zobowiązywał, tylko zjawiał się tak jak wtedy, gdy zmarł kapitan Lübbe, stawał po prostu za nią i znowu był przy niej. Na Maderze kupił jej pierścionek, filigranową portugalską ozdobę ze srebra, który mogła nosić na łańcuszku pod sukienką. Podobnie jak połowa załogi statku Julius dostał

rozstroju żołądka, więc nie zszedł na ląd. Był to pierwszy raz, gdy mogli z Tadkiem być razem w ciągu dnia. Spacerowali krętymi uliczkami rybackiej wioski, trzymali się za ręce, kupili na targu kilka intensywnie pachnących specjałów i wkładali je sobie nawzajem do ust.

Jak coś tak prostego mogło dawać taki ogrom szczęścia? Tego wieczora Gundi po raz pierwszy pokłóciła się z Lore. Nie była to gwałtowna kłótnia, raczej kilka nieporozumień. Lore spytała, czy Gundi uważa, że zachowała się właściwie wobec Juliusa, a ona w panicznym strachu, że jej tajemnica została odkryta, ofuknęła Lore:

– Kiedy wreszcie przestaniesz chodzić za mną krok w krok i zaczniesz własne życie, którym będziesz mogła się zajmować?

Później obie dziwiły się temu nagłemu wybuchowi.

– Ty, Julius i to wszystko – wy jesteście moim życiem – powiedziała Lore przepaszająco i wyjaśniła, że po prostu współczuła Juliusowi, bo był chory i musiał zostać sam na statku. Gundi również przeprosiła. Powiedziała, że jest zmęczona i pewnie dlatego zbyt drażliwa.

– W ostatnim czasie ciągle jesteś zmęczona – powiedziała Lore. – Może powinniście trochę odpocząć, pojechać na urlop, tylko Julius, Ariane i ty.

– Przecież wciąż jesteśmy na urlopie – odparła Gundi z wymuszonym uśmiechem, obejmując wzrokiem „Gustloff”. – I znasz mnie przecież – nie wytrzymam bez was i mojej muzyki.

Przede wszystkim nie mogła wytrzymać bez Tadka. Postanowiła, że coś musi się stać. Ale nic się nie działo. Nim zdążyła wspólnie z Tadkiem podjąć decyzję, on znowu wyjechał, musiał skupić się na swoim tournée, a Gundi obawiała się, że ich lato szczęścia dobiegło końca. Po trzech tygodniach nadszedł do niej list z Nowego Jorku. W kopercie znajdowała się tylko piosenka, tekst, który napisał dla niej Tadek:

Sekretne godziny nocy

Kryją tajemnicę

Czerń otwiera się na chwilę,

Byśmy mogli się w niej skryć.

Czas, którego nie ma.

Czas dla nas...

Gundi usiadła przy fortepianie, który stał w pokoju muzycznym, choć nikt z nich nie umiał grać na tym instrumencie. Uderzyła w klawisze, po

czym wyjęła akordeon i w ciągu zaledwie dwóch godzin skomponowała melodię. Potem udała się do ogrodu zimowego, gdzie dostrzegła znikającego Erika. Julius wyszedł załatwić jakieś urzędowe sprawy z Forsterem, a Lore pojechała z Różą do Gdańska na zakupy, ale to właśnie z Erikiem chciała porozmawiać Gundi.

Erik stał przy kontrabasie i brzdąkał uroczą piosenkę dla dzieci, której nie znała. Zosia siedziała przy stole i towarzyszyła mu na swojej małej cytrze, a Ariane, pokrzykując radośnie, waliła w cymbałki, które ktoś musiał jej podarować. Wszyscy troje wydawali się niemal przestraszeni, jakby Gundi w czymś im przeszkodziła.

– Chciałabym, żebyś na to spojrział – powiedziała Gundi. – Chyba mam nową piosenkę.

To był list miłosny, najbardziej intymna rzecz, jaką posiadała. Ale była to również muzyka, która chciała uwolnić się i być grana. Gundi wiedziała, że jest w niej zarówno Tadek, jak i ona. Tej jedynej piosenki, którą potrafili napisać, nie stworzyli po to, by trzymać ją w szufladzie obwiązaną różową wstążką, tylko po to, by razem wystąpić z nią przed światem.

Zostawiła Erika z piosenką samego. Mniej więcej po kwadransie przyszedł do niej i powiedział:

– Masz rację. Udało ci się. Kto by pomyślał? Po tych wszystkich latach cztery ofermi z Sopotu faktycznie mają nowy wielki numer.

– A zatem podoba ci się?

– Nie bądź śmieszna. Znasz odpowiedź.

– Chcę zaśpiewać ją z Tadeuszem Radunem.

– Ach tak? Tego właśnie chcesz? Dlaczego mnie to nie dziwi?

– Co się dzieje, Eriku? – spytała Gundi. – Dlaczego jesteś taki cyniczny? Czasami mam wrażenie, że nasza muzyka nie sprawia ci już przyjemności. Na początku tygodnia nie zjawiłeś się nawet na próbie, to nie zdarzyło ci się od pięciu lat.

– Mój pies umarł – odparł Erik i zamarkował drwiący ukłon, choć Gundi sądziła, że już się tego oduczył. – Uniżenie proszę o wybaczenie.

– Och nie, Eriku, nie Lex! Lex nie mógł umrzeć!

– Miał trzynaście lat i najwyraźniej uznał, że może. Ale mówisz poważnie, Gundi? Czy naprawdę nie zwróciłaś uwagi na to, że już się tu nie kręci?

Przerażonej Gundi zabrakło słów. Miał rację. Odkąd z tak bolesną intensywnością tęskniła za Tadkiem, zaniedbywała wszystko inne. Swoich przyjaciół. Ariane. Popa, którego widywała najwyżej w przelocie i któremu nie potrafiła spojrzeć w oczy.

– Przykro mi, Eriku. Żałuję, że nie było mnie przy tobie.

– W porządku – odparł. – Była Zosia. O tym chciałem z tobą porozmawiać.

– O Zosi? – spytała zdumiona Gundi.

Erik przysunął krzesło do pianina i zapalił papierosa.

– Radziłem Zosi, żeby stąd wyjechała. Do Warszawy. Jej ciotka Irena też chce wyjechać, mają tam krewnych.

– Ale Zosia nie może wyjechać! – zawołała Gundi. – Potrzebujemy jej tutaj.

– Aha – odparł Erik. – Czyli ty jej potrzebujesz. Powiedziała mi to samo: pomogłaś jej, potrzebujesz jej, więc nie może wyjechać. Miałem nadzieję, że wpłyniesz na nią w tej kwestii, ale najwyraźniej było to próżne myślenie życzeniowe. Potrzeby jaśniepaństwa są oczywiście ważniejsze niż drobne kłopoty, w które mogłaby wpaść mała służąca. – Wstał i chciał odsunąć krzesło z powrotem.

– Eriku, skończ z tymi bzdurami. – Gundi chwyciła go za ramię. – Nie jestem żadną jaśniepanią, a Zosia nie jest służącą i co miałyby robić w Warszawie? Nie cierpi tej ciotki Ireny, mówi, że meczy jak koza. I z czego miałyby żyć? Tutaj ma utrzymanie, ma dom – myślałam, że jej się u nas podoba.

– Podoba się jej – odparł Erik.

– Więc niech jej mecząca ciotka przeprowadza się sama, podróży nie należy zatrzymywać. Miejsce Zosi tutaj. Jest gdańszczanką tak samo jak my.

– Nie, nie jest – powiedział Erik. – Jest polską gdańszczanką. A według mnie ta różnica powoli staje się zbyt niebezpieczna.

– Jak to niebezpieczna? Mam już dość tej gadaniny. Tutaj jest Sopot, część Wolnego Miasta Gdańska. Tak, jest paru awanturników, którzy wybijają szyby i smarują na szyldach paskudne rzeczy, ale tacy zdarzają się wszędzie i dlaczego nie mielibyśmy z tym skończyć? W Gdańsku urzęduje Wysoki Komisarz Ligi Narodów...

– Przyjazny Szwajcar Burckhardt, który siedzi cicho i spotyka się na naradach z Hitlerem – odparł Erik. – Ten waleczny Irlandczyk ustąpił w zeszłym roku. Zastanawiałaś się kiedyś dlaczego?

– Nie, nie zastanawiałam się – warknęła. – Jestem artystką i nie zajmuję się polityką personalną Ligi Narodów. Poza tym chciałabym wiedzieć, co to wszystko ma wspólnego z Zosią.

– Zapomnij o tym, Gundi – stwierdził Erik. – I na miłość boską, nie rozmawiaj o tym z Juliussem, o ile w ogóle jeszcze z nim rozmawiasz.

– A co to znowu ma znaczyć? Sprawia ci przyjemność mówienie zagadkami, aż wszystko kielbasi mi się we łbie?

– Dawno już tego nie słyszałem – powiedział Erik. – Twoich odzywek rodem z gdańskiego Wrzeszcza. Myślałem, że wytworny świat całkowicie cię odmienił. Nie martw się, to, co mówię, nie ma znaczenia, a o swoje sprawy zadbam sam. Zabierz się do aranżacji twoich *Sekretnych godzin nocy*, żebyśmy mogli rozpocząć próby. Zakładam, że chcesz zabrać ten utwór do Trypolitanii.

A zatem lato Gundi jeszcze się nie skończyło. Teraz, gdy minął czas niekończących się dni, uzyskała odroczenie. W październiku „Gustloff” opuszczał Europę i płynął na dwadzieścia dni do Trypolitanii na północy Afryki. Odbijali z Genui, gdzie obecnie statek kotwiczył na zimę, i już tam Tadek wszedł na pokład. Czworo z Sopotu zagrało *Sekretne godziny nocy* na wieczorku powitalnym, a po pierwszym refrenie Tadek stanął obok Gundi przy mikrofonie i zaśpiewał z nią, jak gdyby wyczuł melodię.

Publiczność oszalała. Jeszcze tej samej nocy, na „Gustloffie”, podpisały umowę na płytę. Gundi przemknęło przez głowę, że ma teraz własną piosenkę i mogłaby oddać Zosi *Świt na morzu*. Chciała, żeby było to możliwe, zrzuciłaby z siebie to brzemie. Ponieważ jednak nie dało się tego teraz zrobić, starała się o tym nie myśleć. Chciała cieszyć się дарowanym czasem z Tadkiem.

To było najpiękniejsze. Szczyt szczęścia. Wisienka na torcie. Trzy tygodnie z Tadkiem w bajecznej krainie z palmami, czerwonymi kwiatami, przejażdżkami na kołyszących się wielbłądach i pałacami o lśniących kopułach. Od czasu choroby na Maderze Julius miewał problemy z żołądkiem i często nie schodził na ląd. Gundi dręczyły wyrzuty sumienia, ale zarówno te sekretne, jak i zwykłe godziny były tak cudowne, że sumienie musiało poczekać – podobnie jak wszystko inne, nad czym chciała się zastanowić: Zosia, Erik, ich życie i dziwne rozmowy o niebezpieczeństwie.

Rozkoszowała się tym czasem i postanowiła, że ostatniej nocy, nim zjedzą w Genui na ląd, powie Tadcowi, że tajemnice muszą się skończyć. Kochał ją wtedy czulej niż kiedykolwiek wcześniej, goręcej i z dziwną tęsknotą, jak gdyby już się pożegnali. Gdy oderwali się od siebie, Gundi zobaczyła, że płakał.

– Co się dzieje, Tadziu? – Pocałowała go w oczy.

– Nic, słodka. Po prostu jest z tobą tak pięknie, nasza piosenka jest taka piękna, a teraz nadchodzi zima.

Powiedziała mu to, co sobie ułożyła: powinien pojechać z nią z Genui do Sopotu i tam poczekać, aż ona porozmawia z Juliušem. Jeśli zaproponują im występy, tym razem musieli odmówić.

– Załatwimy to tak, żeby nikomu nie stała się krzywda. Wszystko się ułoży, w moim życiu zawsze wszystko się układa.

– Ale nie chodzi tylko o twoje życie, Gundi. Chodzi o tak wiele osób, że nie starczy mi palców, by je zliczyć: o twojego męża, twoją córkę, o twoją siostrę i tego pana przy kontrabasie, którzy chcieliby zabić mnie wzrokiem, te dwie Polki, które przyjechałaś do siebie, twojego dziadka i jego przyjaciółkę, prastarego psa...

– Prastary pies umarł – przerwała mu Gundi. – To go nie dotyczy, tak samo jak Lore, Erika, Zosi i Róży. I Popa, i ciotki Karl. Tak, z Popem muszę porozmawiać, wstydzę się, że jeszcze tego nie zrobiłam, i źle jest mieć przed nim tajemnice, ale...

– Nie potrafię. – Tadek przyłożył jej palec do ust. – Nie mogę być winien temu, że wszystkim tym najwyraźniej uroczym ludziom wrzucisz do ich pięknego domu bombę i wywrócisz ich życie do góry nogami, właśnie teraz, gdy dom jest wyjątkowo potrzebny.

– Nie możesz? – Uniosła głos, chwyciła Tadka za ramiona i potrząsnęła nim. – Potrafisz miesiącami mieć ze mną romans, kłamać i oszukiwać bez jednego mrugnięcia – ale gdy chcę wyłożyć karty na stół i naprostować sprawy, naraz odzywa się w tobie sumienie?

– Zawsze tak żyłem. – Brzmiał na nietypowo speszzonego. – W tym jestem dobry. W sekretnych godzinach. Bez konsekwencji, gdy przerwa w czasie na powrót się zamknie. To tutaj mnie przytłacza. A teraz, gdy chwieją się posady świata, nie jest na to dobry moment.

– Niedobry moment? Zwodzisz mnie od kwietnia!

– Daj mi jeszcze czas – poprosił. – Pozwól nam przez zimę żyć spokojniej. Nie chcę, żebyś straciła swoją rodzinę, nie chcę, żeby twoja rodzina straciła ciebie, jeśli ostatecznie miałyby się okazać, że nie tego pragniesz. A fakt, że snujesz tę bajeczkę o wszystkich nas razem w wielkim domu – ja na kolanach twojego dziadka – mówi mi, że sama nie wiesz, czego pragniesz.

– To znaczy żądasz, żebym wybrała?

– To znaczy, że musisz wybrać – odparł. – Wielki dom z haremem jest możliwy w krajach Orientu, które niedawno opuściliśmy. Poza tym to mężczyźni utrzymywali takie przybytki i wydaje mi się, że dziś są one zabronione. Jeżeli traktujesz poważnie to, co powiedziałaś, zostaniemy tylko ty i ja. Nie wiem, jak uregulować sprawy z twoim dzieckiem, a dziadek z pewnością kiedyś ci wybaczy, ale na początku bylibyśmy zdani na siebie. We wszystkich godzinach. Chcemy tego, Gundi? Na końcu stracisz jeszcze swoich Czworo z Sopotu i zostaniesz Jedną z Sopotu z jednym Kaszubem.

Gundi leżała jak sparaliżowana. To, co opisywał, było jak fala, która niszczy wszystko i po której nie można się już podnieść i iść dalej. Ale stracić jego? Zacisnęła dłonie na jego ramionach.

– Tadku, to niemożliwe. Nie potrafię wrócić do życia bez ciebie!

Objął ją i ochraniał przed strasznymi myślami.

– Daj nam czas. Powiedziałaś przecież, że wszystko w twoim życiu jakoś się układa. Może tak będzie, może potrzeba nam tylko trochę cierpliwości, a gdy nadejdzie wiosna, będziemy wiedzieli, co trzeba robić.

– A jak będziemy wcześniej żyć? – zawołała. – Jak mamy to wytrzymać?

Odgarnął jej włosy z twarzy i uśmiechnął się.

– Sekretne godziny, Gundi. Sekretne godziny.

35

Pfitzner nie chodził do kina. Ten jeden raz kupił jednak bilet na pokaz w kinie przy Dworcu Głównym. Nie interesował go film *Fünf Millionen suchen Erben* (5 000 000 szuka spadkobiercy) z uśmiechającym się z plakatu aktorem Rühmannem. Nawet gdyby sam miał pięć milionów, poszukiwanie spadkobiercy byłoby bezsensowne. Poszedł, by obejrzeć kronikę filmową.

Zaraz po czołówce zobaczył czołgi i transportery Wehrmachtu, które w dostojnym, porządnym szyku wjeżdżały do wyzwolonego Kraju Sudeatów, i ogarnęło go poczucie głębokiego szczęścia. Nikt ich nie zatrzymywał. Panowie z Francji i Wielkiej Brytanii, którzy wcześniej pokrzykiwali głośno, odstąpili na bok i milczeli, podczas gdy Niemcy brały to, co należało do Niemiec.

Przy ujęciach Niemców, którzy biegli ku granicy tego szczątkowego tworu, jakim była Czechosłowacja, chwyтали wysoki słup graniczny z flagą i przewracali go niczym drewniany klocek, musiał walczyć z podnieceniem, które o mały włosy nie pozbawiło go wzroku i oddechu.

Jeszcze rok temu nie mógłby tego oglądać, ponieważ wbiłoby to tylko głębiej cierń w jego serce: dlaczego tam, podczas gdy mój Gdańsk nadal jest zapomniany? – krzyczałby głos w duszy Pfitznera. Dziś jednak czuł się spokojny, ponieważ wiedział: teraz kolej na nas. Nasz czas jest bliski.

A wcześniej, aby skrócić sobie oczekiwanie, zajmie się tą zgrają Bodo Ołówka.

Gdy znikł ostatni, mniej interesujący obraz – roześmiana dziewczyna obejmująca żołnierza Wehrmachtu – wstał i opuścił salę. Przed wejściem do kina zebrali się rozczarowani gdańszczanie, którzy nie dostali biletów na film o spadkobiercy pięciu milionów. Pfitzner zauważył samotnego mężczyznę, blondyna o świeżej cerze, może dwudziestoletniego. Podszedł do niego i podał mu bilet, który nie został jeszcze skasowany.

– Proszę wziąć mój bilet. Widziałem już ten film.

– Mówi pan poważnie? – Chłopak rozpromienił się.

– Śmiertelnie poważnie.

Pokuśtykał dalej, mając ochotę gwizdać. W ciągu dwudziestu lat Fritz Pfitzner zdążył zapomnieć, jakim wspaniałym uczuciem może być sprawienie komuś radości.

36

Minęły trzy tygodnie, odkąd ostatni raz leżała w ramionach Tadka. Pamiętała ciepło. Żar miłości i rozpaloną skórę, jakby zaplątało się pod nią słońce Orientu. Był listopad. Niebo szare jak ołów. Gundi tak bardzo tęskniła za jasnością, że włączała we wszystkich pokojach elektryczne oświetlenie, aż Julius warczał: „Ach, znowu ta świąteczna iluminacja”.

Nigdy nie była osobą, która lubi samotność, ale chwilowo czuła się najswobodniej, gdy miała dom tylko dla siebie, siedziała przy kominku nad jakąś aranzacją i mogła oddawać się rozmyśleniom. Julius, który niedawno został właścicielem samochodu, stale musiał załatwiać jakieś formalności, co odpowiadało Gundi. Pop kaszłał. Przy brzydkiej pogodzie ciotka Karl nie wypuszczała go na ulicę, o ile nie było to niezbędnie konieczne. Gundi tęskniła za nim, był jedynym człowiekiem, z którym chciała porozmawiać, ale nie znajdowała odwagi, by go odwiedzić. Erik często zaglądał do swojej siostry, która chorowała, a poza tym unikał domu, odkąd nie włączył się już po nim Lex.

Gundi także brakowało psa. Był częścią Erika i częścią ich przyjacielskiej więzi.

Słowo „Lex” pochodzi z łaciny i oznacza „prawo”. Tadek powiedział jej o tym i zauważył, że to dziwne imię dla psa. Gundi przypomniała sobie, że Erik, zanim musiał opuścić szkołę, przez kilka lat uczył się łaciny. Zapytała go o imię psa, a Erik odpowiedział, że jego ojciec uparł się, by zwierzę nazwać Rex, w przeciwnym razie chciał wrzucić je z powrotem do morza. Rex, król, jak wszystkie owczarki.

– Z wyjątkiem psa Hitlera – dodał Erik, jakby obecnie było obowiązkiem, by przy każdej okazji wspominać o Hitlerze. – Można by spodziewać się u niego Reksa, ale ma Blondie. Nie chciałem, by mój pies wabił się Rex, więc nazwałem go Lex. Ojciec po pijanemu nie zauważał nawet różnicy.

Gundi rzadko wiedziała, gdzie jest Lore. Często przebywała w domu, ale ten był tak duży, że siostry prawie się nie widywały. To bolało. Zawsze były sobie bliskie, ale od czasu kłótni, którą trudno nawet nazwać kłótnią, unikały się nawzajem. Gundi przekonała się, że tajemnice dzielą. Znienawidziłyby za to swoją tajemnicę, gdyby tak bardzo jej nie kochała.

Arianą nadal zajmowała się Róża, której pomagała o wiele weselsza i energiczniejsza od niej Zosia. Tego popołudnia dziewczynka udawała się na urodziny do Renate Temp, córki burmistrza Sopotu. Róża i Zosia miały odprowadzić małą, a potem spędzić czas u ojca i wieczorem ją odebrać.

Gundi zyskała kilka godzin dla siebie, ale o szóstej musiała pokazać się w Kasyno-Hotelu na przyjęciu dla prasy. Wcześniej zjawił się u niej fryzjer Remo, by ułożyć dzikie kędziory Gundi w coś, co nazywał „eleganckimi falami”. Remo był kopalnią plotek i podczas fryzowania włosów najchętniej opowiadał o tym, kto na wyżynach książęcych rodów Europy złożył przysięgę małżeńską, a kto złamał ją na nizinach sopoczkich salonów. Dziś jednak fryzjer był wyjątkowo milczący, podobnie jak Gundi, więc układanie fal przebiegło w długiej ciszy. Na zakończenie zgodnie ze swoim zwyczajem przesunął lusterko wokół głowy Gundi i również zgodnie ze swoim zwyczajem spytał:

– Zadowolona? Zadowolona? – Gundi uznała, że brzmi jak lalka brzuchomówcy na Jarmarku Dominikańskim, jakby ktoś inny przemawiał jego martwymi ustami.

– Wszystko w porządku, Remo? – poczuła się zmuszona zapytać, gdy wychodzili razem z domu. Powinna była zapytać wcześniej, nie dopiero teraz, gdy hotelowy szofer czekał już przed ogrodową bramą, żeby misterna fryzura nie popsuała się podczas kilkusetmetrowej drogi. Fryzjer był miły. Od lat dobrze się im rozmawiało, co miało znaczenie, ponieważ niekończąca się procedura z włosami śmiertelnie nudziła Gundi. Pragnienie bycia piękną, tak piękną, jak to tylko możliwe, poczuła dopiero przy Tadku, a on uznawał ją za piękną taką, jaka była, i kochał jej włosy również wtedy, kiedy były w wielkim nieładzie.

– Ależ oczywiście, pani Scharneck – odparł Remo. – Wszystko w porządku.

– Albo Schietke sagt Liedtke – wyrwało się Gundi. Wielkie draństwo.

Przez chwilę oboje milczeli. Szofer w ciemnej limuzynie pomachał przez szybę. Nie umrze, jak poczeka pięć minut.

– Chodzi o wiadomości z Niemiec – powiedział w końcu Remo. – Nie są dobre, a w ostatnich latach to, co dzieje się u nas, jest lustrzanym odbiciem wydarzeń w Niemczech. Ale proszę nie psuć sobie tym wieczoru. Za pozwoleniem, wygląda pani jak młoda księżna Charlotte z Monako.

– Ona jest brunetką. Sam pan mi to mówił. Kłamca z pana, Remo.

– To jeden z wymogów mojego zawodu.

– Jeśli chodzi o wydarzenia w Rzeszy także? Muszę zaraz iść, inaczej ten biedny człowiek w limuzynie zamacha się na śmierć. Proszę mi powiedzieć, co się dzieje.

– Nikt dokładnie nie wie. A już na pewno nie gazety. Podobno jakiś głupi, zrozpaczony młody człowiek dokonał w Paryżu zamachu na urzędnika niemieckiej ambasady. To przygnębiająca wiadomość. Fakt, że ów urzędnik zmarł, jest tym bardziej przygnębiający. Przykro mi, pani Scharneck, proszę mi wierzyć, że mi przykro.

– Ale co mają z nami wspólnego ten głupi, zrozpaczony młody człowiek i jego ofiara?

– Mam nadzieję, że mniej, niż twierdzą ci, co sieją panikę, pani Scharneck. Szofer na panią czeka. Nie chcę zatrzymywać pani dłużej.

Zeszli razem po schodach i przeszli ogrodową ścieżką. Gundi otworzyła bramę i zgasiła latarnię.

– Jest polskim Żydem – powiedział Remo.

– Ten zamachowiec?

W ciemności domyśliła się tylko, że skinął głową.

– Rzesza wydalila masowo polskich Żydów, a Polska nie chce ich przyjąć. Wśród nich byli rodzice tego młodego człowieka. Znaleźli się na zimnie na ziemi niczyjej. Myślał pewnie, że jest coś winien swoim rodzicom, że musi kogoś ukarać, a teraz Rzesza każe jego współbraci.

W głowie Gundi przelatywały myśli niczym wiązki błyskawic.

– Jest pan Żydem, Remo?

Brak odpowiedzi.

Podowała mu klucz.

– Niech pan wróci do mojego domu. Należy sobie drinka, odpocznie. Po powrocie zadbam, by bezpiecznie trafił pan do siebie.

Wsiadając do auta i przepaszając szofera, zastanawiała się, czy właśnie uległa wzrastającej panice. Od wielu dni nie zaglądała do gazet.

– Są jakieś nowinki? – spytała z udawaną lekkością. – Gdy człowiek tak bardzo angażuje się w próby, żyje wtedy prawie jak na księżycu.

– Nic takiego, pani Gundi – oznajmił szofer zadowolony. – Tyle że w tym roku zaśpiewa pani na jarmarku bożonarodzeniowym. I to jest cudowne! Przyjdę z żoną i z pięciorgiem wnucząt.

Trudno było o bardziej uspokajającą wypowiedź, a nudne przyjęcie dokonało reszty. Jedynym, co zaburzyło usypiający spokój, było nowe zdjęcie, które planowano wywiesić w palarni Kasino-Hotelu, dyrektor więc poprosił Gundi o autograf. Zdjęcie zrobiono w Trypolisie, na podium w porcie, gdzie z migoczącym morzem za plecami zaśpiewali *Sekretne godziny nocy*. Na zdjęciu była ona i Tadek. „Gundi Scharneck z najlepszymi życzeniami”, napisała na fotografii, a jej serce zmieniło się w bryłę lodu. Kazała podać sobie kieliszek szampana.

– Pani Scharneck? – Obok kelnera stanął boy z recepcji. – Telefon do pani, z domu burmistrza Tempa. To pilne. Proszę o wybaczenie.

Gundi pospiesznie podążyła za nim do jednego z małych pomieszczeń przeznaczonych specjalnie do prywatnych rozmów telefonicznych. Nim zdolała dodać dwa do dwóch, żona burmistrza już była przy aparacie.

– Gundula? Tu Hermine. – Gundi zapomniała, że mówił sobie z państwem burmistrzostwem po imieniu. – Nie chcę przeszkadzać, ale wasza niania, ta Polka, która miała odebrać Ariane, nie przyszła. Naprawdę powinniście się zastanowić, czy chcecie nadal powierzać dziecko tak nieodpowiedzialnym osobom. Przepraszam, że mówię bez ogródek, ale w naszych kręgach nie jest to przyjęte.

– Rozumiem – wymruczała Gundi. – Co z Ariane?

– Drze się jak obdzierana ze skóry – oznajmiła burmistrzowa. – Z grzeczności byłam gotowa posłać ją do domu z naszym kierowcą, ale ona nie chce się ruszyć z miejsca. Nasza Renate nie zaprosi jej ponownie. Najpierw Polacy w domu, potem te krzyki – zepsuto jej urodziny.

– Już jadę – powiedziała Gundi, czując się jak zongler, któremu jednocześnie spadły na ziemię wszystkie piłeczki.

Szofer, który przywiózł ją wcześniej, zabrał Gundi do Tempów, mieszkających w willi na końcu Parku Zdrojowego. Zaoferował, że zaczeka, ale Gundi wolała sama wyciągnąć swoje płaczące dziecko z tej świątyni uporządkowanego życia i wrócić do domu pieszo. Nie miała daleko, nawet jeśli będzie zmuszona przez całą drogę nieść Ariane, która jęczała, że chce swoją Różę. Tylko kilka przecznic, potem przez Seestraße i wzdłuż długiej nadbrzeżnej drogi, którą podobno przemianowali na ulicę Adolfa Hitlera. Ale nie doszła tak daleko. Przekłęty wieczór nagle rozświetlił się jaskrawo, a z centrum miasta dobiegły okrzyki, kroki i trzask desek. Ariane krzyczała tuż przy uchu Gundi głośniejsz niż te hałasy. Gundi zaczęła biec i instynktownie zatoczyła łuk, mając nadzieję, że na następnej przecznicy będzie bezpieczniejsza. Przed nią kłębił się dym, wdzierający się jej niczym haki do nosa i gardła. Krzyki Ariane ustały, przeszły w dyszący kaszel. Gundi przycisnęła twarz dziecka do swojego ramienia.

– Nie tędy! – krzyknął jakiś policjant. – Tam się pali.

Z ciężarem na słabnących rękach Gundi pobiegła dalej, skręciła w jakąś uliczkę, która wydawała się ciemniejsza i mniej zadymiona, i przedarła się do Seestraße. Tam stanęła jak sparaliżowana. Po sopockiej promenadzie, na której latem tańczyły nocne marki, maszerowali czwórkami chłopcy, stukając obcasami o bruk. Co kilka kroków unosili prawą rękę. Mogło wydawać się śmieszne, że przy tej lodowatej pogodzie na ich umundurowanie składały się krótkie spodenki i koszule. Ale to nie było śmieszne. Ponieważ śpiewali:

Gdy szturmowiec idzie w ogień,
czuje radość i odwagę,
A gdy żydowska tryska krew,
to jeszcze lepsza sprawa.

Tym, co paliło się jasnym płomieniem ponad dachami domów, była sopocka synagoga. Przed Błękitnym Pudlem tłoczyła się horda w mundurach i wybijała siekierami okna. Inni stali dookoła i wiwatowali. Mężczyźni w zimowych płaszczach, kobiety z torbami na zakupy, rzeźnik Seipold ze swoim wnukiem na rękach.

Ariane krzyczała i wiła się. Umysł Gundi działał automatycznie. W żaden sposób nie da rady dotrzeć do domu z dzieckiem na rękach.

Poza tym bała się, co jeszcze czeka ją po drodze. Szybko podjęła decyzję i pobięła, by przebić się przez szeregi mundurowych i przedostać na drugą stronę ulicy.

– Hej, chłopcy, zachowujcie się, przepuście tę panią z małą! – zawołał jeden z gapiów przed Pudlem. Utworzyła się luka, przez którą uciekła Gundi.

Na leśniej ścieżce było już cicho i ciemno. Całkowicie wyczerpana Gundi dotarła do pensjonatu Sonnenschein. Niska ogrodowa furтка była otwarta, przed oknami do połowy ich wysokości leżał śnieg. Z okien od strony kuchni i jadalni padało światło.

– Pop! – zakrzyknęła Gundi ostatkiem sił. – Ciociu Karl!

Pop wyszedł jej naprzeciw w kapciach i szlafroku, stary, przykurczony człowiek, który teraz na powrót stał się olbrzymem. Zawsze już miał być olbrzymem. Wziął od niej Ariane, a ta ukryła twarz w jego szyi i przestała płakać.

– Do środka, dziewczusko. Szybko do środka i nigdy więcej na zewnątrz. – Splunął na śnieg. – Tfu, diabły. – Gdy Gundi była mała, uczył ją, że tylko ktoś, kto nie potrafi się zachować, pluje przy innych.

W kuchni huczało w kafłowym piecu. Na stole stał parujący czajnik ciotki Karl, a wokół siedzieli ludzie. Pop umieścił Ariane na ostatnim wolnym krześle, zdjął z siebie szlafrok i owinął nim dziewczynkę, choć miała na sobie swój zimowy płaszcz z niebieskiej popeliny, obsyty białym futerkiem. Ariane skuliła się.

– Wszyscy tam są źli – powiedziała. – Zabrali mi moją Różę.

– Nie, nie! – odezwała się Róża. – Jestem tutaj.

Ciotka Karl przyniosła krzesło dla Gundi. Naprzeciwko siedziały Róża, Zosia i jakaś dziewczyna, która trzymała na kolanach dziecko owinięte w kocyk i wydawała się Gundi znajoma. Dziewczyna płakała cicho i nieprzerwanie. Ciotka Karl przyniosła więcej koców i okryła nimi Gundi i Ariane. Były to grube, orzechowobrzazowe wełniane koce, które Gundi przez niezliczone lata naciągała na siebie w chłodne noce. Pop nalał jej do filiżanki herbatę z dzikiej róży. Jego dłoń drżała tak silnie, że połowę rozlał.

– Przepraszamy, Gundulo – powiedziała Zosia. – Wszystko stało się tak szybko, że nie mogłyśmy cię zawiadomić.

Róża nic nie mówiła, tylko rozłożyła ramiona. Ariane pobiegła ku nim razem z kocami i w nich się schowała.

Dziewczyna z dzieckiem przetarła oczy.

– Róża i Zosia nam pomogły – powiedziała. – Mnie i Gai. Gdyby Zosia nie interweniowała, gdyby nie zabrały nas tutaj, nie wiem, co by z nami zrobili. – Zapłakała. – Mają Natana! Mają mojego Michela!

W tej chwili Gundi ją rozpoznała. Była to Helma, kelnerka z Pudła. Ta z rozkołysanymi pośladkami. Wciąż wyglądała jak szesnastolatka, tylko opuchnięta i zapłakana.

– Na miłość boską, co się stało?

Ponieważ Helma nie była w stanie mówić, pozostali na zmianę opowiedzieli wszystko. Fryzjer Remo miał rację: przed dwoma dniami w całej Rzeszy przeprowadzono tak zwane akcje odwetowe za zabitego urzędnika ambasady. Spłonęły synagogi. Żydowskie sklepy i mieszkania zostały splądrowane i porozbijane, ludzi wyciągano z domów, bito, wrzucano do ciężarówek i wywożono.

Iskra przeskoczyła na Gdańsk – lustrzane odbicie Rzeszy. Nikt nie wiedział, kto podpalił synagogę, wspaniałą przedwojenną budowlę z dwoma wieżami. Na ulicach zgromadzili się chłopcy z Hitlerjugend, uzbrojeni członkowie SA i tłumy zwykłych mieszkańców Sopotu, którzy przyłączyli się do barbarzyństwa.

– Widziałem Ziebhura i Tetzlaffa – powiedział Pop. – Śmiało tam sobie poczynali. Szkoda, że niektórzy z nich nie mieli dość pieniędzy, by zachlać się na śmierć.

– Ale dlaczego napadli na Błękitnego Pudła? – spytała Gundi. – Thomschke nie jest Żydem, prawda?

– Nie uwierzysz, kogo uważają za Żyda – odparł Pop. – Na pewno wszyscy jesteśmy czymś, co im nie pasuje. Coś już wymyślą.

– Thomschke jest katolikiem i Aryjczykiem. – Helma płakała. – Ale lokal należy w równej części do niego i do Natana. Ludwik jest Polakiem. U nas miesza się za wiele z tego, co nie powinno już być mieszane, a poza tym gramy murzyńską muzykę.

Jej głos ponownie się załamał. Pochyliła się nad dzieckiem i zapłakała.

– Mój Michel, mój Michel. Wielki Boże, co teraz będzie!

Z kilku okruchów, które wydobyła z niej i Zosi, Gundi dopowiedziała sobie resztę. Helma nie była dziewczynką, tylko trzydziestosześcioletnią kobietą i miała z Natanem Elkelesem dwoje dzieci. Nie byli małżeństwem.

– Zamierzałam go poślubić, sądziłam, że wtedy będzie bezpieczny, ale ten lekkoduch nie chciał. Nie chciał nawet, żeby ktoś z lokalu o nas wiedział. Zawsze mówił, że to źle wpływa na interes, że jesteśmy cyganerią, nasza miłość jest wolna.

SA-mani wywlekli Natana z lokalu i wsadzili na ciężarówkę. Na domiar złego zabrali również jego małego synka, który bawił się za ladą.

– Wrzucili ich pod plandekę jak bydło! Michel krzyczał! On ma dopiero sześć lat!

Teraz rozpląkała się również Gaia. Ona i jej matka wróciły z zakupów i chciały pospieszyć Natanowi i Michelowi z pomocą. Nim mężczyźni zdołali i je pochwycić, wkroczyła Zosia i razem uciekły. Pop już przed paroma godzinami był na poczcie, by obdzwonić wszystkie znane osoby, ale niczego nie wskórał. Sopocka policja nie chciała mieć z tą sprawą nic wspólnego, rzekomo nie wiedziała o żadnych pojmaniach, tylko o zmarłym pracowniku ambasady i o słusznym gniewie ludu. Do Wrzeszcza, do swojego kumpla Wenera Schlicherta, nie zdołał się dodzwonić, wszystkie połączenia były zerwane. Pop trząsł się z wściekłości i nie dał rady wypić herbaty. Gundi jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie.

– Chwileczkę – powiedziała. – Twojego Natana aresztowali, choć nie zrobił nic złego, prawda? Tak nie może być. Nie żyjemy w dziczy, w Gdańsku obowiązuje prawo, a ono zabrania aresztowania niewinnych ludzi. A już na pewno dzieci. Jestem pewna, że obaj zaraz zostaną uwolnieni.

– Żydów stale aresztują. – Helma łkała bez łez, jakby zużyła już wszystkie. – Niektórzy znikają i nikt nie wie gdzie. Innych stawiają przed sądem za niesłychane rzeczy, o których nie wiadomo nawet, co oznaczają. Zhańbienie rasy. – Ostatnie słowo wykrzyczała. – Zhańbienie rasy jest wtedy, gdy dwoje ludzi się kocha i ma dzieci – tak jak Natan i ja! Komisarz Ligi Narodów próbował nie dopuścić, żeby przyjęto u nas te prawa z Rzeszy, ale tylko się z niego śmieją.

Gundi nie była pewna, czy wszystko zrozumiała. Wiedziała jednak, że musi działać i że nie ma czasu do stracenia.

– Zajmę się tym – obiecała Helmie. – Jutro rano będziesz miała z powrotem Natana i swojego synka.

Niepokoilo ją to, że znajduje się u dwojga starców, w pobliżu Seestraße, a ktoś ze wzburzonego tłumu mógł zobaczyć, dokąd uciekają kobiety. Zamierzała pobiec do domu i zawiadomić Juliusa, poprosić go, by przyjechał i zabrał wszystkich samochodem, również ojca Zosi, który już spał i którego trzeba było obudzić.

– Przeniesiecie się do nas. Tam nikt nie będzie was nachodzić. Zostaniecie tak długo, aż w tym mieście znowu zapanuje spokój.

– Kto wie, ile to potrwa – wymruczał Pop. – Możesz mieć nas na głowie przez następne sto lat.

– Może być i tysiąc – odparła Gundi, obracając swoją wstążeczkę życia. – Poradzimy sobie. Poradzimy sobie ze wszystkim, Pop.

Początkowo nie chciał pozwolić jej iść, ale w końcu zrozumiał, że, patrząc rozsądnie, nie mają innego wyjścia. Gundi próbowała się roześmiać.

– Minęły czasy, gdy łąziłeś nocami po ulicach, by wyciągać dla mnie kasztany z ognia.

Nie zaśmiał się razem z nią.

– Jeśli pozwolisz, twój stary głupiec znowu to dla ciebie zrobi. Ale kto nic o tobie nie wie, dziewczusko, ten nie może ci pomóc.

Zanim poszła, przytuliła go. Skóra, kości i ubranie. Odwaga i miłość do ludzi, które przetrwały dłużej niż mięśnie. Gdy Gundi biegła do swojego domu przez noc wciąż rozbrzmiewającą okrzykami, łzy spływały jej po twarzy.

37

Kwiecień 1939

„Daj nam czas”, powiedział Tadek. „Gdy nadejdzie wiosna, będziemy wiedzieli, co robić”.

W kwietniu „Gustloff”, który ponownie cumował w Hamburgu, wyruszał w dziesięciodniowy rejs wokół Włoch. Trasa należała do najpopularniejszych wycieczek KdF i wszystkie miejsca na statku zostały

zarezerwowane. Po Trypolitanii był to pierwszy rejs, w którym Tadek miał od początku uczestniczyć. Jak zwykle nie chciał się do niczego zobowiązywać, tylko zaskoczyć Gundi, ale tym razem postawiła na swoim. „Rok oczekiwania, o który prosiłeś, minął”, napisała do niego. „Zima była ciężka. Potrzebuję cię”.

W pociągu do Hamburga Gundi, Lore, Julius i Erik mieli dla siebie osobny przedział, na którego drzwiach wywieszono kolorową tabliczkę z napisem „Czworo z Sopotu”. Gdy siedzieli naprzeciwko siebie na tapicerowanych siedzeniach, a za oknem przesuwał się nareszcie na powrót wiosenny świat, Gundi przypominała sobie ich pierwszą podróż do Królewca. Jakże byli wtedy zachwyceni, jak bardzo podekscytowani. Dziś milczeli, każde zatopione we własnych myślach. Julius wydawał się napięty, tak samo jak przez całą zimę. Erik był nieobecny duchem i odpowiadał monosylabami. Gundi wiedziała, że nadal stara się nakłonić Zosię do przeprowadzki do Warszawy. Zosia jednak nie chciała wyjechać. „Róża nie wytrzymałaby, gdybym ją zostawiła”, powiedziała do Gundi. „Wiem, że to brzmi dziwnie, ale ona tak bardzo chciała zostać matką, a teraz traktuje mnie, jakbym zastępowała jej dziecko”.

Mąż Róży był na Westerplatte, ich ojciec w Sopocie, a brat pracował w Poczcie Polskiej w Gdańsku. Poza tym Róża na swój cichy, wierny sposób kochała małą Ariane. Nie mogła odejść, a zatem Zosia także została. Gundi nie rozumiała, dlaczego Erik tak bardzo angażuje się w tę sprawę.

Nie wiedziała również, czym zajmuje się Lore. Harmonia między nimi nie została odbudowana, choć traktowały się serdecznie. Kiedyś Gundi zebrała się na odwagę i zagadnęła o to Lore:

– Tęsknię za tobą, Lorciu. Za gadaniem z tobą przez całą noc. Poczuciem, że nic nie może nas rozdzielić.

Lore uścisnęła jej dłoń.

– Ja za tobą także. Czasami chciałabym, żeby uczucia i myśli, które buzują w człowieku, dało się wyciąć u lekarza niczym czyrak. A potem wstawić nowe, lepiej pasujące. Ale choć to niemożliwe, w jedno możesz uwierzyć: jesteś dla mnie najważniejsza na świecie, Gundi, i to nigdy się nie zmieni.

Teraz Lore siedziała naprzeciw Gundi i od czasu do czasu rzucała spojrzenie, jakby próbowała czytać w jej myślach. Może będzie inaczej, gdy wreszcie wyłożę karty na stół i otwarcie z nią porozmawiam,

myślała Gundi. Dreszcz przebiegł jej po plecach, bo zrozumiała, że ta podróż odmieni jej życie, że będzie musiała porzucić jeszcze więcej rzeczy, które kochała, i że ziemia trzęsie się jej pod stopami, choć tak bardzo pragnęła zacząć nowy rozdział.

– Zastanawiam się, czy dalibyście radę wnieść nasze instrumenty po trapie – głos Juliusa przedarł się przez jej myśli. – Chciałbym dziś popłynąć jeszcze raz z Gundi barkasem, gdy „Gustloff” będzie już odholowany od nabrzeża.

– Dlaczego? – wyrwało się Gundi.

– Bo przypomina mi to nasz pierwszy rejs tym statkiem – odparł Julius. – Bo tamten dzień był dla mnie wyjątkowo piękny. Bo obiecywałem sobie wtedy tak wiele, co później się nie ziściło, i dziś chcę spróbować zacząć na nowo w tym samym miejscu.

Gundi odebrało dech. Gdy gorączkowo próbowała wymyślić jakiś sposób, by odwieść go od tych zamiarów, Erik odezwał się:

– Jasne. Dlaczego by nie? Nie taszczyce przecież ze sobą pianina.

– Sądzę, że to piękne – stwierdziła Lore. – Macie tak mało czasu dla siebie, powinniście znacznie częściej wykradać sobie chwilkę.

Nie dało się już uniknąć tego niewyobrażalnego przedsięwzięcia. Kwadrans później dotarli do Hamburga i podczas gdy pozostali poszli się zaokrętować, Julius i Gundi usiedli w kawiarni, w której wystawiono już stoliki i krzesła na wiosenne słońce, i czekali na swojego barkasa. „Gustloff” wznosił się na tle delikatnie błękitnego nieba promieniście biały niczym obietnica: Kraft durch Freude, Siła przez Radość. Kto wszedł na pokład, tego czekały dni całkowitej beztroski.

Julius chciał zamówić dla nich szampana, jakby mieli okazję do świętowania. Kelner wyraził ubolewanie – tego roku nie podawali już szampana. Zamiast tego polecił tak zwane piccolo marki Henkell Trocken.

– Nie jest przecież tak, że nasze niemieckie piwnice nie potrafią produkować musującego wina wysokiej klasy, mój panie.

Ponieważ nie mogli marnować czasu na dyskusję o trunkach, Julius zgodził się i przyniesiono im do stolika musujące wino w dwóch butelkach.

– Jak zabawnie. – Gundi obracała w dłoniach butelczkę. – Można włożyć ją do torebki i mieć przy sobie, gdy będzie potrzebna.

– Gundi – powiedział Julius. – Nie po to chciałem zostać z tobą sam, żeby dyskutować o wielkościach butelek musującego wina.

– Wiem. – Odstawiła buteleczkę na stół.

– Pamiętasz jeszcze, co mi wtedy powiedziałaś? Przed rokiem, gdy byliśmy tutaj i wyruszyliśmy tym statkiem w dziewiczy rejs?

Gundi pamiętała, ale zamiast odpowiedzieć, zacisnęła wargi.

– Kocham cię. Tak powiedziałaś. Znamy się blisko dwadzieścia lat i prawie od szczęścia jesteśmy małżeństwem, ale to był jedyny raz, gdy usłyszałem od ciebie to zdanie.

Gundi sięgnęła po kieliszek, ale miała tak sucho w gardle, że nie zdołała nic przełknąć.

– Życie się zmienia – mówił Julius. – Będzie trudniejsze. Może tak trudne, jak nie potrafisz sobie wyobrazić. Chcę, żebyśmy mieli siebie, Gundi, żebyśmy wiedzieli, po co to wszystko robimy.

– Co masz na myśli, mówiąc „to wszystko”?

Tym razem to on zagryzł wargi i nie odpowiedział.

I tak wiedziała. Tamtej nocy w listopadzie, gdy zupełnie roztrzęsiona wróciła do domu i zażądała od Juliusa, by przywiózł Helmę i jej córkę z pensjonatu ciotki Karl, by udał się do Forstera i wystąpił o uwolnienie Natana wraz z synem Michele, wykrzyczał to jej. Wcześniej tak jak Gundi przedzierał się przez płonący Sopot i zastał w domu roztrzęsionego fryzjera Remo.

– Postradałaś zmysły? Co by było, gdybym przyprowadził kogoś ze sobą, Forstera, jego wiecznie skrobiącego coś Pfitznera lub jeszcze innego? Chcesz, żeby zarejestrowano nas jako przyjaciół Żydów, sądzisz, że pozwolą ci wtedy jeszcze występować?

– Jestem przyjacielem Żydów – odkrzyknęła Gundi. – Natan Elkeles był przyjacielem nas wszystkich – był pierwszym, u którego w ogóle mogliśmy występować.

Krzyki szybko ustały. Przerażenie zostało. O ile w początkowym wzburzeniu rzuciła mężowi pytanie, czy uczestniczył w tych świątkach dziejących się w mieście, wkrótce zrozumiała, że nie jest to takie proste. Forster uwielbiał *Świt na morzu*, a Czworo z Sopotu byli niejako jego dziełem, ale nie zawahałby się ich zniszczyć, gdyby przestali pasować do jego planów.

– Mamy wiele do stracenia, Gundi – powiedział Julius śmiertelnie zmęczony. – Już nie tylko nasze marzenia, ale ten dom, to życie, naszą rodzinę, która na nas polega. Forster chce, żebyśmy pozostali czysti. Jego pokazowa kapela, która co prawda gra taką muzykę, jaką lubią miłośnicy dzikiego swinga, ale na solidny, niemiecki sposób. Chodzi na przykład o Polki – chce, żeby stąd zniknęły.

– Zosia i Róża? Oszalałeś?

– Uspokój się. Powiedziałem mu, że to trochę problematyczne ze względu na naszą Ariane, która je uwielbia, a on na szczęście ma inne sprawy na głowie. Ale jeśli teraz na dodatek zapełnisz nasz dom Żydami, nie będzie dłużej przymykać oczu.

Julius już od dawna prowadził z Forsterem i jego ludźmi tego rodzaju rozmowy. To były spotkania, na które ciągle udawał się swoim autodemem. Czasami chodziło o to, by wykreślili z tekstu piosenki jakąś zwrotkę, innym razem, by nie kupowali bielizny od żydowskiego dostawcy, a wreszcie, by Julius wstąpił do partii.

– Myślałam, że przestali przyjmować nowych członków, bo nie chcą spóźnialskich.

– Powoli zaczynają znowu przyjmować – oczywiście musiałem ich przekonać, że nie jestem spóźnialski.

– I zgodziłeś się na to?! – Gundi znowu krzyczała.

– Chciałem nas zabezpieczyć – powiedział Julius.

– To znaczy, że dałeś się zaszantażować.

Nieważne, jak to nazywali. Faktem było, że Forster i jego ludzie nie zostawili Juliusowi wyboru. Czwororo z Sopotu nie mogło opędzić się od angaży, ale jeśli ich kierownik wyszedłby przed szereg, szybko by się to zmieniło. Mogli nawet stracić pozwolenie na pracę wydane przez Izbę Muzyki Rzeszy, co poskutkowałoby tym, że nie wolno by im było występować na „Gustloffie” ani nigdzie indziej w Niemczech. Mogliby grać w Gdańsku, ale Forster miał rację, gdy spytał Juliusa: „Jak pan uważa, ilu organizatorów imprez w Gdańsku chciałoby mieć pańskie nazwisko na plakatach, jeśli popadnie pan u nas w niełaskę?”.

Również dom należał do partii Forstera. Wystarczyłoby skinienie jego palca i rodzina mogła stracić miejsce zamieszkania.

– Więc zgadzam się po prostu na te rzeczy, których ode mnie żąda – wyjaśnił Julius. – To nic radykalnego. Nic, co byłoby niezgodne z moimi zasadami. I jak już powiedziałem, i tak nie dają nam wyboru.

– Chwileczkę – przerwał mu Erik, który musiał wejść do ogrodu zimowego, zanim ktoś go zauważył. – Jeśli zastanawiamy się nad tym, czy mamy wybór, czy nie, powinniśmy moim zdaniem poddać przynajmniej pod dyskusję, czy nie skończyć z tym wszystkim.

– Z tym wszystkim? – spytali Julius i Gundi niemal równocześnie. – Chodzi ci o naszą muzykę? – dodała Gundi.

– Sam często wmawiałem sobie, że to przecież nic takiego uczestniczyć na statku w tych paru okrzykach „Heil Hitler” i tym podobnych – powiedział Erik. – Ale gdy cena staje się zbyt wysoka, powinniśmy się nad tym zastanowić, nie sądzicie?

Lore siedziała obok i nic nie mówiła.

– I co wtedy? – spytał Julius.

– Moglibyśmy stąd wyjechać. Na przykład do Francji.

– Mówisz po francusku? Ja nie.

– Zacząłem się uczyć – odparł Erik.

– To ta twoja idée fixe! – wybuchł Julius. – Żeby uciec, wywieźć polskie dziewczyny z kraju, jakby wkrótce mieli wymordować tu wszystkich Polaków. Czysty nonsens. Nadal mamy przecież porozumienie. A kiedy będziesz już we Francji z tymi paroma słówkami po francusku, z czego będziesz żył? W Paryżu. Myślisz, że tam na nas czekają?

– Eriku – odezwała się Gundi z bijącym sercem, gdy tylko Julius zamilkł. – Nie mogę stąd wyjechać. Nie zostawię Popa i ciotki Karl. Nie ważne, co się stanie.

Julius wyraźnie odetchnął.

– Nie musimy wyjeżdżać. Trzeba tylko trzymać się kilku zasad, to wszystko, a ja staram się przecież jak najbardziej was osłaniać. Co do Polek, powiem Forsterowi, że szukamy kogoś na ich miejsce, co załatwi sprawę. A to szaleństwo na zewnątrz wkrótce się uspokoi. Nie zapominajmy, że ludzie mają prawo być wściekli: nie mają pracy albo dostają mizerne pensje, nie mogą być częścią swojego kraju, a port w Gdyni odbiera im klientów. Nasza muzyka odgrywa ważną rolę. Dajemy tym ludziom nieskończenie wiele, nie rozumiecie tego? Czwooro z Sopotu

kocha każdy, jesteśmy niejako symbolem Gdańska i możemy przyczynić się do tego, by napięcie opadło.

Myśli Gundi wirowały gorączkowo. To, co mówił Julius, brzmiało tak pięknie, tak słusznie – przecież tego właśnie zawsze pragnęła: przekazywać innym część tej radości, którą sama czerpała z muzyki, rozdawać szczęście, ponieważ była najszczęśliwszym dzieckiem nad Bałtykiem i ponieważ szczęśliwi ludzie się nie kłócą. Gdzie zatem krył się błąd – i co sprawiało, że była tak pewna jego istnienia?

– Mamy wręcz obowiązek tu zostać – ciągnął Julius. – To tak jak w małżeństwie: kto cieszy się dobrym czasem, powinien również przetrzymać ten zły.

– Proszę cię, Juliusie – odezwała się Lore. – Czy możemy teraz przestać rozmawiać o tym, co powinniśmy lub czego nie powinniśmy może robić, i przywieźć najpierw Ariane, Popa i pozostałych z pensjonatu? Strasznie się denerwuję, że nadal tam są. Na ulicach wciąż są zamieszki, tak głośne, że nie słychać już morza.

Gundi odetchnęła z ulgą. Julius nie protestował więcej, tylko pojechał i przywiózł z pensjonatu do willi wszystkich osiem osób. Zostali, dopóki po kilku dniach wzburzenie nie przycichło. Fryzjer Remo wyjechał z Sopotu. Miał w Szwajcarii kolegę, u którego mógł się zatrzymać.

– Może i ty powinnaś się nad tym zastanowić – powiedział Julius do Helmy. – Poszukać nowego życia gdzie indziej. Nie musi to być na zawsze, nie chcę cię straszyć, ale sytuacja tutaj jest chwilowo nieco napięta.

Rankiem po tej strasznej nocy odbył rozmowę z Forsterem. Ten stwierdził, że nie wie nic o aresztowaniach dzieci, że to śmieszne pomówienia. Wieczorem przyszedł jednak do Kasino-Hotelu i nie wydawał się całkiem trzeźwy, a gdy Gundi chciała zaintonować *Sekretne godziny nocy*, ofuknął ją, że nowa piosenka mu się nie podoba, że jest mało niemiecka. Zażądał *Świtu na morzu*.

Gundi zaśpiewała *Świt na morzu* i Forster najwyraźniej zmiękł. Powiedział Juliusowi, że sopoccy policjanci znaleźli błakające się dziecko i dla bezpieczeństwa osadzili je w miejskim więzieniu. Matka musi uiścić opłatę i wysłuchać pouczenia o obowiązku sprawowania opieki, ale potem wolno jej będzie zabrać chłopca.

Dla Natana nikt nie mógł nic zrobić. Dopiero po wielu dniach Pop dowiedział się przez Wenera Schlicherta, że Natan został zamknięty w gdańskim zakładzie karnym Schießstange. Nie było pewności co do stawianych mu zarzutów, czy chodziło o zakłócanie porządku, opór wobec władzy państwowej, czy niedozwolone stosunki z gdańską Niemką. Za to ostatnie nie powinni go właściwie karać, ponieważ w Gdańsku stosowne prawo weszło w życie dopiero pod koniec listopada, gdy Natan był już w areszcie i nie mógł utrzymywać żadnych stosunków – dozwolonych czy nie.

„Brzmi jak wykręt, nie uważa pan?”, usłyszał Pop w odpowiedzi na ten zarzut od urzędnika penitencjarnego. „Gdybyśmy nie położyli temu kresu, nadal utrzymywałyby te stosunki. Tym samym zachodzi czyn karalny”.

Helma odrzuciła propozycję Juliusa.

– Jak możesz myśleć, że wyjadę gdzieś bez Natana? Już dawno mogłam wyjechać. Lata temu. Mogłam być bogata. Ale chcę tylko Natana.

– W takim razie ci radzę, żebyś szybko przedłużyła paszport i wpisała do niego oboje dzieci. Jeżeli będzie to możliwe, zrezygnowałbym z podawania nazwiska ojca.

Gundi nie wiedziała, czy Helma tak zrobiła. Po kilku dniach wróciła z Michelem i Gaią do Thomschkego i Ludwika. Uprzątnęli jako tako Pudła i ponownie go otwarli. W styczniu 1939 roku skazano Natana na trzy lata więzienia.

– To nie koniec świata – twierdził Julius. – Wiesz, jak jest uparty, nie pójdzie na żaden kompromis. Biorąc pod uwagę okoliczności, potraktowano go dość łagodnie.

Może i tak było. Choć wydawało się potworne, by trafić na trzy lata za kratki, jeśli nie popełniło się żadnego przestępstwa, i w dodatku należało być za to wdzięcznym. Julius jednak nie był temu w żaden sposób winien, zrobił wszystko, co mógł. Gdy siedział tak teraz naprzeciwko i patrzył na nią, Gundi zrozumiała, ile go to kosztowało. Jeśli chodzi o Zosię i Różę, dotrzymał słowa: nadal przebywały u nich w domu i nikt ich nie prześladował. Jakaś część Gundi żałowała, że nie może dać mu tego, czego tak bardzo pragnął i na co zasłużył. Druga część wiedziała, że na pokładzie „Gustloff’a” czeka Tadek.

– Czytałaś ostatnio gazety? – spytał nagle Julius.

– Nie, nie czytałam. Pop mówi, że w Gdańsku nie ma już gazet.

– Czasami gra mi na nerwach to, co mówi twój Pop – odparł Julius. – Gdybym zbliżał się do osiemdziesiątki i nie był za nikogo odpowiedzialny, i mnie łatwiej byłoby uderzać w górnołotny ton.

– Pop nigdy nie uderza w górnołotny ton – odparła Gundi. – To nie w jego stylu. Całe życie spędził w stoczni, Juliusie. Tam zawsze jest głośno, nie słyszy się własnych słów i każdy gada to, co mu akurat leży na sercu.

– Ludzie tacy jak Pfitzner słyszą każde słowo, nawet jeśli obok świat wali się w gruzy – powiedział Julius. – I jak już mówiłem: gadać, co mu leży na sercu, może tylko ktoś, kto nie musi już nikogo ochraniać.

– Kim jest ten Pfitzner?

– To ten wstrętny inwalida wojenny, którego ciąga ze sobą Forster i którego wiecznie skrzypiące pióro doprowadzi mnie kiedyś do szaleństwa.

Gundi położyła dłoń na jego dłoni. Nie był to przemyślany gest, stało się tak po prostu, w równie oczywisty sposób co przed dziesięcioma laty w plażowym koszu.

– Patrz, tam jest nasz barkas, Ju-Ju. Na pewno lepiej się poczujesz, gdy znowu znajdziesz się na morzu.

– Dzięki tobie lepiej się czuję – powiedział i nieuważnie rzucił na stół zapłatę za wino. – Chcę, żebyśmy zrobili coś z naszym małżeństwem, Gundi. Nie tylko żyli obok siebie, ale byli dla siebie. Rozmawiałem z Lore. Zaproponowała, żebyśmy wzięli sobie na kilka tygodni urlop i wyjechali gdzieś z Ariane. Moim zdaniem byłoby miło. Tobie też by się to podobało?

– Musimy się pospieszyć. – Pociągnęła go za sobą wzdłuż pirsu, w nadziei, że odwróci jego uwagę. – „Gustloff” nie powinien przecież na nas czekać. Jestem pewna, że na pokładzie zaraz poczujesz się lepiej. Ze mną też tak zawsze jest. Morze dodaje mi siły.

– Wobec niektórych spraw nawet morze jest bezsilne – stwierdził Julius w biegu.

– Nonsens. Morze nie jest przecież bezsilne.

Wsiedli do barkasa i szyper włączył silnik. Dziób małej łodzi ostro ciał wodę i dzielił ją na dwa kipiące łańcuchy piany.

– Hitler został honorowym obywatelem Gdańska – powiedział Julius.

– To źle?

– To znaczy, że Gdańsk nie przestanie wiązać nadziei z Hitlerem. I że Hitler jest gotowy spełnić te oczekiwania, bo w przeciwnym razie nie przyjąłby tak prowokacyjnego honorowego tytułu.

– Chodzi ci o to, że upiera się, by Gdańsk wrócił do Niemiec? Ale może Polska i Liga Narodów oddadzą go dobrowolnie. Czy sam nie mówiłeś, że przecież i tak należy do Niemiec?

– Bez wątpienia. Tyle że Polska nie da się tak łatwo oderwać od morza.

– Polska ma teraz przecież własny port w Gdyni. Nie potrzebuje już tego w Gdańsku – ku utrapieniu Popa.

– Gundi – powiedział Julius. – Gdynia leży w tak zwanym polskim korytarzu. Przed wojną był on równie niemiecki jak Gdańsk.

– Ale mieszkają tam Polacy.

– Hitlerowi jest obojętne, czy tam mieszkają. – Uniósł dłoń, by nie dopuścić Gundi do słowa. – Wiem, co chcesz powiedzieć: nie musimy się tym martwić, bo mamy przecież z Polską deklarację o niestosowaniu przemocy. Sam powtarzałem to sobie od rana do wieczora. Ale prawda jest taka, że tej umowy już nie ma. Hitler wypowiedział ją tydzień temu.

Jego twarz była blada jak popiół, a głos tak przygaszony, jak wtedy, gdy człowiek zaraz zaśnie. Musiał zadręczać się tym przez całe noce. Nie mógł być z tym dłużej sam. Gundi obawiała się spytać, do czego się to wszystko sprowadza, ale mogła zaoferować, że będzie przy nim.

– Jesteśmy przyjaciółmi, Ju-Ju – powiedziała. – Zawsze byliśmy przyjaciółmi. Jeśli chcesz o tym porozmawiać, wysłucham cię.

– Nie – ostro wszedł jej w słowo. – Nie chcę rozmawiać z tobą o Hitlerze ani o problemach Zosi i Róży Pajewskich, Helmy Determann czy brata twojego fryzjera. Nie jesteśmy przyjaciółmi. Jesteśmy mężem i żoną. Chcę się z tobą przespać, Gundi.

Najpierw się przestraszyła. Potem poczuła ulgę. Łagodne wiosenne morze niosło ich na małych falach naprzód i stało się tak, jak ona i Tadek

mieli nadzieję: we właściwym momencie w jej życiu wszystko się ułożyło. Potrzebowała trochę czasu, ale teraz wiedziała, co musi zrobić. Może nigdy nie zebrałaby się na odwagę, bo wspomnienie zranionej miny Juliusa, gdy znowu go uraziła, za bardzo bolało. Teraz jednak, gdy zażądał od niej czegoś, czego nie mogła mu dać, nie miała wyboru.

To było dobre i słuszne. Nie zasłużył na niezdecydowaną kobietę, która niczym motyl raz do niego przyfruwiała, raz odlatywała, tylko na taką, która go pokocha, tak jak kochali się ona i Tadek. Gdy tylko znajdzie taką kobietę, będzie mu lepiej. Wszystko się ułoży.

– Ju-Ju – powiedziała. – Ogromnie cię lubię i zawsze będę twoją przyjaciółką. Ale nie mogę już być twoją żoną. Właściwie nigdy nie mogłam, ponieważ między nami nie jest tak, jak powinno być między mężem a żoną. Wcześniej tego nie wiedziałam, ale teraz wiem. Chcę, żebyśmy się rozwiedli.

38

Okradł dla niej swoją matkę.

Zrezygnował dla niej z wszelkich nadziei, że obierze porządną mieszczańską karierę i zacznie prowadzić zwyczajne życie rodzinne, będzie ojcem dla swojej córki i będzie mieć kolejne dzieci.

Porzucił dla niej własne nazwisko i sprzedał się. Sprzedawał się każdego dnia na nowo i nie był nawet pewien, dla kogo i za jaką cenę.

Czerpała z tego pełnymi garściami, prowadziła wesołe życie i żyła marzeniem, które zawsze było jej, nie jego. Tyle że Julius stał się dla niej bezużyteczny. Wyrzuciła go.

Chwycił drabinkę i wyskoczył z barkasa, nie odwracając się nawet do Gundi. Niech zginie ta syrena z rybim ogonem, ta wodna istota, która nie zna ludzkich uczuć.

Z każdym krokiem, który zbliżał go do wejścia na pokład, mgła wywołana przez ból w jego głowie jednak się rozwiewała. Nie miało sensu udawać: kochał ją. Jeśli ją straci, wszystko to było na darmo. Przez sekundę chciał się poddać i ocalić swoją dumę, ale zrozumiał, że musi wrócić na ring, od nowa zaangażować wszystkie swoje siły, by dać Gunduli Frieböse to, czego potrzebowała.

Nocą przed ich ślubem rozmawiał z nim człowiek, którego uwielbiała, Pop Frieböse. Czyżby Julius był jedynym mężczyzną, który przegrał wyścig o miłość swojej żony z blisko osiemdziesięcioletnim dziadkiem?

– Dam Gundi wszystko, czego zapragnie – obiecał Popowi tamtej nocy przy kieliszku jego nieodłącznego machandlu. – Wszystko, o czym marzy. Uczynię ją najszcześniejszą kobietą w całym Gdańsku.

– Gundi przyszła już na świat szczęśliwa – odparł Pop, nie dając się porwać ognistej przemowie Juliusa. – Nie będziesz musiał wcale tak dużo robić, bo co ma zrobić z kawiozem ktoś, kto najchętniej wcina Bullewupp, kartoflanek Ernestine?

– Ale ona pragnie podróżować, chce zobaczyć świat i tańczyć w Kasino-Hotelu – odparł na to Julius, ponieważ irytowało go, że starszek zachowuje się tak, jakby tylko on jeden znał Gundi.

– Oczywiście – stwierdził spokojnie Pop, wyławiając z kieliszka pomarszczoną śliwkę. – Ale wcale nie to, czego pragniemy, czyni nas szczęśliwymi, prawda?

– W takim razie co?

– W ostateczności machandel – odparł Pop. – A poza tym to, czego każdy akurat potrzebuje.

Od tamtej pory Julius nie ustawał w pogoni. Gdy przeprowadzili się do wspaniałego domu, gdy nagrali pierwszą płytę, gdy tańczyli w sali balowej Kasino-Hotelu, a potem na plaży, gdy stali w porcie w Neapolu i patrzyli na lśniąca zatokę – za każdym razem myślał: to musi być to. Wreszcie znalazłem to, czego jej potrzeba, człowiek nie może przecież potrzebować więcej, i będziemy nieskończenie szczęśliwi.

Gundi jednak była szczęśliwa, gdy śpiewała *Świt na morzu*. Tego dnia, gdy napisała nową piosenkę – *Sekretne godziny nocy* – niemal upajała się szczęściem. Z Juliusem jednak nigdy nie czuła się szczęśliwa, a teraz nie chciała nawet zostawić mu tej odrobiny siebie, którą posiadał: był mężczyzną, którego nazwisko nosiła, nawet jeśli było to tylko zastępcze nazwisko. Był mężczyzną, któremu zazdrościli jej inni, i był mężczyzną, który mógł liczyć na to, że ją zastanie, gdy wieczorem wróci zmęczony do swojego domu.

Jak miał żyć, gdy mu to odbierze?

Ale nie powiedziała tego, prawda? Chciała, żeby pozostali przyjacielami, chciała być przy nim, gdy jej potrzebował, i przecież była jeszcze Ariane, którą Gundi nie mogła zajmować się sama. Skoro jednak chciała zostawić wszystko tak, jak było od lat – dlaczego w ogóle przyszło jej do głowy to szaleństwo z rozwodem?

– Proszę się pospieszyć, panie Scharneck! Chcemy podnieść kotwicę, nim ktoś wpadnie na pomysł, by nam tego zabronić. – Mat, który wystawił głowę z luku, promieniał. A jednak jego słowa brzmiały trochę jak mroczna przepowiednia i samemu Juliusowi już kilka razy przyszło do głowy pytanie, czy „Gustloff” z rozradowanymi urlopowiczami na pokładzie będzie mógł pływać po morzach tak długo, jak mu się spodoba? A jeśli przestanie to być możliwe – w jakim fatalnym położeniu znajdzie się wtedy on sam?

Chciał dziś powiedzieć Gundi: proszę, kochaj mnie, bo boję się, że czas nam ucieka. Gdy wszystko, co znamy, rozpada się na kawałki – daj mi coś, czego mogę się chwycić.

– Idę! – zawołał do mata i spojrzał do góry. Słyszał za sobą, jak Gundi przyspiesza, miał niemal wrażenie, że czuje na karku jej oddech, ale nie odwrócił się. Zamiast tego wpatrywał się w białą burtę nad sobą, aż rozbolał go kark. Przy relingu stał kapitan Petersen, który od śmierci Lübbego dowodził „Gustloffem”. Powinien być już na mostku, ale pogrążył się w rozmowie z mężczyzną w jasnym garniturze. Mężczyzna odwrócił się w stronę morza i Julius go rozpoznał.

Przystanął na ostatnim szczeblu drabinki i zrozumiał.

Tadeusz Radun.

Od czasu dziewiczego rejsu „Gustloffa” nagle pojawiał się wszędzie, gdzie przebywało Czworo z Sopotu. A odkąd zaczął się wszędzie pojawiać, Gundi, która od lat niczego już nie wymyśliła, nagle zdołała skomponować wspaniały utwór. Julius raptownie przypomniał sobie, jak mówiła z nadzieją w głosie, że taki utwór powstanie, kiedy tylko się zakocha.

Tadeusz Radun.

Uwielbiała go w czasach, gdy był wielką gwiazdą Kasino-Hotelu, a Juliusa wyrzucono za drzwi wśród szyderstw i drwin. Wtedy byli dziećmi. Teraz już nie.

Julius wszedł na statek i odepchnął na bok mata, nie podając mu ręki. To nie było w jego zwyczaju. Przykładał dużą wagę do dobrych manier.

– Co się dzieje, panie Scharneck? – spytał zdumiony mężczyzna. – Znowu rozstrój żołądka?

Julius pognał przez korytarz, nie oglądając się za siebie.

– Ju-Ju! Zatrzymaj się, musimy przecież o tym porozmawiać! – Gundi biegła za nim. Na schodach prowadzących na pokład widokowy dogoniła go i pociągnęła ku sobie. Stali naprzeciwko siebie, ich twarze znajdowały się w odległości zaledwie dłoni, a w uszach huczała im syrena zapowiadająca odpłynięcie „Gustloffa”.

– Dlatego chcesz się ze mną rozwieść, tak? Z powodu dzieciennego zauroczenia tym zawodzącym, wypomadowanym polskim tenorem?

– Tadek nie zawodzi – powiedziała Gundi. – Grałeś z nim, więc musisz wiedzieć, że każdy jego ton jest czysty jak świeżo wypucowane okno.

Julius zamachnął się. Potem zobaczył twarz Gundi, jej dziwnie rozmarzone oczy, które straciły dziecienny wyraz, ale wciąż wydawały się nieosiągalne, i opanował się. To nie Gundi chciał uderzyć. To nigdy nie będzie Gundi. Zostawił ją i wbiegł po schodach. Gundi ruszyła za nim i próbowała go zatrzymać. Ich kroki huczały niczym spadające kamienie.

Na pokładzie tłoczyli się najróżniejsi ludzie, którzy cieszyli się ładną pogodą, ze zdumieniem pokazywali sobie nawzajem, jak szybko znika pasmo lądu, lub do kogoś machali. Kapitan Petersen pożegnał się już, ale Polak nadal stał i z fałszywym uśmiechem rozdawał autografy paru dziewczętom, które ustawiły się w kolejce.

Julius odsunął dziewczęta na bok, nie zwracając uwagi na ich oburzone protesty. Jego pięść zacisnęła się sama i trafiła Polaka w twarz. W dodatku był brzydki. Wyglądał na starszego, niż mógł być naprawdę, i sprawiał wrażenie zniszczonego, miał zbyt głębokie zmarszczki, a kolory niemal kobieco intensywne. Co w nim widziała? Co takiego miał ten typ, czego on, Julius, nie zaoferował już Gundi po stokroć, żeby ją zdobyć?

Gundi krzyknęła, Polak się zachwiał. Wszystko potoczyło się jak w jakimś głupim filmie, w jednym ze scenariuszy, które przedstawiała im wytwórnia UFA, bo nadszedł czas, by Czworo z Sopotu trafiło na

ekrany kinowe. Zbyt melodramatycznie, pomyślał Julius, choć wiedział, że w przypadku kinowego hitu nie jest to wada.

Mężczyzna odzyskał równowagę i chwycił się za twarz. Pod okiem pękła mu skóra, ale wypłynęło tylko kilka kropli krwi.

– Nie – powiedział do niego Julius. – Cokolwiek ułożył pan sobie w swoim chorym umyśle, moja odpowiedź brzmi: nie. Nie odstąpię panu mojej żony. Nie zgodzę się na szybki, łatwy rozwód i nie wymyślę jakiejś miłej wymówki dla prasy, żebyście oboje wyszli z tego bez szwanku jako nowa para gwiazd niemieckiej muzyki rozrywkowej.

– Jestem Polakiem – odparł mężczyzna, niemal z zafascynowaniem przyglądając się kropli krwi na czubku swojego palca.

– To nie gra roli – stwierdził Julius. – Moja żona i tak nie będzie mogła z panem występować, tylko straci wszystko. Na początku pozwolenie na pracę z Izby Muzyki Rzeszy. Jestem synem oficera. Uważa pan, że Izba Muzyki Rzeszy będzie miała przychylny stosunek do kobiety, która zostawiła syna niemieckiego bohatera i swoją blond córeczkę, by uciec z jakimś Polakiem?

– Nie – odparł Polak. – Sądzę, że Izba Muzyki Rzeszy nie będzie temu przychylna.

– I co pan wtedy zrobi? Wyjedzie z nią do Ameryki? W takim razie przeliczył się pan, bo moja żona nigdy panu nie wybaczy, jeśli zabierze ją pan z Sopotu. Ma tu swojego starego dziadka, który gada gdańskim dialektem, tak że czasami trudno go zrozumieć, i którego tak ubóstwia, że nawet pan nic przeciwko temu nie wskóra.

– Proszę, panie Scharneck – odezwał się Polak. – Nie powinien pan z tego szydzić. Nie wyświadcza tym pan przysługi ani sobie, ani swojej żonie, a później może pan tego żałować.

– Skąd pan wie, czego będę później żałować? To pana nie powinno obchodzić. Nic, co mnie dotyczy, nie powinno pana obchodzić, z wyjątkiem jednego: nie oddam mojej żony. Jeśli mimo to odbierze pan mi żonę, postaram się, żeby straciła wszystko, co kiedykolwiek było jej drogie. Swoją muzykę, a nawet swoją piosenkę. Może i napisała *Świt na morzu* sama, ale prawa do niej należą do nas wszystkich. A bez *Świt na morzu* nie będzie już Gundi Słoneczka z Sopotu, którą ludzie ubóstwiają, ponieważ pozwala im wierzyć, że całe życie to jeden długi urlop. Straci przyjaciół, dom, osoby, które w nim ukrywa, nie troszcząc się o konse-

kwencje dla nas wszystkich. A potem swoje dziecko. Może nie robi wokół tego szumu, ale gdzieś w niej muszą przecież kryć się jakieś macierzyńskie uczucia. Albo sumienie. Pewnego dnia będzie musiała żyć z tym, że własne dziecko jej nienawidzi.

Gundi próbowała odciągnąć go od Polaka, ludzie utworzyli wokół nich krąg i przemawiali gorączkowo do Juliusa, ale wszystko to docierało do niego tylko jako szum w tle. Nagle przez szum przebił się nowy głos:

– Julius, przestań! Nie rób sobie tego!

Lore. Przecisnęła się do niego, odsunęła Gundi i chwyciła go za ramię.

– To tutaj nie ma sensu, Juliusie, biedaku. Nigdy i dla nikogo nie ma sensu, bo uczuć nie da się zabić. Chodź ze mną. Zaprowadzę cię do twojej kabiny.

Julius poczuł, jak uginają mu się nogi. Słowa Lore brzmiały banalnie, niczym z jakiejś powieści dla pokojówek, ale były jedyne, które to dobrze oddawały. Mógł wyrządzić Gundi największą krzywdę na świecie, ale nie mógł zabić jej uczuć. Stracił ją.

39

Sierpień

– Chcecie się pocić, nie jedźcie na Fidżi. U nas jest goręcej. – Pop uśmiechnął się i przez okno pociągu podał Gundi koszyk z bułkami z metką od ciotki Karl. Gundi jechała do Szczecina, w ślad za pozostałymi, którzy wyjechali już rankiem, jak zwykle w osobnym przedziale, by w Szczecinie wyruszyć na „Gustloffie” w morze w kierunku Sztokholmu. Żadne z nich się nie roześmiało, a Pop z jękiem zdołał wdrapać się po schodach na peron, ale raz jeszcze objęli się na dworcu oczami.

– Wracasz dopiero jesienią, co, dziewczuszko?

Gundi potaknęła. Po Sztokholmie, gdzie statek miał z wielką pompą odebrać z zawodów grupę sportowców, udawali się na serię wycieczek wzdłuż wybrzeża Norwegii, które miały potrwać, dopóki we wrześniu nie skończy się główny sezon.

– Uważaj na siebie – powiedział Pop. Do tej pory tak nie mówił, ponieważ denerwowało go, że temu frazesowi nigdy nie towarzyszyło wyjaśnienie, jak człowiek ma tego dokonać.

– Ty też.

– To nie ja jestem pochmurny – stwierdził Pop.

Potem pociąg ruszył, by na całe lato zabrać Gundi z Sopotu. Było to najgorętsze lato stulecia. I pierwsze, które naprawdę nie miało końca. Każdy dzień ciągnął się i włókł niczym guma, każda podróż była niczym mozaika złożona z niezliczonych godzin. Zwykłych. Nie sekretnych. Zielonkawo-szkliste światło, które dzień i noc lśniło nad lodowato czystym błękitem fiordów, wznoszące się niemo nagie skały, wydające się należeć do świata bez ludzi – cały krajobraz wyglądał tak, jakby dłoń olbrzyma namalowała obraz duszy Gundi. Była pochmurna. Nie przez dzień czy dwa, przy czym już drugiego dnia czuło się, że nastrój się poprawia i wraca do równowagi, tylko jak w *Świcie na morzu*:

Nie wrócisz

I nikt mnie nie znajdzie

Świtem na plaży.

Po jednym z koncertów podczas koktajlu turysta, hutnik z Ulm, który po trzydziestu latach małżeństwa po raz pierwszy udał się wraz z żoną w podróż, powiedział do Gundi:

– Wygląda pani tak, jak gdyby smutek potrafił się uśmiechać. Zawsze chce się pani słuchać, ale potem człowiek czuje się winny, bo przez to musi pani być wciąż smutna.

Wcześniej, pomyślała Gundi, ludzie widzieli we mnie słońeczko, które czasami płacze.

Wieczorem 22 sierpnia, we wtorek, „Gustloff” wyruszył z Hamburga w swój jubileuszowy pięćdziesiąty rejs. Jak to możliwe, że w ciągu zaledwie półtora roku odbyli wszystkie te podróże? W tym czasie w życiu Gundi nie ostał się kamień na kamieniu. A lato, które ciągnęło się niczym guma i nawet w Norwegii witało ich palącym słońcem i przytłaczającym upałem, wciąż się nie skończyło.

Julius dawał jej przestrzeń. Nawzajem dawali sobie przestrzeń, podróżowali w osobnych pociągach, a na statku każde miało swoją kabinę.

– Za głośno chrapię – stwierdziła Gundi, a jej kiepski dowcip obiegł pokład.

– Wiem, że nie wybrałaś mnie – powiedział Julius. – Tylko muzykę, przyjaciół, a przede wszystkim Popa. Ale mimo to jestem wdzięczny, że nadal przy mnie jesteś.

Nie, myślała Gundi. Nie zrezygnowałabym z Tadka nawet dla tych wszystkich rzeczy, które wymieniłeś. Chciałabym tak postąpić, bo przecież każdy chce być przyzwoitym człowiekiem, który robi to, co właściwe. Ale nie byłabym przyzwoitym człowiekiem i nie postąpiłabym właściwie, ponieważ moje dłonie i usta, moje łono i moje serce nie chciały puścić Tadka. To on zdecydował za mnie. Jestem wciąż przy tobie, bo mój ukochany mnie opuścił.

– Nie potrafię tego zrobić, Gundinka – powiedział wtedy, trzymając ją w ramionach, jej twarz spoczywała na jego ciepłej piersi, jej ucho przy jego sercu. – Naprawdę nie potrafię. Mężowie rogasze robili mi już sceny i nie pierwszy raz oberwałem. Ale nigdy jeszcze nie widziałem, żeby jakiś postawny blond Germanin stanął przed całą załogą i odsłonił swoje złamane serce. Nieważne, co byśmy zrobili, moja słodka, nieważne, jak pijani szczęściem byśmy byli, za każdym razem, gdy chciałbym się tobą rozkoszować, widziałbym przed sobą tego zrezygnowanego mężczyznę z opuszczonymi ramionami, który nigdy się już nie podniesie. A za nim całą gromadę płaczących ludzi – dzieci, starszków, bezdomne dziewczęta. Miałbym wrażenie, że cały Sopot płacze i że teraz zawsze pada w nim deszcz, ponieważ zabrałem mu jego Gundi Słoneczko.

Gundi przycisnęła się do Tadka, zwinęła się razem z nim w kulkę, w otulone kokonem zwierzątko, które można jedynie zabić, nie rozdzielić, i przepłakała sekretne godziny, ich ostatnie sekretne godziny. Nim w Lizbonie zszedł na ląd, powiedział do niej:

– To nie początek końca. Proszę, śmieć się czasami. Śpiewaj naszą piosenkę i ciesz się, że mieliśmy siebie.

To nie był początek końca. To był początek nieskończoności.

Chciała się z tego cieszyć, nie pragnęła, by jakaś bezimienna siła losu zamieniła ją miejscami z inną osobą, która nigdy nie знаła Tadka. Ale radość nie działała jak najnowsze elektryczne adaptory, w których przyciśnięcie guzika poruszało igłą i odtwarzało płytę. Płyta Gundi miała ryse ciągnącą się przez wszystkie rowki i zacinała się, grając wciąż ten sam takt: „Tadek, Tadek, Tadek”. Życie układało się tak dziwnie, że

można było być najszcześliwszym człowiekiem nad Bałtykiem i mimo to nie potrafić się cieszyć.

Powiedziała Juliusowi, że porzuciła myśl o rozwodzie i zostanie z nim, jeśli on tego chce. Nie ulegało wątpliwości, że chciał. Popatrzył na nią, jakby powstał z mar.

– Nie będę ci się narzucać, Gundi, wiem, że potrzebujesz czasu.

Czasu, który wydawał się nie mieć końca.

Powiedziała mu również:

– Nie wierzę w to, Juliusie. Nie wierzę, że kiedyś, gdy upłynie dość czasu, nadejdzie dzień, gdy będę kochała cię tak jak Tadka. Zostanę z tobą, by nie niszczyć nam wszystkim życia, i mam nadzieję, że kiedyś znowu będzie nam razem dobrze. Było nam dobrze przez wiele lat. Jeżeli jednak tęsknisz za innym rodzajem miłości, szukaj jej u innej kobiety. Mnie jest to obojętne.

Twarz Juliusa drgnęła, jakby Gundi go spoliczkowała, a ona sama poczuła ostrość swojego ostatniego zdania. Mimo to nie dodała nic więcej. Nie gniewała się na niego, nie zamierzała się na nim mścić, chciała tylko, by tym razem wiedział.

Pięćdziesiąty rejs „Gustloffa” miał być wyjątkowy. Czwororo z Sopotu zaangażowano do jeszcze większej liczby występów niż zwykle i po kolacji przygrywali do tańca na zmianę w różnych salach i szynkach. Na okręcie zebrało się wyjątkowo swobodne, rozrywkowe towarzystwo, większość uczestniczyła w swoim pierwszym rejsie i cieszyła się bezmiernie niespodziewanie dobrą pogodą. Jeden z dumnych fotografów amatorów nieustannie prosił Gundi, by pozwoliła się sfotografować z jego żoną, córkami lub całą rodziną – uśmiechnięta przy relingu, z włosami związanymi tasiemką w niebieskie groszki, unoszonymi przez letni wiatr. „Jest pani taka fotogeniczna, pani Gundi! Każdy będzie nam zazdrościł tego zdjęcia, a gdy wrócimy do Radevormwald, postawimy je na komodzie, żeby do końca życia przypominało nam o tej podróży”.

Gundi nie potrzebowała fotografii, aby przypominać sobie o tej podróży, bo ciągnęła się ona bez końca. Miała towarzyszyć jej po kres życia. Na trasie wzdłuż wybrzeża Norwegii ze względu na przepisy dewizowe nie było wolno zejść na ląd, ale „Gustloff” podpływał jak najbliżej poszarpanych skał, wąskich wysp i cypli, aby podróżni mogli podziwiać z pokładów majestatyczny krajobraz. Wisieli na relingu z lor-

netkami, prześcigali się w okrzykach zachwytu, a potem pisali pocztówki przy kawie i cięcie z kruszonką.

W czwartek wieczorem dopłynęli do Sognefjord, który uchodził za najpiękniejszy odcinek rejsu. Na tle widoku, który był prawdziwym popisem natury w postaci ognistej słonecznej kuli, rozpływającej się za szczytem, zarządzono tańce na pokładzie. Gdy słońce znikło, odurzeni pięknem przyrody, trunkami i latem tancerze przeszli do sali balowej, a Czwooro z Sopotu grało dalej. Na pół godziny przed północą po raz ostatni wykonali *Świt na morzu*, a potem zgodnie z regulaminem spakowali instrumenty. Punktualnie o dwunastej jak zawsze miała zabrzmieć na korytarzach zapowiedź: Cisza na statku i każdy miał wrócić do swojej kabiny.

Zaczynały się sekretne godziny.

Gundi nadal nie potrafiła o tej porze spać. Często chodziła bezgłośnie po pokładzie, jak gdyby szukała Tadka. Szukała Tadka i tego, co zostało z ich miłości. Gdzie miała ją znaleźć jak nie na „Wilhelmie Gustloffie”? Statek był ich rajem, a ciasna kabina Tadka ich gniazdkiem. „Gustloff” wydawał się Gundi przyjacielem, powiernikiem, który dzielił z nimi tajemnicę. KdF od dawna miała już inne statki, jeden z nich – „Robert Ley” – był nawet większy od „Gustloff”, ale żaden nie roztaczał jego czaru. Każdy, kto rezerwował rejs w KdF, pytał o miejsce właśnie na nim: „Macie jeszcze coś wolnego na «Wilhelmie Gustloffie»? Nieważne, dokąd będzie rejs. Najważniejsze, by grało Czwooro z Sopotu”.

Czasami, zanim wszyscy poszli spać, ktoś prosił jeszcze obsługę sali o nastawienie płyty. Dziś zrobił to Julius. Choć na „Gustloffie” było dostępnych ponad trzysta płyt, specjalnie zabrał jedną ze swojej kolekcji.

– Proszę, Gundi – powiedział. – Zatańcz ze mną ten taniec. Przecież zawsze chętnie ze sobą tańczyliśmy i wzbudzaliśmy tym podziw.

Zdobywali nawet nagrody, medal w Parku Zdrojowym i butelkę Châteauneuf-du-Pape od Natana w Błękitnym Pudlu. Podczas rejsu na Maderę Gundi tańczyła z Tadkiem, który nie robił tego nawet w połowie tak dobrze jak Julius, i cieszyła się każdym potknięciem, każdym zachwianiem. Tańczenie teraz musiało zabołec. Mimo to się zgodziła. Zabrzmiała muzyka.

– *Blue Skies*? Czy na statkach Kraft durch Freude nie jest to zakazane?

– Nieważne. To była nasza piosenka, zanim mieliśmy w ogóle pojęcie o Kraft durch Freude i o tym wszystkim. Chciałem dzisiejszej nocy zatańczyć z tobą do niej jeszcze tylko jeden raz.

Bolało bardziej, niż Gundi się obawiała. Smutek przepelniający jej tańczące ciało nie dotyczył wyłącznie szczęścia z Tadkiem, ale także przywiązania do Juliusa, jedno i drugie zostało nieodwracalnie utracone. Gdy piosenka, uwielbiana przez nich w sopockie lata, dobiegła końca, Julius skłonił się uprzejmie i powiedział:

– Dziękuję, że przynajmniej próbowałaś.

Wcześniej odłożył na jedno z krzeseł przy instrumentach swój biały panamski kapelusz i jakiś gość, który opuszczał właśnie salę ze śmiejącą się srebrzyście, lekko zataczającą się kobietą, włożył do niego banknot dziesięciomarkowy.

– Proszę, nie! – zawołał Julius pospiesznie. – To miłe z państwa strony, ale organizatorzy rejsów hojnie nas opłacają.

– W takim razie niech pan to przechowa! – zawołała podchmielona kobieta. – Dziś jest nam tak dobrze, spełnili państwo nasze marzenie, a kto wie, jakie czasy nadchodzą.

Wyszli, a Julius jakby pytająco dotknął ramienia Gundi. Nie pozwoliła mu zadać pytania.

– Dobranoc – powiedziała. – Ja jeszcze się trochę przespaceruję.

Tym razem nadzieja nie zgasła na jego twarzy. Nie mogła zgasnąć, skoro jej nie było.

– Dobranoc, najukochańsza Gundi – powiedział czule i powiódł wzrokiem po jej twarzy. – Dobrej nocy i dziękuję za każdą chwilę.

Gundi wyszła na pokład słoneczny. Wzdłuż relingu palił się jeszcze sznur kolorowych lampek, które po chwili gasły jedna po drugiej. W nocie tego norweskiego lata niebo często pozostało białawe, jakby dzień naprawdę nie chciał się skończyć. Dziś jednak nadciągnęła przejrzysta ciemność, firmament stanowił kopułę z niebieskiego szkła. Świat był oszalamiająco piękny. Kto stał tak pod wysokim niebem i patrzył na gładką jak lustro, całkowicie nieruchomą powierzchnię wody, musiał czuć miłość i głęboki respekt, cokolwiek w jego małym życiu waliło się i rozpadało.

Powinnam kiedyś zabrać ze sobą Ariane, przeszło Gundi przez głowę. W minionym roku, gdy „Gustloff” zatrzymał się w Gdańsku, poprosiła Różę i Zosię, by przyprowadziły córkę na pokład, bo chciała pokazać jej statek. Dziewczynka w ciszy i skupieniu podziwiała kabiny, sale, basen. Najbardziej spodobały się jej liczne windy, na których temat Tadek żartował, że „Gustloff” musiano pierwotnie zaprojektować jako pływający dom starców.

Może morska podróż sprawiłaby jej przyjemność? Naraz Gundi zapragnęła znaleźć w sobie siłę, by bardziej troszczyć się o małą. Gdyby Ariane nie była córką Juliusa, tylko Tadka – czy wtedy czułaby się jej bliższa?

Nigdy nie myśleli z Tadkiem o dziecku. Ich marzenia i wyobrażenia o przyszłości nigdy nie wykraczały poza ich oboje. Została sama. Miłość i strata otworzyły w niej drzwi i wpuściły samotność, przed którą uciekała całe życie. Tęskniła za tym, by wyciągnąć dłoń do ludzi, ale potrafiła tylko niemrawo unosić ramię. Czuła się niczym w szklanym więzieniu, a za dźwiękoszczelnymi szybami tańczyło i wirowało, przesuwano się i skakało życie.

Jakiś odgłos sprawił, że drgnęła. Rozległy się pospieszne kroki, a potem przytłumiony głos. Jak już wiele razy, Gundi przez jedno bicie serca nie umiała powstrzymać nadziei, że Tadek wrócił. Ale głos Tadka rozpoznałaby spośród tysiąca, a ten tutaj mógł należeć do dowolnego mężczyzny. Tuż potem nadeszła odpowiedź drugiej osoby. Gundi zerknęła na mostek kapitański i zobaczyła, że kapitan Petersen i jego pierwszy oficer – Rudolph Schmidt, z którym w ostatnim czasie wydawał się przyjaźnić Julius – prowadzą przed sterówką cichą rozmowę. Schodami, na które miała wstęp tylko załoga, pospieszył na górę jeden z radiotelegrafistów i przekazał kapitanowi Petersenowi żółtą kartkę, taką, na których zapisywano nadchodzące radiotelegramy, oraz zamkniętą kopertę.

Kapitan przebiegł wzrokiem wiadomość na żółtej kartce, a potem otworzył kopertę tak pospiesznie, że rozdarł papier na strzępy. Pierwszy oficer zapalił lampę i oświetlił nią dokument.

Petersen przeczytał go kilkakrotnie, po czym opuścił kartkę.

– Musimy przerwać rejs, Schmidt – powiedział, nie ścisząc już głosu. – Natychmiast. Jutro rano ruszymy całą mocą silników do Hamburga.

Oficer nie odpowiedział. Ponieważ nie pytał, co oznacza rozkaz, najwyraźniej już to wiedział. Przez chwilę stali jeszcze obok siebie pod szklanoniebieską kopułą nieba w wymownym, ciężkim milczeniu. Potem obaj oficerowie rozeszli się w przeciwne strony, a kapitan Petersen wrócił do sterówki.

40

Pasażerom, którzy obudzili się beztrąsko w oczekiwaniu kolejnego słonecznego dnia urlopu, łaskawie dano jeszcze czas na spożycie śniadania. Gdy tylko uprzątnięto dzbanki z kawą i słoiki z marmoladą, z pokładowych głośników, rozmieszczonych na wszystkich pokładach i korytarzach, rozległ się komunikat:

– Drodzy państwo, mówi kapitan. Niestety, mam smutny obowiązek poinformować państwa, że otrzymałem rozkaz przerwania podróży i obrania natychmiast kursu na ojczyznę. Prawdopodobnie jutro po południu dotrzemy do Hamburga.

Zerwała się wrzawa. W burzy głosów słyhać było niedowierzenie i rozczarowanie. Pasażerowie biegali w kółko i jeden pytał drugiego w nadziei, że ten wie coś więcej.

– Co się stało? Czy statek przecieka?

– Co za bzdury. Wtedy przecież nie wieźliby nas w zepsutej łajbie do Hamburga.

– Środek zapobiegawczy – odpowiadali zasypywani pytaniami stewardzi i oficerowie pokładowi. Co mogło oznaczać wszystko i nic.

Jakiś mały chłopiec, najwyraźniej równie zachwycony jak Ariane windami na statku, i który co rano z matką za rękę wjeżdżał nimi i zjeżdżał co najmniej dziesięć razy, jako jedyny wyraził zachwyt.

– Może „Wilhelm Gustloff” będzie teraz okrętem wojennym! – zabrzmiał jego jasny głosik w sali śniadaniowej. – Windą można bardzo szybko zjechać na dół do torped.

Matka, która do tej pory wyróżniała się cierpliwym i wyjątkowo czułym podejściem do syna, wymierzyła mu policzek.

– To przecież bzdura, prawda? – spytała przy sąsiednim stoliku kobieta, której mąż poprzedniego wieczora podarował Juliusowi dziesięć

marek, tak głośno, że wszyscy mogli ją usłyszeć. Gundi jadła z Lore i Erikiem. Nie wiedziała, dlaczego Julius się nie zjawił. Jej spojrzenie napotkało wzrok Erika i powtórzyło pytanie kobiety.

– Tak – powiedział Erik przyciszonym głosem. – To bzdura. „Gustloff” nie ma torped.

Lore drgnęła i również spojrzała na Erika.

– Jeżeli jednak któraś z was zastanawiała się, po co nam te gigantyczne windy, służę wyjaśnieniami – ciągnął. – Są przewidziane do transportu noszy z chorymi. Jeśli nie wierzycie, rozejrzycie się dokładnie po swoich kabinach. Wszystko jest idealnie urządzone, są nawet podłączenia do doprowadzania tlenu.

– Widziałam je – wymruczała Lore. – Myślałam, że to na wypadek, gdyby statek tonął.

– Gdy statek tonie, możesz oszczędzić sobie zachodu z tlenem – odparł Erik. – Podłączenia przewidziane są do przenośnych pulmotorów, prawdopodobnie składowanych gdzieś na dolnym pokładzie.

– Co to jest pulmotor? – spytała Gundi, nie będąc pewna, czy w ogóle chce to wiedzieć.

– Aparat do oddychania. Podobno szczególnie przydatny w przypadku zatrucia gazem.

Nadal wpatrywały się w Erika bez zrozumienia, a ten wybuchł:

– A co sobie myślałyście? Że przyjaciel ludzkości Adolf Hitler zafundował sobie całą flotę olbrzymich statków, które nie mają żadnej innej funkcji niż uszczęśliwianie spragnionych urlopu robotników? To będzie statek szpitalny. Nie jestem ekspertem, ale moim zdaniem można go wykorzystać także do transportu oddziałów.

„Statek szpitalny, transport oddziałów”, odbijało się echem w czaszce Gundi, choć początkowo jej mózg nie był zdolny wyciągnąć oczywistych wniosków. Przez kilka sekund nie potrafiła myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że jeśli „Gustloff” przestanie być statkiem wycieczkowym, nie będą mogli już na nim pływać! Ona sama straci miejsce, które kryło w sobie wspomnienia o nocach z Tadkiem. Będzie tak, jakby ich miłość nigdy nie istniała.

Potem ocknęła się.

– Mówisz, że będzie wojna? – spytała Lore. – Tym razem naprawdę? Rok temu też się przecież tego obawialiśmy, a potem odbyła się konferencja w Monachium i ponownie dało się uniknąć najgorszego.

– Nie jestem jasnowidzem – odparł Erik. – I nie sądzę, że to odpowiednie miejsce, by o tym dyskutować.

Umysł Gundi, który niczym zacięta płyta od tygodni grał ten sam takt, przeskoczył do następnego rowka. Nie potrafiła uzasadnić nagłego niepokoju, który ją ogarnął.

– Sprawdź, gdzie podziewa się Julius – powiedziała, wstając. – Nie jest w jego stylu, by zaspać.

– Nie zasnął – odparł Erik. – W każdym razie nie sądzę, żeby tak było. Od kilku dni prowadził potajemne rozmowy z oficerem Schmidtem, więc pewnie jest lepiej poinformowany niż my wszyscy.

– Przecież ta wiadomość nadeszła dopiero wczorajszej nocy przez radio! – zawołała Gundi. – Nie mogłam spać i przypadkiem widziałam, jak przekazano ją kapitanowi Petersenowi.

– Zgadza się – odparł Erik. – Ale nie ty jedna ostatnio źle sypiasz. A wiadomość z wczorajszej nocy nie była jedyną ani na pewno nie pierwszą.

– Jak to? Jakie jeszcze wiadomości nadeszły? – zawołała Gundi. – I dlaczego Julius miałby o nich wiedzieć, a my nie?

– Lepiej sama go o to zapytaj. – Erik zapalił papierosa. – Dzień po wyjeździe wszędzie krążyły szalone pogłoski, że Hitler posłał do Moskwy swojego ministra spraw zagranicznych, by ten podpisał z ministrem Stalina pakt o nieagresji, ale poza tym o niczym nie mam pojęcia. Akurat mnie Julius nie będzie przecież wtajemniczać w sprawy wojskowe, ponieważ musi zakładać, że należymy do różnych obozów.

– Różnych obozów?

– Masz rację – powiedział Erik przytłumionym głosem, którego Gundi nienawidziła niemal równie mocno, jak jego nawyku, by mówić zagadkami. – Takie upiększanie jest już niezbyt stosowne. A zatem do wrogich obozów. Idź i poszukaj go, jeśli masz ochotę, ale nie rób sobie wielkich nadziei, że go spotkasz.

Spojrzenie Gundi powędrowało do Lore. Ta siedziała cicho i walczyła ze łzami. Gundi zobaczyła przed sobą twarz Juliusa, czując minę, z którą

pożegnał się z nią wczorajszej nocy. Pożegnał. Przez głowę przemknęły jej strzępki jego słów i ogarnęła ją panika. „Chciałem dzisiejszej nocy zatańczyć z tobą jeszcze tylko jeden raz” oraz „Dobranoc, najukochańsza Gundi. Dobrej nocy i dziękuję za każdą chwilę”.

– Co takiego wiecie wy dwoje, czego ja nie wiem? – naskoczyła na pozostałych. – I co mają oznaczać te bzdury o wrogich obozach?

– Nic – wydusiła Lore. – Erik nie miał tego na myśli. Cokolwiek dzieje się na świecie, nie może nas przecież podzielić.

– Obawiam się, że może – stwierdził Erik. – Świat nie jest jakimś odległym miejscem, obok którego Czworo z Sopotu przepłynie w błogiej nieświadomości, machając chusteczkami. Świat zbliża się teraz do nas tak bardzo, że niestety, może podzielić rodziny i kręgi przyjaciół, sąsiadów, a nawet pozornie nierozłączną sopocką czwórkę.

Nim któraś z nich zdążyła jeszcze zadać jakieś pytanie, podszedł do ich stolika Bertram, jeden z oficerów, sympatyczny człowiek, odpowiedzialny za rozrywkę.

– Bądźcie tak mili i mówcie trochę ciszej, dobrze? Nie należy niepotrzebnie niepokoić pasażerów.

– Oczywiście, że nie – odparł Erik cierpko. – Z powodu czegoś tak niepotrzebnego jak wojna nie zepsujemy przecież naszym gościom ostatnich godzin przyjemnego urlopu.

– O wojnie nie ma mowy. – Z głosu oficera uleciała wszelka życzliwość. – A ty weź się lepiej w garść, nim ktoś wpadnie na pomysł, by sprawdzić, co wy, cudowne dzieci, macie na sumieniu. Poza tym kapitan Petersen kazał wam przekazać, że zagracie dziś na pokładzie słonecznym. Nic poważnego. Wesołe piosenki podróżne.

– Nie odpowiadamy za wesołe piosenki podróżne – powiedział Erik, ale brzmiał przy tym znacznie łagodniej niż wcześniej. – Poza tym, jak widzisz, nie jesteśmy w komplecie.

– Wiadomo – odparł Bertram. – Ale kilka rozweselających piosenek dacie radę zagrać i we troje. A zatem za pół godziny na górze. Heil Hitler.

Po tych słowach odszedł, a Erik, Lore i Gundi udali się do swoich kabin, by się przebrać i zabrać instrumenty. Kabina Juliusa znajdowała się na samym początku. Gdy ją mijali, Gundi nie zdołała się powstrzy-

mać i nacisnęła klamkę. Drzwi były zamknięte. Na jej pukanie i wołanie nikt nie odpowiedział.

– Chodź, Gundi, to już nie ma sensu. – Lore otarła oczy. – Odkąd wiosną wydarzyło się to wszystko, obawiałam się, że o tym myśli. Od lat nie mówił o swoim ojcu, a potem nagle znowu zaczął. Wciąż powtarzał, że to przecież jego kraj. Że to przecież obowiązek.

– Jaki kraj? Jaki obowiązek?

– *Good night, sweetheart* – rzucił Erik cynicznie. – Gdyby bomba wpadła nam do ogródka, Gundula Frieböse odwróciłaby się i spała dalej. Julius natomiast był mniej lub bardziej świadomy, że nie da się dłużej uniknąć wojny. Rozmawiał ze Schmidtem o tym, że planuje zaciągnąć się na ochotnika. Zakładam, że do marynarki wojennej. Jaki ojciec, taki syn.

– Do jakiej marynarki wojennej? – wykrzyknęła Gundi. – Powiedz, czy jest tu jeszcze ktoś, kto ma dobrze w głowie? Gdańsk jest strefą demilitaryzowaną, stacjonuje u nas co najwyżej kilka oddziałów do nadzoru przejazdów kolejowych, a już na pewno nie ma żadnej marynarki wojennej. Poza tym ta wojna, o której nikt jeszcze nawet nie wie, jest przecież wojną Hitlera, a nie naszą.

– Pozdrów Księżyc, za którym mieszkasz – odparował Erik. – A jak sądzisz, o co chodzi w tej wojnie? Hasło „Powrotu do Rzeszy” – słyszałaś je może? Jeśli prawidłowo odczytuję znaki z ostatnich sześciu lat, Julius i ja będziemy wkrótce takimi samymi obywatelami Niemiec co Hitler i Forster. Ja się wymigam. Mnie nie zechcą. – Poklepał się po nodze uszkodzonej na skutek upadku z konia. – A nasz Julius po prostu uprzedza wydarzenia.

– Nie wezmą go – powiedziała Gundi bezradnie, wbrew wzburzeniu, które odczuwała. – Jest gdańszczaninem, wciąż jest gdańszczaninem...

– Nie sądzę, by przykładali wagę do takich szczegółów. – Kąciki ust Erika drgnęły. – A już na pewno nie w przypadku krewnych.

– Jakich krewnych?

– Oczywiście krewnych Juliusa. Schmidtowie są marynarską rodziną. Nasz pierwszy oficer jest kuzynem ojca Juliusa, z pewnością będzie mógł uprościć dla niego kilka formalności. Tym bardziej że Führerowi pilnie potrzeba teraz mężczyzn, którzy o niczym innym nie marzą, jak umrzeć za ojczyznę. Nie patrz na mnie tak, jakby była to jakaś porusza-

jąca nowość, Gundi. Nie powiesz mi chyba, że nie wiedziałaś, że ojciec twojego męża nosi nazwisko Schmidt, prawda? Mój Boże, ten człowiek jest praktycznie naszym sąsiadem. A Julius, odkąd go znam, jest opętany myślą, by pewnego dnia jako godny syn zasłużyć na jego uznanie.

– Nie wiedziałam nawet, że jego ojciec nadal żyje – wymamrotała Gundi.

– Rozumiem.

– Ale Julius nie jest żołnierzem! – zakrzyknęła zrozpaczona. – Jest muzykiem, jest... – urwała, bo nie wiedziała, jak dokończyć zdanie. Czy w ostatnim czasie w ogóle słuchała Juliusa, gdy z nią rozmawiał? Czy interesowało ją, jak się czuje, czy interesowało ją, jak czuje się ktokolwiek poza nią samą?

Zakręciło się jej w głowie. Szybko zamknęła oczy, a potem poczuła wokół siebie ramiona Lore.

– On tak bardzo cię kocha – wyszeptała siostra przy jej uchu. – Wszystko, czego chciał, to cię odzyskać. Jestem pewna, że zdołasz go zatrzymać. Powiedz mu, że go potrzebujesz, że z Radunem już koniec, że chcesz zacząć od nowa. Tego przecież on najbardziej pragnie. Jesteś dla niego najważniejszą osobą na świecie, Gundi, ważniejszą niż my wszyscy razem i ważniejszą nawet niż jego ojciec. Jeżeli ktoś może go powstrzymać, to tylko ty.

We wspomnieniach Gundi dni tego niekończącego się lata przebiegały w przyspieszonym tempie. Nagle każda rozmowa, którą próbował z nią przeprowadzić Julius, każde nieśmiałe zbliżenie aż po ich taniec poprzedniej nocy wydały się mieć tylko jedno znaczenie: chciał, by go powstrzymała, żeby powiedziała: „Nie idź. Ty jesteś tym, którego potrzebuję”.

Nie wiedziała, czym jest wojna i co będzie oznaczać dla jej życia. Wiedziała tylko, że na wojnie mężczyźni umierali. Sprzedawca towarów kolonialnych umarł. W stoczni Klawittera musiały pomagać kobiety, bo zabrakło mężczyzn. Po wojnie w rodzinie ciotki Karl nie było już żadnego mężczyzny. Kiedyś opowiadała, jak na tablicy obok wejścia do Domu Zdrojowego, gdzie teraz wisały informacje o popołudniowych koncertach i godzinach otwarcia kąpielisk, wywieszano listy z nazwiskami poległych, jak kobiety co piątek tłoczyły się tam, jedne oniemiały z bólu, inne płaczące z ulgi, i jak ona sama tydzień po tygodniu odnajdo-

wała jakieś imię. Brata, kuzyna, siostrzeńca – tak długo, aż nie zostało już żadne imię, którego mogłaby szukać, więc przestała tam chodzić.

Gundi ponownie zamknęła oczy, zobaczyła samą siebie przed tablicą, jak czyta jedno imię. To niemożliwe. Julius był jej przyjacielem, zawsze był jej przyjacielem, nie mógł dobrowolnie pójść na śmierć tylko dlatego, że ona nie okazała się żoną, której potrzebował. Dlaczego nie skłamałam?, przeszło jej przez głowę. Czyż Pop nie powiedział, że w tych sprawach mężczyźni nie są nawet w połowie tak mądrzy, jak się kobietom wydaje? Gdyby wmówiła mu, że ta sprawa z Tadkiem była jedynie pomyłką, małym romanssem, jaki zdarza się wśród artystów, Julius nadal byłby z nimi, wyjąłby swoją trąbkę i zagrał na pokładzie słonecznym wesołe rejsowe piosenki.

Ramiona Lore wokół jej ciała nagle wydały się zbyt duszące. Nie mogła dłużej stać beczynnym, podczas gdy „Gustloff” pełną mocą silników pruć fale i niepowstrzymanie zbliżał się do Rzeszy. Musiała powiedzieć to Juliusowi, inaczej następnego ranka nie będzie mogła spojrzeć na swoje odbicie w lustrze.

– Pójdę go poszukać – powiedziała beznamiętnym, sztywnym głosem, uwalniając się z uścisku. – Przygotujcie wszystko na górze. Jeśli nie wrócę, powiedzcie Bertramowi, że zrobiło mi się słabo.

Lore uśmiechnęła się.

– Słusznie robisz. Dziękuję, Gundi.

Erik się nie odezwał, Gundi zaś pobiegła korytarzem z powrotem w stronę kabin. W biegu przemknęło jej przez głowę, że to dziwne, iż Lore podziękowała jej za decyzję, by odszukać Juliusa. Nie miała czasu się nad tym zastanawiać. Musiała raczej wymyślić, jak ma się dostać na mostek kapitański, na który wstęp mieli wyłącznie członkowie załogi. Zastąpiła drogę pierwszemu lepszemu matowi, którego napotkała.

– Muszę dostać się do oficera Schmidta. To pilne. Chodzi o mojego męża.

Było to bezsensowne i w żadnym razie nie mogło się udać. Załoga miała zakaz przepuszczania kogokolwiek na górę, a uzasadnienie Gundi nie mogło brzmieć bardziej naciąganie.

– Tak, oczywiście – odparł mężczyzna, jakby ciążyła mu każda sylaba. – Proszę za mną. Wątpię, by dało się porozmawiać z oficerem Schmidtem, ale zrobię co w mojej mocy.

Wspiął się po trzech schodkach na mostek kapitański, a Gundi za nim. Na górze poprosił ją, by poczekała przed wejściem, a on postara się znaleźć kogoś, kto mógłby jej pomóc.

– Jeżeli ktokolwiek będzie w stanie – dodał z grobową powagą, którą Gundi ledwo potrafiła znieść.

Niczego nie pragnęła tak bardzo, jak zobaczyć Juliusa. Czekaając, raz po raz odmawiała krótkie modlitwy i składała Bogu jedną obietnicę za drugą: jeśli Julius we własnej osobie stanie zaraz przed nią, ona przełamie swój opór i weźmie go w ramiona, tak jak powinna była to robić przez te wszystkie tygodnie. Obieca mu, czegokolwiek Julius zapragnie, a jeśli uda się jej przekonać go do zmiany zdania i wrócić z nim całym i zdrowym do domu, zadowoli się tym, co teraz miała. Nigdy więcej nie będzie pragnąć nikogo innego. Nigdy więcej nie będzie lekceważyć swojego szczęścia. Nigdy więcej nie spróbuje ponownie zobaczyć się z Tadeuszem, nigdy już nie będzie o nim marzyć ani błąkać się podczas sekretnych godzin i tęsknić za innym życiem.

Jakiś człowiek w mundurze podszedł szybkim krokiem do wyjścia. Nie pierwszy oficer Schmidt, tylko Gehrcke, drugi oficer.

– Przykro mi, pani Scharneck. Bardzo mi przykro.

– Z jakiego powodu?

– No cóż, chciała pani porozmawiać z mężem, czy może źle zrozumiałem bosmana Mehringa?

– Nie, nie! – zawołała Gundi. – Dobrze go pan rozumiał. Muszę pilnie porozmawiać z mężem. To naprawdę ważne.

Na ustach oficera zaigrał słaby uśmiech, a jego spojrzenie powędrowało w dół po ciele Gundi.

– Jeśli chce się z nim pani podzielić radosną nowiną, chętnie mu ją przekażę.

Gundi zrozumiała. Czy to było rozwiązanie? Drugie dziecko? Czy Julius go pragnął, czy nadzieja na dziecko by go powstrzymała? Gundi nienawidziła ciąży i porodu, ale nie musiała zastanawiać się nad tym nawet sekundy: jeśli w ten sposób uratuje Juliusa, była na to gotowa. Już chciała potaknąć, otworzyć usta, by potwierdzić przypuszczenie oficera Gehrckego, ale wtedy zrozumiała, jak śmieszna i daremna byłaby to próba. Gdyby kazała przekazać Juliusowi, że spodziewa się dziecka, ten musiałby uznać, że jest ono innego mężczyzny.

Nie spała z Juliušem od czasu, gdy w trakcie pełnej ciekawości i swawoli zimy spółdzili Ariane.

– Muszę sama powiedzieć to mężowi – odparła słabo. – Proszę, czy może mnie pan szybko do niego zaprowadzić? To potrwa najwyżej dziesięć minut.

Oficer uniósł dłonie.

– Jak już powiedziałem, przykro mi.

– Błagam pana! – Gundi z trudem powstrzymywała się, by nie chwycić go i nie potrząsnąć nim. – Proszę ten jeden raz zapomnieć o przepisach i mi pomóc.

– Nie chodzi o przepisy – odparł oficer nie bez ciepła w głosie. – Proszę mi wierzyć, sam mam rodzinę i wyobrażam sobie, jakie troski będą dręczyć w nadchodzących dniach tysiące kobiet w Rzeszy. Jednak pozostaje mi tylko doradzić pani spokój i wiarę w naszego Führera. Jesteśmy przygotowani, o wszystko zadbano i wszystko dobrze się skończy.

– Wiedział pan, że to się stanie? Wiedział pan już od dłuższego czasu?

– Niestety, nie mogę udzielić pani na ten temat żadnych informacji.

– Chcę rozmawiać z moim mężem! – Gundi spróbowała jednak go chwycić, ale on w porę się odsunął.

– Ale pani mąż nie chce rozmawiać z panią – odparł Gehrcke, poprawiając marynarkę. – Jak próbowałem już wyjaśnić, w tej szczególnej sytuacji nie przejmowalibyśmy się przepisami, w przeciwnym razie w ogóle nie wpuszczono by pani na górę. To pani mąż prosił, by odseparować go do czasu jego przeniesienia. Taka decyzja, nawet podjęta odważnie i z radością, nigdy nie jest łatwa. Powinna pani teraz dać mężowi czas, by przygotował się do swojego wielkiego zadania. I powinna pani być z niego dumna. Tego właśnie potrzebujemy od naszych żon, kiedy podejmujemy ten ogromny wysiłek.

41

Po przybiciu do Hamburga pierwszą myślą było, że musi wysiąść z pociągu w Gdańsku i odwiedzić matkę. Matka nie miała nikogo

innego. To było jej motto, jej hasło przewodnie, które wygłaszała przy każdej okazji: „Nie mam przecież nikogo poza tobą”.

Wyprowadziła się z mieszkania w Nowym Porcie, ponieważ twierdziła, że hałas, wilgoć i wspomnienia powodują u niej choroby. Lore wynajęła przesadnie drogi apartament przy eleganckiej bocznej ulicy za Heveliusplatz ¹⁸ i wydała majątek na jego wyposażenie zgodnie z życzeniami matki. Lore nigdy nie czuła się dobrze, wydając duże kwoty z pieniędzy, które zarabiał Czworo z Sopotu i które znajdowały się na wspólnym koncie, dostępnym dla wszystkich. Była świadoma, że jej udział we wspólnym sukcesie, polegający na cichej grze na gitarze i niewyróżniającej się prezencji, stanowił zaledwie mały element, który zawsze można było czymś innym zastąpić.

Gundi była sercem grupy, śpiewała w swój charakterystyczny sposób i nikt inny nie zdołałby napisać obu jej szlagierów. Do Juliusa wzdychały kobiety, a w dodatku zajmował się sprawami organizacyjnymi, Eirk zaś miał z nich wszystkich największy talent muzyczny. Lore natomiast należała do zespołu, ponieważ Gundi była jej siostrą i chciała mieć ją przy sobie. Samej Lore to nie przeszkadzało, rzadko pragnęła czegoś innego, niż być blisko Gundi i stać w jej cieniu, ale kwestia pieniędzy była drażliwa. Gdyby nie chodziło o matkę, wobec której czuła się zobowiązana, nie wydałaby ich.

Matka nie podziękowała jej za to. „Myślisz, że wykupisz się pieniędzmi. O córkę tej lafiryndy troszczysz się dniami i nocami, ale dla mnie nie znajdziesz nawet kwadransa. A przecież nie mam nikogo poza tobą”.

Lore powiedziała zatem pozostałym, że wysiądzie w Gdańsku i prawdopodobnie zostanie kilka dni u matki. Widziała po Gundi, że z trudem przyjęła ona tę wiadomość i że wolałaby mieć Lore u swego boku. Lore nie mogła mieć jej tego za złe. Nikt nie wiedział przecież, co dalej będzie i jak powinni ułożyć sobie teraz życie. W zasadzie nikt nie wiedział nawet, czy w ogóle toczy się wojna. Może wszystko rozeszło się po kościach. Pociąg był pełen podróżnych, którzy sprawiali wrażenie beztroških, co najwyżej wyczerpanych uciążliwym upałem.

Po tym wszystkim, co się wydarzyło, Lore nie potrafiła jednak łudzić się nadzieją na szczęśliwe zakończenie. Erik siedział na swoim miejscu pochylony do przodu i napięty niczym struna. Prawie się nie odzywał, ale trudno było nie zauważyć, że w jego głowie kotłują się myśli. Od miesiący próbował na wszelkie sposoby nakłonić Zosię do wyjazdu. Sam

udałby się razem z nią, zostawiłby Czworó z Sopotu i zaczął gdzieś nowe życie. Co prawda, nigdy tego nie powiedział, ale Lore wiedziała. Nie mogła mieć mu tego za złe. Przez tyle lat darzył Gundi nieodwzajemnioną miłością, że Lore ucieszyła się na wieść o jego ostrożnym romansie z uroczą Polką.

Zosia była niejako skromniejszą, łatwiejszą w pożyciu wersją Gundi, kochała muzykę, a Erik spędzał z nią każdą wolną chwilę. Ale nie chciała wyjechać. „To zabiłoby moją siostrę – tłumaczyła raz po raz Erikowi”.

Erik zaczął więc namawiać Różę, ale za każdym razem natrafiał na mur monosylab. Róża nie mieszkała u Niemców, by się z nimi bratać lub wdawać w dłuższe rozmowy, tylko dlatego, że miała nadzieję ochronić w ten sposób swoją rodzinę. Rzeczywiście życie w Wolnym Mieście Gdańsku stawało się dla Polaków coraz trudniejsze. Właściciele domów wyrzucali polskich lokatorów z mieszkań, w sklepach nie obsługiwano polskich klientów, a na początku sezonu na plaży zastąpiono podniszczoną tablicę właściciela koszuw plażowych nową: „Żydom, Polakom i psom korzystanie z plaży zabronione”.

Również Niemcy, którzy zatrudniali lub ukrywali Polaków, spotykali się z wrogością. Julius musiał nawet skłamać przed gauleiterem Forsterem, że Polki zostały zwolnione i przeprowadziły się do Gdyni, a Ariane zajmowała się Ernestine Karl. Choć nie chciała stracić Erika, Lore miała nadzieję, że w końcu uda mu się nakłonić siostry do przeprowadzki. Najlepiej do Polski. Dla wszystkich byłoby to najbezpieczniejsze wyjście, a kiedyś, gdy ten szerzący się pożar zostanie ugaszony, będą mogli znowu być razem.

Erik jednak nie osiągnął swojego celu. Wręcz przeciwnie. Coraz częściej kłócił się z Zosią. Gdy na początku lata wyjechali, by występować na „Gustloffie”, wydawał się Lore niemal równie zrezygnowany jak Julius. Tyle że u jednego ten stan wewnętrzny objawiał się głęboką melancholią, a u drugiego zjadliwym uśmieszkiem.

Teraz zaś mogła wybuchnąć wojna między Niemcami a Polską, a Gdańsk, kość niezgody, leżał między dwoma frontami – pośrodku zaś stał ich dom, gdzie pod jednym dachem mieszkali przedstawiciele obu narodów. Lore trochę się nawet cieszyła, że może wysiąść na Dworcu Głównym, choć bardzo przejmowała się wzburzoną Gundi i dręczyła ją świadomość, że nie dowie się od razu, czy nadeszła wiadomość od Juliusa. W tej beczce prochu, którą stał się ich dom, musiałyby chodzić

na palcach albo siedzieć nieporuszenie, by omyłkowym ruchem nie podpalić lontu.

Ruszyła pieszo na Heveliusplatz, myśląc o Juliusie i Gundi. Gdańsk wydawał się taki sam jak zawsze. Gazeciarze oferowali poranne wydania, przedsiębiorcy cieszyli się przerwą przed kawiarniami, w cieniu wysokich domów, a na straganach skleconych ze stołków kobiety zachwalały świeże flądry. Matka Lore również była taka jak zawsze.

– Więc jednak się pokazałaś – warknęła i obojętnie odstawiła na bok przyniesiony przez Lore kosz z prezentami. – Myślałam już, że moja córka umarła i nie zostałam o tym powiadomiona.

Matka miała problemy z zębami, czym Lore musiała się zająć, a poza tym upierała się, by kominiarz zajrzał do kanałów wentylacyjnych, żeby zimą nie siedziała w chłodzie.

– Mamo, jest sierpień.

– Zawsze taka byłaś. Dla ciebie wciąż będzie sierpień, gdy twoja matka zamarznie w swoim mieszkaniu.

Lore obiecała zostać, dopóki wszystko nie zostanie załatwione. Ponieważ planowo mieli nadal podróżować na „Gustloffie”, nie czekały ich żadne występy. Lore nieśmiało odetchnęła z ulgą. Wielkie wzburzenie wydawało się przemijać, a Julius mógł za kilka dni wrócić do domu. Może to wszystko wyjdzie im nawet na dobre, ponieważ Gundi przypomniała sobie, do kogo należy i komu winna jest uczucie.

Jaka kobieta, którą pokochał Julius, mogłaby odrzucić jego miłość? Lore nadal nie potrafiła pojąć, że dla tego podejrzanego polskiego tenora, którego poprzedzała zła sława bawidamka, Gundi naraziła swoje małżeństwo i dogłębnie zraniła Juliusa. Nie potępiała siostry. Nigdy tego nie robiła. Gundi była sobą i miała swoje powody, aby robić to, co robiła. Czasami jednak Lore żałowała, że nie potrafi tych powodów zrozumieć. Gundi i Julius uchodzili za parę marzeń, mieli wszystko, czego pragnęli inni – dlaczego Gundi to nie wystarczało, aby być szczęśliwą?

Miłość Juliusa była głęboka i absolutna, bez Gundi nie istniało dla niego życie i nie miał ważniejszego celu, niż wyczytywać z jej oczu każde pragnienie. Jego wierność przypominała trochę dawne sagi rycerskie, a sam Julius był niczym rycerz: silny i odważny, przepelniony chęcią chronienia, dawania swojej rodzinie tego, czego nigdy nie dał mu własny ojciec.

Ale nie powinien być rycerzem. Nie powinien walczyć, tylko wrócić do domu, polski tenor powinien zostać zapomniany, a za kilka miesięcy wszyscy powinni śmiać się z grozy tych dni. Życie toczyło się przecież zbyt normalnie, by przerodzić się w wojnę. Kobiety siedziały przy oknach, plotkowały przy obieraniu ziemniaków, na jakimś balkonie śpiewał w rozkołysanej klatce kanarek, na ulicy kłóciły się dzieci. Jedna z sąsiadek szła z bolącym uchem do lekarza, a rozjeżdżony samochód dostawczy zahaczył o słup latarni. Było gorąco. Nie ochładzało się nawet wieczorami, trudno więc było zasnąć.

Ostatniej nocy sierpnia Lore obudził odgłos, który później uznała za ostrzał. Prawdopodobnie zrobił tak każdy, kto obudził się tej nocy na ów dźwięk. Później nie dało się już ustalić, czy ogień na Westerplatte rzeczywiście dało się usłyszeć w domach położonych za Heveliusplatz. Faktem było jednak, że strzelano.

„Od godziny piątej czterdzieści pięć”, oznajmił Adolf Hitler w przemówieniu, które nadawano przez głośniki na gdańskich placach. Niemiecki Wehrmacht odpowiedział podobno na napaść na radiostację w Gliwicach – ostatni z serii przygranicznych incydentów – i „od tej chwili odpłacamy bombami za bombę. Kto wojuje trucizną, ten od gazu trującego zginie”.

Nazwał się „pierwszym żołnierzem Rzeszy” i mówił jeszcze dużo o niemieckiej woli i niemieckiej stali, które zwyciężą i pokonają wszystko, nawet jeśli nie da się uniknąć ofiar. Potem odśpiewano *Deutschland, Deutschland über alles* oraz pieśń *Die Fahne hoch!* (W górę sztandar!) o wysokiej fladze i maszerujących oddziałach SA. Gdańszczanie też śpiewali, ze wszystkich stron w okna wpadał śpiew. Lore jednak nie potrafiła myśleć o niczym innym jak o tym, że o piątej czterdzieści pięć od dawna stała już w kuchni i parzyła herbatę rumiankową dla swojej matki, którą bolał żołądek. Strzały, które ją obudziły, padły wcześniej. Co najmniej godzinę wcześniej.

Później, gdy wraz z matką jadła w loggii śniadanie, na schodach zadudniły kroki i załomotano pięściami do drzwi.

– Boże pomóż! – zajęczała matka Lore, kuląc się.

Lore poszła otworzyć. Na klatce schodowej było czarno od policjantów.

– Wychodzić, wychodzić, wszyscy wychodzić. Jesteście ewakuowani.

Nie dało się zrozumieć, czy powiedzieli coś jeszcze, bo rozległ się grad strzałów, jakby eksplodował świat. Ściany domu drżały, stolik do kawy przewrócił się z trzaskiem. Matka Lore zawyła. Lore pospieszyła do niej i cieszyła się, że w kolejnych minutach miała pełne ręce roboty, by wyprowadzić matkę z domu oraz zabrać jej leki i najważniejsze dokumenty. Na ulicy zebrali się już wszyscy sąsiedzi, niektórzy mieli ze sobą walizki, inni byli jeszcze w kapciach. Policjanci poprowadzili ich gęsiego wzdłuż ulicy, z dala od Heveliusplatz. Za ich plecami powietrze było gęste od dymu, a niebo ciemne, ale przed nimi świeciło słońce.

– Burzą pocztę – usłyszała Lore pomiędzy strzałami. Jakaś kobieta mówiła do drugiej:

– Najwyższy czas. Po co Polaczkom własna poczta w niemieckim mieście?

Potem nie dało się już zrozumieć ani słowa. Przed salonem fryzjerskim Schotta, gdzie matka Lore chodziła robić sobie trwałą, stało sześciu mężczyzn z uniesionymi rękoma, zwróconych plecami do ściany. Lore rozpoznała jednego z nich. Nazywał się Feliks Muzyk i kierował polskim chórem, z którym przed laty wystąpili na święcie ludowym – wtedy, gdy byli jeszcze Pierogami, a nie Czworgiem z Sopotu. Mężczyzn otaczali SS-mani w czarnych mundurach, po dwóch na każdego pojmanego, jedna lufa karabinu maszynowego skierowana w pierś, druga w głowę.

Lore wyrwał się krzyk:

– Panie Muzyk!

Kierownik chóru odwrócił się, ich spojrzenia się spotkały. Otworzył usta. W następnej chwili jeden z esesmanów wymierzył mu kolbą cios, który powalił go na ziemię. Lore wciąż krzyczała, nie potrafiła przestać. Podszedł do niej jeden z policjantów z eskorty.

– Co z nią?

– Moja córka jest chora, obie jesteśmy chore, zostawcie nas, chorych ludzi, w spokoju – zawyła matka Lore.

Dwie kobiety, które szły przed nimi, odwróciły się, chwyciły Lore i jej matkę za ręce i pociągnęły je dalej.

– Nic, nic – wie pan, to tylko hałas. Nie każdy potrafi go znieść.

Policjant zaśmiał się.

– Trzeba będzie znieść jeszcze dużo innych rzeczy, dobra kobieto. Wystarczy wtedy wypić sznapsa i jest dobrze.

Nikt mnie nie rozpoznaje, zauważyła Lore, podczas gdy kobiety ciągnęły ją dalej. Czwooro z Sopotu są najbardziej znaną kapelą w Gdańsku, ale równie dobrze mogłabym nadal być sprzedawczynią z jakiegoś sklepu. Za nią rozległ się strzał, a po nim cichy krzyk.

– Nie odwracaj się – powiedziała jedna z kobiet do Lore. – I nie zaczynaj znowu krzyczeć. Napytasz sobie biedy, głupia gąsko. Polaczki stąd teraz znikną, to przecież było jasne. A kto żył z nimi za pan brat, ten także zniknie. Mój mąż jest w SA, mówi, że nie będą się cackać.

Gundi, pomyślała Lore, a jej serce biło jak oszalałe. Muszę jakoś skontaktować się z Gundi, żeby wyprowadziła Zosię i Różę z domu. I zabrać ich ojca z pensjonatu – na miłość boską, co z Popem i Ernestine Karl? Czy byli bezpieczni w willi, czy też zdani sami na siebie w pensjonacie?

– A dokąd trafią Polacy? – spytała z resztką opanowania.

Kobieta wzruszyła ramionami i skinieniem głowy wskazała – donikąd.

Ewakuowanych zabrano do sali gimnastycznej w miejscowej szkole, gdzie podano kawę i ciasto. Odbiorniki radiowe przez cały czas nadały na wpół wykrzykiwane przemowy, po których następowały frenetyczny aplauz, grzmiąca ponuro muzyka i wyśpiewywane pieśni marszowe:

Ten marsz powiedzie nas dalej,
Gdzie zawali się stary ład,
Bo dzisiaj nasze są Niemcy,
a jutro cały świat [19](#).

Lore zwróciła się do jednego z policjantów, który sprawiał wrażenie sympatycznego i częstował dzieci ciastem:

– Proszę mi pomóc, muszę pilnie zatelefonować. Moja siostra z Sopotu nie wie, gdzie jestem, i będzie się martwić.

– Zatelefonować nie można – odparł policjant z uśmiechem na swojej sympatycznej, okrągłej twarzy. – Żadne połączenia nie działają. Ale bez obaw. Nasi nie będą potrzebować dużo czasu, by skończyć z tą bandą, która jeszcze ostrzeliwuje się na poczcie. Kilka godzin, a siostrzyczka odzyska panią całą i zdrową.

Gundi, Gundi, Gundi, łomotało w głowie Lore, podczas gdy ulicami przejeżdżały wozy opancerzone i działa artyleryjskie z takim grzmotem, jakby chciały zmiażdżyć wszystko na swojej drodze. Chwilę potem wśród ludzi zajadających się w szkole ciastem wybuchły ogłuszające okrzyki radości. Dostarczono gazetę – oczywiście „Vorposten” – i teraz przechodziła ona z rąk do rąk. „Wydanie specjalne” widniało podkreślone grubą kreską ponad nazwą gazety. Tytuł poniżej głosił: „Wolne Miasto Gdańsk od dziś częścią Rzeszy!”.

Wieczorem około siódmej odwołano alarm. Sytuacja wokół Poczty Polskiej została „uspokojona”, policji przy wsparciu dzielnych pomocników z SS-Heimwehr udało się pojmać stawiających fanatyczny opór obrońców poczty. Ewakuowani mogli wrócić do siebie, jednak dla własnego bezpieczeństwa mieli tymczasem pozostać w mieszkaniach i dopiero następnego ranka pozwolono im zająć się codziennymi sprawami.

Lore musiała zaopiekować się matką, która kuśtykała ulicą, jęcząca i zgarbiona. Nad Heveliusplatz wznosiła się pod niebo czarna chmura. Z naprzeciwka nadjechał jakiś wóz opancerzony, z bliska zastraszająco wielki. Za nim podążali policjanci w hełmach, którzy pędzili przed sobą grupę pojmanych, trzymających dłonie skrzyżowane na karku. Wielu mężczyzn krwawiło, jeden utykał i ledwo dawał radę iść. Przed Lore i jej matką szła jakaś kobieta, która prowadziła za rękę małą córkę i niosła jej szkolny plecak. Odwróciła się i splunęła w twarz jednemu z jeńców, niskiemu mężczyźnie w pogiętych okularach.

Lore spojrzała w bok, jednak sekunda, w której zobaczyła, jak packa śliny spływa po podrapanym policzku mężczyzny, wystarczyła, by wypalić ten obraz w jej pamięci.

Po powrocie do domu jej matka w mgnieniu oka ozdrowiała i zażądała tostów z roztopionym masłem.

Potem ku uldze Lore szybko poszła spać. Nadzieja, że będzie mogła wreszcie skorzystać z telefonu, który kazała zainstalować matka, okazała się płonna. Tak jak powiedział sympatyczny policjant, połączenia nie działały. Lore musiała jednak skontaktować się z Gundi, a w razie potrzeby jeszcze tej samej nocy pojechać do Sopotu. Z wszystkich strzępek rozmów, które tego dnia usłyszała na ulicy, a także z komunikatów radiowych i policyjnych obwieszczeń wynikało, że Gdańsk nie podlegał już kontroli Ligi Narodów i został ogłoszony miastem Rzeszy. Polskie „przyczółki”, do których z trudnych do pojęcia względów należała

poczta, były szturmowane, a Polacy masowo aresztowani, wsadzani do więzień lub wywożeni z miasta.

Oczywiście nie można było wywieźć wszystkich, próbowała się uspokoić Lore. Powinna istnieć jakaś lista niepożądanych osób – przestępców, awanturników, agitatorów politycznych. Większość ludzi nie miała jednak z takimi nic wspólnego. Po prostu mieszkali tu, byli zameldowani, zajmowali się swoimi sprawami.

Ale Zosia i Róża nie były zameldowane!

Julius okłamał Forstera. Jeśli znajdą kobiety w willi, uznają, że mają one coś do ukrycia – a ci, którzy je przyjęli, również. Gundi była w wielkim domu sama z Ariane, starcami i Polkami, nie miała do ochrony nikogo oprócz Erika, a ten pewnie zacząłby złorzeczyć i tym samym sprowadził na wszystkich jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Lore nie mogła dłużej wytrzymać w dusznym mieszkaniu. Bez żadnego planu, zupełnie inaczej, niż miała to w zwyczaju, wybiegła na ulicę, gdzie z powodu dymu nadal trudno było oddychać. Jakby ciągnięta na niewidzialnej linie, ruszyła w stronę Heveliusplatz. Daleko nie zaszła, na końcu ulicy stali policjanci, opierając się o pasiasty szlaban i paląc papierosy, a za nimi w nadchodzącej nocy wznosiła się lufa działa. Kaszłąc, aż rozboleły ją płuca, Lore przystanąła i wpatrywała się w czteropiętrowy budynek z czerwonej cegły, który wcześniej był Poczta Polska. Ziały ku niej puste otwory. Fasada była usiana dziurami po strzałach, z okien i drzwi wydobywały się pasma czarnego dymu i pojedyncze płomienie. Na placu stało kilka czołgów i granatnik, taki, jaki Lore widziała w szkolnym podręczniku na temat ostatniej wojny.

Nie ostatniej, przeszło jej przez myśl. Przedostatniej. Przed tą teraz.

Pobiegła dalej, choć jakiś stróż porządku uniósł ostrzegawczo dłoń. Pomiędzy pojazdami leżeli zabici, jeden z nich zaledwie kilka kroków od szlabanu. Lore rozpoznała go, tak jak wcześniej rozpoznała wśród żywych Feliksa Muzyka. Taki właśnie był Gdańsk: Polacy i Niemcy żyli obok siebie i każdy znał każdego. Odzież zabitego była zwęglona i gdy nadszedł pierwszy tego dnia powiew, jej czarne płatki oderwały się od ciała. Lore cieszyła się, że ze swojego miejsca nie może zobaczyć, w jakim stanie znajdują się nogi i podbrzusze zabitego. Twarz miał rozbitą, ale nie spaloną. To był Jeszek. Brat Zosi i Róży.

– A czego tu panienka szuka? – Jeden z policjantów zastąpił jej drogę, niemal rozbawiony. – Nie słyszała panienka? Cała okolica ma zakaz

opuszczania domów.

– Proszę! – zawołała Lore. – Muszę pilnie zadzwonić, a telefon w moim mieszkaniu nie działa. Chodzi o moją siostrę. – Przełknęła, nabrała powietrza i spróbowała wyprostować plecy. – Gundi Scharneck. Z Czwoorga z Sopotu.

– *Świt na morzu?* – Policjant wyciągnął przed siebie ręce, jakby obejmował partnerkę, i wykonał kilka tanecznych kroków. – To pani siostra? – Z niedowierzaniem zmierzył Lore wzrokiem. Potem skinął głową. – Kiedyś już panią widziałem. W Rosendiele. Minęło kilka lat, ale czegoś takiego się nie zapomina. A jeśli obiecuję, że przekażę pani siostrze wiadomość, dostanę autograf?

– Muszę z nią sama porozmawiać, proszę! Dostanie pan wszystko, czego chce.

Jego koledzy, którzy stanęli obok, wybuchli śmiechem.

– Rany, Maksiu, ty szczęściarzu.

W tej samej chwili Lore uświadomiła sobie, że zamiast pomagać Gundi, sprowadza na nią jeszcze większe niebezpieczeństwo. Jeżeli ci mężczyźni dadzą się zmiękczyć i pozwolą jej zadzwonić z jednego ze swoich aparatów, usłyszą ich rozmowę. Przerazenie Lore nie było udawane.

– Nie, to nie wystarczy! – zawołała. – Tak bardzo się martwię, lepiej pojedę ostatnim pociągami do Sopotu i sama się z nią zobaczę.

– Dziś nie ma już pociągów do Sopotu – stwierdził łagodnie stróż porządku. – A kto wie, czy będą jutro. Mamy wojnę, panienko.

– Ale ja muszę... – zaczęła Lore, lecz ten machnął ręką.

– Zrozumiałem. Każę szybko podwieźć tam panią autem. To niedaleko. Ale sprawa z moim autografem załatwiona, jasne?

Lore widziała przez barierkę twarz martwego Jeszka i zrobiło się jej niedobrze.

– Tak, oczywiście, jasne – powiedziała, zaciskając powieki. – Cokolwiek pan zechce.

Sierpień 1940

Kto przyjechał do Sopotu, a nie znał go przed wojną, mógłby uznać, że wojna się tutaj nie toczy. Były pokazy kinowe i koncerty w Domu Zdrojowym, kosze plażowe, które urlopowicze przerabiali na twierdze, wbijając flagi i otaczając piaskowymi wałami ozdobionymi muszelkami, wyścig chartów, gdzie z wielkim entuzjazmem robiono zakłady, codziennie wspólna gimnastyka na plaży, a co wieczór tańce i muzyka w hotelach wzdłuż nadmorskiej promenady oraz w kawiarniach i barach przy Seestraße. Można by uznać, że jak zawsze, jeśli nie wiedziało się, jak tu zawsze było.

Jeśli tylko nie padał deszcz, Gundi każdego przedpołudnia szła z Ariane na plażę. Tylko na parę godzin, w czasie których Gundi liczyła czasami minuty, ponieważ zabawa z łopatką, foremkami i wiaderkiem oraz ciągle próbowanie piaskowych ciastek nie zajmowały jej umysłu i nie odwracały uwagi od trosk. Ona sama nigdy nie lubiła budować z piasku, wolała wybiegać w morze, by słuchać, jak szumią fale. Ariane jednak była strachliwym dzieckiem, które najchętniej bawiło się samo w ciszy. Mimo to i ona powinna otrzymywać swoją porcję morskiego powietrza i plażowego słońca, tak było sprawiedliwie, a nikt poza Gundi nie mógł jej zabierać.

Erik, który wcześniej często zajmował się Ariane, teraz troszczył się o sprawy Czworka z Sopotu. Negocjował gąże, organizował koncerty, a przede wszystkim występy w radiu, gdzie Gundi wciąż musiała śpiewać *Świt na morzu*. Dyrektorzy rozgłośni tłumaczyli, że to dodaje ludziom odwagi. Żołnierzom na froncie oraz ich rodzinom w domu, które pełne obaw czekały na wieści. Piosenka ze szczęśliwych lat, która naraz nabrała zupełnie innego znaczenia, przemawiała do serc, brzmiała poważnie i podtrzymywała nadzieję, że te lata kiedyś powrócą.

„Gdy zaczniemy żyć od nowa”.

Gundi miała wrażenie, jakby teraz każdy tak myślał, wstrzymywał oddech i odsuwał swoje prawdziwe życie na później. Robert Ley rozplątywał się w swoich przemowach nad wspaniałymi rejsami, które KdF zaoferuje niemieckim robotnikom, gdy tylko ucichną strzały. Co prawda, chwilowo trzeba było ograniczyć pensje i czas wolny, by przetrwać wspólny wysiłek walki obronnej, ale później każdego, kto miał wkład w tę walkę, czekało wspaniałe życie.

W zasadzie to samo mówili na plaży rodzice swoim płaczącym, błagającym dzieciom: „Nie, Hagen, tego roku nie popłyniemy łódką, musisz z tego zrezygnować, wszyscy musimy zrezygnować, żeby Niemcom wiodło się lepiej. Ale później, gdy wojna się skończy, będziemy może nawet mieć własną łódkę”.

Ariane też pewnie chciała, żeby matka obiecywała jej coś na czas po wojnie, ale gdy tylko otwierała usta, by zadać to – lub jakiegokolwiek inne – pytanie, Gundi zasłaniała jej buzię. Kiedyś, gdy jakaś grupa kobiet i dzieci za bardzo zbliżyła się do ich miejsca, dała nawet Ariane klapsa i zbesztła ją: „Ty niegrzeczna dziewczyno! Zabroniłam ci przecież używać takich paskudnych słów”.

W głębi duszy czuła ból. Przede wszystkim z powodu wzbudzających lęk, nakazujących milczenie spojrzeń, którymi musiała zastraszać swoją i tak już nieśmiałą córkę. Ariane nie była złym dzieckiem i nie używała brzydkich słów. Wręcz przeciwnie, była o wiele za grzeczna i nie mogła zrozumieć, dlaczego nie wolno jej mówić głośno tego, co miała na myśli. Aby to wynagrodzić, Gundi kupiła jej loda. I jeszcze jednego. O wiele więcej lodów, niż dostał uwielbiający wiosłować Hagen, który musiał zrezygnować z łódki. Gundi nie chciała, by Ariane musiała z czegoś zrezygnować, chciała kupić jej wszystko, czego dziewczynka pragnęła.

Nie mogła tylko pozwolić na to, za czym Ariane tęskniła z całego serca. Gundi zebrała łopatkę, wiaderko i foremki, wzięła córkę za rękę i ruszyła z nią w drogę powrotną do domu.

– Wyglądasz na wyczerpaną – powiedziała Lore, gdy weszły do willi.
– A teraz musisz jeszcze popracować nad aranżacjami. Dlaczego nie pozwolisz mi pójść z Ariane na plażę? Wiesz, że chętnie bym cię wyręczyła.

A ja chętnie bym ci na to pozwoliła, pomyślała Gundi, ale druga opcja była mniejszym złem. Wciąż na nowo dręczyło ją pytanie: co jest bardziej niebezpieczne, zostawianie Lore na wiele godzin w domu czy posyłanie jej samej z dzieckiem? W końcu postanowiła osobiście zająć się Ariane i podjąć ryzyko z domem. Gundi musiała po prostu uznać, że poczyniła wystarczające kroki, by Lore nie odkryła żadnych śladów i nie powzięła podejrzeń, co wcale nie było łatwe. Gundi od dłuższego czasu była kłębkim nerwów. Ryzyko, że Ariane się wygada, uznała jednak za znacznie większe. Stała się zatem matką, którą stawiano innym za wzór, ponieważ wszystkie swoje występy organizowała tak, by odbywały się,

kiedy jej córka już śpi, a próby przeprowadzała w domu, żeby być wtedy przy małej.

Był tylko jeden człowiek, któremu powierzała na dłuższy czas dziecko: Pop. Kiedy Ariane mogła pójść do niego, Gundi zyskiwała małą przerwę. Co prawda, nie został wtajemniczony w jej niebezpieczną tajemnicę, ale wiedziała, że jeśli ją odgadnie, nie będzie narzucać żadnej decyzji, tylko zaakceptuje jej wybór. Zrobił tak, gdy miała swoje sekretne godziny. Wtedy dobrze podejrzewał, co się dzieje, i tym razem również tak by postąpił.

Pop jednak był stary i słabowity. Przez całą zimę chorował, dokuczały mu serce i płuca, a potem w marcu, gdy dni zrobiły się jaśniejsze, a w ogródku przed pensjonatem wyrzały z ziemi krokusy, zmarła ciotka Karl. Od tamtej pory Gundi miała wrażenie, jakby Pop z każdym krokiem zbliżał się do ziemi. Spuszczał ramiona, chował głowę, a chodząc, coraz bardziej uginał kolana.

– On żyje już tylko dla ciebie – powiedziała Lore.

Ale Pop tak nie uważał.

– Żyję, bo żyję – stwierdził.

Nie chciał się przenieść na stałe do nich. Na ile potrafił, zarządzał małą spuścizną ciotki Karl – domem, gdzie spędzali we troje swoje szczęśliwe niedziele. Gundi cieszyła się, że dysponuje pieniędzmi i pomocą, by go wspierać, zapewniać dobre jedzenie i ciepłą odzież, których wszędzie brakowało. W głębi duszy jednak Pop pozostał równie wolny i niezależny, co zawsze, i chwilami Gundi zazdrościła mu tej wewnętrznej siły.

– Miałaś wieści od Juliusa? – spytała Lore. Elke, dziewczyna, która odbywała u nich obowiązkowy od niedawna rok pracy w gospodarstwie domowym, podawała właśnie Ariane obiad, a Lore i Gundi miały czas na papierosa w ogrodzie zimowym. Elke prawdopodobnie dziękowała codziennie swojemu Stwórcy za to, że trafiła na posadę, gdzie niewiele miała do roboty. Gundi zostawiała ją z Ariane samą wyłącznie wtedy, gdy mała spała albo, tak jak teraz, była w zasięgu słuchu.

– Nie, nie od ostatniego listu – odparła Gundi, zapaliła papierosa i naląła sobie i Lore likieru. Goldwasser. Własny kieliszek napełniła po brzegi. W ostatnim czasie dużo paliła i często piła alkohol, co nie wpływało dobrze na jej głos. Za to na nerwy owszem. Już pierwszy łyk przy-

niósł cień ulgi. – Nadal jest w Piławie ²⁰. O czym mógłby mi stamtąd pisać?

W Piławie, położonej koło Królewca, o dobre cztery godziny podróży od nich, stacjonowała flotylla szkoleniowa U-Bootów, okrętów podwodnych, w której służył Julius. Tak jak Erik przypuszczał, przyjęto go do marynarki z otwartymi ramionami. Na początku wojny liczba marynarzy wzrosła z piętnastu tysięcy do siedemdziesięciu ośmiu tysięcy, a to miał być dopiero początek. Gundi nie wiedziała, dlaczego Julius, który najpierw stacjonował na okręcie szkoleniowym w Kilonii, ostatecznie wybrał okręty podwodne. Sama wyobrażałaby go sobie raczej w typie Latającego Holendra – stojącego przy relingu z rozwianymi blond włosami i z otwartymi oczami patrzącego śmierci w twarz. Nic jej na ten temat nie napisał. Nie mógł przekazywać żadnych szczegółów wojskowych i prawdopodobnie wiedział, że Gundi i tak niewiele by z nich rozumiała. Wymieniali zatem trywialne, uprzejme obowiązkowe liściki.

– Cieszę się, że wciąż jest w Piławie – powiedziała Lore, która również paliła. – Dopóki trwa szkolenie, przynajmniej nie może go spotkać nic złego.

Gundi była tego mniej pewna, podobnie jak paru innych rzeczy. Jeśli Julius nie był już we flotylli szkoleniowej, tylko w czynnej służbie, z pewnością by jej o tym nie poinformował. To było oczywiste. Nawet dla kandydatów na oficerów nie starczało czasu na długie szkolenie, a już na pewno nie w obliczu tak wielu frontów walki, które utworzyły się na tej wojnie.

Holandię, Belgię i Luksemburg zajęto błyskawicznie, a w czerwcu niemieckie oddziały wkroczyły do Paryża. Wcześniej Francja i Wielka Brytania być może liczyły na to, że uda im się nie przystąpić do wojny, którą co prawda wypowiedziały, ale której najwyraźniej nie chciały prowadzić. Wypowiedzenie wojny nastąpiło w proteście na napaść na Polskę – żadna z obu potęg nie wysłała jednak oddziałów, by wspomóc w walce kraj zrównany z ziemią w ciągu zaledwie pięciu tygodni. Zamiast tego z drugiej strony, od wschodu, wkroczył Stalin i wykroił sobie swój kawałek tortu. Francuzi otrzymali odroczenie, które szybko minęło. Od tego lata zaś bombardowano Anglię, a niemieckie U-Booty atakowały brytyjskie statki handlowe.

Polska, kraj, w którym zaczęła się wojna, wydawała się już zapomniana. Przestała istnieć. Warszawa została zajęta, ziemie podzielone między niemiecką Rzeszę a Związek Radziecki. Ludzi, których nie

aresztowano ani nie zabito, przesyłano z miejsca na miejsce niczym niechciany towar. Z Gdyni, gdzie dumni Polacy wybudowali najnowocześniejszy ze wszystkich bałtyckich portów, jesienią 1939 roku rozpoczęto akcję przesiedleniową mieszkańców. Od tej pory Gdynia nazywała się Gotenhafen, a w jej domach, szkołach, sklepach, kościołach i na ulicach zagościli Niemcy – głównie przesiedleńcy z krajów bałtyckich, zajętych przez Sowieców.

Europa to jak gra w remika, w której na nowo przetasowano karty. A Polacy, z których mało kto wiedział, gdzie powinien udać się po stracie ojczyzny, nie posiadali w tej rozgrywce żadnych atutów. Ich kraj nie miał już nazwy, jego część określano jako Generalne Gubernatorstwo. Gdy Polak okazywał swój dokument tożsamości – swoją kennkartę – w polu „kraj” było puste miejsce.

Stali się nieistniejącym narodem. Gundi nie słyszała już, by Pop mówił, że jeszcze Polska nie zginęła.

Hitler był niczym dziecko, które w parę minut psuje swoją zabawkę, a potem zaczyna się nudzić. Gromada przeciwników przestała zapewniać mu rozrywkę, posłał więc oddziały do Danii i Norwegii i również te kraje podbił szturmem. Czasami Gundi dziwiła się: ilu też ludzi jest w Niemczech, że może posyłać ich wszędzie, by zajmowali kolejne kraje i miasta? Musiał przecież potrzebować każdego człowieka i z pewnością nie mógł sobie pozwolić, by jakiś Julius Scharneck, który gładko rozpoczął karierę oficerską, pozostawał przez rok w jednostce szkoleniowej. Starła się o tym nie myśleć. Już dość innych spraw, rzeczywistych i namacalnych, odbierało jej sen, nie potrzebowała dodatkowo oddawać się przygnębiającym spekulacjom.

– Gundi?

Przestraszyła się. Najwyraźniej Lore już od jakiegoś czasu mówiła do niej, ale słowa przelatowały Gundi koło uszu.

– Przepraszam – szepnęła. – Chyba zasnęłam na siedząco.

– Nie musisz przeproszać – odparła Lore. – Martwię się o ciebie. Czy nie powinniśmy zrezygnować z tego występu na molo w przyszłym tygodniu?

– Zwariowałaś? Jak to sobie wyobrażasz? Organizatorem jest Kasino-Hotel, a Erik wynegocjował dla nas niesamowicie wysoką gażę.

– Może powinniśmy mniej wydawać – wymruczała Lore. – Nie mam zresztą pojęcia, na co idą wszystkie te pieniądze. Albo za bardzo sobie dogadzamy, albo Trude nas oszukuje.

Trude była kucharką, z której teraz, gdy nie było już ciotki Karl, nie mogli zrezygnować. W ciele Gundi napiął się każdy mięsień. Wkraczały na cienki lód, niebezpieczny teren.

– Muszę myśleć o Ariane – odparła sztucznym tonem. – Nie oczekujesz chyba, że będę oszczędzać na jedzeniu dla dziecka. Jeśli na kartkach nie ma rzeczy, które Ariane lubi i są dobre dla jej zdrowia, pozwalam sobie zaopatrzyć się gdzie indziej. Nawet jeśli ceny są słone.

Jej kłamstwo było śmieszne, tak samo jak napuszony ton. Lore, Erik i ona sama otrzymywali kartki żywieniowe dla robotników wykonujących najcięższe prace, do tego wszystkie przydziały specjalne, a na dodatek po niemal każdym występie Forster wysyłał im kosze prezentowe. Wyszukane owoce, słodczyce, wykwintne likiery. Wiele można powiedzieć o domu przy Ernststraße, ale na pewno nie to, że jego lokatorzy żyli w niedostatku.

– Wiesz, jakie to dla mnie piękne, że tak bardzo troszczysz się o Ariane? – spytała Lore, która na szczęście dla Gundi była najufniejszą osobą na świecie. – Juliusa na pewno bardzo by ucieszyło, gdyby wiedział, że z taką miłością dbasz o jego dziecko, i jeśli mi pozwolisz, napiszę mu o tym. Bo i mnie to cieszy. Zawsze pragnęłam, żeby jedna z nas została dobrą matką. Choć zastanawiałam się również, czy to możliwe, skoro żadna z nas nie miała troskliwej matki, od której mogłaby się tego nauczyć. Ale ty teraz radzisz sobie wspaniale, Gundi.

W duchu Gundi wiła się ze wstydu. Na szczęście nie musiała wymyślać żadnej odpowiedzi, ponieważ Lore ciągnęła:

– Zaczęłam temat pieniędzy tylko dlatego, że boli mnie, że tak się męczysz. Przy aranżacjach na występ na molo też nie mogę ci pomóc. A w dodatku chciałam cię spytać, czy przeszkadzałoby ci, gdybym dziś wieczorem wyszła.

– Dziś wieczorem? – spytała Gundi niewinnie, czując iskierkę nadziei. – Nie, dlaczego? I tak będę do późna zajęta aranżacjami. Wyjdź, zabaw się, zbyt rzadko to robisz. Chcesz wziąć auto? A może mam cię później odebrać?

Maybach Zeppelin Juliusa był jednym z nielicznych prywatnych samochodów tej wielkości, których nie zarekwirovano do celów wojennych. Samą Gundi zaskoczyło, że tak bardzo spodobało się jej prowadzenie pojazdu. Lubiła wolność, którą jej dawał, teraz, gdy odwykła od czucia się wolną. Rzadko, niezwykle rzadko pozwalała sobie na wspomnienie o „Gustloffie” – w dni, gdy mogła opuścić dach i przez chwilę nie myśleć o niczym, tylko o wietrze na twarzy, pędzie, przestrzeni i szumie w uszach. Również dla ich „Gustloffia” wolność się skończyła. Pływał między Gdańskiem, Hamburgiem a Oslo jako statek szpitalny.

– To miło z twojej strony – odparła Lore. – Ale spotkam się tylko na godzinkę z Helmą. Proszę, wierz mi, że tego nie planowałam. Jesteście moją rodziną i ostatnim, czego chcę, to ściągnąć na was niebezpieczeństwo. Powiedziałam to również Helmie, ale tak bardzo mi jej żal. Nie ma nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić, i obiecała, że nie prosi o nic więcej jak tylko o krótką rozmowę.

– Czego potrzebuje? Pieniędzy? – spytała Gundi i poczuła się podle. – Jeśli możemy pomóc, oczywiście jej pomożemy.

Nie mogli pomóc. Helma od miesiący chodziła od Annasza do Kajfasha, by dowiedzieć się, gdzie jest Natan. W więzieniu Schießstange siedział co najwyżej do wybuchu wojny, ale teraz wszyscy twierdzili, że o nim nie słyszeli. Helma porzuciła już wszelką ostrożność, sama została dwukrotnie aresztowana i ściągnęła nawet na siebie kontrolę sprawdzającą pochodzenie dzieci.

Była niczym opętana. Jej szaleńcze próby wzbudzały współczucie, lecz Gundi raz przyłapała się na szczypcie zazdrości. Ona tak go kocha, myślała. Jest dla niej rajem, dla niego oddałaby wszystko. Czyż miłość, która nie lęka się niczego, nie daje niewiarygodnego spełnienia?

Należało jednak wziąć pod uwagę małe dzieci, które w tym wszystkim nie mogły decydować same. Zosia i Róża pracowały wtedy jeszcze w willi i za pośrednictwem znajomego załatwiły dla dziewczynki Gai i chłopca Michela miejsce w transporcie żydowskich dzieci do Anglii. Tam, gdzie bezpiecznie. O malców mieli zadbać rodzice zastępczy, dopóki ich własni nie będą znowu mogli tego zrobić.

Na dworcu w Gdańsku Gundi miała wrażenie, że Helmie pęka nie tylko serce, ale całe ciało. Trzy miesiące później wybuchła wojna. Tym, co wciąż utrzymywało Helmę przy życiu, były poszukiwanie Natana i nadzieja, że ucieknie razem z nim i odzyska dzieci.

– Podejrzewa, że jest w Stutthofie – opowiadała Lore. – Wszyscy, których aresztowano w Gdańsku w pierwszych dniach wojny – nauczyciele, adwokaci, lekarze, praktycznie cała gdańska inteligencja – trafili właśnie tam.

– Jesteś co najmniej trzecią osobą, która wymienia tę nazwę – stwierdziła Gundi. – Stutthof – co to w ogóle jest?

– Rodzaj wielkiego więzienia – wyjaśniła Lore. – Więźniów wykorzystują tam zapewne do rozbudowy całego obiektu. Obiecałam Helmie, że spróbuję się czegoś dowiedzieć. A tobie obiecuję, że będę ostrożna.

– Wiem przecież – zapewniła ją Gundi. Naprawdę wiedziała – i to była część problemu.

Ona sama bowiem wcale nie była ostrożna. Ryzykowała życie ich wszystkich – również życie swojego dziecka i Popa. I dlaczego? Sama nie wiedziała. Wtedy, w pierwszą noc wojny, gdy Lore nagle stanęła przed drzwiami, musiała podjąć decyzję i podjęła ją bez zastanowienia, tak jakby możliwe było tylko jedno wyjście.

– Obudź Zosię i Różę, Gundi. Muszą stąd uciekać. A my musimy zabrać ich ojca z pensjonatu.

– Ale dokąd mają się udać?

– Nie wiem! – krzyknęła Lore, nie panując nad sobą. – Ich brat nie żyje, wszędzie aresztują Polaków i wywożą ich z miasta albo po prostu zabijają na ulicy. Załatwią też każdego, kto ich ukrywa! Ach, Gundi, powinniśmy byli wcześniej coś zrobić, nie powinniśmy byli głosować na tych ludzi, a teraz jest już za późno.

– Głosowałaś na nich? – spytała Gundi.

Lore nie odpowiedziała, a Gundi wymruczała bardziej do samej siebie niż do siostry:

– Byłam zbyt leniwa, by w ogóle pójść na wybory.

– Ja też – odparła Lore. – Nie znam się na polityce i myślałam, że w takim razie przy kim miałabym niby postawić krzyżyk? A teraz stoimy tu i nie możemy pomóc Zosi i Róży.

Chwilę trwało, nim Gundi zdołała ocenić ich położenie. Obie Polki mieszkały bez zezwolenia w ich domu. Julius okłamał w tej sprawie Forstera. Jąkając się i bełkocząc, Lore opowiedziała jej, co stało się z Poczta Polską. Obie znały Jeszka, który nigdy nie ukrywał swojej nienawiści do

Niemców, więc bez wątpienia znajdował się na liście osób niepożądanych i został zabity w trakcie walk o budynek poczty. Naziści byli skrupulatni. Ludzie tacy jak ów Pfitzner zapisywali wszystko. Sprawdzą, że krewni Jeszka nie są nigdzie zameldowani, i będą ich szukać, a gdy znajdą, zażądają od Gundi wyjaśnień.

Lore miała rację. Nie mogli ich znaleźć. Nie w jej domu.

– Zajmę się tym – powiedziała do Lore. – Połóż się spać, a wcześniej rano wróc do matki, w przeciwnym razie wezwie jeszcze policję. Sprawą z Zosią i Różą zajmę się sama.

Po kilku dniach, gdy miasto zaczęło stopniowo pojmować, że wojna nie odejdzie, Gundi powiedziała Lore, że odesłała Zosię i Różę do pobliskiej wioski, gdzie miały krewnych.

Lore odetchnęła.

– Bogu dzięki. Najwyraźniej wszędzie mają jakichś krewnych.

Róża i Zosia jednak nie miały już nigdzie krewnych. Ich brata zastrzelono, a ojciec dzień wcześniej wyszedł z pensjonatu ciotki Karl, by dowiedzieć się, co się dzieje i czy jego dzieci są bezpieczne. Kuśtykał z okulałą nogą po ulicach i zmarł, nikt nie wiedział jak. Nie było również wiadomo, czy ciotka, która meczała jak koza, nadal żyje. Chciała wyjechać do Warszawy, a Warszawa znajdowała się pod ostrzałem.

Dwie kobiety były zdane na siebie.

O świcie Lore ruszyła pieszo do Gdańska. Niedługo potem zjawili się dwaj mężczyźni w cywilu, którzy podali się za policjantów z Geheime Staatspolizei, Tajnej Policji Państwowej. Szukali informacji o miejscu pobytu sióstr Pajewskich, które podejrzewano o przynależność do wrogiej Niemcom organizacji ruchu oporu. Jeszcze rok wcześniej Gundi zapewne zawołałaby obie kobiety do drzwi, święcie przekonana, że kto nie zrobił nic złego, ten nie może zostać ukarany. Po tym jednak, co stało się z Natanem i co opowiedziała Lore o wydarzeniach w Gdańsku, było to wykluczone. Powiedziała zatem, że od miesięcy nie widziała obu kobiet. Zagroziła, że poskarży się gauleiterowi Forsterowi, pozwoliła mężczyznom przeszukać dom i odgrywała przy tym urażoną ulubienicę tłumów, choć jej serce było jak oszalałe.

Mężczyźni przeszukali dom aż po strych, ale nie zajrzeli tam, gdzie przebywały Zosia i Róża. Za piwniczką na wino, osłonięte regałami, znajdowało się chłodne, ciemne pomieszczenie, w którym za czasów

Seesenów przechowywano gomółki sera. Cuchnęło. Było tam ciasno jak w trumnie. Ale uratowało obie kobiety przed wysiedleniem.

Tak wówczas myślała. Sądziła, że ukryje Zosię i Różę na kilka dni w spiżarni na sery, dopóki nie znajdzie się jakieś rozwiązanie lub sytuacja się nie uspokoi. Ale rozwiązanie nie nadeszło, a zamiast uspokojenia sytuacji pojawiała się coraz więcej pogłosek o rzeszach Polaków, które zabrano do lasów wokół miejscowości Piaśnica ²¹ i których nigdy więcej nie widziano. Forster mówił o tym otwarciu podczas przyjęcia w Kasino-Hotelu, chciał, by przed upływem roku jego okręg, „jego wspaniałe niemieckie miasto”, został oczyszczony z Żydów i Polaków. Musiał być blisko swojego celu. Od Staśka Kurowskiego, robiącego najlepsze pierogi we Wrzeszczu, po ślepego Ludwika – na ulicach Gdańska i Sopotu nie spotykało się już Polaków.

Z gdańskiej Polonii, bez której obraz miasta był niepełny, zostały najwyraźniej tylko dwie osoby. Jak Gundi mogłaby je obie wydać?

Sprowadziła stolarza i kazała wzmocnić tylne ścianki regałów na wino.

– Lubię sobie popić – żartowała z mężczyzną. – Deski muszą swoje wytrzymać. – Po zakończeniu prac budowlanych do spiżarni na sery prowadziło już tylko wąskie, przesuwane na bok wejście, którego nie mógł znaleźć nikt, kto o nim nie wiedział.

Prawie nikt.

Znalazła je Ariane.

43

To dziecko, które nigdy nie szukało przygód i obawiało się ciemności, a przede wszystkim obcych, pewnego dnia zabłąkało się tam na dół, sprawnie otworzyło wejście, choć wymagało to siły, i z ogromną radością zakrzyknęło:

– Moja Róża, moja kochana Róża! – Róża przytuliła dziewczynkę i zapłakała bezgłośnie.

Od tamtej pory życie Gundi stało się jeszcze trudniejsze. Na plaży Ariane pytała, czemu nie może budować z piasku z Różą, a w domu wykorzystywała każdą okazję, by zakraść się do piwniczki. Gundi pró-

bowała na wszelkie sposoby jej tłumaczyć, że kryjówka Polek musi pozostać tajemnicą, ale bez skutku. Czyż dzieci nie uwielbiały tajemnic? Najwyraźniej Ariane miała je za nic i wykazywała taki talent do udawania niepojętej, że Gundi czasami zastanawiała się, czy rzeczywiście taka nie jest.

Gdy były w domu same, Gundi kilka razy pozwoliła jej towarzyszyć sobie na dół. Robiła to nie tylko ze względu na Ariane, ale także na Polki. Życie w spiżarni na sery było koszmarne. Aby w miarę możliwości uprzyjemnić je kobietom, Gundi zataczała tam najróżniejsze rzeczy – materace, koce, lampę, poduszki wypełnione lawendą, która miała złagodzić ostry zapach. Zaopatrywała Polki w wodę, jedzenie kupowane na czarnym rynku, świeżą pościel, książki, karty do gry, przybory do szycia i małą cytrę, by Zosia miała zajęcie.

Lecz pomimo lampy na dole panowała ciemność. Była to dziura bez okien, gdzie nikt nie zajmował się robótkami ręcznymi, nie grał piosenek ani nie oddawał się lekturze. A już na pewno nie wtedy, gdy kobiety nie wiedziały, co się dzieje nad ich głową – oprócz tego, że ich naród pognano na śmierć, że został zniszczony i że już go nie będzie, gdy one same powrócą do świata.

To wszystko było niewyobrażalne. Poza tym zdarzały się dni, gdy Erik chciał godzinami ćwiczyć aranżacje, Lore była chora lub przychodzili goście, więc Gundi nie miała okazji odwiedzić sióstr. W takie dni towarzyszyła jej świadomość, że one od rana do wieczora nie widziały nikogo na oczy, że nie mają wody, by się umyć, że nocnik nie został opróżniony i że nikt nie przyniósł im jedzenia.

Gdy wyjeżdżali na dwa lub trzy dni, ponieważ mieli występ za miastem, Gundi zabierała ze sobą wszystkich, Ariane, kucharkę i służącą Elke, tak aby Róża i Zosia miały dom dla siebie i mogły poruszać się w nim jak ludzie. Gdy wracała do domu, znajdowała ich ślady w każdym pomieszczeniu, jakby siostry bez przerwy tańczyły po domu od piwnicy po strych.

Ale takie dni zdarzały się rzadko. Trwała wojna, pociągi były potrzebne do transportu żołnierzy, a podróżowanie stało się niebezpiecznym przedsięwzięciem. Raz po raz zdarzało się, że pociąg się wykolejał lub w jakimś wagonie eksplodował ładunek wybuchowy. W lasach Pomerelii ukrywali się partyzanci, czym gorączkowało się pół Sopotu.

– Widać, że Hitler ma rację – pomstowała jakaś klientka w kolejce do kiosku przy kąpielisku dla rodzin. – Słowianin tak jak Żyd jest inny niż my, nie ma w nim nic prawego, potrafi tylko tchórzliwie walczyć z ukrycia.

– I nie obchodzi go, że będzie mieć na sumieniu niewinnych – przytaknął jej sprzedawca lodów Holle. – Bo ta tępa istota nie jest zdolna do współczucia.

Na lody czekał również żołnierz Wehrmachtu, najwyraźniej na urlopie.

– Współczucie stanowi część niemieckiej duszy – powiedział młodym, świeżym głosem, niepasującym do poważnego tonu. – To współczucie wobec tych kreatur sprawia, że tak trudno nam w podobnych wypadkach spełniać nasz obowiązek i brać odwet.

Gundi nie wiedziała zbyt wiele na temat akcji odwetowych. Erik opowiadał, że w wioskach, w których okolicy działali polscy partyzanci, wyciągano przypadkowych ludzi z domów i masowo rozstrzeliwano – za każdego zabitego Niemca dziesięciu Polaków.

Próbowała odegnać od siebie te obrazy. Chciała sprawiać wrażenie wesołej i pewnej siebie, gdy zejdzie do Zosi i Róży, opowiedzieć im rzeczy dodające odwagi. Trudno było wymyślić coś takiego, a w dodatku zrobiło się już późno, bo Lore długo nie wychodziła. Na szczęście Erik zadzwonił i poinformował, że wróci dopiero rano, bo tego dnia nie jechał już żaden pociąg do Sopotu. Za Oliwą znowu doszło do wybuchu, w wagonie były z matki z dziećmi odesłane na czas działań wojennych na prowincję.

Gundi napełniła koszyk pierwszymi, jeszcze nieco twardymi, ale już ciemnoniebieskimi węgierkami ze swojego ogrodu. Smak lata. Kiedyś przyniosła Róży i Zosi w wiaderku Ariane wodę z Bałtyku, trochę piasku i garść muszelek.

– Żebyście mogły znowu poczuć morze – powiedziała.

Róża wytrąciła jej wiaderko z rąk tak gwałtownie, że woda rozlała się po materacu. Przez wiele dni pachniał potem stęchlizną, ponieważ pomieszczenia nie dało się przewietrzyć.

– Co mamy z tym począć? – naskoczyła na Gundi. – Na śmierć zatęsknić się za światem?

– Nie miała tego na myśli, Gundulo! – zawołała Zosia, obejmując ją ramieniem. – Nie chciała być niewdzięczna.

– Owszem, chciałam – stwierdziła Róża, ale nie brzmiała już gniewnie, tylko smutno, i usiadła na mokrym materacu. – Zabieracie nam życie i w zamian dajecie wiadra. Nie boicie się wcale, co zrobi z wami świat, gdy dowie się, co wy zrobiliście z nami?

Trudno było z nią przebywać. Czasami nie dało się tego wytrzymać. Mimo to Gundi niekiedy rozumiała Różę lepiej niż Zosię, która zawsze była miła. Ze śliwek ucieszyła się niczym dziecko i wyssała nawet pestki, aż lśniły.

Nigdy nie siedziały razem długo, bo przy najlepszych chęciach nie miały tematów, na które mogłyby swobodnie rozmawiać. Gdy jednak Gundi wychodziła zbyt szybko, sumienie gotowało jej piekło. A zatem opowiadała co nieco o Ariane, o pogodzie, o produktach, których kucharka nie zdołała dostać na targu.

– Jajka zaczęli teraz racjonować. Trude proponowała, żebyśmy kupili kury, ale Erik uważa, że to się nie opłaci, bo i tak wszystko zarekwirują.

– Czemu nie umieścisz swoich kur z nami? – spytała Róża. – Tu nikt ich nie znajdzie i nie zarekwiruje. Tak jak nas nikt nie może zarekwirować. – Jej oczy zwięzły się w szparki, wąski blask w ciemności. Popukała w posadzkę pomiędzy materacami. – Jest jeszcze miejsce. Może sprowadź jeszcze kozę, nie będziesz musiała martwić się o mleko.

– Nie o to jej chodzi – odezwała się ponownie Zosia. – Po prostu się martwi. Dzień i noc. Wszyscy nie żyją, wszyscy nasi najbliżsi. Jeszek był mądrym chłopakiem, chciał zostać inżynierem, a gdy przychodził z wizytą, podnosił nas i obracał niczym piórka. Teraz nie wiemy nawet, gdzie jest pochowany, a Różyczka modli się i modli, żeby Henryk jeszcze żył.

Chciała pogłaskać siostrę, ale ta ją odepchnęła. Jednak nie zaprzeczyła. Jej oczy zrobiły się szkliste od łez. Choć Gundi nie znosiła Róży, współczuła jej.

– Rozchodźcie sobie nogi w piwnicy – powiedziała. – Dam wam znać, gdy usłyszę, że Lore wraca. Otwórzcie butelkę wina. Dobrego. Żałuję, że nie mogę zrobić więcej.

– Dobrej nocy, Gundulo. – Zosia objęła ją i zawiązała jej na włosach tasiemkę, którą sama obrębiła. Była bohaterką. Przyjmowała wszystko

i pozostawała uśmiechniętą sobą. Gdy Gundi śpiewała *Świt na morzu*, a ludzie wiwatowali, gdy uznawali piosenkę za „najgłębszy wyraz niemieckiej duszy Gdańska”, jak zadeklarował sam Forster, czasami pragnęła zdobyć się na odwagę, by zakrzyknąć: „Napisała ją Polka! Bohaterska mała Polka, która robi różowe kapelusiki i siedzi w dziurze śmierdzącej serem”.

Zmęczona i z ciężkim sercem wróciła na górę i usiadła w ogrodzie zimowym, by przynajmniej spróbować zająć się aranżacjami do ich występu.

To było ulubione miejsce Gundi w całym domu. Jej palmiarnia, jej mała Trypolitania, szklana kapsuła przechowująca zapach szczęśliwych dni. Stołowa lampa z zielonym porcelanowym kloszem rzucała przytłumione światło. W kupionej w Lizbonie skrzyni z drewna akacjowego Gundi przechowywała zastawę ze stoczni Klawittera, obok stała niebieska torba, a u góry zdjęcie ciotki Karl. Wśród liści palmy wisiał lampion z nocy włoskiej na „Gustloffie”, a w donicy zakopany był srebrny pierścionek, który kupili na Maderze. Ona i mężczyzna, którego imienia nie odważała się wymówić nawet w myślach, ponieważ wbijało cierń w jej serce.

Trzymała tu również akordeon. Harmonię, którą ciotka Karl kupiła na raty u Maksa Böhma na Röpergasse. Podczas występów od dawna używała już innego instrumentu, wykonanego w Siegburgu modelu Cantulia, który grał niemalże sam, ale gdy miała chwilę czasu, by być sama ze swoją muzyką, brała starą harmonię i zanurzając się w dźwiękach, na powrót czuła się bezpieczna.

Za przeszkloną ścianą ciągnął się ogród. Gdy było cicho, tak jak tej pochmurnej nocy, dało się usłyszeć morze, jego dziki oddech, który nigdy nie ustawał. To wszystko, co się teraz dzieje, nie może zniszczyć morza, próbowała wmawiać sobie Gundi, ale to była jedynie naiwna gadanina dla podlotków: w wodzie roiło się od okrętów podwodnych, które tylko czyhały, by odpalić torpedy. Przez morze sunęły flotylle, które toczyły walki, dopóki nie pochłoneły ich fale, a wysoko nad nimi przelatowały bombowce, by zrzucić pociski na śpiące miasta. Ale później, myślała Gundi, gdy już się nawzajem zniszczymy, morze połknie resztki i znowu będzie morzem. Nie chciała tak myśleć. Była Gundi Słoneczkiem, nieco frywolnym, nieszczerólnie bystrym, ale seksownym i zadowolonym z życia. Takiej potrzebowali jej ludzie.

Jakiś odgłos przedarł się przez szum morza i przestraszył ją. Trzask, pęknięcie małych gałązek. Mogło wywoływać je zwierzę skradające się w ciemności w poszukiwaniu zdobyczy, ale w takim razie musiałoby być ciężkie, stąpać mocno i zataczać się na chwiejnych łapach. A zatem człowiek. Pijak, który przybłąkał się z jednego z barów na promenadzie na cichą willową uliczkę. Z tyłu, od strony morza, płot nie był tak wysoki jak od frontu i łatwo dał się pokonać.

Gundi wstała i zdjęła z gzymsu nad kominkiem pogrzebacz. Nigdy nie była bojaźliwa, ale odkąd sama ponosiła odpowiedzialność za dwie Polki, przy najmniejszej okazji zaczynało walić jej serce. Słysząc było jakby odgłos kroków. Ktoś wspinał się po kilku stopniach prowadzących do drzwi ogrodu zimowego. Gundi zamarła. W każdej chwili szyba mogła pęknąć z brzękiem, a przed nią stanąć intruz. Zamiast brzęku rozległo się jednak uderzenie, od którego podskoczyła donica z palmą. Mężczyzna musiał upaść na podeście tuż przed drzwiami.

Przez chwilę było tak cicho, że znowu słyszała morze. Potem wydało się jej, że dociera do niej cichutki dźwięk – zabłąkany kot, który po całonocnym polowaniu stracił głos?

– Gundi.

Musiała się mylić. Jej ciało się rozluźniło. Krok po kroku ruszyła przez pomieszczenie. Serce waliło jej jak bęben, który chce rozsadzić klatkę piersiową, ale nie miała wyboru, musiała otworzyć drzwi.

Znowu usłyszała cichy głos, który jednak umilkł, nim zdołał wypowiedzieć jej imię. Odsunęła zasuwę, nacisnęła klamkę i popchnęła drzwi przed sobą niczym tarczę.

Mężczyzna był duży, leżał skulony i wypełniał sobą podest schodów. Gundi opadła na kolana, chwyciła obiema dłońmi jego głowę i poczuła krew.

– O mój Boże, wielki Boże, proszę, nie umieraj!

Nie umarł. Jęknął i splunął krwią na jej kolana. To był Tadek. Musiała zabrać go do domu.

CZĘŚĆ SIÓDMA

Wanda

Gdańsk, Sopot

Głęboka zima 1964

Dębowe drzwi, kto was wyważył z zawiasów?
Moja łagodna matka nie może przyjść.

Paul Celan, *Osika*

Luty

– Moja ciotka nie jest w pełni poczytalna – oznajmiła kobieta ostrym, przesadnie poprawnym niemieckim. – Jest stara, źle słyszy i jeszcze gorzej widzi, a na dodatek oszalała z bólu. Takich ludzi jak ona może mieć pani na pęczki. Powinniśmy uznać to za chorobę narodową: szaleństwo z bólu. Niech ją pani zostawi w spokoju. Powiedziała, gdzie się znajduje dom, który pół życia temu należał do pani rodziny, i to musi wystarczyć. Z zewnątrz to imponujący budynek, ale w środku jest zupełnie zaniedbany, a renowacja kosztowałaby więcej, niż byłby ostatecznie wart. W przeciwnym wypadku władze miasta nie pozwoliłyby mu niszczyć. Ale nawet gdyby było inaczej, nie jest już własnością pani rodziny i nie odzyska go pani. Należy do nas, Polaków. Tak jak cała historia. Zostawiliście nam tu śmierć i z nią żyjemy. W ramach wyrównania robimy z tym, co chcemy.

Wanda przypomniała sobie jeden z wierszy Celana, który zapisał jej Andras ostatniego dnia. *Fuga śmierci*. Ostatniego dnia, zanim nie było już więcej Andrasa, tylko wyłącznie Matti.

Śmierć jest mistrzem z Niemiec niebieskie ma oko ²²

Oczy kobiety również były niebieskie, ale była Polką, urodzoną w Warszawie.

– W Warszawie nie ma ani jednego domu, którego nie musieliśmy odbudować. Warszawa właściwie nie jest już miastem, lecz tylko ekspozycją muzealną: europejskie wielkie miasto z wczesnego dwudziestego wieku. Wymarłe około tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku, odbudowa przeprowadzona bez środków z niemieckich reparacji wojennych.

– Dlaczego mówi pani po niemiecku? W dodatku tak dobrze?

– Obserwacja wroga. – Kobieta skrzywiła wąskie usta. – Jedyne sposobem, by poradzić sobie ze strachem, to zbadać jego przyczynę. Jestem historykiem.

Weszła do pasmanterii, gdy Wanda ponownie odwiedziła właścicielkę w ciągu dnia. Ogromnie trudno było wydobyć coś ze starszej pani, ponieważ niemal zapomniała już języka niemieckiego, który musiała

kiedyś znać. Przypominała sobie okruchy, po czym zaraz znowu je traciła. W dodatku naprawdę źle widziała. Wskazywała na fotografię przedstawiającą rodzinę Wandy, ale myliła twarze. Jedynie Matti, ledwo rozpoznawalnej Matti nie myliła nigdy, tylko raz po raz głaskała palcem jej podobiznę, a łzy płynęły jej po twarzy. Nie usłyszała nieśmiałego pytania Wandy, czy może w czymś pomóc.

Rozpoznawała też pomięty już plan miasta należący do Wandy. Kciukiem pokazała, gdzie stoi dom.

– Dom pani Lehwald? Pani Scharneck?

– Gundula – powiedziała stara kobieta. – Gundula Słoneczko – dodała po polsku.

– Co to znaczy?

Kobieta nie zrozumiała, wyrzuciła potok polskich słów i ponownie zalała się łzami.

– *Sonnenschein* – rozległ się kobiecy głos przy dźwięku dzwonka. Wanda odwróciła się i zobaczyła stojącą w drzwiach kobietę mniej więcej w wieku Matti. Była podobna do staruszki i miała na głowie różową wełnianą czapkę, na której roztapiał się śnieg. – Słoneczko znaczy *Sonnenschein*. A teraz niech pani przestanie. Sprawia jej pani ból.

Stara kobieta była jej ciotką. Po wojnie, po wygnaniu niemieckich właścicieli, ustalono, że mały sklepik do 1937 roku należał do polskiej rodziny i powinien zostać jej oddany. Irena Bojarska – ciotka – była ostatnią żyjącą krewną.

– Nie licząc nas – dodała kobieta. – Mnie i mojego ojca, który już zmarł z powodu następstw wojny.

– Następstw wojny?

– Robotnik przymusowy w podoboziu Bobrek koło Auschwitz. Chodzi tu pani i zadaje pytania, więc na pewno wie pani, co to oznacza. Irena nie jest moją prawdziwą ciotką, ojciec był tylko jej dalekim kuzynem. Ale gdy nic nam nie zostało, trzymamy się prawie niczego. Zrezygnowałam z posady na Uniwersytecie Warszawskim, by przeprowadzić się do tego nadmorskiego cmentarza, ponieważ Irena koniecznie chciała przejąć ten przeklęty sklepik. Mówię to tylko po to, żeby wiedziała pani, co jestem gotowa dla niej zrobić. Niech pani lepiej nie zadaje jej więcej bólu.

Wanda błagała:

– Proszę mnie nie odsyłać, pańska ciotka jest jedyną osobą, która może mi pomóc – ale kobieta dosłownie wyrzuciła ją ze sklepu. Na zewnątrz padał śnieg, a nad łąką przy skraju drogi ciągnęła się mgła. Sama, znowu sama, Wanda zaczęła szukać domu w plątaninie uliczek. Gdy wreszcie stanęła przed nim, była przekonana, że musi się mylić. Był niemal dwukrotnie większy od domu van Bontjesów, miał wieżyczki, mnóstwo balkonów – był to dom, w którym nie mógł mieszkać ktoś, kto miał cokolwiek wspólnego z nią samą. A już na pewno nie Matti. Skromna Matti, która nosiła wykrochmalone fartuchy i smarowała chleb cienką warstwą margaryny.

Albo ciotka Lore, która nigdy niczego nie wyrzucała.

Albo Ariane. Wanda dopiero teraz uświadomiła sobie, że Ariane, jej siostra, zbyt nieśmiała, by wyjść poza lekturę romansów, również musiała tu mieszkać. W tym wszystkim krył się jakiś błąd. Wiele błędów. A jedyną osobą, która mogła wyprowadzić Wandę z błędu, była starsza kobieta, z którą zakazano jej rozmawiać.

Pomimo wszystkich tych błędów było jednak pewne, że stoi przed właściwym domem. Nie dlatego, że miała halucynacje czy wmawiała sobie, że go pamięta, tylko dlatego, że z otulonego mgłą ogrodu dobiegał ją jasny i wyraźny głos Matti: „To było w Sopocie, w naszym słynnym nadbałtyckim kurorcie z ciągnącym się w nieskończoność mołem i kasy-nem, jaskinią hazardu, z której my, gdańszczanie, byliśmy tacy dumni, we wspaniałym domu przy Ernststraße ze wszystkimi tymi wieżyczkami i wykuszami, i przeszkloną werandą. W pokoju panował mrok, bo zasłoniliśmy okno, ale morze było tylko o rzut beretem i słyhać je było przez szyby i ściany, i koce”.

Wanda nie zauważyła, że chwyciła pręty kutej żelaznej bramy. Na werandzie z brudnymi szybami, z których jedna była pęknięta, otworzyły się drzwi. Na zewnątrz wywiało pożółkłą koronkową firanę niczym welon zjawy. Jakiś mężczyzna spytał Wandę o coś po polsku. Wanda, którą głos Matti nadal przenikał falami aż do szpiku kości, z trudem utrzymywała się na nogach.

Mężczyzna zorientował się, że go nie rozumie, i powtórzył po angielsku:

– Czego pani sobie życzy?

– Ten dom... – wyjąkała Wanda pospiesznie, by mężczyzna nie odszedł. – Czy mogłabym go zwiedzić?

Mężczyzna zastanowił się. Był młody, niewiele starszy od niej.

– Dlaczego by nie? Ma tu być punkt informacji turystycznej. Latem tego roku. Albo przyszłego. Albo nigdy.

Zszedł po schodach, trzęsąc się w cienkim swetrze, i otworzył bramę.

– Filip Skowski – powiedział i bez uśmiechu podał jej rękę. – Jestem kuratorem. Kuratorem niczego. Jeśli o mnie chodzi, może się pani rozejrzeć, ale proszę o nic nie pytać, bo i tak pani nie pomogę.

To był dom duchów. Uprzątnięty ze wszystkiego. Przed ślepyimi oknami zwisały tylko strzępy zniszczonych zasłon, a na wyblakłych tapetach odznaczały się zarysy mebli. Na werandzie stało biurko pokryte tanim laminatem i przenośny grzejnik, chodzący na najwyższych obrotach. Kurator Skowski siedział tam otulony kocem. Na biurku nie leżały żadne materiały do pracy, tylko broszura z krzyżówkami, w której natychmiast ponownie się zagłębił, najwyraźniej zdecydowany traktować teraz Wandę tak, jakby nie istniała.

Niedługo sama uznam, że nie istnieję, pomyślała Wanda. Ale w tym domu istniała. Nie rozumiała dlaczego, ale w pustych pomieszczeniach, w których panował taki ziąb, że spodziewała się zobaczyć sopte lodu zwisające ze stiukowych sufitów, poczuła kawałek siebie. Zrobiło się jej ciężko na sercu.

To jest dom, w którym przyszłam na świat.

W tym domu Matti podarowała jej życie, ale Matti już nie było. Wanda nigdy nie miała stanąć tu z Matti. Manne trzymał w swojej nieuporządkowanej piwnicy stary kosz wyłożony materiałem z nadrukiem w misie. Materiał był równie wyblakły jak zasłony w tym domu, a Manne zaśmiał się:

– To było moje pierwsze łóżeczko, jeszcze we Francji, cztery tygodnie przed wyzwoleniem Paryża. Matka tego nie przyzna, ale jest strasznie sentymentalna. Ciągnęła je przez całą Europę i podarowała mi z okazji zdania matury.

W jednym z pokoiów na piętrze, z wychodzącym na morze sześcokątnym wykuszem, również stał kosz. Jeden powgniatany kosz, z którego brzegu zwisała jeszcze reszotka materiału. Różowego. Dla dziewczynki. Dla Very lub dla niej samej. Wanda chciała go zabrać, bo uznała,

że do niej należy. Ale Matti nigdy nie miała już wziąć go do ręki, by podarować Wandzie z okazji jakiegoś wydarzenia w jej życiu. „To twoje pierwsze łóżeczko, pierożku”.

Matti już nie było.

Bez ostrzeżenia zawładnął nią płacz i wstrząsnął całym jej ciałem. W pokoju z wykuszem, w którym najprawdopodobniej przysłała na świat, zwinęła się w kącie niczym dziecko pod kołdrą i po raz pierwszy zapłakała za matką.

Dębowe drzwi, kto was wyważył z zawiasów?

Moja łagodna matka nie może przyjść.

Przecież się kochałyśmy, Matti! Helga Landschulze powiedziała, że kochamy się znacznie bardziej, niż kochają się zwykle matki i córki. Dlaczego nie kochałaś mnie dość, by zostać, by pokazać mi to tutaj, dlaczego zostawiłaś mnie samą, samą, samą?

Filip Skowski, kurator niczego, wszedł po schodach.

– Lepiej niech już pani pójdzie – powiedział. – Nie mam pojęcia, co tu się dzieje, nie mogę za to odpowiadać.

Wanda stanęła na nogi.

– Jeszcze tylko jedno. Proszę.

Blade plamy na ścianach zdradzały, że w całym domu musiały kiedyś wisieć zdjęcia. Wszystkie zniknęły, jedynie na dole, na werandzie, znajdowały się jeszcze dwa. Jedna duża czarno-biała fotografia przedstawiająca statek i małe czarno-białe zdjęcie mężczyzny.

– Czy może mi pan powiedzieć coś o tych dwóch fotografiach? – spytała Wanda Skowskiego.

– Co chce pani wiedzieć? Ja sam niczego nie wiem.

– Co to za statek. I kim jest ten człowiek.

– Statek? Nie zna go pani?

Wanda pokręciła głową.

– Myślałem, że każdy go zna – stwierdził Skowski. – To „Wilhelm Gustloff”. Zatonął, zginęło wtedy więcej ludzi niż na „Titanicu”.

Tak jak wcześniej głos Matti, Wanda usłyszała teraz głos starej kobiety z pasmanterii: „Chcieli popłynąć wielkim statkiem, z Gdyni. Ni-

gdy nie dotarł”.

– A dlaczego wisi tutaj to zdjęcie?

– Skąd miałbym to wiedzieć?

Wanda stanęła przed drugą fotografią. Ukazywała kogoś, kogo musiała znać, była tego pewna. A jeśli nie, żałowała, że go nie знаła. Było to świetne ujęcie, widoczny na nim mężczyzna śmiał się, a w jego uśmiechu, w jego rysach kryło się coś tak znajomego, że Wanda zapragnęła, by człowiek ten stanął przed nią tu i teraz. Swoim śmiechem uspokoiłby jej nerwy i nie odtrąciłby jej, tylko pomógł odnaleźć drogę w tym labiryncie.

– Kim jest ten mężczyzna? – spytała.

– Czy jestem Duchem Świętym? – odparł Skowski. – Czy wiem wszystko? Gdyby to był Hitler, poznałbym go, ale jego by tu przecież nie zostawili.

– A wisiało tu? Zdjęcie Hitlera?

– Skąd mam wiedzieć.

– No dobrze. – Wanda zdołała się już opanować. – Chciałabym jeszcze zobaczyć piwnicę.

– Piwnicę? Nie wiem, czy jest zabezpieczona ani czy ktoś był już tam na dole, odkąd...

– Odkąd?

– Gdy chodzi o stare domy, ludzie zawsze wymyślają straszne historie – odparł. – Ale w przypadku domu przy ulicy Józefa Poniatowskiego 11 ta potworna historia jest prawdziwa. Tam na dole znaleziono trzy ciała. Po wojnie. Co samo w sobie nie jest takie dziwne, bo wtedy wszędzie musiały leżeć trupy.

Uparł się, że nie pozwoli Wandzie zejść do piwnicy, zwłaszcza że nie ma tam oświetlenia. Mogła jednak zerknąć w dół schodów przy zapalanej latarce. Oczywiście niewiele zobaczyła. Pachniało tam stęchlizną, prastarym kurzem. Pomieszczenie było duże, ale najwyżej w połowie tak duże jak obrys domu. Na tylnej ścianie stał masywny regał, zapewne do przechowywania butelek z winem. Pośrodku szarej od kurzu podłogi widniała olbrzymia plama. Na deskach antresoli przy Alboinstraße również powstała taka plama. Czy to możliwe? Krew, której nie wytarto przez dwadzieścia lat?

- Co znajduje się z tyłu? – spytała Skowskiego.
- Gdzie?
- Za regałem.
- A co miałoby tam być? Nic. Muszę tu teraz zamknąć.

Na zewnątrz było już ciemno i jeszcze zimniej, a ulice na powrót opustoszały. Mając nadzieję, że zastanie staruszkę bez bratanicy, Wanda wybrała dłuższą drogę prowadzącą obok pasmanterii, ale sklepik był już zamknięty, a roleta spuszczone. Wróciła do hotelu wzdłuż Bohaterów Monte Casino, mijając zabity deskami lokal. Tęskniła za ciepłem, oślepiającym światłem, a przede wszystkim za ludzkimi głosami.

W hotelu rozlegały się, co prawda, głosy, ale nikt nie chciał z nią rozmawiać. Zrozpaczona, gorąco pragnąc zamienić z kimś kilka słów, by nie zostać zupełnie sama z tym, co przeżyła, spróbowała zwrócić się do Grahama McGoverna, który siedział przy barze, popijając koktajl. Brytyjczyk jednak skinął odmownie dłonią, nim zdążyła przysunąć stołek.

– *No offence meant*, ale dziś przekazano mi, że trochę za dużo tu pani węszy. Sam to pani radziłem, ale mówiłem także, żeby pani nie przesadzała. To szkodzi interesom. Zarówno moim, jak i polskiej turystyce nadbałtyckiej. Z pewnością zrozumie pani, że muszę się nieco zdystansować.

Nie wytrzymam tego dłużej, myślała Wanda, wchodząc po schodach, by usiąść sama przy oknie w swoim pokoju i przyglądać się śnieżnym zaspom, które wiatr usypywał nad morzem. Jej dłonie bawiły się bezsensownie aparatem telefonicznym. Pustka i cisza w niej samej były tak bezgraniczne, że chciała zadzwonić do zupełnie obcej osoby, o ile tylko ta władałaby jej językiem i poświęciła Wandzie kilka minut. Nie wiedziała jednak, jak zatelefonować z Polski do Niemiec. Tej nocy ponownie nawiedził ją sen o pociągu, a gdy obudziła się oszołomiona ze strachu, nie odważając się nawet zapalić światła, wiedziała, że Rieke van Bontjes miała rację: jej sen nie dotyczył pociągów. Była sama na tonącym statku o nazwie „Wilhelm Gustloff”, a nigdy nie nauczyła się pływać.

Następnego dnia ponownie poszła do pasmanterii. Zastała tam bratanicę, która zagroziła jej policją, ale dzień później z odwagą płynącą z rozpaczny Wanda ponownie stanęła przed drzwiami. Tym razem Irena Bojarska była sama.

– Musi mi pani pomóc! – błagała Wanda cicho i pospiesznie niczym szpieg, za którym w każdej chwili mogą wpaść prześladowcy.

– Ten duży statek, o którym pani mówiła – to był „Wilhelm Gustloff”?

Kobieta zastanowiła się i potaknęła.

– Z Gdyni. Wszyscy chcieli się na niego dostać. – Najwyraźniej tego dnia wróciła jej znajomość niemieckiego.

– Na tym statku była moja matka? Osoby ze zdjęcia? – Wanda wyjęła z torebki fotografię i podsunęła ją kobiecie.

Ta spojrzała na nią szybko, ponownie pogłaskała Matti i zapłakała.

– Zosia przecież napisała mi: wydostaniemy się. Zabierze nas ze sobą. Gundula była dla Zosi jaśniejsza niż słońce.

– I zabrała je? – spytała Wanda, nie wiedząc, kim jest Zosia.

– Na pewno – odparła Irena Bojarska. – Ale tak czy siak – teraz wszyscy już nie żyją. Tylko pani Lehwald – ona wyjechała wcześniej, tak napisała Zosia.

– Proszę... – Wanda drżącymi z zimna dłońmi objęła dłonie kobiety. – Musi mi pani opowiedzieć więcej, to dla mnie nieskończenie ważne. W jaki sposób związane są nasze rodziny, skąd się znają? Ma pani jeszcze ten list, który napisała Zosia? Czy Zosia była ich przyjaciółką? Czy może mi pani go pokazać i przetłumaczyć, jeśli jest w nim mowa o mojej rodzinie?

Irena Bojarska uwolniła dłoń, by ponownie pogłaskać Matti na zdjęciu, i zapłakała.

– Tego listu w ogóle nie ma. – W drzwiach stanęła bratanica. Ostry głos sprawiał, że w różowej wełnianej czapce wyglądała nieco karykaturalnie. – A co pani myśli? Że w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku poszukiwane przez policję Polki mogły swobodnie wysyłać listy, w których opowiadały o swoich planach ucieczki na statku, który służył Hitlerowi jako koszary dla szkolącej się załogi U-Bootów? Że jakieś fanatyczne nazistki przechowywały prześladowanych Polaków, by zacią-

gnąć ich ze sobą do domu w Rzeszy? Czy w ogóle ma pani pojęcie, co tu się działo? Czy zastanawiała się pani nad tym, nim zjawiła się tutaj, by zupełnie namieszać w głowie starej kobiecie, która straciła wszystko?

– Nie! – zakrzyknęła Wanda, tonem równie ostrym jak głos kobiety. – Nic nie wiem i nad niczym się nie zastanawiałam, bo nikt ze mną nie rozmawia. Zadaję pytania, a zatrząskują mi drzwi przed nosem. I dlaczego? Bo moja matka była fanatyczną nazistką, na co nic nie mogę poradzić i o czym nic nie wiem, skoro i ona ze mną nie rozmawiała.

Ale możesz coś na to poradzić, jeśli dalej ją kochasz, zabrzmiało w uszach Wandy. Jeśli rzucisz się na ziemię i zapłaczesz po matce jak bóbr. Jej umysł przetwarzał to, co powiedziała kobieta: jej matka była fanatyczną nazistką. Jedną z tych, które ścigał Andras i których nie mógł pochwycić. „Stawiamy przed sądem tylko mężczyzn”, opowiadał Wandzie. „I nawet to jest trudne. Większość kobiet prawdopodobnie do końca życia pozostanie na wolności, ponieważ nasze umysły nie dopuszczają takiej wizji, kobiety czegoś takiego nie robią. Kobiety nie denuncjują przyjaciół, nie rozbijają głów noworodkom, nie wrzucają starych babć do komór gazowych”. Ale kobiety dobrowolnie zgłaszały się na nadzorcynie do obozów koncentracyjnych, denuncjowały całe rodziny, służyły jako przynęta do wytropienia ukrytych Żydów. Żona komendanta obozu w Buchenwaldzie kazała zrobić sobie lampę ze skóry więźniów.

„Nie ma takiej rzeczy, której człowiek by nie uczynił”, powiedział Andras. „Mężczyzna czy kobieta. I nie potrafię powiedzieć ci, jak żyć dalej wśród ludzi, gdy się o tym wie”.

– Mam pani dość – odparła kobieta. – Chce pani grzebać w przeszłości? Proszę udać się ze mną. Pojadę z panią grzebać, jeśli obieca mi pani, że potem nie będzie już dręczyć mojej ciotki.

Nie czekając na odpowiedź Wandy, wyjęła z kieszeni kurtki kluczyki do samochodu, zakreśliła nimi na palcu i wyszła ze sklepu.

Jej auto było granatowe, małe niczym ściśnięte na prasie i z kiepskim zawieszeniem. Gdyby Wanda była o kilka centymetrów wyższa, siedząc w nim, musiałyby pochylać głowę. Ogrzewanie miało we wnętrzu pojazdu zużyte powietrze, ale przynajmniej dość szybko zrobiło się ciepło. Wyjechały z Sopotu i udały się dalej długimi, pustymi ulicami, mijając ukryte pod śniegiem i mgłą pola oraz nieliczne pochylone przez wiatr chaty. Potem przejechały przez niewielki brzozowy las i wzdłuż kilku zamarzniętych jezior przypominających lustra. Siedziały obok siebie

w milczeniu przez co najmniej pół godziny, podczas gdy krajobraz stawał się bardziej lesisty i pagórkowaty.

– Tak tu pięknie – wyrwało się Wandzie.

Kobieta jeszcze przez chwilę milczała, tak jakby toczyła walkę sama ze sobą.

– Tak – powiedziała wreszcie. – Pomorze jest piękne. W każdym razie tak twierdzą wszyscy, którzy stąd pochodzą i nie uciekli z tej przeklętej krainy. Moja ciotka twierdzi, że to przez bardzo wysokie, bardzo jasne niebo. Co ja tam wiem.

Jechały dalej.

– Mam na imię Wanda – przedstawiła się Wanda. – I nie chciałam dręczyć pani ciotki.

– Ale to pani robi – odparła kobieta. – Nie interesuje mnie, kim pani jest. Pani matką jest Gundula Scharneck, to mi wystarczy.

– Nic na to nie poradzę – powtórzyła Wanda.

– Ja też nie – stwierdziła kobieta. – A moja ciotka jeszcze mniej. Zosia i Róża też nie mogły nic na to poradzić.

Pod wysokim niebem krajobraz zaczął się zwężać. Las zgęstniał, ściemniał, srebro brzoź ustąpiło niemal czarnym pniom wysokich sosen.

– Kim one były?

– Jej siostrzenicami – odparła kobieta. – Prawdziwymi. Nie zastępczymi krewnymi tak jak ja. Córkami jej wcześniej zmarłej siostry i jej chrześnicami. I to było pani ostatnie pytanie na ten temat.

– Dokąd jedziemy?

Samochód zajechał na mały parking pośród lasu.

– Do Piaśnicy – powiedziała kobieta i otworzyła drzwi. – Piasnitz, tak nazywali ją wtedy Niemcy. Tę wioskę. Ale to pani nie interesuje. Idziemy na łono przyrody.

W milczeniu ruszyły obok siebie leśną drogą. Gołe policzki Wandy bolały od zimna, ale gęstwina przynajmniej osłaniała je od wiatru. Po mniej więcej kwadransie kobieta zaczęła mówić, beznamiętnym tonem, ze wzrokiem wbitym w ziemię, nie patrząc na Wandę.

– Między tym miejscem, w którym się znajdujemy, a tamtą polaną przed nami zginęło, jak się szacuje, trzysta tysięcy ludzi. Polaków. I Kaszubów, którzy nie chcieli się wpisać na volkslistę, żeby uznano ich za Niemców. Gauleiter Gdańska, potwór nazwiskiem Albert Forster, był zdeterminowany, by móc pochwalić się przed każdym, że jego okręg jest wolny od Polaków i Żydów. „Sonderfahndungsbuch Polen” dobrze mu się w tym przysłużyła, ale to mu nie wystarczało.

– Co to znaczy „Sonderfahndungsbuch Polen”?

– Specjalna księga Polaków ściganych listem gończym. Wykaz nazwisk prowadzony przez Służbę Bezpieczeństwa Rzeszy od maja 1939 roku. Kto się znalazł w spisie, na przykład dlatego, że należał do polskiej organizacji lub otwarcie wyrażał niechęć do Niemców, zaraz po wkroczeniu wojsk miał zostać aresztowany i rozstrzelany. Już na długo przedtem Forster kazał swojemu sekretarzowi spisywać nazwiska niepożądanych osób. Nie było to trudne, ponieważ niemieccy sąsiedzi aż nazbyt chętnie zgłaszali wszystko, co interesowało sekretarza: każdy dowcip, który można było zinterpretować jako antyniemiecki, każde najmniejsze naruszenie coraz bardziej absurdalnych przepisów. Volksdeutscher Selbstschutz, tak nazywała się ta przyjacielsko-sąsiedzka formacja. Moja ciotka o niej wiedziała. Nie zawsze była umysłowym wrakiem. Ostrzegała swoje siostrzenice, by nie ufały żadnemu Niemcowi.

Z każdym krokiem, z każdym słowem Wanda mocniej czuła ciężar swojego ciała. Dotarły do polany. Wśród mrocznych cieni drzew wznosił się wysoki drewniany krzyż. Pozostałe, mniejsze krzyże, stojące przed nim w nieregularnych rzędach, wykonano z kamienia i opatrzone białymi tabliczkami z imionami.

– Na rozkaz Forstera spędzano ludzi na ulice i place, wyciągano z sal zgromadzeń, szkół i kościołów i zaganiano do obozu zbornego w szkole dla panien z dobrych domów, po czym zwożono ich tu na ciężarówkach i masowo rozstrzeliwano. Polowano zwłaszcza na inteligencję, bogactwo umysłowe Polski. Niektórzy musieli wykopać sobie grób i stanąć na skraju, a potem wpadali jeden na drugiego do dołu.

Dalej już nie, chciała zawołać Wanda, ale zagryzła wargi. Wcześniej pragnęła, by ktoś z nią porozmawiał.

– Co nie oznacza, że mniej zdolnych oszczędzano – ciągnęła kobieta.
– Forster kazał sprowadzać z okolicznych zakładów umysłowo chorych, którzy byli cierniem w oku jego Führera, i zbiorowo ich usuwać. Zamor-

dowano tu ich prawie dwa tysiące. Ogólnie rzecz biorąc, można powiedzieć, że kto w porę nie uciekł i nie nadawał się do deportacji jako robotnik przymusowy, trafiał tutaj. Przynajmniej dopóki Forster nie zaczął działać w Stutthofie.

– A Stutthof był...? – Wanda ledwo słyszała swój głos.

– Obozem koncentracyjnym Forstera – odparła kobieta. – Pierwszym poza niemiecką Rzeszą. Obiekt zaczęto przygotowywać już na miesiąc przed rozpoczęciem wojny. Później zaprzęgnięto do budowy pierwszy transport więźniów. Przyjmuje się, że w Stutthofie i jego podobozach zamordowano około osiemdziesięciu tysięcy ludzi, nie licząc tych, których przetransportowano później do innych obozów. Tam zatem zabijano nieco wydajniej niż tutaj. Piaśnica wyszła z mody, była wykorzystywana już tylko od czasu do czasu.

Choć tego nie chciała, Wanda przycisnęła dłonie do uszu. Przez kilka sekund miała wrażenie, że na twarzy kobiety widzi triumfujący uśmiech. Odsłoniła uszy.

– Przykro mi.

– Nie ma sprawy. Mogę zatem przyjąć, że zaspokoilo to pani zainteresowanie przeszłością?

Wanda przełknęła dwukrotnie i zacisnęła pięści w kieszeniach płaszcza.

– Nie. Proszę mówić dalej. Chcę wiedzieć, co tu się działo i co moja rodzina miała z tym wspólnego. Dlatego tu jestem. Nie umiałam sobie poradzić tylko z pani cynizmem.

– No, jeśli tylko o to chodzi... – Kobieta roześmiała się gardłowo. – Od cynizmu nikt jeszcze nie umarł. Cynizm nie burzy miast i nie niszczy rodzin, więc spokojnie może mi pani na niego pozwolić. Nie sądzi pani, że radzenie sobie ze skutkami ludobójstwa należy pozostawić ofiarom, nie sprawcom?

Zdanie „Nie jestem sprawcą” nie przeszło Wandzie przez usta.

– Proszę mówić dalej – powtórzyła zatem.

– Nie ma dużo więcej do opowiedzenia. Dla rodzin tych ludzi, których tu zamordowano, każdy z nich miał długą historię życia. Ale historie śmierci zawsze są krótkie. Jak już powiedziałam, Piaśnica wyszła z mody. Dopiero w 1944 roku znowu zrobiło się o niej głośno, bo zbli-

żała się Armia Czerwona, by po pięciu latach mordowania i pożogi wystawić Niemcom rachunek. Rasa panów zaczęła się bać. Nie chcieli zostać przyłapani z lasem pełnym płytkich masowych grobów. A zatem przywieźli ze Stutthofu więźniów, którzy musieli ponownie wykopać i spalić rozłożone zwłoki. Robi pani taką minę, bo wydaje się to pani potworne? To było jednak dobre przygotowanie do tego, co czekało ich samych. Z tego względu trudno nam ustalić dokładną liczbę zamordowanych tutaj ludzi. Nie mówiąc już o ich zidentyfikowaniu. Nie jest pani zatem jedyną osobą, która błądzi wokół Piaśnicy w poszukiwaniu własnej matki.

Wanda nic na to nie odpowiedziała, a kobieta nic już nie mówiła. Przez chwilę stały cicho przed kamiennymi krzyżami, podczas gdy ciemność wydawała się wypełzać z ziemi, a zimno paraliżowało członki Wandy. Śpiewał Bob Dylan. Śpiewał o głębinie czarnego lasu, w którym tysiące ludzi stoi z pustymi rękoma.

W końcu bez wcześniejszego porozumienia ruszyły w drogę powrotną, wsiadły do małego auta i wyjechały z lasu w Piaśnicy w rozpoczynającą się noc.

– Chce pani pojechać także do Stutthofu? – spytała kobieta. – Proszę bardzo. Kto szuka, niech znajdzie.

– Nie dzisiaj – zdecydowała Wanda, której nawet w wirującym zatęchłym powietrzu nie zrobiło się cieplej. Może było to tchórzliwe, ale nie potrafiła wytrzymać więcej. Chciała zakopać się pod stosem kołder i wypić jakiś alkohol. Najbardziej zaś pragnęła obecności człowieka, który mógłby z nią wytrzymać.

– Mam jeszcze dwa pytania – powiedziała, gdy pojawiły się przed nimi pierwsze rzędy sopockich domów. – Ta volkslista, o której pani wspomniała, która pozwalała uratować się przed śmiercią – z czym to się wiązało?

– Ha – rzuciła kobieta. – Nie jestem pewna, czy się to pani spodoba, skoro ma pani taki problem z cynizmem. Niemiecka volkslista była wspólnym dziełem nazistów jak Forster, Greiser i im podobni. Można było się na nią zapisać, jeśli zostało się zakwalifikowanym przez rasę panów jako osoba „przydatna jako Niemiec”. Duże szanse mieli ludzie o blond włosach, zdolni do noszenia broni, którzy publicznie przyjęli już Hitlera do serca i mogli dowieść swojego odpowiedniego pochodzenia. Oczywiście żadnych Żydów w rodzinie. Jak najmniej Polaków. Dobrze

było mieć niemieckich dziadków. Albo podać się za Kaszuba, do których Hitler miał słabość. Osoba, której wniosek przyjęto, zostawała zakwalifikowana do jednej z czterech grup, od dającego świadectwo swej niemieckości po tak zwanego renegata, i otrzymywała odpowiednie przywileje, nawet obywatelstwo Rzeszy. Forster zacierał ręce, bo w ten sposób mniej ludzi zaśmiewało mu polskie statystyki. A Hitler zyskiwał świeże mięso armatnie.

Skierowała samochód w stronę przejścia podziemnego. Wanda szykowała się już, by wysiąść, ale kobieta jechała dalej.

– Odwiozę panią do hotelu – powiedziała. – Nie dlatego, że jestem miła, po prostu nie chcę, żeby znowu uczepiła się pani mojej ciotki jak pijawka.

Wanda postanowiła nie dziękować.

– Miała pani jeszcze jedno pytanie – przypomniała sobie kobieta. – Chciałabym już z tym skończyć i móc o pani zapomnieć.

Wanda zadrżała, ale zebrała się na odwagę.

– Pani ciotka ostrzegła siostrzenice, żeby nie ufały żadnemu Niemcowi – powiedziała. – Ale one jednak to zrobiły, prawda?

– Tak, niestety, należy przyjąć. Zamiast pojechać z Ireną do Warszawy, gdzie miałyby szansę przeżyć, dały się omamić pewnej Niemce, ale zostały zdradzone i przypłaciły to życiem.

Skierowała auto na parking przed hotelem i zatrzymała się tuż przed wejściem. Boy hotelowy zbiegł kilka stopni, zobaczył, że w aucie nie ma bagaży, więc zawrócił. Wanda otworzyła drzwiczki i raz jeszcze się odwróciła.

– A ta Niemka – to była moja matka?

– Gundula Słoneczko. Z Czworka z Sopotu. Owszem. Ciotka o tym wie. Tylko wtedy, gdy jej umysł błądzi, pragnie wierzyć, że Zosia słusznie pokładała w niej ufność i że Niemka zabrała obie siostry na „Wilhelma Gustloff’a”, żeby nadciągający Sowieci nie aresztowali ich jako kolaborantek. To, że nieszczęśliwie utonęły, było jedynie ciosem podstępного losu. Nie zdradą. Nie dziełem ludzkim.

– „Gustloff” zatonął?

– „Gustloff” służył do transportu wojsk, nie ma co do tego dyskusji. Już od końca tysiąc dziewięćset czterdziestego roku stał w Gdyni i był

wykorzystywany jako koszary dla oddziałów szkolących się na okrętach podwodnych. Od czasu do czasu transportował również wojska i był pomalowany na szare maskujące barwy. Dosięgła go radziecka torpeda. Atakujący nie mogli wiedzieć, że na statku znajdują się uciekinierzy. A nawet jeśli...

– Nawet jeśli?

– Nie przypominam sobie, by Hitler szczególnie cackał się z uciekinierami z Polski czy Związku Radzieckiego – odparowała kobieta.

– A czy to pewne, że pani krewne nie znajdowały się wtedy na statku? – Wanda poważyla się na ostatnią rozpaczliwą próbę. – Że zostały zdradzone i zginęły w Sopocie? Czy nie jest mimo wszystko możliwe, że popłynęły z moją matką i zginęły, kiedy storpedowano „Gustloff”.

– Nie – odparła kobieta.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ znaleziono ich ciała. Zostały zastrzelone przez gestapo w domu przy ulicy Józefa Poniatowskiego numer jedenaście. Dawniej Ernststraße. Z widokiem na morze.

46

Wanda wysiadła, zapominając o podziękowaniach, i chwiejnym krokiem weszła po schodach do hotelu.

Tym razem ciepło i złote światło w holu nie zadziałały. Nie próbowała już nawet zamienić z Ludwikiem Brzezną paru uprzejmych słów. Nie zamówiła do pokoju nic do jedzenia, tylko bez słowa odebrała klucz z recepcji.

– Panna Schranneck? – spytał mężczyzna w recepcji.

– Scharneck – poprawiła Wanda automatycznie.

– Ma pani gościa. Zrobimy wyjątek, bo jest pani obca w naszym kraju. W przyszłości bylibyśmy jednak wdzięczni, gdyby z wyprzedzeniem informowała pani o wizytach. Muszę również uprzedzić, że wyłącznie gościom naszego hotelu wolno jest odwiedzać innych gości w ich pokojach.

– Mój Boże! – wykrzyknęła Wanda, która nie potrafiła dłużej słuchać tej paplaniny, bo wszystko się w niej trzęsło. – Gdzie jest ten gość? Nie znam tu przecież nikogo, to pewnie pomyłka. – Po cichu jednak jej skołowany z wycieńczenia, samotności i przerażenia umysł myślał: to mężczyzna ze zdjęcia, które wisi w domu. Przyszedł do mnie, by mnie przytulić i wytłumaczyć mi, co się zdarzyło.

Oczywiście był to nonsens. Roześmiany mężczyzna na fotografii, którą widziała w domu Matti, był staruszkim. O ile nie został obdarzony wiecznym życiem, musiał już dawno umrzeć.

To nie była jednak pomyłka. Zza kontuaru wskazano w stronę baru, gdzie podniósł się jakiś człowiek. Był wysoki, odziany w staroświecki płaszcz, którym musiał wcześniej targać potężny wiatr.

– Andras.

Zapomniała o wszystkim. Gniewie na niego, postanowieniu, by nigdy już się z nim nie zobaczyć, jego udziale w śmierci Matti. Została tylko ulga. Nie była dłużej sama.

Podszedł do niej i objął ją, opierając ciężko policzek na jej włosach.

– Wydajesz się z lodu.

– Jestem z lodu – powiedziała Wanda. – Nie wiem, co się stanie, gdy się roztopię.

– Spróbuję cię pozbierać – odparł. – Pożyczę wiadro.

Czyżby po raz pierwszy próbował zażartować? Nie miała nawet pewności, czy był to dowcip. Naprawdę była jak z lodu. Dłonie bolały ją tak, jakby po rozgrzaniu musiały popękać.

– Mogę zostać, Wando?

– Nie – powiedziała. – W recepcji robią olbrzymi cyrk z tego, kto kogo i dlaczego nie może odwiedzać w pokoju.

Gdy uniosła wzrok, uśmiechnął się śmiertelnie zmęczonymi oczami.

– Posadzę cię w barze i zamówię najcieplejszy napój, jaki tu mają. Potem wynajmę sobie pokój, dobrze?

Nie musiała odpowiadać. Nie musiała w ogóle nic robić. Poprowadził ją do narożnego stolika, przy którym wcześniej siedział, podszedł do baru i wrócił z czymś, co wyglądało jak cienka herbata w grubym kieliszku.

– Chciałam ci jeszcze powiedzieć, że potrzebuję czegoś z alkoholem.

– Nie ma sprawy – odparł Andras. – Znam tylko napoje z alkoholem.

To był grog. Po pierwszych łykach wargi zaczęły ją palić i poczuła się nieco bardziej jak człowiek. Andras negocjował z ludźmi przy recepcji i wrócił po krótkim czasie.

– Wszystko załatwione.

– Mówisz po polsku?

– Staram się nauczyć. Żeby móc rozmawiać ze świadkami bez tłumaczy, czytać dokumenty. Ale idzie mi bardzo wolno. To dla mnie trudny język.

Wanda jęknęła.

– Dla mnie jest niemożliwy. Chciałabym, żeby wszyscy ludzie rozmawiali za pomocą muzyki.

– Dlaczego by nie? Nie rozumieliby się wtedy gorzej, niż używając słów.

– Zostaniesz na noc?

Skinął głową i ponownie zalała ją fala ulgi.

– Przyniosę sobie szybko coś do picia, dobrze? Jadłaś już kolację?

– Nie.

– Jesteś głodna?

– Nie.

Zawahał się.

– Gdzie byłaś?

– W Piaśnicy – odparła Wanda.

– Rozumiem – powiedział. – Można tam coś zobaczyć?

Pokręciła głową.

– Tylko krzyże z imionami.

– Zdołali zidentyfikować nie więcej niż pięciuset.

– To jest jeszcze gorsze – stwierdziła. – Nie tylko nie żyją, ale w dodatku zostali wymazani.

– Tak. – Ujął jej dłoń i uścisnął, a potem ponownie podszedł do baru. Ktoś usiadł przy fortepianie i zaczął grać miękki, smutny jazz. Chwilę potem Andras wrócił z czymś, co wyglądało jak podwójna whisky. Wanda zauważyła, że obok jego krzesła stoi mała walizka i torba z aparatem fotograficznym.

– Skąd się tu w ogóle wzięłeś? – spytała, choć chciała nie pytać o nic, tylko pić grog, podczas gdy Andras trzymałby ją w objęciach. – Przecież tak trudno dostać wizę i sądziłam, że jesteś zajęty procesem.

Wypił, wbił wzrok w kieliszek, a potem znowu wypił łyk. Wreszcie uniósł głowę.

– Brakuje mi ciebie, Wando – powiedział dziwnie cichym głosem. – Nie chciałem czegoś takiego mówić, a jeszcze mniej czuć, bo w świecie, w którym żyję, nie ma na to miejsca. Ale brakuje mi ciebie. Chcę być z tobą i martwiłem się o ciebie. Prześladuje mnie to, co stało się z twoją matką.

– Nie stało się z nią – stwierdziła Wanda. – Nie było tak jak w przypadku zamordowanych w Piaśnicy, zabitych strzałem w tył głowy i wrzuconych do dołu. Zrobiła to sama. A mnie także ciebie brakuje.

– Wypijemy do końca i pójdziemy na górę? Moglibyśmy zabrać ze sobą butelkę wina i przegadać całą noc, jeśli chcesz. Dobrze się tutaj siedzi, ta podupadła dekadencja ma pewien urok i podoba mi się muzyka, którą gra ten typ. Ale nie przestaję myśleć o tym, że w miejscu, gdzie posadziłem tyłek, mógł siedzieć Hitler.

– A ja nie przestaję zastanawiać się, czy moja matka mogła siedzieć naprzeciw niego.

– Cholera. – Ponownie ujął jej dłoń. – Opowiedz mi o tym.

– Nie powiedziałaś mi jeszcze, dlaczego tu jesteś – wymigła się Wanda. – Mówiłeś tylko, że ci mnie brakuje, co jest miłe, ale nie jest odpowiedzią.

Andras ponownie wbił wzrok w kieliszek.

– To było wyznanie miłosne – odparł. – Nie jestem w tym szczególnie dobry. Ach, bzdura. Pod tym względem jestem ostatnią niedołągą.

– Aha – usłyszała Wanda własny głos. – Sigi też tak uważa? A może przy niej miałeś przyływy natchnienia?

Uniósł wzrok znad szklanki whisky i ich spojrzenia się spotkały. Chciał coś powiedzieć, ale Wanda pokręciła głową i sama mówiła dalej:

– Moja matka umarła, a ja siedzę tu, w obcym kraju, i muszę przyjąć, że wydała dwie Polki gestapo, że stała po złej stronie, stronie sprawców. Właśnie wracam z Piaśnicy, gdzie trzysta tysięcy ludzi znikło bez śladu, całe ich życie, ich pragnienia zostały wymazane. Jest mi obojętne, co łączy cię z Sigi Witthuhn, a przynajmniej nie znajduje się to na szczycie listy moich problemów. Po prostu nie chcę dłużej być okłamywana. Przez nikogo. Moje życie się zawaliło i nie mam już gruntu pod nogami. Nie pozwolę sobie na to, by związać się z człowiekiem, któremu nie mogę zaufać.

Na jego kanciastej, wychudzonej twarzy pojawiło się wzruszenie widoczne też w zmęczonych oczach. Uśmiechnął się. Nie powściągliwie, tylko niemal swobodnie.

– Do diabła. Czy wolno mi spróbować jeszcze raz od początku z tym wyznaniem miłości?

– Możesz sobie darować. Albo zaczekać. Powiedz mi, na czym stoję, to mi chwilowo wystarczy.

– Sypiałem z Sigi – powiedział obcesowo. – Sypiałem przez cały czas spędzony na uniwersytecie, w Socjalistycznym Związku Studentów, mojej grupie roboczej i jeszcze więcej. To jest jak uzależnienie. Jakbym musiał w ten sposób udowodnić, że żyję, że moje ciało nie jest tylko skorupą, a w środku nie wszystko zatruła śmierć.

– Chcesz, żebym ci współczuła?

– Nie – odparł Andras. – Chcę, żebyś mi uwierzyła. Nie pragnęłam niczego, co wykracza poza szybki seks. Tego, co czyni człowieka miękkim, wrażliwym, tego, gdzie trzeba zaryzykować część siebie. Uważałem, że już od urodzenia całe moje istnienie jest tak gigantycznym ryzykiem, że nie mogę pozwolić sobie na żadne inne. Moje uczucia, siły, wszystko, na co mnie stać, skupiłem na procesie. Teraz, kiedy trwa, kiedy muszę dopuścić do siebie myśl, że możemy przegrać, usłyszeć wyroki, które zabrzmiały dla nas jak drwina, i że, tak czy siak, zrobiliśmy swoje i musimy ponownie zacząć życie, które wcześniej odkładaliśmy, czuję się tak zmęczony, że czasami wydaje mi się, że nie dam rady uczynić kolejnego kroku.

– Ja też się tak teraz czuję – powiedziała Wanda. Chciała pójść z nim do pokoju, żeby zostali sami, z dala od kanapy z zieloną tapicerką, na której siedzieli Hitler i jej matka, z dala od Grahama McGoverna, który obserwował ich przy barze, a nawet z dala od muzyki, która zbyt ją poruszała. Wystarczyłoby wstać, pozwolić Andrasowi zająć się napojami, ale jej nogi jakby zamarły. Cała energia z niej uleciała.

Zamiast niej podniósł się Andras, założył na ramię torbę z aparatem fotograficznym, lewą ręką sięgnął po walizkę, a prawą wyciągnął do Wandy.

– Chodź. Musisz odpocząć. Byłem pewien, że nigdy nie odważę się na takie ryzyko. Teraz jednak widzę, Wando, że nie dam tak dalej rady. Zawsze sam. Zawsze w towarzystwie śmierci. Opuszczają mnie siły. Mam dwadzieścia pięć lat i czuję się jak staruszek.

Widziała to po nim. Jakby nosił na ramionach lata swoich rodziców i dziadków. Na jego twarzy widniało coś, co było zbyt delikatne jak na ten ciężar.

– Nie, nie chcę cię okłamywać – powiedział. – Ani niczego przed tobą udawać. Nie przyjechałem tylko dlatego, że ty tu jesteś. Polski rząd zgodził się na przyjazd delegacji i zezwolił zbadać sprawy na miejscu, więc przez tydzień mogłem zbierać materiały do raportu i zrobić kilka zdjęć.

– Byłeś w Auschwitz?

Potaknął.

– Można to wytrzymać?

Pokręcił głową.

Wanda również wstała, ujęła jego dłoń i razem podeszli do baru, gdzie Andras zamówił coś po polsku.

– Wino i przystawki na zimno – wyjaśnił w drodze do pokojów. – Jeśli później zechcesz coś zjeść. Żebyśmy nie musieli znowu wychodzić.

Spodobała się jej ta wizja. Zaryglować się. Pozwolić, by wiatr uderzał o szyby i być do rana bezpiecznym. Andras wynajął pokój obok niej, ale na jego pytanie Wanda pokręciła głową i zaciągnęła go wraz z bagażem do siebie. Później będą mogli ustalić, gdzie kto śpi. O ile w ogóle zasną.

Przyszedł kelner z wózkami. Andras nalał wina do kieliszków, a potem pogasili wszystkie lampy oprócz małej lampki na nocnym sto-

liku, położyli się obok siebie na łóżku i owinęli kołdrami. Słyszeli morze. Z dali, z zimna nocy jakiś statek posłał sygnały świetlne. Andras i Wanda leżeli cicho, aż poczuła, że lodowata sztywność ustępuje.

– Nie mogę ci niczego obiecać – powiedziała. – Nie wiem, co ze mną będzie.

– Ja tobie też nie – odparł. – Tylko tyle, że chciałbym spróbować. Słuchać z tobą muzyki. Uważam za niewiarygodnie piękne, gdy cała twoja twarz skupia się na muzyce, i uważam, że powinnaś śpiewać. Rozmawiać z tobą. Być z tobą wtedy, gdy braknie nam słów. Jestem w tobie zakochany, Wando, i codziennie na nowo zdumiewa mnie, że nic tego nie zmienia.

W ciszy jego ciężki oddech zdradzał, z jakim trudem przyszło mu to wyznanie.

– A jeśli ja tego teraz nie potrafię? – spytała, nie będąc pewna, czy nie potrafi.

– W takim razie policzmy do stu – odpowiedział, wyjął coś z kieszeni spodni i zawiązał Wandzie na nadgarstku. – Albo i dalej. Aż zrobi się cieplej. Aż będziemy mogli zacząć żyć od nowa.

Poczuła jedwab na skórze i zrozumiała, że tak się stanie: że będą żyć dalej, znajdą drogę, że z przepaści zrobi się dolina, nieważne jak, nieważne kiedy.

– Sam też mam tu coś do załatwienia – powiedział. – Obiecałem pewnej kobiecie, której zeznań potrzebujemy do procesu, że zrobię zdjęcia i przepytam jedną czy dwie osoby. Gaia Elkeles. Jej ojciec stąd pochodził i chciałaby mieć kilka pamiątek, żeby nie zostało jej po nim tylko Auschwitz. Ona jest taka jak ja. Dziecko z mieszanego małżeństwa. Tyle że jej ojciec nie przeżył.

– Spałeś z nią? – wyrwało się Wandzie. Potem przywołała się do porządku i odwróciła ku niemu. Patrzył ponad nią. – Cofam pytanie. To nie jest dla mnie ważne, Andrasie.

– Jest ciężko chora – powiedział. – W przeciwnym razie pewnie bym to zrobił.

Wanda położyła dłoń na jego policzku. Pogładziła miękki, świeży zarost i ocieplającą się skórę.

– Ta sprawa z moją matką... Jeśli naprawdę to robiła, jeśli wydawała ludzi takich jak twoi krewni i ojciec Gai Elkeles, jeśli jest winna ich śmierci – to nic dla ciebie nie znaczy?

– Też się nad tym zastanawiałem – odparł. – Gdybyś spytała mnie pół roku temu, prawdopodobnie odpowiedziałbym, że to niemożliwe. Nie ze mną. Czułbym się tak, jakbym zdradzał ich wszystkich, moją babkę, małe dzieci, mój naród. Teraz jednak coraz częściej zastanawiam się, czy w ogóle wiem, co to znaczy: mój naród. Czy jest to tylko takie pojęcie, którego chciałbym się trzymać, żeby moje życie nie było pozbawione oparcia. Ale gdy myślę o tobie, nie myślę o twojej matce. Jedynie o tobie. Nie, nie sądzę, że to nic nie znaczy, bo to zbyt dużo i wiąże się z tym, kim jesteśmy. Ale chciałbym, żebyśmy znaleźli jakieś miejsce, które należy tylko do nas. Nie do naszych rodzin, nie do mojej pracy, tylko do ciebie i mnie.

– A gdybym....

Czekał, dał jej czas, patrzył na nią. Nie odwracał wzroku.

– A gdybym nadal ją kochała? Gdybym nie mogła przestać? Ona wydaje się składać z trzech różnych kobiet, które w ogóle nie pasują do siebie: artystki, którą tak bardzo chciałabym znać i po której być może coś odziedziczyłam. Zdrajczyni, która siedziała przy jednym stole z mordercami i żałuję, że istniała. I mojej matki. Która co noc sprawdzała, czy jest mi ciepło, i której strasznie mi brakuje.

Przyciągnął ją do siebie, pocałował, zaczął uwalniać ją z warstw odzieży, tak żeby poczuli się nawzajem.

– Przeczekajmy to, Wando. Spróbujmy. Jeśli w tych tygodniach czegoś się nauczyłem, to tego, że nie wszystko jest tak jednoznaczne, jak bym chciał. I że można również robić straszliwe rzeczy, nie chcąc niczego złego.

– Coś podobnego powiedział również Manne.

– Nie zawsze łatwo jest przyjaźnić się z Mannem, bo jest tak cholernie mądry.

– Czy to znaczy, że mógłbyś przebaczyć?

Zastanowił się.

– Nie sądzę – powiedział wreszcie. – Nie sądzę też, że tego chcę. Ale to nie ja musiałbym wybaczyć twojej matce. A zrozumieć – zrozumieć

bym chciał.

– Ja też – stwierdziła Wanda. – Ale gdy przedzieram się przez to wszystko, z każdym krokiem coraz bardziej się gubię. Jestem taka zmęczona, Andrasie. Niczego jeszcze nie odkryłam, a już brak mi siły.

Rozpiął guziki wełnianego swetra, który nosiła na bluzce, i ledwo wyczuwalnie pocałował ją w szyję.

– Pomyślałem, że moglibyśmy wziąć dzień wolnego – powiedział. – Pokazałabyś mi swoje miasto – albo pokazałabyś je nam obojgu, jeśli sama go jeszcze nie widziałaś.

– Moje miasto?

– Gdańsk – odparł i nagle wydał się zakłopotany. – Staram się unikać takich sentymentalizmów, ale to podobno jedno z najpiękniejszych miast Europy. Przez ostatnich osiem tygodni nakłaniałem chyba każdego, kto nie uciekł przede mną dość szybko, by opowiedział mi coś o Gdańsku.

Wanda przypomniała sobie duży dworzec kolejowy, gdzie nie zobaczyła niczego oprócz tłumu obcych ludzi, i poczuła zarazem tęsknotę i strach.

– I ktoś ci o nim opowiedział?

Andras skinął głową.

– Biorąc pod uwagę, że liczy niewiele ponad trzysta tysięcy mieszkańców i jest dopiero szóstym pod względem wielkości miastem w Polsce, jest zdumiewające, że mało kto nie ma o nim nic do powiedzenia. Manne, ten sentymentalista, dał mi wiersz.

– „Księżyc świeci z góry tęsknie” – wyrecytowała Wanda. – „Widać z miasta tego rad”.

– Właśnie ten – odparł Andras. – A w Krakowie pewien dziennikarz, z którym się spotkałem, powiedział mi: „Polubi pan Gdańsk. Nawet jeśli to bolesne. Kiedyś stanowił symbol tego, czym mogła stać się Europa, ale nie było jej to dane”.

47

Wanda nie знаła żadnych europejskich miast, lecz Gdańsk był najpiękniejszym z nich. Nie miała co do tego wątpliwości.

Tak jakby miastu zależało, by przekonać do siebie Andrasa i Wandę, następnego dnia pogoda była piękna, niebo nie ponuro zachmurzone, ale niemal czyste, delikatnie szare, i nie wiał wiatr. Wokół dworca kolejowego Gdańsk okazał się duży, głośny, brudny i mokry, a pomiędzy wzniesionymi obojętnie budynkami użytkowymi sterczały ruiny niczym dziurawe zęby. Jednak po niecałych dziesięciu minutach na piechotę Andras i Wanda przeszli przez bramę do innej epoki.

Wojna, ludobójstwo, katastrofa, która rozdarła ich świat na dwie części, za bramą nie istniały, można ich było jeszcze uniknąć, jeśliby tylko zachować rozsądek, wziąć się za ręce i utworzyć ochronny pierścień wokół serca miasta, wokół wszystkiego, co godne ochrony, miłości, wokół ludzkiego dzieła przeznaczonego do życia. Biły dzwony, na skraju zamkniętej dla pojazdów ulicy jakiś jednonogi mężczyzna grał na skrzypcach, i zaczął się baśniowy świat z wiersza Eichendorffa, leżący tu „jakby zdjęty snem kamiennym”.

Wysokie kamienice, wzniesione w epoce rozkwitu bogatego kupieckiego miasta, ze spokojną dumą pokazywały swe pastelowe fasady, kalenice, rzeźbione kolumnienki, zdobione stiukiem okna i wystające szeroko na ulicę werandy. Na wybrzuszonych kocich łbach podskakiwały wózki sprzedawców bursztynu i przewoźne piecyki, z których kobiety nakładały do papierowych tutek gorące kasztany. Tu wieńczył fontannę tańczący posąg, tam wypukłe szybki zasłaniały ozdobne wnętrza kawiarni. Przed Wandą i Andrasem ukazał się plac, na którym tłumy ludzi gromadziły się wokół sztukmistrzów. Każdy dom był w innym kolorze, a wiele z nich zdobiły postacie zwierząt i bajkowych stworów. Nie, Gdańsk nie próbował zyskać przychylności Andrasa i Wandy. Nie zabiegał o nią, tylko pozwalał im spacerować pod rękę swoimi zacienionymi uliczkami, i wiedział, że dawno już wygrał.

Choraągiewki na szczytach domów, wieżyczki z kurantami, wokół których obracały się figurki, arkady, rzeźby na zwieńczeniach dachów, szynki pod sklepieniami piwnic, bramy i łuki. Ożywało tutaj wszystko, czego uczyła się i co wyobrażała sobie Wanda na temat przepychu średniowiecza. Tyle że mówiono jej, iż budzące respekt budowle – katedry i zamki – stawiano na chwałę Boga i dla rozśławienia panującego władcy. Gdańszczanie natomiast celebrowali w ten sposób wyłącznie samych siebie. Swoje bogactwo, swoją beztroskę, otwartość na świat.

Z placu, który dawniej nazywał się Langer Markt, skręcili w boczną uliczkę i po kilku zakrętach ujrzeli naraz szeroką rzekę z mostem, wyspą

i statkami. Widok ten zdradzał, skąd wzięło się to wszystko – bogactwo, pewność siebie, swoboda: z wody. Danzig – Gdańsk – był miastem morza. Jego symbol, żuraw z potężnym tułowiem z ceglanymi wieżyczkami i drewnianym podnośnikiem, już przed sześciuset laty służył do rozładunku statków, które przyływały zewsząd do tej perły Bałtyku.

Wokół żurawia zgromadziła się grupka ludzi, którzy z szacunkiem spoglądali w górę na ciemne urządzenie rozładunkowe. Brama stanowiła najwyraźniej powód wyjątkowej dumy. Zrekonstruowano ją z najwyższą starannością i ukończono dopiero przed kilkoma laty. Po bokach ponownie stały rzędy patrycjuszowskich domów, kawiarnie i restauracje zapraszały na szerokie werandy, a ozdobne napisy w języku polskim informowały, co mieści się w danym lokalu.

Wszystko było czyściutkie, niczym wylizane, nietknięte. Wanda widziała wcześniej w książce Rieke van Bontjes zdjęcia zniszczonych spichlerzy i Długiego Pobrzeża [23](#) i obawiała się, choć sama nie wiedziała już, czego bardziej: tego, że będzie musiała znieść widok pustyni zniszczenia, zburzonej w dziewięćdziesięciu procentach zabudowy, czy tego, że stanie naprzeciw modelowi zmarłego miasta, jak bratanica Ireny Bojarskiej opisała Warszawę. Teraz chciała oprzeć się o ścianę jednego z domów, pogłodzić jego fasadę i zapłakać po mieście Danzig. Oplakiwać je wraz z Gdańskiem. I uśmiechać się. Gdańsk, Gdańsk. Na łyzy i blizny nałożyła może nieco grubą warstwę szminki, ale mimo to jesteś piękny. Fakt, że znowu jesteś piękny, że twoi mieszkańcy walczyli o to, by przywrócić ci piękno, to dziś moja ulubiona myśl. I że jest to piękno miasta Danzig. W środku Gdańska.

Pokaż mi swoje miasto, powiedział Andras, i Wanda pokazała to miasto jemu, a jednocześnie sobie. Gdańsk należał do niej i nie pozwolił sobie odebrać, ani bratanicy Ireny Bojarskiej, ani temu, co uczyniła Matti. To nie dotyczyło Matti. Tylko jej i Gdańska.

Andras pociągnął ją nad brzeg Motławy i pocałowali się na tle widoku na spichlerze. Wyglądali jak zwykli turyści, a jakiś mężczyzna, który uznał ich za Francuzów, wziął od Andrasa aparat i zrobił im zdjęcie. Chodzili przez cały dzień i wrócili nad Motławę, gdy zaczęło się zmierzchać i zrobiło się zimno.

– Mam Gdańsk w nogach – powiedziała Wanda ze śmiechem. – Nie jesteś głodny?

– Nie znam słowa głód – odparł Andras. – Ale zaraz umrę z pragnienia. Spójrz tam. Wejdziemy do środka?

Budynek, na który wskazał, oświetlała kuta żelazna latarnia i miał różową, wspaniale zdobioną fasadę. Pomiędzy obramowanymi na biało oknami pływały wśród fal ryby, a nad drzwiami widniał polski napis: Pod Łososiem.

– Co to znaczy?

– Zum Lachs – odparł Andras. – Ta restauracja jest znana na całym świecie. Przede wszystkim tutejszy likier, w którym pływa prawdziwe złoto. Jest o niej nawet wzmianka w sztuce Lessinga.

– Skąd to wszystko wiesz? – Andras słuchał Boba Dylana i czytał poezję Celana. Nie mieszczańskie dramaty.

Uśmiechnął się krzywo.

– Dziś rano zasięgnąłem języka w recepcji. Żebyś nie myślała, że zawsze będę zapraszać cię tylko do ponurych knajpek. Jest tam podobno antresola ze stolikami – sala restauracyjna z widokiem na salę restauracyjną.

– Nie chcę tam iść! – zawołała Wanda i poczuła, jak kurczy się jej żołądek. – Nie na antresole. Nigdy więcej.

– Co za idiota ze mnie – syknął Andras. Wyciągnął do niej rękę, ale zaraz ponownie ją opuścił. – Cholera, Wando, przepraszam.

– Nie szkodzi. Chciałeś dobrze. – Przelotnie pogładziła go po policzku. Rano się ogolił, a gdy cesał włosy, wyrywał całe ich kępki. – Poszukamy jakiejś innej knajpki? Jednej z tych twoich ponurych?

Z udawaną dziarskością chwyciła go za rękę, a kilka domów dalej znaleźli restaurację z niskimi sufitami i ciemnymi zakątkami, gdzie na pięterku oferowano skromny zestaw dań. Likier z płatkami złota, którego chciał spróbować Andras, dostali również, a Wandzie podobał się zapach drewna i czegoś podobnego do smoły, który brał się z jałowca. Gdy powiedziała to Andrasowi, zamówił dla niej czerwonawy likier jałowcowy o nazwie Krambambula, który dobroczynnie podziałał na Wandę.

Wiedziała jednak, że ich skradziony dzień beztroski już minął. Jej życie ponownie stało się polem minowym, na którym jedno fałszywe słowo mogło spowodować eksplozję, a gdy przyniesiono potrawy, do stołu zasiedli także zmarli. Za małym oknem nad Gdańskiem zapadała

noc, a Wanda czuła się, jakby od czarnej Motławy dobiegała ostatnia zwrotka wiersza Eichendorffa:

W ciszy strażnik z ganku wieży

Śpiewa swą pradawną pieśń:

Niechaj Bóg żeglarza strzeże,

Który płynie w nocnej mgle!

Wybór dań zostawiła Andrasowi, ponieważ sama nie potrafiła przeczytać wypisanej odręcznie po polsku karty dań. Postawiono przed nimi misę pierogów w otoczeniu mniejszych miseczek ze skwarkami, kiszoną kapustą, grzybami, śmietaną i marynowanymi buraczkami. Zapachy przyćmił aromat jałowca. Wanda znalazła się na powrót w kuchni przy Alboinstraße. Przy kuchence stała Matti.

Wcześniej była głodna. Teraz jej żołądek się skurczył.

Andras, który grzebał w kolejnych naczyniach, opuścił widelec i poszukał wzroku Wandy.

– Przepraszam – wymruczała. – Chyba tego nie zjem. Tak samo gotowała moja matka.

– Nie musisz przeproszać – odparł. – To przecież ja popełniam jedną gafę za drugą. A specjalnie pytałem kelnera i sądziłem, że jestem bezpieczny, bo oferują tu wyłącznie polską kuchnię. Ale może jest ona wymieszana bardziej, niż nam się wydaje. Poproszę, żeby to zabrali. Nie mają dużego wyboru, ale w jadłospisie była jeszcze zupa z kiszonych ogórków – w domu na pewno nikt ci jej nie podawał.

– Owszem – cicho odpowiedziała Wanda, wbijając wzrok w pęknięcia na blacie stołu. – Matti. W każdy piątek. Proszę nie zamawiaj niczego nowego. Rieke van Bontjes powiedziała, że zostało dowiedzione, że człowiek nie umrze, jeśli przez pewien czas będzie żyć tylko o alkoholu, papierosach i jednym sucharze dziennie.

– Rieke van Bontjes jest jeszcze mądrzejsza niż jej syn – stwierdził Andras. – A sam stanowią żywy dowód na jej tezę. Postaram się o suchary.

Na jej twarzy pojawił się bolesny uśmiech.

– I więcej jałowcówki?

Zszedł na dół do baru i wrócił z napoczętą butelką.

– Teraz mi opowiedz.

– Co?

– To, czego się dowiedziałaś. O twojej matce, dwóch Polkach i zdradzie.

– Nie ma tego wiele. I mimo wszystko boję się, że nie będziesz mógł tego wytrzymać i odejdziesz.

– Jeśli nie będę mógł wytrzymać, napiję się więcej – odparł. – Albo zacznę krzyczeć, wściekać się, obrażać ludzi i rozbijać rzeczy. Ale nie odejdę. Nie mam do tego talentu.

Opowiedziała mu. Nie opuściła niczego. Od spotkania z Ludwikiem Brzezno do chwili, gdy wysiadła z auta siostrzenicy Ireny Bojarskiej. Przedstawiła swoją daremną pogoń za śladami, dobijanie się do zamkniętych drzwi. Andras przerwał jej tylko jeden raz, gdy wspomniała nazwisko Brzezno.

– Ludwik Brzezno? I znajdę go w hotelu? Co za przypadek. Ja też muszę z nim porozmawiać. Był przyjacielem ojca Gai Elkeles, aresztowano go nawet i torturowano, ponieważ bronił Elkelesa.

Ktoś, kto był torturowany, miał prawo odmawiać rozmowy z córką sprawczyni. Może Brzezno porozmawia z Andrasem. Z synem ofiary.

Opowiedziała o Irenie Bojarskiej, z którą nie wolno jej było rozmawiać i która być może przez nadmiar bólu oszalała i stale głaskała fotografię Matti. W tym miejscu zamarła.

– Fotografia! O mój Boże, Andras, Irena Bojarska wzięła ją, a ja zapomniałam odebrać. To jedyne zdjęcie, na którym jesteśmy wszystkie poza Verą, a nawet jeśli Vera ma jeszcze kliszę, nie wykona dla mnie nowej odbitki.

– A dlaczego nie miałyby tego zrobić?

– Bo dla niej nie jestem już człowiekiem. Dla nich wszystkich. Jestem potworem, który ma Matti na sumieniu. Poza van Bontjesami w całym Berlinie nie został już nikt, kto by jeszcze ze mną rozmawiał.

– To nieprawda – stwierdził Andras. – Wczoraj o tym zapomniałem, ale miałem przekazać ci pozdrowienia od twojej Helgi Schulze. Specjalnie przysłała z tego powodu na uniwersytet i nie chciała nawet wejść do stołówki. Miałem ci powiedzieć, że ludzie mogą sobie gadać, co chcą, ale ona w to nie wierzy.

– W co nie wierzy?

– Że masz swoją matkę na sumieniu. Ty i twoja matka, powiedziała, byłyście tak blisko, że nie zmieściłaby się między wami nawet tasiemka życia. A wszystkim, którzy źle o tobie mówią, twoja matka urządziłaby piekło. Jeśli pytasz mnie, to cholernie odważna deklaracja jak na dziewczynę, która musi nosić imię Helga.

Z punktu widzenia Wandy, była to wspaniała deklaracja. A Helga miała po prostu na imię Helga. Fakt, że jej ojciec chciał podarować ją Hitlerowi, nie grał żadnej roli, ponieważ była Helgą Wandy, a nie Hitlera.

Andras położył dłoń na jej dłoni.

– Nie martw się. Odzyskamy twoją fotografię. Najpierw opowiedz do końca.

Wanda opowiedziała o dawnym domu Matti z piwnicą, w której nikt nie wytarł krwi, i kilka słów o Piaśnicy. Potem nie zostało już nic więcej do powiedzenia.

– Muszę mieć to zdjęcie z powrotem. Wiem, że to głupie, ale muszę.

Andras sięgnął pod połę płaszcza, przez chwilę grzebał tam i wreszcie wyciągnął pomiętą czarno-białą fotografię paszportowej wielkości. Ledwo widoczni byli na niej chudy, ciemnowłosy mężczyzna, kobieta z upiętymi do góry włosami i grube dziecko.

– To ja – powiedział. – Tylko mi nie mów, że widziałas już paskudniejsze dzieci. Ale to jedyne zdjęcie, które zostało. Odzyskamy i twoje. Dziś jest już za późno, ale jutro pójdziemy do tego sklepu. I tak musimy jeszcze raz porozmawiać z tą staruszką. Musi nam powiedzieć, co wie.

– To niemożliwe. Obiecałam jej bratanicy, że nie będę jej więcej dręczyć.

– Nie dręczysz jej – stwierdził Andras. – Wręcz przeciwnie. Wierz mi, Wando, miałem do czynienia z ludźmi, którzy nie chcieli mówić i których mimo to naciskałem, ponieważ tak bardzo potrzebowałem ich zeznań. Widziałem ludzi, którzy krzyczeli, bili pięściami, rzucali się na ziemię albo zaciskali usta i grozili adwokatem. Twoja Irena natomiast chce z tobą rozmawiać. Jest to dla niej trudne, a problemy językowe nie ułatwiają sprawy, ale chce rozmawiać. Tylko jej bratanica tego nie chce.

– Ale to przecież nie ma sensu! Skoro nie chodzi jej o ból ciotki, to dlaczego za wszelką cenę chce mnie utrzymać z dala od niej?

– Ponieważ nie wierzy w to, co wie twoja ciotka – powiedział Andras.

Wanda poczuła zimny pot na karku.

– Czyli w co?

– Że twoja matka, która potrafiła gotować jak Polka, nie jest zdrajczynią. Gdyby miała na sumieniu obie te dziewczyny, które Irena tak bardzo kochała – dlaczego staruszka głaskałaby wtedy z płaczem jej zdjęcie? Jeśli mnie pytasz, zatrzymała tę fotografię, bo jest to jedyny wizerunek twojej matki. A ona ją kocha.

CZĘŚĆ ÓSMA

Gundi

Sopot, Gdańsk

Styczeń 1944

W ciszy strażnik z ganku wieży
Śpiewa swą pradawną pieśń:
Niechaj Bóg żeglarza strzeże,
Który płynie w nocnej mgle!

Joseph von Eichendorff, *W Gdańsku*

48

– Wasza wojna – powiedział i brzmiał przy tym niemal czule.
– Wasza wojna jest w punkcie zwrotnym. Teraz zaczyna się jej przegrana.

– Przestań – odparła Gundi. – To nie moja wojna i wiesz o tym. Nie chcieliśmy jej tak samo jak i wy. – A zupełnie nie chcę mówić „wy” i „my”, gdy mam na myśli „ciebie” i „mnie”, pomyślała, ciebie, z którym czuję się jednością, nas nie można podzielić na dwa obozy. – Zresztą jak miałyby zostać przegrana? Hitler zajął pół Europy i nikt nie zdołał go powstrzymać. Gdy Amerykanie przystąpili do wojny, też wszyscy krzyczeli, że teraz karta się odwróci. Ale się nie odwróciła. Amerykanie walczą już od roku, ale wciąż jest to ta sama wojna, którą wygrywa Hitler.

– Ja nie. Ja nie krzychałem. – Nadal zdarzały się chwile, gdy jego uśmiech roztapiał w niej twardość, ale teraz tak się nie stało. Poszczerbiona blizna po ranie, ciągnąca się od kącika ust przez policzek, czyniła uśmiech krzywym, a rana, która została w duszy, czyniła go gorzkim. Gundi to rozumiała. Niewielu rzeczy pragnęła równie mocno, jak pocieszyć go, dodać mu odwagi, ale kiedy jego zgorzkniałość kierowała się przeciwko niej samej, nie potrafiła tego znieść.

– Nie wierzyłem w Amerykanów – powiedział mężczyzna, którego kochała, ze swoim krzywym, gorzkim uśmiechem, dzielącym ich na wrogie obozy. – Ale wierzę w Stalina. A wiesz dlaczego? Ponieważ Amerykanie są uprzejmymi ludźmi, którzy podczas bombardowań biorą pod uwagę matki z płaczącymi dziećmi. I ponieważ Stalin jest diabłem, który sprzedałby własną matkę. Moja własna matka mówiła – gdy jeszcze mogła mówić – że aby przepędzić diabła, potrzebny jest diabeł.

Jego matka wychowała go sama, tak jak Pop wychował Gundi, a gdy Tadek przyszedł na świat, była już stara, niemal w wieku babki. Mieszkali w wiosce, którą on nazywał Porąb i która teraz nosiła nazwę Mielkenhof, matka Tadka była tamtejszą nauczycielką.

– To była wioska chłopów uprawiających ziemniaki. Ale ona uczyła w szkole. Była mądrą kaszubską dziewczyną, która chciała, by wszystkie mądre kaszubskie dziewczyny zdobyły wykształcenie. Miała na imię Wanda. Gdybym miał córkę, ona też powinna być mądra i nosić imię Wanda.

Gdy do kaszubskiej wioski chłopów uprawiających ziemniaki i mądrych dziewcząt wkroczył Wehrmacht, matka Tadka wybiegła na drogę i zawołała: „Stać, stać, tu są tylko kobiety i dzieci, wszyscy mężczyźni wyszli w pole”. Z jednego z czołgów jakiś żołnierz wycelował w jej głowę ze służbowej broni. Może dlatego, że się nudził. Może dlatego, że nosiła czerwono-białą chustkę. Albo dlatego, że feldmarszałek Luftwaffe, nazwiskiem Kesselring, wystosowywał do swoich ludzi odezwę: „Istoty, które widzicie, nie są ludzkie. Tylko walczący niemieccy żołnierze są ludzcy”.

Więcej Tadek nie wiedział, a w zasadzie nie mógł nawet być pewien, czy to, co wie, jest zgodne z prawdą, ponieważ nie widział tego, przebywał wtedy na tournée we Francji. Jego francuski agent naciskał, by tam pozostał, ale gdy tylko nadeszły wieści o wybuchu wojny, Tadek w ryzykowny sposób przedostał się do Polski. Miał tam matkę.

– No dobrze – zgodził się agent. – Niech pan spróbuje wyrwać tę damę z kotła czarownic, ale gdy już pan ją znajdzie, niech pan wraca do nas, do Paryża, a nie zostaje w Polsce. Pomożemy panu. Są środki i sposoby.

Tadek jednak nie wrócił do Paryża. Zapowiedziane koncerty zostały odwołane, a lubiany tenor uznany za zaginionego. Pojawił się dopiero po kilku miesiącach: na liście niebezpiecznych polskich bandytów, którą prowadzili naziści, a następnie powielali i przyczepiali na tablicach ogłoszeń. Kto znalazł się na tej liście i został pochwycony, umierał. Jeśli miał szczęście, szybko. Jeśli nie miał szczęścia, wytrzymywał bardzo długo.

Ale Tadek nie dał się schwytać. Był sprytny i twardy, i śmiertelnie zdeterminowany. Jego organizacja, która utworzyła podziemną siatkę, wcześniej nosiła nazwę Służba Zwycięstwu Polski, a teraz Armia Krajowa. Partyzanci. Sabotażyści. Wojskowi, którzy uciekli do podziemia, zamiast dać się wywieźć na roboty przymusowe. Broń zdobywali, atakując niemieckie transporty, Brytyjczycy zaś przeprowadzali dla nich loty ze zrzutami sprzętu. Podkładali ładunki wybuchowe i wysadzali pociągi, drogi i mosty.

Za Oliwą omyłkowo wyleciał w powietrze nie ten wagon, który wiózł do Gdyni oddział piechoty, tylko wagon z kobietami i dziećmi. Piechota otworzyła ogień, a Tadek, który był już przemęczony, pośliznął się na zboczu, przekoziołkował i upadając, dostał trzy postrzały: jeden rozorał mu twarz, drugi trafił w mięśnie prawego barku, a ostatni, najniebezpieczniejszy, w lewe udo. Tadek przeleżał bez ruchu ukryty w mokrej

trawie, aż prześladowcy odeszli. Dla Gundi pozostawało zagadką, jak doczłogał się do Sopotu, przed jej drzwiami.

Tęsknota, myślała czasami, gdy potrzebowała takich myśli. Pewność, że przeżyje, jeśli znajdzie się w jej ramionach. Na progu upadł i stracił przytomność. Gorączkował, rzeził, a z dwóch ran na jego ciele szybko wypływała pulsująca krew.

Pomimo najlepszych chęci Gundi nie zdołałaby sama zaciągnąć ciężko rannego mężczyzny do bezpiecznego wnętrza domu. Nie miała wyboru, musiała sprowadzić na pomoc Polki. Nie mogły umieścić go w spiżarni na sery, bo nie było tam już miejsca nawet na kurę, nie mówiąc o dużym mężczyźnie. Zabrały go zatem na antresolę, wpuszczoną pomiędzy sufitem drugiego piętra a strychem, i przeznaczoną na składzik. Nie dało się tam stanąć w wyprostowanej pozycji, a gdy ktoś znajdował się w pokoju poniżej – w małżeńskiej sypialni Gundi – mógł usłyszeć każde kaszlnięcie Tadka. Ponieważ jednak Gundi nie miała innego wyboru, łatwo podjęła decyzję.

– To, co robisz, jest lekkomyślne – ostrzegała Róża. – Masz dziecko, masz w domu nas. Co będzie, jeśli go u ciebie znajdą?

– A co mam zrobić?! – po raz pierwszy Gundi krzyknęła na nią. – Zatrzymać was i wydać jego? Albo odwrotnie? Tego przecież nie chcecie! Musicie mi pomóc – musimy sobie nawzajem pomagać.

– Nie – postanowiła Róża, nie dając się zastraszyć jej krzykom. – Ja tobie pomogę. Zosia nie. Nie chcę, żeby narażała się bardziej niż to konieczne.

Nie było to całkiem zrozumiałe, ale Gundi na to nie zważała. Gdy tylko mogła, sama zajmowała się Tadm, ale chciała, by jedna z Polek towarzyszyła mu, gdy ona nie miała takiej możliwości. Najgorzej było wtedy, gdy Lore i Erik przebywali w domu, a jej nie opuszczała myśl, że Tadek leży nad ich głowami bez opieki i cierpi, że kończy mu się woda, ona zaś nie może do niego pójść. Wymyślała wszelkie możliwe wymówki, by posłać gdzieś Lore i Erika. Ci na szczęście martwili się o Gundi, bo wyglądała na zmizerniałą i wyczerpaną, więc prześcigali się w robieniu jej przysług.

Trzeba też było pamiętać o Ariane. Gundi nie miała innego wyboru, jak zostawić ją samą z Lore lub Erikiem.

– Masz milczeć, słyszysz? – zaklinała dziewczynkę. – Nikomu nie wolno ci powiedzieć ani słowa o ludziach w naszym domu albo twoja Róża umrze.

Napędzała córce ogromnego strachu, a świadomość, jakie to potworne, zwała ją z nóg, ale nie miała innego wyjścia. Ariane milczała. Wkrótce prawie zupełnie przestała się odzywać. Podczas zakończenia sezonu w Kasino-Hotelu Hermine Temp spytała Gundi, czy zastanawiała się nad przebadaniem córki, bo nie można wykluczyć, że dziecko jest niedorozwinięte.

Kiedys wybuchnę, myślała Gundi. Kiedys zacznę krzyczyć i uderzę któregoś z nich w tę tłustą, zadowoloną z siebie gębę. Ale nie mogła tak nawet myśleć. Im bardziej niebezpieczna stawała się sytuacja w jej domu, tym bardziej nienagannie musiała zachowywać się publicznie. Byle tylko nie wzbudzać podejrzeń. „Heil Hitler!” i „Za nasze zwycięstwo!”. Wykorzystywać każdą okazję, by zaśpiewać dla Forstera jego ulubiony *Świt na morzu*, ponieważ wciąż potrafił go zmiękczyć. Paplać, wygłupiać się, flirtować, być Gundi Słoneczkiem. „Żona oficera, mąż w marynarce na Atlantyku, a taka dzielna. Wszystkim nam tutaj wzmacnia morale”.

Umierała przy tym po tysiącuroć, choć to powiedzenie było bezsensowne. Szła później do Popa, rzekomo po to, by zatroszczyć się o staruszkę, ale tak naprawdę dlatego, że potrzebowała chwili, by się przestawić, minuty, gdy świat wydawał się jeszcze prosty i jasny, tak jakby wracał do porządku.

– Moja dziewczusko – powiedział Pop, który już tylko siedział przy oknie, patrząc na ogród ciotki Karl, gdzie co roku wiosną wysiewała Czarnooką Zuzannę. – Tego życzę ci w trakcie tych twoich licznych podróży – że w końcu dotrzesz do siebie samej.

Też tego pragnę, myślała Gundi, po czym jechała do domu, doglądała wszystkiego, zataczając się ze zmęczenia, a gdy wreszcie wszędzie zapanaowała cisza, zakradała się na antresolę. Klękała obok dyszącego z bólu Tadka, ocierała mu pot z czoła, nalewała wody i wreszcie kładła się u jego boku. Jej brzuch przylegał do jego pleców, które unosiły się i opadały wraz z oddechem, nieco silniej niż dzień wcześniej, choć nie mając lekarza ani leków, Gundi musiała pokładać nadzieję w twardej naturze Tadka, i przez bardzo krótką chwilę była przekonana: dotarłam. Czekam tylko na dzień, gdy wolno mi będzie zostać.

Gdy Tadek wyzdrowieje.

Gdy wojna się skończy.

Gdy będą mogli zejść z antresoli, trzymając się za ręce, wyjść na światło i zacząć swoje życie na nowo.

Tadek wyzdrowiał. Trwało to całe sześć miesięcy, jesień i całą zimę. Cierpiał przy tym niczym zwierzę w pułapce, bo na zewnątrz miażdżono jego kraj, a on sam nie mógł ruszyć palcem, by pomóc. Gdy tylko noga mu na to pozwoliła, zaczął ćwiczyć chodzenie. Jeśli tylko droga była wolna, schodził na dół, i bez przerwy zadręczał swoje ciało, by zmusić do ruchu przerwane, ledwo zaleczone mięśnie.

– Muszę wyjść. Muszę odnaleźć moich ludzi. Tych, którzy jeszcze zostali.

– Nie mów, Tadziu, że ty coś musisz. Jest was tylko garstka, a tej siły, z którą walczyacie, nie dały rady pokonać armie największych potęg. Przestań, zanim się wykończysz. Jesteś Kaszubem, więc gdy sytuacja się uspokoi, może odłożą tę starą sprawę do akt. Wtedy zapiszesz się na volkslistę i będziesz żyć jako wolny człowiek. Zaczнеш znowu występować. Podróżować...

– Dlaczego nie nazywasz rzeczy po imieniu, Gundi? – odparł tym nowym, gorzkim tonem. – Dawniej mniej się cackałaś. Tą „starą sprawą”, którą może odłożą do akt, jest fakt, że wysadziłem w powietrze pociąg, prawda? A mówiąc o „sytuacji, która się uspokoi”, masz na myśli dzień, w którym Hitler opanuje świat.

Nie dało się z nim o tym dłużej rozmawiać. Chciał wyjść i walczyć za swój kraj. W zasadzie nie inaczej niż Julius, pomyślała Gundi. To musiała być jakaś męska cecha, popęd, którego pomimo całej miłości nie rozumiała. Jeden raz wspomniała o tym, że w wagonie siedziały kobiety z dziećmi, kobiety jak ona i dzieci jak Ariane, które nie miały nic wspólnego ze śmiercią matki Tadka. Później nie dopuszczał już dalszych rozmów i zaczął dzielić świat na „wy” i „my”.

– Jesteście zwycięzcami. A my zwyciężonymi. Może nie powinnaś się wypowiadać o sprawach, których nie rozumiesz, Gundi.

Wybaczyła mu. Jego życie w kryjówce pod sufitem było piekłem, podobnie jak życie Polek w spiżarni na sery. Przeprosił.

– Uratowałaś mnie i ryzykujesz dla mnie życie. Powinienem przynajmniej być dla ciebie uprzejmy.

– O Boże, Tadziu, ty durniu, nie musisz być dla mnie uprzejmy. – Zarzuciła na niego ramiona i uściśnęła tak mocno, jak to tylko było możliwe bez robienia mu krzywdy. – Kocham cię. Nic dziwnego, że puszcza ci nerwy. Chciałabym tylko, żebyś czasami myślał o swoim bezpieczeństwie. Potrzebuję cię żywego. Przecież wciąż jesteśmy młodzi, największa część szczęścia jest jeszcze przed nami.

– Największa część szczęścia. – Roześmiał się i ponownie był dawanym sobą, dotknął ustami jej skroni, po czym uwolnił się delikatnie. – Gundi, moja mała szczęściaro. Nie martw się za bardzo, bo to do ciebie nie pasuje, i myślę, że jakoś dasz sobie radę. Nie mówmy tylko o miłości. Dopóki nie będziemy znowu wobec siebie jak równi.

– Zawsze będziemy wobec siebie równi, Tadku.

– Nie, nie będziemy. Uratowałaś mnie i muszę być ci wdzięczny. Jedno twoje słowo, a zabierze mnie gestapo. Jeżeli jednak pozwolisz mi odejść, wiesz, że nadal będę zabijał twoich pobratymców, którzy nie mają z tym wszystkim nic wspólnego. To nie jest fundament, Gundi, na którym może się oprzeć miłość, on nie jest stabilny.

Gdy myślało się za dużo, myśli kręciły się w kółko.

– Rób, co musisz, ale wróć do mnie, gdy będziesz potrzebować schronienia – powiedziała. – Jestem ulubioną śpiewaczką Forstera, u mnie jesteś tak bezpieczny, jak to tylko możliwe w tych szalonych czasach. Wróć. Obiecuj mi przynajmniej tyle.

To nie było jej jedyne zmartwienie. Lore wciąż zadawała dociekliwe pytania i wydawała się niemal opętana na punkcie Juliusa, który służył na Atlantyku na okręcie podwodnym U172. Czy Gundi nadal nie miała od niego wieści, czy Julius jednak nie przyjedzie na urlop, czy biedna Gundi nie była już chora ze zmartwienia o niego? Na domiar wszystkiego Zosia, niezawodna, zawsze wesoła Zosia, zaczęła tracić nerwy. Przez byle drobnostkę zalewała się łzami i nie dawała się uspokoić. Mówiła o Jeszku, o swoim ojcu, o wszystkich zmarłych i o tym, że sama wkrótce umrze, że byłoby lepiej, gdyby poszła i oddała się w ręce gestapo, zamiast dłużej obciążać rodzinę Gundi.

– To ta ciągła ciemność – stwierdziła Róża. – Nie jest do tego stworzona, to zatruwa jej nastrój i boję się, że ją zabije.

Chcąc ją pocieszyć, Gundi odsupłała ze swojego nadgarstka niebieską wstążeczkę, którą podarowała jej Lore, i zawiązała ją Zosi.

– Masz, Zosiu. To twoja tasiemka życia. Dopóki masz ją na ręce, nikt nie może ci powiedzieć, że nie żyjesz.

– Dajesz mi ją? – Zosia przestała płakać i otworzyła szeroko oczy. – Ale przecież sama jej potrzebujesz.

– Ty bardziej – odparła Gundi i mrugnęła do niej. Tej nocy Zosia poczuła się lepiej, ale Gundi wiedziała, że kolejny kryzys nie da na siebie długo czekać.

Prowadzenie domu stało się trudniejsze, ponieważ z każdym miesiącem wojny było coraz mniej dostępnych towarów. Dotyczyło to nie tylko żywności, ale także odzieży, leków, paliwa. Nikt jeszcze nie musiał marznąć, ale w trakcie wojennej zimy oficjalni mieszkańcy willi przy Ernststraße gromadzili się wszyscy razem w salonie, jedynym ogrzewanym pomieszczeniu. Gundi czuła się wyczerpana tym, że siedzi pośród najbliższych przyjaciół i jako jedyna dostrzega mur, który wzniosła między nimi jej tajemnica.

Mimo to, mimo wszystkich trudów, trosk i nierozwiązywalnych problemów, czasami z tęsknotą myślała o tym czasie. Miała przy sobie swojego ukochanego, który był, co prawda, w niebezpieczeństwie, ale znajdował się pod jej opieką i mogła o niego dbać, a rana uniemożliwiała mu ponowne zniknięcie z życia Gundi.

W marcu natomiast, gdy znowu mógł w miarę pewnie poruszać nogą, nic już go nie powstrzymywało. Od tamtej pory odchodził i wracał, ale ciągle był zaangażowany w swoją walkę. Fakt, że w tej walce jego naród stanął przeciwko jej narodowi, wydawał się Gundi absurdalny, zbyt odległy od jej rzeczywistości. Tutaj dorastała. Zawsze żyli tu Niemcy i Polacy, chodzili na plażę kąpać się, a wieczorami tańczyć do Pudła. Kłócili się, nawet lżyli, ale wytrzymywali ze sobą, potrafili się jakoś dogadać. „Sfora się gryzie, ale toleruje”, mawiał Pop.

Ich nazwiska były nie do rozróżnienia, tak bardzo wymieszane ze sobą, że trzeba było wymyślać nowe, jeśli chciało się je wyraźnie rozgraniczyć. Czy pewnego dnia znowu tak będzie i czy będą wtedy należeć do Niemiec, Polski czy do Wolnego Miasta – czy świat naprawdę się tym przejmował? Gdy miało się co jeść i gdzie ogrzać, gdy miało się kogo kochać, a co tydzień niedzielę, by się nią cieszyć, dlaczego trzeba było zaglądać do paszportu i gorączkować się tym, jaka narodowość jest w nim wpisana?

W ciągu tygodni i miesięcy, gdy nie miała żadnych wieści od Tadka, Gundi czuła się chora ze zmartwienia. Opoką dla niej okazał się Erik, który umiejętnie dbał o prowadzenie domu, nie zadając zbyt wielu pytań. Gdy nadeszła trzecia zima wojny, ponownie ograniczono racje żywnościowe, a mieli dwie – a czasami trzy – dodatkowe osoby do wyżywienia. Erik wiedział, jak zdobyć to, co Gundi zapisywała na liście zakupów, i na szczęście nigdy nie okazywał zdziwienia wobec szybkiego zużycia zapasów.

To Erik wpadł na pomysł, by ponownie wystąpili na „Gustloffie”. Statek przypłynął właśnie tu, do ich Pomerelii, i cumował w Gdyni, do której głupiej nowej nazwy Gotenhafen Gundi nie mogła się przyzwyczaić. Służył teraz już nie jako lazaret, ale jako kwatera dla personelu szkoleniowego dywizjonu okrętów podwodnych. Ich lśniący biały pływający pałac stał się szary, nosił maskujące barwy niczym okręt wojenny, i bez proporczyków i łańcuchów lampek wydawał się nagi. Nic nie przypominało o wesołej atmosferze, która dawniej panowała na pokładzie, ludziach, którzy z podekscytowaniem rozpoczynali urlop, jakby nieśli między sobą niebieskie torby. Wciąż jednak był to ich „Gustloff”. A szarość można było kiedyś z niego zmyć.

Swego czasu Julius szkolił się do wykonywania zadań na U127 przez rok, lecz teraz szkolenie trwało tylko trzy miesiące. Mężczyźni, którzy się zgłaszali, byli młodzi, często pierwszy raz przebywali poza domem. Dla nich wojna stanowiła przygodę, która jeszcze się dobrze nie zaczęła, a tu, w Zatoce Gdańskiej, która, co prawda, stała się pierwszym świadkiem działań wojennych, ale później została oszczędzona, byli bezpieczniejsi niż w swoich rodzinnych miastach, gdzie spadały bomby. Pragnęli rozrywki. Erich Goering, oficer marynarki handlowej, odpowiedzialny za organizację czasu wolnego dla uczestników szkolenia, z zachwytem przyjął ofertę Erika.

– Czworo z Sopotu! Nasi chłopcy będą w siódmym niebie, gdy usłyszą, że zagrają państwo dla nas.

– Niestety, ze zrozumiałych względów możemy chwilowo służyć wyłącznie Trojgiem z Sopotu – odparł Erik.

– Nie szkodzi. – Oficer Goering machnął ręką. – Jeżeli tylko będzie Gundi Słoneczko, zobaczycie same zadowolone twarze.

Tak się też stało. Podczas każdego występu młodzi mężczyźni szaleli z radości, co pozwalało również samej Gundi zapomnieć na chwilę

o wszystkim. Dzięki muzyce mogła dać coś tym chłopcom, którzy nawet nie podejrzewali, co ich czeka. Celowo skracała program i przez większość wieczoru spełniała życzenia. Wielu prosiło o utwory, przy których tańczyli w domu z narzeczonymi, a pewien grubiotki chłopak nazwiskiem Mitting poprosił o *La Paloma*, „bo to ulubiona piosenka mojej matki”. Najczęściej padała jednak prośba o *Świt na morzu*. „Chciałoby się zabrać ten utwór ze sobą. Wtedy zawsze miałyby się coś, co przypomina o domu”.

Występy dodawały sił i pomagały przetrwać. W dodatku mogli cieszyć się wspaniałym wiktem, dzięki czemu oszczędzali zapasy. Gdy latem 1942 roku ponownie ograniczono racje, bo wszystko, co dostępne, potrzebne było dla wsparcia wysiłku wojennego na wschodzie, okazało się to tym większym błogosławieństwem.

– Poza tym unikamy w ten sposób plotek – powiedział Erik. – Kto gra dla naszych bohaterskich chłopców, tego nie będą podejrzewać o jakieś ciemne sprawy.

– Co za ciemne sprawy? – spytała przerażona Gundi.

– O rany, każdy ma przecież coś na sumieniu – odparł Erik. – Na przykład moje kontakty z czarnym rynkiem. Nie miałem na myśli niczego konkretnego.

Podobnie jak wiele razy Gundi pożałowała, że nie może po prostu wyznać mu prawdy, podzielić się ciężarem tajemnicy, zamiast przy najmniejszej uwadze drzeć z lęku przed odkryciem. Co jednak miałyby zrobić, gdyby Erik zażądał, by wydała Polki? Sądziła, że zna swoich przyjaciół, ale z nich wszystkich Erika zawsze najtrudniej było przejrzeć, a nie można było wiedzieć, jaką twarz pokaże ktoś w takiej sytuacji. Nie można było tego wiedzieć nawet o sobie.

Jeśli chodzi o Tadka, i tak nie mogłaby wtajemniczyć Erika. Ukrywanie dwóch niewinnych, prześladowanych dziewcząt, które w czasie pokoju były ich domowniczkami, to jedno, ale chronienie poszukiwanego listem gończym bandyty to co innego. Erik nie lubił nazistów, lecz był Niemcem. Śmierć cywilów w Oliwie, która o mały włos dosięgłaby i jego samego, wstrząsnęła nim i wzbudziła jego gniew. Erik był też przyjacielem Juliusa. Kiedyś – w tamtych szczęśliwych czasach, gdy nie wiedzieli, że nadal są szczęśliwi – powiedział do Gundi: „Jeżeli już musisz zdradzać swojego męża, wypadaloby przynajmniej robić to ze mną”.

Zabrzmiało to jak żart. Ale w przypadku Erika nigdy nie miało się pewności.

Jeszcze mniej na powierniczkę nadawała się Lore. Była kłębkim nerwów. Jej matka zupełnie straciła rozum i noc w noc uciekała do schronu przeciwlotniczego, choć Gdańsk nadal nie był ostrzeliwany. Lore traciła siły pomiędzy ciągłymi niezbędnymi wizytami u matki, pracą dla Czwojga z Sopotu oraz niesieniem pomocy potrzebującym, do czego czuła się zobowiązana. Zbliżała się czwarta zima wojny, walki na wschodzie, które pochłaniały zasoby Rzeszy, stawały się coraz cięższe, a listy poległych, publikowane przez „Vorposten” „w dumnej żałobie”, co tydzień dłuższe.

Sen o tym, że czyta imię Juliusa na tablicy przed Domem Zdrojowym, nigdy już nie nawiedził Gundi. Wierzyła po prostu, że Julius przetrwa, ponieważ musiała w coś wierzyć. Poza tym mówiło się, że służba na okręcie podwodnym na Atlantyku jest znacznie bardziej bezpieczna niż obsługa moździerza pod Stalingradem, co nie dziwiło wobec nadciągającego chłodu. Lore jednak wertowała te listy niczym opętana. Upięrała się, by przy zdjęciu Juliusa na gzymsie kominka stawiać codziennie świeże kwiaty, i niemal histeryzowała, gdy o tym zapomniano. Zamiast odpocząć, jak radzili jej Gundi i Erik, rozdawała na molo wełnianą odzież marznącym mieszkańcom Sopotu i bez przerwy jeździła do Gdańska, by wyciągnąć matkę z kąta w bunkrze.

Na prośbę Lore, by mogła zabrać matkę do nich, do Sopotu, Gundi musiała odmówić, zasłaniając się najróżniejszymi wymówkami, choć czuła się przy tym potwornie. Matka Lore powoli traciła rozum. Gdyby przebywała w domu, Gundi nie miałyby już ani chwili spokoju i byłoby tylko kwestią czasu, nim Zosia i Róża zostałyby odkryte. Nie mówiąc już o Tadku. Po Bożym Narodzeniu znowu do niej przyszedł, w środku nocy, tym razem ranny na skutek upadku i bliski zamarznięcia. W rezultacie nabawił się poważnego zapalenia płuc i potrzebował pięciu tygodni, by jako tako się wyleczyć.

Gundi wstydziła się tego niepomnie, ale choć bardzo współczuła przeciążonej Lore, w duchu cieszyła się, że obowiązki tak często zmuszają siostrę do wyjścia z domu. Dzięki temu mogła ulżyć Tadkowi w jego losie. Gdy w domu zostawała wyłącznie Ariane, która nauczyła się już zajmować sama sobą, Gundi mogła pozwolić mu opuścić jego więzienie i poruszać się swobodnie przynajmniej w granicach jej sypialni. Żeby poczuł się jak człowiek. Na prośbę Tadka przyniosła na

górze radio, przy którym majstrował tak długo, aż zaczęło odbierać to, na czym gorąco mu zależało: doniesienia wojenne z wrogich rozgłośni.

Tylko dlatego, że słuchał takich wiadomości, pewien mleczarz z Seestraße trafił do pobliskiego obozu w Stutthofie. Hermine Temp grzmiała wręcz, że należy skazywać na śmierć zdrajców, „którzy słuchają tej wstrętnej nagonki, podczas gdy nasza młodzież idzie w Rosji na rzeź”. Z powodu radia Tadek sprowadzał na Gundi jeszcze większe niebezpieczeństwo, ale więź ze światem zewnętrznym była dla niego ogromnie ważna – to jak ostatnia deska ratunku. Gorączkowo wyczekiwał dnia, gdy ponownie włączy się do walki, ale nadal zbyt szybko opadał z sił. Gdy Erik i Lore wychodzili z domu, Gundi prosiła Tadka, by położył się na jej pachnącym, wygodnym łóżku i odpoczął. Sama kładła się obok niego i w końcu znajdowała odrobinę spokoju.

Tak jak teraz. Nie chciała, by psuł te cenne chwile Hitlerem, Stalinem i swoim zgorzknieniem. Całym tym „wy” i „my”. Po blisko dwóch i pół roku, gdy dzieliła jego życie, jego walkę, jego cierpienie, nadal nie pozwalała jej mówić o miłości ani nawet nalegać na to, za czym tęskniła każdym kawałkiem siebie – pożałowała Tadka.

Jego zniszczone, wyczerpane, wychudzone ciało ciągle było dla niej tak piękne jak postać mężczyzny w rozkwicie, którego poznała przed pięciu laty na statku. Chciała poczuć jego skórę na swojej, by przypomnieć sobie, że są młodzi, żywi i wciąż dość silni, by przetrzymać to, co ich spotkało, by to pokonać i pewnego dnia zostawić za sobą. Chciała chwycić się go wszystkimi członkami, stać się z nim jednością, sprawić, by zapomniał o „wy” i „my”. Chciała mieć go znowu całego i czasami, otumaniona miłością i strachem, myślała nawet, że chciałaby nosić jego dziecko. Nowe życie w swoim brzuchu, aby uchronić Tadka od śmierci. Nową Wandę na nowe czasy, mądrą kaszubską dziewczynkę, która, jeśli nic lepszego nie przyjdzie jej do głowy, mogłaby nawet zostać nauczycielką.

Małą nauczycielką z akordeonem.

Ale on nie zrobił jej dziecka. Nie pozwolił nawet rozpiąć sobie koszuli i natrzeć piersi wódką francuską dla wzmocnienia chorych płuc, tylko zsunął koszulę z ciała i zrobił to sam. W dodatku zranił ją, bo zaśmiał się gorzko:

– To niesmaczne, Gundi. Na zewnątrz kładzie się pokotem wróg, któremu podłożyłem bombę pod tyłek, a tutaj ja sam pokładam się z nim

w łóżku. Nawet w tak gównianej wojnie należy, moim zdaniem, zachować minimum stylu.

– Nie jestem twoim wrogiem! – krzyknęła na niego, a on zaśmiał się ponownie, szybko objął i przeprosił. Była wdzięczna za to, że wolno jej przynajmniej leżeć obok niego, cieszyć się jego bliskością i raz po raz go dotykać. Napełniła kieliszki winem, tręcili się.

– Za nas. W naszych zwykłych i sekretnych godzinach, Tadziu.

Chwilę potem znowu mówił o wojnie, o przechwyconych doniesieniach z wrogich rozgłośni, zapowiadających zwrot. Takie doniesienia jednak pojawiały się już wielokrotnie, a nic się nie działo.

Tadek twierdził, że wtedy chodziło o siły Zachodu, które przez to, że kierowały się współczuciem, humanitaryzmem i okolicznościami były słabsze. Nie o Stalina. Nie o rosyjską zimę.

– Byłaś już kiedyś w Rosji, moje słoneczko? Zimą? Widziałaś już kiedyś człowieka, który nie może unieść głowy z powodu sopli lodu w brodzie? Współczucie wtedy zamarza. Potrzeba było diabła, by przegonić diabła, i diabeł tego dokonał. Wasi bohaterowie ze stali Kruppa nauczyli się drzeć przed rosyjskim diabłem. Skapitulowali, moja słodka. Podkulili zamrożone ogony.

– Nie chcę o tym rozmawiać. – Gundi otrząsnęła się, jakby musiała strącić lód z własnego ciała. Pochyliła się nad Tadkiem i pocałowała go w czoło, wtedy poczuła, że nadal ma gorączkę. – Minęło już tyle czasu, odkąd mieliśmy wieczór dla siebie. Ariane śpi, Erik jest na negocjacjach u Forstera, a Lore w jednej ze swoich organizacji charytatywnych i pojedzie na noc do matki. Mamy spokój. Potrzebuję tego, Tadku. Odkąd żyję, nigdy jeszcze nie czułam się tak wykończona.

– Pozwól, że cię poprawię. Nie mamy spokoju, bo nie ma pokoju. Tu właśnie, jak się obawiam, leży pies pogrzebany.

– Jestem zmęczona, Tadku, nie słyszałeś? Czy możesz zachować swoje wykrety na inną okazję?

– Ależ chętnie. Będzie teraz wiele innych okazji. Chodzi mi o kapitulację. Dla mnie to powód do świętowania. – Upił łyk wina.

Komuś innemu powiedziałaaby, żeby pocałował ją tam, gdzie słońce nie dochodzi, poszłaby do ogrodu zimowego i odreagowała swój gniew przy akordeonie. Ale nadal potrafiła wyczytać Tadcowi z oczu, jak bardzo cierpi. Uderzał na oślep z bólu, nie z nienawiści do niej. Gdyby ktoś

strzelił mojemu Popowi w głowę, pomyślała, czując mdłości, gdyby ktoś skrzywdził mojego Popa, kiedy ja byłam daleko i nie mogłam mu pomóc, z bólu i nienawiści przestałabym być człowiekiem. Stałabym się taka jak Stalin i rosyjska zima. Diabłem.

– Ach, Tadku. – Położyła mu dłonie na piersi. – Trzęsiesz się z gorączki. Rozgrzeję cię.

Pozwolił jej na to.

– Ten wasz Erik – rzucił. – Dlaczego właściwie negocjuje z Forsterem? Sądziłem, że ten odpowiada tylko za masowe morderstwa, a nie za dobór do nich stosownej muzyki.

– Odpowiada za nas, bo lubi *Świt na morzu* – odparowała Gundi i musiała zagryźć wargi, by odsunąć od siebie to, co powiedział.

– Ach, *Świt na morzu*. – Uśmiechnął się Tadek. – Każdy przecież lubi *Świt na morzu*, więc moglibyście negocjować z połową świata.

– Ale Forster przy nim mięknie. Nie potrafię ci tego wytłumaczyć. Kiedyś, przed laty, błagaliśmy go, by uwolnił pewne żydowskie dziecko, a on twierdził, że o niczym nie wie. Potem zagraliśmy *Świt na morzu* i niecałe dwanaście godzin później chłopak na powrót był z matką.

– Rozumiem. *Świt na morzu* sprawia, że diabeł mięknie. Co za szczęście, że w Rosji jest za zimno, by zagrać to Stalinowi.

Z dołu domu dobiegł trzask. Głośny jak wystrzał. Ktoś krzyknął, potem zapłakała Ariane, a na schodach zastukały szybkie kroki. Gundi знаła swój dom wraz z echem dźwięczącym w pomieszczeniach, wiedziała, że szereg nieistotnych zdarzeń może wywołać w nim chaos odgłosów, choć nie ma powodu do zmartwień. Potem jednak drzwi do jej sypialni otworzyły się z hukiem i uderzyły o ścianę.

– Gundi, Helma nie żyje! – zakrzyknęła Lore. – Powinnam była jej pomóc, wiedziałam, że potrzebuje pomocy, ale nie miałam odwagi. Myślałam, że nie wolno mi narażać nas wszystkich na niebezpieczeństwo, a teraz ona nie żyje!

Przerażona Gundi potrzebowała chwili, by przypomnieć sobie, kim jest Helma. Tej chwili potrzebowała również Lore, by pojąć, co przed sobą widzi. Potem zaczęła znowu krzyczeć, tym razem przesywająco i bez słów.

Helma Determann, kochanka Natana Elkelesa, najwyraźniej coraz rozpaczliwiej szukała kogoś, kto by jej pomógł albo przynajmniej jej wysłuchał. Po tym, jak dwukrotnie została aresztowana i przesłuchana przez gestapo, poruszała się po Sopocie niczym trędowata: każdy, kto ją zobaczył, przechodził na drugą stronę ulicy. Ta kobieta, która straciła męża i dzieci, straciła także wszelkie oparcie. Wyglądała jak duch. Otułony w czerń duch, przeklinający miasto. W końcu spróbowała przedostać się do obozu jenieckiego w Stutthofie, by uwolnić Natana, i wtedy została zastrzelona.

– To nie jest obóz jeniecki – powiedział Erik. – Stutthof to obóz koncentracyjny, Gundi.

– Czy ma znaczenie, jak się nazywa?

– Każdy powinien sam o tym decydować.

– Też się zastanawiałam, dlaczego Natan nadal musi tam siedzieć. Trzy lata, na które go skazali, dawno już przecież minęły.

Na szczęście dla nich wszystkich Erik wrócił tej nocy dopiero wtedy, gdy Róża zdołała już uspokoić oszalałą ze strachu Zosię i zaciągnąć ją z powrotem do kryjówki. Tadek uciekł z domu, a Lore siedziała przy toalecie, gdzie posadziła ją Gundi, i krzyczała. Gundi na kolanach błagała ją, by milczała, aby tylko nie zdradziła ukrywających się dziewcząt. Nadchodzącemu Erikowi opowiedziała pośpiesznie i nieskładnie o Helmie, o której śmierci dowiedział się już w drodze powrotnej do domu. W Sopocie wieści rozchodziły się szybko.

– Zabroniłam Lore zabrać Helmę do nas – wyjąkała Gundi. – Uznałam, że to zbyt niebezpieczne, a teraz ona nie żyje. Lore wini mnie za to i ma rację.

Krzyk Lore zamilkł i Gundi była pewna, że w ciszy Erik słyszy bicie jej serca.

– Słusznie postąpiłaś – powiedział Erik przyciszonym głosem. – To byłoby zbyt niebezpieczne.

– Nie, Eriku, nie miałam racji. Helma była przyjaciółką Lore, a dla naszych przyjaciół zawsze musi znaleźć się miejsce w tym domu. – Po

czym zwróciła się do Lore: – Proszę, wybacz mi i sprowadź tu przynajmniej swoją matkę. Nie mogę uwierzyć, że zabroniłam ci nawet tego.

Lore uniosła wzrok, jej twarz była zaczerwieniona i wykrzywiona.

– Nie mam przyjaciółki – powiedziała. – Moimi przyjaciółmi zawsze byliście tylko wy. I ja też nie mogę uwierzyć w to, co zrobiłaś.

O wszystkim innym jednak – Róży, Zosi, Tadku – milczała i Gundi na zawsze miała być jej za to wdzięczna. Lore podjęła grę, pozwoliła, by Erik nalał jej wódki i w końcu odprowadził do łóżka. Nie zabrała swojej matki na Ernststraße.

– To prawda – powiedziała następnego dnia do Gundi. – Jeśli moja matka wywęszy, co tu się dzieje, zaraz pobiegnie do jakiegoś bloku kwarta.

Gundi nie potrafiła zaakceptować tego, jak wysoką cenę musiała za to zapłacić. Straciła siostrę. Lore, która kochała ją bardziej niż kogokolwiek na świecie i która była pewna, że nigdy nic tego nie zmieni. Rozmawiała z nią uprzejmie niczym wieloletnia pracownica. Pomagała nawet w opiece nad Polkami, co szczególnie w przypadku Zosi było dla Gundi ogromną ulgą. Zajmowała się również Ariane, która tej nocy śmiertelnie się przestraszyła. Poza tym jednak zachowywała dystans. Rozmawiała na każdy temat, który poruszała Gundi, ale nie mówiła o sobie. Nie o tym, co je niegdyś łączyło.

Jej uczucia uzewnętrzniły się tylko raz, gdy trzy dni po wszystkich tych wydarzeniach powiedziała do Gundi:

– Jeśli chodzi o tego człowieka, z którym zdradzasz swojego narażającego w walce życia męża, nie musisz się martwić. Jego również nie zdradzę, jeśli trzeba będzie ponownie go tu ukryć. Co nie znaczy, że pochwalam to, co robisz Juliusowi i dla czego ryzykujesz bezpieczeństwo Ariane. Po prostu nie jestem zdolna do takiej zdrady. Nie po tym, co stało się z Helmą.

Gundi, która miała wrażenie, że przez lęk o Tadka straci zmysły, również za to była jej głęboko wdzięczna. Niełatwo jednak żyło się z kimś, wobec kogo miało się tak wielki dług. Było jasne, że jeśli los okaże się dla niej łaskawy, jeśli oszczędzi Tadka i ten raz jeszcze do niej wróci, Gundi nie będzie mogła go kochać, dopóki to wszystko nie minie i razem nie zostawią za sobą domu przy Ernststraße. Bolesna ironia polegała na tym, że od pożegnania na „Gustloffie” i tak już się nie kochali,

choć Gundi z każdym dniem była coraz bardziej przekonana, że stałoby się to owej nocy.

W przyszłości jednak nie mogło dojść do żadnej sytuacji, która dla niedoświadczonej Lore wyglądałaby na intymną. Żadnego objęcia. Żadnej krótkiej sekundy spokoju, przytulenia się na pachnącym łóżku.

Dopiero gdy zaczniemy żyć od nowa, myślała i wpatrywała się w swój nadgarstek, który bez prezentu od Lore wydawał się nagi.

Tamtego dnia Lore raz jeszcze odwróciła się w drzwiach.

– Naprawdę mam nie po kolei w głowie – powiedziała. – Wiesz, co najbardziej mnie w tym wszystkim boli? Że mi nie zaufałaś. Że jak zawsze nie byłam dla ciebie ważna.

Erik tymczasem starał się dowiedzieć, co spotkało Helmę, ponieważ Lore nie chciała o tym mówić. Nie było go przez tydzień, a gdy wrócił, złożył Gundi raport. Na jej uwagę, że Natana już dawno powinni byli wypuścić ze Stutthofu, odparł:

– Natan nie był wcale w Stutthofie.

– W takim razie gdzie?

– W Auschwitz. Stamtąd nikogo nie wypuszczają. Natan nie żyje, Gundi.

Nie, chciała krzyknąć i zasłonić uszy, nie chcę tego słuchać! Nie, jeszcze więcej śmierci – bo jak mam dziś wieczorem stanąć z uśmiechem na ustach i śpiewać wesołe piosenki dla tłumu chłopców w marynarskich strojach?

– Niewydolność serca – ciągnął Erik. – Nie miał nawet pięćdziesięciu lat. To musi być rodzinne, bo w ciągu ostatnich dwóch lat jego dwaj bracia, bratanek i kuzyn zmarli na to samo. Tylko najstarszy brat, ten, po którym Natan dostał automatyczny ołówek, nie żyje już od dłuższego czasu. Ten, którego zawsze nazywał Choinką. Na pewno on także zmarł z powodu niewydolności serca.

– Skąd o tym wszystkim wiesz? – wyrwało się Gundi. – To znaczy, na co zmarli krewni Natana i o tym, że nazywał swojego brata Choinką – swoją drogą, dlaczego Choinką?

– Bo miał tyle orderów z wojny światowej. Pierwszej wojny światowej. Natana to nie obchodziło, zawsze drwił sobie z wojskowych odzna-

czeń. A jeszcze bardziej z Żydów, którzy się nimi przechwalali. Mimo to zawsze nosił przy sobie ołówek brata. Więc jednak musiał go kochać.

– Eriku, powiedz mi, skąd to wszystko wiesz! Nie miałam pojęcia, że tak blisko przyjaźniłeś się z Natanem.

– Nie przyjaźniłem się z nim – odparł Erik. – Ze mną jest trochę tak jak z Lore: poza wami nie mam żadnych przyjaciół. Prawie żadnych. –

Po jego twarzy przemknął uśmiech. – A jako rozmówca nie jestem zbyt interesujący, nikt nie zadaje mi pytań. Zatem słucham. Tak jak sekretarz Forstera. Kto sam nie gada, ten dowiaduje się tego czy owego. Tylko ja niczego nie notuję, może dlatego, że nie mam starszego brata, który zostawiłby mi po sobie jakieś przybory piśmiennicze.

Gundi nawet nie starała się zrozumieć tych pokrętnych szczegółów, była zbyt zmęczona, zbyt przestraszona, a na dodatek smutna.

– Biedne dzieci – powiedziała. – Michel i Gaia. Sądysz, że dobrze im w Anglii? I czy myślisz, że mają zdjęcie Natana i Helmy? Bo inaczej w jaki sposób jako dorośli będą mogli przypomnieć sobie, kim byli ich rodzice?

– Natan sadzał małego na ladzie i uczył go mieszać whisky sour – wymamrotał Erik. – Można im tylko życzyć, żeby nie pamiętali. O ile ich samych też nie dosięgło. Londyn to podobno gruzowisko rozorane przez bomby.

Rok toczył się dalej tak, jak się rozpoczął. Był to najsmutniejszy rok w życiu Gundi. Opowieści Tadka o Stalingradzie okazały się prawdziwe. Niemiecka armia została otoczona i rozbita. Nie podano dokładnej liczby zabitych, ale mówiono o „największej ofierze niemieckiego narodu”, o „wojnie totalnej”, którą prowadzi rasa aryjska, by zwalczyć czyhające na Wschodzie zagrożenie dla całego świata.

– Sto tysięcy naszych chłopców – szacował w swoim kiosku sprzedawca lodów Holle, mając łzy w oczach. – Ale te bolszewickie świny oberwały trzy razy mocniej i mówię wam, że jeszcze dostaną.

Listy z nazwiskami poległych tylko z Gdańska i Sopotu były tak długie, że burmistrz Temp kazał postawić nową tablicę ogłoszeniową. Gundi nie chciała ich czytać, ale mimo wszystko zrobiła to i znalazła imię i nazwisko Max Tetzlaff. Młodszy brat Erika. Jego siostra, która nigdy nie była w pełni zdrowa, zmarła rok wcześniej w zakładzie Silber-

hammer. Gundi złożyła Erikowi kondolencje, ale ten odparł, że woli o tym nie rozmawiać.

– W przeciwnym razie nie byłoby już innych tematów. W Sopocie nie ma przecież rodziny, której to nie dotknęło.

Tydzień później Gundi pomogła kaszłacemu, niedołącznemu Popowi ubrać się ciepło, by pojechać z nim do Wrzeszcza na pogrzeb Gustava Kapahnkego. Później, na stypie w Kroog, Werner Schlichert powiedział:

– Można tylko zazdrościć staremu Kapahnkemu. Musi być miło, jeśli dziś można spokojnie odejść w swoim łóżku.

– Ach, przecież tego nie wiemy – odparł Pop. – Moglibyśmy to wiedzieć tylko wtedy, gdyby któryś z tych, co odeszli, powrócił. Ale żaden nie wróci. Ani mój przyjaciel Kapahnke, ani nikt inny.

Śmierć, śmierć, śmierć, gdziekolwiek się obejrzała. Od marca nie otrzymywała już od Juliusa jego banalnych listów, ale Forster, gdy tylko ją spotkał, donosił, że załoga U172 wspaniale służy ojczyźnie i cieszy się dobrym zdrowiem. W marcu zatonął natomiast brytyjski statek pasażerski „Pretoria”, ostrzelany torpedami z okrętu podwodnego Juliusa. Ze stu pięćdziesięciu ludzi znajdujących się na pokładzie nikt nie przeżył.

Matka Lore zmarła pod koniec lata, w trakcie którego większość hoteli pozostała zamknięta i nawet Kasino-Hotel musiał skreślić część potraw z karty dań. Podczas jednej ze swoich ucieczek do schronu starsza kobieta potknęła się i skręciła kark.

Jedynie życie Zosi i Róży stało się nieco lepsze, odkąd wiedziała o nich Lore. Gdy Erik wyjeżdżał na kilka dni, siadały czasami we cztery w ogrodzie zimowym i grały w rommé, czyli, jak mówiły Polki, remika. Gra toczyła się w napięciu i ciszy, a Zosia trzymała na kolanach swoją małą cytrę i raz po raz zaczynała jakąś melodię. Mimo wszystko była to pewna odmiana dla żyjących w zamknięciu kobiet. Melodie grane przez Zosię często były tak słodkie, tak wzruszające, że Gundi pragnęła w duszy grać z nią dalej i zrobić z tego piosenkę, ale nigdy już nie pozwoliła sobie ulec pokusie.

Pewnego grudniowego wieczora znowu siedziały razem i raczej piły wino, niż skupiały się na grze w karty. Róża naciskała na Zosię, że powinny się już położyć, ale Zosia, której w te karciane wieczory wracał nieco lepszy nastrój, zaczęła się bronić przed kuratelą Róży.

– Wiesz, jak się czuję, Rózo? Jakbym miała ledwie czternaście lat, a nie była prawie trzydziestoletnią kobietą. Nigdy nie dałaś mi dorosnąć – powiedziała po niemiecku.

– Mów po polsku! – zażądała Róża w swoim ojczystym języku. – To nie byłam ja, tylko wojna.

– Mówię po niemiecku, bo inaczej byłoby nieuprzejmie wobec Gunduli i Lore. A przed wojną robiłaś tak samo. Jeśli jesteś zmęczona, dlaczego sama się nie położysz?

– Nie pójdę bez ciebie – odparła Róża, teraz także po niemiecku. – Weź cytrę i chodź.

– A co mam robić tam, na dole? Ty siedzisz i godzinami piszesz do twojego Henryka listy, których i tak nie przeczyta. A ja? Nie mam swojego Henryka, nigdy żadnego nie miałam, nawet takiego, który umarł.

Róża wymierzyła Zosi policzek, od którego jej głowa odskoczyła w bok.

– Henryk nie umarł! Nie waż się tego powtórzyć albo... – Potem dotarło do niej, co uczyniła, a sądząc po przerażeniu w oczach Zosi, nie zdarzyło się to jej nigdy wcześniej. – Wielki Boże, Zosieńko, wybacz mi! Jak mogłam? – Odsunęła dłoń Zosi, którą ta przytrzymywała zaczerwieniony policzek, i przyłożyła w tym miejscu własną. Na Zosię spłynął potok najczulszych polskich słów, wśród licznych zdrobnień również takie, które pochodziły z niemieckiego gdańskiego dialektu, a dłoń Róży cały czas nie przestawała głaskać obolałej twarzy Zosi.

W końcu Zosia chwyciła dłoń siostry i wstała.

– Wystarczy, Różyczko, naprawdę – odezwała się po niemiecku. – To było paskudne, co powiedziałam, ale teraz jest już dobrze. Podziękujemy i pójdziemy spać.

Dlaczego dla nas nie jest to takie łatwe?, pomyślała Gundi. Brakowało jej Lore bardziej, niż się spodziewała. Czy zanim wojna się skończy, wszystko musi zostać zniszczone?, zastanawiała się. Byłoby to tak, jak gdyby policzyć do stu, wstać i odzyskać swoją tasiemkę życia, ale nie znaleźć nikogo, kto by jeszcze się bawił.

W korytarzu zabręczał dzwonek od ogrodowej furtki. Cztery kobiety drgnęły i spojrzały na stojący zegar, dawniej należący do Seesenów. Było już po dziesiątej. Kto mógł przyjść o tej porze, kto nie miał własnego klucza?

– Szybko, do piwnicy! – Lore pomogła Róży i Zosi, podczas gdy Gundula możliwie wolno wstała, nacisnęła brzęczyk i otworzyła drzwi. W blasku zamocowanej nad bramą latarni rozpoznała czarną limuzynę Forstera. On sam otworzył bramę i swoim nierównym krokiem zbliżał się ogrodową ścieżką. Lewa dłoń Gundi zacisnęła się na przegubie prawej.

– O, dobry wieczór, panie gauleiterze! – Jej głos był ochryply.

Wbiegł po schodach, stanął przed nią i objął dłońmi jej zaciśnięte dłonie.

– Szanowna pani, nie chciałem, by dowiedziała się pani tego oficjalną drogą. Ma pani moje najgłębsze wyrazy współczucia, bo dzieli pani los tak wielu kobiet naszego narodu. Ku mojemu ogromnemu żalowi otrzymaliśmy wiadomość, że 13 grudnia na środkowym Atlantyku okręt U172 wpadł w zasadzkę wroga i został zatopiony.

50

Marzec 1944

Na początku nowego roku wrócił Tadek. Tym razem nie był ciężko ranny, tylko wycieńczony, a po falach aresztowań w Prusach Zachodnich otrzymał rozkaz, by na jakiś czas się ukryć. Odmówił przeniesienia na południe, do Krakowa. Chciał być na swoich Kaszubach, gdy to wszystko się skończy, gdy „wasza wojna wreszcie zostanie przegrana”.

Szybko odzyskał rezon, poprosił o wybaczenie za swoją nieobecność i podziękował za to, że Gundi ponownie udzieliła mu schronienia. Uparł się jednak, że nie będzie znowu ukrywać się w domu, tylko w szopie na końcu ogrodu, choć nie była ogrzewana.

– Wierz mi, wiem, co jestem ci winien. Odwdzięczę ci się za to, Gundi. Gdy wojna minie, wstawię się za tobą i twoją rodziną. Zznam, co zrobiłaś dla mnie i tych dwóch sióstr, żebyście mogli tu zostać, jeśli będziecie tego chcieli.

– Dlaczego nie mielibyśmy móc tu zostać? Przecież to nasz dom.

Zaśmiał się, parskając.

– Może wyjaśnisz to ludziom, których dom nazywa się teraz Gotenhafen i w których łózkach śpią zakwaterowani tam Niemcy bałtyccy?

Wyjaśnisz to dwóm kobietom, które muszą ukrywać się w twojej spiżarni na sery, ponieważ nie wolno im już mieć domu w swojej ojczyźnie?

Gundi poczuła chłód. Kilka tygodni wcześniej, nim wiadomość o śmierci Juliusa okazała się fałszywa, Lore wymruczała coś podobnego: Armia Czerwona posuwa się nieustannie na zachód, może dotrzeć aż do Gdańska, a jeśli tak się stanie, lepiej, żeby ich tu wtedy nie było. „W samym Stalingradzie zginęło pół miliona ludzi. Mamy czekać z Ariane, aż znajdą nas ci, którzy chcą ich pomścić?”

Po kilku dniach Forster zjawiał się ponownie, tym razem z butelką wina musującego Henkell Trocken i wiadomością, że czterdziestu siedmiu członków załogi U172 odnaleziono żywych. Jednym z nich był Julius. Leczone go z powodu odmrożeń, ale jest na dobrej drodze do wyzdrowienia. Rozmowy o wyjeździe ucichły. Lore spytała natomiast, czy może napisać do Juliusa.

– Tylko pozdrowienia. Od nas wszystkich. Żeby po tym, co przeszedł, nie czuł się sam jak palec, tylko wiedział, że ma dom, który na niego czeka.

– Możesz przecież napisać do Juliusa, co chcesz.

Coraz częściej się zdarzało, że Lore odmawiała występowania z nimi na „Gustloffie”. Zaslaniała się dolegliwościami zdrowotnymi, wyczerpaniem i troską o Ariane. W końcu Erik i Gundi nauczyli się kilku utworów, z którymi radzili sobie we dwoje, przestali liczyć na Lore.

Choć brzmiało to cynicznie, pod względem czysto muzycznym był to prawdopodobnie ich najlepszy okres. Odbywali tyle występów, ile tylko mogli podołać. Gundi cieszyła się, gdy nie musiała przebywać w domu i walczyć z pragnieniem, by pobiec do szopy do Tadka i rzucić się mu w ramiona. Stał się teraz taki łagodny, rzadko już bywał gorzki i agresywny. Chciała mieć go przy sobie, kochać go i zaproponować mu, by ośmielili się spróbować i znowu razem zaśpiewali. Miłość i muzyka – czy obie razem nie powinny mieć leczniczej mocy? Ponieważ jednak ani jedno, ani drugie nie było możliwe, ponieważ obie te rzeczy musiały poczekać, wołała uciekać z domu i muzykować z Erikiem.

Oficer Goering potrafił to docenić:

– Gdybym miał coś do powiedzenia, dostałaby pani order za to, co daje tym biedakom.

Pewnego wieczora śpiewała *Świt na morzu* przy akompaniamencie wyłącznie swojego akordeonu i kontrabasu Erika, a gdy po ostatnim takcie zerwała się burza oklasków i Gundi uniosła wzrok, zobaczyła wśród publiczności swojego męża. Zrobiło się jej tak mdło, że zachwiała się i musiała chwycić się Erika.

– Julius.

Był wysoki, kanciasty, o blond włosach. Tylko tyle przypominało jeszcze mężczyznę, którego nie widziała przez prawie pięć lat. Podniósł się z krzesła i podszedł do niej, każdy krok stawiał powoli jak ktoś, kto dochodzi do siebie po odniesionej ranie, a jego twarz wykrzywił drżący uśmiech.

– Gundi.

Równie powoli ją objął, ale potem nagle ścisnął jej żebra tak mocno, jakby chciał je połamać. Aplauz narastał. Niektórzy z młodych mężczyzn wiwatowali i gwizdali.

W głowie Gundi kłębiły się myśli. Polki. Tadek. Czy uda jej się jakoś skontaktować z Lore, poprosić, by usunęła wszystkie ślady?

– Dlaczego... – zaczęła, jękając się. – Dlaczego nie napisałeś, że masz urlop?

– Nie mam urlopu – powiedział Julius z uśmiechem, który wydawał się przyklejony do jego twarzy. – To znaczy, mam kilka dni, które chcę spędzić tylko z tobą, z moją rodziną, ale potem już nie wyjadę. W każdym razie nie daleko. Teraz stacjonuję tutaj. Na „Gustloffie”. Jako oficer szkoleniowy.

Gdy z przerażenia nie zdołała nic odpowiedzieć, ciągnął:

– Tak za tobą tęskniłem, Gundi, myślałem, że od tego umrę. Potem zdarzyła się katastrofa, a później zaproponowano mi przeniesienie. Nie wyobrażasz sobie, jak jestem szczęśliwy. – Zawahał się. – A ty jesteś szczęśliwa, Gundi? Czy po tym wszystkim, co się stało, dasz nam jeszcze jedną szansę? Proszę cię o to. Muszę po prostu wiedzieć, że na świecie jest jeszcze coś poza krzykami umierających i obliczami tych, którzy nie mogą już krzyknąć.

Naraz wyglądał jak stary człowiek. Umysł Gundi pracował błyskawicznie – za wszelką cenę musiała powstrzymać go od powrotu domu, musiała dać trojgu ukrywających się czas na przygotowania.

– Tak, Juliusie, jestem szczęśliwa – zmusiła się do odpowiedzi. Ze wszystkich sił wmawiała sobie, że to nie kłamstwo, w każdym razie nie duże – była szczęśliwa, że Julius żyje, że jest zdrowy i bezpieczny. – Czy sądzisz, że moglibyśmy spędzić tę noc razem na statku? Na naszym „Gustloffie”? Tak jak wtedy, przed wojną...

Przed wojną „Gustloff” był miejscem jej miłości do Tadka, Julius wiedział o tym równie dobrze jak Gundi. Powinien przejrzeć jej grę. Ale był na to zbyt wyczerpany, zbyt samotny, zbyt wygłodniały, słyszał tylko to, co chciał usłyszeć.

– Tego chcesz, ukochana? Nie wiem, czy to dozwolone, ale porozmawiam z kapitanem Petersenem.

– Kapitan Petersen znowu jest na „Gustloffie”?

Julius potaknął.

– To daje człowiekowi dziwne i niezbyt logiczne poczucie bezpieczeństwa, prawda?

Nie było to dozwolone, ale Julius został uznany za bohatera wojennego, a niezbyt często zdarzało się, by któryś z nich wrócił cały. Poza tym był niejako reliktem z innej epoki, kiedy to kapitan marynarki handlowej wykonywał zadania, którym potrafił podołać. Petersen uczynił wyjątek. Mogli spędzić noc w kabinie Juliusa.

Gundi nalegała, by wypili jeszcze z Erikiem po kieliszku za powrót Juliusa, ponieważ potrzebowała odwagi, o wiele więcej odwagi, niż sądziła, że potrafi zebrać w swoim ciele. Erik się spieszył. Wiedział, że Gundi i Julius nie mogą doczekać się, aż zostaną sami – tak powiedział – i nie chciał ich zatrzymywać. Gundi kazała mu natychmiast poinformować Lore, że Julius wrócił.

– Ona też powinna się przecież cieszyć.

Potem nie miała już jak tego przeciągać.

Nie było tak źle, jak się obawiała, nawet jeśli wydawało się to zdradą wobec Tadka, który musiał spać sam w lodowatej szopie. Julius płakał w ramionach Gundi niczym małe dziecko. Potrzebował jej i to jej pomogło. Zakładała, że znalazł w karierze oficerskiej to, czego zawsze szukał, ale się myliła. Nie był do tego stworzony.

– Co takiego uczyniliśmy światu? – zapłakał, chwytając się jej, wbijając palce w jej ciało. – Zmiażdży nas, żeby nas za to ukarać, zniszczy

nas, tak że nie zostanie po nas ślad.

Potworne byłoby odrzucić tak zrozpaczonego mężczyznę. Nadal był jej przyjacielem, a współczucie, które odczuwała, było szczere. Przespała się z nim. Nie musiała zrobić tego więcej niż raz, ponieważ zasnęła bezsilnie w jej ramionach. Gundi czuwała, aż nadszedł świt. Potem na odwrócenie programu napisała dla Juliusa wiadomość, że wraca do domu, by przygotować wszystko na jego przybycie, i przekradła się na pokład. Wartownikowi przedstawiła swoją sytuację: musiała pilnie dostać się do Sopotu, by przygotować dla męża uroczyste przyjęcie. Mężczyzna zadbał o to, by ją odwieziono.

Gdy wchodziła do swojego ogrodu od strony morza, w porannej mgle ujrzała postać, która właśnie opuszczała dom przez jedne z drzwiczek do piwnicy. Jej serce podskoczyło.

– Tadek! Na miłość boską! A jeśli ktoś cię zobaczy?

Przemknął po mokrej trawie bezgłośnie niczym zwierzę.

– To ty krzyczysz, nie ja – szepnął, łagodnie zatkał jej usta dłonią, a Gundi wydało się, że dostrzega smutny, czuły śmiech, dla którego napisała muzykę do *Sekretnych godzin nocy*. – Chcesz, żeby usłyszeli cię sąsiedzi? Kobiety, które zadają się z Polakami, lądują w kacecie.

– Nieważne. Jeśli tylko będę z tobą.

– Nie będziesz, głuptasie. Mnie powieszają. – Jego usta dotknęły jej włosów. – Bądź ostrożna, dobrze? Naziści wiedzą, że przegrali. Jedyne, co zostało im do zrobienia, to skazać na zagładę tylu, ile tylko możliwe.

– Co robiłeś w domu? Lore z tobą rozmawiała? O tym, że Julius wrócił?

Potaknął pospiesznie.

– Nie bądź na mnie zła.

– Nawet bym nie umiała – odparła Gundi. – Być na ciebie zła. Tadek, nie wiem, jak zdołamy przetrwać te dni. Nie będzie łatwo przynieść ci do szopy coś do jedzenia, ale znajdę jakiś sposób i nie potrwa to długo. Chciałabym, żeby wreszcie się to skończyło i żebym mogła wyznać przed światem całą prawdę.

– Jeszcze nie, Gundi, jeszcze nie. Bądź rozsądna, dobrze? O mnie się nie martw. Muszę znowu wyjechać.

– Nie, Tadku! – zakrzyknęła. Nie chciała ponownie znosić strachu o niego, w duchu była tym wycieńczona.

– Jeszcze tylko raz. – Położył jej dłoń na ustach. – To może długo potrwać, ale potem koniec.

Musiała go puścić, choć czuła się tak, jakby odrywała się jakaś część jej samej. W każdej chwili ktoś mógł nadejść – Erik od strony domu lub nawet Julius od ulicy.

– Pocałuj mnie – poprosiła. – Tak jakby nie było to nasze kolejne pożegnanie, tylko ponowne spotkanie. Jakbyśmy mogli zacząć żyć od nowa.

W brzasku dostrzegła błysk jego zębów. Pochylił głowę i pocałował ją w usta, ale pospiesznie i delikatnie, nie namiętnie, tak jak tego rozpaczliwie pragnęła.

– Proszę, uważajcie na siebie. Teraz, na koniec, nie może się wam nic stać. Jeżeli z jakiegoś powodu będziesz musiała stąd wyjechać, zabierz ze sobą Zosię i Różę. Są same i bezbronne.

– To tobie nic nie może się stać! Tadku, jest mi obojętne, że mi tego zabroniłeś, nie mogę się dłużej powstrzymać: kocham cię.

Raz jeszcze na nią popatrzył, podarował jej długie spojrzenie, a potem puścił ją i zniknął we mgle, idąc w kierunku morza. Z sercem ciężkim jak ołów Gundi weszła do domu, który niedługo później obudził się do życia, a po trzech godzinach przyjechał Julius i został dwa dni.

Później, ku zdumieniu Gundi, powróciła swego rodzaju codzienność. Musiały zachowywać jeszcze większą ostrożność niż wcześniej i nie mogły już grać w karty na werandzie, ale dzięki występom na „Gustloffie” Gundi miała wgląd w plany służbowe Juliusa i potrafiła przynajmniej w przybliżeniu ocenić, kiedy istniało niebezpieczeństwo. Czasami, gdy również Erik przebywał poza domem, Gundi nocowała u Juliusa na statku, by dać Róży i Zosi kilka godzin swobody.

Jej miłość – a raczej to, co za nią uznawał – uspokajała Juliusa, usypiała jego czujność. Poza tym miał inne rzeczy na głowie, ponieważ wieści z frontu wschodniego, a niedługo potem ze wszystkich frontów stawały się coraz bardziej dramatyczne. Nawet jeśli nie słuchało się wrogich rozgłośni, tylko było zalewanym niezmienną propagandą ostatecznego zwycięstwa, nie dało się dłużej nie dostrzegać, że gigantyczna budowla Hitlera kruszy się ze wszystkich stron. Armia Czerwona prze-

gnała niemieckie oddziały z Ukrainy. Brytyjskie bomby zniszczyły Frankfurt, a gdy zbliżało się lato, oddziały Wehrmachtu musiały oddać Rzym. Dwa dni później alianci wylądowali w Normandii.

– Chciałbym, żeby wylądowali u nas – wyrwało się Juliusowi w chwili słabości po tym, jak przespał się z Gundi.

– Dlaczego?

– Ponieważ w Rosji poczynaliśmy sobie bardziej barbarzyńsko niż gdziekolwiek indziej – odparł. – A Stalin nie zna litości.

Gundi przypomniała sobie powiedzenie o diable, którego potrzeba, aby przegonić diabła.

– Polacy nienawidzą nas jak najgorszego zła – ciągnął Julius. – A jednak powinni sprzymierzyć się z nami, bo gdy nadejdą Rosjanie, w tym spustoszonym kraju upadnie wszystko, co jeszcze stoi. A podejrzanych o kolaborowanie z nami będą mogli rozstrzelać na miejscu.

– Nie mówisz chyba poważnie! – Gundi myślała o Tadku, zawsze tylko o Tadku. Wierzył w Stalina jako swojego wyzwoliciela – czy mogli trafić z deszczu pod rynnę, czy ich miłość będzie wtedy równie zakazana jak teraz?

– Niestety, mówię poważnie – odparł Julius. – Niektórzy moi koledzy odsyłają rodziny do krewnych w Rzeszy, ponieważ tam będą bezpieczniejsze, i gdybym miał taką możliwość, zrobiłbym to samo dla was. Niestety, nie mam żadnych kontaktów. Ta reszka rodziny, która mi została, zawsze mieszkała tylko w okolicach Gdańska, i nie ma nikogo, kto by wam pomógł.

– To nie wchodzi w grę, Juliusie! – zawołała Gundi. – Pop jest zbyt słaby, nie może już podróżować. – I co z Tadkiem? Jeśli ona znajdzie się w Rzeszy, jak Tadek ją odnajdzie?

Poza tym to nie miało sensu. Była przecież u siebie, do tej pory przetrwała wszystko, więc przetrwa i resztę, aż wreszcie nastanie pokój i zaczniesz nowe życie.

Chwilę potem Julius zmienił ton, spróbował się roześmiać i poprosił:

– Zapomnij o tych bzdurach, które gadałem. Moje nerwy nie uspokoiły się jeszcze po katastrofie i owszem, są obszary działań wojennych, gdzie obecnie nie idzie nam najlepiej. Ale to nie powód, żeby wpadać w histerię. – Posłał jej uśmiech, jeden z tych swoich uśmiechów z wcz-

snych lat. – Właściwie nie powinienem o tym mówić, ale ty przecież nikomu nie powtórzysz: mamy nową broń, prace nad nią są na ukończeniu. Gdy tylko będzie gotowa, zakończy wojnę zwycięstwem Niemiec.

Nie był to pierwszy raz, gdy Gundi słyszała o tej cudownej broni. Wydawało się, że każdy zna kogoś, kto właściwie nie powinien o tym mówić.

Nieco później zaczęły szerzyć się plotki o szeroko zakrojonej ofensywie Armii Czerwonej, która jeszcze przed końcem lata miała doprowadzić wojska do dawnej granicy Polski. W domu znowu sprawiała problemy Zosia, która źle się czuła i prawie nic nie jadła. Róża zapominała czasami o wszelkiej ostrożności i zakradała się do kuchni, by zabrać potrawy, które lubiła siostra i wmusić jej przynajmniej kilka kęsów. Gundi musiała ją ostro upomnieć, choć ta siostrzana troska bardzo ją wzruszała.

– Postępuj rozsądnie albo sprowadzisz na nas wszystkich nieszczęście. Muszę wiedzieć, że trzymacie się ustaleń.

– Siostra jest wszystkim, co mi zostało – odparła beznamytnie Róża.
– Nie pozwolę, by zagłodziła się na moich oczach.

– Oj tam – próbowała załagodzić sytuację Gundi. – Zosia zacznie jeść, jak zgłodnieje.

– Proszę, Gundulo, nie bądź na nią zagniewana. – Nikt nie zauważył, że do kuchni weszła Zosia. Wyglądała przerażająco: twarz opuchnięta, włosy, nawet w tej trudnej sytuacji zazwyczaj ładnie uczesane, zmierzwione. A co, jeśli poważnie zachoruje, jeśli będzie potrzebować lekarza?
– Dostała złe wieści. Najgorsze. Henryk nie żyje. Zginął na początku wojny. Na Westerplatte.

– Skąd to wiecie? – zawołała Gundi. Patrzyła na Zosię i czuła, że robi się jej niedobrze. Nigdy nie miała wątpliwości, że Henryk Kościuszko nie żyje. Szczerze mówiąc, czasami zapominała nawet, że Róża, która całkowicie poświęcała się opiece nad siostrą, w ogóle była kiedykolwiek zamężna.

– Tadek nam powiedział – odparła Zosia.

– Tadek? – Serce Gundi uderzyło mocno kilka razy, a jej dłonie zrobiły się zimne.

– W marcu – zawołała Róża, która wyglądała tak, jakby chciała się rozplakać. – Powiedział nam, gdy jeszcze był tu w marcu. Dowiedział

się tego na moją prośbę.

– Tadek musi uważać na własne życie – powiedziała Gundi. – Wiecie, że szuka go gestapo. Jeśli znowu tu przyjdzie, nie możecie prosić go o coś takiego.

– Bez obaw. – Róża spojrzała na nią wielkimi oczami i ku zdziwieniu Gunduli w jej wzroku nie kryła się drwina. – Nie mam drugiego męża, o którego miejsce pobytu mogłabym się dowiadywać.

Tego już za wiele, myślała Gundi, idąc do ogrodu zimowego, by znaleźć nieco spokoju przy swoim instrumencie. Wszystko zaczyna się mieszać, wątki się plączą, a ja przestaję nad nimi panować.

Tego dnia nie zdołała nawet zagrać na akordeonie. Mdłości powróciły i musiała odłożyć instrument. Gdy walczyła z odruchem wymiotnym, weszła Lore.

– Masz chwilę, Gundi? Muszę z tobą porozmawiać.

– Jasne. – Gundi starała się brzmieć tak spokojnie, jak to tylko było możliwe.

– Chcę, żebyśmy stąd wyjechały – powiedziała Lore, siadając naprzeciwko niej, tam, gdzie obok donicy z palmą i pierścionkiem od Tadka stała niebieska torba. – Pewna kobieta z Pomocy Zimowej jedzie z dziećmi do Berlina. Mogłybyśmy się do nich przyłączyć. Są jeszcze pociągi, są jeszcze przejezdne drogi i samochody, które mogą podwieźć kobiety i dzieci. Pogoda wciąż jest dobra na podróż. Mogłybyśmy spróbować znaleźć jakieś lokum, w nadziei, że Julius dołączy do nas, gdy to tutaj się skończy.

– Do diabła, nie mogę już tego słuchać! – wybuchła Gundi. – Nie wiem, dlaczego każdemu tak bardzo zależy na tym, by wygnąć mnie z mojego domu, ale nawet gdybym tego chciała, nie mogę odejść! Nie chodzi o Juliusa, Lore, chodzi o Popa. Nie rozumiesz tego?

– Pop chciałby, żebyś wyjechała, i wiesz o tym – odparła spokojnie Lore. – Chciałby, żebyście ty i twoje dzieci były bezpieczne.

– Moje dzieci?

– Nie próbuj wmawiać mi, że nie wiesz, że jesteś w ciąży – powiedziała Lore. – Jestem ostatnią osobą, która ma o tym pojęcie, ale tu, w domu, każdy wie. Masz już nawet brzuch.

Październik

Królewiec został zbombardowany. Podobno był pięknym miastem. Pfitzner tego nie wiedział. Nigdy tam nie był i miał inne zmartwienia.

Drzwi biura otworzyły się i wszedł Forster, pod pachą trzymał teczkę z dokumentami, którą rzucił na stół przed Pfitznerem. W ostatnim czasie ich spotkania coraz częściej odbywały się tutaj, w centrali przy Jopen-gasse. Dni wielkich przyjęć w ulubionym hotelu Forstera minęły. Pfitznerowi to nie przeszkadzało. Lubił tu być, widzieć przez okno flagi ze swastyką, powiewające nad jedną z najwspanialszych ulic jego miasta, i myśleć o pewnym starym wierszu.

Nie cenił poezji, ale te wersy coś w nim poruszały:

W ciszy strażnik z ganku wieży

Śpiewa swą pradawną pieśń...

Ach. Pradawną. Pfitzner wierzył, że nie będzie musiał po raz drugi przechodzić tej udręki, że nowe szczęście jego miasta potrwa kolejne tysiąc lat. Ale nie było mu to dane, został zmuszony ponownie przeżywać wszystko, ale będzie to ostatnie, czego doświadczy. Wcześniej zaś wyrówna jeden niezamknięty rachunek i pośle w otchłań tę dziewczynę, która odebrała mu siódmego Elkelesa. Bodo Ołówek miał bratanka, który siedział teraz w bezpiecznym gniazdku na tej przeklętej brytyjskiej wyspie, podczas gdy nazwisko Pfitzner miało zostać starte z powierzchni ziemi, a winna temu była głupia kobieta, która napisała głupią piosenkę. Piosenkę, której cały ten Forster – jak się okazało, słabeusz podobnie jak pozostali – nie potrafił się oprzeć.

Coś już znajdzie na tę kobietę. Przychodziło mu na myśl kilka osób, które mógł o nią wypytać i które prawdopodobnie w niezbyt odległej przyszłości same się do niego zgłoszą.

– W Warszawie odnieśliśmy wspaniałe zwycięstwo. – Forster wydał się zadyszany. Wskazał na dokumenty. – Nawet jeśli w tej szczyrzej dziurze, jaką było to miasto, stały kiedyś kamienne budowle, teraz jest tam już tylko kamienny cmentarz. Ha, ha.

Czy było coś bardziej zenującego od ludzi, którzy musieli śmiać się z własnych dowcipów?

– W tej przeklętej polskiej Armii Krajowej też nie został już kamień na kamieniu. To znaczy głowa na szyi. Ha, ha. Tutaj znajdzie pan materiały na temat tych gnojków, których bez trudu dopadliśmy, może pan je porównać ze spisem osób ściganych listem gończym. Oczywiście, mogą się zdarzyć błędy w identyfikacji. Kiedy wybuchają nasze granaty, to czasami niewiele zostaje z facjaty. W każdym razie wątpię, by któryś z tych przeklętych bandytów mógł jeszcze powłóczyć nogami.

Pfitzner odsunął stos akt na bok. Gdy Forster zauważył, że nie zwraca on uwagi na jego przechwałki o stłumieniu powstania w Warszawie, przestał przestępować gorączkowo z nogi na nogę i śmiać się kaszłaco pod nosem. Zamiast tego zrobił coś, co nie przychodziło mu łatwo: zamilkł. Przez chwilę obaj milczeli, po czym Forster zmienionym tonem odezwał się ponownie:

– Wiadomości z frontu wschodniego są, jak wiadomo, mniej radosne.

Pfitzner nie próbował nawet zaszczyścić tego zupełnie zbędnego stwierdzenia jakimś komentarzem.

– A pan, Pfitzner – zaczął znowu Forster. – Zawsze był pan czymś w rodzaju mojego sumienia. Pan mnie tutaj ściągnął. Niech pan nie myśli, że o tym nie wiedziałem. Mnie też informują o pewnych sprawach. Nie tylko pana.

Również na to Pfitzner nic nie odpowiedział. Jeśli ten człowiek chciał się z nim zbratać, żeby nie musieć samotnie mierzyć się z ostatnią grozą, zmierzchem bogów, trafił na niewłaściwą osobę. Pfitzner miał kiedyś braci, więc mu na tym nie zależało. Za oknem przy pieśni strażnika układała się do snu jedyna miłość.

– Niech mi pan powie jedno, Pfitzner. Tylko jedno.

„Dobrej nocy, Danzig. Śpij spokojnie, moje miasto”.

W gardle Pfitznera urosła gęsia skóra, utrudniająca oddychanie, przełykanie, mówienie, wszystko.

– Doradzają mi ewakuację mojego okręgu – powiedział Forster. – Nie mogę wyrazić się jaśniej, ale doradzają mi to z najwyższych szczebli władzy. Mam zasugerować ludziom ucieczkę na zachód, dopóki jest to jeszcze możliwe drogą lądową. To samo radzą gauleiterowi Kochowi w Prusach Wschodnich. Jeżeli ogromne masy ludzi z obu okręgów będą musiały wydostać się na statkach z Gdyni, należy liczyć się z nieuniknionymi stratami.

Pfitzner przełknął kulę. Ten człowiek, który nie uchronił miasta, nie miał nawet odwagi nazwać go po imieniu. To nie był jego okręg. Od tysięcy lat był to Danzig. Pfitzner postanowił, że będzie to ostatnia rada, której mu udzieli.

– Musimy liczyć się ze stratami. Ze stratami, które nie zostaną wyrównane nawet za tysiąc lat. Gdy będą na nas patrzeć z innych czasów, powiedzą: to oni trzymali w dłoniach ten klejnot, ale wypuścili go i pozwolili, by roztrzaskał się o nagie skały. Chce pan, żeby w dodatku mówili o nas: to były szczury, którym zabrakło odwagi, by stać niewzruszenie i pozwolić, by wraz z tym, co niezastąpione, roztrzaskały się także ich własne żalosne czaszki?

– Nie rozumiem pana, Pfitzner. Nie mówi pan jasno, tylko wręcz napawa mnie strachem.

– Tak robię? W takim razie udzielę panu jasnej odpowiedzi: żadnej ewakuacji. Zostaniemy tutaj do ostatniego tchu. Do ostatniej kropli krwi.

Forster wydawał się zastanawiać.

– Czy dobrze mnie pan zrozumiał? – spytał wreszcie. – Nie chodzi o nas samych, tu trzeba będzie poczynić inne kroki. Moje pytanie dotyczyło ewakuacji cywilów. Wszystkich tych tam na dole. – Machnął łokciem w stronę okna, jakby dokuczał mu jakiś owad.

Pfitzner przełknął ponownie, ale gęła w jego gardle się nie poruszyła.

– Jeżeli nie uratujemy tego miasta – wydusił – wtedy żaden z tych, którzy się w nim kryją, nie jest wart, by go uratować.

Forster otarł czoło. Potem wyprostował się.

– Rozumiem. I tak właśnie każe ogłosić: żadnej ewakuacji. Niemiecki Danzig stoi wyprostowany aż po ostatniego człowieka.

Pfitzner nic już nie powiedział, tylko wyglądał przez okno. Jego miasto usnęło, a pieśń strażnika przebrzmiała.

52

Listopad

Wczesnym popołudniem przyszła Sanne Gründlich, stara sąsiadka ciotki Karl, która tak dobrze, jak potrafiła, doglądała gospodarstwa Popa.

Gundi wiedziała, że musi przyjść w jeden z najbliższych dni, ale gdy stała przed drzwiami, ostatni kawałek ziemi usunął się jej spod nóg.

– Proszę szybko iść, panienko Słoneczko. – Stara pani Gründlich nigdy nie zrozumiała, że nie jest to prawdziwe nazwisko Gundi. – Jeśli chce go pani jeszcze zobaczyć, a na pewno pani chce. Wy dwoje byliście przecież jak Bollermann i Welutzke, gdy w sobotę wieczór szliście z dworca ze swoją torbą.

Gundi włożyła płaszcz. Po drodze pani Gründlich pogłaskała ją po brzuchu.

– Chciałby móc jeszcze je poznać, to biedne dzieciątko, które przyjdzie na taki zły świat.

Padał deszcz, co odpowiadało nastrojom. Sopot miał wszelkie powody, by płakać. Gdybym była Sopotem, nigdy już nie przestałabym płakać, myślała Gundi. Na Seestraße musiały przeciskać się obok oddziałów Volkssturmu, które nieporadnie próbowały się sformować. Wszyscy mężczyźni z Sopotu, którzy jeszcze zostali. Prawie wszyscy. Mężczyźni w wieku od szesnastu do sześćdziesięciu lat. Niektórzy przynieśli ze sobą tasaki i pogrzebacze. Gundi rozpoznała Reinholda Ziebhura, który we wszystkich możliwych organizacjach na próżno zabiegał o to, by móc umrzeć za Niemcy, a teraz wreszcie dostał to, czego chciał.

Dwa domy dalej waliło w drzwi dwóch mężczyzn w czarnych płaszczach. O gestapo mawiano, że przychodzi o świcie, by zaskoczyć ludzi w najspokojniejszej godzinie, ale teraz zjawiało się o każdej porze dnia i nocy, niemal stale odbywały się obławy i rozlegał się przesywający odgłos strzałów. Działo się tak, jak powiedział Tadek: naziści ciągnęli za sobą w przepaść każdego, którego jeszcze zdołali pochwycić. Róża i Zosia nadal były stosunkowo bezpieczne w domu Gundi, która żałowała, że nie mogła zatrzymać tam i Tadka. Ona sama wciąż była tym aniołem, który podarowywał kilka pięknych godzin młodzieutkim załogom okrętów podwodnych przed kolejną akcją. Nikt jej nie podejrzewał. Nikt nie walił pięściami w drzwi jej domu.

Groziło im za to inne niebezpieczeństwo: na Nowy Port spadły bomby. Mieszkańcom trójmiasta Gdańsk-Sopot-Gdynia nakazano zaciemnienie, choć Julius tłumaczył Gundi, że niewiele ono daje. Pozostawało żywić nadzieję, że alianccy piloci nie będą zainteresowani nadmorskim kurortem z kilkoma hotelami i obiektami uzdrowiskowymi.

Oraz że Armia Czerwona również nie będzie nim zainteresowana. Że uda się im wyjść z tego bez szwanku.

Nikt nie mówił już, że zwrot przyniesie cudowna broń. Armia Czerwona stała w Prusach Wschodnich. Z obszaru wokół Niemna ewakuowano do Zatoki Gdańskiej dwadzieścia tysięcy ludzi, a stale napływali kolejni, podróżujący drogą lądową do Prus Zachodnich. Kobiety, dzieci i starcy, siedzący na tobołkach z wypalonymi, śmiertelnie zmęczonymi obliczami, przypominającymi Gundi twarze wschodnich Żydów, którzy przed laty nie mogli skorzystać z karmy dla świni pana Martensiusa. O „Gustloffie” mówiono na przemian, że zostanie wykorzystany do ewakuacji części oddziałów lub udostępniony uciekinierom. Jeśli ktoś dobrze znał „Gustloff”, to Gundi. Z dużymi pomieszczeniami, wspaniałym systemem grzewczym i wciąż stosunkowo dobrym zaprowiantowaniem znakomicie nadawał się do przewiezienia uchodźców. Niewiele trzeba byłoby zrobić, by pomieścić tam cztery tysiące ludzi.

Sama Gundi nie zamierzała wyjeżdżać. Również nie teraz, myślała, oplakując Sopot. Teraz na pewno nie. W październiku stłumiono w Warszawie planowane od dłuższego czasu powstanie Armii Krajowej i tym samym praktycznie zniszczono ruch oporu. Według doniesień nikt nie przeżył, ale Gundi nie traciła nadziei, że Tadek wróci. Musiał wrócić, bo bez niego nie mogło być nowego życia. Gundi objęła dłońmi brzuch, który przeszkadzał jej w chodzeniu. Nie wiedziała, jak wyjaśni Tadekowi, że urodziła dziecko Juliusa. Ani czy on jej to wybaczy. Wiedziała tylko, że musiał żyć. Żyć na nowo. Nie mógł zginąć.

Na domku ciotki Karl z balkonem z podniszczoną błękitną balustradą wił się obumierający pęd Czarnookiej Zuzanny, na którym wisały jeszcze dwa czy trzy pomarańczowe kwiaty. Kto wysiał ją tej wiosny? Sanne Gründlich? Pop, który twierdził, że na ogrodnictwie zna się jak kura na pieprzu? A może rok po roku, nim obumarła, roślina wysiewała się sama, by wiosną ponownie wyłonić się z ziemi?

Jeśli następnej wiosny znowu urośnie, będę przychodzić ją podlewać, pomyślała Gundi, ślepnąc od łez.

Sanne Gründlich otworzyła drzwi.

– Jesteśmy, panie Frieböse! – zawołała. – Pańska dziewczuszka. Jeszcze raz przysła. – Pop nie leżał w łóżku. Sanne Gründlich zestawiła dwa fotele, tak że mógł spoczywać przy oknie, wsparty na poduszkach. Był chudy niczym szkielet z pomarszczoną skórą i ostatnią pierzastą kępką

siwych włosów na głowie. Gundi podbiegła do niego i ujęła zwisającą z oparcia rękę. Chciała założyć mu tasiemkę życia, żeby mógł policzyć do stu, do tysiąca albo do miliona, nieważne, byleby w końcu znowu ożyć. Ale tasiemkę życia podarowała Zosi.

Tak wiele pragnęła mu powiedzieć. Że był najlepszym, najlepszym na świecie, co tylko może spotkać małego człowieka, że nauczył ją, że świat jest dobry, ludzie przyjaźni, a życie piękne i że nigdy nie przestanie w to wierzyć, dopóki Pop jest częścią świata, ludzi i życia. Nie potrafiła jednak wypowiedzieć tego wszystkiego. Poza tym taka gadanina nie pasowałaby przecież do niej i Popa.

– No, dziewczuszko – powiedział Pop, głosem tak cichym jakby był już spakowany i gotowy do drogi. „Teraz tylko szybko, pociąg nie będzie czekał”, mawiał, gdy wracała biegiem do mieszkania, bo zapomniała czegoś, co powinno się znaleźć w niebieskiej torbie.

Gundi przełknęła i pociągnęła nosem.

– Co mogę powiedzieć, Pop, co mogę ci teraz powiedzieć?

Pomarszczona, bezsilna ręka Popa ścisnęła jej dłoń.

– Schietke sagt Liedtke – westchnął. Kiepska sprawa.

53

Gundi siedziała u Popa, dopóki Sanne Gründlich nie przysłała i nie powiedziała, że jest jej przykro, ale musi „teraz się nim zająć”. Potem Gundi wstała i na chwiejnych nogach wyszła na świat, gdzie nie było już ścian. Na podeście schodów przed ich domem stała Lore, która była chuda jak trzcinka, ale teraz wydawała się gruba jak beczka, jakby nałożyła na siebie trzy warstwy płaszczy. Na ramieniu miała coś w rodzaju plecaka, a w wolnej dłoni niebieską torbę.

Gdy zobaczyła nadchodzącą Gundi, odstawiła bagaże.

– Pop? – spytała.

Gundi zdołała tylko potaknąć.

Lore podeszła do Gundi i objęła ją.

– Moje kondolencje, Gundi. Gdyby dało się formować ludzi w takich, jacy powinni być, Pop służyłby za wzór.

Gundi ogarnęło poczucie wdzięczności. Wdzięczności za to, że Lore jest z nią, że nadal mają siebie, że zostanie przy niej ktoś, kto znał Popa.

Lore pozwoliła jej przez jakiś czas płakać, a potem wyprostowała się i ujęła twarz Gundi w swoje dłonie.

– Posłuchaj, tę ostatnią rzecz twój ukochany Pop też zrobił dokładnie tak, jak powinien, ponieważ musimy stąd uciekać, dopóki jeszcze możemy. Julius także to mówi. Kolejni moi znajomi wyruszają stąd i udają się w stronę Berlina. Obiecali, że nam pomogą, gdyby coś się stało po drodze. Jak się postaramy, powinniśmy dotrzeć do Rzeszy, nim dziecko przyjdzie na świat. Musimy tylko się pospieszyć – ci ludzie chcą ruszyć przed zmrokiem, by jeszcze dziś przebyć kawałek drogi. Wyjaśniłam sytuację Ariane, była rozsądna jak zawsze, i napisałam wiadomość dla Erika. Musiał zgłosić się do Volkssturmu. Myślę, że jeśli tylko się jakoś z tego wykręci, zdoła nas dogonić. Mężczyźni poruszają się szybciej niż ciężarne kobiety i dzieci.

Lore mówiła szybko jak karabin maszynowy – nie było szansy, by wtrącić choć słowo.

– Zobacz, wszystko już spakowałam, wystarczy, że weźmiesz płaszcz i wszystkie ciepłe rzeczy, które zdołasz owinąć wokół brzucha. W twojej ulubionej niebieskiej torbie mam stare naczynia, te ze stoczni Popa. Żebyś miała pamiątkę, po Popie, Sopocie, pięknych latach.

Ponieważ nadal nie zrobiła przerwy na oddech, tylko zamierzała mówić dalej, Gundi na chwilę zakryła jej usta dłonią.

– Wyświadcz mi przysługę i skończ z tymi bzdurami. Nie bierz mi tego za złe, ale niezbyt dobrze się czuję. Ten jeden raz nie potrafię być Gundi Słoneczkiem, która nadskakuje wszystkim dookoła, tylko potrzebuję trochę czasu dla siebie. Swoją idče fixe o ucieczce możesz męczyć mnie jutro, ale dziś chciałabym od tego odpocząć. Może zapomniałaś, że zmarł mój dziadek.

Lore odsunęła się.

– Nie zapomniałam! – Sprawiała wrażenie nieprzytomnej, niemal krzyczała. – Wiem przecież, ile znaczył dla ciebie Pop, i chętnie dałabym ci czas na żałobę, ale ci ludzie są naszą ostatnią szansą, by w miarę bezpiecznie wydostać się stąd, nim rozpęta się piekło. Musisz myśleć o dzieciach, Gundi, o dzieciach twoich i Juliusa.

To ostatnie zdanie było jak policzek. Jakaś część Gundi wiedziała, że reaguje zupełnie niewłaściwie, ale nie potrafiła już myśleć, bo w jej czaszce łomotało jak refren: „Pop nie żyje. Pop nie wróci. Popa nie ma już na tym świecie”.

Ponieważ to wszystko było ponad jej siły, odepchnęła Lore i pobiegła do domu. O wiele za szybko przy ciężkim brzuchu, który ukarał ją za to kłującym bólem.

Lore pobiegła za nią, podnosząc po drodze plecak i niebieską torbę.

– Gundi, nie mogę cię tu zostawić. Ani Ariane. Nie wiem, do czego jestem zdolna, jeśli nie nabierzesz rozsądku i nie pójdziesz ze mną dobrowolnie.

– Ariane jest moją córką i zostanie tu tak samo jak ja – odparła Gundi i dostrzegła, że drobna twarz Ariane pojawiła się w szparze drzwi do ogrodu zimowego. Dziewczynka jak zawsze milczała. Jak zawsze musiała przetrwać turbulencje swojego świata, nie mając przed nimi ochrony.

– Pomyśl o Juliusie! – błagała Lore. – Był tu, przyniósł pieniądze, powiedział, że to jedyne, co może go uspokoić i pocieszyć – jeśli będzie wiedział, że ty i jego dzieci jesteście bezpieczne.

– Do diabła, to mnie nie obchodzi! – zakrzyknęła Gundi. – Mam dość tej wiecznej gadaniny o Juliusie, mam dość obłudy i udawania, niedobrze mi od tego! Wiesz przecież, że moje serce nie należy do Juliusa, tylko do Tadka. To ci się nie podoba, nie pasuje do twojego ładnego obrazu świata, ale będziesz musiała się z tym pogodzić. Tam na zewnątrz wszystko się wali w gruzy, ludzie padają jak muchy, więc jakie ma znaczenie, że w twoich oczach kocham niewłaściwego mężczyznę, że pośród całej tej śmierci nie chcę zrezygnować z mojej odrobiny szczęścia? Tak, kocham Tadka, kocham go, odkąd go poznałam, i nigdy nie przestałam go kochać. Żal mi Juliusa. Ale nie mogę tego zmienić, tak samo jak nie mogę przywrócić życia Popowi, i zostanę tu, dopóki Tadek nie wróci. Wiem, że wróci, i będę na niego czekała. Wiem, że żyje.

– Ale dziecko... – wyjąkała Lore. – Przecież jest dzieckiem Juliusa?

– Nie, nie jest! – zakrzyknęła Gundi, z całej siły pragnąc, by to kłamstwo było prawdą. – Jest Tadka, mój ukochany Tadek zrobił mi je w naszych sekretnych godzinach pod kocem w szopie.

Lore pobladła. Jej wargi drżały tak silnie, że ledwo mogła otworzyć usta.

– Wszyscy powariowaliście – wyjąkała. – Ten cały Tadek zwariował! Tam gestapo przeszukuje po kolei wszystkie domy, by go znaleźć, a on robi tutaj dziecko dwóm kobietom naraz.

Przed Gundi rozmył się pokój, rozmyła się twarz Lore i zniknęła za pasmami mgły, które wypływały prosto z jej mózgu. Z gardła wydobył się dźwięk, który nie był ani ludzki, ani zwierzęcy, a w ciało wbił się nóż. Nie nóż, pogrzebacz. Tasak. Volkssturm.

– Nie powiesz mi chyba, że o tym nie wiedziałaś! – zaskrzeczała Lore, której rozmyta twarz zmieniła się w wykrzywiony pysk. – Że Tadek chodzi do Zosi do piwnicy, że od tygodni znowu się tu kręci, a ona gada o ślubie, gdy tylko wkroczą Rosjanie, nie wiedziałaś o tym wszystkim? Rosjanie dopiero jej pokażą. Nie będą się z nią cackać i potraktują tak samo jak nas, gdy dowiedzą się, że od pięciu lat mieszka sobie wygodnie u ulubionej śpiewaczki gauleitera Forstera.

Coś zatrzeszczało, a potem huknęło. W tym domu każdy odgłos brzmiał jak aplauz widowni w Operze Leśnej, w sali balowej Kasino-Hotelu albo w sali muzycznej „Gustloff”, gdzie szkolący się marynarze zasiadali właśnie przy muzyce do kolacji. W przedsionku otworzyła się kłapa do piwnicy i z otworu wyłoniła się Zosia. Jej brzuch był olbrzymi. Straszny. To nie był brzuch człowieka, tylko słonia, i nie dało się go przeoczyć. Ale ostatnio Zosia rzadko zjawiała się na górze. Sprawy załatwiała za nią jej przekłeta siostra, która kradła dla niej jedzenie Ariane, kłamała i z pewnością mogłaby nawet zabić.

Również teraz podążała tuż za Zosią i próbowała zaciągnąć swoją ukochaną siostrzyczkę z powrotem do piwnicy.

– Zosiu, Zosieńko, wróć do mnie, chcesz, żeby cię wydała? Myśl o swoim maleństwie, dziecku tego ogrodnika, młodego blondyna, który już tu nie przychodzi...

Zosia nie zwracała na nią uwagi.

– To dziecko Tadka – powiedziała, zwracając się tylko do Gundi. – Przykro mi, Gundulo. Byłaś dla nas dobra, jeszcze wtedy, nim przyszła wojna, i chętnie podarowałam ci moją piosenkę, bo tak bardzo jej pragnęłaś, a ja nie wiedziałam nawet, że jest coś warta. Ale Tadka nie mogę

ci podarować. Sama go potrzebuję. Ja i moje dziecko. Masz swojego męża, Gundulo. Jesteście Niemcami. Tadek i ja jesteśmy Polakami.

Gundi wpatrywała się w nią. W białą, nabrzmiałą plamę, którą była jej twarz i która poruszała się tam i z powrotem niczym boja na Bałtyku.

– Wzbudzacie we mnie wstręt – odezwała się Lore. – Wy wszyscy. Żal mi dzieci, najbardziej Ariane, ale nie wiem, jak mogłabym im pomóc.

Gundi zobaczyła, jak bierze plecak i niebieską torbę, którą ona sama nosiła dawniej z Popem na dworzec we Wrzeszczu, odwraca się i wychodzi z domu. Potem tasak ponownie uderzył w jej brzuch i zrobiło się jej czarno przed oczami.

54

Był ból i była czerń. Ból mógł ją zabić i to jej nie przeszkadzało. Tak było sprawiedliwie, uznała w trakcie krótkiego oddechu, gdy potrafiła myśleć jasno. W czerni tańczyły twarze Natana Elkelesa, Helmy Determann, Ludwika Brzezny, Staśka Kurowskiego, Jeszka Pajewskiego, Henryka Kościuszki i wszystkich innych, którzy zniknęli bezpowrotnie. Potem ból uderzył ponownie i nic już nie tańczyło.

Czerń panowała nadal, gdy spróbowała otworzyć oczy. Ktoś musiał zakleić szyby w jej pokoju zaciemniającym papierem, tak jak niedawno nakazano, choć niczego to już nie zmieniało. W jej sypialni. Gdzie leżała z Tadkiem i marzyła o tym, że pewnego dnia zaczną żyć od nowa.

Ból powrócił. Najpierw uderzał w nią jeden, a potem drugi, zmieniając się płynnie. Ból i taniec twarzy. Ból nie miał nic wspólnego z bólami przy porodzie Ariane, wtedy, w mieszkaniu we Wrzeszczu, gdy Gundi przysięgała, że nie będzie mieć więcej dzieci. Wtedy ból napływał falami tak jak jej Bałtyk. Teraz przyszedł z toporem. Nie miał nic wspólnego z dzieckiem. Tylko ze śmiercią.

Nie potrafiła nawet krzyczeć. Jedynie umierać.

Coś chłodnego, ożywczego dotknęło jej czoła, niespodziewanie dodając nieco sił. W jej nozdrza wdarł się zapach. Wódka francuska. Którą sama stosowała na płuca Tadka i której użyła dawniej Lore, by ułatwić jej poród. Czyżby Lore wróciła, czy jednak nie została sama jak palec?

– Już dobrze – usłyszała mruczenie swojej Lorci. – Dobrze ci idzie, wkrótce będzie po wszystkim.

Gundi jęknęła, przytrzymała się ramienia Lore i wbiła paznokcie w jej ciało. Gdy przebrzmiał cios toporem, zmusiła się do otwarcia oczu. Wydało się jej, że przez zaciemnione okno dostrzega dym.

– Pali się? – wydusiła.

– Nie. To tylko mgła. Taki mglisty dzień.

– Jest już noc?

– Noc i mgła. Tak, tak. Jest już noc.

Gundi jęknęła. Topór nie robił już przerw, tylko siekał ją dzikimi ciosami.

– Bądź bardzo cicho – wyszeptała Lorcja. – Wtedy usłyszysz morze. Przecież kochasz morze. Ono daje ci siłę.

Podparła plecy Gundi swoimi silnymi dłońmi, chwyciła ją pod ramiona i uniosła jej ciało nieco wyżej.

– Teraz przyj! – zawołała. – Wypchnij je z siebie, uda ci się.

Topór zamachnął się, a w czerni zatańczyły twarze. Natan Elkeles, małe dzieci Helmy Determann, które nie miały już rodziców, nauczycielka, która wybiegła z wioski i zawołała: „Stać, stać, tu są tylko kobiety i dzieci!”.

A potem Pop. Znowu młody, znowu żywy, dłonie jak szufle, krzyż, na którym można zawiesić troski świata, i niebieskie oczy, oznajmiające, co myśli, nim otworzył usta. „Dostałem wcześniejszą zmianę, dziewczuszko – powiedział Pop, uśmiechając się. – Co sądzisz – sobotni wieczór u ciotki Karl?”. Topór opadł na ziemię. W czerni pojawił się zarys Lore, która rozsunała nogi Gundi, a potem bardzo cicho zakwiliło dziecko. Lore podniosła je, obejrzała ze wszystkich stron i z konieczności obmyła w misce stojącej na ziemi. Dziecko nie krzyczało. Nadal po prostu kwiliło, niemal przyjaźnie. Lore owinęła je w biały ręcznik i podała Gundi, która opadła na łóżko. Było o wiele mniejsze niż kiedyś Ariane. Żyło, miało starą, mądrą, pomarszczoną twarz i było przepiękne.

Gundi słuchała kwilenia dziecka i szumu morza w dali, i chciała napisać piosenkę.

– Przyszło na świat nieco za wcześnie, jest dość małe, ale zupełnie zdrowe. Jak ma się nazywać?

Wtedy Lore również o to spytała, a Gundi podała jej imiona wybrane przez Juliusa: Ariane, które uważał za eleganckie, i Sybille po jego matce.

– Jak ma mieć na imię?

– Paul Otto Peter.

W odpowiedzi rozległ się dźwięk, który brzmiał niemal jak śmiech.

– Paul Otto Peter się nie nadaje. Nie dla dziewczynki.

– Wanda Ernestine – powiedziała Gundi i popatrzyła na dziecko, które miało na imię Wanda. Wanda ciotka Karl.

– Wanda. – Kobieta, która nie była Lore, wstała, poszła do kąta w pokoju i wróciła z koszykiem, który postawiła na łóżku obok Gundi i Wandy. – Musisz przystawić ją do piersi. Pozwolić ssać. Wtedy pojawi się mleko. Ten koszyk zrobiłam dla mojej siostry. Różowy to jej ulubiony kolor. Możesz położyć tu Wandę, dla siostry znajdę coś innego.

Na nocnym stoliku postawiła kilka rzeczy.

– Tutaj jest dzbanek z wodą, chleb i trochę kielbasy. Nie ma tego dużo, ale musisz coś jeść. Potrzebujesz siły, aby mieć mleko. – Potem odwróciła się, by odejść.

– Nie zostaniesz?

Kobieta pokręciła głową.

– Nie mogę. Dasz sobie radę. Moja siostra też rodzi teraz dziecko.

55

Styczeń 1945

Nigdy nie zostawiła siostry w potrzebie, tak jak nie zostawiłaby w potrzebie własnego dziecka. Teraz jednak nie miała innego wyjścia. Siostra nie była już sobą. Biegała po ulicach, by szukać mężczyzny, który ją zdradził, by szukać Niemki, by kłócić się z Niemką i mężczyzną – nieważne, z jakiego powodu. Jej umysł zamglily długie zamknięcie, prześladowania, śmierć. W kieszeni spódnicy wyczuwała głupią niebie-

ską tasiemkę Niemki, która spadła siostrze z ręki podczas porodu. Musiała obiecać, że przechowa tasiemkę. Chciała ją wyrzucić, ale nadal nie zdołała się przemóc.

To wszystko nie miało teraz znaczenia. Ważne było tylko jedno: jej siostry i Niemki nie było tu, żeby mogły zająć się swoimi dziećmi, a dzieci poważnie chorowały. Jeśli nikt nie zapewniłby im leczenia, umarłyby.

Urodziły się za wcześnie, obie. Może o trzy lub cztery tygodnie za wcześnie, co zdrowy noworodek powinien przetrwać. Początkowo dobrze się rozwijały, ale poprzedniego wieczora dwie małe twarzyczki zrobiły się żółte, a białka oczu również się zażółciły. Wiedziała, czego im brakuje. Wiedziała o dzieciach niemal wszystko, bo przez pewien czas nie robiła prawie nic innego, jak tylko czytała wszelkie książki i broszury na ten temat, jakie tylko udało się jej zdobyć. Chorowały na żółtaczkę, tak jak zdarzało się to wielu noworodkom, zwłaszcza wcześniakom i tym, które nie były regularnie karmione.

Dzieciom takim jak te, których matki kłóciły się o mężczyznę, zamiast cieszyć się szczęściem, jakie zostało im dane pośród katastrofy.

Nowe życie.

Jeśli nie poszuka pomocy lekarskiej, te dwie słodkie, idealne istotki umrą, tak jak umarło jej własne dziecko, jak umierało wszystko wokół. Nie miała wyboru. Obietnica złożona siostrze, że zaczeka na nią i zadba o jej dziecko, była nieważna, ponieważ jedno przeczyło drugiemu. Jeśli chciała zadbać o dziecko, nie mogła czekać.

Wiedziała, gdzie przechowywane są dokumenty. W buduarze, w sekretarzyku, którego w tym niechlujnym gospodarstwie nikt nigdy nie zamykał. Wzięła to, czego potrzebowała, a także okulary, łańcuszek i elegancki szal. Wyścielony przez nią kosz nie był dość duży dla obojga dzieci, a zatem umieściła małe w chuście zawiązanej na piersi. Musiały mieć ciepło – na zewnątrz panował taki ziąb, że nawet ogień w dużym kominku trzaskał na próżno. Owinęła je dodatkowo kocem i ułożyła blisko siebie, żeby ogrzewały się nawzajem.

Chciała już wyjść, gdy przypomniała sobie o dużej dziewczynce. Ariane. Zajmowała się nią, gdy ta była mała, a dziewczynka ją kochała. Bardziej niż innych, tak bardzo, jak dziecko zwykle kocha własną matkę. Czasami tak ją nawet nazywała: „matka”, nie „Mutter”. „Mogę przecież mieć niemiecką Mutti i polską matkę”, powiedziała Ariane, gdy próbo-

wała jej tego zabronić, aby nie denerwować jej prawdziwej matki. Mutti i Matti. Teraz dziewczynka nie mówiła już do niej matka ani Matti, ani że ją kocha. Nic już nie mówiła. Ale nie mogła jej tak zostawić. Jeśli przyjdzie gestapo, bo Niemka zdradziła wszystko z powodu tego mężczyzny, mogą wziąć dziewczynkę, która nic nie mówi, za polskie dziecko i je zastrzelić.

Przyprowadziła Ariane z jej pokoju.

– Posłuchaj mnie – powiedziała. – Jestem twoją matką. Małe są twoimi siostrami. Nazywasz się Ariane Scharneck. Poza tym niczego nie wiesz, jasne?

Milcząca dziewczynka potaknęła. Pospiesznie poszukała czegoś, czym dziecko mogłoby się zająć, znalazła cytrę siostry i włożyła ją do torby. Siostrze zostawiła wiadomość, w której wyjaśniała, dlaczego musiała wyjść, a to, co powie Niemce, jest jej sprawą. Potem ruszyły w drogę.

W Sopocie nie było szpitala, a do Wrzeszcza, gdzie znajdował się szpital dziecięcy, nie jeździł pociąg. W ogóle nie jeździły już żadne pociągi. Cały system zaopatrzeniowy się załamał. Ulicami ciągnęły tłumy uciekinierów niczym nieme duchy. Chcieli dostać się do Gdyni. Tam, gdzie cumowały wielkie statki. Rząd zabronił im opuszczać swoje miasta i wioski. Skazał ich na śmierć, tak jak skazał na śmierć całe narody.

Ale ludzi nie dało się już powstrzymać. Wiedzieli, że u ich granic stoi ponad sto radzieckich dywizji, gotowych najechać kraj, dzień i noc słyszeli grzmot dział, wystrzały Rosjan, samoloty szturmowe przelatujące nad dachami. Zamiast umrzeć, spakowali zatem koce i garnki, i w zimnie, od którego odmarzały im palce u rąk i nóg, ruszyli w drogę. Gdynię nazywali portem nadziei. Byli zdecydowani wymusić drogę na statki, podróż do bezpiecznego miejsca, choć przez radio podawano wciąż, że nie oddano żadnego statku do transportu uchodźców.

Szczególnie pożądanym był biały niegdyś statek. Największy ze wszystkich. Znała go, bo kiedyś wezwano ją na pokład, żeby dziewczynka mogła zobaczyć, gdzie znika ciągle jej matka. Niemka śpiewała tam skradzioną piosenkę, dzięki której stała się sławna, a teraz na statku stacjonował jej mąż.

Wcześniej powiedział on do siostry Niemki: „Prędzej czy później «Gustloff» trzeba będzie oddać uchodźcom. Oczywiście mogę się

wtedy postarać, żebyście jako pierwsze dostały przepustki na pokład. Ale wtedy może już być za późno. Wyruszcie teraz. Łądem. Przynajmniej nie ma tam torped”.

Nie wyruszyły. Jedynie siostra. Gdy przyszły na świat dzieci, mąż jeszcze raz przyszedł do domu i musiał zrozumieć, że pod każdym względem został zdradzony. Wybiegł z domu, nie wspominając już nawet o przepustkach. Niemka jednak z pewnością znajdzie jakiś sposób, by je zdobyć.

Nie miała złudzeń. Gdy tylko dzieci wyzdrowieją, ona i jej siostra również będą musiały uciekać. Nawet jeśli ujdą gestapo – dla Rosjan były kolaborantkami, przyjaciółkami Niemców, może nawet prostytutkami, a toczyła się wojna i nikt nie słuchał długich opowieści, jeśli zamiast tego mógł wyciągnąć broń z kabury. Dokąd i jaką drogą miały się udać, pozostawało dla niej zagadką, teraz, gdy widziała masy uchodźców z nosami ciekącymi na zimnie. Siostra zawsze przekonywała, że nie muszą się martwić, bo Niemka, jej Gundula, w razie czego zabierze je ze sobą. Napisała o tym nawet do ciotki i kazała swojemu kochankowi zabrać list do Warszawy.

Czy ciotka jeszcze żyła? Czy mogły uciec do niej? Niemka ich nie zabierze. Może siostra miała rację i faktycznie by to zrobiła, gdyby tylko siostra trzymała się wersji o ogrodniku jako ojcu dziecka, ale teraz całe to „gdyby” i „ale” nie mogło już w niczym pomóc.

Wszystkie te rozważania i tak musiały poczekać, dopóki dzieci nie zostaną uratowane. Jakaś ciemna limuzyna utorowała sobie drogę przez masy ludzi, więc szybko podbiegła do auta i załomotała w okno. Kierowca spuścił szybę.

– Nazywam się Gundula Scharneck – powiedziała. – Jestem żoną kapitana marynarki Scharnecka.

– Gundi Słoneczko?

Skinęła głową.

– Nie poznałbym pani.

– Trudny poród – odparła. – Bliźnięta. A poza tym zdenerwowanie. Moje córki są ciężko chore, muszę zabrać je do szpitala we Wrzeszczu, ale nie jeżdżą pociągi. Czy byłby pan tak dobry i mi pomógł?

Czuła się nieco dziwnie, mówiąc tyle po tak długim czasie, ale zdania przeszły jej przez usta zupełnie gładko. Język tych ludzi towarzyszył jej

dzień w dzień wystarczająco długo, potrafiła naśladować go niemal perfekcyjnie. Nawet ich gdański dialekt. Miała do tego talent. Miała to we krwi.

Dwóch mężczyzn naradzało się. Potem kierowca sięgnął ręką ponad kierownicą i otworzył jej drzwi.

– Proszę wsiadać, moja droga. Z nami w mgnieniu oka znajdzie się pani we Wrzeszczu.

W Storchenhaus, który uchodził za najlepszy szpital położniczy i dziecięcy w okolicy, było tak samo. Gdzie rzesze zrozpaczonych, chorych, a nawet rannych uchodźców odprawiano z kwitkiem, tam nazwisko Gundula Scharneck otwierało drzwi. Na zatłoczonym oddziale wręcz jej nadskakiwano.

– Proszę odpocząć, pani Scharneck, musi być pani wycieńczona nerwowo. Wstawimy do pokoju łóżko dla pani i dla starszej dziewczynki. A o małe proszę się nie martwić. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Bliźniaczki! Podwójne szczęście. W dodatku takie słodkie. Jak nazywają się te oba skarby?

– Wanda i Vera – odparła, ponieważ wraz z mężem chcieli mieć Werę.

– Jak ładnie! – pochwaliła pielęgniarka, a potem zniknęła, by zadbać o Wandę i Verę, i przynieść ze stołówki śniadanie dla Ariane.

Leki były towarem deficytowym. Na szczęście, tak jak przypuszczała, dzieciom brakowało przede wszystkim płynów i promieni głaszczących ich ciała w inkubatorach. Bank mleka był źle zaopatrzony, ale córki Gunduli Scharneck traktowano priorytetowo. Po trzech dniach obie poczuły się lepiej, choć musiały jeszcze przez dwa dni zostać na obserwacji. Również dlatego, że na Gdańsk spadały bomby. Siedziała przy oknie, słuchając świstów i huków ostrzału, i wyobrażała sobie, jak wspinały się budynki w mieście jeden po drugim zamieniając się w proch i pył.

Pod koniec tygodnia wypisano je ze szpitala. Gdy powiedziała, że nie może sama karmić dzieci, dostała odżywkę do mieszania z mlekiem, którą miała karmić Wandę i Verę. Poza tym otrzymała kartki na mleko, prawie już niedostępne, oraz szczegółowe zaświadczenie lekarskie, z którego wynikało, że w styczniu 1945 roku pani Gundula Scharneck zgłosiła się ze swoimi bliźniaczkami Wandą i Verą i że oba chore na żółtaczkę noworodki zostały skutecznie wyleczone w szpitalu Storchenhaus. Potem mogły już iść. Aby nie ryzykować zdemaskowania, nie

zatrzymywała już żadnego auta, tylko pokonała długą drogę do Sopotu pieszo.

Gdy wczesnym wieczorem dotarła do domu przy Ernstraße, wydarzenia rozegrały się z taką szybkością, że nie miała czasu na podjęcie decyzji. Postąpiła tak, jak podpowiadała jej chwila, bez planu, idąc jedynie za głosem instynktu, który tłumiał każdy inny odruch. Był to instynkt matki. Miała go, ponieważ sama była matką, nawet jeśli jej dzieciątku nie dane było przeżyć.

Kiedy z ciężkim, słodkim ciężarem u piersi, prowadząc za rękę zmęczoną Ariane, skręciła w ich ulicę, od razu zobaczyła, że dom jest otoczony. Gestapo. Nawet przez sekundę nie myślała, że stało się tak z powodu zniknięcia dzieci, ponieważ zostawiła siostrze wiadomość. Po pięciu latach spędzonych w spiżarni śmierdzącej serem siostra nie była już sobą, w nic już nie wierzyła, niczego nie wiedziała i trzymała się już tylko tego mężczyzny. Niemka zaś nie troszczyła się nawet o swoje pierwsze dziecko. Obie nie mogły się martwić, ale tylko cieszyć, że zdjęto z nich obowiązek opieki nad chorymi niemowlętami.

Nie, nie chodziło o dzieci. Ktoś musiał ich zdradzić tak krótko przed końcem, albo sama Niemka, albo jej siostra, która być może wcale nie wyjechała.

Zatrzymała się w pół kroku.

– Bądź cicho – syknęła do Ariane, która i tak milczała. Pośpiesznie zebrała w głowie fakty: miała przy sobie paszport Niemki, w którym wpisano Ariane, oraz zaświadczenie lekarskie, gdzie podawano ją jako matkę bliźniąt. Odwróciła się, nie zastanawiając się nad tym, czy to wystarczy, by dostać się z dziećmi w jakieś bezpieczne miejsce. Musiało wystarczyć. W domu z dużym prawdopodobieństwem znajdowała się siostra, będąca dla niej wszystkim, ptaszkiem, którego przysięgła chronić. Zostanie stracona przez gestapo, wymazana tak jak ich brat, ich ojciec – bez grobu. Nie mogła na to pozwolić. Musiała wrócić do domu!

Instynkt matki zmuszał ją jednak, by szła dalej. Stawiając nogę za nogą, ścisnęła w kieszeni płaszcz tasiemkę życia, której nie oddała siostrze. Całą siłą woli nie potrafiła zmusić swojego ciała, by raz jeszcze się odwrócić.

Przeszła może dziesięć kroków, dotarła już niemal do zakrętu ulicy, gdy zza rogu wyłoniła się Niemka. Stały naprzeciwko siebie w odległości zaledwie jednego kroku. Niemka spojrzała przez jej ramię na dom

i o ile jeszcze nie wiedziała, co się dzieje, teraz zrozumiała. Spojrzały po sobie.

– Mam twój paszport – wyjąkała. – Nie możesz udowodnić, kim jesteś.

Oczywiście było to zupełnie bezsensowne. Wręcz idiotyczne. Niemka była znana. Wystarczyło, by zawołała o pomoc, a ludzie z gestapo, stojący na straży przy płocie, przybiegliby z wyciągniętą bronią. Ona sama miała ze sobą dzieci, cenny ciężar, któremu nic nie mogło się stać. To był koniec. Musiała się poddać.

Zmęczona wyciągnęła z kieszeni płaszcz paszport i zaświadczenie lekarskie. Czowała przy tym, jak z oczu ciekną jej łzy, ciepłe w lodowatym zimnie. Nie spodziewała się, że będzie dalej trzymać się życia, skoro tak wielu z tych, których kochała, już nie żyło. Sądziła, że żyje już tylko dla siostry, ale teraz, gdy czuła przy sobie ciała trójki dzieci – tulącej się do niej Ariane, mruczącej cicho przez sen Wandy i Very, która zaciskała w piąstkę swoją zmarzniętą maleńką dłoń, przypominającą rozgwiazdę – chciała chwycić się życia.

Instynkt matki jej na to nie pozwolił. Podsunęła papiery Niemce.

Niemka patrzyła na nie, jakby po raz pierwszy widziała własny paszport. Trwało to długo. Poprawiła czapkę i wsunęła pod nią przeszkadzające kosmyki włosów. Potem sama włożyła dłoń do kieszeni płaszcz i powiedziała:

– Nie. Ty idź.

Drżącymi palcami zdjęła obrączkę i podała jej wraz z zadrukowanymi kartami, które wyjęła ze swojego płaszcz. Przepustki. Na „Wilhelma Gustloffa”.

– Przebij się do Gdyni. Do Gotenhafen. Jesteś Gundulą Scharneck. W chaosie, który tam panuje, nikt nie zwróci uwagi na to, że masz o jedno dziecko za dużo. Trzymaj się tylko z dala od mojego męża, a nikt nie będzie cię niepokoić. Ja jestem Różą Pajewską.

– Różą Kościuszko.

– Oczywiście. Różą Kościuszko.

Dlaczego?, chciała spytać, ale instynkt matki kazał jej tego nie robić. Instynkt nakazał jej także ruszyć zaraz dalej, nie czekać, aż ludzie z gestapo zwrócą uwagę na dwie kobiety, stojące na rogu ulicy. Poza tym

musiała zatroszczyć się o co innego: niedługo miała zapaść noc, panował co najmniej dziesięciostopniowy mróz, ją czekał wielogodzinny marsz pieszo z trojgiem dzieci.

Ten jeden, ostatni raz Róża zwalczyła jednak instynkt. Przez kilka oddechów stały obie, patrząc sobie w oczy. Oczy Gunduli miały niezwykły, piękny błękitny kolor i mówiły coś, czego nie dało się powiedzieć ustami. Potem poszły, jedna w stronę otoczonego domu, druga poza miasto.

56

30 stycznia

Jak daleko Julius sięgał wzrokiem od relingu mostka, nie tylko keja, przy której cumował „Gustloff”, ale cały teren portu były czarne od ludzi. Kobiety, dzieci, starcy. Niektórzy przyciągnęli swoich zmarłych, inni mieli nie podnieść się już z ziemi, bo zabrakło im sił i iskra życia zgasła.

– Przybywa coraz więcej – powiedział ochmistrz. Miły człowiek, który chciał zostać kapitanem, ale cierpiał na krótkowzroczność. Przegrany jak ja, pomyślał Julius. To czyni nas niemal braćmi, tyle że on nie jest na dodatek mordercą. A może wszyscy jesteśmy mordercami? Czy każdy z nas jest nim po milion razy?

Czy do tego milionowego mordu mieli dodać dziesiątki tysięcy ludzi w porcie i odprawić ich z kwitkiem, nie mrugnawszy okiem? Statek jest pełen. Po nas choćby potop. W końcu wykonywali tylko rozkazy.

Ale do mordowania nie dało się przyzwyczaić. Zabić kogoś to zawsze mieć zabitego na sumieniu, wszystko jedno ilu tam ich już leży bez nagrobka jeden na drugim.

Ochmistrz Jensen miał zadbać o to, by w salach balowych, basenie i kabinach „Gustloff’a”, przystosowanych teraz dla wielu osób, umieszczać ludzi przy jak największej oszczędności miejsca. Wydano ponad cztery tysiące przepustek, a Jensen powiedział to, co wiedzieli wszyscy: statek jest już przepełniony. Ale teren portu nadal był czarny od ludzi, którzy przy osiemnastu stopniach poniżej zera zamarzali na ich oczach, a nieustannie przybywali nowi.

Zalewająca fala. Wędrowka ludów na śmierć.

Jakiejś części – o wiele za małej – „Gustloff” mógł zaoferować ostatnią deskę ratunku. Miał odbić jako pierwszy z okrętów cumujących w Gdyni. Kurs na Kilonię. W bezpieczne miejsce. „Gustloff” był najlepiej ogrzewanym, najlepiej wyposażonym i zaprowiantowanym okrętem, jaki posiadali. Nie było na nim wystarczającej ilości sprzętu ratunkowego, ale Jensen zadbał o to, żeby na górny pokład wciągnięto dodatkowe kutry i tratwy. W obszarze przybrzeżnym należało liczyć się z minami i nie można było ignorować ryzyka storpedowania, poza tym „Gustloff” miał ochraniać tylko jeden torpedowiec.

Do wyniszczenia naszego pokolenia byliśmy znacznie lepiej wyposażeni niż do uratowania tej reszty, która nam z niego została.

Ale właśnie dlatego, czy lepiej było pozwolić ludziom w porcie zamarznąć, niż przynajmniej spróbować uratować ich życie, chociaż udowodnić im, że to życie nie jest bezwartościowe? Załoga „Gustloff” zdecydowała o ponownym spuszczeniu trapu i pozwoliła wejść na pokład ludziom, również tym, którzy nie mieli przepustek.

– Musimy ich zarejestrować, bo jeśli coś się stanie, kto się w tym wszystkim połapie? – powiedział sumienny Jensen, ale w odpowiedzi uzyskał zaledwie zmęczony uśmiech. Nie wiedzieli nawet, ilu ostatecznie wcisnęli na statek, i mogli mówić o szczęściu, że nikogo nie stratowano na śmierć. Było ich może nieco ponad dziesięć tysięcy ludzi, którzy tłoczyli się na podłodze w salach, zadowoleni, że znaleźli ciepły kątek, by odpocząć, a kobiety ze służby pomocniczej marynarki rozdawały im herbatę i koce. Zapanowała atmosfera odprężenia, a na mostku kapitańskim przez chwilę dało się odczuć tak rzadko już obecne zadowolenie z podjęcia słusznej decyzji. Gdy było się młodym, wielu wierzyło, że to łatwe, wystarczy tylko chcieć. Ale kiedy, mając czterdzieści lat, było się już starym, zmęczonym życiem człowiekiem, wiedziało się, że to nie tylko trudne, ale niemal niemożliwe.

Julius chciał spytać o coś Jensena, ale nie ośmielił się, ponieważ nie wsparł go w sprawie rejestracji pasażerów. Jensen jednak nawet bez pytania wyczuł, co dręczy kolegę.

– Pańska żona wraz z dziewczynkami jest na pokładzie – powiedział i poklepał Juliusa po ramieniu. – Sam je zaokrętowałem, odznaczyłem ich nazwiska na liście i posłałem na pokład spacerowy, gdzie mają ciepło, a nasza pulchna Maria będzie je trochę rozpieszczać.

Julius odetchnął. Nie z powodu pulchnej Marii, jednej z pomocnic, która miała talent do tego, by brać potrzebujących pod swoje skrzydła. Tylko dlatego, że Gundi naprawdę przysłała. Do końca nie wierzył w to, że wykorzysta przepustki, które kazał dla niej odłożyć, i uratuje siebie i dzieci. Myślał, że zostanie z tym Kaszubem. Aż do śmierci. Zawsze przy nim była. Teraz miała z nim nawet dziecko, które będzie kochała, podczas gdy jego własna córka, dziwna i cicha dziewczynka, była jej obojętna.

Trudno było wyjaśnić, dlaczego mimo wszystko uspokajała go myśl, że Gundi, Ariane i niemowlę, które przez szaloną sekundę szczęścia uważał za własne dziecko, zostaną uratowane. Ale nie potrzebował tego wyjaśniać, nikt nigdy go o to nie zapytał. Julius był pewien, że nie zobaczy już ich trzech, tak jak nie zobaczy już więcej wybrzeża, od którego wieczorem w końcu odbili. Ale gdy nie miało się już ojczyzny i oparcia, w pewien sposób dobrze było wiedzieć, że ta ojczyzna i to oparcie są jeszcze na świecie, że da się udowodnić: nie możemy zacząć znowu żyć. Ale żyliśmy.

Gundi była jedyną miłością jego życia. Gundi Słoneczko z sopockiej plaży, w której zakochał się od pierwszego wejrzenia jako siedemnastoletni łobuz, z każdą milą morską tonęła coraz głębiej w roztrzaskanej przeszłości. Ale to, kim się stała, ta inna kobieta, która nie miała z nim już nic wspólnego, powinna mieć szansę, by żyć dalej. Tego dawniej pragnął. Bo w ten sposób mógł żyć dalej kawałek niego samego, kawałek Sopotu, ich wspólnego czasu. Teraz nadal tego pragnął. Nawet bardziej, bardziej rozpaczliwie i bezwarunkowo niż kiedykolwiek wcześniej.

Chciał precyzyjnie się po schodach z górnego pokładu na dół, tam, gdzie Gundi z dziećmi musiała na próżno walczyć o to, by dostać się na górę. Sama z niezdarną dziesięciolatką i niemowlęciem nie miała szans. Postawił jakiegoś mata obok szalupy C i krzyknął na chłopaka:

– Nie sadzasz nikogo na dwa miejsca z przodu, zrozumiane? Nikogo, nieważne, kim by był! I nie spuszczasz szalupy na wodę, zanim wrócę. Przyjdzie tu jeszcze moja rodzina.

Kto nie miał bezwstydnego szczęścia i nie zdobył miejsca w szalupie, był stracony.

Nie postąpili słusznie. Na wysokości Ustki pozbawionego praktycznie eskorty „Wilhelma Gustloff”, pomalowanego w maskujące barwy jak okręt wojenny, zauważył i wypatrzył rosyjski okręt podwodny. Niegdyś

najpiękniejszy statek wycieczkowy Kraft durch Freude został trafiony trzykrotnie. Teraz tonął, temperatura wynosiła minus osiemnaście stopni, a ponad dziesięć tysięcy ludzi, którzy byli tak szczęśliwi, że się na niego dostali, musiało umrzeć w męczarniach. Najnowszy wielki wyczyn Hitlera znów został przedstawiony przez jego pracowitych pomagierów jako chwalebne dzieło.

Chciałem się w ten sposób odkupić, stwierdził Julius. Jedna dobra rzecz wobec tylu złych. Uratowanie niemieckich kobiet i dzieci jako zadośćuczynienie za te brytyjskie, które zginęły marnie na zatopionym statku pasażerskim. To jednak tak nie działało, a ceną była śmierć Gundi. Śmierć dzieci. Tam, na międzypokładzie, na który wlewała się lodowata woda. Julius spojrział w dół i poddał się. Nawet krzycząc i rozkazując, nie zdoła przedrzeć się przez te masy, które w panicznym strachu przed śmiercią parły na górę. A potem zobaczył Jensena. Pośród całego chaosu. Jensen zaś zobaczył jego.

– Znajdę je! – zakrzyknął do góry. – Pańską żonę, trzy dziewczynki! Sam je przecież zaokrętowałem, znajdę je i przyprowadzę do pana na górę.

Cud. Wśród krzyków przerażenia Julius o mały włos nie roześmiał się głośno. Czym akurat on zasłużył sobie na cud i na dzielnego Jensena? Ten był tak rozemocjonowany w swej gotowości niesienia pomocy, że z dwóch dziewczynek, z których jedna nie była nawet jego dzieckiem, zrobił trzy. Oszałały Julius naprawdę się roześmiał: do diabła, Gundi. Jeśli w tych minutach, gdy tonie statek, ktoś potrafi jeszcze szybko przygarnąć jakieś dziecko, to tylko ty.

„Gustloff” nadal się przechylał. Po pokładzie ślizgały się krzesła, skrzynie, liny.

– Szalupę C trzeba spuścić na wodę! – zakrzyknął ktoś z góry. – Inaczej możemy sobie to darować.

Miał rację. Jeśli przechył statku jeszcze się powiększy, nie będzie już można spuścić szalupy na morze.

– Przygotować! – zakomenderował Julius. – Aż do ostatniej sekundy zostawić na wciągarnie, ochmistrz Jensen przyprowadzi jeszcze pasażerów!

Dosłownie po chwili Jensen zawołał w stronę schodów:

– Znalazłem je, Scharneck! Damy radę bezpiecznie wydostać pana damy ze statku!

Julius próbował dostrzec coś przez tłum ciał. Był tam Jensen, który pochodził z Hamburga i któremu poprzedniego lata urodził się syn. Niepowstrzymanie, jakby walczył o własną rodzinę, przeciskał się przez rzekę ludzi ku wyjściu razem z Gundi. Ta niosła na piersi tobołek, bez wątpienia córkę Kaszuba. Jego własna córka, jego Ariane, która skończyła już dziesięć lat, wisiała niczym małpka na biodrze Jensena.

Ludzie są bohaterami, pomyślał Julius. Niektórzy. Rzadko. Mimo wszystko.

Udało się im. Zadyszani, potykając się, przedarli się przez otwór na wolność.

– Ma je pan! – Zapłakany Jensen promieniał. – Pańską czterolistną koniczynkę. Szczęście w kwartecie, teraz mogą dostać się do Rzeszy, nic już się im nie stanie!

– Arianko! – zawołał Julius. Oderwał dziewczynkę od Jensena, ale kolejne słowo utkwilo mu w gardle.

Wpatrywał się w Gundi, która miała na głowie wełnianą chustę, chroniącą od wiatru i zimna.

– Ona nie mówi – odezwała się Gundi, która również wpatrywała się w niego i nie była Gundi. – Niczego nie zdradzi.

Z zawiniątka na jej piersi wystawały dwie główki. Spojrzeniem zdawała się na jego łaskę. Na dołę i niedołę, na dobre lub na złe. Tego rachunku nie zdołamy spłacić, pomyślał. Obciążymy nim następne pokolenie. My, pijani mordercy, możemy co najwyżej wysupłać parę groszy. Przypomnieć sobie, że kiedyś byliśmy ludźmi.

– Chodź, Gundi – powiedział. – Musimy się pospieszyć, jeśli chcemy bezpiecznie spuścić was na dół.

Poprowadził je do szalupy i podał Ariane matowi, który przeniósł ją nad relingiem.

– Dobrej podróży, mała – wymruczał. – Moja śliczna Ariane. Moja dziewczynko. – Do kobiety, która miała na imię Róża i przez cały czas nieprzerwanie wpatrywała się w niego, powiedział: – Proszę dobrze dbać o dzieci. Niech zawsze wiedzą, że są najcenniejsze.

Skinęła głową. Nie chciała rozstać się z tobołkiem z dwoma główkami, tylko przytrzymała go wolną ręką, gdy Julius pomagał jej przejść nad relingiem. Nim puściła jego dłoń, pogładziła jej wierzch palcem wskazującym.

Łatwo było postąpić słusznie.

– Jak mają na imię? – spytał cicho.

– Wanda i Vera.

– Dobrej podróży, Wando, dobrej podróży, Vero. Dobrej podróży, moja ukochana Gundi. Dacie radę. Wiele okrętów odebrało nasze wołanie o pomoc i są w drodze, by odnaleźć szalupy. Nie bójcie się.

Kobieta pokręciła głową.

– Jak ma pan na imię?

– Julius.

– Dziękuję, Juliusie – powiedziała kobieta tylko nieco głośniejszym skrzypieniem wciągarki, która opuszczała łódź na linach do wody.

– Pięknie grał pan naszą piosenkę, nasz *Świt na morzu*.

ZAKOŃCZENIE

Gdańsk, Berlin

1964

Zima się kończy

Deszczowa chmuro, zwlekasz u studni?
Moja cicha matka płacze nad wszystkimi.

Paul Celan, *Osika*

Było tego za dużo. Za dużo na raz. I za mało. Miało luki, kratery, w których zmieściłaby się połowa życia. Zawsze już będzie za mało.

Rozmawiali z Ludwikiem Brzezną, z Filipem Skowskim, kuratorem niczego, z wnukiem właściciela delikatesów we Wrzeszczu, który niegdyś nazywał się Langfuhr, dyrektorką Muzeum Pomorskiego w Oliwie, komendantem policji w Sopocie, redaktorem muzycznym w Gdyni, Ireną Bojarską i jej bratanicą. Tak jak przypuszczała Wanda, wszyscy zaczęli mówić, gdy tylko u jej boku zjawił się syn ofiary. Dodatkowo pomagało, że Andras mówi po polsku.

– Swoją drogą, ja też mam na imię Wanda – powiedziała na pożegnanie bratanica Ireny Bojarskiej.

Wanda było w Polsce popularnym imieniem. Pochodziło od plemienia Wandalów i nikt, kto chciałby podarować dziecko Hitlerowi, nie wpadłby na pomysł, by nazwać je Wanda.

W ostatnich dniach pozbierali kawałki i nocami próbowali je poskładać. Gdy spojrzenie Wandy zagłębiało się w wynik ich starań, widziała w nim same luki. Kiedy jednak Andras brał ją w ramiona i sprawiał, że nabierała dystansu, dostrzegła, że ma już pełen obraz.

– Gdy nie znajdujemy tego, czego się spodziewaliśmy, gdy nie ma wyraźnego podziału na dobro i zło, według którego moglibyśmy dokonać oceny i żyć dalej, niełatwo jest nam to zaakceptować – powiedział, a po jego skruszonym tonie poznała, że mówi w nie mniejszym stopniu o sobie, co o niej.

Poprosiła go, by jej o tym opowiedział – o przygotowaniach do procesu, o syzyfowej pracy składania z powrotem tysięcy rozbitych w gruzy życiorysów i dzielenia ludzi na winnych i niewinnych.

– Naszym celem było pociągnięcie sprawców do odpowiedzialności – powiedział. – I tak będzie nadal, po zakończeniu pierwszego procesu i prawdopodobnie jeszcze wtedy, gdy żaden z nich nie będzie już żyć. Tym, co sprawia, że jest to takie trudne, są masy ludzi, którzy nie chcieli niczego złego, którzy jedynie uważali, że mają prawo dalej wieść swoje małe życie i nie przyglądać się zbyt uważnie. Ci, którzy zapewniają: byłem tylko krawcem – a odzież dla więźniów nie robi nikomu krzywdy.

Byłem tylko księgowym – w końcu od tego, że przychody i rozchody obozu koncentracyjnego trzeba ująć w kolumny, nikt nie umiera.

– Byłam tylko artystką – ciągnęła Wanda niczym pod przymusem. – To, że sprzedawałam się na flagowym statku hitlerowskiej organizacji Kraft durch Freude, uszczęśliwiało przecież zwykłych robotników.

Andras ponownie ją objął i trzymali się nawzajem mocno, aż wstrząs minął. Często kochali się w te zeszywniałe z zimna śnieżne noce, panujące za oknem z widokiem morze, tak często, jakby musieli się kochać za wszystkich tych, którzy już nie mogli.

Zosię Pajewską i Tadeusza Raduna.

Helmę Determann i Natana Elkelesa.

Różę Pajewską i Henryka Kościuszkę.

Listy nazwisk ciągnęły się bez końca, ale każdy odnaleziony na nich wpis był ważny.

– Wiesz, co jest w tym najbardziej pogmatwane? – spytał Andras, nadal mocno ją obejmując. – Że to stwierdzenie samo w sobie nie jest nieprawdziwe. Muzyka twoich rodziców uszczęśliwiała prostych robotników, miłych ludzi, którzy nigdy wcześniej nie popłynęli w żaden rejs, o których nigdy wcześniej nikt się nie starał. Gdybyśmy nie wiedzieli tego, co wiemy, może także nie wydawałoby nam się takie złe, by w zamian tolerować kilku podejrzanych krzykaczy o niesmacznych poglądach – wszystko to przecież w dobrym celu.

– To znaczy, że musimy wybaczyć wszystkim tym, którzy maszerowali razem z nimi i tylko trochę bębniłi do taktu, Andrasie? Przecież nie potrafisz. Przecież dręczy cię właśnie to, że ludzie pokroju Sigi tego od ciebie żądają.

– Nie, nie znaczy – odparł i na chwilę zamknął oczy. – Nie, gdy ma się w głowie Auschwitz. Rieke van Bontjes mówi, że możemy jedynie próbować wbić sobie do głowy to jedno zdanie Adorna, aż będzie całkowicie w nas: „Nie ma prawdziwego życia w fałszywym” ²⁴. Gdy wkraczają wrogowie ludzi, musimy na pewien czas przestać być krawcami, księgowymi i muzykami i razem stanąć murem, od którego odbiją się zbrodniarze. Walczyć o to, by zacząć żyć od nowa. Naszym prawdziwym życiem.

Wanda pocałowała go.

– Zakochiwanie się – tego jednak nie musimy przestać robić, prawda?

– Sądziłem, że muszę. Że jestem to winien moim zmarłym. Ale to nonsens. Odkąd jesteś, boli o wiele bardziej i ciągle mam mokre oczy. Ale łatwiej jest oddychać dalej, zamiast się dusić.

– Nie duś się – odparła Wanda. – Jestem w tobie zakochana. I w Rieke van Bontjes trochę też.

– A kto nie jest? – spytał, pocałował ją i kochał się z nią, a gdy nadchodził świt, w czasie, który jej matka w swojej piosence nazwała „sekretnymi godzinami”, znowu musiała płakać, powiedział: – Tym, co odróżnia twoją matkę, jest fakt, że chciała za to zapłacić, Wando. Wiesz, jak niewielu ludzi jest gotowych wziąć na swoje barki odpowiedzialność, jakie rzesze wręcz przeciwnie utrudniają nam pracę, zapewniając: „ja tylko przecież...” albo: „o niczym nie wiedzieliśmy...”? Twoja matka żałowała, że się do tego przyczyniła. Dlatego odstąpiła Róży Pajewskiej swoje miejsce i zamiast niej umarła z Tadkiem i Zosią. Uważała, że szansa na nowe życie przysługuje Polce, nie jej.

I to właśnie było najbardziej zdumiewające w tym obrazie, który wyłonił się pomimo wszystkich luk. Niemrawe dochodzenie policyjne i nieliczne zachowane dokumenty nie dopuszczały innego wniosku: kobietą ze zdjęcia, której wizerunek Irena Bojarska nieustannie głaskała, którą opłakiwała i uznała za zmarłą, ale która przeżyła i wychowała troje dzieci, nie była matka Wandy. Ta poszła do otoczonego przez gestapo domu, w którym przebywali Tadek i Zosia, i wraz z nimi została zastrzelona w piwnicy. Żeby Różę Kościuszkę uznano za zmarłą. Żeby nikt jej już nie szukał. Cały plan wydawał się bezsensowny. Nie mówiła nawet po polsku, a jej twarz znano w całym Sopocie. Nie miała jednak możliwości zastanawiać się nad szczegółami i przynajmniej dała czas Róży. Ta zdołała uciec. W końcu tylko to się liczyło.

– Naprawdę uważasz, że właśnie dlatego to zrobiła? – spytała Wanda. – Czy nie było raczej tak, że nie chciała już dłużej żyć, ponieważ zrozumiała, że ostatecznie straciła Tadka?

Andras bezradnie wzruszył ramionami.

– To kolejna zawilóść: ludźmi co najwyżej rzadko kieruje tylko jeden wyraźny motyw. Ale nie oceniam twojej matki w ten sposób. Była osobą, która chciałaby żyć.

– A Tadek, Andrasie? To dla mnie niepojęte, że ojciec Very był Kaszubem, a ja dwa tygodnie temu nie wiedziałam nawet, że taka grupa ludności istnieje. Że jesteśmy bliźniaczkami – ale wcale nie jesteśmy ze sobą spokrewnione. Czy tylko bawił się moją matką, czy nigdy jej nie kochał?

– W tej sprawie nie jestem właściwym ekspertem.

– Owszem, jesteś – odparła.

Było zimno we wszystkich tych pociągach, które z powodu śnieżnych zasp i przewróconych na tory drzew wciąż stawały albo musiały jechać objazdami. Wyjęli z walizki kupiony w Gdańsku koc i wspólnie się nim owinęli. Teraz jednak Andras usiadł i zrzucił okrycie. Wciąż się im zdarzały te chwile, gdy jedno z nich siedziało samo w więzieniu swoich myśli. Prawdopodobnie takie momenty zawsze będą do nich powracać.

– Myślę, że jednak ją kochał – powiedział Andras do okna. – Ale ten mężczyzna, który pewnej wojennej nocy ukrył się ranny w jej domu, nie był już tym samym, który podróżował z nią po całym świecie, podśpiewując śliczne piosenki. I ona także nie była dla niego już tą samą osobą. Pojechał śpiewać do Paryża. A tymczasem ludzie, dla których pracował, zastrzelili jego matkę.

Milczeli, a koła pociągu stukały dalej. Niczym dobosze, wędrujący razem z nimi.

Krągła gwiazdo, zaciskasz swoją złotą pętlę.

Serce mojej matki zranił ołów.

Dębowe drzwi, kto was wyważył z zawiasów?

Moja łagodna matka nie może przyjść.

Wanda nosiła ciągle w głowie wiersz Celana. Tak samo jak utwór Dylana o ciężkim deszczu. Mówili za nią, gdy jej własnym słowem brakowało sił, by nazwać to, co się wydarzyło.

Ujęła dłoń Andrasa. Cofnął ją, a Wanda zostawiła swoją na siedzeniu.

– Chciałam, żeby się okazało, że był moim ojcem, a nie Very – powiedziała. – Tadeusz Radun. Kaszubski bojownik ruchu oporu. Nie niemiecki oficer.

Andras ocknął się z zamyślenia.

– Dlaczego?

– Bo wtedy byłoby ci łatwiej. Gdybym nie miała w sobie wyłącznie krwi sprawców.

Wrócił do niej. Powoli, jeszcze jej nie dotykając.

– Krew – wydusił. – Gdybym myślał w ten sposób, miałbym coś wspólnego z Hitlerem, prawda?

Objęła go, ale nie przyciągnęła do siebie. Dała mu czas. Znowu czekała ich przesiadka, musieli przejść kawałek w zamieci śnieżnej i podjechać do następnego dworca autobusem, który wyglądał, jakby przetrwał wojnę. Gdy wreszcie ponownie usiedli w przedziale i mogli owinać się kocem, Wanda uświadomiła sobie, że za chwilę nie będzie już w Polsce, że od Gdańska oddzieli ją nie tylko kilometry torów, ale także żelazna kurtyna.

– Nie chcę tego stracić – rzuciła. – Gdańska. Sopotu. Nie mogę ponownie prosić Leona Fingerzwajga, by wystarał się dla mnie o kolejną wizę. A nawet jeśli, jest mało prawdopodobne, że ją dostanę, i wtedy też musiałabym wyjechać po czternastu dniach spędzonych w hotelu. To takie niesprawiedliwe. Moja matka była Polką, ale w jej mieście jestem niechcianym gościem. Chodzę jej ulicami i nie mogę z nikim porozmawiać – urwała, gdy uświadomiła sobie, że nie miała na myśli swojej matki, tylko kobietę, którą nazywała Matti. Kobietę, która zawiązała na jej nadgarstku tasiemkę życia. Która pośród wszechogarniającego mroku zaniósła ją do szalupy i od tamtej pory zawsze była dla niej.

Andras wydawał się nie zauważać tej pomyłki.

– Na moim seminarium języka polskiego jest więcej wolnych miejsc niż studentów. Kryspin z pewnością by się ucieszył, gdyby ktoś dołączył. Ty też mogłabyś pracować nad tym, żebyśmy nie stracili całej Polski. Jest kilka organizacji, które próbują odnowić zerwane więzi na płaszczyźnie kulturalnej. Mogłabyś też wstąpić do partii. Takiej, która odważa się mówić, że musimy uznać granicę na Odrze i Nysie, zaakceptować konsekwencje zbrodni, tak aby nasze kraje miały most, który mógłby je do siebie zbliżyć. Tym razem ostatecznie oddać Danzig, aby ostatecznie nie stracić Gdańska.

Wanda uśmiechnęła się, bo spodobała się jej ta myśl.

– Jeszcze Polska nie zginęła?

Odpowiedział uśmiechem.

– Chyba chciałabym to zrobić. Wszystko, o czym mówiłaś. Ale chwilę później myślę sobie: jak mogę oczekiwać, że ktoś w Polsce mi zaufa? Moja ciotka, którą kochałam przez całe życie, wydała dwoje Polaków gestapo, tylko dlatego, że była zazdrosna albo miała inne wyobrażenie moralności.

– Tak uważasz? – spytał Andras, szczerze zdumiony. – Sądzę, że to wyjątkowo mało prawdopodobne. Dlaczego miałyby to zrobić? Fakt, że kochała twojego ojca, nigdy nie przeszkadzał jej kochać twojej matki, jeszcze mocniej i z niezłomną wiernością. Nie życzyła jej niczego złego. Poza tym musiałyby złożyć doniesienie, zanim wyjechała do Berlina – blisko dwa miesiące przed tym, jak otoczono dom i zastrzelono całą trójkę. Gestapo nie działało w ten sposób. Z mojego punktu widzenia nie ma żadnego powodu, by zakładać, że twoja ciotka miała z tym coś wspólnego.

– Naprawdę nie? – Wanda zobaczyła ciotkę Lorę, jak staje w drzwiach małego sklepiku pana Ecka, by pomachać jej i Verze w drodze do szkoły, i z serca spadł jej ogromny ciężar.

– W żadnym wypadku – odparł Andras. – Gdy usłyszała, że jej siostra z trzema córkami znajduje się na liście ocalałych z „Gustloff’a”, nie zważając na surowy zakaz przemieszczania się i chaos rozpadającego się kraju, ruszyła w drogę, by zabrać je z obozu w Kilonii do siebie. Gdyby to ona zdradziła Tadka, byłaby zadowolona, że nie musi nigdy więcej pokazywać się siostrze na oczy, nie sądzisz?

– Ale w takim razie kto to był? – spytała Wanda. – Poza tym przyszło mi właśnie do głowy, że gestapo musiałyby wtedy ścigać także moją matkę. Bo ukrywała Polaków.

– Nie wiem – odparł Andras. – Sądzę, że do samego końca znajdowała się pod ochroną Forstera, tego masowego mordercy. Nie był on zdolny do uczuć wobec ludzi, ale z jakichś powodów uzależnił się od tej piosenki.

Tej piosenki. *Świtu na morzu*. Redaktor muzyczny z Gdyni puścił im prastarą, zacinającą się płytę, a Wanda poczuła się jak w Greenwich Village, gdy po raz pierwszy usłyszała *A Hard Rain*. Piosenka miała związek z nią samą. Wyrażała coś, co było w niej, choć nie potrafiła tego nazwać. Bratanica Ireny Bojarskiej twierdziła, że utwór od wieków krąży w jej rodzinie i zapisała tekst, który jeszcze pamiętała. Wanda nauczyła się go na pamięć, wiersz po wierszu.

– Ten jego sekretarz najwyraźniej przez lata próbował znaleźć coś na twoją matkę – ciągnął Andras. – Z nieznanых powodów. Może pod koniec żaden zdrajca nie był mu już potrzebny. A jeśli jednak tak, sądzę, że był nim Erik Tetzlaff. Ów mężczyzna, który grał na kontrabasie, a potem zginął w Volkssturmie.

– Tetzlaff? Sądziłam, że wielokrotnie podpadał z powodu krytycznych wypowiedzi o Hitlerze.

– Pfitzner mógł na niego naciskać. On sam był pewnie znużony i na skraju wyczerpania nerwowego. Jak wynika z listów, które pokazał nam Skowski, kochał najpierw twoją matkę, a potem Zosię Pajewską, a obie wylądowały w ramionach Tadeusza Raduna. Może moje założenie jest błędne. To mógł być każdy sąsiad, Wando. Hitler i jego ludzie mieli dwanaście lat, by wychować sobie rzesze denuncjatorów.

– Nigdy się tego nie dowiemy, prawda?

– Zgodnie z moim doświadczeniem nie. Ale możemy spróbować. Czy to dla ciebie ważne?

Wanda pokręciła głową.

– Wystarczy mi wiedza, że nie była to ciotka Lore. Ale może kiedyś będzie to ważne dla Very.

Będzie musiała wyjaśnić wszystko Verze. Kiedyś, gdy znajdą sposób, by ze sobą porozmawiać. Na razie nie mogła się tym zająć, jeszcze długo będzie potrzebować sił dla samej siebie. Będzie musiała znaleźć miejsce, które uczyni swoim nowym domem. Gdy o tym myślała, miała przed oczami ciotkę Lore, która przyjechała do Kilonii i zamiast swojej siostry znalazła tam Różę Pajewską – ocaloną z lodowatego morza, z dwójką niemowląt i dziesięciolatką, która musiała być śmiertelnie przerażona.

W niezrozumiały sposób te dwie kobiety, które straciły swoją ojczyznę, swoją historię, a przede wszystkim swoje najdroższe siostry, postanowiły, że od tej pory jedna będzie dla drugiej tym wszystkim: ojczyzną, historią i siostrą. Kochały się, niemiecka i polska gdańszczanka, nie było co do tego wątpliwości, i z miłością opiekowały się spuścizną po swoich siostrach – trójką dzieci. Pośród oceanu smutku było w tym coś piękniejszego, niż dało się wypowiedzieć.

Dotarli już niemal do ostatniego dworca – na granicy. Wanda rozpoznała domy, szare przedmieścia miasta o dwóch nazwach.

– Dlaczego była mi tak bliska? – spytała Andrasa. – Mam na myśli Różę. Jestem dzieckiem Niemki. To przecież Vera powinna być jej najbliższa.

– Początkowo, z poczucia winy, może uznała za swój obowiązek troszczyć się o ciebie w szczególny sposób – powiedział Andras. – A potem pewnie jej to ułatwiałaś, bo jesteś taka, jaka jesteś. – Przyciągnął ją bliżej do siebie. – Ułatwiasz to ludziom, Wando Słoneczko. Jej tak samo jak i mnie. Po prostu cię kochała.

Schowała się w jego ramionach. Nawet pod kocem było zimno.

– Żałuję, że nie miała odwagi żyć dalej. Porozmawiać ze mną. Wraz ze mną nauczyć się radzić sobie z przeszłością.

– Jak myślę o mojej matce, również tego żałuję – powiedział Andras. – Odmówiła wszelkiego leczenia, chciała po prostu umrzeć, pozwoliła, by zżarła ją choroba. Podczas przygotowań do procesu ciągle trafialiśmy na świadków, którzy popełnili samobójstwo nawet piętnaście lat po zakończeniu wojny. Ofiary. Nigdy sprawcy. Ostatecznie nie wytrzymywali dalszego życia. To, czego doświadczyli, było zbyt wyniszczające, wir zamordowanych silniejszy niż ta odrobina oparcia, którą mogli dać ocaleni.

– To sprawia, że wszystko przestaje mieć sens.

Andras potaknął. Jego nieogolony policzek drapał skroń Wandy.

– Próbuję trzymać się tego, że żyła jeszcze przez wiele lat. Nie zawsze mi się to udaje. Ale czasami tak. Wspominam chwile, gdy byłem z nią szczęśliwy, i zmuszam się do myślenia, że i ona była wtedy szczęśliwa.

Wanda pomyślała o Bożym Narodzeniu, o Matti w białym fartuchu, która wstawiała przed wszystkimi i chodziła po mieszkaniu, o jej zaczerwienionych od ciepła i radości policzkach. Pociąg zahamował z szarpnięciem, od którego ich walizki podskoczyły na półce.

– Na miłość boską, Andrasie. O nic nie zadbałam. Powinnam była zadzwonić do Rieke, ale zapomniałam, a teraz nie mam pojęcia, co zrobimy.

– Ja zadzwoniłem – powiedział Andras. – Nie martw się. Odbiorą nas.

Wstał, by zdjąć bagaże z półki, a Wanda zrozumiała, że ich podróż dobiegła końca. Za kilka minut nie będą już dłużej w Polsce ani dłużej

sami. Przyciągnęła go z powrotem i pocałowała pospiesznie, nie patrząc gdzie.

– Powiedz mi, proszę, jeszcze jedno. Jak w Polsce nazywa się wieczór przed Bożym Narodzeniem – to święto, które obchodzi razem cała rodzina?

Ich spojrzenia odnalazły się.

– Wigilia – powiedział.

58

Na wybetonowanym placu za przejściem granicznym topniał brudny śnieg. Stał tam tylko jeden pomalowany na szaro i żółto budynek z dachem z blachy falistej, gdzie mogły poczekać osoby odbierające podróżnych przyjeżdżających z Polski. Prawie nikt nie czekał. I prawie nikt nie przyjeżdżał.

Dwie postacie widoczne przez brudne szyby w drzwiach wydawały się tylko wysoką kobietą i jeszcze wyższym mężczyzną.

– Rieke sama po nas przyjechała? – spytała Wanda. – To bardzo miłe z jej strony, nie wiem, jak jej to wynagrodzę. A to jej mąż? A może towarzyszy jej Manne? – Z niedowierzaniem i wahaniem pozwoliła sobie na przyływ radości. Będzie musiała stanąć na własnych nogach, zdobyć pieniądze i mieszkanie, ale perspektywa, że jeszcze przez małą chwilę, nim nadejdą prawdziwe roztopy, będzie mogła schować się w domu van Bontjesów i mieć wokół siebie przyjaciół, gdy powrócą wspomnienia, ułatwiała jej drogę powrotną.

– Manne zdaje egzamin licencjacki – powiedział Andras. – A Rieke i Claas pojechali do Francji. Kazali cię pozdrowić. Klara wie, że przyjeżdżasz, i da ci klucze.

Klara była siostrą Mannego, która tymczasowo odstąpiła Wandzie swój pokój. Miała jednak dopiero siedemnaście lat i nie mogła sama przejechać przez NRD, by ich odebrać.

Czekająca kobieta otworzyła drzwi. Otulona była w zielony płaszcz, w który dosłownie schowała się w nieogrzewanej poczekalni. Stojący za nią mężczyzna nosił staromodny kapelusz.

– Ariane.

– Wanda.

Przez chwilę żadna z nich nie wiedziała, co powiedzieć.

– To jest Martin – odezwała się w końcu Ariane. – Czy możemy szybko wsiąść do auta? Jest ogrzewane. A tu jest tak okropnie zimno.

Mężczyzna uchylił kapelusza.

– Martin Steinke. Bardzo mi miło. – Nie był stary, najwyżej pięć lat starszy od Ariane, ale jego zachowanie oraz odzież wydawały się pochodzić z innej epoki. Niezdarnie wziął od Andrasa walizkę i podał ramię Ariane, po czym wyszli z poczekalni. Wanda od razu go polubiła. Teraz jest wolna, pomyślała, Ariane, nasze milczące ogniwo, którego się trzymałyśmy, może wyprowadzić się z Alboinstraße i zacząć własne życie.

Na parkingu stał tylko jeden samochód, czarna furgonetka. W zapadającym zmierzchu lśnił biały napis „Steinke – pochówki”. Martin Steinke odwrócił się przepaszająco.

– Wiem, to wygląda na brak szacunku. Ale niestety, nie posiadam prywatnego auta, a to jest naprawdę wygodne.

Otworzył tylne drzwi. Uderzyło w nich parujące ciepło. Między szynami, po których zwykle wsuwano i wysuwano trumny, Ariane i jej ukochany umieścili poduszki do siedzenia, koc w kratę, termos i koszyk z kanapkami.

– Pewien klient opowiadał mi, że z powodu braków zaopatrzeniowych pociągi w Polsce są źle ogrzewane i nie ma wagonów restauracyjnych.

Wcześniej Ariane odsunęła się na bok, by pozwolić Wandzie i Andrasowi zajrzeć do wnętrza karawanu. Teraz podeszła z wahaniem.

– Musiałam to wszystko załatwić, to znaczy sprawę pogrzebu, i w ten sposób poznaliśmy się z Martinem.

Wanda upuściła torbę, odwróciła się i zarzuciła Ariane ramiona na szyję niczym dziecko, które starsza siostra odbiera ze szkoły.

– To fantastycznie, Ari. Tak bardzo się z tego cieszę.

– Naprawdę się cieszysz?

Wanda potaknęła. Siostry spojrzały na siebie.

Andras odebrał Martinowi Steinke walizkę, którą ten chciał schować, otworzył ją i wyjął butelkę likieru goldwasser.

– Dla was obojga. W ramach podziękowania. Nie będziemy protestowali, jeżeli po drodze dolejecie nam trochę do herbaty.

Wszyscy wsiedli. Ari i Martin do kabiny kierowcy, a Wanda i Andras wygodnie z tyłu, gdzie zazwyczaj przewożono trumny. Gdy ruszyli, we wnętrzu zrobiło się jeszcze cieplej. Martin Steinke poruszył pokrętłem radia, ale znalazł tylko szumy, żadnej stacji nadającej wyraźnie.

– Nie szkodzi – powiedziała Wanda. – Będę śpiewać.

Zacząła od refrenu *Świtu na morzu*. Nie wychodziło jej, nie dawała sobie rady ani z nieznanym językiem, ani z melodią, więc przerwała. Ale to nie miało znaczenia. Musiała po prostu raz powiedzieć to głośno, żeby samej uwierzyć: Będę śpiewać.

W równomiernym tempie jechali w stronę Berlina. Andras rozdał bułki z kiełbasą i nalał do plastikowych kubków herbatę z goldwasserem. Wanda owinęła się kocami i oparła o niego.

– Ari – zawołała przez oparcie, gdy alkohol zaczął działać. – Przykro mi z powodu tak wielu rzeczy. Przykro mi, że nie wolno ci było mówić. Szkoda, że nie mogłaś ze mną porozmawiać.

– Byłaś przecież bardzo mała – odparła Ariane bezradnie.

– Mimo wszystko. Przez te wszystkie lata.

– W Berlinie – odparła Ariane – w Berlinie czasami było źle. Ale w domu nie. Tam mogłam mówić, gdy szłam do Popa.

– Znałaś go? – wyrwało się Wandzie. Zawsze, gdy tylko o nim wspomniano – w rozmowie, w liście, w artykule w gazecie – żałowała, że nie знаła owego Paula Otto Petera Frieböse, którego zdjęcie wisiało w domu jej rodzin.

– Oczywiście – odparła Ariane. – Gdy nikt nie miał czasu, mogłam iść do Popa. Ten mówił: „Gadaj sobie, dziewczuszko, gadaj. Gdzieś musisz, a u takiego staruszka jesteś bezpieczna, bo on zaraz wszystko zapomni” – powiedziała z charakterystycznym akcentem.

Mówiła gdańskim dialektem. Tak samo jak Gundi. Nie, jak Róża. Jak Róża jako Gundi.

– Jeszcze jedno – zawołała Wanda do Ariane. – Czy na grobie jest już płyta?

– Umówiłam się na płytę w ratach – odparła Ariane z dumą. – Martin mi pomógł. Ziemia na grobie musi najpierw osiaść, a z powodu długiego mrozu, a teraz roztopów jest to trudne, dlatego płyta nie została jeszcze położona.

Mówiła jak przyszła małżonka przedsiębiorcy pogrzebowego.

– Ale wszystko jest już gotowe – dodał Martin z nie mniejszą dumą. – Gdy tylko pogoda się ustabilizuje, będzie można kłaść.

– Co kazałaś na niej napisać? – spytała Wanda. – Jakie imię? – Serce zabiło jej mocniej i przy najlepszej woli nie umiałaby powiedzieć, czego by sobie życzyła.

Ariane oparła się o Martina, który skierował auto w nadchodzącą noc.

– Matti – powiedziała.

Jeszcze Polska nie zginęła

Moja urodzona w Gdańsku – w mieszkaniu Popa we Wrzeszczu! – babcia, u której w dzieciństwie znajdował się mój (pachnący herbatą z dzikiej róży) raj, powtarzała ten zwrot tak często, że i ja posługuję się nim do dziś. Nie wiedziałam, jak poważnie traktowała te słowa. Ale ja też traktuję je poważnie. Do dziś.

Proszę, by Polska jeszcze nie zginęła. Szczególnie dziś. Nie ponownie.

Z niezliczonych dni, które spędziłam w berlińskim mieszkaniu mojej babci (ponieważ nie widziałam jej mieszkania we Wrzeszczu, przenieśliśmy tam mieszkanie z mojego dzieciństwa i podarowałam je Popowi), pamiętam to, że nie padały tam zdania takie jak „musisz już iść do łóżka” albo „słone paluszki to nie kolacja”. Tak bardzo lubiłam tam przebywać, że jakaś część mnie do dziś nie chce się wyprowadzić (i nie kładzie się spać, i je słone paluszki na kolację). Nie przypominam sobie dnia, w którym nie słyszałabym słowa Gdańsk. Babcia nigdy nie nauczyła się berlińskiej gwary. Zamiast tego używała wielu słów z gdańskiego dialektu, które do czasu rozpoczęcia pracy nad tą książką uznawałam za zwykłe elementy języka niemieckiego. Jedynie „Schietke sagt Liedtke” pożyczyłam dla mojego Popa od dziadka pewnej kobiety, z którą przeprowadzałam wywiad.

Babcia mówiła po polsku wyłącznie wtedy, gdy wypijała kieliszek, a gdy robiła to w mojej obecności, zawsze posyłała wcześniej ku niebu niezwykle toast. Żałuję, że nigdy nie spytałam jej, kogo w ten sposób pozdrawia, żebym dziś mogła pozdrowić go w jej zastępstwie. Nawet jeśli, ku memu zawstydzeniu, nie potrafię pić sznapsa. Nawet machandlu czy goldwassera. Tylko wino. Pijąc je, czasami wznoszę toast za babcię.

Choć w moich wspomnieniach nigdy nie powiedziała tego wprost, to jako dziecko nauczyłam się, że można się spierać, które z miast na świecie – a nie znała ich wielu – jest najpiękniejsze. Jednak jedno pozostaje poza sporem. Gdańsk. A jeszcze piękniejszy od samego Gdańska jest Sopot.

Troje z jej czworga dzieci przyszło na świat w Gdańsku.

Miała tyle wnucząt i prawnucząt, że nie staram się ich nawet zliczyć. Ponieważ do późnej starości dobrze się trzymała, nasza olbrzymia paczka często wozila ją po świecie. Od Mediolanu po Mainau, na starość

babcia zdążyła się nieco rozejrzeć, bo jej potomkowie działali między Tokio a Toronto, Waszyngtonem a Wiedniem. Gdy studiowałam w Neapolu, ponadosiemdziesięcioletnia pani wsiadła do autokaru i dotarła tam cała i zdrowa, ze słonymi paluszkami i herbatą z dzikiej róży w swojej prastarej niebieskiej torbie. Jednak żadne z nas, żaden z niez mordowanych globtroterów, nie miał nigdy odwagi pójść do niej, włożyć jej paszport do niebieskiej torby i powiedzieć po polsku: „Chodźmy”. Chodźmy, babciu, pojedziemy do Gdańska. Ten przemilczany ból, którego żadne z nas nie znało po imieniu, we wszystkich budził zbyt wielki lęk.

Gdy zmarła w grudniu 1993 roku, tupnęłam moją chudą nogą i uparłam się, by w nekrologu po dacie urodzenia wydrukowano słowa „w Gdańsku”. Wiedziałam, że w żadnym razie nie może ich zabraknąć, choć nie wiedziałam dlaczego. Potem słowo „Gdańsk” zniknęło z mojego życia. Na blisko ćwierć wieku.

W ciągu tego roku, gdy zbierałam materiały do książki i rozmawiałam z dziećmi i wnukami niemieckich i polskich gdańszczan, uświadomiłam sobie, że jest to ból, który powtarza się we wszystkich rodzinach tak samo jak jego przemilczanie. Słowo, którego nikt nie chce wypowiedzieć.

Gdy widzę twarze uchodźców, którzy przybywają dziś do krajów, do których nie chcieli trafić, wiem, że słowo to oznacza tęsknotę za ojczyzną i że dziedziczą ją kolejne pokolenia. Nie pozwalałam sobie jednak myśleć, że ma to związek ze mną i z moją rodziną, ponieważ mówienie o ojczyźnie to często chodzenie po kruchym lodzie. Zbyt szybko natrafia się wtedy na organizacje i osoby, które chciałyby naruszyć granice Niemiec, ustanowione na podstawie traktatów. Strach przed znalezieniem się w takich kręgach przysłonił mi widok na bardzo prostą rzecz: że bolesny przypadek odziedziczonej tęsknoty za ojczyzną można wyleczyć, po prostu do niej jadąc.

Gdy zimą na przełomie 2016 i 2017 roku nie potrafiłam posunąć się naprzód z zaplanowanym projektem, przypomniałam sobie historię „Wilhelma Gustloffa” i pomyślałam: kocham statki, kocham Günтера Grassa, dzień i noc rozmyślałam o tonących w morzu uchodźcach – dlaczego nie zająć się raczej tym tematem? Poprosiłam moją wspaniałą kierowniczkę literacką oraz moją wspaniałą redaktorkę o spotkanie, na którym moja wspaniała redaktorka i ja stwierdziłyśmy, że nasze wspaniałe babki (rocznik 1903 i 1906) mogły budować razem wspaniałą zamek

z piasku na plaży w Sopocie czy też w Zoppot. Myśl: „Ojej, w takim razie muszę jechać do Gdańska”, pojawiła się dopiero, gdy one dwie wyraziły już zgodę. A potem nie było odwrotu.

Reszty wam oszczędzę, drodzy czytelnicy, którzy trzymacie w rękach tę książkę. Historie o tym, jak na dworcu w Sopocie zakręciło mi się w głowie od zapachu herbaty z dzikiej róży, jak szukałam budki telefonicznej, by dać znać: „Babciu, zaraz będę u ciebie”, i o tym, jak uroczej, mówiącej po francusku kelnerce z kawiarni nad Motławą na jej pytanie, czy przyjechałam jako turystka, odpowiedziałam: „Nie, z wizytą do mojej babci”, zainteresowani mogą przeczytać na mojej stronie na Facebooku (gdzie zamieściłam też zdjęcia). Pozostałych przed tym uchronię.

Jeszcze jedna ważna dla mnie sprawa: jeżeli i wy macie w swoim życiu Gdańsk – jedźcie tam. To boli. Ale niesamowitą radość daje fakt, że Gdańsk istnieje, że nadal stoi i żyje, i rośnie, że – w przeciwieństwie do niezliczonych ludzi, których Gdańsk leży w Syrii – w naszym przypadku wystarczy po prostu kupić bilet, zarezerwować hotel i już możemy spacerować jego ulicami. Jeszcze Polska nie zginęła. Jedźcie tam. A jeśli wasza babcia nadal żyje – jedźcie zaraz.

Chciałabym również podkreślić, że aby oszczędzić sobie licznych problemów prawnych oraz dramaturgicznych, postać Pfitznera wymyśliłam. Należy przy tym dodać, że skrupulatnie prowadzone listy nazwisk, denuncjatorstwo, które temu służyło, oraz absurdalne prywatne wendety, które spowodowały wyginięcie całych rodzin, w żadnym wypadku nie zostały przeze mnie zmyślone. Że brak mi w głowie jakiegoś wymiaru, by móc coś takiego wymyślić.

Jestem jak moja Wanda: Gdańsk jest teraz we mnie i nie pozwolę go sobie odebrać. To część układanki, jaką jestem, a że składa się ona z rozsianych po całej Europie puzzli, jest dość bezpośrednim skutkiem katastrofy, którą sprowadził Hitler na nasz kontynent. Myślę, że jeśli będziemy pamiętać o tym dziedzictwie, śmiało obstawać, że jesteśmy powiązani ze sobą, dziko i seksownie wymieszani, a nie nieżyciowo posortowani do szuflad, że w naszych torbach nie potrzebujemy mieć zaświadczeń o rodowodzie, a jedynie paszporty, że nie chcemy przesuwac granic, tylko je przekraczac, wtedy w najdobitniejszy sposób udowodnimy Hitlerowi, że niczego się od niego nie nauczyliśmy.

Że aby nauczyć się radzenia sobie z bólem i otwartości na świat, nie potrzeba nam nowych Hitlerów.

Nawet bardzo małych. Ani zabawnie przebranych.

Ostatnia uwaga we własnej sprawie: do tego, kim są moje dzieci i będą wnukowie, dodałam kolejny europejski puzzel – zupełnie bez pomocy Hitlera, a jedynie zakochując się w brytyjskiej wyspie, Old Bli-ghty, a wreszcie pochodzącym stamtąd facecie. Jeśli ci *** (słowo usunięte przez cenzurę) w Westminsterze wezmą się do tego na poważnie i przetną łączące te puzzle nici, które miały chronić nas przed nowymi Hitlerami, a wyspa wpadnie do morza – proszę, trzymajcie się nas, naszej wyspy, bardzo mocno. Tak aby w życiu moich dzieci i wnuków nie było już żadnego Gdańska, którego nie mogłyby odwiedzić, niosąc między sobą niebieską torbę.

Bardzo dziękuję. Jeszcze Polska nie zginęła. I wyspa także nie.

To moja najbardziej osobista książka. Bardzo serdecznie dziękuję wam, drodzy czytelnicy, za to, że ją przeczytaliście. Za to, że mogła powstać, powinnam podziękować wielu ludziom, ale ograniczę się do trzech niesamowitych kobiet, bez których nie byłoby to możliwe: Christine Steffen-Reimann, Silvii Kuttny-Walser i mojej babci Lity z Gdańska.

Glosariusz

Brygada berlińska. Oddziały amerykańskie stacjonujące w Berlinie zgodnie z postanowieniami z Jałty i Poczdamu.

Błękitny Pudel. Najpiękniejsza knajpka w Sopocie, położona na ulicy Bohaterów Monte Casino, dawniej Seestraße. Przed wojną jeszcze nie istniała, ale to nie szkodzi, coś tak cudownego musi znaleźć się w książce. Podczas wizyty w Sopocie należy koniecznie tam zajrzeć i oczywiście zamówić pierogi.

Blohm & Voss. Obecnie: Blohm+Voss. Istniejąca do 1877 roku stocznia w hamburskiej dzielnicy Steinwerder. Powstały tam zarówno parowce klasy Monte, w tym „Monte Olivia”, jak i „Wilhelm Gustloff”.

Blue Skies. Utwór autorstwa Irvinga Berlina w wykonaniu Ala Jolsona rzeczywiście pojawił się w filmie *The Jazz Singer* (*Śpiewak jazzbandu*), który uznaje się za pierwszy film dźwiękowy na świecie. Jolson, sam pochodzący z rodziny żydowskiej z terenów obecnej Litwy, zagrał w nim amerykańskiego Żyda, który wbrew życzeniom konserwatywnego ojca robi karierę na Broadwayu jako śpiewak jazzowy. Premiera filmu odbyła się nie wiosną 1927 roku, jak napisałam, tylko dopiero w październiku tego samego roku. Pozwoliłam sobie na to przesunięcie, ponieważ piosenka świetnie pasowała do przedstawionej sceny – i ponieważ bardzo spodobałaby się mojej Gundi.

Bollermann i Welutzke. Postacie z gdańskich dowcipów, wspominane z mieszkanką sympatii i drwiny, podobnie jak na przykład berlińscy Latsch i Bommel.

Cantulia. Marka akordeonów firmy Kahnt & Uhlmann z Siegburga, która istniała do lat pięćdziesiątych XX wieku.

Conradinum. Bogata w tradycje szkoła średnia w Danzig-Langfuhr, do której uczęszczał m.in. Günter Grass.

Dajos Béla (1897–1976). Pochodzący z Kijowa muzyk o żydowskich korzeniach, który kierował w Berlinie popularną orkiestrą salonową, dopóki nie musiał opuścić Niemiec w 1933 roku.

Deutsche Arbeitsfront, DAF. Niemiecki Front Pracy. Centralny narodowosocjalistyczny związek zawodowy, który przejął ruch związkowy w Niemczech po tym, jak w 1933 roku SA zajęło siedziby związków i zostały one przymusowo rozwiązane. Choć członkostwo w DAF nie było obowiązkowe, stanowił on najliczniejszą organizację nazistowską.

G.I. Skrót od *Galvanized Iron*. Określenie na zwykłych żołnierzy amerykańskich, które przyjęło się podczas pierwszej wojny światowej, ponieważ skrót ten widniał na przywożonych przez Amerykanów metalowych koszach na śmieci.

Komm morgen wieder. Pochodząca prawdopodobnie z Łotwy, popularna w Gdańsku potrawa w postaci cienkich smażonych naleśników, napełnianych skrawkami mięsa. Zazwyczaj podawana z rosołem.

Kraft durch Freude (Siła przez Radość). Założona w listopadzie 1933 roku nazistowska organizacja, podlegająca Niemieckiemu Frontowi Pracy, odpowiadająca za ujednoczenie zajęć w czasie wolnym. Kraft durch Freude organizowała wycieczki i imprezy kulturalne, prowadziła programy oszczędnościowe na zakup odbiorników radiowych, automobili itd., a w dodatku była największym biurem turystycznym w nazistowskich Niemczech.

Rzekotka. Popularna nazwa samochodu osobowego firmy Adam Opel. Pierwszy niemiecki samochód produkowany taśmowo.

Maybach Zeppelin. Dwunastocylindrowy luksusowy samochód osobowy, produkowany przez firmę Maybach nad Jeziorem Bodeńskim od lat trzydziestych do 1940 roku.

Pomoc dla Wschodu (Osthilfe). Ustanowiony w czasach Republiki Weimarskiej program pomocowy dla obszarów rolniczych w prowincjach wschodnich. Prowadzony od 1926 do 1937 roku.

Ostmarken Rundfunkgesellschaft. Rozgłośnia radiowa z siedzibą w Królewcu, nadająca audycje dla oddzielonych od obszaru Rzeszy terenów Prus Wschodnich, mająca szczególne znaczenie dla ludności niemieckojęzycznej. Od 1926 roku część jej programu przejęła Danziger Rundfunk.

Pulmotor. Wynaleziony w 1907 roku i stosowany do połowy XX wieku urządzenie do sztucznego oddychania. Często wykorzystywane przy zatruciach gazem.

Izba Muzyki Rzeszy (Reichsmusikkammer). Podległa powołanej do życia w 1933 roku Izbie Kultury Rzeszy, kierowanej przez Josepha Goebbelsa. Służyła totalnej kontroli nad twórcami. Przynależność do izby była obowiązkowa, nieprzyjęcie lub usunięcie oznaczało brak możliwości wykonywania zawodu.

Socjalistyczny Związek Niemieckich Studentów (Sozialistischer Deutscher Studentenbund, SDS). Studencka organizacja polityczna, działająca w Niemczech Zachodnich i Berlinie Zachodnim w latach 1946–1970.

Sternfeld. Duży, elegancki dom towarowy w Gdańsku, od 1848 roku w posiadaniu rodziny żydowskiej.

Trypolitania. Dawna kolonia włoska w Afryce Północnej, w dzisiejszej Libii.

Odbiornik ludowy (Volksempfänger). Zaprojektowany na polecenie Josepha Goebbelsa odbiornik radiowy, już od 1933 roku dostępny po bardzo niskiej cenie. Dzięki temu nazistowska propaganda miała być stale i skutecznie rozpowszechniana we wszystkich domach. Volksempfänger szybko stał się jednym z najważniejszych narzędzi propagandowych.

Volkssturm. Ugrupowanie militarne złożone ze „wszystkich mężczyzn w wieku od szesnastu do sześćdziesięciu lat, zdolnych do noszenia broni”, utworzone w październiku 1944 roku w celu obrony „ojczyźnej ziemi Rzeszy Niemieckiej”, do której zaliczano Gdańsk.

Przypisy

1. Obecnie: Księcia Józefa Poniatowskiego [\[wróć\]](#)
2. niem. Langfuhr. [\[wróć\]](#)
3. Obecnie: Powroźnicza. [\[wróć\]](#)
4. niem. Neufahrwasser. [\[wróć\]](#)
5. Obecnie: Partyzantów. [\[wróć\]](#)
6. Główne Miasto – reprezentacyjna część gdańskiej dzielnicy Śródmieście; niem. Rechtstadt. [\[wróć\]](#)
7. Wytrawna wódka jałowcowa rozpowszechniona w dawnym Gdańsku. Przy jej picciu przestrzegano specjalnego rytuału. [\[wróć\]](#)
8. Obecnie: Ogarna. [\[wróć\]](#)
9. Obecnie: Bohaterów Monte Cassino. [\[wróć\]](#)
10. Obecnie: Aleja Grunwaldzka. [\[wróć\]](#)
11. niem. Langgasse. [\[wróć\]](#)
12. Obecnie: Wojciecha Bogusławskiego. [\[wróć\]](#)
13. Obecnie: ulica Jana Uphagena. [\[wróć\]](#)
14. Obecnie: Srebrzysko, teren w obrębie Wrzeszcza. [\[wróć\]](#)
15. Obecnie: ulica Księcia Józefa Zator-Przytockiego. [\[wróć\]](#)
16. Obecnie: ulica Piwna. [\[wróć\]](#)
17. Obecnie: Targ Maślany. [\[wróć\]](#)
18. Obecnie: Plac Obrońców Poczty Polskiej. [\[wróć\]](#)
19. Przeł. Tomasz Fiałkowski, cyt. za: Victor Klemperer, *LTI. Notatnik filologa*, przeł. Juliusz Zychowicz, Warszawa 1983, s. 264. [\[wróć\]](#)
20. niem. Pillau, obecnie Bałtyjsk. [\[wróć\]](#)
21. niem. Pianitz. [\[wróć\]](#)
22. W przekładzie Stanisława Jerzego Leca. [\[wróć\]](#)
23. niem. Lange Brücke. [\[wróć\]](#)
24. Theodor W. Adorno, *Minima moralia. Refleksje z poharatanego życia*, przeł. Małgorzata Łukasiewicz, Kraków 2009, s. 41. [\[wróć\]](#)